

FERN MICHAELS

CATHY LAMB MARY CARTER TERRY DULONG



*Magia
Bożego Narodzenia*

BELLONA

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Magia Bożego Narodzenia Rozdział 1
Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7
Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Epilog Najpiękniejsze
święta Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział
6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Epilog
Święta w stylu Maui Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Epilog Święta w Cedar Key
Podziękowania Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11
Okładka

FERN
MICHAELS
CATHY LAMB MARY CARTER TERRY DULONG

*Magia
Bożego Narodzenia*

Przełożyła z angielskiego
Paulina Maksymowicz

BELLONA
Warszawa

Tytuł oryginalny: *Holiday Magic*

Projekt okładki i stron tytułowych: *Anna Damasiewicz*

Redaktor prowadzący: *Maria Magdalena Miłaszewska*

Redaktor merytoryczny: *Grażyna Szaraniec*

Redaktor techniczny: *Beata Jankowska*

Korekta: *Anna Olszowska*

Wszystkie przypisy są przypisami Tłumacza, chyba że zapisano inaczej.

Compilation copyright © 2010 by Kensington Publishing Corp.
„Holiday Magic” copyright © 2010 by MRK Productions
Fern Michaels is a registered trademark of First Draft., Inc.
„A Very Merry Christmas” copyright © 2010 by Cathy Lamb
„A Very Maui Christmas” copyright © 2010 by Mary Carter
„A Cedar Key Christmas” copyright © 2010 by Terri DuLong
Copyright © for the Polish edition and translation by Bellona SA,
Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, szczególnie prawa do przedruku i tłumaczeń na inne języki. Żaden fragment książki nie może być w jakikolwiek sposób powielony albo włączony do jakiegokolwiek bazy odtwarzania elektronicznego oraz mechanicznego bez uzyskania wcześniejszej zgody właściciela praw autorskich.

Zapraszamy na strony
www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Nasz adres: Bellona Spółka Akcyjna
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
Dział Wysyłki tel.: 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78
faks 22 652 27 01
Internet: www.bellona.pl
e-mail: biuro@bellona.pl

ISBN 9788311142534

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Fern Michaels

Magia Bożego Narodzenia

*Dedykuję to opowiadanie wszystkim moim znajomym miłośniczkom
modnych stylizacji narciarskich*

Rozdział 1

Telluride, Kolorado

26 listopada 2010

Czarny Piątek[1]

Stephanie raz jeszcze rzuciła okiem na zegarek. Chciała mieć pewność, że trzyma się harmonogramu: za dziesięć szósta. Punktualnie o siódmej mieli rozpocząć najgorętszy dzień w roku w Snow Zone, w sklepie, który Stephanie prowadziła od prawie dwóch lat w ośrodku narciarskim Maximum Glide.

Stwierdziwszy, że ma jeszcze godzinę do otwarcia, pokręciła gałką miniwieży i wewnątrz sklepu wypełnił anielski głos Michaela Boltona, śpiewającego *Have Yourself a Merry Little Christmas*. Wyjęła spod lady cztery duże świece o zapachu cynamonu, zapaliła je i ustawiła tak, żeby żaden nieostrożny klient ich nie stracił, manewrując nartami. Choć na drzwiach i wewnątrz sklepu umieszczono kartki z napisem: *PROSIMY O ZOSTAWIANIE NART NA ZEWNĄTRZ*, nie wszyscy klienci stosowali się do tej reguły. Wcześniej zaparzyła kawę i zagotowała wodę na gorącą czekoladę; przyniosła też trochę ciastek dla rannych ptaszków. Sądząc po ilościach słodyczy pochłanianych przez klientów, zakupy musiały być doprawdy czynnością wyczerpującą.

Uśmiechnęła się na myśl o nadchodzących świętach. Przez najbliższy miesiąc w Maximum Glide będzie mnóstwo gości ze wszystkich stron świata – i tłumy miejscowych, dojeżdżających tu na weekendy. Po raz ostatni sprawdziła półki, poprawiła ułożenie stosu jasnoczerwonych swetrów z dopasowanymi do nich szalikami i czapkami. Na butach narciarskich widniały pomarańczowe naklejki z cenami rabatowymi. Wodoodporne rękawice z poprzedniego sezonu leżały obok najnowszych modeli. Klienci mogli sami zdecydować, czy

warto wydać więcej, żeby nadążać za modą. Osobiście Stephanie była zdania, że wielkiej różnicy nie widać – ot, nowy model miał kieszonkę z suwakiem na dodatkową parę ogrzewaczy dłoni.

Wyrównała wieszaki z kurtkami marki Spyder i spodniami narciarskimi North Face. To one sprzedawały się najlepiej. W tym roku wcześniej zwiększyła zamówienie, żeby uniknąć wyczerpania zapasów przed końcem sezonu. Rok temu dyrektor zarządzający Maximum Glide, Edward Patrick Joseph O'Brien – chciał, by nazywano go Patrickiem, choć ona zawsze myślała o nim „Eddie”, tak bardzo przypominał jej słodkiego urwisa z serialu *Leave it to Beaver* – polecił jej zamówić towar samodzielnie. Stephanie sprawdziła wtedy stan zapasów i uznała, że mają dość spodni i kurtek narciarskich na dwa lata. Tyle że nie miała wówczas pojęcia, iż słynny sklep ze sprzętem dla narciarzy, w ośrodku stanowiącym własność złotego medalisty olimpijskiego, przyciąga niezliczone rzesze klientów z wypchanymi portfelami. W rezultacie już po rozpoczęciu sezonu musiała zamówić dodatkowy towar i wyasygnować z kasy sklepu sporą kwotę na ekspresową dostawę. Wyciągnęła z tego wnioski. Tym razem wcześniej zwiększyła, i to znacznie, wielkość zamówienia, spodziewając się, że półki opustoszeją jeszcze przed świętami. Chciała mieć pewność, że w tym gorącym okresie w sklepie niczego nie zabraknie. Wiedziała też, że aż do Nowego Roku nie może liczyć na choćby jeden dzień wolnego, ale to akurat wcale jej nie przeszkadzało. Potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Miała nadzieję, że dzięki nadgodzinom i premii świątecznej uda jej się wpłacić zaliczkę na dom. Jej pierwszy własny dom, dla niej i jej dwóch córek – dziesięcioletniej Ashley, bardzo dojrzałej jak na swój wiek, i Amandy, uroczej siedmiolatki. Od miesięcy przeczesywała ogłoszenia w gazetach, ale wreszcie znalazła swój ideał: dom w stylu kolonialnym, z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, który ją zachwyił i na który było ją stać.

W zeszłym tygodniu specjalnie wybrała się do agencji Rollins Realty, która wystawiła nieruchomość na sprzedaż. Jessica Rollins, elegancka pani po pięćdziesiątce, oprowadziła ją po domu, który natychmiast chwycił Stephanie za serce. Na widok głębokiej i wygodnej wanny w łazience przy największej sypialni – luksusu, o jakim nawet nie

marzyła – nie była w stanie ukryć zachwytu. Widząc jej reakcję, Jessica wyjaśniła, że poprzedni właściciele domu byli zapalonymi narciarzami, co, zdaniem Stephanie, można było powiedzieć o trzech czwartych mieszkańców Kolorado. A zgodnie z powszechnym tu przekonaniem, po całym dniu szusowania nie było nic lepszego niż gorąca kąpiel. Wychodząc z domu, który mało tego, że był jak wymarzony, to jeszcze znajdował się w zasięgu jej możliwości finansowych, w duchu obiecała uroczyście sobie i dziewczynkom: będą miały własny dom. Na razie nic im nie powiedziała, zaplanowała za to jeszcze jedną niespodziankę: podaruje im szczeniaka po Ice-D, syberyjskim husky Maxa. Obiecywała sobie, że zrealizuje swój plan, bez względu na to, jak ciężko będzie musiała pracować.

W Placerville od razu poczuła się jak u siebie. Nie miała wprawdzie ochoty rozstawać się z Gypsum, ale stąd od Telluride dzieliło ją zaledwie dwadzieścia minut drogi samochodem. Grace i Max bywali w ośrodku regularnie, choć wymagało to czterogodzinnej podróży. Zawsze zatrzymywali się w sklepie, żeby się z nią przywitać; poza tym Grace twierdziła, że musi zobaczyć dziewczynki. Grace była jak siostra: najlepsza przyjaciółka, jaką Stephanie kiedykolwiek miała.

Od niemal dwóch lat Stephanie mieszkała z córkami w jednopokojowym, przerobionym z garażu mieszkaniu, które Grace znalazła dla nich, gdy opuszczały Hope House – schronisko dla ofiar przemocy domowej. Właśnie wczoraj, podczas uroczystego obiadu z okazji Święta Dziękczynienia, Grace i jej niedawno poślubiony mąż Max Jorgenson – narciarz i olimpijczyk, a zarazem właściciel ośrodka narciarskiego, w którym Stephanie dostała pracę – ogłosili, że spodziewają się pierwszego dziecka. Grace żartowała przy tym na temat swego wieku, Max natomiast upierał się, że jego żona wygląda na najwyżej dwadzieścia jeden lat. W rzeczywistości dobiegała czterdziestki, gdy w końcu spełniło się jej największe marzenie. Zabawne, jak czasami w życiu się układa... Gdyby ktoś dwa lata temu powiedział Stephanie, że ona i dziewczynki zostaną same, że będą wolne, uznałaby go za wariata. Takich kobiet jak ona nie stać na samodzielne życie z dwójką dzieci bez pomocy finansowej męża.

Czyżby? A jednak!

Jak dotąd, dzień po dniu udowadniała samej sobie, że jest inaczej, i wiedziała, że zrobi wszystko, żeby nie stracić zdobytej raz niezależności. Jej chłopak z czasów szkolnych, a następnie mąż – Glenn Marshall – odsiadywał właśnie ośmioletni wyrok w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Canon City, w stanie Kolorado, po ucieczce z zakładu półotwartego, gdzie odbywał karę za stosowanie przemocy wobec swoich bliskich. Stephanie wzdrygnęła się na wspomnienie tamtego dnia, kiedy Glenn zwiął z więziennej furgonetki.

To był pierwszy dzień jej pobytu w Hope House, gdzie trafiły niespełna tydzień przed Bożym Narodzeniem. Pozwoliła wtedy Grace zabrać dziewczynki na *Dziadka do orzechów*, wystawianego przez uczniów szkoły średniej w Eagle Valley. Wracając do Hope House, Grace musiała nadłożyć drogi, aby ominąć blokady przy I-70 – właśnie trwała tam obława na zbiega. Zgubiła się, a szukając pomocy, trafiła do domu Maxa Jorgensona, słynnego narciarza, złotego medalisty olimpijskiego. Stephanie pamiętała doskonale tę okropną noc, gdy Grace nie wróciła z dziewczynkami do Hope House. Na szczęście znalazły wtedy leśną chatę Maxa przy Blow Out Hill i zatrzymały się tam, czekając, aż drogi zostaną otwarte – niestety, traf chciał, że dotarł tam również uciekający Glenn. Zastawszy na miejscu związaną Grace i śmiertelnie wystraszone dziewczynki, Max błyskawicznie odstawił Glenna z powrotem w ręce ludzi szeryfa, przedtem jednak kilkoma potężnymi ciosami zamienił mu nos w krwawą miazgę. Stephanie brzydziła się przemocą, w głębi duszy jednak czuła satysfakcję na myśl, że Glenn dostał wreszcie to, co sam serwował jej przez lata. Reszta – jak to się mówi – była historią. Teraz, po niemal dwóch latach, Max i Grace byli małżeństwem i oczekiwali swojego pierwszego dziecka. Byli dla siebie stworzeni.

Zupełnie inaczej niż ona i Glenn.

Dwa lata temu była kompletnie złamana; nie zdobyłaby się nawet na maleńki krok w kierunku zmian. Bez bliskiej rodziny i przyjaciół, Stephanie poddawała się biernie losowi... do czasu, gdy przeczytała artykuł o prześladowanych kobietach. Do dziś pamiętała fragment, który przekonał ją, że musi zmienić swoje życie, i to jak najszybciej:

Często zdarza się, że agresja prześladowcy kieruje się przeciwko

jego własnym dzieciom...

Stephanie zdała sobie wtedy sprawę, że musi uciec od Glenna, choćby miało to być nie wiadomo jak trudne. Dwaj policjanci odwieźli ją wraz z dziewczynkami do Hope House zaraz po tym, gdy został aresztowany. Ich współlokatorem był najlepszy przyjaciel Glenna i jego kumpel od kielicha, więc Stephanie nie mogła tam zostać. Nie miała też dokąd pójść. Przepęłniał ją wstyd, rozpacz i strach o dzieci, przełknęła więc resztki dumy, jaka jej jeszcze została, i pozwoliła, by w środku nocy policjanci wyprowadzili je z domu. Grace powitała je niczym najmielszych gości, a Stephanie poczuła, że nie jest już jedną z tych żalonych kobiet, tkwiących latami przy swoich beznadziejnych mężach „ze względu na dzieci”. To Grace pomogła jej odnaleźć drogę, która miała odmienić jej życie – i życie dziewczynek także.

Nie czuła się już bezwartościowa, nie bała się. Dziewczynki też okazały się tak odporne, jak przewidywała Grace. Stephanie wiedziała, że gwałtowność Glenna dała im się we znaki, nie pozwoliła jednak, by wciąż żyły traumatycznymi wspomnieniami. Dzięki Grace przyjęły do wiadomości fakt, że niektórzy mężczyźni biją kobiety, a ci, którzy to robią, muszą zostać ukarani. Glenn nie mógł ubiegać się o skrócenie wyroku, Stephanie jednak zdawała sobie sprawę, że kiedyś jej mąż znajdzie się na wolności. Postanowiła, że do tego czasu będzie pracowała ze wszystkich sił, by stworzyć dla Ashley i Amandy bezpieczny i szczęśliwy dom.

Melanie McLaughlin, córka właściciela domu, w którym mieszkała Stephanie, zaoferowała jej pomoc w opiece nad dziećmi. Właśnie skończyła college i uznała, że chce sobie zrobić rok przerwy od poważnych spraw, zanim będzie gotowa zmierzyć się z meandrami świata biznesu. Stephanie była zachwycona, tak jak jej córki, które uwielbiały Melanie. Dwa razy w tygodniu Stephanie musiała otwierać sklep wcześniej, aby przyjąć dostawy, potrzebowała więc kogoś, kto odprowadzałby dzieci na przystanek autobusowy i odbierał je po powrocie ze szkoły. Tak, to już dwa lata minęły, odkąd Melanie spadła im niczym gwiazdka z nieba. Dziewczyna tymczasem zdążyła rozkręcić też własną działalność: pracowała w domu jako grafik komputerowy, dzięki czemu mogła nadal opiekować się swoimi małymi sąsiadkami.

A że w tym tygodniu, z okazji Święta Dziękczynienia, miały właśnie przerwę w szkole, Melanie, jak zawsze niezawodna, miała przywieźć je do Maximum Glide, by spędzić z nimi popołudnie na stoku.

Na wieczór w ośrodku zaplanowano uroczystą iluminację świątecznej choinki i Stephanie obiecała córkom, że je tam zabierze. To miał być wyjątkowy dzień dla nich wszystkich – pełen wrażeń i radości. Poza tym chciała zobaczyć się z Patrickiem. Parę razy próbował się z nią umówić, gdy zaczęła pracować w sklepie, ale ona zawsze odmawiała, tłumacząc, że nie chce się z nikim spotykać, dopóki nie dostanie rozwodu. On obiecywał, że to uszanuje, a po jakimś czasie próbował znowu. No i w dniu, gdy jej rozwód się uprawomocnił, Stephanie zadzwoniła do Grace, by jej o tym powiedzieć, a ona podzieliła się tą nowiną z mężem. Max od razu szepnął słówko Patrickowi, a on jeszcze tego samego wieczoru pojawił się w drzwiach z bukietem kwiatów dla Stephanie, dwoma filmami Disneya dla dziewczynek i gorącą pizzą dla wszystkich. Nie miała serca go odprawić. Od tamtej pory spotkali się już trzy razy.

Na ostatniej randce poszli do kina. Wybrali romantyczną komedię o małżeństwie, które miało sześcioro dzieci z poprzednich związków; bohaterowie pobrali się, choć ich latorośle robiły wszystko, by ich rozdzielić. Oczywiście, film zakończył się happy endem. Stephanie bawiła się doskonale; po filmie głośno wyraziła radość, że dzieci ostatecznie zaakceptowały nowy układ rodzinny, choć przyszło im to z tak wielkim trudem. Od tamtej pory Patrick się nie odezwał. Coś było nie tak – ale Stephanie nie wiedziała, o co chodzi, i nie zadawała pytań. Był jej szefem i nie chciała ryzykować utraty pracy. Gdyby miała pozwolić sobie na całkowitą szczerą wobec siebie, musiałaby przyznać, że ją zranił, nie zadając sobie nawet trudu, by wyjaśnić tę nagłą utratę zainteresowania. Co gorsza, Amanda i Ashley pytały wciąż, kiedy przyjdzie Patrick. Zbywała je, mówiąc, że jest szczyt sezonu i Patrick ma bardzo dużo pracy. Przyjęły to wyjaśnienie ze zrozumieniem, Stephanie jednak w głębi duszy czuła, że jego milczenie kryje w sobie coś więcej.

Odsunęła na bok te rozmyślenia i ostatni raz zlustrowała sklep baczny spojrzeniem. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim

miejscu. Włożyła wtyczkę do gniazdka i wewnątrz zalał migotliwy blask lampek, zdobiących gałęzie strzelistego, srebrzystego świerku. Candy Lee Primrose, bystra licealistka, dorabiająca w Snow Zone na pół etatu, pracowicie dekorowała drzewko przez cały dzień przed Świętem Dziękczynienia. Z gałęzi zwisały maleńkie narty, miniaturowe deski snowboardowe, kijki do nart, kolorowe szaliczki, mitenki i czapki. Powietrze wypełniał zapach igliwia, nasuwając Stephanie nieodparte skojarzenie z olbrzymimi sosnami, porastającymi zbocze jej ulubionej, niebieskiej trasy narciarskiej, Gracie's Way.

Zerknęła, nie wiadomo który już raz, na zegarek, a następnie włączyła komputer, stuknęła w kilka klawiszy, zapisując godzinę, po czym podliczyła zawartość kasy. Terminal płatniczy był już włączony. Włożyła nową rolkę białego papieru do drukarki, podeszła do panelu centrali alarmowej i wpisała kod, żeby wyłączyć alarm.

Dwadzieścia minut później tylnymi drzwiami do sklepu wpadła Candy Lee.

– Co za cudowny zapach! – zawołała, ściągając botki, by zastąpić je parą beżowych uggów[2].

– Piękny, prawda? – odparła Stephanie, patrząc na świąteczne dekoracje. Odetchnęła głęboko.

No! – pomyślała. – Zaczynamy sezon.

1 Czarny Piątek – pierwszy piątek po Święcie Dziękczynienia, obchodzonym w USA w czwarty czwartek listopada; tradycyjnie rozpoczyna sezon zakupów przed Bożym Narodzeniem.

2 *Uggy socks* – ich odpowiednikiem w Polsce są buty emu. Wynalezione w latach 80. w Australii, miały chronić zmarznięte nogi tamtejszych surferów. Do ich uszycia wykorzystywano futro australijskich owiec merynosów. Ma ono wyjątkowe właściwości, dzięki którym buty emu grzeją w chłódzie i wypuszczają nadmiar ciepła, gdy temperatura jest wysoka. Stopa w emu nie poci się i ma zapewnioną stałą temperaturę (*przyp. red.*).

Edward Patrick Joseph O'Brien, dla przyjaciół i rodziny Patrick, położył dłoń w rękawicy na desce rozdzielczej błyszczącego, czarnego hummera. To była miłość jego życia. Pasja, która dawała mu powód, żeby wstawać co rano z łóżka.

– Cholera!

Czuł, że to mu się zaczyna wymykać spod kontroli. Mróz wyniszcza szare komórki, stwierdził, włączając silnik. Jego obsesja na punkcie hummerów rozpoczęła się w dniu, w którym kupił to cudo, dwa lata temu. Od tamtej pory nigdy nie miał dość. Wiedział o nich wszystko. Zapytany, potrafił wymienić i szczegółowo opisać każdy model; wiedział, że pierwsze hummery powstały dla wojska, że niektóre miały gąsienice, dzięki którym były w stanie pokonać głęboki śnieg – nazywano je pieśczośliwie Snow-Vee. Mógł o nich opowiadać bez końca i robił to przy każdej okazji – przede wszystkim jednak cenił je za niezwykłą przydatność podczas trudnych, śnieżnych zim w Kolorado.

Włączył podgrzewanie tylnej szyby i światła przeciwmgielne i ruszył wąskim podjazdem sprzed swojego nowego domu – traperskiej chaty u stóp gór. W Maximum Glide, gdzie był dyrektorem zarządzającym, zaczynał się właśnie najgorętszy dzień sezonu. Chciał dotrzeć do pracy wcześniej, zanim zacznie się korowód zaginionych narciarzy, źle dopasowanych nart, snowboardzistów monopolizujących stoki, wypadków i złamań, które miały stać się udziałem pechowców. Spojrzał w lusterko i uchwycił w nim własne odbicie. Smoliście czarne włosy wymagały strzyżenia, i to pilnie. Ciemnoniebieskie oczy były podkrążone. Zbyt wiele nocy przehulał z chłopakami. No i co z tego? Był przecież samotny. Co innego miał robić po pracy? W jego życiu nie było nikogo szczególnego, żadnej kobiety, na której by mu zależało. W każdym razie do niczego takiego się przed sobą nie przyznawał. Umówił się parę razy ze Stephanie Casolino-Marshall, kierowniczką Snow Zone, ale wycofał się, zanim sprawy zaszły za daleko. Tylko jakiś cichy głosik, którego istnienia również nie dopuszczał do świadomości,

podszepetywał mu, że uczucia, jakie budzi w nim Stephanie, są czymś zupełnie nowym w jego trzydziestodzieciowym życiu. Tak czy inaczej, nie miał zamiaru angażować się w związek z kobietą o przeszłości tak mrocznej jak jego czarny hummer. Nie ma mowy! Kobiety takie jak ona były przyczyną jedynie bólu i cierpienia. Tak w każdym razie uważał. Niejeden jego kumpel tak się fatalnie wpakował. Kobieta z dziećmi i byłym facetem na karku to kłopoty przez duże K.

Ostatnia randka ze Stephanie przekonała go, że czas się ulotnić. Ten cholerny film, z tymi wszystkimi dzieciakami i szczęśliwym zakończeniem w stylu rodzinki Bradych[3] – to zdecydowanie nie była oferta dla niego. Po tym wieczorze przestał się z nią umawiać, a ona nie pytała, dlaczego. Pewnie sama wiedziała, że nie jest najlepszą partią w okolicy; ale cóż, to już nie jego problem. Była urocza; mimo trudnych doświadczeń życiowych, miała w sobie jakąś niewinność. To go ujęło, ale zamiast rozpamiętywać jej wdzięki, wziął nogi za pas zgodnie ze swoją starą, sprawdzoną zasadą: jeśli nie przespał się z kobietą do trzeciej randki, skreślał ją. Tymczasem ze Stephanie umówił się aż cztery razy i nawet jej nie pocałował. Dlatego uznał, że to zdecydowanie pora, by dać sobie spokój. Wizja jej ciemnych oczu i długich, kasztanowych włosów sprawiła, że samochód na moment zboczył z drogi. I te jej dziewczynki... urocze... No, ale dzieci nie wchodziły w grę. Absolutnie. Do rozpieszczania miał trzech siostrzeńców i jedną siostrzenicę. Wystarczy. Zresztą pamiętał dobrze, przez jakie piekło przeszła jego siostra, Colleen. Dzieci nie było na jego liście życzeń.

– No, proszę! Bzdety, kobiety i jeszcze dzieciaki... Do diabła z tym! – mruknął. – Rozwalę humka, jeśli w czasie jazdy będę myśleć o głupotach. – Zredukował bieg i skręcił w drogę prowadzącą do Maximum Glide.

Było jeszcze wcześniej; wyciągi ruszały dopiero o dziewiątej. Spodziewał się dziś rekordowo wysokiego ruchu w sklepie, zdecydował więc, że wpadnie wcześniej, żeby sprawdzić, czy Stephanie i Candy Lee mają wszystko pod kontrolą. Nie chciał powtórki sytuacji z zeszłego roku. Wydawało mu się wtedy, że Stephanie podoła wszystkim obowiązkom. To on nalegał, żeby sama złożyła zamówienia. Miała

pewne obawy, oświadczyła jednak, że się postara. Cholera, te jej starania kosztowały ośrodek niemałą kasę! Zamówiła za mało towaru, o wiele mniej, niż potrzebowali na grudzień. Nie był wobec niej zbyt surowy, bo była taka... no, miła... i pełna skruchy. Nie miał serca na nią wrzeszczeć – a potrafił, gdy coś szło nie po jego myśli. Zawsze starał się robić wszystko jak najlepiej. Jako dyrektor musiał pilnować, żeby pracownicy znali dokładnie swoje obowiązki; w przeciwnym razie ryzykował własnym tyłkiem.

Max Jorgenson i Patrick, czy raczej „Eddie”, jak wciąż nazywał go Max, byli najlepszymi przyjaciółmi od czasów, gdy obaj mieli po dwadzieścia lat. Gdy Max zdobywał olimpijskie medale, Patrick pobierał nauki polityczne na Uniwersytecie Kolorado i wierzył, że pewnego dnia zmieni świat. Jak każdy młody idealista uważał, że zmiana na lepsze jest możliwa, i był przekonany, że musi mieć swój wkład w ten proces. I dlatego po dyplomie podjął pracę w senacie stanowym. Osiem lat babrania się w brudach polityki unicestwiło jego sielankową wizję naprawy rzeczywistości. Miał powyżej uszu egoistycznych kłamców, zdrajców i obłudników, którzy nawet minuty nie poświęcili ochronie interesów swoich wyborców.

Pierwszą zimę po przerwaniu dobrze zapowiadającej się kariery politycznej spędził na szusowaniu po stokach. Odnowił też kontakt z Maxem. Przez pewien czas trzymali się razem, potem Max ożenił się z Kaylą i zatrudnił go jako dyrektora ośrodka. Po tragicznej śmierci Kayli Max przez dwa lata żył niczym odludek, teraz jednak został szczęśliwym mężem Grace, którą Patrick darzył ogromną sympatią. Wierzył głęboko, że przyjaciel dokonał dobrego wyboru. Patrick pochodził z dużej, irlandzkiej rodziny, miał czterech starszych braci i trzy młodsze siostry – w związku z czym jego stosunek do kobiet był opiekuńczy i pełen rezerwy zarazem. Wiedział, jakie potrafią być podstępne. Jako starszy brat stawał zawsze na wysokości zadania, a w jego rodzinie oznaczało to konieczność sześciokrotnego uczestnictwa w balach szkolnych. Trzykrotnie wystąpił w charakterze osoby towarzyszącej najmłodszej siostrze, Claire, która twierdziła, że pójdzie tylko z nim, ponieważ jej koledzy ze szkoły średniej są po prostu „totalnie niedojrzali”. Co nie było prawdą. Claire usiłowała wyswatać go

ze swoją najlepszą przyjaciółką, Lisą Grimes, odkąd po raz pierwszy przyprowadziła ją do domu – były wtedy w pierwszej klasie. Patrick był tym mile połączony, ale traktował dużo młodszą od siebie dziewczynkę jak siostrę.

Megan, o rok starsza od Claire, była w rodzinie uważana za romantyczkę, bujającą w obłokach. Szkołę średnią skończyła bez trudu, ale praktycznie nie miała znajomych. Patrick martwił się o nią i powiedział jej o tym. Przyparta do muru przyznała, że od drugiej klasy spotyka się ze studentem college'u. Gdy naciskał, żeby przedstawiła wybrańca rodzinie, Megan odmówiła dalszej rozmowy na ten temat. Po licznych krzykach i groźbach, niechętnie wyznała mu prawdę. Jej chłopak był żonaty. Patrick chciał znaleźć sukina syna i skopać mu tyłek, ale Megan odmówiła ujawnienia jego tożsamości. Zmusiła Patricka, żeby przysiągł, że o niczym nie powie rodzicom. Ustąpił bardzo niechętnie. Megan przypominała mu, że ona sama nie wtrąca się w jego życie miłosne, i dała mu do zrozumienia, że oczekuje tego samego. Tu go miała – odtąd jednak przyglądał jej się bacznie.

Megan skończyła szkołę średnią, a trzy lata później jej żonaty kochanek rozwiódł się wreszcie i uczynił z niej uczciwą kobietę. Patrick miał do niego stosunek raczej obojętny. Szwagier tymczasem objął posadę nauczyciela matematyki w liceum. Okazał się nadzwyczaj dobrym mężem i ojcem, a mieli trzech synów: Joseph miał lat osiem, Ryan – sześć, a Eric – cztery. Dopóki Nathan zachowywał się przyzwoicie, Patrick akceptował go, choć nie bezwarunkowo. Wziął kiedyś Megan na stronę i uprzedził ją, że skoro jej ukochany zdradzał pierwszą żonę, równie dobrze to samo może spotkać drugą. Byli małżeństwem od dwunastu lat. O ile Patrick wiedział, Nathan nie zboczył – jak dotąd – ze ścieżki wierności.

I wreszcie była Colleen, zaledwie o rok młodszą od Patricka. Wyszła za mąż za chłopaka, z którym spotykała się w szkole średniej, nie zwracając sobie głowy dalszą nauką. Nigdy nie ukrywała przed rodziną, że chce zostać żoną i matką – taki był jej życiowy cel. Dopięła swego. Niemal dokładnie w rok od dnia, w którym poślubiła Marka Cunninghama, na świat przyszła zdrowa dziewczynka, Shannon Margaret. Osiemnaście miesięcy później urodziła się Abigail Caitlin.

Colleen nie posiadała się ze szczęścia. Mark dostał pracę w Apple, przenieśli się do Seattle. Ich wspólne życie przypominało idyllę do chwili, gdy Shannon Margaret zachorowała. Miała wtedy siedemnaście lat i ogromnie ekscytowała ją perspektywa ukończenia szkoły. Z tej okazji Mark i Colleen mieli zamiar podarować jej czerwonego hummera. Uwielbiała te samochody tak samo jak jej wuj. Na tydzień przed uroczystością Shannon zaczęła skarżyć się na samopoczucie: twierdziła, że jest wciąż bardzo zmęczona i brakuje jej tchu. Colleen śmiała się, twierdząc, że niezliczone zajęcia Shannon wykończyłyby zawodowego sportowca. Shannon narzekała przez kilka kolejnych dni, ale nikt nie przejmował się tym specjalnie. Trzy dni przed rozdaniem dyplomów Colleen znalazła ją nieprzytomną na podłodze w łazience. Zadzwoiła po karetkę; w szpitalu nikt nie był w stanie postawić prawidłowej diagnozy do chwili, kiedy z laboratorium nadeszły wyniki morfologii. Shannon cierpiała na rzadką, ale często śmiertelną chorobę krwi – zakrzepową plamicę małopłytkową, w skrócie TTP. Liczba płytek krwi spadła do ośmiu tysięcy, czerwonych krwinek zaś było tak mało, że konieczne okazało się przetoczenie koncentratu. Wezwano hematologa. Wyjaśnił on Colleen i Markowi dokładnie, co się dzieje z organizmem Shannon. Tłumaczył, że doszło do zaburzeń krzepliwości krwi. Wiadomość, że siostrzenica znalazła się na OIOM-ie, była szokiem; Patrick z trudem przypominał sobie, co było dalej.

Shannon zmarła w dniu uroczystości rozdania dyplomów.

Kilka kolejnych miesięcy to było dla Patricka prawdziwe piekło, ale to i tak było nic w porównaniu z cierpieniem Colleen, Marka i Abigail. Patrick był pewien, że on sam na pewno nie przeżyłby takiej straty – dlatego postanowił, że z nikim się na stałe nie zwiąże i nie będzie miał dzieci.

Otarł kciukiem wilgoć, gromadzącą się w kąciuku oka, i zaparkował hummera przed sklepem. Wysiadł z samochodu, wdychając mroźne powietrze poranka, i wsunął ręce do kieszeni. Podeszwy jego ciężkich butów skrzypiały na śniegu, gdy szedł w kierunku głównego wejścia do Snow Zone. Co za piekielny mróz!

Na weekend zapowiadano obfite opady śniegu. Uśmiechnął się. Świeży, biały puch sprawi, że do wyciągów ustawią się długie kolejki.

Wieczorem w ośrodku także będzie mnóstwo ludzi. Na ten dzień zaplanowano iluminację świątecznej choinki. Patrick zawsze lubił święta, ale w tym roku nie umiał się nimi cieszyć. Wciąż myślał o Colleen i Shannon.

Mijał właśnie drugi rok, odkąd córka jego siostry odeszła.

Niedługo po śmierci Shannon rodzice Patricka przeszli na emeryturę i wyprowadzili się na Florydę. Claire została w Kalifornii; nie wyszła za mąż, za to pracowała jak szalona. Z powodzeniem prowadziła kancelarię prawną i to zajęcie pochłaniało ją bez reszty. Przyleciała wprawdzie na pogrzeb Shannon, ale zaraz po ceremonii wróciła do pracy. Reszta rodziny, mieszkającej w Kolorado, zgromadziła się w domu najstarszego syna. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, czterej bracia Patricka, Connor, Aidan, Ronan i Michael wraz z rodzinami – wszyscy byli żonaci od mniej więcej dziesięciu lat – próbowali świętować, choćby ze względu na dzieci, ale nikt nie miał do tego serca. Byli niezwykle ze sobą zżyci, jak każda prawdziwa, irlandzka rodzina, i ta przedwczesna śmierć zdruzgotała ich wszystkich. Shannon była ich pierwszą wnuczką, pierwszą siostrzenicą.

Wiedzieli, że życie już nigdy nie będzie takie samo.

Patrick odgonił od siebie smutne myśli. Jeszcze będzie miał czas na wspomnienia. Otrzeptał buty ze śniegu na wycieraczkę i otworzył boczne drzwi. Mógł wejść do sklepu głównym wejściem; miał klucze i znał kod, ale chciał zaskoczyć personel. W ten sposób sprawdzał swoich pracowników. Nigdy nie wiedzieli, kiedy się go mogą spodziewać, i to kazało im mieć się na baczności. Max nie pochwalał tej taktyki, ale pozwalał Patrickowi działać po swojemu.

Dziesiątki rannych ptaszków czekały w ogrzewanych samochodach na parkingu na otwarcie sklepu. Miał nadzieję, że Candy Lee i Stephanie są przygotowane na najazd klientów.

Już przy drzwiach powitał go przyjemny zapach kawy z nutą cynamonu. Zanim Stephanie i Candy Lee zorientowały się, że wszedł, przespacerował się między rzędami wieszaków, obejrzał półki, na których leżały starannie poukładane swetry, czapki, szale i bielizna termiczna. On sam nigdy nie wybierał się na stok bez kalesonów Hot Chillys, które, jego zdaniem, chroniły przed mrozem jak żadne inne.

Sprawdził, czy produkty Hot Chillys dla mężczyzn, kobiet i dzieci, we wszystkich kolorach i rozmiarach, są odpowiednio wyeksponowane. Upewniwszy się, że towaru wystarczy dla wszystkich klientów, Patrick skierował się do frontowej części sklepu. Stephanie i Candy Lee popijały kawę z ciemnozielonych kubków i jadły pączki. Co to ma być, do cholery?! Co one sobie wyobrażają?! Że to pora na przekąskę? Powinny... pracować, a nie plotkować i opychać się ciastkami!

– Uspokój się, Patrick – próbował sam siebie udobruchać. – Przecież każdy musi jeść! Potrząsnął głową, próbując odgonić złe myśli. Dzień taki jak ten wymagał pozytywnego nastawienia. Optymizm to podstawa, mawiała zawsze jego matka, gdy los zmusił ją do konfrontacji z osobą o negatywnym nastawieniu. Zarówno on, jak i jego bracia i siostry odebrali od niej tę lekcję, dorastając: są panami własnego życia i mogą zawsze dokonać wyboru pomiędzy optymizmem a pesymizmem. A on od czasu śmierci Shannon coraz częściej wybierał pesymizm. Może pora na zmiany? Czy Boże Narodzenie nie powinno być czasem dobrej woli i miłosierdzia?

Patrząc z boku, jak Stephanie śmieje się, gawędząc z Candy Lee, poczuł, że nastrój mu się trochę poprawił; postanowił, że tego dnia postara się być optymistą. Oczywiście, to nie miało nic wspólnego ze Stephanie. Tak w każdym razie sobie powtarzał, choć w głębi duszy nie mógł zaprzeczyć, że w jej obecności ogarnia go zwykła, prosta radość. Patrzył na nią – cóż, nie da się ukryć, że z zachwytem – i czuł w środku falę ciepła połączonego z zadowoleniem. Te długie, zgrabne nogi w obcisłych, czarnych spodniach narciarskich, podkreślających sylwetkę, zachwyciłyby każdego faceta. Pulower termiczny Hot Chillys w kolorze mchu zmysłowo opinał jej kształty. Z pewnością wszystko miała na swoim miejscu. I te ciepłe, brązowe oczy, włosy o barwie kasztana – jej wygląd, według Patricka, naprawdę nie budził żadnych zastrzeżeń. Cholera! Nie przychodziła mu na myśl żadna jej cecha, która budziłaby zastrzeżenia, może oprócz faktu, że była matką dwóch córek. Amanda i Ashley odziedziczyły po niej urok osobisty. Przyłgnęły do niego natychmiast, gdy tylko je poznał. Bardzo potrzebowały ojca, ale Patrick nie miał zamiaru im go zastępować.

Zanim zdążył się odezwać, Stephanie dostrzegła go w środkowej

alejce, prowadzącej do kasy.

– Patrick! Nie miałam pojęcia, że przyjedziesz tak wcześnie. Napij się kawy i zjedz pączka, dopóki jeszcze są. Candy Lee i ja stwierdziłyśmy, że podczas zakupów ludzie robią się okropnie głodni. – Uśmiechnęła się do niego promiennie, radośnie. Jego serce fiknęło koziołka.

– Nie, nie, dziękuję. Wpadłem tylko na minutkę. Chciałem sprawdzić, czy jesteście gotowe na szturm. – Patrick wsunął ręce do kieszeni, obawiając się, że ulegnie pokusie, by odsunąć niesforny lok z brzoskwiнового policzka Stephanie.

Stephanie odstawiła kubek na ladę i wytarła usta serwetką w bałwanki i renifery.

– Jesteśmy w stu procentach gotowe. Myślę, że poradzimy sobie same, ale Melanie obiecała, że w razie czego nam pomoże. Przywozi dzisiaj dziewczynki na narty.

Patrick nie był pewien, co powiedzieć, więc tylko skinął głową. A niech ją diabli! Czuł się przy niej nieporadny jak nastolatek. Niezdarny i niepewny siebie. Był zły, bo czuł, że traci kontrolę nad sytuacją.

Stephanie spojrzała na niego i jej uśmiech zgasł.

– Masz coś przeciwko temu? Jeśli tak, powiem jej, żeby nie przyjeżdżała. Mówiła, że wstąpią do nas w drodze na stok.

Jej słowa dotarły do Patricka, ale nie byłby w stanie ich powtórzyć, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

– Patrick! Czy ty w ogóle słuchasz, co ona do ciebie mówi? – zapytała Candy Lee podniesionym tonem; zwykle jej głos nie sięgał tak wysokich rejestrów.

Zamrugnął oczami i potrząsnął głową.

– No, tak. Tak, jasne. Zastanawiałem się tylko nad czymś...

Candy Lee, która rozmawiając z Patrickiem, z reguły nie przebierała w słowach i której zawsze uchodziło to na sucho, ponieważ była niewiele młodsza, niż byłaby dziś Shannon, gdyby żyła, wyszła zza lady i zbliżyła się do niego. Chwyciła go za łokieć i poprowadziła do stojącego za kontuarem stołka. Położyła mu palec na ustach, a potem naląła kawy z mlekiem do dużego, białego kubka, ozdobionego świętymi

Mikołajami, i dosypała trzy łyżeczki cukru. Wyjęła z pudełka pod ladą trzy ciastka. Jedno oblane czekoladowym lukrem, jedno z bitą śmietaną i jednego racuszka.

– Potrzeba ci cukru i kofeiny. Wyglądasz na otumanionego. Nie wierzę, że w ogóle o czymkolwiek myślałeś – stwierdziła, mrużąc błękitne oczy.

Patrick pociągnął łyk gorącej kawy, a potem wgrzył się w pączka, oblanego czekoladowym lukrem. Cholera, może Candy Lee ma rację? Co za dekadencja! – pomyślał.

Kawa smakowała bosko.

– Na otumanionego, tak? – mruknął i dokończył pączka.

– Nie da się ukryć. O, znowu masz taką minę, jakbyś odlatywał na inną planetę – droczyła się z nim Candy Lee.

Patrick napił się kawy i ugryzł kawałek racuszka. Wykończył go w trzech kęsach, po czym zaatakował pączka z bitą śmietaną. Będzie musiał szusować godzinami, żeby spalić taką ilość węglowodanów. Kiedy skończył, wytarł usta serwetką w bałwanki i renifery, leżącą obok kubka z kawą.

– Dzięki za komplement i zastrzyk kalorii, mała. Stephanie, jeśli sprawy cię przerosną, dzwoń do mnie na komórkę. Przyślę ci kogoś ze szkółki narciarskiej do pomocy. Nie mogę ryzykować, że Melanie zrobi krzywdę sobie albo komuś innemu.

Stephanie chciała coś powiedzieć, ale zanim zdążyła się odezwać, Patrick przerwał jej.

– Takie zasady panują w tej firmie. Przykro mi.

– Oczywiście, rozumiem. Melanie po prostu zaoferowała się, że mi pomoże. O tym, żeby wpadła, powiedziałam jej tak na wszelki wypadek – Stephanie próbowała odgarnąć niesforny kosmyk włosów, tańczący przy jej twarzy. – Nie sądzę, żebyśmy potrzebowały wsparcia, ale oczywiście zadzwonię do ciebie, jeśli to będzie konieczne. – Przelknęła ślinę, odrobinę uniosła podbródek i spojrzała mu w oczy.

Chcąc uniknąć jej spojrzenia, Patrick wbił wzrok w reklamę błyszcząca do ust na kontuarze, obawiając się, że zdradzi swoje prawdziwe uczucia.

Uczucia? O tym nie było mowy... Nie było mowy!

Walcząc z nagłym przyływem nieoczekiwanych emocji – zupełnie dla niego nowych i bardzo niechcianych – Patrick spojrział na nią wyniośle. W końcu była tylko pracownicą.

– Liczę na to. Maximum Glide nie stać na kolejny kosztowny błąd.

Ku jego zdziwieniu, nie odpowiedziała. Po prostu odwróciła się do niego plecami, jakby nie słysząc jego słów.

Pospieszył do drzwi wyjściowych, nie mówiąc nic więcej.

Wiedział, że zachował się jak idiota, i już miał się odwrócić i przeprosić, w ostatniej chwili jednak zrezygnował. Lepiej, żeby nie pomyślała, że jest mu przykro z tego powodu. Powiedział to, co myślał. Ośrodek jest pod kreską. Jeśli nie nastąpi cud finansowy, niedługo wszyscy stracą pracę.

3 Rodzina Bradych z serialu *The Brady Bunch* to jedna z najpopularniejszych rodzin w amerykańskiej telewizji (*przyp. red.*).

Stephanie miała ogromną wprawę w ukrywaniu emocji. Przez długie lata udawała, że nie słyszy obelg, miotanych pod jej adresem przez Glenna. Do cierpkich uwag Patricka też zdążyła przywyknąć, a jednak jego nieprzyjemny komentarz zaskoczył ją do tego stopnia, że nie była w stanie mu nic odpowiedzieć. Za bardzo dotknięta, żeby się rozplakać, upokorzona świadomością, że Candy Lee była świadkiem tej reprimendy, w ogóle nie pomyślała o riposcie.

Cisnęła świąteczną serwetkę do kosza na śmieci i wypila resztkę zimnej kawy, a potem odwróciła się do Candy Lee. Miała ochotę powiedzieć głośno, że Patrick to kompletny dupek, ale zdusiła ją w sobie; wiedziała, że najlepiej będzie, jeśli o tym jak najszybciej zapomni. A także zapomni o nim. Miał rację. Przynajmniej częściowo. Faktycznie, jej błędna decyzja w zeszłym roku kosztowała sklep mnóstwo pieniędzy. Była pewna, że tym razem taka sytuacja się nie powtórzy. Z nowym przyływem determinacji, Stephanie postanowiła udowodnić Patrickowi, że nie ma racji. Będzie pracowała do utraty tchu, aby sklep przyniósł zyski. Ba, była gotowa otworzyć przenośne stoisko i handlować pod stacją wyciągu.

Gdy tylko za Patrickiem zamknęły się drzwi, Candy Lee nie wytrzymała.

– Czasami zachowuje się jak kompletny kretyn. Nie rozumiem, dlaczego mu na to pozwalasz. Musisz się bronić. – Prysnęła płynem do mycia szyb po szklanym blacie kontuaru. – Skoro uważa, że sobie nie poradzimy, niech nam to powie w oczy.

Stephanie była zdania, że Patrick to właśnie zrobił, nie chciała jednak spierać się z Candy Lee. Miały przed sobą trudny dzień. Kłótnia obie wpędziłaby w kiepski nastrój, a była pewna, że ponure sprzedawczynie to ostatnia rzecz, jaką klienci życzyliby sobie oglądać przed świętami. Z pewnością oczekiwali dobrodusznego „Ho-ho-ho”, i była gotowa dać im dobroduszne „Ho-ho-ho”, choćby wymagało to nie wiadomo jak wielkiego samozaparcia.

Chciała za wszelką cenę zakończyć rozmowę na temat zachowania Patricka, więc chrząknęła i powiedziała:

– On po prostu robi swoje. Bierz przykład ze mnie – zapomnij o tym.

Candy Lee pokręciła głową.

– Najwyraźniej jesteś dużo miłszą osobą niż ja. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle jeszcze tu pracuję. No tak, oczywiście, potrzebuję pieniędzy, ale... wczoraj byłam w magazynie i przypadkiem usłyszałam, jak dwóch facetów, pracujących przy wyciągu, rozmawiało na jego temat. Zdaje się, że pan O'Brien wyzywał się na nich po tym, jak cztery osoby upadły, schodząc z wyciągów przy ich punktach kontrolnych. A przecież wiadomo, że tak naprawdę to niczyja wina – mówiła, polerując energicznie szklane blaty. – Sama radzę sobie na nartach całkiem nieźle, a i tak od czasu do czasu zaliczam lodzika.

– Lodzika? – spytała Stephanie.

– No, upadam w śnieg, rozumiesz, zaliczam lodzika – tłumaczyła Candy Lee.

Stephanie roześmiała się.

– Tego jeszcze nie słyszałam, ale bądź tak miła i nie używaj tego wyrażenia przy dziewczynkach.

Uważała, że jej córki, mimo swojego młodego wieku, widziały i słyszały aż za dużo. Stephanie robiła, co mogła, żeby im to wynagrodzić. Bardzo jej zależało, żeby jak najdłużej pozostały dziećmi.

– Jasne – zapewniła ją Candy Lee. – Nie łudź się jednak; wcześniej czy później, i tak usłyszą je na stoku. Najgorsi są snowboardziści. Ciągłe przeklinają i spluwają. Obrzydliwe!

Stephanie parsknęła śmiechem.

– Sama to nieraz słyszałam. Ja tylko... wiesz... chciałabym trzymać dziewczynki z daleka od wszystkiego, co ma takie... erotyczne podteksty, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. A teraz – Stephanie popatrzyła na zegarek – opuszczamy most zwodzony i szykujemy się do bitwy.

Dokładnie o siódmej Stephanie otworzyła główne drzwi, za którymi ustawiła się już kolejka wielbicieli zakupów. Pozdrowiła znajomych, przywitała uśmiechem nieznajomych, a następnie ruszyła do

kasy, przy której spędziła kolejnych kilka godzin, sprzedając kurtki i spodnie narciarskie, rękawice, czapki i buty. Pierwszą przerwę zdołały zrobić sobie dopiero w porze lunchu. Podliczając w myślach poranny utarg, Stephanie stwierdziła, że jeśli dalszy ciąg sezonu nie będzie gorszy niż ten początek, to branie nadgodzin okaże się naprawdę niezbędne, a ona udowodni Patrickowi, że nie miał racji, poddając w wątpliwość jej umiejętności kierownicze i biznesowe. Co więcej, będzie mogła liczyć na dodatkowy zastrzyk gotówki, a to oznaczało, że być może nie wszystko, co zarobi, pochłonie zaliczka na wymarzony dom w Placerville. A wtedy przeznaczy te pieniądze na zakup mebli dla dziewczynek.

Przez większość życia obywateli się bez wygod; pewnie dlatego potrafiły docenić każdy podarunek od losu. Nie, dziewczynki nie sprawiały jej żadnych kłopotów. Stephanie wyobraziła sobie, jak układa je do snu w nowiutkim, białym łóżku z baldachimem... w ich nowym domu. Nie mogła też doczekać się, żeby zobaczyć ich miny, kiedy powie im, że będą mogły dostać jedno ze szczeniąt Ice-D. Błagały ją o zwierzaka od dwóch lat, Stephanie wiedziała jednak, że w ich małym mieszkanku nie był to dobry pomysł. Z trudem mieściły się tam we trzy. Córki rosły i Stephanie wiedziała, że z czasem będą potrzebowały coraz więcej prywatności. Nowy dom z trzema sypialniami, nie mówiąc o dwóch łazienkach, byłby rajem dla nich trzech i dla psa. Wściekła na siebie, że zmarnowała tyle cennego czasu przy boku Glenna, Stephanie postanowiła, że musi to wynagrodzić dziewczynkom – a nowy dom byłby idealnym miejscem, żeby zacząć wszystko od nowa.

Podniesiona na duchu tą myślą, Stephanie poczuła nowy przypływ energii. Skoro udało jej się pokierować własnym życiem, chciała teraz za wszelką cenę żyć po swojemu. Nie potrzebowała do tego mężczyzny, który by się nią opiekował. Wystarczy spojrzeć, dokąd zaprowadziło ją małżeństwo. W gruncie rzeczy ucieczka Glenna z więzienia stała się bodźcem, który ją wyzwolił. Stephanie dość wcześnie nauczyła się, że życie nie zawsze jest łatwe; teraz jednak, mając trzydzieści dwa lata, uważała, że nie powinna już nigdy pozwolić na to, by jakikolwiek mężczyzna ją zdominował. Kiedy jej matka zostawiła ją, wówczas trzyletnią, i uciekła w nieznane, dziewczynkę wysłano do starszej siostry

matki, ciotki Evelyn, która wychowała ją jak własną córkę. Choć żyły dość biednie, Stephanie zawsze wiedziała, że jest kochana. Niestety, ciotka zmarła w okresie, gdy Stephanie kończyła szkołę średnią. Opłakując jedyną osobę, która kiedykolwiek żywiła wobec niej uczucia macierzyńskie, Stephanie pozwoliła, by Glenn wkroczył w jej życie i przejął nad nim kontrolę. Początkowo cieszyła się z tego uwolnienia od odpowiedzialności – przez większą część życia musiała opiekować się ciotką, chorującą na reumatoidalne zapalenie stawów. Niezależność szybko się jednak skończyła. Ona i Glenn pobrali się zaraz po dyplomie; Glenn zaczął pić i nim minął rok, zmienił się nie do poznania. Zgorzkniały, pełen nienawiści, chciał za wszelką cenę nadzorować każdy jej krok. Nie znajdując innego ujścia dla swojej agresji, zrobił sobie ze Stephanie worek treningowy. Ot, i cała historia.

Dlatego teraz Stephanie miała zamiar napisać swoją własną historię.

Tymczasem jednak stało przed nią konkretne zadanie, odsunęła więc od siebie złe myśli o przeszłości, spychając je do mrocznego zakątka umysłu, w którym spoczywały w uśpieniu przez większość czasu.

– Zrób sobie przerwę na lunch. Mamy dziś otwarte do siódmej i niewykluczone, że nie będziesz już miała okazji odpocząć. Jak zamkną wyciągi, rzuci się tu tłum.

Candy Lee spojrzała na zegarek z Myszką Miki na ceferblacie, zdobiący jej przegub.

– W porządku. Przynieść ci coś? Też musisz jadać od czasu do czasu – oznajmiła tonem przemądrzałej nastolatki.

– Przyniosłam lunch ze sobą. Wiedziałam, że nie będę miała czasu iść do „Chaty”. No, uciekaj już i wracaj niedługo – ponagliła ją Stephanie trochę po matczynemu.

Candy Lee złapała torebkę leżącą na kontuarze, machnęła ręką na pożegnanie i wybiegła. Stephanie patrzyła, jak dziewczyna brnie przez oblodzony parking. Czy ona sama była kiedykolwiek taka młoda i beztroska? Jeśli nawet, to wszystko zaginęło w mrokach niepamięci. Musiała teraz zapracować na swoje nowe wspomnienia; tym razem miały być takie, że będzie do nich wracała z przyjemnością.

Bo będzie, prawda?

Melanie ścisnęła mocno palcami obu dłoni małe łapki, odziane w rękawiczki. Pierwszego dnia po Święcie Dziękczynienia na stokach zawsze panował niebezpieczny tłok. Gdyby puściła rączki Ashley i Amandy, łatwo mogłyby się zgubić. Stephanie kazała dziewczynkom założyć jaskrawożółte stroje narciarskie, żeby były dobrze widoczne z daleka. Melanie rozejrzała się dookoła; co najmniej tuzin dzieci miało na sobie identyczne kombinezony. To tyle, jeśli chodzi o wyróżnianie się, pomyślała. Tak czy inaczej, Melanie nie miała zamiaru pozwolić dziewczynkom zbyt się oddalać.

– Ciociu Em – powiedziała Ashley. Melanie uważała to za ogromnie zabawne, gdy Ashley zwracała się do niej z drobnym, które dziewczynki nadały jej w zeszłym tygodniu, kiedy pozwoliła im po raz czwarty obejrzeć *Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu*[4]. – Czy możemy dziś pojeździć na niebieskiej trasie? Proszę! Wujek Max mówi, że jeździmy jak stare wygi, a przecież niebieska trasa jest dla starszych...

– Taaak! Prosimy! – zawtórowała jej Amanda.

– No dobrze, ale nie same. Jadę z wami – odpowiedziała Melanie stanowczo. – Dzisiaj jest tu mnóstwo ludzi, więc musimy bardzo uważać.

– No, jasne, bo inaczej mogłybyśmy zrobić sobie krzywdę, prawda? A wtedy zabiorą nas do szpitala i będziemy musiały tam zostać na zawsze, bo mama nie będzie miała dosyć pieniędzy, żeby zapłacić rachunek za szpital, prawda, ciociu Em? – wyliczała Amanda cienkim głosem.

Melanie musiała pochylić się z wysokości swoich stu siedemdziesięciu czterech centymetrów, żeby zajrzeć dziewczynkom w oczy. Chciała uściskać je obie i zapewnić, że nigdy nie pozwoli, żeby spotkało je coś takiego. Mogła im to obiecać bez trudu dzięki milionom, odziedziczonym po dziadkach. Jej zamożni rodzice na pewno by ją poparli. Melanie wiedziała jednak, jak bardzo Stephanie stara się radzić

sobie sama, unikała więc dyskretnie jakichkolwiek aluzji do własnej sytuacji finansowej.

Stephanie opowiadała jej nieraz, jak wyglądało jej życie z Glennem. Zatrudniając Melanie po raz pierwszy, wyjaśniła jej, że gdy postanowiła samodzielnie zapewnić swoim dzieciom utrzymanie, ustaliła sobie pewne zasady, których ściśle przestrzegała, a najważniejsza z nich brzmiała: żadnej pomocy finansowej, żadnych pożyczek ani drogich prezentów. Dwa lata wcześniej rodzice Melanie, od dawna wspierający Grace w jej pracy z kobietami po przejściach w Hope House, zaproponowali wynajem za czynsz, na który Stephanie było stać. Melanie wiedziała, że nikt, nawet Grace, nie zdradził się przed nią ani słowem.

Melanie uśmiechnęła się do dziewczynek.

– No cóż, nie musimy się tym martwić, bo jeździecie na nartach tak dobrze, że nie wyobrażam sobie nawet, żeby któraś z was upadła, a co dopiero zrobiła sobie taką krzywdę, żebyśmy musiały jechać do szpitala. Nie ma o czym mówić. Co powiecie na to: wjedziemy we trzy wyciągiem na Sugar Hill, pojedziemy na nartach do Snow Zone, wstąpimy do mamy, a potem do „Chaty”, na kubek gorącej czekolady?

Dziewczynki skinęły główkami. Obie miały skłonności do zamartwiania się z byle powodu. Melanie dałaby wiele, żeby to zmienić, wiedziała jednak, że nic nie uleczy ich lęku tak skutecznie jak czas. Zważywszy, jak wyglądały pierwsze lata ich życia, należało uznać za cud, że w tej chwili z tych lęków pozostała im jedynie nadmierna ostrożność w sprawach dotyczących matki. Melanie nie była pewna, czy sama poradziłaby sobie w tak młodym wieku z przeżyciami, jakie stały się ich udziałem.

– A zabierzesz nas dziś wieczorem na oglądanie choinki? – zapytała Amanda. – Mamusia mówi, że to początek sezonu świątecznego. Co to właściwie znaczy?

Ashley spojrzała na Melanie ze znaczącym uśmiechem.

– Mam jej powiedzieć?

– Oczywiście – odparła Melanie i schyliła się, by sprawdzić wiązania jej butów narciarskich.

Ashley wyduła usta i poruszyła wargami, zastanawiając się nad

najlepszą odpowiedzią.

– No, to trochę jak pierwszy dzień w szkole, kiedy nauczycielka opowiada klasie, czego się w tym roku nauczą, tylko że sezon świąteczny trwa krócej i jest wtedy dużo więcej zabawy. – Spojrzała na Melanie, by upewnić się, czy ma rację.

Ujęta prostotą i dokładnością tego wyjaśnienia, Melanie uśmiechnęła się szeroko.

– Sama bym tego lepiej nie wyjaśniła.

– To coś jakby nowy początek; tak, ciociu Em? – dopytywała Ashley.

Melanie nie mogła się nadziwić przenikliwości dziewczynek. Obie były niezwykle inteligentne i dojrzałe jak na swój wiek. Melanie wiedziała, że Stephanie jest ogromnie dumna z ich wiedzy.

Wielokrotnie, wpadłszy do ich apartamentu, zastawała wszystkie trzy siedzące przy kuchennym stole nad stosem książek; uczyły się razem wszystkiego, od biologii po geografę.

– Właśnie tak – przytaknęła Melanie.

– No, to chodźcie. Chcę na wyciąg. Czy mogę usiąść pośrodku? – spytała Amanda.

Melanie wyprostowała się i spojrzała w lewo, gdzie gromadziła się coraz dłuższa kolejka do wyciągu. Jeśli będą miały szczęście, zdążą zjechać jeden raz, zanim przyjdzie czas na wizytę w sklepie. Najpierw kontrola bezpieczeństwa. Melanie spędziła na stoku większość życia, ale nigdy nie zaniedbywała zasad ostrożności. Rozpięty but narciarski czy poluzowany szalik mogły stać się przyczyną kalectwa. Melanie nie miała zamiaru pozwolić, aby dziewczynkom coś się stało, zwłaszcza gdy były pod jej opieką. W żadnym wypadku! Przystąpiła więc do rutynowej inspekcji.

Sprawdziła to, co najważniejsze. Narty i buty były zapięte prawidłowo. Paski do kijków założone poprawnie. Kaski i gogle także. To samo rękawiczki. Prognozy przewidywały, że dzień będzie wyjątkowo zimny, dlatego Melanie dała dziewczynkom ogrzewacze do dłoni i stóp, które włożyły do butów i rękawiczek; dodatkowe zestawy trafiły do wewnętrznych kieszonek kurtek, zapinanych na suwak. Oprócz tego każda z nich miała w kieszonce tubkę balsamu do ust o smaku

wiśniowym oraz batonik muesli. Melanie pilnowała także, żeby Ashley nosiła przy sobie paczkę wodoodpornych zapalek. Nie wiadomo, co się może stać. W wieku lat dziesięciu Ashley znała już podstawowe zasady survivalu. Melanie była pewna, że dopóki sama jest w pobliżu, dziecko nie będzie musiało robić z tej wiedzy użytku, ale była ona częścią wtajemniczenia. Człowiek musi być zawsze przygotowany na to, co niespodziewane.

– Jeszcze tylko posmarujemy buzie kremem z filtrem i możemy jechać – powiedziała Melanie, wyjmując małą tubkę kremu z kieszeni. Szybko natarła im policzki i nosy, a potem poprawiła kaski i gogle. – Pamiętajcie, ja jestem z tyłu, wy zawsze trzymacie się przede mną. Jeśli będziecie chciały zatrzymać się i odpocząć, zjeżdżacie zawsze na zewnętrzną stronę trasy, jasne?

– Jasne! – odpowiedziały chórem dziewczynki.

Dziesiątki narciarzy w kolorowych strojach szusowały zwawo, chcąc jak najszybciej zająć miejsce w kolejce do wyciągu. Melanie trzymała się blisko swoich podopiecznych i nie spuszczała z nich oczu, gdy zbliżały się do zawieszonych na linie krzesełek. Te poruszały się dziś zaskakująco szybko, zważywszy, że był to pierwszy dzień sezonu świątecznego. Na stoku roilo się od narciarzy; było ich więcej, niż choinek, porastających zbocza i okalających trasy.

Niebo ugięło się od ciężkich, sinych chmur. Wiał przejmująco lodowaty wiatr – zanosilo się na burzę śnieżną. Melanie chciała zjechać z dziewczynkami chociaż raz – wiedziała, że później pogoda może się popsuć na tyle, że nie da się jeździć. Narciarze i snowboardziści cieszyli się z prognozowanych opadów śniegu, Melanie jednak nie podobały się chmury wiszące nad wierzchołkami gór. Śnieg miał zacząć padać dopiero późnym popołudniem, sądziła więc, że mają dość czasu na jeden długi zjazd.

Gdy nadeszła ich kolej, wszystkie trzy ustawiły się za czerwoną linią, mocno chwyciły kijki w lewą dłoń i obejrzały się za siebie, wypatrując zwalnającego wyciągu, aby zająć miejsca na krzesełkach.

– Naprawdę radzicie sobie coraz lepiej – pochwaliła je Melanie, gdy już siedziały bezpiecznie na miejscach. – Pamiętam, ile czasu minęło, zanim ja nauczyłam się nie spadać z wyciągu.

Jechały aż do niebieskiej trasy, podróż trwała więc dłużej niż zwykle. Minęło prawie siedem minut, nim wyciąg dotarł na miejsce. W trakcie jazdy dziewczynki paplały bez przerwy, recytując listę życzeń do Świętego Mikołaja. Opowiedziały jej także o plakietkach na ścianę, które zrobiły dla mamy na lekcji plastyki, a wreszcie oznajmiły, że ciocia Grace chce przedstawić Melanie swojego brata, Bryce'a.

Melanie poczuła, że się rumieni. Parę razy spotkała Bryce'a w Maximum Glide i wydał jej się prawdziwym siłaczem. Była zdania, że przypomina raczej zawodowego narciarza niż wykładowcę college'u. Na szczęście wyciąg zatrzymał się akurat w tym momencie, mogła więc nie odpowiadać. Znała jednak doskonale małe psotnice i wiedziała, że na tym się nie skończy. Nieustannie wypytywały, dlaczego Melanie nie ma męża i własnych dzieci.

Dziewczynki zeskoczyły z wyciągu bez najmniejszego trudu i odjechały kawałek dalej, by nie blokować drogi kolejnym narciarzom, szykującym się do zeskoku.

Znajdowały się na wysokości niemal czterech tysięcy metrów. Powietrze było rozrzedzone; czuło się, że zawiera mniej tlenu. Temperatura była o kilka stopni niższa niż u stóp góry. Majestatyczne wierzchołki sosen uginały się pod ciężarem wiatru, gałęzie poruszały się powoli, szeleszcząc cicho w rytm pogwizdywania lodowatego wichru.

Melanie podjechała do czekających na nią dziewczynek.
– Gotowe? – zapytała.

Dwa małe kaski skinęły potakująco. Melanie podniosła dłoń w rękawiczce, dając im znak do rozpoczęcia jazdy. Ruszyły niczym urodzone sportsmenki, trawersując w dół, nie zbliżając się zbyt do krawędzi zbocza. Melanie jechała za nimi przez kilka minut, aż dotarły do rozwidlenia, wiodącego w trzech kierunkach. Jeden z wyciągów prowadził na sam szczyt – stamtąd schodziły w dół czarne trasy. Drugi wyciąg przewoził narciarzy na drugą stronę zbocza, gdzie freestylerzy i snowboardziści ćwiczyli akrobatyczne wyczyny w rynnach, przy poręczach i na skocznicach. Trzeci wyciąg prowadził na trasy dla najodważniejszych – gotowych zmierzyć się z muldami zbitego śniegu i jazdą po ekstremalnych stromiznach. Dziewczynki wiedziały, że mają czekać na Melanie przy dużym, niebieskim znaku, kierującym narciarzy

z powrotem do pierwszego wyciągu u stóp góry.

Pomachała do grupy narciarzy, minęła kolegę, jadącego w patrolu narciarskim. Dotarła do rozwidlenia, wypatrując jaskrawożółtych kombinezonów. Widząc niewielką grupkę, zgromadzoną wokół znaku, Melanie podjechała szybko, by dołączyć do dziewczynek. Zbliżywszy się, stwierdziła ze zdziwieniem, że żaden z żółtych kombinezonów nie należy do Ashley ani Amandy. Objechała skrzyżowanie dookoła. Nie widząc w pobliżu dziewczynek w żółtych strojach, ponownie zatrzymała się i rozejrzała uważnie wokół. Objechała skrzyżowanie kolejny raz, rozglądając się także po poboczu. Być może któraś z nich upadła, może wpadły w zaspę, pomyślała. Wbiła kijki w śnieg, by przyspieszyć na płaskim terenie. Jechała teraz wolno wzdłuż trasy, przeczesując wzrokiem pobocze, parokrotnie zjechała nawet na bok, myśląc, że być może dziewczynki zeszły do lasu za potrzebą. Zdarzało im się to już wcześniej; Melanie, choć tego nie pochwałała, zdawała sobie sprawę, że zew natury bywa nieubłagany.

Po piętnastu minutach poszukiwań w głowie Melanie zakiełkowała podstępna myśl: być może postanowiły zjechać na dół bez niej. To byłoby niedobrze. A nawet całkiem źle. Jeśli nie uda jej się znaleźć dziewczynek na końcu trasy, będzie musiała skontaktować się z patroliem ratunkowym i prosić o pomoc.

Co gorsza, będzie musiała także powiedzieć Stephanie, że zgubiła jej dzieci.

4 Ciocia Em – w polskim przekładzie *Czarnoksiężnika ze Szmaragdowego Grodu* (inny tytuł: *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*) Franka L. Bauma, pierwszej z pięciu książek cyklu o Krainie Oz, ciocia Emilia i wuj Henryk opiekują się główną bohaterką książki, Dorotką, która jako dziecko straciła rodziców.

Candy Lee wróciła z lunchu bardzo szybko; Stephanie zdążyła zjeść zaledwie kilka kęsów kanapki z indykiem w przerwach pomiędzy kolejnymi klientami. Sądziła, że podczas lunchu będzie spokojniej, myliła się jednak. Kupujących było tak wielu, że nie miała czasu myśleć. Całe szczęście, że Patrick poszedł sobie i nie widział, jak kiepsko jej idzie. Nabrała powietrza w płuca, odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do młodej matki, czekającej w kolejce z dwójką maluchów, uczepionych jej nóg. Amanda zachowywała się czasem tak samo. Stephanie nie miała nic przeciwko temu; chciała chronić swoje córki i być blisko nich jak najdłużej. Pamiętała, że pierwsze lata ich życia naznaczone były przemocą i strachem.

Spojrzała na zegarek. Była prawie pierwsza. Melanie obiecała, że przyprowdzi dziewczynki do sklepu wczesnym popołudniem. Stephanie poczuła dreszcz, biegnący po kręgosłupie, ale zaraz uświadomiła sobie, że przecież jest Czarny Piątek. Tłok na wyciągach był z pewnością nie mniejszy niż w sklepie. Jeśli nie dotrą na miejsce w ciągu pół godziny, postanowiła, zadzwoni do Melanie, żeby sprawdzić, co się stało. Obie jej córki były urodzonymi narciarkami i Stephanie wiedziała z doświadczenia, że gdy już znalazły się na stoku, ciężko było namówić je, żeby zrezygnowały z dalszej jazdy. Biedna Melanie! Jak już sezon świąteczny się skończy, zabierze ją na obiad i do kina. Pójdą tylko we dwie. Potrzebowały takiego babskiego wieczoru. Może zaproponuje Grace, żeby do nich dołączyła.

Kolejka klientów nie malała – kupowano wszystko, od balsamów do ust po buty narciarskie. Gdy po pewnym czasie Stephanie znów spojrzała na zegarek, z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już po drugiej. Zmarszczyła brwi, czując wewnętrzny niepokój, wiedziała jednak, że gdyby cokolwiek się stało, Melanie zadzwoniłaby przecież do sklepu.

Stała przy kasie, a Candy Lee wynosiła z magazynu kolejne swetry i układała je na stole z przecenionymi rzeczami. Stephanie wiedziała, że jeśli napływ klientów nie zmaleje, faktycznie będzie musiała zadzwonić

do Patricka i poprosić o przysłanie kogoś z Maximum Glide. Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, ale nie ulegało wątpliwości, że ani ona, ani Candy Lee się nie rozdwoją. Wzdrygnęła się na samą myśl, że będzie musiała to zrobić, a gdy podniosła wzrok znad kasy, zobaczyła Melanie, która weszła właśnie do sklepu i zmierzała pospiesznie w kierunku zaplecza. Policzki miała zaczerwienione od wiatru, a długi, jasny warkocz niedbale przerzucony przez plecy; tylko jej zwykły, zawadiacki uśmiech zniknął. „Awaryjna przerwa na siusiu”, pomyślała Stephanie, idąc na zaplecze.

– Już się zastanawiałam, co się z wami dzieje. Zaczynałam się martwić – powiedziała. – Gdzie dziewczynki? Na pewno bardzo zmarzły... – Stephanie już ruszała do drzwi, żeby zawołać córki – niech wejdą do środka i ogrzeją się trochę – gdy Melanie złapała ją za ramię.

– Melanie! – zawołała Stephanie, zdjęta nagłym strachem. – Co się dzieje? Gdzie są dziewczynki?!

Melanie wbiła wzrok w podłogę, gdzie wokół jej butów narciarskich zbierały się kałuże wody. Pokręciła głową, a potem podniosła wzrok i spojrzała na przyjaciółkę.

– Miałam nadzieję, że są tutaj, z tobą. Szukam ich od dwóch godzin.

Stephanie poczuła, jak jej serce opada w kierunku żołądka, a potem podjeżdża do gardła. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wymówić ani słowa. Potrząsnęła głową w nadziei, że źle usłyszała, ale jeden rzut oka na twarz Melanie upewnił ją, że się nie myli.

Glenn? To niemożliwe!

Melanie najwyraźniej czytała w jej myślach.

– Są gdzieś na zboczu, na nartach, jestem tego pewna; ich ojciec nie mógł w żaden sposób wydostać się z więzienia. Były takie podekscytowane, że mamy pojechać niebieską trasą, że chyba po prostu zapomniały, że mają na mnie czekać w umówionym miejscu. Widziałam, jak jadą w dół, potem straciłam je z oczu na dwie, góra trzy minuty. Kiedy dotarłam na miejsce, nigdzie ich nie było.

Stephanie miała uczucie, że umiera. Tak właśnie myślała: że po prostu umrze, że to koniec. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru się poddawać, gdy chodziło o jej dzieci. Dotychczasowe przeżycia upewniły

ją tylko, że jest w stanie zrobić absolutnie wszystko, żeby chronić swoje córki. Miała ochotę udusić Melanie, ale jej wściekłość musiała poczekać. Teraz trzeba było znaleźć dzieci, zanim będzie za późno. Parę minut wcześniej słyszała prognozę – pogoda miała się niebawem pogorszyć. Kilku klientów sklepu wspominało, że jeśli prognoza się sprawdzi, wyciągi mają być dziś zamykane wcześniej niż zwykle.

Stephanie bez namysłu wbiegła do biura, chwyciła swoje stare narty, kijki i buty. Znała tutejsze stoki jak własną kieszeń. Jeśli dziewczynki zaginęły, nie miała zamiaru czekać. Była pewna, że prędzej czy później je znajdzie. Wybiegła z biura, krzycząc przez ramię do Candy Lee:

– Sytuacja awaryjna! Zadzwoń do Patricka i poproś, żeby przysłał ci kogoś do pomocy. Dziewczynki zaginęły na stoku!

Melanie ruszyła za nią.

– Stephanie, nie możesz jechać w taką pogodę! Zaraz się rozpęta burza śnieżna. Zawiadomiłam już patrol górski; wszyscy ich szukają. Będziesz im potrzebna, kiedy wrócą.

Stephanie wybiegła tylnymi drzwiami na zaśnieżony parking i zatrzymała się, żeby przypiąć narty i ruszyć ścieżką w kierunku wyciągu. Kątem oka zerknęła na Melanie i zobaczyła, że dziewczyna płacze. Nie ulegało wątpliwości, że przyjaciółka martwi się o dziewczynki tak samo jak ona. Odwróciła się i uścisnęła ją pośpiesznie.

– Nie mogę ich nie szukać, Melanie. One są wszystkim, co mam – mówiła, zapinając buty i wsuwając je w wiązania nart. Usłyszawszy charakterystyczny trzask, który sygnalizował, że narty są prawidłowo zapięte, odepchnęła się od Melanie i ruszyła w stronę wyciągów.

Jechała szybko, mocno pracując kijkami; ostrożnie sunęła po lodzie i częściowo rozmokłym śniegu. Nie mogła teraz ryzykować jakiegokolwiek kontuzji.

Dotarła do pierwszego wyciągu i dosłownie rzuciła się w kierunku krzeselka, ale w tym momencie podbiegł do niej młody, może osiemnastoletni chłopak. Widywała go w okolicy już wcześniej, ale nie znała jego imienia.

– Zamykamy wyciągi, przykro mi – powiedział, stając przed nią.

Stephanie potrząsnęła głową.

– Muszę się dostać na górę. Moje córki zginęły. Szuka ich patrol. Na twarzy chłopaka malowało się niezdecydowanie.

– Słuchaj, nie powiem nikomu, że pozwoliłeś mi wjechać na górę w takich warunkach. Muszę się tam dostać, proszę! – krzyknęła.

Ogromne płatki śniegu wirowały jej przed oczami. Chłopak najwyraźniej dał za wygraną – wszedł do swojej budki i po chwili krzeselko powoli ruszyło do góry.

Dziesiątki myśli przebiegały jej przez głowę, gdy jechała wyciągiem na szczyt. Co będzie, jeśli nie znajdą dziewczynek w porę? Pogoda pogarszała się szybko – Stephanie wiedziała, że na takim mrozie nie wytrzymają długo. Ashley знаła, co prawda, podstawowe zasady survivalu, bo ona sama uparła się w zeszłym roku, gdy Ashley prosiła o zgodę na samodzielne jazdy po zielonych trasach, żeby córka wzięła udział w specjalnych zajęciach, organizowanych dla dzieci z młodszych klas. Zawarły wtedy umowę. Ashley poszła na zajęcia, a mama obiecała, że pozwoli jej jeździć samodzielnie, pod warunkiem że zawsze będzie miała przy sobie telefon komórkowy Stephanie. Dlaczego nie pomyślała wcześniej, żeby kupić dziewczynkom komórki? Mogłyby teraz zadzwonić po pomoc; zasięg na górze był doskonały. Dlaczego nie zadbała, żeby wyposażyć je w tak ważną rzecz? Przypomniała sobie swój przyjazd do Hope House. Grace nalegała wtedy, żeby Stephanie wzięła od niej telefon, twierdząc, że daje komórki wszystkim mieszkankom Hope House, na wypadek gdyby musiały zadzwonić na policję. Dlaczego?! Dlaczego, dlaczego okazała się tak nieodpowiedzialna?! Pieniądze, pomyślała, drżąc z zimna. Tak bardzo chciała dać dziewczynkom nowy dom, że przestała dostrzegać ich inne marzenia i potrzeby. Ashley prosiła o telefon komórkowy już od miesięcy, Stephanie jednak to zlekceważyła, tłumacząc jej, że jest na to jeszcze za mała; nie omieszkała też dodać, że to dla niej niepotrzebny, dodatkowy wydatek. Tak bardzo żałowała, że wówczas nie ustąpiła! Teraz jednak było za późno na żal. Teraz chciała już tylko odnaleźć córki żywe i całe.

Zaczęła bezgłośnie szeptać słowa modlitwy. Boże, niech nic im się nie stanie! Kupię im telefony z GPS-em, jeśli tylko znajdą się całe

i zdrowe!

Wyciąg stanął na szczycie góry i Stephanie zeskokczyła z krzeselka. Ruszyła trasą w dół niemal po omacku – śnieg gęstniał z minuty na minutę. Wytarła zaśnieżone gogle, żeby rozejrzeć się w miejscu, gdzie Melanie widziała dziewczynki po raz ostatni. Wiedziała, że jej córki nie pojechałyby bez pozwolenia czarną trasą, podążyła więc tą samą drogą, którą wcześniej jechała Melanie, modląc się, żeby dziewczynki w jakiś cudowny sposób znalazły się za śnieżną zaspą, za którą po prostu nikt wcześniej ich nie zauważył. Sprowadziłaby je na dół, do Snow Zone, dałaby im gorącej czekolady i chemiczne ogrzewacze dłoni, które sprzedawali w sklepie, one zaś przekrzykiwałyby się nawzajem, opowiadając Candy Lee, jakie były odważne. „Ach, gdyby...” – myślała Stephanie, pokonując ostatni odcinek trasy; nigdzie nie było śladu po jej dziewczynkach. Zatrzymywała się co kilka minut, wołając je po imieniu; jej głos nikł wśród wycia wiatru, smagającego wierzchołki zielonych sosen.

Zaczęła płakać, a łzy spływały po jej smaganych wichrem policzkach, gdy tak zjeżdżała tą trasą, zbyt trudną dla dzieci; była jednak gotowa zjechać z Mount Everestu z zawiązanymi oczami, żeby tylko odzyskać swoje córki.

Popołudniowe niebo zasnuły chmury; było ciemno i sypał już gęsty śnieg, ograniczając widoczność niemal do zera. „To prawdziwa zamieć śnieżna” – pomyślała Stephanie. Dlaczego nie sprawdziła dokładnie prognozy pogody? Dlaczego w ogóle pozwoliła, żeby dziewczynki przyjechały na narty, choć wiedziała, jaki tłok będzie panował na stoku? Zachowała się jak idiotka, jak głupia, lekkomyślna nastolatka.

Miała całkiem wyschnięte gardło, a serce waliło jej w piersiach jak młot, gdy ostatkiem sił wracała do wyciągu. Widziała zastygłe w bezruchu, puste krzeselka. Zamknięty wyciąg nie mógł jej powstrzymać. Postanowiła, że pożyczycy skuter śnieżny od patrolu narciarskiego. Nie opuści tego miejsca, dopóki nie znajdzie Amandy i Ashley.

Żywych. To słowo zadźwięczało jej w mózgu. Żywych. Żywych. Żywych! Ni stąd, ni zowąd, wypełniło ją uczucie spokoju i błogości. Nie wiedząc dlaczego, nagle nabrała absolutnej pewności, że dziewczynki

żyją. I że nic im nie jest.

Lekko zaszokowana tym niespodziewanym objawieniem, zastanowiła się, co dalej. Temperatura spadła grubo poniżej zera; Stephanie zatrzymała się pośród zamieci, odetchnęła głęboko i zaczęła się modlić, prosząc Boga o wskazanie jej właściwego kierunku. I nagle poczuła, że jakaś niewidzialna siła każe jej jechać do Snow Zone – już z daleka widziała spory tłum ludzi, kłębiących się przy drzwiach. W pierwszej chwili wydało jej się to nedorzeczne, że ktokolwiek może spokojnie robić zakupy, gdy jej córki zaginęły w górach, ale w następnym momencie wrócił jej zdrowy rozsądek. Ci ludzie przecież nie mieli pojęcia, co się stało z jej dziećmi. Ba, nie wiedzieli kompletnie nic o jej życiu. Skąd zresztą mieliby wiedzieć? Była kierowniczką sklepu, a nie potrafiła upilnować dwóch małych dziewczynek.

Zdrętwiała z zimna, Stephanie jechała, dopóki śnieg jej na to pozwolił; wiedziała, że musi jak najszybciej skontaktować się z patrolem śnieżnym. Na parkingu zatrzymała się, zdjęła narty i zostawiła je tam na środku. Nie chciała przepychać się przez tłum, zgromadzony przed głównym wejściem, więc ruszyła do bocznych drzwi. Weszła do swojego biura i wybrała numer alarmowy patrolu śnieżnego. Sygnał odezwał się kilkanaście razy, a potem uruchomiła się automatyczna sekretarka z informacją, że powinna zadzwonić na numer 911, jeśli sytuacja jest rzeczywiście poważna. Co to miało być?! Czy ktoś nie powinien dyżurować przy telefonie? Czy nie na tym polegał sens istnienia śnieżnego patrolu? A może wciąż byli w terenie, szukając jej córek? Nacisnęła przycisk kończący rozmowę; dostrzegła swoje skórzane, czarne botki, ocieplane futrem, wrzucone niedbale pod biurko. Szybko ściągnęła z nóg buty narciarskie, zmieniła przemoczone skarpety na suche i wsunęła nogi w ciepłe buty, po czym wyszła ze sklepu, przed którym wciąż stali ludzie, otaczając półkolem główne wejście. Postanowiła, że zapyta Candy Lee, czy są jakieś wieści, a potem pójdzie do biura śnieżnego patrolu i dowie się, czy może coś już wiedzą. Co za koszmar! Dziewczynki powinny być tu teraz i cieszyć się, że zaczęły się świąteczne ferie. Były takie podekscytowane tą dzisiejszą iluminacją choinki! Jakim cudem dzień, który zaczął się tak dobrze, mógł skończyć się tak strasznie?! Czuła niemal fizyczny ból, myśląc o wszystkich

„gdyby” i „jeżeli”. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez swoich dzieci.

Nie umie bez nich żyć! Nie jest w stanie.

Stephanie pospieszyła do drzwi frontowych, przy których stały Candy Lee i Melanie... roześmiane.

Jak one mogły śmiać się w takiej chwili?! Już miała wybuchnąć, gdy zobaczyła, dlaczego, a raczej do kogo się śmieją.

Zobaczyła swoje córki.

Z kubkami gorącej czekolady w dłoniach.

Na widok Amandy i Ashley, usadowionych za kontuarem, Stephanie na moment odebrało mowę.

– Bogu dzięki, że jesteście całe i zdrowe! Co się stało? Kto... gdzie...? – wołała bez ładu i składu.

Rozejrzała się wokół i zauważyła Patricka w otoczeniu rozbawionych pracowników Maximum Glide. Najwyraźniej za zniknięciem dwóch psotnic kryła się jakaś ciekawa historia.

Nagła ulga, wywołana widokiem dziewczynek, całych i zdrowych, sprawiła, że Stephanie ostatkiem sił dojrzała do kontuaru. Nie dbając o to, że patrzy na nią kilkadziesiąt zupełnie obcych osób, otoczyła córki ramionami. Łzy spływały po jej policzkach, a serce śpiewało z radości, gdy wdychała ich cudowną, znajomą woń, słodki zapach szamponu dla dzieci firmy Johnson, którą przesiąkły długie, ciemne włosy dziewczynek. Stephanie wspominała ten cudowny moment, gdy dotarło do niej, że dzieciom nic się nie stało, że są już bezpieczne. Wszystko skończyło się tak, jak miało się skończyć. Nad resztą nie chciała się zastanawiać. W końcu, było Boże Narodzenie, a ona wciąż wierzyła w cuda.

Candy Lee podała jej paczkę chusteczek i kubek z parującym kakao.

– To ci dobrze zrobi – powiedziała.

Stephanie otarła oczy i upiła łyk napoju.

– No dobrze, a teraz chcę się dowiedzieć, co się z wami działo – powiedziała.

– Patrick nas uratował, mamó! Naprawdę! A potem płakał! – powiedziała Amanda. – Prawda, Ashley?

Takiej odpowiedzi Stephanie z pewnością się nie spodziewała.

Uchwyciła spojrzenie Patricka nad głowami zgromadzonych.

Uśmiechnął się leciutko. Fala tkliwości zalała jej serce. Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi.

– Nie, no chyba nie płakał. To był raczej ten zimny wiatr –

stwierdziła Ashley rzeczowo, z powagą dziesięciolatki.

Patrick precyzyjnie przeszedł przez tłum i stanął obok dziewczynek.

– Może opowiecie mamie, co wam się przytrafiło dziś na górze – powiedział. – Założę się, że będzie z was okropnie dumna. Poza tym może dzięki temu unikniecie kary – dodał, radośnie szczerząc zęby.

– A mamy dostać karę? – spytała Amanda. – Mam nadzieję, że nie, bo chciałabym zobaczyć światełka. Będziemy mogli pójść, mamusi?

– Wiele osób martwiło się dziś o was – odparła Stephanie stanowczo, choć łagodnie. – Powiedzcie mi teraz, co się stało, a potem zastanowimy się, jak to będzie ze światełkami.

Ashley zaczęła mówić, po chwili jednak, widząc, że tłumek wokół nich zacieśnia krąg, straciła wątek. Na jej buzi malował się niepokój pomieszany z zawstydzeniem.

Patrick zauważył to.

– Ashley miała dzisiaj sporo wrażeń – powiedział głośno, zwracając się do wszystkich obecnych. – Jeśli nie chcą już państwo robić zakupów, dajmy może tym młodym damom parę minut spokoju. To był dla nich ciężki dzień – przerwał na chwilę, czekając, aż tłum się rozproszy. Co najmniej dwadzieścia osób wyszło na zewnątrz, najpierw jednak wszyscy po kolei gratulowali dziewczynkom, życząc im wszystkiego najlepszego. W środku pozostało tylko kilka osób z Maximum Glide.

Patrick zwrócił się do Stephanie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, oni też chętnie posłuchają tej opowieści. W końcu brali udział w naszej akcji poszukiwawczej.

Stephanie spojrzała na Ashley.

– Nie masz nic przeciwko temu?

Postanowiła, że jeśli za chwilę nie dowie się, co się stało, zamknie się z dziewczynkami w swoim pokoiku na zapleczu, gdzie będą mogły liczyć na odrobinę prywatności.

– Nie, mam – odpowiedziała Ashley.

– W takim razie mów! Nie mam siły czekać ani chwili dłużej.

Przez ostatnią godzinę szalałam ze zdenerwowania – ponagliła ją Stephanie.

– Czekaliśmy z Amandą przy znaku, ale nagle usłyszałyśmy takie

jakby wycie. To było obok tego budynku, gdzie trzymają ratraki – Ashley uśmiechnęła się. – Poszliśmy w tamtą stronę. Coś było w środku. Nie było bardzo zimno. No i wtedy Amanda musiała pójść siusiu...

– Nie było gdzie umyć rąk, więc.... nie umyłam – przyznała się szczerze Amanda.

Zebrani w sklepie wybuchnęli śmiechem.

– Mów dalej – zachęciła dziewczynkę Stephanie.

– Znalazłyśmy to miejsce – Ashley spojrzała na Patricka. – Ale nic jej nie będzie, prawda?

– Dzięki tobie i twojej siostrze wszystko będzie w porządku – odparł Patrick. – Mów dalej, mama czeka.

– Weszliśmy do środka i znalazłyśmy psa. To znaczy psią mamę. Była taka smutna, miała strasznie smutne oczy, wiesz? Czekaliśmy, aż przestanie płakać, a potem zobaczyłam małego szczeniaczka, a drugi... próbował wyjść z brzucha mamy. Dlatego płakała, bo to bardzo ją bolało. Amanda przykryła szczeniaczka swoją kurtką.

– Głaskałam go po główce – uzupełniła Amanda.

Ashley roześmiała się.

– Szczeniaczek czuł się dobrze. Ale mama ciągle płakała, więc jej pomogłam... tak jakby...

Stephanie nie była pewna, co teraz usłyszy, ale coś jej podpowiadało, że będzie to warte tego oczekiwania.

– Widziałam kiedyś film o małych tygryskach, na Animal Planet. Pokazywali człowieka, który pomagał im wyjść... no, rękami... więc ja zrobiłam to samo i wyszedł jeszcze jeden piesek, a mama przestała płakać. Polizała szczeniaczka, a my oddaliśmy jej swoje batoniki. Rozpuściliśmy trochę śniegu i dałyśmy jej do picia. Wylizała swoje szczeniaczki, a potem je nakarmiła. Przykryłyśmy je kurtkami, żeby nie zamarzły. Chciałyśmy znaleźć Melanie, żeby pomogła nam z pieskami, ale kiedy wyrztałam z szopy, nigdzie jej nie było widać. Śnieg padał coraz mocniej. Przypomniałam sobie, co nam mówili na zajęciach z survivalu. Uczyli nas, że trzeba zostać tam, gdzie jest schronienie, no i tak zrobiliśmy. – Ashley opowiadała tę historię tak, jakby mówiła o sprawach, które codziennie przytrafiają się siedmio-

i dziesięciolatkom.

Pracownicy z Maximum Glide zaczęli głośno bić brawo i wołali do Ashley:

- Dobra robota, mała!
- Zuch dziewczyna!
- Zabiorę cię na narty, jak będziesz chciała!

Ashley wydawała się zaskoczona tym aplauzem dla jej zachowania, ale uśmiechała się miło, gdy ludzie podchodzili kolejno, żeby ją uściskać na pożegnanie. Stephanie patrzyła ze zdumieniem, z jakim wdziękiem i naturalnością mała przyjmuje podziękowania i gratulacje. Nie była pewna, co o tym myśleć. Jej dziesięcioletnia córeczka pomogła oszczędzić się bezdomnej suczce? Mało tego, pamiętała, co zrobić w sytuacji awaryjnej, w czasie burzy śnieżnej? Znowu poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Była niesłychanie dumna ze swoich córek – że nie straciły głowy w sytuacji, która przerosłaby większość ich rówieśników. Ale co miał z tym wspólnego Patrick?

– Naprawdę, jestem z was ogromnie dumna. I ta psia mama też na pewno była wam wdzięczna za to, że jej pomogliście. Ale to nie znaczy, że nie powinnyście być poczekać na Melanie! Martwiła się o was; ja zresztą też. Wiecie przecież, że chcę zawsze wiedzieć, gdzie jesteście, prawda?

Dziewczynki zgodnie pokiwały głowami.

– Wiemy. Ale co z pomaganiem innym? Zawsze mówiłaś, że uczciwi, dobrzy ludzie zawsze pomagają innym – Ashley była wyraźnie zaintrygowana tą niespójnością.

No, fakt. Mówiła. Stephanie uznała, że to nie najlepsza pora na prawienie morałów. Poczeka, aż znajdą się w domu, tylko we trzy. Teraz najważniejsza była ulga, że dziewczynki znalazły się całe i zdrowe, że nic złego się im nie przytrafiło.

Była bardzo ciekawa, jaką rolę odegrał Patrick w poszukiwaniu dziewczynek. On sam nie kwapił się o tym opowiadać, ale popatrzyła na niego wyczekująco i natychmiast poczuła, że robi jej się gorąco. Ach, ta jego ciemna czupryna; może odrobinę przydługa, ale taka seksowna! I te niebieskie oczy! Mogłaby w nich utonąć, zapominając o całym świecie...

No tak, nie pora na to.

– Jak je znalazłeś? Zanim cokolwiek powiesz, chcę, żebyś wiedział, że jestem ci bardzo... bardzo wdzięczna.

Patrick chrząknął.

– Czysty przypadek, wierz mi. Kiedy Candy Lee zadzwoniła i powiedziała mi, że zaginęły, pogoda pogarszała się z minuty na minutę, więc nie chciałem ryzykować jazdy skuterem. Podjechałem do tego baraku, w którym trzymamy ratraki i tam je znalazłem, razem z tymi psiakami. Wpakowałem całą menażerię i dziewczynki do samochodu i przetransportowałem je tutaj, a potem zawiozłem pieski do znajomego weterynarza. No i wróciłem tutaj, żeby upewnić się, że już jesteś na miejscu. To wszystko.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. Myślałam, że oszaleję ze strachu... – zaczęła Stephanie, a potem urwała. – Wiem, że nie masz dzieci – podjęła znów – więc pewnie nie wiesz, jakie to uczucie, ten lęk, że możesz je stracić na zawsze... Tym bardziej ci dziękuję. Nie wyobrażasz sobie, jak wiele to dla mnie znaczy.

– Tylko nie rób sobie z tego powodu jakichś głupich nadziei na przyszłość – stwierdził rzeczowo.

Zamurowało ją na chwilę, ale zaraz potem zdumienie ustąpiło miejsca furii. Stephanie w jednej chwili zapomniała, że rozmawia z przełożonym i z człowiekiem, który uratował jej córki w czasie burzy śnieżnej; czuła, że dusi się z wściekłości. Jak on śmiał?! I to przy jej córkach, przy Candy Lee, przy Melanie! Przełknęła ostrą ripostę; nie miała zamiaru robić z siebie pośmiewiska. Opanowała z trudem dygot ciała, uspokoiła oddech i choć gniewu w oczach nie udało jej się ukryć, powiedziała równie rzeczowo:

– Proszę mi wierzyć, panie O'Brien, że wszelkie „głupie nadzieje”, jakie mogłam wiązać z pana osobą, należą już do historii. Pozwoli pan, że zabiorę teraz dziewczynki do domu, żeby się przebrały, a potem pójdziemy na iluminację choinki. – Podeszła do drzwi wejściowych i odwróciła wiszącą na nich tabliczkę z napisem: OTWARTE na drugą stronę, na której widniał napis ZAMKNIĘTE.

– Hej, nie możesz tego zrobić! Do zamknięcia sklepu zostały jeszcze dwie godziny. Czy ci się to podoba, czy nie, ludzie chcą robić

zakupy. Nie możesz tak po prostu wyjść. Sklep musi zarabiać; masz tu zostać i robić to, co do ciebie należy! Bo jeśli nie, to... – urwał złowieszczo.

Choć Stephanie wiedziała, że Patrick ma tyle taktu co grzechotnik, to jednak z tymi komentarzami i groźbami posunął się zdecydowanie za daleko. Nie zamierzała pozwalać, żeby znowu jakiś mężczyzna narzucał jej swoją wolę.

– Jeśli nie, to co? – spytała bez namysłu.

Jego mina nie pozostawiała wątpliwości: takiej reakcji z jej strony się nie spodziewał. Nozdrza zadrżały mu z poirytowania niczym chrapy rozdrażnionego ogiera. I choć słyszała opinie, że jest wymagającym i surowym szefem, na słowa, które padły z jego ust, kompletnie nie była przygotowana.

A Patrick potarł dłonią ciemny zarost na brodzie i zniżając głos, powiedział:

– Jeśli nie, to może wolisz zrobić sobie wolne od pracy?

Powiedzmy na cztery tygodnie? Będiesz mogła spędzić trochę czasu z córkami.

Stephanie poczuła, jak krew uderza jej do głowy, a serce zaczyna walić niczym młot. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Patrick pochylił się nad nią i szepnął jej prosto do ucha:

– To będzie bezpłatny urlop.

Działając jak na autopilocie, Stephanie złapała córki za ręce, niemal ściągając je ze stołków, na których siedziały, i ciągnąc je za sobą, wpadła do biura. Przepelniająca ją wściekłość niemal natychmiast ustąpiła miejsca uczuciu upokorzenia. Czuła, jak opuszczają ją impet i energia. Z każdym oddechem wypuszczała z siebie emocje, niewypowiedziane słowa, rozbiegane myśli; czuła się jak balon, z którego uchodzi gorące powietrze.

Wyjęła torebkę z dolnej szuflady biurka i chwyciła kluczyki, wiszące na haczyku. Szybko rozejrzała się dookoła, żeby upewnić się, że nie zostawiła tu nic cennego. Duma, na szczęście, była niewidoczna.

– Co się stało? – szepnęła Melanie.

Stephanie potrząsnęła głową.

– Nie teraz. Muszę stąd wyjść.

– Może zabiorę dziewczynki? – zapytała Melanie, po czym uświadomiwszy sobie, jak dwuznacznie zabrzmiało to pytanie, przełknęła ślinę. – To znaczy... mogę pójść z wami na pokaz świąteczny. Pomogę ci jakoś.

– Dzięki, ale chciałabym spędzić wieczór tylko z dziewczynkami. Przepraszam, nie chodzi o ciebie, tylko... – spojrzała w kierunku drzwi frontowych sklepu, przy których Patrick znęcał się właśnie nad na Candy Lee.

Melanie podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Rozumiem. W takim razie jadę. Zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze?

Te słowa sprawiły, że Stephanie oprzytomniała; faktem było, że naprawdę będzie teraz potrzebowała wsparcia.

– Nie, nie rób tego. To znaczy... nie jedź teraz nigdzie.

Chciałabym, żebyś poszła z nami na pokaz. Potrzebuję dziś towarzystwa przyjaciółki. – No, proszę; udało się. Powiedziała to. Skorzystała z rady Grace. Kiedy potrzebujesz pomocy, przyjaciela, kiedy chciałabyś, żeby cię ktoś przytulił – poproś o to.

Twarz Melanie rozjaśniła się natychmiast.

– Miałam nadzieję, że to powiesz. Nie powinnyście być dziś wieczorem same.

Stephanie skinęła głową i ruszyła do bocznego wyjścia; Amanda i Ashley podreptały za nią.

– Chcesz się z nami zabrać? – zapytała Stephanie, wychodząc na mroźne, wieczorne powietrze.

Błękitnawe płatki śniegu wirowały w świetle latarni. Lodowaty wiatr rozwiewał jej włosy, gdy szła przez niemal pusty parking do samochodu – a właściwie grata w stanie tak opłakanym, że niemal uśmiechnęła się na jego widok. Oszczędzała przez długie trzy miesiące, żeby móc sobie pozwolić na własny samochód. Wcześniej jeździły autobusami, ale autobusem nie dało się podjechać do *drive-thru* w McDonalddie; nie zdarzało się też, żeby podjechał usłużnie akurat wtedy, kiedy miały ochotę wybrać się na lody. Była z siebie taka dumna, kupując samochód – to był jej pierwszy, poważny zakup za samodzielnie zarobione pieniądze. A jednak teraz, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, które miała w ręku zaledwie kilka minut temu, zobaczyła swój samochód taki, jakim był naprawdę. Niemal dwudziestoletni rupieć, ledwo jeżdżący. Zupełnie jak ja, pomyślała, otwierając dziewczynkom tylne drzwi.

Uderzyło ją, że żadna z nich nie odezwała się ani słowem od chwili, gdy Patrick nachylił się do jej ucha. Nagle zrozumiała. Nic nie mówią, bo się przestraszyły! Co prawda nie mogły słyszeć, co powiedział mamie na ucho, ale wywnioskowały, że to coś przykrego, widząc jej reakcję. Jak mogła tego od razu nie zauważyć? Przez tyle lat własny ojciec fundował im emocjonalną huśtawkę, że teraz, widząc mężczyznę i kobietę w konfliktowej sytuacji, mogą nie postrzegać jej jako czegoś dziwnego!

Poczuła gniew. Nie, wprost kipiała z wściekłości. Złość pulsowała w jej żyłach, a myśli przelatywały przez głowę niczym błyskawice. Ciesząc się, że ludzie dookoła nie mogą czytać w jej myślach, odetchnęła głęboko i usiadła za kierownicą. Prowadzenie samochodu przy takiej pogodzie wymagało koncentracji, tym bardziej że miała wieść dzieci.

– Zapięłyście pasy?
Skinęły głowami.

Melanie usiadła z przodu, na fotelu pasażera, i Stephanie ucieszyła się, że ją zaprosiła, a właściwie skorzystała z propozycji wspólnego spędzenia wieczoru. Dziewczyna wyciągnęła dłoń w rękawiczce i uścisnęła jej zimną rękę.

– Porozmawiamy później, jeśli będziesz chciała – powiedziała. Stephanie skinęła lekko głową.

– Zawieźmy teraz te dwie przyszłe lekarki weterynarii do domu, niech się przebiorą. Po pokazie możemy wybrać się razem na pizzę – Stephanie spojrzała w lusterko.

Zobaczyła, że dziewczynki uśmiechają się, i poczuła, że świat wrócił na swoje miejsce.

Wyjeżdżając z parkingu, Stephanie przeżywała na nowo scenę, która rozegrała się w Snow Zone. Stało się to w najgorszym z możliwych momentów, postanowiła jednak, że spróbuje o tym nie myśleć przez resztę wieczoru. Małym się to należało – ot, taki zwykły wieczór, jak gdyby nic się nie stało. Miała przecież wprawę w udawaniu, że wszystko jest w porządku.

Ciszę przerwała Amanda.

– Mamusiu, czy mogłybyśmy pójść do Burger Kinga zamiast na pizzę?

Dzieciaki, pomyślała Stephanie, manewrując ostrożnie starym fordem na wąskiej drodze, wiodącej w dół zbocza.

– Myślę, że powinnaś zapytać swoją siostrę.

– Chcesz? – zwróciła się Amanda do Ashley.

– Mamusiu, powiedz jej, żeby mówiła pełnymi zdaniami. Kiedy będziesz w czwartej klasie, pani Yost nie pozwoli ci tak mówić na lekcjach. Prawda, mamó?

– Pewnie tak. Ale nie odpowiedziałas Amandzie na pytanie – odparła Stephanie żartobliwie, sama sobie się dziwiąc, że jest w stanie przekomarzać się z dziećmi mimo dręczącego ją wspomnienia obrzydliwych słów Patricka O'Briena.

– Burger King jest w porządku, ale Amanda chce tam pójść tylko po to, żeby dostać zabawkę, oni teraz mają Dorę[5] w zestawach dla

dzieci – tłumaczyła Ashley. – A przecież ona jest już za duża na takie rzeczy.

– A ty jesteś za duża, żeby sypiać z tym swoim starym, podartym królikiem. Prawda, mamusiu? – odparowała Amanda. Była akurat w tym wieku, gdy oczekuje się od matki potwierdzenia w każdej, choćby drobnej sprawie. Na ogół było to dość zabawne, teraz jednak Stephanie była skupiona na ostrożnym prowadzeniu samochodu w gęsto padającym śniegu – a to zabawne nie było.

Melanie odwróciła się na swoim siedzeniu.

– Pozwólcie mamie spokojnie jechać, dobrze, dziewczynki? Jest bardzo ślisko.

– Czy to prawda, mamusiu? – spytała Amanda.

Stephanie nie wytrzymała, parsknęła głośnym śmiechem.

– Tak, Melanie ma rację. Zagrajmy sobie teraz w „cichą grę”, aż do powrotu do domu. Ten, kto wygra, dostanie podwójnego loda z automatu, i to w polowie czekoladowej.

Odpowiedziała jej cisza. Uśmiechnęła się do Melanie.

– One obie zawsze wygrywają – wyjaśniła jej szeptem.

Wiedziała, że dziewczynki z trudem powstrzymują się od gadania, zarazem jednak drzemał w nich silny duch rywalizacji. Dzięki temu potrafiły trzymać języki na wodzy.

Dojechały do domu w całkowitej ciszy. Stephanie wcześniej zaplanowała ten wieczór tak, by spędzić go z dziewczynkami; liczyła się z tym, że kolejny wolny czas nadejdzie nieprędko. No i proszę – została bez pracy, będzie musiała więc znaleźć szybko nową, choć sezon już się zaczął. Zaoszczędziła wprawdzie pieniądze na zaliczkę, ale nie chciała ich wydawać, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. Wciąż liczyła na to, że dziewczynki dostaną własny dom pod choinkę. Być może będzie musiała poświęcić białe łóżko z baldachimem, ale trudno – jeśli tylko marzenie o domu się spełni.

Zaparkowała taurusa obok schodów, prowadzących do klatki schodowej. Dziewczynki znały zasady „cichej gry”. Wiedziały, że gdy tylko znajdą się za drzwiami mieszkania, będą mogły paplać do woli. Niczym dwie strzały pomknęły po schodach na górę.

– Oto oficjalne zakończenie cichej gry – powiedziała Melanie,

czekając, aż Stephanie otworzy drzwi. Dziewczynki wpadły do mieszkania.

– Wcale nie jestem za duża, żeby spać ze swoim króliczkiem! Mamusia mówi, że spała z pluszowym diabłem tasmańskim, dopóki nie skończyła czternastu lat, więc sama widzisz! – zawołała Ashley.

– Skoro tak, to ja mogę dostać Dorę w zestawie dla dzieci.

Ashley pogłaskała Amandę po ramieniu.

– Możesz, możesz. Tak tylko żartowałam. Ja też lubię Dorę, tylko nie mów nikomu w szkole. Przyniesiesz na swój mały palec? – dopytywała na wszelki wypadek.

Dwa małe paluszki zetknęły się na chwilę, po której nastąpił uroczysty uścisk dłoni.

– No dobrze, idziemy się przebrać. Chcę zobaczyć drzewko, ale najpierw chętnie bym coś zjadła. W ogóle nie jadłyśmy dziś lunchu – zwróciła się Ashley do matki.

– Przykro mi, nadrobimy to przy obiedzie. A teraz załóżcie coś ciepłego, umyćcie zęby i uczeszcie się, zanim wyjdziemy. Macie dziesięć minut, inaczej przegapimy pokaz.

Dziewczynki wbiegły do swojego pokoju i zatrzasnęły za sobą drzwi.

– Powiesz mi teraz, dlaczego wypadłaś ze Snow Zone z takim impetem? Założę się, że ten zarozumiały kretyn powiedział ci coś przykrego – powiedziała Melanie, popijając colę.

Stephanie nie miała ochoty o tym mówić, ale wiedziała, że ulży jej, gdy się komuś zwierzy. Wprawdzie dziewczynki zdołały dziś wymknąć się spod opieki Melanie, ale ich matka i tak ufała jej bezgranicznie.

– Powiedział mi, że mam sobie wziąć wolne na najbliższe cztery tygodnie. Twierdzi, że powinnam spędzić trochę czasu z dziećmi. Następnie dodał, że to będzie urlop bezpłatny.

Melanie kilka razy otworzyła i zamknęła usta, zanim w końcu udało jej się odezwać.

– Co za obrzydliwa, wredna świnia! Jak on mógł?!

– To on jest szefem i życzy sobie, żeby wszyscy o tym pamiętali; to wszystko. – Stephanie wypięła duży łyk coli. – Kiedyś zdawało mi się, że to zupełnie miły facet, tylko trochę nieokrzesany. W tej chwili jestem

zdania, że to podły i niewydarzony gnojek, sfrustrowany swoim nędznym życiem.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobił ci coś takiego, w dodatku akurat teraz! Do Snow Zone trudno się wcisnąć, tylu tam klientów, a ty przecież musisz kupić prezenty gwiazdkowe dla dzieci.

– Widzę, że pomyślałaś o tym samym co ja. Ale wiesz, co mnie najbardziej rozwścieczyło?

– Zamieniam się w słuch.

– To, że dziewczynki były wystraszone. Widziały, że rozmowa z tym dupkiem, który uważa się za nie wiadomo jakiego ważniaka, wytrąciła mnie z równowagi. Było zupełnie jak dawniej. Kiedy ich ojciec zaczynał się ciskać, zawsze zamykały się w sobie i cichły, żeby tylko go nie rozżłościć jeszcze bardziej. Dziś zachowały się tak samo, kiedy szanowny pan Patrick O'Brien wyżywał się na mnie. Może mnie wywalić, wysłać na bezpłatny urlop, może zrobić wszystko. Jest moim szefem. Ale nie wolno mu straszyć moich dzieci! Nie pozwolę na to i nic mnie nie obchodzi, czy mnie wyleje za to, że wyszłam wcześniej. One obie widziały już dosyć.

– Nie sądzisz, że powinnaś o tym porozmawiać z Maxem? W końcu to on, tak naprawdę, jest szefem. Twoim i Patricka też. Jest właścicielem Maximum Glide, a założę się, że Grace miałyby niejedno do powiedzenia na temat tego, w jaki sposób Patrick zarządza ludźmi, nie mówiąc już o tym, jak cię potraktował.

– Nie. Nie chcę tego robić. Zresztą uważam, że to sprawa osobista. Wiesz, że Patrick i ja umówiliśmy się parę razy; nic z tego nie wyszło; nieważne, a teraz on chyba ma do mnie jakieś pretensje. Nie chcę angażować w to Maxa, a już na pewno nie Grace, teraz, w jej stanie. Poradzę sobie, ale dzięki za radę. Miło mieć przyjaciółkę, która jest gotowa pomóc. – Stephanie położyła palec na ustach, przerywając rozmowę. Dziewczynki czekały przy drzwiach wyjściowych.

– Umyłyśmy zęby i uczesałyśmy się, jak kazałaś – poinformowała Amanda.

Stephanie pochyliła się, żeby ucałować lśniące, brązowe, schludnie wyczesane czupryny.

– Grzeczne dzieci – stwierdziła.

I to była prawda. Od czasu do czasu kłóciły się o jakiś drobiazg, ale poza tym łączyła je nadzwyczaj silna więź.

– W takim razie pora na wizytę u zielonego olbrzyma, który rozświetli dziś wieczór całe Maximum Glide. Jesteście gotowe?

– Tak! Tak! Tak! – wykrzykiwała Ashley, zeskakując z kolejnych schodków.

– Uważaj, stopnie są śliskie – powiedziała Melanie, biorąc Amandę za rękę i sprowadzając ją ostrożnie na dół. Ostatnią rzeczą, jakiej Stephanie teraz potrzebowała, był wypadek na schodach.

Gdy wsiadły z powrotem do taurusa i dziewczynki zapięły pasy, Stephanie rozluźniła się. Wiedziała, jak bardzo jej córki czekały na ten wieczór. Nieważne, z czym będzie musiała zmierzyć się potem – przede wszystkim była ich matką. I ta świadomość pozwalała jej stawić czoło każdemu wyzwaniu.

5 Bohaterka serialu dla dzieci *Dora poznaje świat*.

Patrick zwolnił Candy Lee i pozostałych pracowników na resztę wieczoru. Radykalna zmiana pogody odstraszyła klientów – od godziny w sklepie nikt się nie zjawił. Stephanie miała rację, należało zamknąć Snow Zone wcześniej, choć ona chciała to zrobić z niewłaściwych powodów. Nie mogła ot, tak brać sobie wolnego, kiedy jej się zachciało. Miała obowiązki wobec Maximum Glide i wobec niego. Co prawda, to nie on płacił jej pensję – ale to jemu zawdzięczała tak dobrą posadę w ośrodku. Na ogół trzeba było długich lat pracy, żeby awansować na stanowisko kierownicze. Była dobra, więc jej zaufał, a po zeszłorocznej wpadce nie zdegradował jej. Niezwykle lojalna, punktualna; nie narzekała nawet wtedy, gdy zlecał jej zadania godne magazyniera. Wszystkie jego polecenia spełniała bez zarzutu. Co wieczór przed wyjściem z pracy myśla nawet łazienkę dla personelu.

Wciąż nie mógł odżalować tej idiotycznej uwagi o „głupich nadziejach” na przyszłość. Skąd, do cholery, przyszło mu do głowy, żeby powiedzieć coś takiego?! Nie wiedział, ale gotów był kopnąć się w zadek i ugryźć w język nawet tysiąc razy, byle tylko móc cofnąć te słowa. Przecież Stephanie ani jednym spojrzeniem czy gestem nie dała mu do zrozumienia, że oczekuje czegokolwiek po ich ostatniej, kinowej randce. To on potraktował ją jak towar poorestniej jakości.

Patrick westchnął. Gdyby jego matka lub któraś z trzech sióstr dowiedziały się, że ośmielił się pomyśleć o jakiejś kobiecie jak o towarze, związałyby go sznurkiem i oćwiczyły kijem do poganiania bydła. W rzeczywistości nigdy nie traktował kobiet w ten sposób. Faceci tak tylko mówią, żeby wyglądać na twardzieli. A on zawsze, kiedy był z chłopakami, starał się grać twardziela. I tylko Max, który znał go naprawdę, wiedział, że za tym napuszonym wizerunkiem, prezentowanym światu, kryje się coś więcej. Patrick miał dobre wykształcenie i był inteligentny; to ostatnie na stoku nie miało specjalnego znaczenia, ale było błogosławieństwem w relacjach z dostawcami i niezadowolonymi gośćmi. Znał się na finansach

i wiedział, w co warto inwestować. Max miał do niego zaufanie. Patrick jednak wiedział doskonale, że będzie wściekły, kiedy się dowie o awanturze ze Stephanie. Nienawidził przyznawać się do porażki, przepraszać, a wyglądało na to, że będzie musiał naprawdę się pokajać; trudno, najwyżej będzie robił dobrą minę do złej gry.

Nie miał ochoty iść na ceremonię zapalania świec na miejskiej choince, wiedział jednak, że Max i Grace z pewnością się tam pojawią, podobnie, jak Stephanie i jej dziewczynki; uznał, że nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli dyrektor ośrodka zlekceważy imprezę, uważaną za otwarcie świątecznego sezonu w Telluride. Poza tym nie chciał pozwolić, żeby to Stephanie dopadła Maxa pierwsza i poskarżyła na niego, nie dając mu szansy wytłumaczyć, co się stało.

Prawie wszyscy klienci już wyszli, na duże obroty nie było co liczyć, postanowił więc zamknąć sklep. Candy Lee poukładała towar na półkach przed wyjściem, zwracając mu przy okazji uwagę, że ktoś będzie musiał się tym zajmować pod nieobecność Stephanie. Następnie zaczęła zachwycać się, jaką wspaniałą kierowniczką jest Stephanie, dodając, że jeśli po tym wszystkim po prostu zrezygnuje z pracy, trudno będzie mieć do niej pretensję. Patrick wiedział, że któregoś dnia straci cierpliwość i powie tej małej, żeby trzymała język za zębami. Lubił ją jednak – przypominała mu Shannon. Candy Lee miała... miała w sobie ducha walki, i to mu się podobało. W cichości ducha nie miałby nic przeciwko temu, gdyby trochę tego animuszu udzieliło się także pani kierownicze. Bo bywała przesadnie spolegliwa. Nie przyznawał się do tego przed sobą, ale dziś naprawdę go zaskoczyła, postanawiając wyjść w połowie zmiany. Coś takiego wymagało tupetu. Na jej miejscu zrobiłby pewnie to samo. W porę sobie przypomniał, że nie jest na jej miejscu. Miał swoje zadanie do wykonania i je wykonał. Fakt, mógł sobie darować tę uwagę o przyszłości, ale to mu się po prostu wymknęło. Dlaczego mu się wymknęło – nad tym wolał się nie zastanawiać. Nie, nie ma mowy. Nie miał zamiaru nic zmieniać. Żadnych komplikacji, żadnych dzieci, które dodatkowo komplikują wszystkie komplikacje, żadnych dzieci, które mogłyby rozerwać jego serce na milion kawałeczków, tak jak śmierć Shannon roztrzaskała serce Colleen, Marka i Abby. Nie zniósłby takiego bólu.

Wyłączył komputery, przygotował raport kasowy, podliczył pieniądze, чеки i чеки podróżne. Skończył, podsumował sprzedaż za cały dzień – był pod wrażeniem. Zwykle to Stephanie wiozła pieniądze do banku w drodze do domu. Uznał, że jest jej to winien. Podstemplował wszystkie чеки, przygotował pokwitowania i wrzucił wszystko razem do torby depozytowej.

Uporawszy się z obowiązkami w sklepie, Patrick przeszedł do biura, żeby upewnić się, że o niczym nie zapomniał. Otworzył drzwi i zajrzał do środka; wszystko wyglądało normalnie. Przesunął dłonią po ścianie, szukając wyłącznika światła, gdy jego wzrok przyciągnęła zielona lampka automatycznej sekretarki. Cholera, trzeba jeszcze odsłuchać wiadomości. Ktoś mógł zostawić jakąś ważną informację, a Stephanie nie było, musiał więc upewnić się, że nie stało się nic, co wymagałoby natychmiastowej interwencji. Nacisnął przycisk odtwarzania. Pozbawiony emocji kobiecy głos oznajmił:

– Masz piętnaście wiadomości.

– Co takiego?! – kilka razy uderzał przycisk „Dalej”, odsłuchując kolejne wiadomości od dostawców, klientów i innych działów Maximum Glide. Już miał nacisnąć „Stop”, gdy usłyszał miły, choć brzmiący dość oficjalnie kobiecy głos, donośny i wyraźny.

– Witaj, Stephanie, mówi Jessica Rollins. Mam dobre wieści. Jestem prawie pewna, że właściciele nieruchomości w Placerville przyjmą twoją ofertę. Przy odrobinie szczęścia uda nam się zawrzeć transakcję jeszcze przed końcem roku. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Myślę, że jest szansa, aby twoje córki miały wspaniałe święta. Aha, póki pamiętam, bank chce zweryfikować twój status zatrudnienia. Zadzwoń...

Maszyna zamilkła.

Patrick włączył światło. Otworzył szufladę, szukając czegoś do pisania, i zamarł. Na samym wierzchu leżała złota kokarda i bilety do kina. Podniósł je, żeby odczytać tytuł filmu. Przesunął miękkie, złote jedwab między palcami, a potem wrzucił wszystko z powrotem do szuflady. Nie było dobrze. Było zupełnie niedobrze. Mimo tej konkluzji, na jego twarz wypełził mimowolnie szeroki, promienny uśmiech. Zatrzymała wstążkę od bombonierki, którą dla niej kupił, i bilety na film, na którym byli na ostatniej randce. Na film, po którym postanowił

uciekać, gdzie pieprz rośnie. Pewnie włożyła te rzeczy do szuflady następnego dnia i zapomniała o nich. Kobiety tak robią. Przechowują przedmioty, które nie mają kompletnie żadnego znaczenia. Stephanie musiała po prostu zapomnieć, że je tutaj zostawiła. Powinien jej zawieźć te drobiazgi... czy może raczej zostawić je tutaj? Nie chciał, żeby posądziła go o myszkowanie w jej rzeczach, musiał jednak znaleźć coś do pisania, żeby zanotować wiadomość od Jessiki Rollins. Znalazł pustą karteczkę. Odtworzył wiadomość jeszcze raz, zapisał jej treść najlepiej, jak potrafił, a potem włożył karteczkę do kieszonki. Ta cała Jessica nie zostawiła wprawdzie numeru, ale Patrick przypuszczał, że jeśli Stephanie miała z nią już do czynienia, pewnie go zna. Zamknął szufladę, wyłączył światło i wyszedł służbowymi drzwiami.

Zostawił kurtkę w ratraku; miał nadzieję, że któryś z chłopaków skojarzy, że to jego, i mu ją odda. Te kurtki Spider są cholernie drogie. Parking był cały zaśniewany. Jak wspaniale byłoby mieć sanki! Śmignąłby sobie z jednego końca na drugi. Przez krótką chwilę miał przed oczami dwie dziewczynki w jaskrawożółtych kurtkach; zadał sobie pytanie, czy wiedzą, jaka to frajda, ślizgać się po parkingu na świeżym śniegu.

Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że te akurat dziewczynki nie zaznały w życiu zbyt wiele radości i zabawy. Poczul, że coś go dławi w gardle. Niech to diabli! Dość tego!

Tak, dziewczynki były słodkie jak gorąca czekolada z bitą śmietaną. Kiedy dowiedział się o ich zaginięciu, naprawdę się przejął, chociaż udawał, że wszystko gra. Od razu ruszył do szopy z ratrakami. Wiedział, że ratrakiem wjedzie wszędzie, nawet na czarną trasę. W dodatku ratraki miały świetne reflektory i solidne ogrzewanie. Szczęśliwie dla wszystkich, także dla psów – nie mógł zapomnieć o suce i szczeniakach – nie musiał szukać daleko. Miał nadzieję, że dziewczynki czują się dobrze.

Wskoczył do hummera, podkręcił ogrzewanie do maksimum, a potem ostrożnie wyjechał z parkingu. Śnieg padał nadal, choć już nawet nie w połowie tak gęsty, jak wcześniej tego popołudnia. Musiał pojechać do domu, wziąć szybki prysznic i zmienić ubranie. Musiał przekazać Stephanie wiadomość od tej kobiety z agencji nieruchomości,

powiedzieć, że jest mu przykro, że okazał się takim... idiotą, i zapewnić ją, że jutro rano może wrócić do pracy. Kiedy będzie miał to z głowy, odetchnie swobodniej. Cholera, a może nawet zaprosi Stephanie z dziewczynkami do kina? W święta grają mnóstwo rodzinnych filmów. Może mogliby zabrać też chłopców Megan? Jak jedna wielka szczęśliwa rodzina.

Potrząsnął głową, wpatrując się w drogę przed sobą, na której sól rozpuściła już śnieg.

Jedna wielka szczęśliwa rodzina!

Nie mógł zrozumieć, skąd w ogóle coś podobnego przyszło mu do głowy! Co się z nim dzieje? To chyba te święta. Bez Shannon było tak trudno! Każdemu spotkaniu w gronie rodzinnym towarzyszyło poczucie, że kogoś brakuje. Shannon była pierwszą wnuczką, pierwszą siostrzenicą w rodzinie. Po prostu była pierwsza. To takie smutne, że musiała też pierwsza umrzeć.

Oczy Patricka wypełniły się łzami, zamazując obraz drogi. Cholera! Przecież chciał być szczęśliwy; nie chciał tylko narażać się na cierpienie, które jest nieodłącznym elementem szczęścia. Wiedząc, że nie można mieć jednego bez drugiego, Patrick postanowił już dawno, że do końca życia pozostanie tylko wujkiem, kumplem, przyjacielem. Nie potrafił być ojcem. Dla niczyich dzieci. Nie odróżniał pieluchy od smoczka. No dobrze, odróżniał, ale nie chciał się tym zajmować na co dzień.

I tyle.

A może nie?

Może po prostu bał się skoku na głęboką wodę?

Tłum zgromadził się na samym środku Maximum Glide. Mimo kiepskiej pogody mnóstwo ludzi przyszło zobaczyć świąteczną choinkę. Dziewięciometrowe drzewo stało na placu przed budynkiem biurowym; tam, gdzie w ciągu dnia działo się najwięcej. Na prawo rezydowali organizatorzy szkoły narciarskiej. Po lewej można było przekazać dzieci w fachowe ręce Króliczków i Wrózek, opiekujących się najmłodszymi bywalcami ośrodka. Na północ od placu mieściła się Chata, serwująca śniadania i przekąski; można tu było ogrzać się przy ogromnym kominku, w którym zawsze płonął ogień. Na południe od placu znajdowały się wyciągi, przewożące dużych i małych narciarzy do czterdziestu sześciu stacji na trasach przecinających zbocze góry.

Tego wieczoru ośrodek wyglądał jak z powieści Dickensa. Płatki śniegu wirowały w mroźnym, nocnym powietrzu. Lampy przy głównej ulicy, stylizowane na latarnie gazowe, były przybrane czerwonymi kokardami. Wciąż otwarte sklepy kusily przechodniów barwnymi światełkami i cudnie udekorowanymi choinkami. W powietrzu unosił się zapach grzanego cydru i palonego drewna.

Stephanie trzymała dziewczynki za ręce, idąc z nimi przez świąteczną wioskę. Melanie szła obok nich. Milcząc, podziwiała wspaniałą scenerię, która nasuwała na myśl ilustracje z magicznej księgi z bajkami.

Jak można było się spodziewać, pierwsza odezwała się Amanda.

– Mamusiu, to jest najpiękniejsze miejsce na świecie! Chcę tu zostać na zawsze. Założę się, że Mikołaj też będzie chciał tu zostać, prawda?

Wszystkie zaczęły się śmiać.

– Z pewnością będzie chciał, ale musi odwiedzić mnóstwo różnych miejsc na całym świecie. Jestem jednak pewna, że zawsze jest mu troszeczkę przykro, kiedy musi stąd odjeżdżać – odparła Stephanie.

Szły powoli, przyglądając się barwnym dekoracjom w oknach wystawowych i ludziom w ciepłych, kolorowych strojach. Tu

rzeczywiście jest pięknie, pomyślała Stephanie. Byłoby jednak równie pięknie bez tego wszystkiego. Bez świateł, kolorowych dekoracji – tylko te drzewa, pachnące igliwem, i świeży śnieg. Tak, była przekonana, że to byłoby równie piękne.

– O której zapalą światełka? – zapytała Ashley, podekscytowana. – Nie mogę się już doczekać. Wiem, że to tylko choinka, ale jest taka wielka!

Stephanie i Melanie spojrzały na siebie ponad główkami dziewczynek w zimowych czapkach i roześmiały się.

– Punkt siódma. Mamy jeszcze dziesięć minut, więc pospieszmy się, żeby zająć jak najlepsze miejsca. Nie chcę, żeby coś was ominęło.

– My też nie chcemy, mamusiu. Prawda, Ashley? – powiedziała śpiewnie Amanda.

– Prawda, Amando. Wiesz, czego będę sobie życzyła, kiedy zapalą światełka? – spytała Ashley poważnym tonem.

– Ja nie mam pojęcia – odparła Stephanie. – Powiesz nam?

– Będę sobie życzyła, żebyś przestała w kółko powtarzać: „prawda, mamusiu?” i „prawda, Ashley?”!

Stephanie spojrzała na Melanie, zagryzającą wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Amanda wyglądała, jak gdyby miała zamiar się rozplakać.

– Nie przejmuj się, kochanie. Twoja siostra po prostu zachowuje się jak wszystkie starsze siostry – Stephanie pogłaskała pompon na czubku czapki w nadziei, że dotychczasowa wymiana zdań nie doprowadzi do zażartej kłótni między dziewczynkami.

– Święty Mikołaj nie zabroni mi tak mówić, prawda, mamusiu? – zapytała Amanda drżącym głosem.

– Oczywiście, że nie. Tylko od ciebie zależy, jakie słowa wypływają z twojej słodkiej buzi. Spójrz! – Stephanie wskazała drzewko, od którego dzieliło je jeszcze kilka metrów. – Zaraz będą zapalać światełka. Chodźmy szybciej.

Zamilkły, przeciskając się między ludźmi, stłoczonymi wokół ogromnej choinki. Udało im się zbliżyć do niej na mniej więcej dwa metry. Stephanie zdecydowała, że to wystarczy – nie miała ochoty deptać innym po palcach. Odruchowo spojrzała pod nogi i dostrzegła

ogromny but. Jej wzrok powędrował wyżej, na łydkę właściciela potężnego obuwia, na jego kolano i udo. Dlaczego ten widok wydał jej się znajomy? Zanim zorientowała się, co się dzieje, właściciel butów podniósł Amandę do góry i posadził ją sobie na szerokich ramionach.

Patrick!

– Chodźcie, pokażę wam doskonały punkt widokowy – powiedział.

Stephanie już miała mu powiedzieć, żeby się odczepił, kiedy Melanie pokręciła głową, milcząco wskazując głową na dziewczynki. Były podekscytowane, a oczy im błyszczały z podniecenia. Skinęła więc głową i ruszyła za Patrickiem; Ashley i Melanie podążyły za nią.

Patrick zręcznie prowadził je przez tłum, nawet się nie rozpychając. Po drugiej stronie ulicy Stephanie dostrzegła wielką platformę samojezdną. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Obejrzała się na Melanie, która wyszczerzyła radośnie zęby. Ashley nie odezwała się ani słowem, odkąd pojawił się Patrick i posadził sobie Amandę na ramionach. Zresztą i tak nie byłoby jej słychać wśród głosów tłumu, zgromadzonego wokół choinki.

– Pospieszmy się, mamy około dwóch minut, żeby się tam wspiąć – powiedział Patrick.

– A to na pewno utrzyma nasz ciężar? – spytała Stephanie ostrożnie. Z bliska maszyna nie wyglądała już tak masywnie i solidnie.

– Na sto procent! – zapewnił ją Patrick. – Nie ryzykowałbym, gdybym nie miał absolutnej pewności.

Czy to aluzja? – zastanowiła się, gdy Patrick otwierał przed nią przeszklone drzwiczki. Może uważał, że podjęła zbyt duże ryzyko, pozwalając Melanie na wspólny z dziewczynkami wypad na stok? Jeśli tak, pomyślała, trudno. To, w jaki sposób wychowywała swoje dzieci, nie było jego sprawą. Zresztą gdyby naprawdę ją znał, wiedziałby, że nigdy nie naraziłaby córek na niebezpieczeństwo. Cichy głos w jej głowie szepnął przekornie, że przecież naraziła je, wychodząc za mąż za człowieka skłonnego do przemocy, ale te przemyślenia postanowiła odłożyć na później. Dziś chciała się po prostu cieszyć wspólnym czasem z córkami i Melanie.

Ufna, że Patrick wie, co robi, Stephanie pozwoliła mu posadzić Amandę wewnątrz platformy. Ashley patrzyła na kosz podnośnika

z dużo mniejszym entuzjazmem niż jej siostra.

– Mamusiu, czy to bezpieczne? – spytała.

– Całkowicie – odparła Stephanie kojącym tonem. – Nie pozwoliłabym ci wejść do środka, gdyby tak nie było – dodała.

– No, dobrze – powiedziała Ashley, pozwalając Patrickowi sobie pomóc.

Patrick posadził Ashley obok Amandy na niewielkiej ławeczce. Chwycił dłoń Stephanie, by pomóc jej wejść do środka. Poczowała mrowienie, gdy przytrzymał jej rękę – jak jej się zdawało – o minutę za długo. Ukłucie smutku trwało jedno mgnienie oka. Stała za dziewczynkami, za nimi na górę wspięła się Melanie. Gdy wszystkie cztery siedziały bezpiecznie w koszu, Patrick oznajmił:

– Będę operatorem waszego dźwigu. Za chwilę podniosę was na tyle wysoko, że będziecie dobrze widziały choinkę. Nie podskakujcie tylko tam w środku za bardzo, dobrze?

– Nie będziesz oglądał z nami? – zdziwiła się Amanda.

– Będę widział wszystko z dołu, maluchu – powiedział Patrick. – Uwaga, zamykamy drzwiczki, żeby szanowne panie mogły wyruszyć do góry... – Uśmiechnął się lekko do Stephanie i zamknął drzwi.

Była ciekawa, czy w ten sposób próbuje wynagrodzić jej tę nieszczęsną rozmowę w Snow Zone. Nie miała co do tego pewności, ale – ze względu na dziewczynki – nie zamierzała się nad tym zastanawiać; w każdym razie nie teraz. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby przemyśleć i uporządkować w głowie wydarzenia całego dnia.

Zanim którakolwiek z nich zdążyła się odezwać, ruszyły do góry, a potem platforma stanęła w miejscu. Patrick zatrzymał podnośnik, gdy znalazły się mniej więcej w połowie wysokości choinki. Mogły więc oglądać ją od góry do dołu; widziały też ludzi zgromadzonych na placu.

– Mamusiu, to jest po prostu... super! – wyszeptała zachwycona Amanda.

– Aha. Popatrzcie tam! – odparła Stephanie.

Parę sekund później choinka rozjarzyła się dziesiątkami światełek – i w niczym nie ustępowała świątecznemu drzewku w Rockefeller Center! Setki czerwonych, zielonych, niebieskich i białych lampek jaśniały między gałęziami. Rozległy się werble, a potem na szczycie

rozbłysła ogromna, srebrna gwiazda.

– Wow! – powiedziała Ashley. – Stąd wygląda to superancko.

– A ja się nie boję, prawda, mamusiu? – wtrąciła Amanda.

– Widzicie, ona znowu tak gada! – zawołała Ashley.

– Dziewczynki, nie teraz. Cieszymy się tym widokiem, zanim Patrick opuści nas z powrotem na dół.

Po kilku minutach Patrick powoli opuścił platformę. Gdy się zatrzymała, wysiadł z kabiny i sprowadził je z powrotem na ziemię.

– To było genialne, dzięki! – powiedziała Ashley.

– Genialne. Mamusia też tak uważa, prawda?

– Tak, było cudownie. Co powiecie teraz panu O'Brienowi, dziewczynki? Amando! – ponagliła córkę Stephanie.

Amanda wyglądała na lekko zdziwioną.

– Że chcemy to zrobić jeszcze raz.

Wszyscy zaczęli się śmiać, nawet Stephanie.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała po chwili. Dziewczynki umiały przecież się zachować. A w każdym razie, tak jej się dotąd wydawało. No cóż, najwyraźniej dzisiejszego wieczoru ich dobre maniere poszły wcześniej spać.

– Dziękujemy, panie O'Brien. To bardzo miłe, że pan o nas pomyślał – powiedziała Ashley tonem dobrze wychowanej pani. Dorośli znowu się roześmiali.

– Bardzo proszę, moje drogie. To drzewko faktycznie wygląda nieźle, co? – powiedział Patrick, spoglądając na tęczowe światła.

– Chcesz iść z nami do Burger Kinga? – spytała Amanda. – Przegapiłyśmy dzisiaj lunch przez szczeniaczki. Umieram z głodu, a mamusia powiedziała, że możemy obie zjeść podwójne lody w polewie czekoladowej, bo nie rozmawiałyśmy w drodze do domu.

Stephanie marzyła, żeby ziemia otworzyła się i pochłonęła ją w tej sekundzie. Najwyższa pora wytłumaczyć Amandzie, na czym polegają dobre maniere. Zdawała sobie sprawę, że mała ma tylko siedem lat, ale kiedyś i tak trzeba będzie nauczyć ją zasad wychowania; równie dobrze mogły zacząć od razu, zanim do reszty pograży Stephanie.

Tym razem to Patrick wybawił ją z kłopotu.

– Bardzo bym chciał, ale muszę pojechać do Claude'a, zobaczyć,

jak się miewają szczeniaczki.

– Ja też chcę pojechać – powiedziała Ashley. – Strasznie się o nie martwiłam. Mogę jechać z Patrickiem, mamusiu? Proszę!

Stephanie nie była do końca pewna, co wstąpiło w jej córki, nabrała jednak niezbitą pewności, że musi przedyskutować kwestię dobrych manier z obiema.

– Nie, nie możesz. Nie możesz też zakładać, że pan O'Brien powinien cię zaprosić tylko dlatego, że masz ochotę pojechać. To bardzo niegrzeczne.

– Powiem wam, co zrobimy, jeśli mama nie będzie miała nic przeciwko temu – zwrócił się Patrick do dziewczynek. – Kiedy tylko wyjadę od Claude'a, zadzwonię do mamy i złożę jej raport. Może później, w tym tygodniu, jeśli mama się zgodzi, zabiorę was do szczeniaków. – Patrick spojrzał na Stephanie, posyłając jej jeden ze swoich zabójczych uśmiechów, który sprawił, że jej serce stopniało niczym lód, ale tylko na krótką chwilę. Przypomniała sobie, jak okropnie zachował się wobec niej tego popołudnia.

– Pomyślę o tym. Będę teraz miała bardzo dużo czasu na myślenie – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Patrick spuścił wzrok i zatopił go w swoich wielkich, brązowych butach.

– Jeśli chodzi o to, co powiedziałem dziś po południu...

– To, co pan powiedział, zostało powiedziane, panie O'Brien. Dziękuję za gotowość poinformowania nas o tym, jak się miewają pieski. Proszę zadzwonić do mnie na komórkę, gdy tylko dowie się pan, jak się czują.

Stephanie wzięła dziewczynki za ręce i odeszła, zostawiając za sobą Patricka, jego obietnice i wszystko, co miał zamiar jeszcze powiedzieć.

Rozdział 10

Dwa tygodnie później

– No cóż, chyba należy ci się od niego choćby odrobina lojalności. Pracowałeś jak szalona przez dwa lata, a teraz spotyka cię coś takiego? Bezpłatny urlop na święta? – Melanie napiła się kawy. – Nadal uważam, że powinnaś była powiedzieć o tym Maxowi i Grace w czasie pokazu.

– Wiem, że tak uważasz. Wiem, to beznadziejne, ale stało się, jak się stało. Nie chciałam im psuć wieczoru. Nie będę na nic narzekać, byle tylko udało się z domem. Wypełniłam już wszystkie papiery, zdeponowałam pieniądze na rachunku i czekam tylko na potwierdzenie z banku. A wiesz, jak to jest z bankami. Nigdy im się nie spieszy. Jessica mówi, że przy odrobinie szczęścia będę mogła przeprowadzić się przed końcem roku, ale jakoś w to nie wierzę. Zanim się obejrzymy, będą święta.

Stephanie i Melanie odprowadziły właśnie dziewczynki na przystanek autobusowy. Od dnia, gdy zaczął się przymusowy urlop Stephanie, spotykały się niemal codziennie. Jeśli cała ta afera z przerwą w pracy przyniosła jej cokolwiek dobrego, to była to z pewnością przyjaźń z Melanie. Dwa razy zabrały dziewczynki do kina, trzykrotnie wybrały się do McDonalda, a raz odwiedziły „Izzy’s” – nową pizzerię w mieście. Melanie chciała zabrać dziewczynki na weekend do Denver na przedstawienie świąteczne, ale Stephanie nie mogła sobie pozwolić na kupienie im biletów. Melanie zaproponowała, że zafunduje im wyjazd, ale Stephanie, nie mając pojęcia, jak zamożna jest w rzeczywistości jej przyjaciółka, stwierdziła, że to za duży wydatek. Zamiast tego, postanowiły we cztery obejrzeć *Opowieść wigilijną* w szkole średniej w Placerville. Wstęp był wolny, a Stephanie wiedziała, że dziewczynki i tak będą zadowolone. Od czasu, gdy Grace zabrała je na *Dziadka do orzechów* do Eagle Valley High, były zagorzałymi fankami wszelkiego rodzaju występów na żywo.

– Wiem, że nie możesz się doczekać, żeby wynieść się z tej klitki,

ale chyba będę za nią tęsknić, kiedy się wyprowadzicie – powiedziała Melanie, rozglądając się wokół.

– W takim razie powinnaś poprosić rodziców, żeby ci ją wynajęli – roześmiała się Stephanie. – Właściciele na pewno z ciebie nie zedrą. Och, ze mnie, oczywiście, także nie zdzierają. Nie miałam zamiaru tego sugerować. Wiem, ile mogliby zarobić na tym mieszkaniu, gdyby zrobili z niego sezonowy apartament.

– Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Byli szczęśliwi, że mogą przyjąć cię tutaj razem z dziewczynkami. To miejsce nigdy nie wyglądało tak przytulnie.

Stephanie rzeczywiście zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby zamienić to małe, zagracone mieszkanie w prawdziwy dom. Pomalowała ściany na pastelowy odcień żółci i uszyła jasne zasłony na duże okno w salonie. Przez dwa weekendy układała nowe płytki w łazience. Była zresztą dość dumna z osiągniętego efektu. Poszła w tym celu na kurs, organizowany w miejscowym sklepie z glazurą, i odkryła, że układanie płytek jest łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać. Pożyczyła maszynkę i tarcze do cięcia płytek od Maxa, a płytki w odcieniu kremowego beżu znalazła na wyprzedaży. Zapytała właścicieli o pozwolenie i usłyszała, że może robić w mieszkaniu, co jej się podoba. Powiedziano jej, że ma się czuć jak w domu, i zastosowała się do tej sugestii.

Kuchnia była niewiele większa od szafy, ale i tu widać było rękę Stephanie. Jedną ścianę pokryła tapetą w małe motylki, kupiła na wyprzedaży zestaw żółtych pojemników, a w oknie nad zlewem zawiesiła słoneczną zasłonkę. Stół był na wyposażeniu, kiedy się tu wprowadzała. Wiedziała, że ojciec Melanie podarował go jej matce wiele lat wcześniej, z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. Był to solidny stół z klonowego drewna, z czterema dopasowanymi do niego krzesłami. Kupiła poduszki w żółtą kratkę i pasujące do nich podkładki pod talerze, wypolerowała też blat w kolorze ciepłego miodu. Melanie miała rację: mieszkanie było przytulne.

Stephanie wahała się, czy ubierać w tym roku choinkę, bo wciąż nie traciła nadziei, że stanie się cud i jednak znajdą się na święta w nowym domu. Dziewczynki nic jednak o tym nie wiedziały, musiała

więc ubrać malutkie, sztuczne drzewko, kupione, gdy tutaj zamieszkały. Nic większego w ich mieszkaniu by się nie zmieściło, ale na tyle, na ile mogły, zadbały choć o świąteczne dekoracje. Przywiązały czerwone i zielone wstążeczki do klamek i do uchwyty szafek kuchennych. Zrobiły łańcuchy z żurawin i dmuchanej kukurydzy i zawiesiły je na drążku od zasłon w salonie. Porozstawiały wszędzie koszyczki z szyszkami. Amanda wycięła gwiazdki i choinki z czerwonego i zielonego kartonu i poprzyklejała je do ścian. Nie chcąc być gorsza, Ashley zużyła cały zapas folii aluminiowej, jaki znajdował się w domu – zrobiła z niej anioły i porozwieszała je przy suficie. Napracowały się, ale też bawiły się świetnie. Maleńkie mieszkanie lśniło i błyszczało, gotowe na rozpoczęcie świąt.

Choć był to duży, nieplanowany wydatek, Stephanie kupiła dziewczynkom na gwiazdkę telefony komórkowe. Niekończące się godziny strachu, przeżyte w Czarny Piątek, utkwiły jej mocno w pamięci – bardziej, niż się do tego przed sobą przyznawała. Kupiła karty z limitem rozmów i zamierzała pouczyć dziewczynki, żeby używały telefonów wyłącznie w sytuacjach awaryjnych, choć wiedziała, że to się nie uda, w każdym razie nie z Ashley. Zaczynała się era rozmów telefonicznych z koleżankami ze szkoły i Stephanie nie miała wątpliwości, że córka będzie chciała, tak jak inne dziewczynki, wysyłać wiadomości i dzwonić ze swojego nowego telefonu. Gdy Grace i Max spytali, co mogą podarować jej córkom na święta, poprosiła, żeby kupili im karty z zapasem dodatkowych minut na rozmowy.

– Dzięki – odpowiedziała teraz na komplement Melanie. – My też uwielbiamy to miejsce, choć troszkę tu ciasno. Wiesz, co się dzieje, kiedy trzy dziewczyny mają do dyspozycji tylko jedną łazienkę? – zażartowała Stephanie.

– Widziałam to na własne oczy – odparła Melanie.

– No tak, widziałaś. Mam szczęście, że to jeszcze dzieciaki. A co się będzie działo, gdy obie zmienią się w nastolatki?

Melanie zaczęła się śmiać.

– Nie chcę nawet sobie tego wyobrazić.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę. Melanie zaczynała zbierać się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Stephanie poczuła niepokój – chyba

z dziewczynkami wszystko w porządku? Nadal czuła się nieswojo, gdy znikwały jej z oczu.

Podniosła palec wskazujący, dając znak Melanie, żeby chwilę zaczekała.

Melanie zatrzymała się przy drzwiach.

– Halo? – powiedziała Stephanie do słuchawki; jej głos zdradzał, że była lekko przestraszona. – Jessica! Jak to dobrze, że to ty. – Stephanie umilkła na moment, a potem pokiwała głową, czego Jessica oczywiście nie mogła zobaczyć. Powoli opadła na krzesło kuchenne.

– To niemożliwe! – zawołała na cały głos. – Nie rozumiem... – mówiła coraz ciszej, a jej głos drżał z rozczarowania. – Tak, oczywiście. Nie wiem, co powiedzieć; chyba tylko tyle, że to po prostu nieprawda. Oddzwonię do ciebie – Stephanie rzuciła słuchawką o blat.

Melanie wróciła do kuchni. Usiadła z powrotem na krześle.

– Kiepsko wyglądasz. Z dziewczynkami wszystko w porządku?

– Mam nadzieję. Dzwoniła Jessica Rollins. Powiedziała mi, że właśnie rozmawiała z bankiem – oczy Stephanie wypełniły się łzami. – Nie dali mi kredytu.

Melanie sięgnęła przez stół i chwyciła ją za rękę.

– Jak to możliwe? Jessica mówiła przecież, że najgorsze masz już za sobą. Myślałam, że już zatwierdzili kredyt, że teraz wystarczy tylko podpisać papiery i zawrzeć umowę. – Była ogłuszona tak samo, jak Stephanie. – Wyjaśnili, dlaczego? Jessica wie, z jakiego powodu zmienili zdanie?

Zdruzgotana Stephanie kiwnęła głową.

– Powiedziała, że banki nie dają kredytów bezrobotnym.

– Bezrobotnym? O czym ona mówi? Nie straciłaś pracy – powiedziała Melanie, jak gdyby wystarczyło powtórzyć te słowa wystarczająco wiele razy, żeby Jessica i pracownicy banku zechcieli w nie uwierzyć. – Nie wiem, skąd wzięli tę informację, ale z pewnością się tego dowiemy.

Stephanie poczuła, jakby nagle opuściła ją cała energia. Wstała z krzesła, podeszła do zlewu i wyjrzała przez okno na długi, kręty podjazd. Odchrząknęła i wytarła oczy papierowym ręcznikiem.

– Ależ ja wiem. To oczywiste.

– Myślisz, że to robota Patricka? – Melanie powiedziała głośno to, o czym obie myślały.

Stephanie odwróciła się i spojrzała na nią.

– A któż inny mógłby upaść tak nisko, żeby powiedzieć coś takiego? Pewnie nadal jest urażony, że nie pozwoliłam dziewczynom jechać z nim do Claude’a obejrzeć szczeniaki.

– Nie sądzę, żeby był aż tak mściwy... i taki niedojrzały. Wiem, bywa nieokrzesany, ale mimo wszystko nie jest kompletnym głupkiem.

Stephanie wydmuchała nos w ozdobny ręczniczek, nie dbając, że kala miniaturowe dzieło sztuki, na którym kiedyś sama pracowicie wyszyła malutkie motylki. Ślęczała nad tym haftem późno w nocy, gdy nie mogła spać.

– Nie rozumiesz, Melanie. On się na mnie wziął. Uważa, że kobiety takie jak ja są bezwartościowe. Wiem, o czym mówię, możesz mi wierzyć.

– Prawdę mówiąc, z zasady nie wierzę nikomu, kto mówi: „możesz mi wierzyć”, ale powiem ci jedno: nawet jeśli ty sama uważasz siebie za bezwartościową i mówisz o sobie per „kobiety takie jak ja”, uznam to za zaszczyt, jeśli pozwolisz mi nosić za sobą torebkę. Stephanie Casolino-Marshall, jesteś uczciwą, ciężko pracującą kobietą, która chce jedynie zapewnić lepsze życie sobie i swoim dwóm córkom. Kochającą, serdeczną i opiekuńczą matką i przyjaciółką. Wiem, że nie spodoba ci

się to, co powiem, ale trudno. Sama zadzwonię do Maxa. Czas skończyć z dziecinnymi fochami pana dyrektora – Melanie sięgnęła po telefon, leżący na stole.

Stephanie położyła dłoń na jej dłoni.

– Nie chcę, żebyś dzwoniła do Maxa. Ani do Grace. Bo to będzie wyglądało, jakbym próbowała wykorzystać ich przyjaźń. Dziękuję ci za te wszystkie miłe słowa. Jesteś naprawdę dobrą przyjaciółką, wiesz o tym, prawda?

– Tak, wiem, i też ci dziękuję. Bardzo. Ale przyjaciele nie siedzą beczynn timer, patrząc, jak bliscy im ludzie pozwalają sobie skopać tyłek, po którym i tak już mocno dostali. – Melanie uwolniła swoją dłoń i podniosła ją do góry, nie dopuszczając Stephanie do głosu.

– A teraz idź i weź prysznic, umyj włosy i umaluj się. Właściwie przy twojej brzoskwiniowej cerze makijaż nie jest ci do niczego potrzebny, ale zrób to. Kiedy skończysz, wyjmij z szafy czarną garsonkę. Tę, którą miałaś na sobie, jadąc do banku, żeby złożyć wniosek o kredyt. Nie, poczekaj, zapomnij o tym. Wyjmij najbardziej obcisłe, seksowne džinsy, jakie masz, i ten jasnoczerwony sweter, który dostałaś ode mnie w prezencie. – Melanie była w swoim żywiole. – Nic już nie mów, nie mam zamiaru cię słuchać. Idź pod prysznic. Masz godzinę, żeby się useksownić.

– Useksownić? Tego jeszcze nie słyszałam – zdziwiła się Stephanie.

– Nie słyszałaś, ponieważ właśnie to wymyśliłam. To moje słowo, oryginalne, więc nie myśl sobie, że będziesz mogła używać go jak własnego. No, idź pod ten prysznic albo sama wrzucę cię zaraz do brodzika.

– Nie jestem pewna, czy podobasz mi się w tym wydaniu. Zrobiłaś się taka władcza.

– Jeśli zaraz się stąd nie ruszysz i nie pomaszcerujesz pod prysznic, pokażę ci, co to znaczy „władcza”. Proszę bardzo, bez gadania! Natychmiast! Pamiętaj, masz dokładnie godzinę.

Stephanie poddała się.

– No, dobrze. Pewnie masz rację; prysznic mi się przyda, ale pamiętaj, że ze wszystkim poradzę sobie sama.

Melanie chwyciła ją za łokieć i skierowała w stronę łazienki.

– Dobrze już, dobrze! – jęknęła Stephanie, zamykając za sobą drzwi.

Melanie odczekała, aż rozległ się szum prysznic, a potem sięgnęła do telefonu. Wiedziała, że stawką w tej grze jest duma Stephanie, ale chwilowo postanowiła się tym nie przejmować. Dużo bardziej dotkliwa była świadomość, że z czyjejś winy marzenie jej przyjaciółki pozostanie niespełnione. Nieważne, czy ten ktoś działał świadomie, czy nie. Liczył się wyłącznie fakt, że Stephanie pracowała ciężiej niż ktokolwiek inny, żeby odłożyć kilka tysięcy dolarów na zaliczkę na dom dla siebie i dla swoich dzieci. W tym zagonionym świecie, pełnym ludzi żyjących szybko, na najwyższych obrotach, Stephanie była niczym cenny relikwiarz przeszłości. Kwota, która dla niej była ogromna, na Melanie nie robiła najmniejszego wrażenia. Po raz pierwszy w swoim dwudziestoczteroletnim życiu Melanie czuła, że może oto zrobić coś naprawdę ważnego dla ludzi, których kochała, i wiedziała, że w gruncie rzeczy będzie to najpiękniejszy prezent także dla niej samej.

Wybrała gwiazdkę, szóstkę i dziewiątkę, aby wywołać numer ostatniego połączenia przychodzącego. Zapisała numer w notesiku, przypiętym magnesem do lodówki.

– Chciałabym mówić z Jessicą Rollins – powiedziała, usłyszawszy w słuchawce głos młodej kobiety. – Proszę jej powiedzieć, że to śmiertelnie ważne.

– O Boże! – westchnęła młoda kobieta z przejęciem. – Sama pójde jej powiedzieć, że pani dzwoni.

Melanie była zdania, że dziewczyna zasługuje na podwyżkę.

– Dziękuję bardzo – powiedziała.

Minutę później Melanie uzyskała połączenie z Jessicą Rollins. Pospiesznie wyjaśniła jej, o co chodzi, czego potrzebuje i z jakiego powodu. Reakcja Jessiki wskazywała, że jest gotowa nawet wystąpić w cyrku, byle tylko zadowolić Melanie. Omówiły szczegółowo cały plan, pożegnały się i Melanie wybrała numer biura Maximum Glide.

Usłyszała obcy głos. Nie była nawet pewna, czy rozmawia z kobietą, czy mężczyzną.

– Chciałabym mówić z panem Edwardem Patrickiem Josephem

O'Brienem. Proszę powiedzieć mu, że to sprawa życia i śmierci. – Melanie stwierdziła, że świetnie czuje się w tej nowej roli: w roli osoby, która najpierw rozdaje kopniaki, a potem dopiero zadaje pytania.

Dwie sekundy później usłyszała męski głos.

– Patrick, słucham?

Melanie teatralnie wzniosła oczy do nieba. Co za dziecinada! Doprawdy ten facet mógłby lepiej wykorzystywać swoje szare komórki.

– Patricku, mówi Melanie. Mamy problem... – z czystej złośliwości zawiesiła głos i czekała kilka sekund. Niech się trochę podenerwuje.

– Chodzi o Stephanie czy o dziewczynki? – zapytał.

Poznęca się nad nim jeszcze troszeczkę.

– O wszystkie trzy...

– Mów, co się dzieje. Mogę być za parę minut – rzucił nerwowo.

Znowu pozwoliła mu czekać. Wiedziała, że to podle, ale uważała, że powinien trochę pocierpieć za to wysłanie Stephanie na bezpłatny urlop.

– Melanie, powiedz mi, co się dzieje! Proszę! – krzyknął tak głośno, że musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

– Wobec tego słuchaj mnie i nie przerywaj, jasne? – usłyszała głębokie westchnienie na drugim końcu linii telefonicznej.

– Jasne. Zamieniam się w słuch.

Dziewczyna szybko wyjaśniła mu, o co chodzi. Słuchał potulnie, tak samo jak chwilę wcześniej Jessica Rollins. A Melanie przyszło do głowy, czy nie warto zastanowić się nad zmianą kierunku kariery – może będzie się marnowała jako grafik?

Trzydzieści minut później z łazienki wyłoniła się Stephanie. Odświeżona i przebrana, wyglądała olśniewająco.

– A teraz wsiadaj do mojego samochodu. Jedziemy na lunch.

– Melanie, wiem, że starasz się mnie pocieszyć, i naprawdę to doceniam, ale muszę być w domu, kiedy wrócą dziewczynki – popatrzyła na zegar, stojący na blacie. – Będą w domu za dwie godziny. To za mało czasu, żeby dojechać na miejsce, złożyć zamówienie, podelektować się jedzeniem, a potem wrócić tutaj.

– Czy ja mówiłam, że mamy się delektować jedzeniem? Chyba nie.

Idziemy!

– No cóż, mam nadzieję, że rozumiesz, jak głupio się czuję – mam iść na lunch taka wystrojona? A przecież będziemy musiały podjechać do jakiegoś fast foodu; na nic więcej nie mam czasu. Nie ma mowy, żebym ci ustąpiła, skoro rzecz dotyczy dzieci – powiedziała Stephanie stanowczo.

– Umówiłam się z moją mamą, że je odbierze. – Jeszcze tego nie zrobiła, ale miała taki zamiar. – Nałożyłaś za dużo różu. Idź, wytrzyj policzki, zanim wyjdziemy. Wyglądasz jak klaun.

– W tym nowym wydaniu naprawdę niespecjalnie mi się podobasz.

– Twój pech. Idź, wytrzyj policzki. W tej chwili!

Stephanie odwróciła się na pięcie i poszła do łazienki. Melanie tymczasem zadzwoniła do matki i wyjaśniła jej, o co chodzi. Mama natychmiast wyraziła gotowość pomocy. Zadeklarowała, że zaczeka na dziewczynki na przystanku, a potem zabierze je do pizzerii „Chuck E. Cheese”; oczywiście, jeśli Stephanie nie będzie miała nic przeciwko temu. Melanie zapewniła, że nie, i przypomniała jej, żeby zabrała ze sobą telefon komórkowy – była przekonana, że Stephanie będzie chciała zadzwonić i dowiedzieć się, jak miewają się jej córki.

Stephanie wyszła z łazienki w chwili, kiedy Melanie odkładała telefon.

– Mogłabym pomyśleć, że coś knujesz. Ale nie mam dziś siły na myślenie, więc jedźmy już na ten lunch i bawmy się dobrze, zanim dziewczynki wrócą do domu. Może rzeczywiście dla odmiany należy nam się taki wypad – tylko my we dwie. Możemy nawet zamówić sobie coś niezdrowego.

– Tak zrobimy, ale zejdźmy wreszcie do samochodu – Melanie prawie wypchnęła ją za drzwi. – Mówiłam ci, że w razie gdybyśmy się spóźniły, moja mama zajmie się dziewczynkami; robi to na pewno, możesz mi wierzyć.

– Mam uwierzyć komuś, kto mówi, że nie wierzy ludziom, którzy mówią „możesz mi wierzyć”?

– Tak mówiłam? – zdziwiła się Melanie, gdy wsiadały do jej lincolna.

– Tak mówiłaś.

– No cóż, to teraz ci mówię, że możesz mi wierzyć. Nie musisz mnie lubić, ale wierzyć mi powinnaś.

Stephanie westchnęła głęboko.

– Włącz ogrzewanie, jest przeraźliwie zimno. Naprawdę wolałabym, żebyś mi powiedziała, o co tu chodzi. Nie lubię takich niespodzianek.

– Trudno – odparła Melanie, wyjeżdżając z krętego podjazdu.

Gałęzie świerków rosnących po obu stronach drogi uginały się pod czapami śniegu. Stephanie pomyślała, że ich widok zawsze jej przypomina, jakie piękne jest Kolorado.

Dokładnie dwadzieścia minut później wjechały na główny parking Maximum Glide.

Stephanie natychmiast się zjeżyła; wyglądała, jakby szykowała się do wojny.

– Co my tu robimy? Akurat teraz wolałabym trzymać się jak najdalej od tego miejsca.

– Nic na to nie poradzę, ale musiałyśmy przyjechać właśnie tutaj. Czeka na nas ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać. Wsiadaj albo będę musiała wywlec cię z samochodu jak worek ziemniaków.

– Wolałabym, żeby dziewczynki nie widziały cię tak bojowo nastawionej. Mogłyby się wystraszyć – zażartowała Stephanie.

– Akurat! Kochają mnie w każdym wydaniu, i obie dobrze o tym wiemy.

– To prawda.

Szły przez parking, a śnieg skrzypiał pod ich stopami, ale dźwięk ten był ledwo słyszalny wśród gwaru rozmów i śmiechu narciarzy, tłumnie oblegających pobliskie zbocza. Burze śnieżne minęły bez śladu. Słońce świeciło jasno, niebo było błękitne, a śnieg – biały i czysty jak świeżo ubita śmietanka.

Mimo słonecznej pogody mróz był dotkliwy, weszły więc szybko do budynku biurowego.

– Zjemy lunch w gabinecie Patricka. Kazałam mu zamówić coś w „Chacie” – wyjaśniła Melanie.

– Nie wiem, dlaczego się na to godzę, ale przypomnij mi, żebym skrzyła ci kark, kiedy już stąd wyjdziemy.

Melanie zapukała do drzwi i wtargnęła do środka, zanim Patrick zdążył się odezwać. Zgodnie z jej zaleceniami, stół był nakryty dla dwojga, udekorowany kryształowym wazonem, w którym tkwiła pojedyncza, herbaciana róża, a w wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana Cristal.

Stephanie rzuciła okiem najpierw na Patricka, a potem na tę okropną wiedźmę, swoją przyjaciółkę.

– Powiedz mi, że to nie jest to, o czym myślę.

– Ależ jest! Dokładnie to – odparła Melanie. – Miłego lunchu!

Wybiegła z gabinetu, zanim Stephanie zdążyła zapytać, o co właściwie chodzi. Spojrzała na stół, na różę i butelkę szampana.

– Proszę, wejdz i usiądź – Patrick wskazał na krzesła, które Stephanie natychmiast rozpoznała jako własność „Chaty”.

– Chcę, żebyś wiedział, że nie jestem tu z własnej woli. Melanie chyba uważa... Nie, nie mam pojęcia, co ona uważa, ale miejmy to już za sobą.

– Wyglądasz jak skazaniec przed wejściem na szubienicę.

– Chyba nie jest aż tak źle – odpowiedziała i usiadła na krześle, które podsunął jej Patrick. Cóż za niespodzianka! Czyli jednak zna zasady dobrego wychowania, a przynajmniej niektóre z nich.

– Ocenisz to za parę minut. Poprosiłem Jacka, żeby poczekał chwilę z naszym jedzeniem. Niewykluczone, że nie będziesz chciała przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu, kiedy skończę... kiedy powiem ci to, co powinienem był powiedzieć już dawno temu i powiedziałbym, gdybym miał odwagę przyznać się do tego sam przed sobą. No, ale lepiej późno niż wcale, więc...

– Posłuchaj, jeśli chodzi o moją pracę, to pewnie nie powinnam była wtedy tak ot, wyjść ze sklepu. Tylko że tak bardzo martwiłam się o Amandę i Ashley, a potem ty powiedziałaś... No cóż, sam wiesz, co powiedziałaś. Byłam zażenowana i po prostu chciałam zniknąć stamtąd jak najprędzej. Jeśli chcesz mnie przeprosić, nie ma sprawy. Nie gniewam się.

– Kiedy tu wcale nie chodzi o twoją pracę. Ani w ogóle o nic związanego z tym miejscem. – Odetchnął głęboko, a zaraz potem znowu zaczerpnął powietrza. – Pochodzę z bardzo dużej, irlandzkiej rodziny.

Mam trzy młodsze siostry i czterech starszych braci. Moje siostry mają w sumie trzech synów i dwie... nie, jedną córkę. Moi bracia także mają dzieci, ale ta sprawa dotyczy moich sióstr, ich dzieci i mnie. Chodzi o to, że muszę się nimi opiekować.

– Aha... – odparła Stephanie, ciągle nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Wiesz, ta rozmowa naprawdę jest dla mnie wystarczająco trudna...

– Przepraszam.

– Dwa lata temu moja siostra i jej mąż stracili córkę. Miała na imię Shannon.

– Tak mi przykro, Patricku. Nie wiedziałam... – Stephanie w dalszym ciągu nie miała pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, ale informacja, że chodzi o sprawy związane z jego rodziną, uspokoiła ją nieco. Ze sprawami rodzinnymi zawsze sobie jakoś radziła.

– Miała siedemnaście lat... cierpiała na rzadką chorobę, TTP. Tego dnia, gdy umarła, jej koledzy z liceum odbierali właśnie szkolne dyplomy. Nasza rodzina zmieniła się. Ja się zmieniłem. Moja siostra i jej młodsza córka, Abby, przeżyły koszmar. Rok minął, zanim jakoś się pozbierały. Ja... właściwie to nie to chciałem powiedzieć...

Patrick odnalazł jej dłoń; w pierwszym odruchu chciał wyrwać rękę, ale spojrzała mu w oczy i zrezygnowała z oporu. Na jego twarzy malował się smutek.

– Przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę tak cierpiał z powodu straty, jak wtedy, po śmierci Shannon. Widziałem, przez co przechodzi moja siostra; wiem, jak będzie wyglądała reszta jej życia, i nie mogę jej przed tym ochronić, tak jak nie ochroniłem mojej najstarszej siostrzenicy, najstarszej wnuczki moich rodziców, więc zdecydowałem, że to nie dla mnie. Nie chcę się do nikogo zbliżać. Nie chcę cierpieć. A potem... pojawiłaś się ty, razem ze swoimi córkami. Nie chciałem dać się zauroczyć, ani tobie, ani dziewczynkom, ale to było po prostu niewykonalne. Zastanawiałem się, jak ci to wszystko powiedzieć, nie robiąc z siebie idioty, bo... bo chciałem cię zrazić, i wtedy zadzwoniła Melanie i powiedziała mi coś, co i tak już wiedziałem, ale do czego się nie przyznawałem.

– Od kiedy to Melanie jest dla wszystkich takim autorytetem?
– Ma zmysł obserwacji i jest inteligentna. Ostatnio zrobiła się trochę bardziej pyskata, ale cieszę się, że to trafiło na mnie. Próbuję ci właśnie powiedzieć, że bardzo... bardzo zależy mi na tobie i na dziewczynkach. Czy myślisz, że mogłabyś dać mi jeszcze jedną szansę na naprawienie wszystkiego?

To była ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się tego dnia. I to akurat od Patricka! Ha, więc jednak ten typ miał serce i duszę! Stephanie uśmiechnęła się szeroko.

– Pewnie mogłabym, ale pod pewnymi warunkami.
– Zrobię wszystko.
– Wszystko? – nie dowierzała Stephanie.
– Co tylko trzeba będzie zrobić – odparł, wpatrując się w jej twarz tak intensywnie, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– W takim razie na początek pojedziesz ze mną na czarną trasę z podwójnym rombem – powiedziała Stephanie, czując, że przepełnia ją cudowna lekkość, jakiej nie doświadczyła od lat. Należy mi się w końcu odrobina rozrywki, pomyślała. Nie musiała martwić się o dziewczynki – wiedziała, że może zaufać Melanie, choć przekomarzała się z nią, że jej nie wierzy. Postanowiła, że będzie po prostu dobrze się bawić w towarzystwie najprzystojniejszego szefa na świecie.

Patrick wstał, odsunął jej krzesło i wziął ją w ramiona.

– Nawet cię nie pocałowałem...
– Zatem nie traćmy już ani chwili – zdążyła odpowiedzieć, zanim zamknął jej usta pocałunkiem.

Epilog

Wigilia Bożego Narodzenia

Słyszając pukanie, dziewczynki pomknęły do drzwi niczym strzały. Melanie miała wpaść do nich z prezentami. Odkąd się o tym dowiedziały, podskakiwały nieustannie.

– Dziewczynki, gdzie wasze maniery? – upominała je Stephanie.

Uspokoily się nieco i otworzyły drzwi.

– To nie Melanie – powiedziała Amanda z rozczarowaniem.

– Amando, to nieładnie! – zawołała Ashley, odsuwając się na bok, by wpuścić do środka zmarzniętego Patricka. – Próbujemy nauczyć ją dobrych manier, ale chyba kiepsko nam idzie.

– Ja sam jeszcze się tego uczę. Niektórzy potrzebują po prostu trochę więcej czasu – roześmiał się Patrick.

– Patrick! Myślałam, że to Melanie – powiedziała Stephanie, choć nie była niezadowolona, że go widzi.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni umówili się cztery razy. Okazał się inny, niż sądziła dawniej; dużo lepszy. Był kochający, zabawny i miły. Do dziewczynek miał świętą cierpliwość. Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa.

– Aha, skoro już o niej mowa... Melanie zadzwoniła do mnie i uprzedziła, że będzie późno; ma jakiś problem z samochodem. Prosiła, żeby ci to przekazać. – Patrick sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął grubą, brązową kopertę.

– To pewnie ten prezent, który obiecała dziewczynkom.

– Na pewno. Może otworzysz? – powiedział Patrick, sadowiąc się przy niewielkim stole w maleńkiej kuchni.

– No ale to przecież nie dla mnie... – odparła Stephanie.

Była zdziwiona, że Melanie nie zapakowała prezentów dla dziewczynek, choć wiedziała, jak uwielbiają błyszczący papier i wymyślne wstążeczki. Może po prostu nie miała na to czasu.

– Prawdę mówiąc, Melanie powiedziała, że to prezent dla całej

waszej trójki, więc myślę, że możesz go otworzyć.

Tymczasem dziewczynki obsiadły Patricka niczym muchy. Posadził sobie Amandę na prawym, a Ashley na lewym kolanie.

– Prędej, mamusiu, otwórz! – ponaglała ją Amanda.

– No dobrze, ale wołałabym... Och, dobrze już, niech wam będzie.

Stephanie wydziergała na drutach dla Melanie sweter i dopasowany do niego kolorystycznie szalik; miała też czapkę i rękawiczki dla Patricka. Nie chciała wydawać pieniędzy zaoszczędzonych na zaliczkę, które zwrócono jej, gdy kupno domu nie doszło do skutku. Dlatego prezenty gwiazdkowe dla bliskich zrobiła sama.

Podważyła brzeg koperty paznokciem i wyjęła ze środka plik kartek; wyglądały na oficjalne dokumenty. Przejrzała je, a potem podniosła wzrok na Patricka, który siedział, trzymając dziewczynki na kolanach, jak gdyby przez całe życie nie robił nic innego.

Znowu przejrzała papiery. I znowu. I jeszcze raz. I wreszcie to do niej dotarło.

Prezent od Melanie dla niej. Jej oczy wypełniły się łzami, które zaraz potem zmoczyły jej policzki. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Nie rozumiała, jakim cudem Melanie zdołała podarować jej akt własności małego domku w Placerville.

– To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałyśmy, prawda, Patrick?
– spytała Amanda.

A potem, wśród radosnych wybuchów śmiechu, dziewczynki opowiedziały matce o niespodziance Melanie i wyjaśniły, jakim cudem było to możliwe. I powtórzyły jej słowa Melanie, która powiedziała im, że po raz pierwszy w życiu wie, czym jest prawdziwa radość z dawania gwiazdkowych prezentów.

To była rzeczywiście niespodzianka.

Absolutnie niespodziewana.

Fantastyczna.

Dzięki niezwykłej hojności kochającej przyjaciółki, Stephanie i jej córeczki miały wreszcie zamieszkać we własnym domu.

Cathy Lamb

Najpiękniejsze święta

Dla Cindy, Todda, Mitchella i Cary Evertsów. Dziękuję wam za spływy rzeką Missouri, za wspólne łowienie ryb i bitwy z pistoletami na wodę. Przede wszystkim jednak dziękuję Wam za wspaniałą wspólną zabawę.

Rozdział 1

– Idą święta, więc nie chcę cię zastrzelić – postukałam czerwonymi paznokciami o wypolerowany blat, oparłam kowbojski but o balustradę i zmierzyłam wzrokiem pijanego głupka, który wdrapał się na stołek barowy obok mnie, chwiejąc się niczym odurzony jeżozwierz. – Ale nadużywasz mojej cierpliwości, chłopcze.

W przyćmionym świetle baru „Barry Lynn”, który powstał chyba ze sto lat temu, a ściany miał podziurawione kulami rewolwerów, widziałam, że ma na sobie fikuśne spodnie wędkarskie, jakby wybierał się nad jedną ze słynnych na cały świat rzek Montany, żeby udowodnić, jaki to z niego „prawdziwy mężczyzna”. Przyleciał pewnie prywatnym samolotem i chciał się trochę zabawić, zanim wróci do swojej wytwornej posiadłości i słodkiego, miłego życia.

– Słonko – wybełkotał, przeczesując niezdarnie palcami bujną, jasną czuprynę; nie mogłam oderwać wzroku od jego wypielęgnowanych paznokci. – Na widok twojej twarzyczki nawet Jezus miałby chęć zgrzeszyć.

Udało mi się nie walnąć go pięścią w nos za tę chamską odzywkę.

– To Jezus stworzył tę twarzyczkę i mogę cię zapewnić, że On nie zgrzeszy. Ty natomiast doprowadzisz za chwilę do tego, że ja zgrzeszę i wykopię ci ten stołek spod tyłka. Spadaj!

Kątem oka widziałam Trzy Wiedźmy – same się tak nazwały już chyba z dziesięć lat temu – czekające na mnie tam, gdzie zwykle, w zakątku obok choinki, za stołami bilardowymi, przy oknie, które otwierałyśmy, wpuszczając do wnętrza światło księżycy, gdy zapach spoconych ciał stawał się nie do zniesienia. Temat dyskusji na dziś: „Czy małżeństwo byłoby łatwiejsze, gdyby mąż i żona mieszkali w sąsiednich domach, a nie razem?” Oprócz tego Vicky miała przynieść dla nas wszystkich Dzienniczki Wdzięczności, cokolwiek to oznaczało.

Odurzony jeżozwierz westchnął ciężko, potrząsnął głową i pochylił się ku mnie, wionąc oparami whisky.

– No dobrze, słonko, ale muszę się dowiedzieć, jak masz na imię.

Jego trzech pulchni kolesie w średnim wieku nabijali się z niego przy pobliskim stoliku.

– Twoje imię, a potem zostawię cię w spokoju – znów zapachniało whisky. – Powiedz, jak masz na iiii-imię.

– Mam na imię Maria Magdalena – czułam, że moja cierpliwość się kończy. Zwykle następowało to dość szybko. Po tym, co przeszłam, nie miałam jej wiele w zapasie.

– Masz na imię Maria Magdalena? – otworzył szeroko oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz namysłu. Zastanawiał się bardzo intensywnie. Myśl, tępaku, myśl! – To brzmi jakoś znajomo – zmarszczył brew. – Czy jesteś sławna?

Utkwiłam wzrok w dziurze po kuli w suficie, zastanawiając się, kto zostawił po sobie tę pamiątkę. Hej! A może to była kobieta, do której przystawiał się opity whisky idiota?

– Wyglądasz jak sławna osoba – potrząsnął głową, oszołomiony. – Masz taki... ten... no, nie wiem... Charyzmę. Takie coś. Specjalnego. Oryginalnego. Jesteś rasowa. Wiesz, o co mi chodzi?

– Pomyliłeś mnie z koniem?

Rzuciłam okiem w lustro, wiszące nad półką, na której stał rząd butelek z trunkami. Pełne usta, które „wyglądają, jakbyś zrobiła sobie botoks, choć przecież wiem, że nie robiłaś”, powiedziała mi kiedyś Hannah, jedna z Trzech Wiedźm. Wystające kości policzkowe. Brązowe oczy, które wydawały mi się nienaturalnie wielkie. Długie włosy, czarne i proste, z pojedynczym białym pasmem. Mój ojciec twierdził, że to pamiątka po przodkach, którzy „gotowi byli przyplłynąć z Włoch choćby wpraw, tak desperacko chcieli się dostać do Ameryki”.

Moja matka, zbuntowana córka szacownej, utytułowanej, angielskiej rodziny, zakochała się na zabój w moim ojcu, gdy służył w armii amerykańskiej, i uciekła z nim, mając dwadzieścia lat. Otóż ona twierdziła, że to mój Znak Mądrości.

– Byłoby lepiej, gdybyś nie była taka wojownicza, kochanie. Kiedy my, Anglicy, mówimy, że trzeba trzymać fason, to nie oznacza, że należy zdefasonować komuś buzię.

– Nieee... – wybełkotał odurzony jeżozwierz, chwiejający się na stołku obok. – Nie jesteś koniem, ale ten biały kosmyk jest seksowny jak

cholera. Chciałbym spróbować, jak smakuje.

– Jeśli spróbujesz, będziesz mógł szukać zębów w kuflu z piwem.

Powiedziałam to bardzo uprzejmie. Matka byłaby dumna z mojego opanowania. („Jeśli czujesz, że ogarnia cię wściekłość, Meredith Jean, zrób sobie herbatki”).

Jeżozwierz rozchichotał się, najwyraźniej nie biorąc mnie poważnie.

– Uwielbiam twardzielki, a już babeczki z Montany są bezkonkurencyjne. Każda z was mogłaby powalić niedźwiedzia.

Chyba myślał, że te „babeczki” są głupie. Nie znam kobiety, która próbowałaby powalić niedźwiedzia, bo nie znam żadnej, która chciałaby zostać pożarta żywcem.

– Jedno piwo i młotek, proszę – zwróciłam się do właścicielki baru.

– Jedno piwo i jeden młotek – krzyknęła w kierunku zaplecza. –

A może chcesz zszywacz do drewna? Czasami się przydają.

– Dawaj. Ten tutaj jest oporny jak rzadko.

– No, panno Mario Magdaleno – odezwał się odurzony jeżozwierz, nieświadom, o czym rozmawiamy. – A moszsz... dołączy pani do mnie i moich kolegów? W życiu nie widziałem kobiety w takim kapeluszu. W życiu! Poza tym masz oczy jak kotka. Postawię ci piwko.

– Nie. I wyjdź stąd! Twój oddech wystarczyłby, żeby puścić z dymem cały ten bar.

– Cukiereczku....

– Nie jestem zainteresowana i nie nazywam się „cukiereczek”. – Podniosłam swój czerwony kowbojski kapelusz z kryształkami i włożyłam go sobie na głowę. Był nieźle znoszony i pasował idealnie – takie lubiłam najbardziej. – To ostatnie ostrzeżenie. Spadaj do swojej nory i swoich bogatych przyjaciół z kąśliwymi uśmiechami, którzy udają wielkich wędkarzy, razem ze swoją butelką whisky, i pij aż do przerwy w życiorysie. Nie interesują mnie żalosne ochlapusy, których nie stać nawet na to, żeby podejść do kobiety na trzeźwo, przywitać się i zacząć inteligentną rozmowę, a potem zaprosić ją do eleganckiej restauracji, żeby okazać jej szacunek.

Drzwi otworzyły się, a z zewnątrz buchnęło mroźne, zimowe powietrze. Spojrzałam, ciekawa, który z sąsiadów wejdzie do środka.

I zaparło mi dech.

To był on.

Zdawało mi się, że słyszę dzwoneczki u sań i echo radosnej kolędy. Następnie usłyszałam we własnej głowie ostrzegawczy głos: ten facet oznacza kłopoty.

Poważne kłopoty.

Logan Taylor. Urodzony w Copper, w stanie Montana, około trzech godzin drogi od Teleny. Facet, który wyłącznie dzięki własnej ciężkiej pracy został milionerem, właściciel iluś firm w pięciu stanach, zajmujący się budowaniem dróg, elektrycznym czymś tam, nieruchomościami, hodowlą i tak dalej. Trudne dzieciństwo. Był ode mnie chyba z osiem lat starszy, ale już jako dziecko, mieszkając na farmie za miastem, słyszałam o nim – każdy zespół sportowy, w którym grał, zdobywał medale i mistrzostwa. Miał reputację twardziela, na koncie dwie czy trzy bójki, o których pisały gazety, nie odpuszczając miejscowemu celebrycie.

Był rdzennym mieszkańcem Montany, z dziada pradziada, niedawno zaś zbudował sobie chatę z bali niedaleko Teleny. Miał prawie dwa metry wzrostu, blond włosy, szerokie bary, na których z powodzeniem mogłoby zatańczyć tysiąc bożonarodzeniowych aniołów, i bystre oczy, którym nic nie umykało.

Od kilku tygodni, za każdym razem, gdy natknęłam się na niego w miasteczku, chowałam się w sklepie, w kościele, a raz nawet w urzędzie, choć unikam urzędów jak ognia i wszystkich plag tego świata.

Tymczasem odurzony jeżozwierz postanowił znów zwrócić na siebie moją uwagę.

– Zabiorę cię do eleganckiej restauracji – wybełkotał. – Mam tyle pieniędzy, że stać mnie, żeby kupić wszystkie eleganckie restauracje w tym mieście. I jachty też. Chodźmy od razu; działasz na mnie...

I właśnie wtedy odurzony jeżozwierz popełnił kardynalny błąd.

Wyciągnął rękę i próbował pogłaskać mój biały kosmyk, przy okazji strącając mi kapelusz. Złapałam go za nadgarstek, pochyliłam się i powiedziałam całkiem spokojnym tonem:

– Nie dotykaj mnie, przerośnięta pijawko.

Roześmiał się obleśnie.

– Ale ja chcę cię dotknąć! Wyglądasz na taką mięciutką i miłą, a ja chcę... – szepnął mi do ucha coś obrzydliwego, podniósł drugą dłoń, chcąc znów mnie pogłaskać, i to był koniec.

Pozamiatane.

Usłyszałam, jak Howard i Norm, bracia, starzy ranczerzy, absolwenci Ivy League i weterani drugiej wojny światowej, siedzący obok mnie przy barze, westchnęli głośno.

Howard powiedział powoli:

– Synu, naprawdę źle trafiłeś.

A Norm dodał:

– Na twoim miejscu już bym biegł. Ale to już! Biegnij! Szybko czy wolno, byle jak najdalej stąd.

Trzy Wiedźmy zachichotały.

– Uwaga! – krzyknęła Hannah. – Zaraz się zacznie. To będzie prawie tak dobre, jak mój wykład o pochodnych matematycznych.

Usłyszałam aplauz i poczułam przyływ adrenaliny. Z powodu mojej przeszłości mam w sobie wiele gniewu.

– Dlaczego faceci uważają, że obleśne teksty działają na kobiety? – spytałam go. – Dlaczego faceci próbują dotykać kobiet bez pozwolenia? Dlaczego facetom wydaje się, że są seksowni, kiedy się upiją? Dlaczego faceci w kółko się mnie czepiają?

Nie dałam sobie zbyt wiele czasu na rozważania na ten temat – zamiast tego zsunęłam się ze stołka, stanęłam pewnie na ziemi w swoich czerwonych, kowbojskich butach, po czym moja pięść wylądowała na jego szczęce. Sfrunął na podłogę i upadł ciężko na plecy.

Usłyszałam, jak jedna z Wiedźm, Katie, matka czwórki dzieci, woła:

– Nieźle, Merry Meredith! Jeszcze lepiej niż w zeszłym miesiącu!

Trzecia Wiedźma, Vicky, właścicielka ogromnego rancza, rzuciła:

– Hormony! To hormony, a z hormonami nie warto zadzierać.

Dlaczego faceci tego nie rozumieją?

Po krótkiej chwili zdumionego wahania jeżozwierz z trudem pozbierał się z podłogi. Zaklął, a potem rzucił w moim kierunku niezbyt miłe przezwisko, na koniec zaś wrzasnął:

– A to za co było, do cholery?!

– Za co? – ryknęła Barry Lynn, rzucając na kontuar młotek i zszywacz; wesoła z niej babka. – Powiedziała ci wiele razy, żebyś się odczepił. Że nie jest zainteresowana. Miała ci to przetłumaczyć na osiem języków? Wymalować transparent? Żaden z ciebie przystojniaczek; czemu miałbyś się spodobać takiej kobiecie jak ona?

– To troszkę nieuprzejme, Barry Lynn – wtrącił się Norm. – No dobrze, wygląda na mięczaka, pozieleniał na buzi i jest mieszcuchem o giętym kręgosłupie, ale...

– To nie jest nieuprzejme, tylko prawdziwe – parsknęła Barry Lynn, stukając młotkiem. – Ma brzuszysko, cofniętą szczękę, garbi się... Zaczęli się kłócić o wygląd tego faceta.

– Do stu karabinów, Barry Lynn ma rację! – wtrącił się Howard. Lubi używać militarnych porównań; zostało mu to z czasów wojska. – Ten gość to matolek. Do czego to podobne, żeby dama musiała bić faceta, bo nie chce się od niej odczepić? Czy ty nie masz mózgu? – zwrócił się dobrotliwie do jeżozwierz.

– Co...? O co chodzi? Mam mózg! – jeżozwierz aż poczerwieniał z oburzenia.

– Pokaż – poprosiłam. – Chciałabym zobaczyć twój mózg.

Kumple ochlapusa wstali od stolika; miałam nadzieję, że chcą się zająć nim, a nie mną, ale trudno to było wywnioskować. Z nimi także dałabym sobie radę, gdybym musiała. Z przyjemnością. Miałam ciężki tydzień w swoim pensjonacie, z Jacobem, obsesyjnie grającym na pianinie, i Sarah, którą znów przyprowadziła do domu policja. Bójka w barze, zdarte knykcie, złamana ręka mogły mi dobrze zrobić. Uspokoić choć trochę te buzujące hormony.

Pijany jeżozwierz popełnił kolejny błąd. Ruszył na mnie, rozwścieczony, musiałam więc znów wystawić pięść, trafiając akurat w tę jego cofniętą szczękę tak, że pofrunął do tyłu i wyładował na plecach, niewątpliwie nadwerężając sobie mózg, o ile faktycznie go miał.

Jeżozwierz zaklął, a jego przyjaciele stanęli w miejscu jak rażeni gromem. Chcieli przecież tylko trochę się zabawić, trochę pośmiać! Liczyli na odrobinę frajdy! Wydali tyle kasy na to całe wędkowanie,

a teraz mieli ochotę na deser! Dlaczego te baby z Montany tego nie rozumieją?!

– Norm, ten nadziany chłoptaş naprawdę ma cofniętą szczękę i przygarbione ramiona... – powiedziała Barry Lynn.

– Ma cofniętą szczękę, bo się boi; ramiona mu opadły, bo jest pijany i wystraszony; brzuch ma wielki, bo jest leniem.... – kłótnia zaczęła się na nowo.

I wtedy usłyszałam za sobą głos. Był niski, głęboki, szorstki i zmysłowy.

– Wynocha stąd! – zwrócił się do jeżozwierzka i jego kompanii.

Logan Taylor, groźny olbrzym, złapał faceta za koszulę i uniósł go do góry, dosłownie: podnosił go i podnosił – nie żartuję! – aż jego stopy oderwały się od ziemi.

– Wynocha! – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Jeżozwierz walczył i wił się niczym robak na haczyku.

– Puść mnie – popatrzył Loganowi błagalnie w oczy, przełknął ślinę i wyszeptał: – Proszę. Puść mnie. Proszę!

– Czy mógłbyś... yyy... go puścić? – zapytał nerwowo jeden z bladawych kumpli jeżozwierzka.

– On jest... yyy... Zabierzemy go stąd – dorzucił drugi z napięciem w głosie.

– Jakim cudem nie nauczyłeś się dotąd, jak się traktuje damy? – spytał Logan surowo, potrząsając nim. – Jak to się stało?

Nagle wyobraziłam sobie Logana stojącego w drzwiach ogromnego, lukrowanego domku z piernika. Po prostu stał w drzwiach i machał do mnie. Czasami wyobrażam sobie zabawne sceny z jedzeniem w roli głównej, co mnie autentycznie wkurza.

– Poradziłabym sobie sama – fuknęłam na Logana.

Logan obrócił się do mnie, zmieszany, a stopy jeżozwierzka zadyndały w powietrzu.

– Słucham?

– Za kogo ty mnie niby uważasz, co? Za damulkę w opałach? Wyglądam na słabowitą? Bezbroną? – czułam, jak moja wściekłość rośnie. Uderzył mnie w czuły, bardzo wrażliwy punkt. Mogłam sobie poradzić sama; nie potrzebowałam pomocy.

Zmierzył mnie wzrokiem – od białego pasma włosów po czerwone kowbojki.

– Nie, nie wyglądasz na bezbronną, ale nie chciałem stać z boku i patrzeć, jak ten gnojek się do ciebie przystawia.

– A to niby dlaczego? Walnęłam go już dwa razy. Chciałam to zrobić jeszcze raz, ale wtedy ty musiałeś się wtrącić – podniosłam na niego wzrok.

– Wtrąciłem się – odparował, wciąż trzymając za fraki dyndającego nad ziemią jeżozwierz, który zastygł w bezruchu z przerażonym zdumieniem na twarzy – ponieważ nie toleruję mężczyzn, którzy źle traktują damy, czego byłem świadkiem. Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej. – Popatrzył na jeżozwierz. – Nie jesteś dżentelmenem, prawda?

Jeżozwierz pokiwał skwapliwie głową.

– Jestem – wyszeptał.

Logan potrząsnął nim.

– Nie jesteś dżentelmenem, prawda? Mów uczciwie.

Jeżozwierz próbował wyzwolić się z uścisku, wijąc się jak... no cóż, jak jeżozwierz.

– Nie, nie jestem.

– Mam wszystko pod kontrolą – powiedziałam. – Spokojnie mogłam sama wywalić stąd i jego, i tych jego bladych kumpli w fikuśnych kombinezonach. Nie musiałeś się wtrącać.

– Chciałem ci pomóc.

Z bliska jego oczy były zielone, ze złotymi cętkami. Na zdjęciach w gazetach nie było widać tych cętek. Czarne rzęsy, kurze łapki w kącikach oczu. Przystojniak.

– Pomóc mi? Nie potrzebuję pomocy. – wściekłość buchała ze mnie niczym para.

– Musisz to zrozumieć, Logan – zawołała Bary Lynn, machając młotkiem. – Faceci przystawiają się do Meredith bez przerwy. Ona robi z nimi porządek, a potem życie toczy się dalej. Taką mamy rozrywkę. Lepsza jest tylko moja loteria świąteczna. Uwaga, wszyscy: do świąt zostało niecałe sześć tygodni. Zaczynjcie już kupować nowe zabawki. Jest kryzys, wiele dzieci będzie w tym roku bezskutecznie czekało na

prezenty. Potrzebuję zwłaszcza rowerów. Jest tu parę osób, które nie narzekają na pustki w portfelu. Hej, wy! Liczę na was i czekam na stopy zabawek i rowerków. Prezenty zostawiamy pod choinką, tam, w rogu. Pamiętajcie: kto nie da zabawki, dostanie zakaz wstępu do mojego baru w przyszłym roku.

Kątem oka widziałam podnoszone do góry kubki. W ten sposób wyrażamy aprobatę. Nikt nie chciał dostać rocznego zakazu wstępu; to byłaby po prostu tragedia.

Logan potrząsnął głową.

– Życie nie potoczy się dalej, dopóki ten gość – potrząsnął jeżozwierzem, który poszarzał ze strachu i, Barry Lynn miała rację, przygarbił ramiona – nie przeprosi. Potem on i jego koledzy stąd wyjdą, a życie będzie toczyło się dalej.

Jeden z bladolicych nerwusów postanowił przemówić:

– Nie, no dajcie spokój... – powiedział pojednawczo. – Głupio wyszło, przepraszamy. Wiecie, nie jesteśmy stąd...

– Ojej, naprawdę? – prychnęła wiedźma Vicky, nie kryjąc rozdrażnienia. – Pasujecie tutaj jak różowe flamingi do mojego rancza.

– Logan, jeśli Meredith potrzebuje jakiejś pomocy, to wyłącznie w sprawie kowbojskich kapeluszy – zawołała wiedźma Katie. – Jest od nich uzależniona; to prawdziwa zakupoholiczka.

Podniosłam brew, widząc wyraz jego twarzy.

– Każda dziewczyna ma swojego bzika. Ja akurat lubię swoje kapelusze. Różne kolory, różne style... na różne dni i nastroje.

Dobrze wiedziałam, skąd wzięła się moja obsesja na tle ładnych kapeluszy. W ten sposób odwracałam uwagę od czego innego, tego czegoś we mnie, co ładne nie było.

– Czasami jestem w złym humorze, więc zakładam czarny. Kiedy nastrój mi się poprawia, zamieniam go na różowy z brązową wstążką. Wiesz, jak to jest.

Pokręcił głową.

– Nie, nie wiem.

– Czy mógłbyś...? – zaskrzeczał jeżozwierz. – Czy mógłbyś mnie puścić? Proszę!

Logan puścił go. Wyciągnęłam nogę, obutą w kowbojkę,

i zatrzymałam go w locie, dzięki czemu usiadł ciężko na tyłku.

– A teraz, skoro już siedzisz, posłuchaj – powiedziałam, nachylając się nad nim. – Nie czekałam, żebyś mnie zaczepił. Nie prosiłam się o to. Powiedziałam ci, żebyś się odsunął, ale tego nie zrobiłeś, więc musiałam wachać twój pijacki oddech. To było obrzydliwe. Dotknąłeś pasma włosów, o którym mój tata mawia, że to błogosławieństwo i znak od przodków. To mnie zdenerwowało. Zrzuciłeś mi z głowy kowbojski kapelusz. To mnie wyprowadziło z równowagi. Nie wolno tak traktować dam, rozumiesz to, bladawcu? Nie jesteśmy zabawkami. Nie zostałyśmy stworzone dla waszej rozrywki. Jesteśmy ludźmi i mamy dużo więcej szarych komórek niż wy. Zapamiętaj sobie: nie jestem pod wrażeniem twoich pieniędzy i tego, że mógłbyś kupić wszystkie eleganckie knajpy w tym mieście. Przy okazji, w Montanie nie mamy jachtów. Drażnią mnie takie bufony jak ty. Bufony są chwiejne. Nie znoszę chwiejnych facetów. Jeśli nie umiesz zaprezentować się kobiecie bez durnych przechwałek, nie jesteś mężczyzną. Załapałeś?

Skinął głową.

– Załapałem – wyszeptał przerażony.

– A teraz wyjdź! – poleciłam mu.

– Nie – wtrącił się Logan.

– Co takiego? – wyprostowałam się.

– Powiedziałem: nie.

– Co: nie? – Skrzyżowałam ręce na ramionach. Nie lubię słowa „nie”; w pewnym okresie życia słuchałam go wystarczająco często, żeby teraz go nie tolerować.

– Nie, nie wyjdzie, dopóki nie przeprosi.

– Dobry pomysł – wtrąciła Barry Lynn.

– Świetnie – zgodził się Howard. – Niech powie, że jest mu przykro. Zachował się nieelegancko.

– Racja, też tak uważam – dodał Norm. – Przeprosiny się należą.

– A wy trzej – Logan patrzył na kumpli jeżozwierza – przeprosicie za to, że pozwoliliście, żeby wasz przyjaciel zaczepiał damę, zamiast przypilnować, żeby ruszył stąd tyłek, zanim zrobił się chamski.

Ci trzej gapili się na Logana. Bo on rzeczywiście robił wrażenie. Zwalisty. Silny. Niezadowolony. Twarz twardziela, zahartowanego

w boju. Kowbojskie buty, oczywiście zniszczone i zdarte. Dżinsy. I, cholera, niezły tyłek.

– Mówiłam ci, że sobie poradzę – powtórzyłam z uporem, chociaż tyłek mi się podobał.

– Teraz ja sobie radzę.

– Nie, nie radzisz sobie. To nie działa w ten sposób, że możesz tak po prostu wpaść sobie tutaj i przejąć pałeczkę. Skończę z tym sama.

– Możesz skończyć po mnie.

Co? O nie!

– Dzięki, ale mam zamiar załatwić to po swojemu.

– Pozwolisz, dziewczyno zafiksowana na kapeluszach? Czekamy na przeprosiny – zwrócił się do przybysza.

Jeżozwierz i jego koledzy usiłowali się wymknąć z pułapki, ale to był kiepski pomysł. Trzy Wiedźmy zagroziły im drogę; dołączyli do nich inni miejscowi, krzyżując ręce na ramionach.

– Hej, a wy dokąd? – zastąpiła im drogę wiedźma Katie. – Przyjechali do Montany, żeby sobie poszaleć, poprzebierali się jak pajace w te fikuśne ubranka, przyleźli do naszego baru, zaczepiali kobietę, a teraz chcą wyjść niby nigdy nic? Bez przeprosin?! Jeszcze czego! Ja tam uważam, że Logan ma rację.

– Ale ja mam w nosie ich przeprosiny! Chcę, żeby stąd poszli precz i żebym sobie mogła w spokoju wypić piwo i zająć się tym tam Dzienniczkiem Wdzięku od Vicky.

– Dzienniczkiem Wdzięczności – poprawiła mnie Vicky. – Masz w nim zapisywać, za co jesteś wdzięczna.

Spojrzałam na Logana.

Uśmiechnął się do mnie z wysokości swoich dwóch metrów.

– Ja na przykład jestem wdzięczny za to, że podoba mi się twój kapelusz.

– Nic mnie nie obchodzi, za co jesteś wdzięczny – odpowiedziałam ponuro. – Nie spodziewaj się, że ci zacznę dziękować, bo ani mi to w głowie.

– Nie prosiłem, żebyś mi dziękowała.

– I słusznie.

– Dobra, dobra – wtrącił jeden z kumpli jeżozwierza. –

Wychodzimy. Przepuście nas i skończymy całą sprawę polubownie.

– Przepróście! – zakomenderował Logan.

– Ja nie mam za co przepraszać – wyjąkał jeden z nich. – Nie zrobiłem nic złego; to Mervin oberwał. Dalej, zróbcie nam przejście, bo jak nie, to dzwonię po policję.

Wybuch śmiechu.

Zaczerwienił się.

– Połowa posterunku policji tu siedzi, synu – powiedział Norm. – Yun, zechcesz się zająć tą sprawą?

Podkomisarz Yun potrząsnął głową.

– Ani mi to w głowie.

– To ja dzwonię do mojego adwokata! – zawołał drugi z kumpli jeżozwierza.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Dzwon! I powiedz mu, żeby wziął ze sobą spluwę – poradziła wiedźma Katie. – Chętnie zobaczę mały pistolecik twojego prawnika. Chętnie też obejrzę wasze malutkie pistoleciki. Bo wasze pistoleciki są mikroskopijne, prawda?

– Przypuszczam, że jego pistolet jest tej samej wielkości, co pistolet tego szczura, który łąził mi dziś rano po szopie – powiedziała Vicky, odrzucając do tyłu kasztanowy koński ogon, poprzetykany nitkami siwizny. – W końcu zeżarł go mój kocur.

– Statystycznie biorąc, nie macie szans wygrać tego w sądzie – powiedziała Hannah, mrużąc oczy za okularami. Hannah wykłada matematykę w tutejszym college’u. Ma obsesję na punkcie matematyki. W piątkowe wieczory loguje się do sieci i rozwiązuje zadania matematyczne razem z innymi maniakami z całego kraju. – To była obrona konieczna.

Logan Taylor objął wzrokiem całą czwórkę.

– Ostatni raz mówię wam, żebyście przeprosili Meredith. Liczę do trzech. Raz, dwa...

– Przepraszamy! Przepraszamy! Naprawdę, bardzo, bardzo przepraszamy. O Jezu!

– Proszę pani, przepraszam, słyszy pani? Przepraszam, że panią zaczepiałem....

– Nie przyjmuję przeprosin – powiedziałam – ale może pokażę wam mój lewy sierpowy?

Wybiegli, zanim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć: „Wesołych Świąt”.

Spojrzałam na Logana, a on wyszczerzył w uśmiechu do mnie zęby.

– Poświęcisz mi chwilę? – zapytałam.

Ależ był przystojny! Tylko że ja miałam zamiar całkowicie, w stu procentach zignorować ten skądinąd przyjemny fakt. Gdybym tego nie zrobiła, nie przyniosłoby mi to nic dobrego, tylko więcej bólu.

Wiedziałam o tym.

Wiedziałam.

– No, chodź, ty napakowany testosteronem kowboju. Wyjdź ze mną na zewnątrz, to coś ci powiem. – Ruszyłam do drzwi.

Poszedł za mną.

Rozdział 2

Mieszkam na drugim piętrze trzykondygnacyjnego budynku z czerwonej cegły, zbudowanego w 1889 roku. Kupiłam go rok temu i przebudowałam na pensjonat z kawiarenką.

Ze swojej sypialni na poddaszu mam widok na całą Telenę i góry Elk Horn. Czuję się jak w ogromnym, starym domku na drzewie; domu, do którego ktoś wstawił żeliwną wannę na nóżkach.

Moja sypialnia to idealna świątynia zadumy. Łóżko z baldachimem przykryłam bladożółtą narzutą w kwiaty, na której ułożyłam stertę białych poduszek; baldachim także jest biały. Mam też białą toaletkę i biurko, i stertę książek obok nocnej szafki. Jak Logan wyglądałby w moim łóżku? Odpędziłam tę myśl, bo razem z nią przyszła wizja niesmaku, który odmalowałby się na jego twarzy, gdyby dowiedział się o mnie tego, o czym wiem tylko ja.

Na drugim piętrze znajdują się jeszcze dwie sypialnie, przeznaczone dla Sarah i Jacoba, dzieci mojej siostry, które są po przejściach i teraz mieszkają ze mną, jest też salon z przeszkłonymi drzwiami, prowadzącymi na niewielki taras, i łazienka.

Mój dom ma rurę na węgiel, którą, co oczywiste, zsypywano kiedyś węgiel. Mam też starą powozownię, w której, co zrozumiałe, trzymano kiedyś powozy i konie. Schody mają nisko umieszczoną poręcz, ponieważ w czasach, gdy wybudowano dom, ludzie byli dużo niżsi niż dziś. Sufity na parterze i pierwszym piętrze zdobią szerokie, białe listwy. Na dole mamy jeden pokój gościnny; jest też salonik, w którym znajduje się kominek i pianino, słoneczna jadalnia, także z kominkiem, i kuchnia. Na pierwszym piętrze zmieściły się cztery pokoje, wyposażone przeze mnie w łóżka z baldachimami, drewniane kufry, staromodne tapety, pudła na kapelusze i ozdobne szafy.

Nazwałam pensjonat „Hotelikiem Meredith”, ponieważ w tamtym czasie byłam zestresowana tak potężnie, że nie przyszło mi na myśl nic mądrzejszego.

Pokopałam trochę w papierach, i okazało się, że historia mojego

domu jest ciekawsza od niejednej książki. Zbudował go żydowski kupiec. Miał pięć córek i żonę. Jedna z dziewcząt wyszła za mąż za chłopca, mieszkającego po sąsiedzku; inna uciekła z miasta ze skazańcem. Zgaduję, że musiał to być przystojny skazaniec.

Mieszkał tu także zarządca linii kolejowej, po kolei z trzema różnymi żonami, ponieważ owdowiał trzykrotnie. Miał dziewięcioro dzieci, nosił cylinder i zegarek na łańcuszku. Jego zdjęcie oprawiłam i powiesiłam przy wejściu. Na jakiś czas ulokował się tu też właściciel kopalni, człowiek samotny, który najwyraźniej lubił kobiety. Pewien milioner spędził w tym domu dwadzieścia lat, nigdy nie wychodząc na zewnątrz. A w pewnym okresie budynek należał do trzech sióstr. Jedna z nich była właścicielką baru, druga pracowała w kościele, trzecia zaś była lekarzem i dbała w Telenie o kontrolę urodzeń. Zgłaszało się do niej wielu „dżentelmenów”. Swego czasu mieścił się tutaj także „dom o złej sławie”, co potwierdzała treść artykułu w starej gazecie. Prowadziła go pani o zaiste frywolnym imieniu i nazwisku, Hearty Tailfeather[6].

Kupiłam dom od kobiety, która chciała wyprowadzić się z Teleny i założyć farmę. Słyszałam, że kupiła ponad dwieście kur i sprzedaje jajka i czosnek do wszystkich lokalnych sklepów. Nazywają ją Panią Jajo. Słyszałam też, że przepowiadała ludziom, co ich czeka w przyszłości. Nie uważała się jednak za wróżkę, ale za „jasnowidzkę”. Nie narzekała na brak klientów.

Czasami myślę, że coś z ducha dawnych właścicieli zostaje na zawsze w murach starych domów. Ich przeżycia, wspomnienia, problemy, ich łzy, śmiechy i radości, ich lęki i nadzieje wciąż tu są; snują się wśród ścian i żyrandoli, zalegają w szparach drewnianych podłóg.

Kiedy słyszę odgłos kroków, nawet gdy jestem w domu sama, wzruszam tylko ramionami. Kiedy słyszę rżenie konia albo skrzypienie kół powozu, nic sobie z tego nie robię. Na dźwięk kilku taktów melodii z lat dwudziestych, nie zamieram, oniemiała, ze zdumienia. Słyszac kobiece szepty, zaplątane w koronkową zasłonę, trzepoczącą na wietrze, nie boję się, że oszalałam.

Być może serce tej dziewczyny w długiej, falbaniastej spódnicy, z różową parasolką, w zapinanych, czarnych bucikach, złamał

lekkomyślny młody człowiek...

A może ona biegnie się przebrać; za chwilę schwyci w biegu czepek i wsiądzie do następnego pociągu, wyjeżdżającego z miasta, żeby rozpocząć nowe życie w Kalifornii...

Wiem tylko jedno: mój stary dom, razem ze swoją historią, będzie tu stał jeszcze długo po moim odejściu.

Może kiedyś wrócę, żeby go nawiedzać.

Tej nocy przyśnił mi się wypadek.

Chodnik pod moimi plecami był zimny i mokry od deszczu, księżycowy blask oświetlał samochód moich rodziców, przewrócony, leżący w rowie. Oddychałam z trudem, jak gdyby ktoś mnie dusił; moje ciało słabło, zamarzało.

– Meredith! Gdzie jeeesteees? – zawołała śpiewnie moja siostra, a po chwili zachichotała, zbliżając się do samochodu. – Ale numer! Jak myślisz: szybko jechałyśmy?

Usłyszałam warkot motocykla, a po chwili nachylił się nade mną jakiś mężczyzna; jego biała koszulka migotała w ciemności. Wzrok miał skupiony, poważny, ale spokojny. W tym niewyobrażalnym bólu, w tym strasznym szoku czułam, że jego spojrzenie mnie uspokaja.

– Zostań ze mną... – mówił. – Zostań...

Ściągnął białą koszulkę i podarł ją na strzępy. Nie miałam pojęcia, po co to robi; nie rozumiałam też, co robi z moją lewą nogą, która paliła jak ogień. Nie rozumiałam, dlaczego ten półnagi, brodaty młodzieniec pochyla się nade mną; ból paraliżował moje myślenie.

– Wszystko będzie w porządku.

Z daleka słyszałam chichot mojej siostry.

– Ale jazda! Gdzie jesteś, Meredith? Fajnie było?

Nie, nie było fajnie. Leia zabrała mnie od przyjaciółki, z którą uczyłyśmy się razem do egzaminów końcowych. Ja miałam osiemnaście lat, ona – dwadzieścia jeden. Nie miałam pojęcia, że jest pijana, gdy wsiadałyśmy do samochodu.

Poczułam, że robi mi się ciemno przed oczami.

– Jest czarno... – wyszeptałam. – Dlaczego jest tak czarno?

Zaklął, oderwał się od mojej nogi, ujął w obie dłonie moją twarz.

– Nie patrz w tę czerń! Jak się nazywasz?

Chciałam mu powiedzieć, ale ból, przesywający moje ciało, dotarł do mózgu. Chyba krzyknęłam, a może ten krzyk uwiązał tak głęboko w moim umyśle, że nie zdołałam otworzyć ust, żeby go wypuścić na zewnątrz.

– Jak się nazywasz?!

Potrząsnęłam głową, słysząc, że znowu przeklina, choć wiedziałam, że nie złości się na mnie. Był ogromny, tyle zauważyłam; jego ramiona zasłoniły księżyc, gdy wziął mnie w ramiona.

– Mam w głowie światełko – poinformowałam go.

Było białożółte i poruszało się. Takie śliczne. Takie bezpieczne. Przywodziło na myśl gwiazdę, zdobiącą czubek naszej świątecznej choinki.

– Nie! – krzyknął. – Odwróć się od światełka! Patrz na mnie! Patrz na mnie!!!

Moja siostra, gdzieś daleko, zachichotała znowu, a jej głos odbił się echem od gałęzi drzew.

– Hooo! Hooo! Ale dachowałyśmy!

Spojrzałam w te oczy, tuż przy mojej twarzy, czując, że ulatuje ze mnie oddech. Moje ciało unosi się w powietrzu; ból wreszcie ustępuje i spowija mnie złoty blask. Zobaczyłam jeszcze tylko, że chłopak sięga do brzegu mojego podkoszulka, żeby rozedrzeć go na pół. Zdążyłam poczuć zażenowanie, że zobaczy mój brzydki, beżowy stanik, a potem były już tylko gwiazdy, po chwili zaś one też zgasły i wszystko zasnuła czerń.

To nie była dobra czerń. To była czerń, która mówiła: „Skończyło się. Witaj w niebie!”

– Mam dosyć. Nie zniosę tego ani sekundy dłużej! Ludzie! Próbowałam was jakoś pozbiierać do kupy, przekonać, że warto, żeby Festiwal Koncertów Świątecznych w Telenie stał się uroczystym wydarzeniem. Tak, próbowałam dźwignąć to do jakiegoś poziomu, ale dość tego! Nie mam zamiaru dłużej tu marnować swojego cennego czasu, skoro nie akceptujecie mojej wizji. – Ava Turner wypięła dumnie klatkę piersiową, okrytą eleganckim sweterkiem.

Miałam wielką ochotę przewrócić oczami i wyjść. Byłam przekonana, że pozostałych dziesięć osób zgromadzonych w sali

widowiskowej czuje dokładnie to samo. Wyobraziłam sobie Avę kręcącą hula-hop, wycięte z wielkiego, kwaśnego grejpfruta.

– Jestem reżyserem Festiwalu Koncertów Świątecznych w Telenie od dwóch lat – przypomniała wszystkim Ava – i nie pozwolę, żeby ktokolwiek kwestionował mój autorytet.

Trzy osoby jęknęły, jedna parsknęła. Ktoś powiedział cichutko:

– A ja wykorzystam s w ó j autorytet, żeby cię aresztować za nieznośne zachowanie.

Była to policjantka Pauline. A Val Porter, osiemdziesięciolatka, elokwentna od co najmniej siedemdziesięciu ośmiu lat, o czym mogli zaświadczyć wszyscy, którzy ją znali, zauważyła cierpko:

– Ach, do diabła z tym! Nie jesteś dyktatorem, Ava. Działamy jako komitet, więc i decydujemy razem.

– Razem? – głos Avy stał się piskliwy. – To nie jest ruch hippisowski. Ja jestem reżyserem. Możecie zgłaszać swoje sugestie, ale ostateczne decyzje co do kształtu imprezy podejmuję ja...

– Tak, razem – przerwała jej Val chrypliwie. – Potrzebujemy zmiany. Jest nas coraz mniej, odkąd Chit Holcomb odszedł trzy lata temu, niech go Bóg błogosławi!

Chit, siedemdziesięciolatek, owdowiały przed dziesięcioma laty emerytowany udziałowiec firmy naftowej, postanowił spędzać zimy w Arizonie zamiast w Montanie. „Coś mi się zdaje, że jeśli będę mieszkał na zmianę w dwóch stanach, prędzej znajdę sobie żonę – tłumaczył. – Bo przecież nic mi nie brakuje, nie sądzisz, Meredith?”. Zapewniłam go, że oczywiście ma rację, a on, zadowolony z siebie, zajadał się truskawkowymi goframi w kształcie wyścigówek, które piekłam specjalnie dla niego.

– Bóg z Chitem! – wymamrotała Pauline. – I Bóg ze mną, bo mam ochotę zakneblować Avę.

– W zeszłym roku było nas mniej, ale mieliśmy lepszą publiczność – wykształconą, kulturalną grupę, która doceniła koncert wysokiej klasy – prychnęła Ava.

– Było nudno – stwierdził Howard rzeczowo. – Nudno. Same uroczyste pieśni bożonarodzeniowe. Muzyka klasyczna. Zero rozrywki, zero śmiechu, zero żartów. To była porażka.

Zdawało się, że Ava eksploduje.

– Ja wnoszę klasę do tego sennego miasteczka. Klasę! Chit nie miał wykształcenia muzycznego, nie był reżyserem, nie miał doświadczenia w pracy z chórem. Potrzebujemy hymnów, a nie walenia w bębny. Melodii, a nie rapu. Poważnego chóru, a nie hardrockowego koncertu. Klasy!

– Jeśli nie będzie darmowego piwa, przyjdzie jeszcze mniej ludzi, chyba że zdołamy jakoś ożywić te potworne nudy – powiedziała Barry Lynn. – Nie możemy sobie pozwolić na odstraszenie turystów. Wszyscy potrzebujemy klientów.

– Chcesz powiedzieć, że na mój koncert ludzie nie przyjdą?

– Prędzej zobaczę pijanego elfa w barze niż ludzi na tym koncercie – odparła Barry Lynn. – Wszyscy już wiedzą, że ostatnio było nie lepiej niż na pogrzebie; brakowało tylko płaczek, nieboszczyka i kadzidła. No i nikt nie kupił biletów.

– No cóż, ja...! – prychnęła Ava, a jej pierś znów zafalowała gwałtownie.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– A ja, Avo, myślę – starałam się mówić do niej łagodnie, co bywa dla mnie trudne – że musimy... no... musimy postawić na nowoczesność... Powinniśmy trafić do szerszej publiczności, zachęcić młodych ludzi, żeby przyszli, przyciągnąć rodziny, dzieciaki z college'u...

– To nie jest rodzinna impreza.

– A szkoda! – krzyknęła Barry Lynn. – W końcu to przecież święta; słyszała pani może o świętach, panno Scrooge[7]?

Kłótnia ciągnęła się bez końca; kiedy zaczęłam już przysypiać, Ava po raz kolejny wypięła biust pod swoim nieskazitelnym sweterkiem i oznajmiła:

– W porządku. Powiedzieliście, co mieliście do powiedzenia. Wychodzę zatem, a to oznacza, że rezygnuję z bycia waszym reżyserem. Nie mogę poprzeć takiej inicjatywy, bo ona jest dla mnie nie do przyjęcia. Chcecie zrujnować moją reputację!

Chwyciła torebkę, a jej podbródek dygotał z oburzenia, gdy uniesionym palcem wskazała na drzwi i zapowiedziała:

– Jeśli stąd wyjdę, to już nie wrócę!

Ciekawa byłam, czy ktokolwiek zechce ją zatrzymać.

Zwolniła kroku, gdy nie przestając perorować, powoli zbliżała się do drzwi.

– Jeśli teraz wyjdę, wszyscy pożałujecie.

Nikt się nie poruszył.

– To wasza ostatnia szansa. Beze mnie zrobicie totalną klapę!

Nikt nawet nie mrugnął okiem. Ava oblała się krwistym rumieńcem, obróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Było cicho przez mniej więcej dwie sekundy, a potem Pauline poklepała mnie po plecach.

– Będiesz świetnym reżyserem, Meredith.

– Ja? – zapytałam oszołomiona.

– Tak, ty – ożywił się Howard. – To będzie piękne wydarzenie. To będzie... bomba. Po prostu bombowy koncert!

To mnie zaintrygowało. Bombowy koncert?

– Kto jest za Meredith? – spytała Barry Lynn, podnosząc dłoń.

Ręce pozostałych wystrzeliły w górę, zanim zdążyłabym wypowiedzieć słowa: „Drogi Mikołaju, okropny z ciebie grubas”.

– O, nie! Nie.

– Ho, ho, ho! – zawołała Pauline.

– Hej, kolęda, kolęda! – dodała Barry Lynn.

– O, nie – powtórzyłam, czując przypływ paniki. – Nie mogę.

– Możesz! – zawołała Val. – Będiesz śliczną Mikołajką, moja droga. A kto będzie twoim Mikołajem? Potrzebujemy też Matki Boskiej!

– Nie ja – byłam przerażona. – Weźcie kogoś innego!

Ale wszyscy inni raczyli się już truskawkowym ciastem anielskim, które przygotowałam. Uznali, że sprawa jest załatwiona, i już.

Ja, Meredith Ghirlandaio, walcząca o przetrwanie, nieludzko zapracowana właścicielka pensjonatu, zwariowana zastępcza matka dwójki dzieciaków po przejściach, mam być reżyserem Festiwalu Koncertów Świątecznych w Telenie.

– To jest przepyszne, Meredith – pochwalił mnie Howard. – Po prostu boskie.

Ukryłam twarz w dłoniach.

Dlaczego nagle zatańczyła mi przed oczami uśmiechnięta twarz Logana Taylora?

* * *

Nikt normalny nie siedzi o pierwszej w nocy w jadalni, ozdabiając świąteczną choinkę białymi aniołkami i różowymi lampkami. Żadna normalna kobieta nie myśli bez przerwy o facecie, chyba że jej odbiło.

Chyba mi odbija.

Logan. Taylor. Taylor, Logan. Meredith Taylor. Och, przestań natychmiast!

Dlaczego on musi nazywać się tak romantycznie? Dlaczego jest takim wysokim, przystojnym twardzielem? Dlaczego ma taką szeroką klatę, do której tak bardzo chciałabym się przytulić? Dlaczego ma aksamitny głos, który sprawia, że przechodzą mnie ciarki?

Dlaczego ciągle odtwarzam w myślach nasze ostatnie spotkanie...?

– Cześć. Jestem Logan Taylor.

Zignorowałam jego wyciągniętą dłoń. Staliśmy przed barem – wyciągnęłam go na zewnątrz po tym, jak pozbyliśmy się w końcu pijanego jeżozwierza i jego kumpli. Płatki śniegu spadały z nieba i było zupełnie jak w jednym z tych świątecznych filmów w telewizji. Tyle że bohaterki tych filmów nie mewają zwykle ognistego temperamentu i potężnego prawego sierpowego.

– Wiem, kim pan jest, panie macho. Nie potrzebowałam pomocy. Pamiętasz jeszcze, jak się żyje w Montanie? A może nie było cię tu tak długo, że zdążyłeś zapomnieć? Kobiety w Montanie przedzierają się przez burze śnieżne, polują i strzelają do grzechotników, które podpełzły za blisko domu. Barry Lynn prowadzi ten bar i kiedy trzeba, potrafi pogonić kota bywalcom. Moja przyjaciółka Katie urodziła wszystkie swoje dzieci bez znieczulenia, a moja druga przyjaciółka, Vicky, jest jedną z najbardziej znanych ranczerek w całym stanie.

– Nie zapomniałem – Logan przeciągał samogłoski, patrząc na mnie z uśmiechem. – Rodzina mojej matki mieszka tutaj od czterech pokoleń. Moja ciotka umiała zastrzelić komara z odległości pięćdziesięciu stóp, a prababcia wygrywała z mężczyznami zawody w picie i potrafiła powalić byka na ziemię. Doskonale znam silne

i odważne kobiety z Montany.

– W takim razie to był podwójny błąd, że się wtrąciłeś. Żałosny pokaz przewagi nad słabszą płcią.

Uniósł brwi; widziałam, że z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Uważasz, że jestem zabawna? – prychnęłam. Czy pożądanie może doprowadzić kobietę do omdlenia, czy takie rzeczy dzieją się tylko w romantycznych filmidłach?

Uśmiechnął się szerzej.

– Tak, Meredith, wydajesz mi się zabawna... do pewnego stopnia. Ale mogę też o tobie powiedzieć wiele innych rzeczy.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

Zawahał się.

– Słyszałem o tobie.

O, do jasnej cholery i świątecznych dzwoneczków! Co takiego słyszał?

– No i...? – prychnęłam.

– No i cieszę się, że się spotkaliśmy.

Skrzyżowałam ręce na ramionach.

– Cieszysz się, wielkoludzie? A to niby dlaczego?

Podszedł bliżej, a ja za wszelką cenę starałam się nie zemdleć, ale... O rety, gdyby ktoś powiesił nad nami jemiołę, musiałabym bardzo mocno się powstrzymywać, żeby go nie objąć i nie pocałować.

Logan Taylor z pewnością nie był mięczakowaty, blady ani słaby. Co za facet!

On też ucieknie, jak wszyscy inni, więc daj sobie spokój z tymi uniesieniami, powiedziałam sobie. Nie nakręcaj się.

– To wielka przyjemność poznać kobietę, która potrafi znokautować obrzydliwego pijaka, nosi czerwony kowbojski kapelusz i ma niezłomny charakter. Słyszałem też, że pieczesz pyszne ciasta. Słyszałem o twoich tostach francuskich z syropem malinowym domowej roboty... że przywodzą ludzi do grzechu. O włoskim omlecie, przy którym inne omlety chowają się ze wstydu. O bułeczkach cynamonowych, pieczonych według sekretnego przepisu...

– Lubię nokautować obrzydliwych pijaków, uwielbiam swój czerwony kapelusz, a moje omlety są niezrównanie lekkie i puszyste.

Nigdy nie zdradzę przepisu na Słynne Cynamonowe Bułeczki Rodziny Ghirlandaio, ale nie mam niezłomnego charakteru.

– Owszem, masz.

– Uważasz, że tak jest, tylko dlatego, że umiem sama obronić się przed żalonym pijakiem?

– Chodziło mi raczej o sposób, w jaki się bronisz.

Te oczy, zielone oczy ze złotymi cętkami, iskrzyły, gdy na mnie patrzył. Bez żartów. Naprawdę w nich iskrzyło!

– To znaczy? – wciąż boczyłam się na niego.

Zamilkł i spoważniał.

– Dzielnie. Pewnie. Spokojnie. Jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

– On... dotknął moich włosów!

Wzrok Logana padł na biały kosmyk moich włosów.

– Nie lubisz, kiedy ktoś dotyka twoich włosów?

– Nie on.

Skinął głową, już zupełnie poważny.

– Rozumiem. Trafiłaś na bezczelnego, chamowatego gnojka.

Gdybym zjawił się wcześniej, usunąłbym go sprzed twoich oczu natychmiast, żebyś nie musiała mieć z nim do czynienia.

– Umieję się bronić sama – powtórzyłam, ale wypadło to raczej słabo.

Niech będzie. Przyznaję, że może była jakaś odrobinka romantyzmu w tym, że mężczyzna chce być opiekuńczy i chronić kobietę. Czy taka myśl jest zdradą feministycznych ideałów?

– No dobra, twardzielu, miło było cię poznać, ale trzymaj się z dala od moich spraw i mojego życia. I nie próbuj mnie więcej ratować. Aha, i Wesołych Świąt! – Odwróciłam się, żeby wejść z powrotem do baru, ale chwycił mnie za ramię.

– No dobra, twardzielko, miło było cię poznać. Nie będę wtrącał się w twoje sprawy co najmniej do jutra, nie będę mieszał ci w życiu, chyba że mnie o to poprosisz albo wproszę się sam. Wesołych Świąt! Chciałbym się z tobą umówić.

Nie. Nic z tego. To byłaby katastrofa.

– Dlaczego chcesz się ze mną umówić? Nie byłam dla ciebie miła,

nawrzeszczałam na ciebie, nazwałam cię kowbojem pełnym testosteronu i zażądałam, żebyś przestał traktować mnie jak damulkę w opałach. To chyba nie najlepszy początek znajomości.

Podszedł tak blisko, że gdyby nie mróz, z pewnością poczułabym bijące od niego ciepło. Och, jaki piękny był ten jego kowbojski kapelusz! Kowbojskie kapelusze są takie charakterne, takie amerykańskie i seksowne zarazem.

– Odpowiem ci tak, Meredith: – ściszył głos – nigdy w życiu nie widziałem takiej kobiety w akcji – odchrząknął, a po moim kręgosłupie przebiegły ciarki; taki był charakterny, amerykański i seksowny. – Jesteś twardą, inteligentną babką. Potrafisz sama się obronić, potrafisz o siebie zawalczyć i nie tracisz przy tym zimnej krwi. Nie zapominasz języka w buzi nawet w chwili, kiedy wysyłasz faceta na deski.

– Chciałam... – speszyłam się znowu. – Uczciwość to najlepszy wybór... – Aż się skuliłam. Uczciwość to najlepszy wybór? Co ja gadam? Zgrywam nauczycielkę?

– Pewnie, że tak, i właśnie jestem z tobą uczciwy. Podoba mi się, że mówisz to, co myślisz; podobają mi się twoje kowbojskie kapelusze; wszystkie, które widziałem w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Lubię słuchać twojego głosu i patrzeć na twój uśmiech. Chciałem ci się przedstawić wcześniej, ale jakoś nie mogłem cię złapać – mrugnął.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza. O rany! Zorientował się, że go unikam!

– Podoba mi się twoja niezależność – znowu się uśmiechnął, a jego zielone oczy błysnęły pogodnie, zachęcająco. – Czy to wystarczy? Mogę cię zaprosić na obiad?

Uszczypnęłam się, czując, że wokół mnie wiruje różowa mgiełka pożądania. Musiałam z tym skończyć. Musiałam go odprawić, zanim sama zostanę odprawiona.

– Nie, nie wystarczy. Słuchaj, testosteronowy kowboju. Nie chcę się z tobą umawiać. Po co? Umówimy się parę razy, zaciągniesz mnie do łóżka i tyle. Potem wrócisz do swojej „pracy” daleko stąd, gdziekolwiek teraz mieszkasz. Szukasz sobie panienki w Montanie, tak? Chcesz się trochę zabawić, jak ci pijani wędkarze, tylko potrafisz ładnie to podać na tacy, prawda? Nie bawię się w takie rzeczy.

Twarz mu spochmurniała, a uśmiech zniknął bez śladu.

– Ja też nie i nie to miałem na myśli. – W jego głosie uchwyciłam ostry ton.

– To dobrze. Bo ja nie jestem tego rodzaju dziewczyną.

– Nigdy cię za taką nie uważałem, Meredith – wycedził, cofając się lekko, jakbym go uderzyła. – Zaprosiłem cię na obiad, ponieważ sądziłem, że moglibyśmy miło sobie pogawędzić, gdybyś na chwilę wyluzowała i dała spokój z tymi atakami. Myślałem, że pośmiejemy się razem, że może namówię cię, żebyś mi pokazała, jaka jesteś pod tą maską nieugiętej wojowniczkki. Naprawdę chciałbym lepiej cię poznać. Czy chciałem umówić się z tobą raz i drugi, zaciągnąć do łóżka, a potem porzucić? Nie. Nie taki był plan. Nie jestem taki. Zawsze oceniasz innych tak surowo?

– Oceniam to, co widzę.

– Oceniasz to, co widzisz? – jego oczy zwęziły się; nie wyglądał już tak łagodnie. – Czy dobrze rozumiem? Wchodzę do baru, wtrącam się w twoją bójkę z jakimś facetem, która za moment przerodzi się w starcie z czterema, podnoszę gościa za fraki, zmuszam wszystkich czterech, żeby cię przeprosili, a ty stwierdzasz na tej podstawie, że zaciągam kobiety do łóżka i je porzucam? Dobrze zrozumiałem?

Pokiwałam głową. Tupeciarz. Przecież miałam rację, nie?

– No cóż, droga Meredith, damo z białym lokiem i imponującym prawym sierpowym, mylisz się. Całkowicie się mylisz.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy wśród wirujących płatków śniegu. Ta kłótnia nie pasowałaby do scenariusza świątecznego filmu.

– Cholera, będą z tobą kłopoty – mruknął. – Nie ma co liczyć na błogi spokój.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, Meredith Ghirlandaio, że jadę teraz do domu, na moje ranczo za miastem, i mam zamiar zobaczyć się z tobą niebawem, żebyś mogła torturować mnie swoim trudnym charakterem.

– O czym ty mówisz? Nie zobaczymy się niebawem...

Logan Taylor otoczył mnie ramieniem, przyciągając mnie blisko do siebie, położył dłoń na moim policzku, pogłaskał mnie po głowie i powiedział:

– Naprawdę chciałbym cię pocałować, ale tego nie zrobię. Jesteś wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju, dlatego mam zamiar najpierw umówić się z tobą na randkę; będę traktował cię jak damę, bo nią jesteś. A potem, kiedy będziesz gotowa i sama mnie o to poprosisz, pocałuję cię – a potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– My? – zapytałam słabo, bez tchu, i przeklełam się w myślach. Gdzie się podziała twarda kowbojka?

– Tak. My. Ale na dziś wystarczy, lady Meredith, życzę pani dobrej nocy.

Wypuścił mnie z objęć i poczułam, jak ciepło ulatuje i znika. Puf. Oparłam się o ścianę najstarszego baru w Telenie, poznaczoną dziurami po kulach, i spróbowałam złapać oddech.

Nadchodziły kłopoty.

Nie miałam co do tego wątpliwości.

6 *Hearty* – (ang.) serdeczna, szczerza, krzepka; *tailfeather* – (ang.) piórko z ogona, pierzasty ogon.

7 Panna Scrooge – nawiązanie do postaci ponurego skąpca, pana Scrooge'a z *Opowieści wigilijnej* K. Dickensa.

Dwa dni później usiadłam obok Jacoba przy pianinie.

– Cześć, Jacob.

Jacob zdjął dłonie z klawiszy i opuścił je na kolana. Otoczyłam go ramieniem. W pierwszej chwili zeszywniał, potem jednak poddał się uściskowi.

– Wszyscy niesamowicie chwalili dzisiaj twoje świąteczne granie, wiesz?

To była prawda. W soboty i niedziele, od dziewiątej do pierwszej po południu, nasza sala jadalna pękała w szwach. Jacob, dwunastoletni geniusz muzyczny, zwykle grywał przez trzy, trzy i pół godziny. Ludzie dzwoniли, żeby zapytać, kiedy znowu zagra.

– Zagra, kiedy będzie miał na to ochotę – odpowiadałam zawsze. Teraz spojrzałam na słoik, do którego wrzucali napiwki. – Zdaje się, że znowu zarobiłeś masę kasy.

Jacob miał gęstą, kasztanową czuprynę i ogromne, brązowe oczy, w których jak w lustrze odbijały się wszystkie jego uczucia. Niestety, odzywał się rzadko. Kiedy zapytałam go, dlaczego kocha pianino, odparł:

– Lubię czuć muzykę pod palcami.

Gdy chciałam wiedzieć, dlaczego codziennie grywa po kilka godzin, odpowiedział:

– Bo kiedy jestem blisko pianina, nie czuję się samotny.

Zapytany, jak mu idzie w szkole, odrzekł:

– Niezbyt dobrze. Inne dzieciaki uważają, że jestem dziwny. – W zeszłym roku z nikim się tu nie zaprzyjaźnił. – Nikt mnie nie lubi. Zawsze jestem albo sam, albo mi dokuczają. Jestem niewidzialny.

Dzieciństwo Jacoba i Sarah było, jak dotąd, beznadziejne. Choć ich matka, Leia, i ja, urodziłyśmy się i wychowałyśmy tutaj, Leia wyjechała i odkąd skończyła szkołę średnią, włóczyła się od miasta do miasta. Jacoba i Sarah spłodzili dwaj różni faceci – obaj zniknęli zaraz potem bez śladu.

Nasi rodzice usiłowali widywać się z wnukami najczęściej, jak mogli, o ile tylko byli w stanie namierzyć swoją córeczkę. Ja zabierałam ich każdego lata na trzy tygodnie do Nowego Jorku od czasu, gdy Sarah skończyła pięć, a Jacob trzy lata. Tak bardzo się z tego cieszyli i tacy byli wdzięczni, że serce krajało się na ten widok. Żadne dziecko nie powinno tak skwapliwie jak moja siostra korzystać z możliwości oddalenia się od matki.

Wreszcie Leia osiadła na stałe w małym miasteczku w Idaho, a po mniej więcej sześciu miesiącach oznajmiła:

– Nie będę matką ani minuty dłużej. Muszę odzyskać własne życie. Mój duch został zmiażdżony, a moje serce domaga się wolności. Macierzyństwo nie jest moim przeznaczeniem. Niestety, kochani.

Zostawiła dzieci u sąsiada i zadzwoniła do mnie.

– Przykro mi, Meredith! I tak wolą ciebie ode mnie.

Przykro. Było jej przykro. No cóż, do cholery, przeprosiny nie zostały przyjęte, ty samolubna krowo! Przełknęłam złość, choć miałam wiele powodów, żeby wściekać się na siostrę. Wiele i bardzo skomplikowanych.

Moi rodzice, lekarze, postanowili zostawić nową klinikę, którą zbudowali właśnie dla dzieci w Afryce, i wrócić, żeby zaopiekować się wnukami. Nie przemówił do mnie ten pomysł. Mieli zrezygnować z pomagania tamtym maluchom? O, nie! Po długiej walce z sobą samą, oblanej litrami łez, zrezygnowałam z posady szefowej kuchni w nowojorskiej restauracji, spakowałam się i poleciałam do Lei.

– Tak mi przykro, córeczko – mówił ojciec, zrozpaczony. – Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego, co Leia ci zrobiła. Nie byliśmy w stanie jej okiełznać. Wiem, jak trudno ci było znosić te jej zmienne nastroje, fochy, awantury, a potem jeszcze ten wypadek... Wiesz, kiedy Leia miała zaledwie dzień, pielęgniarka w szpitalu upuściła ją na podłogę. Uderzyła się wtedy w główkę. Może to wszystko dlatego?

– Nie, to moja wina! – jęczała mama. – W mojej rodzinie w Anglii, w każdym pokoleniu, przytrafia się taka jedna dziewczynka. Absolutnie nieznośna. U nas padło na twoją siostrę. To klątwa królewska, wiem o tym. Ileż ja łez wylałam przez tę dziewczynę!

Już odbierając dzieci od sąsiadki wiedziałam, że nie mam czego

szukać w tamtej okolicy. Podziękowałam więc serdecznie tej obcej kobiecie, spakowałam rzeczy dzieciaków, za niemal wszystkie swoje oszczędności kupiłam dom z czerwonej cegły i, jak mawia moja matka, „zaczęłam nowe życie”.

Wyjazd z Idaho okazał się dobrą decyzją. Leia, jak zawsze i wszędzie, zdążyła tam doszczętnie zrujnować sobie reputację. Spędzała mnóstwo czasu w barach i spotykała się z wieloma mężczyznami – na ogół bywali nieżonaci. Jacob i Sarah byli z tego powodu przedmiotem niekończących się drwin ze strony innych dzieci. Było to rozdzierające.

– Chodź tu, Jacob, zrobię ci moje Niezrównane Jajka po Benedyktyńsku ze Zwariowanym Krabem.

Podniósł ku mnie swoją szczupłą, bladą, smutną buzię; patrzyłam na niego i myślałam, że pęknie mi serce.

– Dorzucę do tego Tosty Francuskie z Jagodowym Szokiem, wycinane w kształcie choinek świątecznych.

Uśmiechnął się leciutko. Uścisnęłam go.

– Kocham cię, Jacob. Jesteś utalentowanym, wartościowym człowiekiem. Pamiętaj o tym zawsze. Jestem z ciebie bardzo dumna. Zwiesił ramiona.

– Ciociu Meredith, czy mama dzwoniła do ciebie? Albo pisała?

Ależ wiłam się jak piskorz za każdym razem, gdy on i jego siostra Sarah pytali o to w ciągu tych paru ostatnich miesięcy. Co miałam im powiedzieć? Prawdę: nie, nie odzywała się do mnie? A może powinnam była kłamać, żeby oszczędzić im bólu?

Wybrałam prawdę. Te dzieci nie potrzebowały więcej kłamstw, kręactwa, zaburzania ich poczucia rzeczywistości. Okazałabym im w ten sposób lekceważenie, a to byłoby dla nich jeszcze bardziej bolesne.

– Nie, kochanie, nie dzwoniła.

Przytuliłam go mocno; wytarł oczy rękami, wydając zdławiony szloch, a potem zabębnił palcami o klawisze; zaczął grać znaną, melancholijną piosenkę.

Tosta z jagodami, wyciętego w kształt choinki, zjadł jednak ze smakiem.

Policja zjawiała się przed moim domem o drugiej w nocy.

Wiedzieli, że mają używać dzwonka do apartamentu na górze, żeby nie pobudzić moich gości. Zbiegłam pospiesznie po skrzypiących schodach i otworzyłam drzwi szeroko, otulając się szczerlnie różowym szlafrokiem.

– Cześć, Sato! Cześć, Juan! – przywitałam policjantów, odgarniając z twarzy białe pasmo włosów, i zmierzyłam Sarah wymownym wzrokiem w nadziei, że domyśli się, jak bardzo jestem na nią wściekła.

– Dobry wieczór! – powiedział Juan. Juan jest wielki jak ciężarówka. W tajemnicy przed kolegami czytuje romanse.

Sato jest szczupły i z powodzeniem startuje w zawodach dla ciężarowców. Ma sześcioro dzieci, a jego żona jest strażakiem.

– To ona w naszym domu nosi spodnie – powiedział mi kiedyś Sato; przewrócił oczami i uśmiechnął się. – Ale, do diabła, wygląda w nich tak świetnie, że z przyjemnością jej na to pozwalałam.

– Cześć, Meredith – powiedział Sato. – Znalezliśmy Sarah w centrum, za wystawą ze Świętym Mikołajem. Jej przyjaciel uciekł. Ona też próbowała. Szybka jest, ale skręciła nie w tę stronę, co trzeba, więc ją złapaliśmy.

Myślałam, że się rozpłaczę.

Zaprosiłam ich, dając znak, żeby weszli do środka. Potem zaprowadziłam ich do saloniku i dokładnie zamknęłam za nami drzwi, żeby nie pobudzić gości.

Nie radzę sobie z rodzicielstwem. To mnie przerasta. Pogubiłam się w tym.

Sarah patrzyła na mnie wilkiem. Miała na sobie osiem warstw makijażu, spódniczkę mini, ledwo zakrywającą wiadomo co, rajstopy i kozaki. Włożyła krótką kurteczkę, ale nie raczyła jej zapiąć, a że od jakiegoś czasu preferowała dekolty zdecydowanie zbyt głębokie, nie mogłam się powstrzymać – sięgnęłam, żeby zasunąć suwak.

– Ciociu Meredith! – fuknęła na mnie i odepchnęła moją rękę.

– Sarah, natychmiast zapnij bluzkę i zacznij wyglądać przyzwoicie albo będziemy tu stać do rana. W tej chwili schowaj cycki, zamiast je nosić na wierzchu.

– Będę robić, co mi się podoba! Mówiłam ci już, że nie mam zamiaru przejmować się ograniczeniami, jakie narzucają nam purytanie.

Nie dam się zamknąć w klatce; nie zmusisz mnie, żebym żyła jak te tępaki z przedmieścia, żebym została żywym trupem...

– Nikt cię nie zmusza, żebyś została żywym trupem – podniosłam głos. – Prosiłiśmy tylko, żebyś nie wymykała się z domu po nocach i nie uciekała przed policją.

– Nie wymknęłam się! Skorzystałam z mojego prawa do niezależności, do podejmowania decyzji, do tego, żeby być tym, kim chcę!

– Jezu, Sarah! Wszyscy chcemy być tym, kim chcemy, ale przecież nie musimy w to angażować policji!

Twarz Sarah, dotąd wyzywająca i gniewna, nagle zmarszczyła się.

– Mam tego dosyć! Mam dosyć mojego życia! Tego miejsca! Mam dosyć wszystkiego!!!

Na chwilę zrobiło mi się jej żal, ale szybko stłumiłam to uczucie. Nie należy nikomu pozwalać na przesadne uzalanie się nad sobą.

– Sarah, przeprosisz teraz panów policjantów za to, że wyszłaś tak późno. – Skrzyżowałam ramiona, patrząc znacząco na Juana i Sato; postanowiłam, że będę stanowcza. Policja przyprowadziła ją do domu o jeden raz za dużo. – Pozwolicie jej zostać w domu czy zabierzecie na noc do aresztu?

Chłopcy pojęli w lot, do czego zmierzam. Juan odwrócił się do Sato.

– Miarka się chyba przebrała. Nie możemy pozwolić, żeby ciągle łąziła gdzieś po nocach. – Chrząknął. – Wpadliśmy tutaj, Meredith... yyy... z uprzejmości. Musi włożyć na siebie coś skromniejszego, może jakąś bluzę. Nie chcemy mieć z nią problemów w areszcie.

Sato pokiwał głową. Sarah zbladła.

– Zgarnęliśmy dzisiaj wieczorem grupkę rozrywkowych dziewczyn – powiedział Sato, wypinając pierś do przodu. – Jedna miała nóż, pamiętasz? Ostry nóż. Jest cała w tatuażach. Przyjechała z Los Angeles. Pijana niczym skunks. A jaki ma temperament! Ta druga jest dość spokojna, ale kilka lat temu siedziała za udział w zabójstwie...

– A nie moglibyście umieścić Sarah z dala od nich? – zapytałam niczym ucieleśnienie troskliwej cioci.

Sato i Juan smutno pokręcili głowami.

– Chyba nie. Dziewczyny w drugiej celi są jeszcze gorsze.

Sarah miała problemy z oddychaniem; łąpała powietrze krótkimi haustami, jakby walczyła z czkawką.

– Nie możemy naginać zasad dla nikogo, Meredith. Nawet jeśli ten ktoś jest niepełnoletni – pouczył mnie Juan. – Znowu włączyła się po nocy, chociaż nie powinna tego robić. Trudno, musi ponieść konsekwencje.

– Rozumiem. Przyniosę jej bluzę. Przepraszam za kłopot, moi drodzy.

– To żaden problem, Meredith. Te trudne nastolatki potrafią wykończyć człowieka – powiedział Sato. – Zabierzemy ją do aresztu, a ty odpocznij. Odbierzesz ją jutro, około drugiej po południu. Sarah, kiedy już będziemy w areszcie, poproszę Larinę, żeby pokazała ci kilka chwytów z samoobrony. Nie są w stu procentach niezawodne, ale mogą się przydać, jeżeli ona będzie akurat zajęta, a któraś z tych dziewczyn cię zaatakuje...

– Nie! Nie! – zaczęła płakać Sarah. – Nie! Nie chcę iść do aresztu, proszę, ciociu Meredith, nie będę już wychodzić sama w nocy, obiecuję, proszę...

Pozwoliliśmy jej tak bredzić w przerażeniu przez kilka minut, wtrącając co jakiś czas:

– Złamałaś prawo... Ciotka nie daje sobie z tobą rady, więc my przejmujemy pałeczkę... W naszym areszcie nikt jeszcze nie umarł, ty też przeżyjesz... Jeśli będziesz chciała uderzyć współlokatorkę, zaciśnij mocno pięści, to da lepszy efekt...

Sato patrzył na Sarah niezdecydowanie. Juan wciąż kręcił głową. Tupnęłam nogą, mówiąc:

– Musi dostać nauczkę...

Sarah zalewała się łzami.

Wreszcie Sato westchnął.

– Ostatni raz, młoda damo! Następnym razem idziesz do aresztu. Pamiętaj, że jeśli zgarniemy cię w piątek, posiedzisz do poniedziałku, zwłaszcza w okresie świątecznym, kiedy są te wszystkie imprezy. Ciężko będzie wtedy znaleźć sędziego, żeby podpisał nakaz zwolnienia.

Kilka minut później odprowadziłam zapłakanego, ale

uspokajającego się z wolna, skulonego i drżącego żywego trupa na górę, przypominając mu, że ma wziąć prysznic.

Gdy zjawiła się w mojej sypialni w różowej pizamie w króliczki, bez makijażu, znów wyglądała jak zwykły dzieciak.

Kiedy wreszcie zasnęła, popatrzyłam na mokre smugi po łzach na jej buzi i też się rozplakałam.

Nie radzę sobie z własnym życiem. Ono mnie naprawdę przerasta.

* * *

– Jestem gigantyczna – stwierdziła rześko Mary, moja pracownica w bardzo zaawansowanej ciąży, otwierając wahadłowe drzwi do kuchni, by wnieść do środka stertę brudnych talerzy. – Jestem wielka jak czołg. Mam wrażenie, że noszę w środku piątkę dzieciaków... A ten nieziemski kowboj, który siedzi w kącie i zajada się Naleśnikami Meredith na Słodko, chce z tobą porozmawiać. Iiii–ha!

Szpatułka, którą trzymałam w ręku, zadrżała.

– Nie. Żartujesz sobie ze mnie. I nie jesteś wielka jak czołg.

– Nie żartuję. – Mary podeszła do lodówki, kołysząc się niczym kaczką, i wyjęła dzbanek świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Ma dwadzieścia lat, męża, jest na studiach nauczycielskich i dojrzała do połowy ósmego miesiąca ciąży, choć wygląda, jakby to był szesnasty. – Pytał o ciebie. Powiedział, że musi poradzić się ciebie w sprawie kupna kowbojskiego kapelusza, bo jesteś specjalistką w tej dziedzinie. Swoją drogą, ten dzisiejszy jest całkiem ładny. Dobrze ci w zielonym. Bardzo świątecznie wyglądasz.

Logan Taylor siedział w mojej jadalni nieopodal choinki, którą przyozdobiłam setkami różowych i białych aniołków oraz różowych lampek. Byłam zdenerwowana do tego stopnia, że krojąc truskawki, omal nie odcięłam sobie palca. Przełożyłam bitą śmietanę do miski tak umiejętnie, że połowa jej zawartości spłynęła po szafkach, a odwracając naleśnik w trakcie smażenia, upuściłam go na podłogę – tak mi drżały ręce.

– Nie mogę z nim rozmawiać.

– Dlaczego nie? – spytała Martha.

Martha to siostra Mary, która jest zawsze zajęta, zajęta, zajęta,

podczas gdy Mary potrafi od czasu do czasu usiąść na chwilę, żeby cieszyć się życiem. Martha kręciła się po kuchni, napełniając miskę cukrem pudrem, ubijając jajka, układając na talerzach nasze Rock'n'rollowe Rogaliki z Czekoladą i Malinami.

– Ponieważ nie chcę z nim rozmawiać.

Co miałam powiedzieć? Nie mogę z nim rozmawiać, ponieważ kiedy się zbliża, przechodzą mnie ciarki w miejscach, o których się nie mówi głośno?

– To nie jest dobry powód. Idź do niego. Wszyscy mówią, że uratował cię u Barry Lynn, więc bądź miła. Potrafisz być miła, prawda?

– Mary popychała mnie w kierunku jadalni. – Nie bądź gęsią.

– Nie uratował mnie, nie jestem gęsią i potrafię być miła.

Ponieważ wciąż się opierałam, obie siostry zaczęły gęgać, głośno i coraz głośniej. Zaczęłam się obawiać, że Logan je usłyszy, więc nonszalancko, jak gdyby była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, chwyciłam szklany dzbanek, wyszłam z kuchni i zaczęłam rozlewać sok do szklanek klientów.

Wielu z nich było gośćmi pensjonatu. Wszyscy rozplýwali się w zachwytach. Chwalili dom („uroczy”), pokoje („pięknie urządzone, bardzo w stylu epoki”), śniadanie („Naleśniki były tak pyszne, że miałam ochotę śpiewać” – wyznała mi jedna z kobiet. „Proszę cię, nie rób tego – wtrącił jej towarzysz – zepsujesz nam śniadanie”). Inny z gości stwierdził, że czuje się u nas jak w wykwintnym, dziewiętnastowiecznym burdelu.

– Mój pokój jest taki... zmysłowy... Sam nie wiem, na czym to polega – mówił.

Nie obraziłam się za tę uwagę.

Oprócz przyjezdnych w naszej jadalni zauważyłam także miejscowych. Trzej księża z katedry rozmawiali o zawodowym futbolu, siedząc przy jednym stole z dwoma profesorami z naszego college'u. Jeden wykładał literaturę epoki elżbietańskiej, drugi był zapalonym naukowcem. Towarzyszył im profesor z Nigerii, niejaki Chinaza, zaproszony na naszą uczelnię z gościnnymi wykładami.

Grupa Nadal Bardzo Żywych Staruszków – zespół, złożony z czterech dżentelmenów, do którego należeli Norm i Howard, weterani

wojenni, i ich dwaj przyjaciele, Charlie i Davis, grała właśnie w tryktraka[8]. Nie miałam dotąd okazji ich posłuchać, ale mówiono, że są całkiem dobrzy. Kiedy mnie zobaczyli, Davis zaczął odliczać:

– Jeden... dwa... trzy...

I wtedy wszyscy czterej zawołali:

– Merry Meredith!

Goście aż podskoczyli na ten okrzyk, a miejscowi zaczęli się śmiać. Tak mnie nazywają – „Merry Meredith[9]”. To przezwisko wzięło się stąd, że zawsze chciałam, żeby moje potrawy bawiły tych, którzy je spożywają. Na siedemdziesiąte piąte urodziny Davisa wetknęłam siedemdziesiąt pięć świeczek w ogromny stos naleśników. Z okazji rocznicy ślubu Charliego i Mabel przygotowałam biały tort w kształcie górskiego szczytu, udekorowany bitą śmietaną, ponieważ poznali się zimą w górach. Choć gotowanie traktuję poważnie, to uważam, że jedzenie warto podawać z humorem. Dlatego mówią na mnie „Merry Meredith”. I wydaje im się, że są niesamowicie dowcipni.

Wreszcie zobaczyłam Logana.

Siedział, rozparty na krześle, w beżowej koszuli, znoszonych dżinsach i kowbojkach, i pokazywał w uśmiechu swoje białe zęby. Wiatr potargał mu włosy, słońce wyłociło twarz, a góry otaczające Telenę pobłogosławiły go wyglądem prawdziwego twardziela.

Poczułam motyle w brzuchu i natychmiast się zdenerwowałam; najpierw zabrakło mi tchu, a zaraz potem zrobiłam coś bardzo widowiskowego: upuściłam dzbanek z sokiem. Hałas był ogłuszający, a odłamki szkła rozprysnęły się po całej jadalni.

– Proszę, usiądź przy mnie, Meredith.

– Ani mi to w głowie! Co ty tu robisz? – podniosłam na niego wzrok.

Zerwał się na równe nogi, by razem z innymi klientami, Mary i Marthą pomóc mi uprzątnąć szkło.

– Przyszedłem zjeść najlepsze śniadanie, jakie podają w Telenie. I... przeprosić cię.

Dlaczego musiał mieć taki niski głos, męski i aksamitny? Nie mógł mówić wysokim, skrzeczącym dyszkantem? A tak każde jego słowo spływało po moim kręgosłupie niczym płynna czekolada. Przysięgam!

– Niby za co chcesz mnie przepraszać? – fuknęłam.

– Za ten ostatni wieczór.

– Za to, że się wtrąciłeś? Że potraktowałeś mnie jak słabe kobieciątko?

– Nie żałuję, że się wtrąciłem, ale jest mi przykro, że tak to odebrałaś. Naprawdę.

– Nie żałujesz, że się wtrąciłeś?

Na chwilę odwrócił wzrok.

– Nie, Meredith, nie mógłbym siedzieć spokojnie z boku i patrzeć na coś takiego, tak jak nie mógłbym osiodłać konia w galopie, mając związane ręce i nogi. Ale przykro mi, że zraniłem twoje uczucia. Absolutnie nie miałem takiego zamiaru.

Mężczyźni rzadko przepraszają. Żaden, z którym byłam, nigdy mnie nie przeprosił; nawet ci, którzy mówili mi bardzo przykre rzeczy, którzy oceniali mnie bardzo surowo i bardzo niesprawiedliwie. A teraz Logan przepraszał, bo stanąwszy rycersko w mojej obronie, zranił moje uczucia.

Pociągnęłam nosem. Czułam, że robi mi się ciepło, że serce mi mięknie, a pod powiekami zaczynają mnie szczypać cholerne łzy.

– Smacznego – wykrztusiłam i odwróciłam się, żeby odejść, ale Logan zastąpił mi drogę. Trudno było nie zauważyć, że znaleźliśmy się w centrum uwagi.

– Chciałbym zjeść w twoim towarzystwie.

Czułam, że nie dam rady. Jeszcze chwila i rozplączę mu się na ramieniu. Pokręciłam głową.

– No idźże i usiądź! – zawołała Mary, naśladując rękami gęs, machającą skrzydłami.

– Tak, Meredith – dodała Martha i zagęgała cichutko. – Poradzimy sobie w kuchni bez ciebie.

– Nie...

– Siad! Siad! – zawołał Chinaza, któremu pewnego dnia przygotowałam sernik z jagodami, nadając mu kształt Nigerii. – Pracuje bardzo za mocno. Proszę. Zmęczony patrzeć ciebie.

– Tak, Meredith – włączył się Davis. Jest właścicielem większości nieruchomości w centrum Teleny. – Ja się wszystkim zajmę, a ty siadaj.

Ten człowiek wybawił cię z kłopotów u Barry Lynn; możesz przynajmniej zjeść z nim śniadanie.

– Z niczego mnie nie wybawił, a ja nie potrzebuję wybawcy. Radzę sobie sama – warknęłam.

Litości!

Wiedząc doskonale, że nie odpuszczą, niechętnie usiadłam przy stole Logana, tuż obok choinki, którą obsiadły białe i różowe aniołki. Może wybawią mnie od tej tortury... a przynajmniej odwrócą moją uwagę od tego, doprawdy cholernie seksownego, faceta.

– Ładnie razem wyglądają – przekomarzał się Charlie. Potrafił pięknie recytować poezję, chociaż nie słyszał na jedno ucho. Ogłuchł od huków wystrzałów, kiedy był w wojsku.

– O, tak! Piękna para! – rozległ się tubalny głos Howarda. – A ona powinna wreszcie złożyć broń i wyjść za mąż.

– Nic podobnego! – sprzeciwił się skrzekliwie Davis. – Jeśli to zrobi, nie będę już mógł z nią flirtować. Cały czas nie tracę nadziei, że zmieni zdanie i przyjmie moje oświadczenia.

– Nie powinna wychodzić za mąż, to niewolnictwo – zawołała Ranna May. Jest byłą śpiewaczką operową. Jej mąż prowadzi w Telenie sklep wędkarski. – Niewolnictwo, Meredith. Pamiętaj: niewolnictwo.

– Dzień dobry – przywitał mnie Logan.

Spiorunowałam go wzrokiem, czując, jak łzy napływają mi do oczu.

– Jak się masz? – rzuciłam mu kolejne gniewne spojrzenie. Precz ze łzami! Dlaczego ja właściwie płaczę? Bo on ci się podoba, a wiesz, że nie możesz go mieć, i wiesz, dlaczego.

– U mnie też wszystko w porządku – ciągnął Logan z uśmiechem, miłym i uprzejmym. – Dziękuję.

Spojrzałam na niego złym wzrokiem po raz trzeci.

– Rano lubię rozmawiać o pogodzie, o swoich planach na resztę dnia, o twoich planach na resztę dnia, o tym, co mówili w wiadomościach...

– Nie wątpię, że masz ogromne doświadczenie w pogawędkach z kobietami przy śniadaniu, Logan, ale ja nie miałam wielu okazji do tego rodzaju rozmów z facetami. Wybacz, jeśli moje umiejętności w tym

zakresie nie sięgają twojego poziomu. – Z doprawdy nieodgadnionego dla mnie powodu myśl o kobietach, z którymi miał okazję gawędzić przy śniadaniu, rozsierdziła mnie jeszcze bardziej.

Odchylił się na krzesło.

– Prawdę mówiąc, Meredith, nie mam wielkiej wprawy w rozmowach z kobietami przy śniadaniu.

– Nie? – uniosłam brwi.

– Nie. Mówiłem o nas, o tobie i o mnie.

– Nie ma „nas”. Posiedzę tu z tobą, dopóki nie uda mi się uciec z powrotem do kuchni.

– Poznaliśmy się w niezbyt szczęśliwych okolicznościach i z tego powodu też jest mi przykro... – Wymieniliśmy jedno z tych długich, gorących spojrzeń, ale szybko odwróciłam wzrok, czując, że robi mi się zdecydowanie zbyt gorąco w środku.

– Chciałbym cię zabrać na przejażdżkę konno na moje ranczo.

Ze wszystkich rzeczy, jakie mógł powiedzieć, ta była ostatnią, jaka przyszłaby mi do głowy.

– Nie, dziękuję – odchyliłam się na oparcie krzesła. – Jestem zajęta.

– Proszę!

– Nie.

Wyjrzał przez okno, a po chwili znowu utkwiał we mnie zielone oczy. Przez jedną króciutką chwilę oczami wyobraźni zobaczyłam siebie, jak stoję spleciona w namiętym uścisku z tym facetem, a wokół nas fruwały naleśniki z syropem. Wspominałam już, że mam dziwne poczucie humoru, jeśli chodzi o jedzenie?

– Jeździsz konno?

– Oczywiście, że jeżdżę – prychnęłam. – Spędziłam całe lata na końskim grzbiecie, dorastając na farmie w pobliżu Teleny.

– No, to jesteśmy umówieni. Na randkę.

– Żadnych randek! – Pochyliłam się nad stolikiem. – Logan, jak mam to powiedzieć? Dużymi literami? Nie mam zamiaru spędzać z tobą czasu.

– No cóż, a ja właśnie mam ochotę spędzać miło czas z kobietą, która nosi czerwone, kowbojskie kapelusze. Znasz może jakąś?

– Kobieta, która nosi czerwone, kowbojskie kapelusze mówi nie. Tak się składa, że ktoś taki jak ty, to dla niej za wiele.

O rany! Dlaczego musiałam powiedzieć akurat t o?!

– Za wiele? Co masz na myśli?

W wyobraźni chłostałam się zapamiętałe pękami związanych sznurkiem główek czosnku.

– Ciebie jest za wiele. Za silną masz osobowość. Jesteś zbyt męski. Za bardzo chcesz przejąć kontrolę. Mam dosyć... – plątałam się, usiłując znaleźć właściwe słowa – to znaczy... za dużo dzieje się w moim życiu, żeby jeszcze zapraszać do niego kowboja.

– Szkoda! – puścił do mnie oko, nie zmieniając poważnego wyrazu twarzy.

Dlaczego miałam wrażenie, że on się ze mnie nabija? W tym samym momencie Jacob zagrał pierwszy akord znanej piosenki miłosnej. Chrząknęłam. Widziałam, jak Logan stara się za wszelką cenę powstrzymać od śmiechu.

– No dobrze – oznajmił. – Przyjadę po ciebie w poniedziałek o pierwszej. Pojedziemy na moje ranczo, poczęstuję cię lunchem, pojeździmy sobie konno. Co ty na to?

– Nie. – Uwielbiałam konną jazdę, a nie miałam okazji jeździć od lat. Wyobraziłam sobie Logana na koniu. Z jakiegoś powodu, koń miał kiełbaski zamiast nóg, a siodło było uplecione z liści mięty.

– Muszę się zbierać, bo mam robotę. Ale cieszę się, że się spotkamy.

– Powiedziałam, że nie. Czy ty mnie nie słuchasz?

– Mam dla ciebie doskonałą klacz. Jest silna i szybka.

– Halo?

Wziął mnie za rękę – nie żartuję! – i ucałował dłoń. Moją dłoń. Jak jakiś księżę.

– Bardzo mi było miło, dziękuję – powiedział, po czym wstał i wyszedł, pozostawiając mnie w stanie oszołomienia. Konsternacji. Podniecenia. Znowu zobaczyłam w wyobraźni, jak leżę w jego objęciach, a nad naszymi głowami wirują różowe, lukrowane ciasteczka w kształcie serduszek...

Jacob zakończył utwór długim *crescendo*. Logan zaśmiał się

głębokim basem.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zrobiło się głośno.

– Merry Meredith ma randkę! – zawołał wesoło jeden z księży.

Zwrócił się w moją stronę, unosząc do góry oba kciuki.

– Merry Meredith, nie daj się zakuć w kajdany! – krzyczała była śpiewaczka.

– To jeszcze nie znaczy, że za mnie nie wyjdzie! – ryknął Davis, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Zakryłam twarz rękami.

Nie radzę sobie ze swoim życiem, to nie ulega wątpliwości.

8 Tryktrak (ang. *backgammon*) – gra planszowa polegająca na przesuwaniu pionków (każdy z graczy ma ich 15) po planszy podzielonej na 24 trójkątne pola. Chodzi o to, by gracz jak najszybciej usunął z planszy wszystkie swoje pionki (*przyp. red.*).

9 *Merry* (ang.) – wesoły; słowo używane m.in. w tradycyjnym świątecznym pozdrowieniu „Wesołych Świąt!” (*Merry Christmas*), do czego również nawiązują używający tego przydomku wobec bohaterki jej przyjaciele (*przyp. red.*).

Zmierzając w stronę kuchni, zatrzymałam się przy stoliku Simona.

Simon przychodzi do nas każdego ranka. To niski, nerwowy człowieczek o wiecznie zmartwionej twarzy. Jest blady i cały czas trzęsą mu się ręce. Simon jest uprzejmy, ale lubi, żeby wszystko zawsze toczyło się utartym trybem. Siada zawsze przy tym samym stoliku, w kącie jadalni, w pobliżu okna. Rezerwujemy dla niego ten stół. Kawę bezkofeinową pije zawsze z dwiema kostkami cukru – nie więcej – a obok filiżanki musi obowiązkowo stać srebrny dzbanuszek ze śmietanką. Simon zjada trzy trójkątne tosty, lekko posmarowane masłem, jajecznicę bez sera i pięć cząstek jabłka. Poszczególne potrawy nie mogą stykać się ze sobą na talerzu. Nie podajemy mu pieprzu ani ostrego sosu; ma od nich mdłości. Muszę go obsługiwać sama, boń Boże nikt inny; bez urazy, proszę.

– Witaj, Simon! Jak się masz?

– W porządku, Meredith. Ależ mi ulżyło, kiedy zobaczyłem, że nie zrobiłaś sobie krzywdy tym dzbankiem. – Dotknął skrzydełka własnego nosa. – Ale to wszystko, ten hałas, bałagan, strach o ciebie... to mnie trochę rozstroiło.

– Przykro mi, Simon. – I rzeczywiście tak było. Nie wiedziałam, co takiego spotkało Simona, co sprawiło, że stał się taki nerwowy, ale miałam dla niego wiele współczucia. – W przyszłości będę ostrożniejsza.

– Bardzo cię o to proszę, Meredith. Proszę. To naprawdę było przykre.

– Miłego dnia, Simon.

– To już chyba raczej niemożliwe. Taki hałas. Przykre. – Jego ręce drżały. – Chyba pójde się położyć, żeby trochę się odprężyć.

Weekend spędziliśmy z Jacobem i Sarah na dekorowaniu pensjonatu girlandami, wieńcami i świecidełkami. Kupiłam pięć choinek. Ustawiliśmy je przy drzwiach wejściowych, w jadalni, saloniku, na podeście piętra – a jedną zaniósłam do nas, do części mieszkalnej.

Każde drzewko wyglądało inaczej. To z różowymi aniołkami

trafiło do salonu. Przy drzwiach stanęła tradycyjna, staromodna choinka bożonarodzeniowa, w takim stylu, jak sam dom, ozdobiona łańcuchami z dmuchanej kukurydzy i żurawiny, długimi cukierkami, starymi zabawkami, sznurami lampek przypominających świece i rafią. Drzewko w salonie udekorowaliśmy według pomysłu Jacoba: była to choinka muzyczna. Okręciliśmy ją kolorowymi lampkami i przyozdobiliśmy skrzypkami, fletem, kilkoma małymi bębenkami, a do gałązek przywiązaliśmy wstążkami wycięte z papieru nuty. Wszystkie dekoracje były w kształcie instrumentów.

Drzewko na podeście zostało ochrzczone przez Sarah mianem „Świecącej Choinki”. Tylko duże, błyszczące, kolorowe ozdoby i białe lampki.

Łzy napłynęły mi do oczu, gdy ubieraliśmy choinkę w naszym mieszkaniu na drugim piętrze. Akurat słońce zaglądało do środka przez okna.

– Weźmy te ozdoby, które przywieźliśmy z domu – powiedziała ze złością Sarah. – To nam przypomni, jak własna matka pozbyła się nas, bo wołała swojego chłopaka.

Jacob opadł na kanapę.

– Albo nie... Już wiem! – nie dawała za wygraną Sarah. – Może powspominamy te wszystkie święta, kiedy mamy nie było albo po domu pałętali się jej kolejni kochasie.

Jacob przygarbił się, chowając głowę w ramiona.

– Ona do nas nie przyjedzie, prawda, ciociu Meredith? – zapytał.

Bolało mnie serce, kiedy na nich patrzyłam; w żołądku rozlewała się paląca wściekłość na siostrę.

– Nie odzywała się do mnie...

Jacob ukrył twarz w dłoniach. Sarah kopnęła kanapę. Trzy razy.

– Wcale jej nie lubię i cieszę się, że nie przyjechała, ale jestem na nią taka zła! – znowu kopnęła kanapę.

Objęłam ją; próbowała się wyrwać, ale przyciągnęłam ją do siebie. Jeszcze przez chwilę opierała się zaciekle, ale nagle poddała się, oddając mi uścisk. Obie przytuliłyśmy Jacoba.

– Tak bardzo was kocham – powiedziałam.

I mam ochotę powiesić waszą matkę za nogi na gałęzi, gdzieś

daleko, w głębokim lesie – dodałam w duchu.

Nie powiesiliśmy ozdób choinkowych, które przywieźli z domu. Zamiast tego pojechaliśmy do sklepu po całkiem nowy zestaw misek w indiańskich łodziach, Mikołajów na nartach, Mikołajek w balowych spódnickach, wiszących do góry nogami elfów, a do kompletu – skonfundowanego Rudolfa, śpiewającego renifera, bałwanka, opalającego się na leżaku i dwa krzyże. Kiedy kończyliśmy dekorować choinkę, było nam już całkiem wesoło.

Tej nocy znów śnił mi się wypadek. Ogłuszający hałas, nieprzyjemny zapach dymu, głęboka ciemność, chichot mojej siostry i ten piekielny ból. Widziałam, jak do mnie biegnie, ale rysy jego twarzy były zatarte, niewyraźne. Zobaczyłam, że wyciąga do mnie rękę. Zdażyłam jeszcze spojrzeć mu w oczy.

* * *

– Napisałam w Dzienniczku Wdzięczności, że cieszę się, bo nie musiałam bawić się w tornado ze swoim mężem wczoraj wieczorem. – Katie dmuchnęła w grzywkę, spadającą jej na oczy.

Nic dziwnego, że jest taka szczupła. Czwórka dzieci i mąż, który gania ją po całym domu.

– Ostatecznie stanęło na huraganie. Dużo łatwiejsze i mogłam założyć płaszcz. Jak myślicie, ile kobiet bawi się w łózkowe tornado ze swoimi mężami?

– Nie wiem, co powiedzieć, Katie... – bąknęłam. Huragan? Tornado? Strach pytać.

– Nie mam pojęcia, Katie – odpowiedziała Hannah. Miała na sobie T-shirt z napisem: $E=mc^2$.

– Z jakiegoś powodu przedstawiciele płci przeciwnej nie uważają mnie za atrakcyjną. Myślę, że byłabym dobra i w huraganie, i w tornado, gdyby tylko dało się dopasować do tego jakieś równanie matematyczne.

– Poprawiła okulary, które spadły jej na czubek nosa. – Niestety, złożonych ludzkich emocji nie da się opisać równaniami. To kłopotliwe.

Vicky odrzuciła do tyłu brązowy koński ogon i oznajmiła:

– Napisałam w swoim Dzienniczku, że jestem wdzięczna za moje konie. Szybkie i nieustraszone. W dodatku mam nowego pomagiera na

ranczo. Fantastyczny. Jestem gotowa płacić mu wyłącznie za to, że będzie przechadzał się przez cały dzień pod moimi oknami.

– A ja zapisałam w Dzienniczku, że jestem wdzięczna, bo udało mi się zapamiętać kolejnych dwadzieścia pięć liczb pierwszych – powiedziała Hannah. – Poza tym postanowiłam, że pojadę na zjazd matematyków do Sacramento. Nic, tylko matematyka, całymi dniami. To będzie podróż mojego życia.

Znowu zapadła cisza.

– Czasami cię nie rozumiem, Hannah – powiedziała Katie, ciągle osłupiała.

Przerwała nam Barry Lynn – stała na krześle i wskazywała na choinkę w kącie, udekorowaną białymi lampkami i ozdobami w kształcie kieliszków i kufli. Zebrał się pod nią okazały stosik prezentów i rowerów.

– Słuchajcie, do mojej loterii zostało zaledwie parę tygodni. Dzieciaki są w potrzebie. Musimy urządzić im porządne święta. Przynoście prezenty i rowerki albo wyrzucę was z baru.

Podniosłyśmy kufle. Trzy Wiedźmy i ja zostawiłyśmy już pod choinką cztery rowery i sporą stertę zabawek.

– Jak sobie radzisz z dyrygowaniem Festiwalem Świątecznych Koncertów w Telenie? – spytała Vicky.

– Jak tak dalej pójdzie, oszaleję. Mózg wypłynie mi uszami, wpadnie do miski pełnej jajek i niechący przerobię go na krem. Potrzeba nam ludzi, którzy umieją śpiewać, tańczyć i grać na instrumentach i którzy wezmą udział w skeczach. Zapisuję waszą trójkę do skeczu.

– Nas? Nie grałam w skeczach od czwartej klasy – powiedziała Vicky. – W tym ostatnim byłam szeryfem i na koniec występu wystrzeliłam w kierunku sufitu. Nauczycielka, pani Phillips, powiedziała mi wcześniej: „Pamiętaj, Vicky, twój występ ma być wystrzałowy”. Myślałam, że chodzi jej o mój pistolet. Cała widownia się obudziła.

– No dobra, wracasz na scenę – powiedziałam. – Ale bez wystrzałów.

– O czym będzie nasz skecz? – zapytała Hannah.

– Same go wymyślcie. Wierzę w was, Wiedźmy.

Gapiły się na mnie przez chwilę, a potem Hannah zapytała, powoli cedząc słowa:

– A jakie są zasady? Masz jakąś formułę?

– Zasady? – zastanowiłam się. – No cóż, to świąteczny koncert, więc zróbcie skecz o świętach. Tylko bez świntuszenia.

– Chyba mam pomysł – szepnęła Katie i zachichotała. Zapatrzyła się w dal. Zakasłała. Zabębniła palcami o stół. Zaśmiała się. – Ha! Ha! Ha! Mam!

– To dobrze.

– Wpisz nas na listę. Zrobimy to.

– No cóż, w ten sposób mam załatwiony przynajmniej pierwszy występ – powiedziałam.

Katie roześmiała się hałaśliwie.

– Oj, tak, tak! Będzie wesoło. Zaproszę dziewczynki z mojego kółka biblijnego. Mają skrzywione poczucie humoru, więc to się powinno im spodobać. – Skinęła na Vicky i Hannah, które pochyliły się ku niej, a ona zaczęła klarować im coś przyciszonym głosem.

Szeptały. Chichotały. Kaszały. Śmiały się.

– Hej! – zaprotestowałam. – Jestem tu, drogie panie! Halo!

– Ale musi być coś o matematyce – syknęła Hannah. – Chcemy przecież zainspirować młodych ludzi, żeby dobrowolnie wybierali służbę królowej nauk.

– Będziesz zachwycona naszym skeczem, skarbie – powiedziała Vicky. – My, Trzy Wiedźmy, wiemy dokładnie, co zrobić.

* * *

Nie miałam zamiaru jechać z Loganem na konie. Absolutnie. Miałam zamiar odmówić mu, kiedy przyjedzie.

W poniedziałek sprawdziłam, która jest godzina, o 11:30, a potem o 12:00, a potem o 12:30. Wzięłam prysznic, umyłam włosy. Nie dla Logana, tylko dla siebie, założyłam najładniejsze dżinsy i sweter, nie dla Logana, tylko dla siebie, i umalowałam się trochę – nie dla Logana, tylko dla siebie.

Gdy zadzwonił do drzwi – punktualnie o pierwszej – ucieszyłam się, że dobrze wyglądam – dla siebie samej – i postanowiłam zignorować

fakt, że trzęsą mi się ręce i czuję, jak oblewa mnie gorąco w tych specjalnych, sekretnych miejscach.

Uśmiechnął się, gdy otworzyłam drzwi, i wręczył mi przepiękny bożonarodzeniowy bukiet, ułożony w wiklinowym koszyku – były tam czerwone róże, białe lilie, różowe gipsówki i zielone przybranie.

– Mam nadzieję, Meredith, że zmieniłaś zdanie i pojedziesz ze mną na konie.

– Nie – powąchałam kwiaty; nie mogłam się powstrzymać. Postanowiłam też, że nie będę wrzeszczała ani przeklinała. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio dostałam od kogoś kwiaty...

– Na trzy godziny, nie dłużej.

– Nie. – W duchu tłumaczyłam sobie, że szmaragdowooki siłacz może złamać mi serce w sposób naprawdę spektakularny. – Nie pojedę, chyba że mnie zaciągniesz siłą.

Podszedł bliżej i zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, podniósł mnie do góry. Omal nie upuściłam bukietu!

– Jasna cholera! Co ty wyprawiasz?

– Chciałbym pojechać z tobą na konie, Meredith, ale nie mam zamiaru ciągnąć cię siłą, więc zamiast tego możemy postać tu chwilę i porozmawiać. Mnie to pasuje. A tobie?

– Postaw mnie z powrotem – głos mi się łamał. – Nie będziemy rozmawiać, nie pojedziemy na konie, nie możesz, ot, tak, dawać mi kwiatów i podnosić mnie do góry... – urwałam. Czy to nie brzmiało doprawdy głupio?

– W takim razie porozmawiajmy chwilę.

– Porozmawiajmy? Trzymasz mnie na rękach. Nie mogę rozmawiać, nie jestem w stanie zebrać myśli!

Logan wyszczerzył zęby. Pomyślałam o babeczkach; nie mam pojęcia dlaczego. O babeczkach, oblanych różowym i niebieskim lukrem. Miałam ochotę je polizać.

Trzy starsze panie, moje sąsiadki, gapiły się na nas z końca podjazdu. Usłyszałam, jak jedna z nich mówi – dość głośno, bo to w ogóle głośna osoba:

– To Logan Taylor. Uratował Meredith wczoraj wieczorem w barze Barry Lynn. Przyjechał na święta. Ładny ma tyłek, co?

– Tak. Sprężysty. Niezbyt chudy. Jest za co złapać – przyznała jej towarzyszka.

– Mój Sherman miał ładny tyłek. Tęsknię za jego tyłkiem. Za nim nie tęsknię. Był skrzyżowaniem jaszczurki i diabła – dodała trzecia.

Nie dałam sobie czasu na refleksję nad tą, skądinąd dziwną, uwagą.

– Proszę, Logan – wyszeptałam, tłumiąc wściekłość. – Postaw mnie na ziemi. Sąsiedzi będą gadać...

– Młody człowieku, jakie są twoje zamiary?

– Mam zamiar zabrać dziś Meredith na konną przejażdżkę.

– Ojej, seks pod gwiazdami! Jak romantycznie!

– Jedź, Meredith, jedź! Baw się, póki możesz; bierz, co dają!

– Chętnie pojeżdżę na twoim koniu – jedna ze starszych dam potrząsnęła laską w kierunku Logana. – Mogę jeździć całą noc!

Opadła mi szczeka. Czy ja też taka będę na starość? Czy będę nadal myśleć o... tych rzeczach?

– Meredith, jeśli się nie zgodzisz, pojedę za ciebie. Prawdziwa ze mnie tygrysica.

Starsze damy najwyraźniej bawiły się doskonale.

– Postaw mnie na ziemi, ty gigantyczny gigancie! – syknęłam. – Puść mnie, ty nieokrzesany dzikusie!

– Meredith, możemy tu stać przez cały dzień – wycedził Logan. – Wierz mi, jesteś lekka jak piórko, powinnaś lepiej się odżywiać, ale myślę, że będzie prościej, jeśli po prostu pojedziesz ze mną na przejażdżkę.

Jego twarz znajdowała się tuż obok mojej. Widziałam włosy, zwichrzone przez wiatr, pełne wargi, iskierki śmiechu w oczach.

– Dobra – wyszeptałam, wiedząc, że sama, osobiście, skazuję się na złamanie serca. – Pojadę na tobie ten jeden raz... – Zacisnęłam powieki. – To znaczy... pojedę z tobą ten jeden raz.

Jego oczy znów zamigotały, a usta wygięły w uśmiechu. Przycisnął mnie do siebie na mgnienie oka, a potem postawił na ziemi.

– Dziękuję paniom – pomachał do staruszek. – Meredith przyznała właśnie, że dzisiejsze popołudnie ma ochotę spędzić na końskim grzbiecie.

– Ale dlaczego tylko Meredith ma się dobrze bawić? Szkoda dla

młodych tego, co najlepsze!

– I tak chętnie bym z tobą pojeździła, młody człowieku. Muszę tylko mieć ze sobą laskę... Przeszkadzają ci laski?

– Może pani ze mną jeździć do woli...

Przewróciłam oczami i wpadłam do domu; pomknęłam do swojej sypialni po kurtkę i szary kapelusz kowbojski z czarną wstążką. Udawałam, że wcale mnie to nie rusza, tylko ten bukiet świąteczny, który przyniósł mi Logan, jest tak piękny i bujny, jak on sam.

* * *

– No dobrze, kowboju, opowiedz mi więcej o sobie.

Logan podjechał bliżej; oba konie dyszały, i my także, po galopie przez jego posiadłość. Bawiliśmy się tak doskonale, że śmiałam się, i śmiałam, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

– Jestem facetem z Montany – uśmiechnął się.

– I co jeszcze?

– Biznesmenem.

– Oho. Tajemniczy jesteś.

– Ani trochę. Pytaj, o co zechcesz, ale może wystarczy, jeśli ci powiem, że zawodowo trudnię się wędkarstwem muchowym?

– Możesz, ale to już wiedziałam. Miałeś ten błysk w oku, kiedy cię zapytałam o wędkę, stojące w twojej chacie.

Logan mieszkał w nowo wybudowanej chacie z bali, mniej więcej kwadrans drogi od Teleny, na wzgórzu. Wiedziałam, że nocą światła miasta wyglądają stamtąd po prostu magicznie. Nawet teraz, w ciągu dnia, widok na miasto i góry Elk Horn zapierał dech w piersiach.

Pojęcie „chata z bali” należy tu właściwie zrozumieć. Dom był rozłożysty, z dwuspadowym dachem i wysokimi pomieszczeniami. Wewnętrzne ściany miały złotą barwę, przez co promieniowały jakby własnym światłem. W nowoczesnej kuchni znalazły się wszystkie odjazdowe, nowoczesne urządzenia; był też kącik śniadaniowy, wielki salon i gabinet. Zjedliśmy lunch w kąciku śniadaniowym – Logan zaopatrzył się w jedzenie w mojej ulubionej greckiej restauracji, i wszystko było przepyszne.

Na piętrze znajdowały się trzy sypialnie – największa z nich

skierowana na zachód, jak wyjaśnił Logan, „żebym mógł zawsze oglądać zachód słońca, bo do tej pory wszystkie mnie omijały, tak dużo pracowałem”.

Te słowa sprawiły, że zabrakło mi tchu. Żywiłam niewytłumaczalną miłość do zachodów słońca. Każdy wieczór był inny, absolutnie inny niż wszystkie, jak podarunek, i ja także chciałam zobaczyć je wszystkie.

Wypadłam z sypialni tak szybko, że Logan zaczął się śmiać. Wyobraziłam sobie, jak śpi w swoim łóżku, nago – z jakiegoś powodu, w mojej wizji na stoliku nocnym piętrzyła się sterta cytrynowych bezików – podczas gdy wspinały zachód słońca rozświetla sypialnię różowozłotym płomieniem.

– Lubisz wędkarstwo muchowe, Meredith? – siedział w siodle zupełnie swobodnie; widać było, że spędził dużo czasu, jeżdżąc konno, tak samo jak ja.

Czy mam mu powiedzieć? Czy to nas połączy jeszcze bardziej, zwiąże niewidzialną żyłką wędkę?

– Miałaś okazję spróbować? – zapytał.

Oboje kochaliśmy pęd na końskim grzbiecie na wielkiej, otwartej przestrzeni.

– To wspinałe doświadczenie. Piękne – powiedział.

Kochaliśmy zachody słońca. Nie przepadaliśmy za pijanymi jeżozwierzami.

– Myślę, że to by ci się spodobało.

Oboje nosiliśmy kowbojskie buty.

– Logan – powiedziałam, odwracając się do niego. – Żyję wyłącznie dla wędkarstwa muchowego. Wyłącznie.

No cóż, kobiety, które kochają wędkarstwo muchowe, nie powinny aż tak ekscytować facetów. To trochę zbyt przyziemne; mimo to nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu, który rozjaśnił mu twarz. Zerknął w niebo i powiedział:

– Dziękuję Ci, Boże.

Z trudem powstrzymałam drzenie. Kochał wędkarstwo muchowe jak ja!

Nasze konie zbliżyły się do siebie. Przez moment nic nie mówił;

wiedziała, że przepelnia go błogostan, tak jak mnie. Wiatr rozwiał jego jasną czuprynę. Miał twarz człowieka, który spędza dużo czasu na świeżym powietrzu; dzięki temu wyglądał jak mężczyzna, a nie jak ładny chłopczyk.

– Powiedz mi, jak to się stało, że pokochałaś wędkarstwo muchowe, Meredith.

No cóż, po pierwsze, pokochałam je, ponieważ dzięki temu nie musiałam spędzać czasu z siostrą. Czy mogę mu to powiedzieć na tym etapie znajomości? Nie, zrobiłabym z siebie mściwą, wredną babę.

– Pokochałam wędkarstwo muchowe, bo dzięki temu mogłam mieć mamę i tatę dla siebie – to była prawda. Moja siostra nie lubiła wędkarstwa, więc trzymała się z daleka, razem ze swoimi napadami wściekłości i zmianami nastroju. – Wstawaliśmy wcześniej rano i jechaliśmy nad Missouri albo nad Smith.

– Wiele razy bywałam nad tymi rzekami.

– Tak jak każdy wędkarz muchowy z prawdziwego zdarzenia – powiedziałam, odsuwając z czoła swój szary, kowbojski kapelusz. Logan miał fioła na punkcie wędkarstwa muchowego. Oczywiście, że znał te rzeki – i wiele innych.

– Co jeszcze ci się podobało?

– Kochałam wyjazdy z rodzicami, pływanie łodzią po rzece, dzicz widzianą z bliska, a nie przez szklaną szybę. Kochałam łapanie ryb, to wyzwanie, związane z tym techniki, ale przede wszystkim kochałam ten spokój. Lubię naturalne piękno. Nadal. Matka zawsze mówiła mi: „Rzeki są darem, Meredith. Wędkarstwo jest darem. To, że zawsze łapię więcej ryb, niż twój ojciec, jest darem”.

Logan roześmiał się.

– A mój ojciec zawsze mówił, że wędkowanie jest jak stanie jedną nogą na ziemi, a drugą w niebie. Widzisz, miłość do wędkarstwa muchowego mam w genach.

Co niezwykle, Logan wypytywał mnie o rodziców i o dzieciństwo w Telenie, i chłonał każde moje słowo. Uznałam, że to „niezwykłe”, ponieważ mężczyźni, których znałam, ograniczali się do jednego lub dwóch pytań, jak gdyby chcąc odfajkować ten punkt na liście, a potem zaczynali znowu mówić o sobie, skupieni wyłącznie na własnym życiu,

zasłuchani we własne słowa niczym w najpiękniejszą pieśń. Zapytał o moją siostrę.

– Czy możemy porozmawiać o niej innym razem?

Skinął głową.

– Jasne.

Był inteligentnym człowiekiem. Powiedziałam mu wcześniej, że jej dzieci mieszkają ze mną, miałam jednak uczucie, że już o tym wiedział. Wyczuwał, że chodzi o jakiś problem, i nie naciskał.

– A dlaczego ty pokochałeś wędkarstwo muchowe?

– Miałem trenera, nazywał się Bill Rotowsky, który dosłownie wypychał mnie do każdej sekcji sportowej, jaka była w mojej szkole. Piłka nożna, koszykówka, biegi, zapasy. Wydaje mi się, że zdawał sobie sprawę z tego, jak biednie żyjemy z matką, widział, że się buntuję, i postanowił mi pomóc. Kiedy byłem młodszy, pan Rotowsky zabierał mnie ze sobą na ryby. Jego syn, Caleb, który do dziś jest moim najlepszym przyjacielem, też z nami jeździł. Przyjeżdżali po mnie wcześniej rano, jechaliśmy nad rzekę i wędkowaliśmy przez cały dzień. Pani Rotowsky zawsze robiła dla nas lunch i przekąski – wkładała wszystko do wiklinowego kosza piknikowego. W tym czasie nie wiedziałem, co mnie bardziej ekscytuje: ryby czy zawartość kosza. Ale najlepsze w tym wszystkim było poczucie, że należę do rodziny. Pan Rotowsky był dla mnie jak ojciec, pani Rotowsky – jak matka, a Caleb – jak brat. Ten kosz piknikowy był dla mnie mikrokosmosem rodzinnej miłości.

Zawiał silniejszy wiatr i zadrżałam pod płaszczem. Chciałam przytulić się do Logana i objąć go. Nie było w nim widać tego młodego, zranionego, samotnego chłopca, ale wiedziałam, że jest gdzieś w środku, i było mi go żal. Pomyślałam o Jacobie i Sarah, o tym, jacy są zagubieni, jak bardzo potrzeba im matki, która nigdy nie potrafiła zachować się wobec nich jak matka.

– Przykro mi, Logan – powiedziałam. – Przykro mi, że twoje dzieciństwo było... taką walką, takim... wyzwaniem.

– Nie powiedziałem ci tego, żeby było ci przykro, Meredith; powiedziałem to, bo chciałem, żebyś o tym wiedziała. Chciałem, żebyś wiedziała, dlaczego kocham wędkarstwo muchowe. Gdybym miał inne

dzieciństwo, łatwiejsze, nie byłbym dziś tym, kim jestem. Rozumiem ludzi lepiej dzięki temu, przez co przeszedłem. Wiem, jak to jest być biednym. Wiem, jak to jest odczuwać strach. Wiem, że ludzie zmieniają się, kiedy życie zmusza ich do walki. Rozumiem to. Dla mnie rzeka była ukojeniem. Tylko ja, przyroda i ryby.

– W wędkarstwie muchowym nie chodzi tylko o wędkarstwo muchowe, prawda? – powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego.

Odpowiedział mi uśmiechem, a ja nagle uświadomiłam sobie, że gniew, buzujący we mnie stale od lat, od wypadku, odpłynął gdzieś. Przynajmniej na razie.

– Masz rację. Wędkarstwo muchowe to coś więcej niż tylko wędkarstwo muchowe. A jednak to niesamowicie ekscytujące, kiedy faktycznie złapiesz rybę.

Roześmiałam się.

– Nic nie może się z tym równać, prawda? Absolutnie nic!

– No cóż, jest jedna taka rzecz, tylko lepsza.

– Lepsza niż wędkarstwo muchowe? – nie dowierzałam.

– Tak.

– Co takiego?

– Zakochanie.

Przełknęłam ślinę. Tak, to faktycznie było lepsze. Zerknęłam na Logana. Uśmiechał się do mnie.

– Taki z ciebie macho, prawdziwy facet; testosteron niemalże paruje ci uszami, a jednak w głębi duszy jesteś romantykiem, co? – powiedziałam.

– Poznałaś moją tajemnicę.

– Aha, ukrywasz to.

– Tak. Ukrywam. Ale nie przed tobą. Tylko ty wiesz.

– Dziękuję ci, Logan. Będę o tym pamiętać.

– Pamiętaj.

Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Ścigamy się? – zapytał.

Pokiwałam głową. Musiałam, w przeciwnym razie podjechałabym bliżej, żeby pocałować tego mężczyznę z Montany.

Spięliśmy konie ostrogami, a one z miejsca ruszyły do galopu.

Wygrałam.

Tej nocy, leżąc samotnie w łóżku pod moją żółtą kołdrą, podziwiałam szopkę bożonarodzeniową, stojącą na toaletce. Wyjmowałam ją co roku na Boże Narodzenie, dzień po Święcie Dziękczynienia, tak jak kiedyś rodzice. Moja babcia, pierwsza właścicielka szopki, mawiała, często trzymając w jednej dłoni szklanekę pełną whisky z tonikiem, a w drugiej – cygaro: „Prezenty są wspaniałe, ale nie zapominaj o tym najważniejszym”. A potem całowała czule małego Jezuska.

Szopka miała już za sobą swoje najlepsze dni, ale to samo można przecież powiedzieć o stajni, w której Jezus przyszedł na świat, uznałam więc, że liczy się to, iż jest autentyczna. Żłóbek był wyłożony sztucznym siankiem, do dachu przymocowano kiwającą się nad nim gwiazdkę, a ściany pomalowano na niebiesko. Jeden z Trzech Króli nie miał głowy. Jagniątku brakowało nogi, jeden z pastuszków stracił rękę. Twarz chłopca z bębenkiem prawie całkiem zatraciła rysy; nie pamiętałam, jak i kiedy się to stało. Ale Jezusek, Maria i Józef byli w dobrym stanie.

Pomyślałam o babci, która odeszła tak dawno. Co mówiła o miłości? „Kochaj na zabój, malutka. Pokochaj właściwego mężczyznę i... kochaj! Kochaj z całych sił!” A potem całowała mnie, dodając: „I nie zapominaj o łóżku. To ulubione miejsce mężczyzny”.

Wyobraziłam sobie Logana w moim żółtym łóżku i jęknęłam. Przez moją głowę przelatywały dręczące obrazy, a ja zastanawiałam się nad tą całkowicie nierealną sytuacją. Logan ma tu dom. Będzie przyjeżdżał do Teleny. Ja mieszkam tu na stałe, więc nie mogę się z nim związać, nie mogę dopuścić do tego, żeby poznał mnie lepiej i porzucił, nie mogę pozwolić się sponiewierać, a potem widywać go i udawać, że wszystko jest w porządku.

Nie mogłam tego zrobić.

Skrzyżowałam ręce na ramionach, kołysząc się w przód i w tył. Problem z kobietami, które z wiekiem tracą naiwność i niewinność, polega na tym, że... tracą naiwność i niewinność. Z czasem dociera do

nich, że w życiu nie zawsze wszystko się udaje. Już wiedzą, jak to boli, gdy się nie uda. Wiedzą, że może się zdarzyć, że ktoś połamie im serce na drobne kawałeczki. I wiedzą, gdy już spotkają takiego mężczyznę, jak Logan Taylor, z którym połączy je nic porozumienia w każdej ważnej sprawie, że to właśnie on będzie tym „kimś”, kto to zrobi. To on sprawi, że będą kulili się pod kołdrą, wypłakując oczy, mocząc tysiące chusteczek, że spuchnięte od łez i zrozpaczone, zaczną rozważać możliwość wstąpienia do zakonu, najlepiej gdzieś w stanie Iowa.

Nie mogę tego zrobić.

Nie zrobię tego, choć powinnam móc to zrobić.

Znowu poczułam, jak wypełnia mnie gniew.

– Musimy się zmobilizować – poinformowałam Radę Festiwalu Koncertów Świątecznych w Telenie następnego wieczoru, stawiając na stole Zwariowane Mrożone Ciasto Czekoladowe Bez Mąki.

– Ono jest... boskie! – zawyrokował Norm. – Moje kubki smakowe trafiły właśnie do nieba.

– O Boże, to smakuje jak romans! – westchnęła Becky Nutt.

– Do stu armat! – dodał Howard. – To najlepsze ciasto, jakie jadłem w życiu.

– Wiecie, co mam na myśli – powiedziałam, pochylając się lekko do przodu. – Potrzebujemy czegoś nowego, czegoś zupełnie innego...

Skinęli głowami.

– Potrzebujemy energii, oryginalności, iskry. Chodzi o to, żeby publiczność się śmiała, śpiewała, a przede wszystkim – musimy wyrazić ducha tych świąt. Miejscowe firmy leżą i kwiczą, więc przyda nam się tu trochę turystów. A poza tym, jak wiecie, dochód z koncertu jest przeznaczony na remont oddziału dziecięcego w naszym szpitalu.

– Nie możemy powtórzyć tego, co zrobiła rok temu Ava Niemrawa – powiedziała Barry Lynn.

– Wybrała tylko kilka osób do udziału w koncercie! Całą resztę wyrzuciła.

– Właśnie. Osoby, które uczestniczyły w tych koncertach od lat, zostały usunięte, żeby Ava mogła poprowadzić swój nudny jak flaki z olejem, perfekcyjny chór.

– Zraniła ich uczucia.

Myślałam o Telenie, o ludziach, których znałam jako dziecko, i o tych, których poznałam już jako osoba dorosła. Pomyślałam o przyjezdnych, odwiedzających mój pensjonat każdego dnia.

– Mam! – wyszeptałam nagle, czując, że w mojej głowie rodzi się pomysł, który krystalizuje się z sekundy na sekundę. – Wydaje mi się, że mam... Co powiecie...?

* * *

– Napisałam w Dzienniczku Wdzięczności, że jestem wdzięczna za to, że mój mąż wyjeżdża na tydzień z miasta, więc będę miała trochę świętego spokoju – oznajmiła Katie. – Kupił mi strój Mikołajki, z czerwonymi majtkami i krótką spódniczką z białym futerkiem. Do tego satynowa koszulka, która nie ma pleców, ale ma dekolt sięgający mi do pępka.

Podniosłam kufel do ust.

– Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć, Katie.

Zauważyłam, że pod choinką w barze Barry Lynn zebrał się już całkiem pokaźny stos prezentów. Oczywiście, na pewno przyczynił się do tego groźny napis: *JEŚLI NIE DASZ PREZENTU NA LOTERIĘ, ZAWIESZĘ CIĘ W PRAWACH KLIENTA.*

– A ja w moim Dzienniczku Wdzięczności zapisałam, że kiedy zaganiam stada do zagrody w czasie burzy śnieżnej, jestem wdzięczna, że nigdy się nie zgubiłam. Bóg wyposażył mnie w GPS, który mam w głowie – Vicky klepnęła się w czoło.

– Ja jestem wdzięczna za to, że Bóg dał nam matematykę, i za to, że wreszcie dostałam nowy podręcznik do rachunku różniczkowego. Nie mogę się doczekać, żeby wziąć się za czytanie! Specjalnie go sobie odłożyłam na piątkowy wieczór – powiedziała Hannah.

Podeksytowana, odgarnęła do góry pyszne, kasztanowe loki. – Jestem pewna, że moi studenci też będą zachwyceni. Matematyka, równania, fizyka kwantowa...; to wszystko daje mi tyle radości, powiedziałabym wręcz – rozkoszy...!

Zapadła głucha cisza.

– Czasami cię nie rozumiem, Hannah – powiedziała Katie, wyraźnie zdezorientowana.

– A co ty wpisałaś do swojego dzienniczka, Meredith?

– Napisałam, że jestem wdzięczna za...

Byłam wdzięczna, że nie rzuciłam się Loganowi na szyję, nie zerwałam z niego koszuli, nie rozpięłam mu paska, spodni i nie wskoczyłam na niego. A przecież mogłam zafundować sobie tę odrobinę przyjemności, żeby mieć co wspominać przez resztę życia.

– Napisałam, że jestem wdzięczna za waszą trójkę. – To była prawda; człowiek powinien być wdzięczny za przyjaciół.

Vicky pociągnęła nosem, a Hannah wzięła mnie za rękę.

– Jakie to słodkie! – powiedziała Katie ze łzami w oczach. – Nie wiem, co bym zrobiła bez was trzech. Cały dzień z czwórką hałaśliwych dzieciaków, a potem do domu wraca Pan Kreatywne Życie Erotyczne i zaczynam drugą zmianę, a przecież zwykle mam pracę domową z kółka biblijnego... Czy inne kobiety lubią nosić maski wampirów w łóżku? Te plastikowe zęby są takie niewygodne.

* * *

Jacob, który nie miał dziś zajęć w szkole, grał te swoje przejmująco smutne piosenki, gdy Martha, Mary i ja serwowałyśmy śniadanie gościom, którzy nocowali w pensjonacie, i miejscowym, którzy zaczęli przychodzić od samego rana.

Nalewałam właśnie kawę dla profesorów i ich przyjaciela z Nigerii, gdy usłyszałam, jak Chinaza mówi, że uwielbia grać na bębenku.

– Od dawna pan gra? – zainteresowałam się.

– O, tak, od jak byłem dzieckiem. W naszej wiosce wszystkie grali bębenki.

– A pana rodzina nadal mieszka w Nigerii?

Jego twarz spochmurniała.

– Niektóre. Za dużo umarły. Moja ciocia mieszka Francja, tata z żoną Niemcy. Ja tutaj.

Wszyscy zamilkliśmy na chwilę; poczułam, jak kłuje mnie cudzy ból – często mi się to zdarza. Po chwili jednak zaświtał mi pewien pomysł.

– A może... zechciałby pan zagrać na swoim bębenku w czasie

naszego Festiwalu Koncertów Świątecznych w Telenie?

Jego szeroki uśmiech mógł oznaczać tylko jedno.

– Ja przywożę moja wioska w Nigeria tutaj, do Montana, do moi nowi przyjaciele, mój nowy dom. – Poglaskał mnie po dłoni. – Tak, zagram bębenki dla was. Dziękuję. To mój prezent.

Profesorom też nie zamierzałam darować.

– Słyszałam, że grasz na ksylofonie, Stan.

– Tak, gram. Dziadek mnie nauczył.

– Doskonale. Wpisuję cię na listę uczestników Festiwalu Koncertów Świątecznych.

– Mnie? Do koncertu świątecznego?

– Tak, ciebie. Zaczynj ćwiczyć. Terry, ty masz piękny, głęboki głos. Będiesz moim narratorem.

Terry o pięknym, głębokim głosie wyglądał na zaskoczonego, ale zadowolonego.

– Jesteś pewna? Narratorem? Zawsze chciałem być narratorem! Ha! Dzięki, Meredith!

– Nie ma sprawy. Próby zaczniemy od razu.

Podniesiona na duchu myślą, że mam bębniarza i zespół, ruszyłam do kuchni. Zatrzymał mnie Charlie, jeden z Nadal Bardzo Żywych Staruszków, mówiąc:

– Cholera, gdybym miał nagle umrzeć i jeszcze dziś stanąć przed Stwórcą, słysząc anielskie chóry, i tak byłbym szczęśliwy, Meredith, ponieważ zjadłem twój Wystrzałowy Koktajl z Kraba. I wiesz co? Był przepyszny! Prze-pysz-ny!!!

Spojrzałam na Nadal Bardzo Żywych Staruszków. Staruszkowie spojrzeli na mnie. Davis odliczył: Raz, dwa, trzy! – i wszyscy zakrzyknęli:

– Merry Meredith!

– Bardzo śmieszne! Panowie, czy śpiewacie kolędy?

Nieco później wyjrzałam przez okno, omiatając wzrokiem zaśnieżoną ulicę. Kto jeszcze w tym mieście miał talent? Kogo mogłabym wypchnąć na scenę, namówić do udziału w naszym widowisku? Moja szkolna przyjaciółka, Marty Shan, miała szkołę tańca – wszyscy lubią występy dzieciaków w kostiumach. Mogłabym poprosić

moich przyjaciół artystów, żeby namalowali coś świątecznego; może moglibyśmy wyświetlić to na ekranie podczas koncertu... Chóry z różnych kościołów, szkół... na pewno Ranna May...

– Czy twoim zdaniem płatki zbożowe z awokado to normalna ciężowa zachcianka? – spytała Mary. – Bo na to właśnie mam ochotę. Mamy awokado?

* * *

– Dobry wieczór.

Logan. Stał tuż za mną.

Wpatrywałam się w choinkę, pyszniącą się na środku placu miejskiego. Już niebawem miała rozbłysnąć, zalewając rynek feerią światła. A ja... czułam się, jakby moje ciało rozpuszczało się niczym podgrzany karmel.

Na ustawionej przed drzewkiem scenie grupka przedszkolaków śpiewała kolędy przed zgromadzonym tłumem. Jedna z dziewczynek dłubała środkowym palcem w nosie, a następnie oglądała z przejęciem wydobytą z niego zawartość, co wyglądało, jakby pokazywała publiczności, jak fruwa ptaszek. Jakiś chłopczyk podrygiwał tyłeczkiem w takt muzyki, odwrócony plecami do zgromadzonych; trzecie dziecko, a była to córka Katie, uporczywie podnosiło raz za razem czerwoną sukienkę, naciągając ją sobie na głowę, by po chwili opuścić ją znowu, zaprezentowawszy wcześniej publiczności noszoną pod spodem bieliznę.

Jej matka, Katie, stała obok mnie.

– O Boże! O dobry Boże! – mamrotała nieustająco. – Zrób coś! – syknęła do męża.

Ten – skądinąd miły człowiek – próbował spełnić życzenie żony, gestykułując znacząco do córki, co przyniosło efekt całkiem niezamierzony. Mała podniosła sukienkę najwyżej, jak tylko mogła, i pomachała do rodziców.

– Boże Wszechmogący! – westchnęła Katie. – I do tego musiała założyć majtki swojego brata, ze Spidermanem, tak?

– Witaj, Logan – mój głos zaskrzypiał dziwnie. Spróbowałam odetchnąć głęboko, ale mi się nie udało, postanowiłam więc udawać, że jestem bardzo spokojna. – Logan.

– Meredith – odparł. Stał o wiele za blisko; czułam się malutka przy jego potężnej piersi. – Miło znowu cię widzieć.

– Ciebie też. – Niech cholera weźmie to skrzeczenie! Ale jak mogłam mówić normalnie, skoro oczami wyobraźni widziałam przed sobą Logana z wędką; staliśmy w rzece, a wokół nas przepływały majestatycznie torty weselne na srebrnych tacach. Potrząsnęłam głową. Torty weselne! Skąd mi się to wzięło?

– Gdzie są Sarah i Jacob?

– W domu. Namawiałam ich, żeby przyszli, ale...

– Nie chcieli?

Potrząsnęłam głową. Sarah nie chciała przyjść, bo, jak powiedziała:

– Dziewczynki mnie nie lubią. Larissa namalowała mnie z czarnymi obwódkami wokół oczu. Wszyscy się śmiali. Nazwała mnie strasznym szopem.

Próbowała udawać, że jej to nie obchodzi, ale zaraz zerwała się i pobiegła szybko na górę, zatraskując za sobą drzwi.

– Jacob, chcesz pójść ze mną wieczorem na iluminację choinki? – spytałam.

Wydusił z pianina kilka akordów Bacha, a potem odparł:

– Nie chcę. Mama dziś dzwoniła?

Gdy odpowiedziałam, że nie, wrócił do gry, zapamiętałe uderzając w klawisze, widziałam jednak, że w oczach ma łzy.

Telena aż lśniła od świątecznych dekoracji. Główna ulica w miasteczku została przybrana girlandami oraz sznurami czerwonych i zielonych lampek, które zwieszały się nad asfaltem. Drzewa udekorowano białymi lampkami; na każdej latarni wisiał ogromny wieniec.

Logan roześmiał się nagle; najwyraźniej zauważył dziewczynkę pokazującą, jak fruwa ptaszek.

– Może pójdziemy później na kolację? – zaproponował.

– Nie – pokręciłam głową, czując, jak rośnie między nami napięcie.

– Dlaczego nie?

Dlaczego nie? Bo żywiłam do niego zdecydowanie zbyt wiele uczuć, które pojawiły się zbyt szybko, i wiedziałam, że w zawrotnym tempie zbliżam się do katastrofy, której za wszelką cenę chciałam

uniknąć.

– Bo... muszę... eee... jechać do domu... żeby zapakować prezenty.

– Zapakować prezenty – powtórzył przeciągle. – Aha. No cóż, do Bożego Narodzenia zostało ledwie parę tygodni; rzeczywiście lepiej będzie zabrać się za to od razu.

– Tak. Właśnie.

– Może w takim razie najpierw pójdziemy na kolację, a potem pomogę ci zapakować prezenty?

– Nie. – Odwróciłam się, stając z nim twarzą w twarz. Próbowалам mówić cicho, bo Trzy Wiedźmy – Katie, Hannah i Vicky – bez żenady podsłuchiwały. – Logan, nie umawiam się na randki... Mówiłam ci już.... nie jestem... w nastroju.

– No, dobrze, skoro nie chcesz nazywać tego randką, po prostu chodźmy na kolację.

– To nie ma sensu...

– A teraz powitajmy... – stojący na scenie Norm dramatycznie zawiesił głos – nową panią reżyser Festiwalu Koncertów Świątecznych w Telenie, Merry Meredith Ghirlandaio!

Uff! Pierwszy raz w życiu byłam zadowolona, że wywołują mnie przez głośniki. Czmychnęłam na scenę; gdy zebrani na placu klaskali, krzyczeli i bili brawo, stanęłam przed córką Katie. Lekko poruszyłam dłonią, dając jej znak, a ona opuściła sukienkę do kolan, zasłaniając Spidermana. Byłam pewna, że Katie będzie mi nieskończenie wdzięczna.

– Witam wszystkich. Kochani, tegoroczny koncert będzie bardzo widowiskowy. Wprowadziliśmy kilka zmian, ale myślę...

Mówiłam i mówiłam, nie przestając się uśmiechać, a gdy skończyłam, burmistrz wręczył mi czerwony kowbojski kapelusz ze Świętym Mikołajem.

– Ta dziewczyna umie je nosić, prawda? I ma najlepsze kapelusze kowbojskie w Montanie. Wszyscy to wiemy, chociaż... może nie wszyscy. Mamy w miasteczku nowego człowieka; wielu z was już go zna, czyż nie? To Logan Taylor, z Copper. Witamy Logana! Cieszymy się, że jesteś z nami. Moi drodzy, to właśnie on uratował Meredith

u Barry Lynn. Prawdziwy dżentelmen!

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Wyparować. Zniknąć.

Logan uśmiechał się do mnie, kiedy ludzie podchodzili do niego, klepali go po łopatkach, bili brawo i wiwatowali na jego cześć. Wreszcie rozbłysły lampki na świątecznej choince i zewsząd rozległy się okrzyki zachwytu. Sezon świąteczny został oficjalnie rozpoczęty.

Ja natomiast znalazłam się, nieoficjalnie, na randce z Loganem. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale koniec końców wylądowaliśmy razem w restauracji. Ten człowiek ma taką siłę perswazji, że nie wiem po co zawraca sobie głowę łowieniem na muchę. Założę się, że mógłby po prostu poprosić rybki, żeby wyskoczyły na brzeg, a one zrobiłyby to z przyjemnością...

– A więc nie byłaś nigdy zamężna, Meredith?

– Nie, nigdy nie byłam zamężna. Aż dziw, że nikt ci o tym nie powiedział; wygląda na to, że o wszystkim innym jesteś świetnie poinformowany. Nie będę zdziwiona, jeśli okaże się, że wiesz, jaki mam obwód głowy, jakie stopnie dostawałam w szkole i kto jest moją ulubioną gwiazdą rocka.

Uśmiechnął się w półmroku; świece na naszym stoliku zamigotały.

– No dobrze. Powiedziano mi, że nie wyszłaś za mąż; chciałem się tylko upewnić.

Podniosłam kubek z kawą i włożyłam białe pasmo włosów za ucho. Uwielbiam kawę serwowaną tak, jak sama to robię w swoim pensjonacie – w grubych, białych, ceramicznych kubkach, i uwielbiam nalewać sobie śmietankę z zimnego, srebrnego dzbanuszka.

– Możesz więc uznać ten fakt za potwierdzony. Nadal usiłuję zrozumieć, co ja tu właściwie robię, dlaczego siedzę z tobą w tej restauracji, zajadając się wykwintnymi przystawkami i cytrynową bezą. Nieźle ci idzie, Logan. Jak to robisz, że pozwalam ci sobą rządzić?

– Nie rządzę tobą. Po prostu przekonałem cię, że kolacja dziś wieczorem będzie udanym początkiem świątecznego sezonu. Ho! Ho! Ho!

Przewróciłam oczami.

– A chciałaś kiedyś wyjść za mąż?

– Nie. – Odpędziłam myśli o naszym ślubie, o tym, jak by to było

budzić się obok niego każdego ranka, robić razem naleśniki z truskawkami, całować się, łowić ryby, chodzić na randki, palić ogniska i nocować pod gwiazdami, całować się, pływać łodzią, obejmować się, śmiać się, jeździć konno, chodzić z dziećmi do kina, kochać się, i znowu całować... I nagle pojawił się ból. Szybki, przesywający, po nim zaś przyszedł gniew, że nie mogę dokonać takiego wyboru, że odebrano mi tę możliwość.

– Nie? Dlaczego nie?

– Bo dobrze mi samej. Jestem zbyt niezależna. Umiem jeździć traktorem, belować słomę, podkuć konia i strzelać. Prowadzę własną firmę, mam dwójkę dzieci z problemami, w dodatku reżyseruję koncert, w związku z czym wypijam ostatnio horrendalne ilości szkockiej, i doprawdy nie potrzebuję męża do kompletu.

Tak. Dobrze mi samej. Tylko czasami zdaje mi się, że samotność prędzej czy później mnie zabije; wtedy już nie jest mi tak dobrze. Nie jest też dobrze w nocy, gdy jest ciemno, z kątów wypełzają wszystkie moje zmartwienia i nie ma nikogo, kto wziąłby mnie za rękę.

– Dobrze ci samej... – powtórzył Logan.

Dlaczego świeca musiała migotać akurat w taki sposób, żeby podkreślać wszystkie seksowne bruzdy na jego twarzy?

– Niesamowita z ciebie kobieta, Meredith. Zdolna, silna i mądra. Patrząc na ciebie, myślę o rączych koniach, o Górach Skalistych i burzowych błyskawicach. I o różowym torciku.

– O różowym torciku? – to było jedno z moich ulubionych ciast. Powstrzymałam nagłe pragnienie, żeby stuknąć obcasami kowbojek.

– Tak, to mój ulubiony. Jest przepyszny, jedyny w swoim rodzaju. Słodki i kobiecy... jak ty.

– Ależ z ciebie flirciarz – starałam się, żeby mój głos zabrzmiał szorstko; napiłam się kawy. Ręce mi drżały. Odstawiłam kubek. Na talerzyku leżało ciastko w kształcie ostrokrzewu. Może powinnam je zjeść.

Roześmiał się.

– Meredith, gdybyś mnie znała choć trochę, wiedziałabyś, jak bardzo się mylisz.

– Nie jesteś flirciarzem?

Popatrzył mi prosto w oczy.

– Nie, nie jestem. Nie umiem flirtować; nawet nie próbuję. Jeśli porównując cię do ciastka, zachowałem się jak flirciarz, to wiedz, że nie miałem takiego zamiaru. Mówię prawdę, kowbojko.

– Coś mi mówi, że jak dotąd nie musiałeś flirtować, żeby uwodzić kobiety.

– Dotąd przez większość czasu zajmowałem się pracą. Nie flirtuję. Tylko z tobą... z tobą próbuję flirtować.

Zaczerwieniłam się.

– Czyżby?

– Owszem. Jak mi idzie?

– No... Hmm... Jakby to powiedzieć.... – to jego flirtowanie z pewnością płatało mi język.

– Jak widzę, niezbyt dobrze. Nawet nie zauważyłaś, że to robię.

A byłam kiedyś twardą kobietą! Co się ze mną działo? Przecież powinnam bez trudu poradzić sobie z takim Loganem!

– No widzisz! Następnym razem mnie o tym uprzedź. Zrób jakiś plakat albo coś, żeby mnie nie zaskoczyć.

Chwycił kredkę, tkwiącą dotąd w kubeczku, i napisał na serwetce: „Meredith, flirtuję z tobą”.

Roześmiałam się. Nie mogłam się powstrzymać.

Próbował narysować kwiatek; kwiatek wyglądał, jakby wytarł go czarny pająk.

– Ładny kwiatek. Wygląda, jakby wytarł go czarny pająk.

Dorysował czarne nogi, wyrastające z ciemnej plamy pośrodku, wreszcie jednak dał za wygraną.

– Staralem się. A więc nigdy nie miałaś męża. Nigdy?

– Nie. Tak. Nie. Nigdy. – W głębi duszy rozpaczałam nad swoją nieudolnością. – A ty?

– Nie chciałbym mieć męża...

Popatrzyliśmy sobie w oczy z uśmiechem.

– ...ale to chyba dla ciebie nie problem.

Próbowałam nie zadrzeć, ale mi się nie udało. Ten mężczyzna wprawiał mnie w drżenie. To było dobre uczucie, choć towarzyszył mu smutek i poczucie beznadziei, bo wiedziałam, że nie pozwolę temu

związkowi się rozwinąć. Nie po dzisiejszym wieczorze. To miał być koniec.

– Byłeś żonaty? – zapytałam rzeczowo. – Miałeś dzieci? – Już zdążyłam znieubić jego byłą żonę. Zazdrość uderzyła mnie niczym jadłowicie zielony, wściekły elf.

– Nie, nigdy nie byłem żonaty. Co do dzieci, mogę cię zapewnić, że gdybym je miał, byłyby tu dziś razem ze mną. Niestety, nie mam dzieci.

Poruszył mnie jego wyraz twarzy. Malował się na niej szczerzy, głęboki smutek.

– A chciałbyś mieć dzieci?

Skinął głową.

– Tak. Absolutnie. Piątka to dobra liczba. Chcę mieć rodzinę.

– Czyli jesteś gotów na wyprawę do sklepu z żonami. – Miałam ochotę wyzwać jego Nieznaną Przyszłą Żonę na pojedynek i rzucić ją na deski, a następnie słuchać, jak błaga o litość.

– Nie nazwałbym tego tak; nie cierpię zakupów. Piekło wyobrażam sobie jako wielką galerię handlową, w której musiałbym bez końca przymierzać ciuchy i je kupować.

Udałam, że jestem bardzo zainteresowana kawą i ciasteczkami. Obok dzwonka leżał renifer, wieniec i Mikołajka.

– Dlaczego chcesz się ożenić? – Ależ nienawidziłam tej jego Przyszłej Żony!

– Bo chciałbym spędzić resztę życia u boku kogoś, kto będzie moim najlepszym przyjacielem.

– To bardzo wzruszające – starałam się ukryć sarkazm. – Gdybym ja miała mieszkać z najlepszymi przyjaciółkami, wybrałabym Vicky, Hannah i Katie. Vicky kazałaby nam łapać bydło na łące, Hannah organizowałaby turnieje matematyczne, a Katie przechadzałaby się po domu w erotycznych strojach.

Roześmiał się.

– Zabawna jesteś, Meredith.

– Odpowiedz na moje pytanie, siłaczu.

– Chciałbym się ożenić, ponieważ uważam, że mógłbym żyć szczęśliwie z kimś, kogo kochałbym nad życie. Chciałbym mieć kogoś,

z kim będę mógł rozmawiać, śmiać się, snuć marzenia, mieć dzieci – i stworzyć rodzinę, wliczając w to wnuki. Chciałbym z nią jeździć konno po moim ranczu.

Uśmiechnął się, a ja poczułam, jak smutek ściska mnie za gardło.

– Chciałbym jadać z nią obiady na tarasie, pić razem gorącą kawę. Nawiasem mówiąc, umiem parzyć doskonałą kawę, Meredith. Chciałbym z nią zwiedzić świat, żebyśmy mieli co razem wspominać. Nie chcę być sam przez resztę życia. A ty?

Nie chciałam. Ale nie chciałam też mieszkać w pobliżu Logana i jego Przyszłej Żony. Żony, którą mogłabym skopać, a następnie zniechęcić nieodwołalnie na całą resztę życia.

– Nie czuję się samotna. Mam rodziców, Jacoba i Sarah, chociaż akurat Sarah uważa mnie za idiotkę. I mam przyjaciół. Mężczyzna to dodatkowy stres i wahania nastrojów.

– Nie lubisz nawet rozmawiać o małżeństwie, prawda? – zapytał. Nie, kiedy chodzi o ciebie.

– Nie. Wolałabym nacią dentystyczną czyścić zęby rekinowi.

Znowu się roześmiał, głębokim, zmysłowym śmiechem, wiedziałam jednak, że nie ma pojęcia, jak bardzo głęboki i zmysłowy jest jego śmiech.

– Dlaczego?

– Bo to coś, czego na pewno nie zrobię. Nie sądzę, że bym szczęśliwie wyszła za mąż. To zbyt skomplikowane, za trudne... Moje życie jest zbyt skomplikowane i zbyt trudne. Jest... pokręcone.

Och! I to jak pokręcone!

– Życie jest skomplikowane. Jest pokręcone. Czasami bywa trudne, tragiczne, rozdzierające, ale jeśli o mnie chodzi, wolałabym te komplikacje i tragedie przeżywać z kimś, kogo kocham, na kogo mogę liczyć. Z kimś, kogo mógłbym porwać i zawieźć na szczyt wzgórza, żeby urządzić sobie z nim wspólny piknik, nawet gdy oboje będziemy rozpaczać z jakiegoś powodu. Jedno mogę ci powiedzieć – nie jestem naiwny, skarbie. Wiem, że małżeństwo to nie jest idealny środek na wszystkie problemy. Rozumiem to.

Nie, nie mogło być idealne. Los zadbał o to, żeby nie było.

Odgryzłam głowę Mikołajki, taksując spojrzeniem jego potężne

ramiona, spokojny wzrok, jego siłę i ten śmieszny kwiatek na serwetce. Nie, małżeństwo nie było idealnym rozwiązaniem, ale nagle zdałam sobie sprawę, że z Loganem miało szansę zrobić krok w stronę perfekcji.

Chuda blond seksbomba, którą miał poślubić, będzie bardzo szczęśliwa. On natomiast będzie z pewnością bardzo nieszczęśliwy, kiedy ją położy na łopatkach.

Zjadłam stopy Mikołajki. A potem jej tyłek.

Późno w nocy zaparzyłam sobie miętę, weszłam do salonu i popatrzyłam na naszą muzyczną choinkę. W kącie, za pianinem, dostrzegłam odchodzącą tapetę. Odstawiłam kubek z miętą na zabytkowy stolik, schyliłam się i obejrzałam ją dokładnie.

To nie była tylko jedna warstwa tapety. Oddzielając ostrożnie poszczególne płyty, naliczyłam sześć warstw. W kwiaty, w paski, w kropki; były tam wszystkie rodzaje. Każda tapeta była inna, każdą wybierała inna kobieta, w innym czasie. Co działo się wtedy w ich życiu? Czy były podekscytowane zmianą wystroju? Czy wprowadziły się tu dobrowolnie? Czy któraś z nich była wojenną narzeczoną? Czy któraś wyszła za mąż zbyt wcześnie i żałowała tej decyzji? Czy którakolwiek z nich była obłędnie zakochana w swoim mężu? A może któraś zakochała się w kimś innym? Z jakimi trudnościami się zmagaly? Czy miały dzieci? Czy kiedykolwiek straciły cały majątek? Czy były zadowolone z tego, jak potoczyło się ich życie? Co by w nim zmieniły?

Taki natłok myśli z powodu kilku skrawków tapety. Nie potrzebowałam ścian, które mówią; wystarczyły mi mówiące tapety.

Usłyszałam szelest długich sukni, dochodzący z kuchni; zawróciłam tam z kubkiem w dłoni. Nic. Nikogo. Zaśmiałam się do siebie i położyłam się do łóżka, przedtem jednak zawołałam:

– Wybrałaś piękną tapetę.

* * *

– Najgorsze jest to, że nikt nie chce siedzieć ze mną w czasie lunchu. Nikt.

Myślałam, że serce rozpadnie mi się na kawałki, gdy trzymałam małe dłonie Jacoba we własnych, siedząc z nim przy kuchennym stole. Nawet Karmelowo-Orzechowe Supertarty nie zdołały go rozchmurzyć.

– Ja też się świetnie bawię – wtrąciła Sarah. – Dziewczyny w szkole, wiesz, te popularne – palcami narysowała w powietrzu cudzysłów – powiedziały wszystkim, że jestem współczesną Lolitą;

zupełnie, jakbym miała zamiar poderwać im ojców albo coś. Dlaczego oni mnie tak nienawidzą?

– Staram się iść do stołówki bardzo powoli – mówił Jacob – więc większość osób już prawie kończy, kiedy wchodzę, i siadam przy stoliku, przy którym jest parę dzieciaków, ale nie za blisko nich, żeby nie powiedzieli: „Spadaj, dziwolągu!”, ale tak w miarę blisko, żeby nie pokazać wszystkim, w całej stołówce, że w ogóle nie mam znajomych.

– Ja mam jeszcze weselej – odparła Sarah hardo, ale w jej oczach zobaczyłam łzy. – Zawsze, kiedy przechodzę koło tych „popularnych” dziewczyn, wyzywają mnie albo szturchają, albo zastygają w bezruchu i gapią się na mnie.

Usiłowałam nie płakać. Dzieci potrafią być strasznie okrutne dla siebie nawzajem.

– Siedzę w klasie, coś tam robię, zachowuję się, jakbym był okropnie zajęty, kiedy nauczyciele pozwalają nam rozmawiać – powiedział Jacob. – Wszyscy ze sobą rozmawiają, ale do mnie nikt się nie odzywa. Jakbym był niewidzialny. Traktują mnie jak trędownego albo coś...

A potem nasza trójka wyładowała gniew, grając w scrabble, a potem siedziałam sama, z głową opartą o blat kuchenny, i wypłakiwałam oczy.

Ile matek, które mieszkały tam przede mną, płakało w tej kuchni, nie mogąc ochronić swoich ukochanych dzieci przed światem?

Wszystkie, pomyślałam. Wszystkie.

* * *

Próby koncertowe odbywały się tam, gdzie miały się odbyć koncerty, a ponieważ mieliśmy tak mało czasu, były naprawdę długie.

Pierwszego wieczoru zebrałam uczestników pierwszej części koncertu i pracowałam z poszczególnymi grupami, między innymi z ogromnym chórem, który stworzyłam ze zwerbowanych z różnych szkół i kościołów osób w różnym wieku. Kolejny wieczór poświęciłam pracy nad drugą częścią. Trzeciego dnia zebraliśmy się wszyscy.

Była to chaotyczna, hałaśliwa, katastrofalna klęska.

– Widzisz, ciociu Meredith, ty i ja będziemy mieli taki sam

problem, kiedy to się skończy – powiedział Jacob, klepiąc mnie po ramieniu. – Z tobą też nikt nie będzie chciał siedzieć przy lunchu.

– Taaa... – powiedziała Sarah, żując gumę. – Żegnaj, grupo popularnych. Ale, hej, nikt w naszej rodzinie nie jest specjalnie popularny.

Przewróciłam oczami, poprawiłam jej bluzkę ze zdecydowanie zbyt głębokim dekoltem, a potem wyściskałam ją i Jacoba, zanim oboje zdążyli dać nogę.

Zobaczyłam, że w moim kierunku zmierza Martha, machając do mnie ręką. To ona zgodziła się zająć dekoracjami w Domu Kultury. Była taka zdolna, że z gałęzi, sznurka i taśmy klejącej potrafiła tworzyć dzieła sztuki godne największych muzeów.

– No dobrze, Meredith – powiedziała Martha, zaglądając do swoich notatek. – Będziemy mieli krzyż z drewna, ustawiony na środku sceny. Użyjemy białego kartonu, białej gazy i białego płótna; zrobimy śnieg, światełka, błyszczące ozdoby, zwieszające się ze stropu, no i mnóstwo choinek... Oho, patrzcie, kto przyszedł! Dzięki, że jesteś, Logan.

Odwróciłam się; stał za mną. Mężczyzna, o którym myślałam bez przerwy, który przyprawiał mnie o motyle w brzuchu i nieodpartą chęć tańca, który mnie ekscytował i był przyczyną nieustającego bólu głowy.

– Meredith, Logan jest mistrzem młotka i piły. Spełni każdą twoją zachciankę... – zaczerwieniła się. – No, wiesz, co mam na myśli... Rozmawiałam z nim u ciebie w pensjonacie; obiecał, że nam pomoże ze scenografią. Wystarczy, że powiesz mu, co byś chciała. Świetnie radzi sobie z piłą! I ma wielką wiertarkę! – Zaczerwieniła się jeszcze mocniej. – No... wiesz, co mam na myśli.

Ależ był przystojny.

– Witaj, przystoj... – urwałam, odchrząknęłam. – Witaj, Logan.

Miał na sobie czarną kurtkę, dżinsy i kowbojki. Uśmiechnął się do mnie, a ja znowu się zaczerwieniłam.

Mrugnął. Zaczerwieniłam się jeszcze bardziej. A kiedyś byłam taka twarda! Nie czerwieniłam się. Co się ze mną działo?

Wyciągnął do mnie dłoń, jak przy pierwszym spotkaniu. Podałam mu swoją, z nadzieją, że nie wyczuje drżenia. Widzicie? Tak na mnie działa ten facet.

Uścisnął mocno moją rękę. Zadrżała. Puścił do mnie oko.
Wiedział! Cholera jasna, wiedział.
Byłam tak zażenowana, że chciałam wskoczyć na konia
i galopować jak najdalej stąd.
Do Oregonu.

* * *

– Zatem... jak się tu znalazłeś, Logan? Tu, w Telenie? Dlaczego postanowiłeś wrócić do domu? – próbowałam odsunąć się na bezpieczną odległość.

Wszyscy inni już wyszli, a my siedzieliśmy przy stole. Chciał porozmawiać o scenografii, podejrzewałam jednak, że wie doskonale, co ma zrobić. Spodziewałam się, że usiądzie naprzeciwko mnie, jednak nic z tego. Kowboj o barach tak potężnych, że mogłoby na nich zatańczyć tysiąc aniołów, usiadł obok mnie. Znów się odsunęłam. Czułam jego zapach. Pachniał wiatrem Montany, miętą, sosnowymi igłami... Pachniał jak rzeka w pogodny, jasny dzień.

– Jestem tutaj z powodu Bożego Narodzenia.

– Bożego Narodzenia?

– Tak. – Zabębnił palcami o blat. – W zeszłym roku, mniej więcej w tym czasie, byłem na zebraniu w Los Angeles. Przejmowaliśmy akurat kolejną firmę. To była firma inżynierska; potrzebowaliśmy jej do projektowania robót budowlanych w Kalifornii. No cóż, zebranie było długie, atmosfera zrobiła się gorąca, a ja byłem wykończony. Podróżowałem niemal bez przerwy od lat, w domu stały nierozpakowane kartonowe pudła, bo bywałem na miejscu zbyt rzadko, żeby się tym zająć. Nie miałem urlopu od nie pamiętam jak dawna, sypiałem po sześć godzin na dobę. Pamiętam, że rozejrzałem się po sali konferencyjnej, po tych wszystkich pełnych energii, utalentowanych ludziach, których sam zatrudniłem. Wszyscy byli tacy, jak ja: zmotywowani, niezmordowani, ambitni. Zrobiła się ósma wieczorem; zakończyłem zebranie i wszyscy poszli do domu, a ja pojechałem na plażę, żeby się przejść. Podziwiałem piękno oceanu i wtedy... Przypomniały mi się tutejsze rzeki i wędkowanie w Montanie...

– No i...?

Milczał przez chwilę, gładząc dłonią gęstą czuprynę, a potem utkwiał we mnie rozjaśnione oczy.

– No i uświadomiłem sobie, że już mam to, co mi jest potrzebne.

– A co to takiego?

– Stabilność finansowa.

Pokiwałam głową. Ja też chciałam osiągnąć stabilność finansową. Zainwestowanie w pensjonat wszystkich pieniędzy, jakie zarobiłam w Nowym Jorku, było przerażającym doświadczeniem.

– Byłem gotów wrócić do domu. Wiesz, Meredith, ja dorastałem w biedzie, a bieda to uczucie desperacji, niedopasowania, strachu, to nieustanna walka o byt, to lęk, który nigdy cię nie opuszcza. Nigdy. Moja matka pracowała od świtu do nocy, ponieważ mój ojciec, który nie był mężczyzną w żadnym sensie tego słowa, wolał zwać i zająć się zwiedzaniem świata, zamiast zostać w domu i zadbać o żonę i syna. Dlatego ona pracowała w biurze kopalni, a dodatkowo przez trzy wieczory w tygodniu dorabiała jako kelnerka.

– Roznosiłem gazety, odkąd skończyłem dziewięć lat – podjął po chwili. – W sezonie kosiłem trawniki, potem, zanim wyjechałem do college’u, pracowałem w kopalni. Zresztą i później każdego lata, gdy przyjeżdżałem do domu na wakacje, pracowałem w kopalni. To była ciężka i niebezpieczna praca. Patrząc, jak gimnastykowała się moja matka, by związać koniec z końcem, bardzo wcześnie postanowiłem sobie, że zrobię wszystko, żebym nigdy nie musiał siedzieć przy kuchennym stole, wydzielając niewielkie porcje jedzenia, zamartwiać się, gdy popsuje mi się samochód, ani zachodzić w głowę, skąd wziąć pieniądze na lekarza. I dopiąłem swego.

Finansowo zawsze żyliśmy z matką na krawędzi. A potem z niej spadliśmy, gdy mama zachorowała na zapalenie płuc i nie mogła pracować, więc straciliśmy dom. Nie chciałem tak żyć. Musiałem zarobić pieniądze. Tak to było.... – Wzruszył ramionami. – Wielu ludzi, którzy z powodzeniem działają w biznesie, gonią za pieniądzem, miało takie dzieciństwo jak ja. Wiemy, że nie możemy, w żadnym wypadku, pozwolić sobie na powrót do punktu wyjścia. Dlatego za wszelką cenę dążymy do zdobycia tego, czego nie mieliśmy, a czego rozpaczliwie potrzebowaliśmy, i nie potrafimy odpuścić, dopóki nie osiągniemy celu.

Skinęłam głową.

– Nic za darmo! Ceną za to finansowe bezpieczeństwo był jednak brak życia prywatnego. A ja, choć bez przerwy pracowałem, zawsze chciałem mieć własną rodzinę. Mama zmarła, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Była jedynaczką, więc po jej śmierci zostałem sam. Po tamtej nocy nad oceanem, w Los Angeles, przez kolejne pół roku dużo myślałem o tych sprawach i codziennie utwierdzałem się w przekonaniu, że kiedyś wrócę do Montany i tu ułożę sobie życie. Nadal chcę pracować, ale mam już odpowiednich pełnomocników, trochę zrestrukturyzowałem firmę i zamierzam więcej obowiązków powierzać innym.

– Jak się udała przeprowadzka? – spytałam.

Pochylił się do mnie tak blisko, że zetknęliśmy się ramionami, i uśmiechnął się tym swoim promiennym uśmiechem.

– Lepiej, niż się spodziewałem.

– A nie brakuje ci wyzwań zawodowych, kolejnych projektów, ludzi, z którymi pracowałeś?

Potrząsnął głową.

– Brakuje mi, oczywiście, niektórych ludzi; tych, z którymi pracowałem od wielu lat. Dzwonimy do siebie, piszemy... Grożą, że przyjadą do Montany, wprowadzą się do mojego domu i będą całymi dniami wędkować, ale powiedziałem im, że nie mogą tego zrobić – potrzebuję tam kogoś, kto będzie prowadził moją firmę. A tych innych rzeczy? Podróży, wrażeń, polityki, pracy z trudnymi ludźmi? Nie. Nie tęsknię za tym. Prawdę mówiąc, im dłużej tu jestem, tym lepiej się czuję. Zupełnie jakbym odżył po latach bycia na pół martwym, zagrzebanym pod stertą spraw do załatwienia.

– Czyli... chcesz tutaj zostać na stałe.

Wyszczrzył do mnie zęby.

– Tak, Meredith, mam zamiar tu zostać. Powrót był najlepszą decyzją w moim życiu. – Ciepłym spojrzeniem objął moją twarz, sprawiając, że cała się spięłam, czując jak drży każdy mój nerw. – Potrzeba mi było spotkania z kimś, kto ma we włosach biały kosmyk.

Tej nocy śniłam o wypadku.

We śnie widziałam jego oczy, ale było ciemno, a mój umysł

spowijał mrok. Słyszałam jego głos, gdzieś w oddali; patrzyłam, unosząc się nad swoim ciałem, jak się nad nim pochyła. Słyszałam, jak do mnie krzyczy, a potem, we śnie, zaczęłam umierać.

Obudziłam się nagle i usiadłam na łóżku, oddychając ciężko.

Powiedziano mi później, że ten motocyklista udzielił mi pierwszej pomocy. Inny kierowca, przyjaciel moich rodziców, pobiegł do telefonu i wezwał karetkę, która przyjechała po kilku minutach; moi rodzice znaleźli się na miejscu chwilę później. Do tego czasu motocyklista zdołał ustabilizować mój stan, zaczęłam oddychać, choć nadal byłam nieprzytomna.

Rodzice opowiadali mi później, że mu dziękowali, jednak widok córki, leżącej na chodniku w kałuży krwi, wprowadził ich w zdenerwowanie bliskie hysterii. Z tego wszystkiego nie zapytali go nawet, jak się nazywa.

– Do końca życia nie wybaczę sobie, że nie zapytałem go o nazwisko – mówił ojciec z żalem.

– Szukaliśmy w raportach policyjnych, ale oni też go nie spisali – dodawała mama. – To był twój anioł, Meredith. Twój anioł!

Przynajmniej wiesz, że go masz. – Ojciec pocałował mnie, a po nim mama. – Tak bardzo cię kochamy, Meredith. Napijesz się herbaty? A może zjesz placuszkę? Przecież uwielbiasz placuszki.

– Potrzeba jej mojego *calzone*[10]! – oznajmił ojciec. – Wszyscy kochają moje *calzone*!

Gapiłam się w ciemność, stojąc przed katedrą. Na trawniku księża umieścili renifera z lampek świątecznych; na ścianie wisiał potężny, podświetlony krzyż, przypominający o cudzie Bożego Narodzenia.

Nabrałam tchu w płuca. Ja także potrzebowałam cudu w te święta.

10 *Calzone* – rodzaj pizzy, zawijanej w kształt pieroga, z różnorodnym nadzieniem.

Program koncertu stawał się coraz bogatszy. Maly, kucharka z Kambodży, przed każdymi świętami przygotowywała imponujący domek z piernika i stawiała go w oknie wystawowym swojej restauracji. Poprosiłam ją, żeby podczas każdego z naszych koncertów, w czasie gdy będzie śpiewał chór, ona na scenie dekorowała ten swój domek. Wymyśliłam, że skierujemy na nią kamerę i na ogromnym ekranie pokażemy Maly dokonującą na oczach widzów magicznej przemiany piernikowej budowli przy pomocy lukru i słodkich ozdób. I Maly się zgodziła.

– Mnie chcesz na swój występ? – zapytała, gdy piłyśmy herbatę w jej restauracji.

– Bardzo chcę, Maly.

– Ja zaszczytna.

– To my jesteśmy zaszczyceni.

Gawędziłyśmy jeszcze przez chwilę o świętach, prezentach i tym podobnym, aż w pewnej chwili Maly powiedziała łamiącym się głosem:

– Meredith, moja rodzina, my przybyli tu w łodzi z Kambodża.

Najpierw obóz, jeden rok. Mało jedzenia. Mój mąż martwy, on chory. Ja wrzuciła moich małych trzech synków do łodzi, ze mną. Pierwsza utopiła. Uratowani, z powrotem obóz. Drugi raz, my w łodzi, zapłacili piratów, żeby nas nie krzywdzili, nie topili łódź, i przyjechali tutaj. Nie ma wojna. Nie ma obóz. Nie ma bomby. Nie ma zła policja... –

potrząsnęła głową. Widziałam, że płacze. – Pracujemy ciężko. Mamy restaurację. Synowie poszli college, wszyscy lekarze. Pomagają innym. Teraz prosisz, róbcie domki na święta w Montana. Śmieszne życie.

I smutne. Takie życie, co? Śmieszne, smutne, szczęśliwe. Tak, ja szczęśliwa robić domki na święta. Meredith, ja dziękuję.

– To ja ci dziękuję, Maly. Nie mogę się doczekać.

– Ja też.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie ponad filiżankami z herbatą.

Kolejny numer wymyśliłam, siedząc w jadalni z Normem

i Howardem następnego ranka, gdy wszyscy inni już wyszli.

– Kiedyś, w czasie wojny, niechcący strzeliłem do swojego brata – zadumał się Norm.

– Naprawdę? – zapytałam.

Obaj skinęli głowami.

– Spędzałem święta w obozie dla uchodźców po ofensywie w Ardenach – opowiadał Howard. – Wszystkich nas zapakowali do bydłowego wagonu, bez okien, i ruszyliśmy do obozu. Usłyszeliśmy silnik samolotu, a potem zaczęło się bombardowanie. Padliśmy wszyscy na podłogę, a pociąg jechał dalej.

– Potem Howard i ja porównaliśmy daty i miejsca – dodał Norm. – Byłem pilotem myśliwca i to ja ostrzelałem jego pociąg. Oczywiście, nie mieliśmy pojęcia, że w środku są ludzie, a co dopiero amerykańscy jeńcy, bo przecież nikt nie wydałby takiego rozkazu. – Twarz Norma zachmurzyła się. – Próbowaliśmy zniszczyć linie kolejowe.

– Zostałem gościem szwabów – powiedział Howard. – Nie było przyjemnie. Widzisz tę bliznę? A tę? Tych blizn, i jeszcze paru innych, dorobiłem się w obozie. Do czasu, gdy wyzwolili nas Amerykanie, zdążyłem schudnąć do stu funtów, ciężko się rozchorowałem. Ale wciąż pamiętam święta w obozie – uśmiechnął się, choć był to uśmiech podszyty głębokim smutkiem.

– Śpiewaliśmy kolędy. Niektórzy nucili; byli zbyt ciężko ranni, za słabi, żeby śpiewać. Inni milczeli; może woleli nie wspominać domu. Kilku starało się z całych sił. Mały Petey, dzieciak z Arkansas, śpiewał najgłośniej ze wszystkich. Miał dziewiętnaście lat; powiedział mi później, że śpiewał tak głośno, bo chciał usłyszeć w swoim głosie głos swego wujka. Dirk z Teksasu też głośno śpiewał. Twierdził, że wierzy w nadzieję, a święta to czas nadziei. Trzeci z nich, Paul z Georgii, mówił, że śpiewa dla Jezusa i dlatego, że jest wdzięczny. „No i za co ty jesteś wdzięczny?”, zapytałem go. „Zobacz, gdzie wylądowaliśmy. Żarcia nie ma. Czystej wody nie ma. Jesteśmy tu więźniami”. A on mi na to: „Śpiewam, bo ciągle żyję. Dzięki Ci, Jezu! I cieszę się, i jestem z nas dumny. Jestem dumny z amerykańskich żołnierzy!”. A potem szturchnął mnie w bok i powiedział: „Howard, cieszę się, że ty także żyjesz, chociaż chrapiasz jak jaskiniowiec”. Ja i Paul, i ten tutaj Norm ciągle

jesteśmy przyjaciółmi. Widujemy się raz do roku. I co roku on powtarza: „Jestem wdzięczny za to, że żyję, i za to, że wy dwaj żyjecie. Dzięki Ci, Jezu! Wesołych Świąt!”. Wiesz, co mam na myśli, Meredith?

– Wiem, Norm, wiem. Opowiecie z bratem tę historię w czasie koncertu bożonarodzeniowego? – otarłam łzy.

– Naprawdę chcesz?

– Tak. A my w tym czasie zaśpiewamy *Cichą noc*. Żadnych protestów, proszę! – podsunęłam im tacę pełną moich Różowych Boskich Ciasteczek.

Howard nałożył sobie pięć i mrugnął do mnie.

– Jak będziesz taka stara jak my, przestaniesz się przejmować tym, co wolno, a czego nie należy jeść.

Norm wziął sześć.

– Pyszne, Merry Meredith. Moje życie stało się dużo lepsze, odkąd wróciłaś do Teleny.

Hannah wymyśliła dla nas jeszcze jeden numer i to dopiero była niespodzianka.

– Ciągle jeszcze potrzebujesz ludzi do koncertu?

– Owszem, jeśli masz kogoś dobrego.

– Zapytaj Simona.

– Simona?

Simona? Nerwowego człowieczka o trzęsących się rękach, z pięcioma kawałkami jabłka i setką obsesji?

– Tak, Simona. Kiedy się tu przeprowadził, przedstawił mi się, gdy pierwszy raz się witaliśmy. Nazwisko zabrzmiało znajomo, więc sprawdziłam w Internecie. – Hannah wyglądała na ogromnie z siebie zadowoloną. – Matematyka i muzyka idą ramię w ramię. Bardzo podobne.

– Więc kim on jest?

Hannah zanuciła jedną z moich ulubionych pieśni klasycznych.

– Oto, kim jest.

– Kim?

– To Simon Baumgartner. Międzynarodowej sławy skrzypek z Bostonu. Przeżył załamanie nerwowe. Przestał grać na skrzypcach i zniknął.

– Po czym pojawił się tutaj, w Telenie – zamyśliłam się. –
Doskonale. Niewykluczone, że ten koncert będzie dla niego idealnym
prezenterem od Świętego Mikołaja.

– Słyszę matematykę w jego muzyce.

Przewróciłam oczami.

– Ty słyszysz matematykę nawet gdy wieje wiatr.

– Faktycznie, coś w tym jest...

* * *

Ostatni tydzień upłynął nam pod znakiem intensywnej pracy. Cztery pokoje w moim pensjonacie zajmowali samotni podróżni lub pary; wszyscy goście byli weseli i mili, co nie zawsze się zdarza. Od czasu do czasu miewam klientów gorszych od rozwścieczonego Frankensteina, z jakiegoś powodu przekonanych, że katastrofa, w jaką zmienili swoje życie, nastąpiła z mojej winy.

Pewna kobieta dwa razy pod rząd skarżyła się na moją jajecznicę. Twierdziła, że jest zbyt mocno wysmażona. Dwa razy! Nikt nigdy nie narzeka na moje jajka, ponieważ są zawsze perfekcyjne. Kiedy skrytykowała mnie po raz trzeci, przyniosłam szklankę i rozbiłam w niej cztery surowe jajka, a potem postawiłam ją przed nią.

– Czy takie będą dobre? – zapytałam.

Inny facet był wściekły, bo zostawiła go żona. Nietrudno było domyślić się dlaczego. Narzekał i gadał bez końca, zamęczając każdego, kto chciał go słuchać, informacjami o tym, jak fatalną żoną była jego połowica. Davis odliczył do trzech, po czym Nadal Bardzo Żywi Staruszkowie wykrzyknęli: „Merry Meredith!”, gdy wchodziłam do jadalni z tacą, pełną rodzynek, ułożonych w napis „MILCZEC”.

Facet zamilkł.

Resztę czasu wypełniało mi prowadzenie pensjonatu, próby koncertu, siedzenie nad rachunkami oraz przytłaczające poczucie odpowiedzialności wobec miasteczka Teleny, borykającego się z licznymi trudnościami. Teleny potrzebowała cyklu dobrych koncertów świątecznych, żeby uzdrowić miejscową gospodarkę. Ta myśl sprawiała, że ja sama czułam się chora.

– Nie możesz mnie tak ciągle kontrolować, ciociu Meredith –

oznajmiła tymczasem Sarah. – Mam wolną wolę. Wiesz, że nie jesteś moją matką. Jesteś moją ciotką. A ja jestem dorosła i mogę sama o sobie decydować. Nie pozwolę, żebyś zrujnowała mi życie!

Jacob z kolei zapytał mnie, ile trzeba mieć lat, żeby móc rzucić szkołę na zawsze, i dodał, że bardzo poważnie rozważa taką możliwość.

Byłam wykończona. Prawie nie sypiałam. Chyba że myślałam o Loganie. Bo na myśl o nim ożywałam natychmiast.

To się musi skończyć, myślałam. Zanim sprawy wymkną się spod kontroli. Po prostu z tym skończę i już! A kiedy on już znajdzie tę swoją Przyszłą Żonę, wyjadę na Antarktydę, żeby jej nie znokautować.

– Jedziemy na ryby.

– Co?! Teraz?

– Teraz – Logan uśmiechnął się do mnie, ale po chwili spoważniał.

– Pogoda się zmieniła, więc jest szansa, że wędkom nam nie przymarzną do tafl. A poza tym ty, skarbie, zapracowujesz się na śmierć. Ja sam czuję się zmęczony, gdy na ciebie patrzę. Pojedź ze mną na ryby, proszę! Choćby na parę godzin. Mam już lunch w samochodzie, kupiłem różowy torcik i piwo. Możemy jechać.

Nalałam mu kawy, bo akurat siedział w mojej jadalni. Przyjeżdżał na śniadania trzy razy w tygodniu. Mary i Martha obsługiwały go na zmianę, ponieważ dawał „najlepsze napiwki w Montanie”.

– Nie mogę, naprawdę! Jestem za bardzo zajęta – odstawiłam dzbanek z kawą. Okropnie chciałam pojechać. Stres bulgotał we mnie, zalewając mnie po czubek głowy.

– Proszę, skarbie – powiedział miękko. – Pozwól, że ci pomogę. Chcę ci pomóc.

Wyobraziłam sobie długie, świąteczne cukierki, wystające z jego kamizelki wędkarskiej. Nie mogłam uwierzyć, że kiwam głową.

– Od kiedy jesteś kucharką, Meredith? – spytał Logan, gdy staliśmy w lodowatych wodach Missouri, ubrani w wysokie kalosze i kamizelki, trzymając drogie wędkom. – Czy był taki moment, kiedy się na to zdecydowałaś? W dzieciństwie?

– Chciałam być artystką, ale nie miałam talentu. Wcale. Ojciec pichcił włoskie obiady, matka przygotowywała angielskie śniadania. Po prostu do nich dołączyłam, i tyle. Pokochałam gotowanie. Myślę, że

sprawił to sos pomidorowy, czosnek, placuszki i croissanty. Skończyłam liceum, poszłam do college'u, skończyłam trzy lata, potem pojechałam do szkoły gastronomicznej w Nowym Jorku i już tam zostałam. – Pomięłam milczeniem około stu innych rzeczy, których nie chciałam... nie byłam w stanie mu powiedzieć.

– I spodobało ci się to.

– Tak, spodobało mi się to. Okazało się, że przygotowywanie jedzenia może być sztuką. – Poza tym uwielbiam wędkarstwo muchowe. Jest w nim coś magicznego, nawet jeśli jest tak cholernie zimno jak teraz.

– Twoje potrawy wyglądają jak dzieła sztuki, Meredith.

– Dziękuję – zarumieniłam się, słysząc ten komplement. Cholera! Zarumieniłam się. – Ale jedzenie ma też w sobie potencjał komiczny. Uważam, że powinno rozgrzewać także serca, nie tylko żołądki.

– I dlatego właśnie Ming dostała na śniadanie jajecznicę z bekonem uformowanym w kształt uśmiechu, a Torey Higadishi dostał sok pomarańczowy w trzech kieliszkach od wódki?

– Kiedyś Torey powiedział mi, że musi oglądać słońce trzy razy dziennie, żeby czuć się szczęśliwy. Sok pomarańczowy to ta odrobina słońca ode mnie dla niego.

W oczach Logana zalśniły ciepłe iskierki.

– To ogromnie miłe, Meredith.

– Chcę, żeby ludzie czuli się w moim pensjonacie doceniani. Chcę doprowadzać ich do śmiechu. Chcę, żeby delektowali się jedzeniem w miejscu, w którym czują się dobrze, gdzie obsługa zna ich imiona i upodobania.

– Założę się, że Sarah i Jacob także to doceniają.

Pomyślałam o Sarah, ciągle walczącej, tak bardzo samotnej w szkole i tak pełnej gniewu, i o Jacobie, borykającym się z destrukcyjnymi uczuciami, którymi obarczyła go matka, i poczułam, jak w moim wnętrzu także wzbiera gniew.

– Myślę, że tak. Ale jedzenie to za mało, żeby uleczyć duszę dzieciaka, który znalazł się w niewłaściwym miejscu.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? Bo ja chciałbym wiedzieć. Z różnych względów rozumiem, co czują Sarah i Jacob.

Ponownie zarzuciłam wędkę, a potem opowiedziałam mu całą historię, starając się nie dopuścić, żeby wrzący we mnie gniew wypłynął na powierzchnię.

– Zrezygnowałaś ze swojego życia w Nowym Jorku, żeby wychować cudze dzieci. To prawdziwe poświęcenie, Meredith. Właściwie bohaterstwo.

– Nieprawda. Z przykrością ci to powiem, ale wcale tak nie było. Chciałabym móc powiedzieć, że wyjechałam z Nowego Jorku z uśmiechem i pieśnią na ustach, ale tak nie było. – Rzeka migotała wokół nas, niebo było nieskazitelnie błękitne. – Lubiłam tamto życie. Lubiłam swoją pracę, związane z nią wyzwania. Tyle że czasami czułam się samotna. – Na chwilę zapało mi dech. – Nie powinnam była tego mówić.

– Dlaczego? To było szczerze.

Dlaczego? Dlatego, że takie wyznania czyniły mnie zbyt bezbronną.

– Byłam wściekła na siostrę; czasami nadal jestem. Musiałam zmienić swoje życie już raz wcześniej, kiedy ona... – zamknęłam usta. Nic z tego. – Tak czy inaczej, przyjechałam, ponieważ bardzo kocham te dzieci i nie chciałam wychowywać ich w Nowym Jorku.

– Jak sobie radzą?

– Są... – przełknęłam ślinę – są... w porządku – przełknęłam ponownie. – To znaczy... właściwie... niezbyt dobrze.

– Martwisz się, wiem. Opowiedz mi o tym. – Patrzył na mnie bardzo uważnie.

Martwię się? Ja się martwię? Postawa Sarah, jej zachowanie, jej bunt przyprawiały mnie o panikę. Czułam się chora na myśl o tym, jak ten biedny dzieciak jest traktowany w szkole. Matka ją porzuciła, w szkole ją atakowano. A Jacob? Był zamknięty w sobie, depresyjny, obsesyjnie grał na pianinie, nigdy się nie uśmiechał. Niemal umierałam, wyobrażając sobie, jak samotnie je lunch, gdy pozostałe dzieci całkowicie go ignorują lub rzucają w jego kierunku niegrzeczne uwagi, rujnując resztki jego poczucia własnej wartości.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Daj mi chwilę, ja... Nie wiem, co robić... Próbuję... Sarah jest... A Jacob... – Próbowałam stłumić łzy,

myśląc o nich. – Naprawdę, ja zwykle nie pł-a-a-czę...

– To nic takiego, Meredith, płacz, ile chcesz. Płacz jest dobry. Martwisz się o dzieci. Rozumiem to. Ja też bym się martwił. Powiedz mi, co się dzieje. Proszę. Chcę to usłyszeć. Być może zdołam ci pomóc.

Nie wiem, dlaczego, ale gramoląc się niezgrabnie przez rzekę, roniąc łzy, które spływały po mojej twarzy wprost na wędkarską kamizelkę, spojrzałam jeszcze raz w pełne współczucia, zielone oczy i... tama puściła. Chlipiąc, opowiedziałam mu całą historię, a moje łzy kapały do lodowatej wody. Potem płakałam w ramionach Logana, pomiędzy sterczącymi wędkami, a on obejmował mnie, gdy tak staliśmy, kamizelka przy kamizelce.

Nie wiem zbyt wiele o rodzicielstwie, ale jedno wiem na pewno: niepokój o dzieci, które cierpią, czują się samotne, zagubione lub robią niebezpieczne rzeczy, może powalić na kolana nawet najtwardszą wędkarkę-kowbojkę.

Sami widzicie. W wędkarstwie muchowym chodzi nie tylko o wędkarstwo muchowe.

Tymczasem na kolejnych próbach zaczęły się dziać interesujące rzeczy.

Niejaka Liberty Hall, prawniczka z Teleny, zdecydowała, że zgodnie z duchem świąt, każda próba powinna wiązać się z poczęstunkiem, i namówiła pozostałych na przynoszenie dań obiadowych, przekąsek, deserów, napojów itd. I tak co wieczór pracowaliśmy ciężko, a potem następowało to, co dla wielu stało się szybko „gwoździem wieczoru” – siadaliśmy razem do stołu.

Pewnego wieczoru, gdy skończyliśmy jeść, przysiadła się do mnie Liberty.

– Wiesz, Meredith, jeszcze nigdy nie byłam w Telenie tak szczęśliwa. Poznałam tu tyle osób, poznałam ich historie, bo wiesz... okazało się, że ja ich dotąd nie znałam, choć są moimi sąsiadami od lat. Byłam taka samotna... Miałam właściwie tylko znajomych z pracy – uśmiechnęła się do mnie. – Teraz czuję się o wiele lepiej.

Tę samą historię, w takiej czy innej wersji, opowiedziało mi też wiele innych osób.

Jeśli potrzebowałam dowodu, że ludzie chcą uczestniczyć

w koncercie, wystarczyło posłuchać ich śmiechu podczas wspólnych kolacji, popatrzeć, jak wymieniają uściski, żegnając się do następnego dnia, jak zawierają przyjaźnie.

Miałam wielką ochotę stuknąć obcasami kowbojek.

* * *

– Zagwizdał na mnie gwizdkiem na kaczkę!

Doprawdy, wieczór w barze Barry Lynn zapowiadał się interesująco.

– Co masz na myśli, mówiąc, że zagwizdał na ciebie gwizdkiem na kaczkę? – dociekała Hannah. Miała na sobie koszulkę z wizerunkiem Einsteina.

– Mam na myśli – odparła Katie – że zostawił dzieci u swojej mamy, zdjął z siebie wszystko poza myśliwskim kapeluszem, stanął u szczytu schodów i zagwizdał gwizdkiem używanym podczas polowań na kaczkę. W ten sposób mnie do siebie przywołał!

– Czy chcesz powiedzieć – Vicky bawiła się swoim końskim ogonem – że twój mąż zagwizdał na ciebie tym gwizdkiem, żeby cię zachęcić do... nawiązania hmm... intymnej relacji?

– Właśnie to mówię! – Katie wyrzuciła ręce do góry. – Tak mnie przyzywał. Czy on uważa, że mnie to podnieca? Ekscytuje?

Rozwodziłyśmy ten obraz. Nagi mąż, na szczycie schodów, dmuchający w gwizdek na kaczkę, żeby jego żona przyszła na górę w celu „nawiązania intymnej relacji”.

– Nie wiem, co powiedzieć, Katie – wymamrotałam, ze śmiechu krztusząc się piwem.

– Jakie jest statystyczne prawdopodobieństwo, że zrobi to jeszcze raz? – zastanawiała się Hannah, ocierając pianę z górnej wargi. – A co ty zrobiłaś?

– Zrobiłam to, co uznałam za stosowne! – warknęła Katie.

– Czyli co takiego? – spytałam.

– Wpadłam do garażu, rozebrałam się, włożyłam spodnie moro, szelki zapięłam na cyckach, nałożyłam na głowę kapelusz moro z piórkiem, złapałam strzelbę i krzyknęłam: „Idę po ciebie, kaczorze!”

Zaplułam się piwem.

– A co zrobił Mel, kiedy zobaczył, jak celujesz do niego ze strzelby?

– No cóż, nie była naładowana, Meredith – przyznała Katie. – Gdy mnie zobaczył, zakwakał znowu, a potem ganiał się po domu. On kwakał. A ja krzyczałam: „Bang, bang! Mam cię, kaczorze!”

– A potem? – drążyła Vicky.

– W końcu dotarliśmy do kuchni. Kaczor wylądował na stole, postrzelony, ale nie całkiem zastrzelony, odłożyłam strzelbę, a potem kwakaliśmy sobie na stole.

– Na stole kuchennym? – spytała Hannah. Widziałam, że jest zaintrygowana.

– Pokazałaś temu kaczorowi, kto tu rządzi – powiedziałam, śmiejąc się przez łzy.

– Pewnie, że tak. Farciarz z niego.

– Nie wątpię – zachichotałam. – Co za szczęśliwa kacza para!

– Kwa, kwa! – zawołała Vicky.

* * *

– No dobra, kochani, zaczynamy próbę – powiedziałam. – Mamy tylko jeden problem. Józef jest, ale potrzeba nam Marii. Kto będzie Marią? – zapytałam.

– Wiem – pisnęła Shawnelle Williams. Była dyrektorką, kiedy chodziłam do szkoły, a teraz była dyrektorką szkoły, do której chodziła Sarah. – Znam kogoś, kto doskonale pasuje do tej roli. – Zamilkła na chwilę dla lepszego efektu. – Sarah.

– Ona ma rację – stwierdziła Barry Lynn. – Sarah byłaby doskonałą Marią. Powiedz jej, żeby zmyła cały ten makijaż i ubrała się jak człowiek, i mamy gotową Matkę Boską. Aha, moi drodzy, pamiętajcie o mojej loterii.

– Ależ ona się nigdy na to nie zgodzi – powiedziałam.

Sarah jako Maria? Panna

Zrobię-Co-Zechcę-Nie-Możesz-Mnie-Powstrzymać? Młody wamp z cyckami wyłazącymi spod bluzki? Dziewczę z czarnym makijażem?

– Poproś ją – powiedziała Barry Lynn. – Ona się buntuje, Meredith, i wszyscy wiemy dlaczego. Cholera, sama się buntowałam

przez całe życie, a miałam dużo lepsze dzieciństwo niż ona. Daj jej szansę poczuć się kimś innym.

– Powiedz jej, że wszyscy na nią liczymy, dzięki temu poczuje się potrzebna, doceniana – powiedziała Shelby Narrin.

Shelby, lat dwadzieścia pięć, była koszmarną, narzekającą na wszystko marudą do czasu, kiedy zaczęła charytatywnie udzielać się w naszej kuchni dobroczynnej i zdała sobie sprawę, że nie ma aż tylu powodów, żeby się nad sobą użalać.

– Zobaczysz, Meredith, że ona stanie na wysokości zadania – uspokajał mnie Norm. – To będzie prawdziwe błogosławieństwo.

– Przed domem stoi koń i coś jakby furmanka, ciociu Meredith.

– Coś jakby co? Jacob?

Wskazał ręką okno saloniku.

Wspięłam się na kanapę, noga uwięzła mi między poduszkami i upadłam na twarz. Jacob pomógł mi wstać. – Trochę z ciebie niezdara, ciociu Meredith.

– Faktycznie, masz rację – doprowadziłam się do porządku i wyjrzałam przez okno.

Woźnica i... o rany! Woźnica i Logan zamachali do mnie. Logan zeskoczył z kozła powoziku i podszedł do drzwi.

– To z nim jedziesz na kolację? – dopytywał Jacob.

– Eeee... Tak... To znaczy tak jakby... – Logan przejął moje myśli, byłam tego pewna. Zatrzymał się w pensjonacie dwa dni wcześniej, mówiąc:

– Meredith, chcę cię zabrać na wczesną kolację w środę, przed próbą. Przyjadę po ciebie o piątej po południu.

A ja skinęłam głową niczym robot.

– Jest wielki! Prawdziwy olbrzym!

Otoczyłam Jacoba ramieniem.

– Chodź, przywitasz się z nim.

Potrząsnął głową. Był tak strasznie, okropnie nieśmiały. Sarah, usłyszawszy dzwonek do drzwi, zbiegła po schodach.

– To twój chłopak, tak?

Zmierzyłam okiem jej strój, sugestywny i niewłaściwy, i jej makijaż, też sugestywny i niewłaściwy.

– Nie kłóć się teraz ze mną, ciociu Meredith. Mężczyzna stoi u bram. Pierwsza randka od niepamiętnych czasów, co? Żyłaś jak na pustyni. Jak w czasie totalnej posuchy. Ani kropli wody.

Przewróciłam oczami, kiedy Sarah otwierała drzwi.

– Witam. Chyba się jeszcze nie poznaliśmy. To ja jestem tą zbuntowaną nastolatką. Ciągle są ze mną problemy i przysparzam cioci

Meredith samych zmartwień. Znam wszystkich miejscowych policjantów. Oni też mnie znają. Ciocia uważa, że ubieram się jak...

Zatkałam jej buzię ręką.

– Witaj, Logan. Wejdz.

Zamknął za sobą drzwi, co sprawiło, że korytarz jakby się skurczył; nawet nasza tradycyjna choinka, przybrana popcornem i żurawiną, wydała się mniejsza.

– Miło znowu cię widzieć, Sarah – powiedział z sympatią i potrząsnął jej dłonią. Sarah wyglądała na zaskoczoną i chyba się zarumieniła, potem jednak utkwiała wzrok we mnie. Nie mam pojęcia dlaczego; być może po prostu jest gniewną nastolatką, a one bez powodu rzucają ludziom gniewne spojrzenia.

– Jacob – Logan wyciągnął dłoń. – Wiele razy słyszałem, jak grasz na pianinie. Uzdolniony muzyk z ciebie.

Jacob zwiesił głowę i zaczerwienił się.

– Broda do góry! – szepnęłam.

Jacob posłusznie uniósł podbródek. Staralam się uczyć go patrzeć ludziom w oczy, prostować się. Nieustannie o to walczyliśmy. Po prostu, metaforycznie rzecz ujmując, dostał od życia zbyt wiele ciosów.

– Na zmianę albo gra na pianinie, albo pisze piosenki. Ma więcej talentu niż ktokolwiek inny – powiedziała Sarah. – Jezu, jakie to musi być nudne! Ja tam wolę po cichu wymykać się nocami.

Przewróciłam oczami, patrząc na nią. Sarah zrobiła to samo, patrząc na mnie, skrzyżowała ręce na piersi i wysunęła biodro do przodu.

Logan nie powiedział ani słowa, dopóki Sarah nie spojrzała na niego.

– Sarah – odezwał się – nie wymykaj się sama w nocy. To niebezpieczne. Jesteś młodą kobietą; jeśli będziesz włóczyła się sama, prędzej czy później przyczepi się do ciebie ktoś niebezpieczny, a potem będziesz żałowała, że wyszłaś z domu. Ba, będziesz się modliła, żeby jak najszybciej znaleźć się tam z powrotem... – Logan wygłosił jeszcze kilka kwestii w tym duchu, aż wreszcie zakończył: – Nie przysparzaj ciotce kłopotów. Martwi się o ciebie, a nie zasłużyła na to. Ty zresztą też na to nie zasłużyłaś. Nie ulega wątpliwości, że jesteś inteligentna i elokwentna. Nie rujnij sobie życia kiepskimi wyborami.

Byłam przekonana, że Sarah przystąpi do odwrotu, fukając, wyglądało jednak na to, że Logan za bardzo ją przestraszył tymi swoimi potężnymi ramionami i autorytarnym tonem. Tak – ukryłam uśmiech. Przestraszyła się Logana. Ha! Być może właśnie odkryłam swoją tajną broń.

Kiedy skończył, Sarah wyszeptała:

– Dobra... dobra... Słyszałam... Nie będę więcej... Dobra.

Wtedy Logan odwrócił się do Jacoba.

– Kiedy zacząłeś grać na pianinie?

– Dawno temu – odparł Jacob cicho. – Panie w kościele czasami pozwalały mi pograć. Jedna dawała mi lekcje. Dzięki temu miałem dokąd pójść, kiedy... – skulił ramiona.

– Kiedy naszej mamy nie było całą noc – powiedziała Sarah, znowu z sarkazmem. – Albo cały dzień. Potrafiła się zwodować na parę dni. Ja się nim wtedy opiekowałam.

Miałam ochotę bić się pięściami po głowie i skakać po swoim kowbojskim kapeluszu. Jak ona mogła tak ich zostawiać?

– Ona się mną opiekowała – powiedział Jacob, wskazując na Sarah. – Pamiętam, jak na moje trzecie urodziny zrobiła mi naleśniki, i upiekła ciasto z mieszanki, a potem razem posmarowaliśmy je różowym lukrem. Odprowadzała mnie do szkoły, dawała mi herbatniki, masło orzechowe i galaretkę, i przychodziła na zebrania rodziców.

Niewinne słowa dziecka mogą przeszyć człowiekowi serce, czyż nie?

– Na Boże Narodzenie Sarah zawsze ma dla mnie prezenty – ciągnął Jacob. – Większość robi sama. Potrafi wszystko. Malować. Haftować. Wyszywać.

Gdy Jacob rozwodził się nad przymiotami siostry, ożywiony, jak nigdy dotąd, uświadomiłam sobie, jak bardzo tych dwoje kocha się nawzajem. Bo oni przecież wychowali jedno drugie. Nawzajem.

– Jesteś świetną siostrą, Sarah. Dobrą i szczodłą. – stwierdził Logan, patrząc na chłopca. – Zagrasz podczas świątecznego koncertu, prawda?

Powiedziałam mu już, że Jacob odmówił

– Nie – popatrzył na swoje zaciśnięte dłonie. – Gdybym zagrał

w czasie koncertu, wszystkie dzieciaki by mnie widziały.

– A co w tym złego?

– I tak już uważają mnie za dziwaka. Przezywają mnie. Nazywają mnie gnojkiem albo panienką. Albo mięczakiem.

– I co ty na to? – chciał wiedzieć Logan.

Jacob wzruszył ramionami.

– Nic. Najpierw próbowałem odpowiadać, ale śmiali się ze mnie. Było jeszcze gorzej.

Zapadła cisza; wiedziałam, że Logan myśli o tym, co właśnie usłyszał. Być może mógłby pomóc małemu. Jak? Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to, że mógłby nauczyć Jacoba lepiej się bić, ale dzieciak nie nadawał się do tego. To by nie zadziałało.

– Chodź z nami na kolację, Jacob – powiedział Logan. – Sarah, opowiesz mi więcej o tych rzeczach, które robisz, i o szkole, i o tym, co lubisz, oprócz wymykania się w nocy, czego oczywiście nie będziesz już robiła?

Prychnęła na niego.

– Chcesz iść z nami na kolację? – spytałam Jacoba. W jego oczach błysnęła nadzieja, zaraz jednak zerknął na Logana, jakby chcąc upewnić się, czy ten faktycznie chce go zabrać, czy tylko udaje.

– Chciałbym, żebyś z nami poszedł, Jacob – powiedział Logan.

Jacob nie potrzebował dalszej zachęty. Pobiegnął po kurtkę.

– Sarah – Logan zwrócił się do dziewczyny. – Chciałbym, żebyś ty też poszła z nami, ale musisz zmyć makijaż i włożyć sweter.

– Świetny pomysł – wycedziłam, znowu lustrując wzrokiem nieodpowiedni strój Sarah i jej nieodpowiedni makijaż. – Bez dwóch zdań.

Otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, a potem rzuciła nam ponure spojrzenie.

– Ponure spojrzenia na mnie nie działają – wyjaśnił jej spokojnie Logan. – Poza tym od takich min zrobią ci się zmarszczki. Wychodzimy za pięć minut. Chcesz z nami iść czy nie?

Chciała.

A potem, choć wydaje się to nieprawdopodobne, cudowne i niezwykle, nasza czwórka bawiła się razem doskonale w restauracji,

udekorowanej czerwonymi, zielonymi i złotymi ozdobami, przed którą zajechaliśmy staromodnym powozikiem. W połowie kolacji Sarah uśmiechnęła się do mnie, a ja patrzyłam na jej czyściutką twarz i ładny, czerwony sweterek. Otarłam łzy serwetką. Byłam wzruszona. Logan dowiedział się, że mam problem, i postanowił mi pomóc. Co za mężczyzna!

Logan dotknął pod stołem mojego kolana.

Co za mężczyzna!

* * *

Moja zmywarka plunęła strumieniem wody i odmówiła dalszej pracy. Wezwałam hydraulika. Wysunął maszynę na środek kuchni.

– Koszmar! – westchnęłam.

– Tak, Meredith. Z całą pewnością to koszmar. Przyjedziemy jutro. Zabieram zmywarkę ze sobą.

Popatrzyłam w pustą przestrzeń, która pozostała po zmywarce. A co to takiego? Czyżby otwór, wycięty w drewnianej ścianie? Popukałam w tym miejscu – deska poruszyła się. Złapałam krawędź palcami. Szczelina w drewnie miała kształt kwadratu dwanaście na dwanaście cali. Pomacałam powierzchnię, zniszczoną przez pleśń i wodę. Pociągnęłam za krawędź i drewno odskoczyło, jak drzwiczki.

Ukryte drzwiczki.

Podniosłam się i poszłam po latarkę, a gdy wróciłam, poświeciłam nią do środka. Coś zaśniło. To była menora. Wzięłam ją w dłonie, zdumiona.

Ukryta menora[11].

Gdybyż tylko ten dom zechciał do mnie przemówić.

* * *

– Jestem wielka jak okręt – powiedziała Mary. – Czuję się, jakby przywiązali mi w talii owczarka podhalańskiego. Nie, czekaj. Przecież ja nie mam talii. Nie widzę swoich stóp. Czy ja w ogóle mam jeszcze stopy? Nie miałam pojęcia, że skóra może aż tak się rozciągnąć. Cycki mam tak wielkie, że nie mam pojęcia, co z nimi zrobić.

– Najlepiej zostaw je tam, gdzie są – poradziła Martha, krzątając

się po kuchni jak zwykle. Ubijała śmietankę, zwijała rogaliki cynamonowe, miksowała jajka – wszystko na raz. – Za kilka tygodni w sam raz ci się przydadzą.

– Jestem zwariowaną babą w ciąży, no nie? – dopytywała Mary. – Będę szaloną matką, w dodatku beznadziejną; moje dziecko w pierwszej klasie będzie pisało wypracowania o tym, jaka jestem szalona!

Zaląła się łzami.

Hormony. Ach, te hormony!

* * *

– Mogę cię odprowadzić do domu, Meredith? – spytał Logan. Staliśmy przed Domem Kultury; długa próba właśnie dobiegła końca. W głowie dźwięczała mi natrętnie melodia kolędy.

– Jeśli powiem, że nie, i tak to zrobisz, prawda?

– Zapewne – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jest ciemno, jest późno, więc nie chcę, żebyś wracała do domu sama.

Pożegnaliśmy się z pozostałymi. Wszyscy dziękowali Loganowi – byli pod wrażeniem jego scenografii. Ruszyliśmy w kierunku pensjonatu; w oddali lśniła katedra.

– Meredith, zastanawiałem się nad czymś...

– Chyba za dużo myślisz, Logan – włożyłam na głowę czarny, kowbojski kapelusz ze srebrną wstążką.

– Myślę, że powinniśmy zacząć oficjalnie się spotykać. Oboje kochamy wędkarstwo, jazdę konną, uwielbiam twoje potrawy, oboje chodzimy w kowbojkach. Bylibyśmy idealną parą.

Chciało mi się płakać. Miałam ochotę coś rozwalić.

– Logan, posłuchaj – powiedziałam, kiedy przechodziliśmy obok rozświetlonej choinki na placu, majestatycznej i spokojnej pod lekkimi płatkami śniegu. – Nie chcę... – spojrzałam utkwione we mnie w zielone oczy, poważne i skupione. – Nie chcę się z tobą spotykać.

– Nie chcesz? – Zatrzymał się i wziął się pod boki.

Och, chcę! Rozpaczliwie chcę!

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo w moim życiu nie ma miejsca dla ciebie ani dla nikogo

innego.

– Ale mogłabyś je zrobić!

– Mój pensjonat walczy o przetrwanie, mam dwoje dzieci, które mieszkają ze mną i sprawiają mnóstwo kłopotów, a ja nie umiem być dla nich matką. No i muszę zorganizować ten koncert. Naprawdę nie szukam faceta.

Przez chwilę wpatrywał się w niebo, jakby szukając w nim odpowiedzi.

– A chłopaka?

To brzmiało smakowicie!

– Nie, i chłopaka nie.

– Kawalera?

Oho, wersja romantyczna!

– Nie, kawalera też nie.

– W takim razie będę twoim partnerem.

Partnerem! To znowu zabrzmiało frywolnie. Natychmiast w mojej wyobraźni pojawiła się wizja łóżka w kształcie serca, otoczonego stosami czekoladowych serduszek.

– Nie potrzebuję partnera. Radzę sobie sama. – Ruszyłam przed siebie, czując, że ocieram się o niego ramieniem.

– Meredith – zniżył głos. – Daj mi szansę. Daj n a m szansę.

Jasne! Nie ma sprawy! Już się robi!

– Nie. Nie bawię się w gonienie za szansami. Interesuje mnie prawdziwe życie. Ale dziękuję ci.

Miałam ochotę wybuchnąć płaczem.

– Czasami trzeba skoczyć na głęboką wodę, Meredith.

– Co masz na myśli?

– Właśnie to: czasami musisz po prostu komuś zaufać.

– Zaufać?

– Zaufać sobie. Zaufać mnie.

– Nie znam cię na tyle, żeby ci zaufać.

– Ja ci ufam.

– Tak? – zapytałam.

– Tak.

– Ale przecież prawie się nie znamy.

– Znamy się wystarczająco dobrze, Meredith. Nie jesteśmy nastolatkami. Znamy świat, widzieliśmy dobre i złe rzeczy. Mamy doświadczenie, znamy samych siebie, wiemy, czego chcemy.

Chcę ciebie, Logan. Żeby powstrzymać łzy, studiowałam uważnie mijane świąteczne dekoracje. Lampki na drzewach, na krzakach, na dachach domów. Święte Mikołaje, sanie, prezenty. I Rudolf na trzech nogach.

– Wiem, że zrezygnowałaś z życia w Nowym Jorku dla tych dzieci. To była szlachetna decyzja. Wiem, że jesteś inteligentna i zdolna, bo z powodzeniem prowadzisz własną firmę. Wiem, że poświęcasz swój czas, żeby zrobić coś dobrego dla swojego miasta. Wiem, że lubisz się śmiać, ale w twoim życiu zagościł kiedyś smutek, z którym nadal się do końca nie uporałaś. Wiem, że masz bogatą duszę, że jesteś szczerą i uczciwą. I wiem, że mógłbym spędzić resztę życia, próbując cię rozszyfrować, a i tak pozostałabyś dla mnie zagadką, ale nie przeszkadza mi to.

Potrząsnęłam głową. Ten mężczyzna o surowej twarzy, który pochylał się nade mną, wciąż mnie zaskakiwał. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto chciałby wiedzieć jak najwięcej o kobiecie. Większości wystarczył numer stanika; resztą nie zawracali sobie głowy.

Zasłoniłam oczy dłońmi, żeby nie zalać się łzami.

– Zawsze analizujesz ludzi tak dogłębnie, Logan?

– Tylko damy w kowbojskich kapeluszach, które, nawiasem mówiąc, także mi się podobają. Podoba mi się ich kolor i styl. Każdego dnia masz nowy, inny kapelusz. Meredith, chcę ci zaproponować umowę. Niech to będzie nasza świąteczna umowa.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

– Meredith, powiedziałem ci kiedyś, że pocałuję cię dopiero wtedy, kiedy mnie o to poprosisz. Chcę, żebyś poprosiła.

Proszę! Och, proszę, pocałuj mnie!

– Nie mam zamiaru cię prosić, żebyś mnie pocałował.

Podszedł bliżej.

– Proszę.

Cudownie! Wspaniale! Czy możemy od razu iść do łóżka?

– Nie zrobię tego.

– Czekam, żeby cię pocałować, od dnia, kiedy zobaczyłem cię w barze z tym dupkiem. Z jakiegoś powodu... podobają mi się kobiety z solidnym prawym sierpowym. Ale musisz poprosić, żebym cię pocałował, tak, jak ci obiecałem.

Spodobałeś mi się od pierwszej sekundy. Zapadłeś mi w serce tak głęboko, że nie mogłam złapać tchu. Łączy nas silne pożądanie i przyjaźń, a w dodatku lubimy ze sobą rozmawiać, nie mówiąc o wędkowaniu. Kiedy jestem przy tobie, trudno mi zebrać myśli.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Logan? Nie szukam nikogo. Nie będę cię całować ani przytulać, ani nawet nie podejść bliżej... – przygryzłam wargi.

Chrząknął.

– Jeden pocałunek, Meredith. Poproś mnie o to. Wyzynam cię.

Przyjmij wyzwanie! Czy mogę? Mogłabym go pocałować i wspominać to przez resztę życia. Mogłabym po prostu cieszyć się chwilą, ten jeden raz. Nabrałam tchu. Podeszedł bliżej. Pachniał choinką, rzeką w pogodny, ciepły dzień, złoto-różowym zachodem słońca i górami.

– Poproś mnie, Meredith. – Zdjął mi z głowy czarny, kowbojski kapelusz. – Chcę cię pocałować, skarbie. – Zdjął z głowy swój kapelusz.

Czy ja jestem jego „skarbem”?

Otoczył mnie ramieniem, położył ciepłą dłoń na moim policzku i przycisnął do siebie tak mocno, że jego usta i jego zielone oczy znalazły się bardzo blisko, obiecując pocałunek, który sprawi, że wyskoczę ze swoich kowbojskich butów.

– No dobrze, kowboju – powiedziałam drżącym głosem. – Niech to będzie nasza świąteczna tajemnica. Pocałuj mnie.

Przyciągnął mnie do siebie jeszcze bliżej i poczułam jego usta na moich, miękkie, ciepłe, pełne pożądania; to było tak wspaniałe, tak cudowne, że nie byłam w stanie myśleć. Nie mogłam się od niego oderwać, a on nie mógł się oderwać ode mnie. Moje ciało płonęło, a mimo to czułam się bezpiecznie i pewnie... Jakby miał zostać przy mnie na zawsze.

Logan odsunął mnie na krótką chwilę; ze wstydem przyznaję, że jęknęłam, tak bardzo chciałam, żeby ten pocałunek trwał nadal. Potem

przysunęłam się bliżej, a wtedy on przejął kontrolę, tak jak to powinien zrobić prawdziwy mężczyzna. Objęłam go za szyję, żeby przyciągnąć go bliżej i dokładnie tak, jak w kiepskich filmach, zmiękły mi kolana. Co tam kolana! Przyciskał mnie do siebie mocno, a ja czułam, że miłość wypełnia mnie po brzegi.

To on opamiętał się pierwszy. Ja zagubiłam się całkowicie w tym słodkim, wrzącym pożądaniu; chciałam więcej i więcej... Oparłam się o jego pierś, wsłuchując się w jego ciężki oddech; ja także sapałam niczym w agonii.

– Dziękuję ci, Meredith – powiedział Logan bez tchu. – Dziękuję, że poprosiłaś, żebym cię pocałował. To była... prawdziwa przyjemność. Możesz mi wierzyć.

– Możesz mi wierzyć – wykrztusiłam – że nie ustoję na nogach, więc nie puszczaj mnie.

Objął mnie mocniej i wymruczał mi do ucha:

– Skarbie, nie miałem w ogóle takiego zamiaru.

Odetchnęłam głęboko. Nie miałeś takiego zamiaru... Pewnie. Jeszcze nie. Poczekaj tylko. Tak, poczekaj, aż się dowiesz. Będiesz uciekał szybko.

Tego wieczoru owinęłam się żółtą kołdrą ciaśniej niż zwykle i płakałam rozpaczliwie. Dlaczego kobiety tak często płaczą przez mężczyzn?

Następnego ranka kroiliśmy kiwi, truskawki, jagody i ananas na wieniec świąteczny dla kobiety, która miała świętować pięciolecie remisji nowotworu, i rozmyślałam nad ludzką naturą.

Jak to jest? Czasami przyjaźnimy się latami, umawiamy się na randki, chodzimy na lunch z kimś, z kim wcale – choć zna się go od lat – nie czujemy żadnej bliskości. A innym razem poznajesz kogoś i od razu wiesz, że to nasza druga połówka? Spotykasz kogoś, kto jest ci przeznaczony, i wszystko, co było do tej pory, wydaje się pozbawione znaczenia i blasku. Oto twoje serce i twoja przyszłość. Albo twój nowy najlepszy przyjaciel. Dlaczego tak się dzieje?

Ile kobiet, mieszkających w tym domu, noszących gorsety, grube warstwy bielizny, dopasowane staniki, krótkie sukienki z lat dwudziestych, marynarskie kapelusze, szerokie spódnice, hippisowskie

koszulki, konserwatywne swetry i koronkowe koszulki nocne, zastanawiało się nad tym samym? Wszystkie? Żadna?

Usłyszałam odległe brzęczenie kieliszków, stykających się ze sobą w toaście.

– Słyszałam to! – zawołałam.

Tak, z pewnością wrócę tu kiedyś i będę straszyć w tym domu jako duch kucharki.

11 Menora to siedmioramienny kandelabr, ozdobny świecznik używany przez Żydów w świątyni; jeden z najstarszych symboli narodu żydowskiego (*przy. red.*).

Spotkałam się z Trzema Wiedźmami w barze Barry Lynn, na pół godziny przed próbą.

– Wyciągamy Dzienniczki Wdzięczności, drogie panie – powiedziała Vicky. – Napisałam, że jestem wdzięczna, że udało mi się odnaleźć moje dwa cielaki, Małego Todda i Brata Małego Todda, które próbowały uciec do miasta. Ostatnio, kiedy to zrobiły, Brat Małego Todda gonił Awę po ulicy. Była bliska hysterii. A co ty napisałaś, Hannah?

– Jestem wdzięczna za równania różniczkowe cząstkowe, rachunek wariacyjny i algebrę liniową.

– Muszę się napić – westchnęła Vicky. – A co ty napisałaś, Meredith?

– Napisałam, że jestem wdzięczna za Jacoba i Sarah, i za moją zabytkową, mosiężną wannę na nóżkach. Kiedy w niej siedzę i zalewam się łzami, wiem, że inne kobiety też w niej płakały, i to sprawia, że czuję się mniej samotna.

– Nie powinnaś płakać w samotności – stwierdziła Hannah. – Lepiej jest płakać z innymi. Ja, kiedy jest mi smutno, staram się skupić na algebrze. To mnie uspokaja.

– Czasami cię nie rozumiem, Hannah – powiedziała Katie z zażenowaniem.

– A co ty napisałaś, Katie? – zapytałam, nie chcąc drażnić tematu. Katie otworzyła dziennik i odgarnęła do tyłu brązowe loki.

– Jestem wdzięczna za to, że kiedy wczoraj przyjechało do nas pogotowie, bo Mel nadwerżył sobie kręgosłup, gdy wypróbowałyśmy pozycję Korindike, lekarz nie śmiał się ze mnie, gdy mu powiedziałam, że to miłosne manewry wymęczyły mojego Mela tak bardzo.

No cóż, ja chyba jednak się nie powstrzymam. Co za aliteracja!

– Jeden z nich zapytał: „A co to takiego ta pozycja Korindike?”, więc pokazałam im zdjęcie. Wszyscy je oglądali, a potem gapili się na

mnie, tacy zaszokowani, po czym jeden z nich zapytał: „Proszę pani, naprawdę jest pani w stanie to zrobić?”, a drugi powiedział: „Państwo, zdaje się, macie już czwórkę dzieci”. Wtedy Mel, który leżał na kuchennym stole, powiedział: „No i co z tego? To już nie mogę sobie poszaleć z własną żoną?”. No, ale cieszę się, że Melowi nic się nie stało. Lekarze mówią, że musi teraz dużo leżeć i uważać na siebie. Może będę miała trochę spokoju. – Zamknęła dziennik. – Naprawdę znudziło mi się już huśtanie na linie, jak małpa, w przebraniu Jane.

Na moment zapadła cisza.

– Nie wiem, co powiedzieć, Katie – wyjąkałam.

– Wiem – mruknęła Katie. – Mam już powyżej uszu tego, że w każdą niedzielę w kościele jestem wykończona po sobotnich igraszkach, a teraz będę mogła spokojnie posłuchać kazania, nie zasypiając przy tym, dzięki Bogu.

No tak. Dzięki Bogu.

* * *

– Dlaczego nie chcesz, żebyśmy byli razem, Meredith?

Podniosłam dłonie w dwóch parach mitenek, a potem ściągnęłam z głowy biały kowbojski kapelusz ze srebrnym medalionem.

– Czy zdarza ci się niezobowiązująco gawędzić, Logan?

Rozmawiać o niczym? Paplać? Wiesz w ogóle, na czym polega lekka konwersacja? Od czasu do czasu chciałabym tak właśnie z tobą porozmawiać. O niczym. Pogawędzić. Ale nie, ty zawsze musisz uderzać w sedno każdej rzeczy. Rozmowa z tobą jest jak konkurs łuczniczy.

Zatrzymał się na trawniku przed katedrą; za jego plecami jaśniał renifer z lampek i podświetlony krzyż.

– Lubię strzały. Lubię łuki. Następnym razem, kiedy pojedziemy na moje ranczo, na przykład jutro, poćwiczymy sobie strzelanie do celu. Spodoba ci się. Jesteś bardzo skomplikowaną osobą, Meredith. Lubię skomplikowane osoby, ale wolałbym, żebyś trochę bardziej mi ufała. Jesteś trudna, Meredith. Bardzo trudna.

– Nie jestem!

– Owszem. Jesteś. Zatańcz ze mną.

– Co? Nie mam zamiaru.

– Owszem. Masz. Zatańcz ze mną, tu i teraz, przed katedrą. Przyda nam się trochę praktyki na potem.

– Na potem? Co masz na myśli?

– Potem.

Przyciągnął mnie do siebie i wziął za rękę, a potem zaczął nucić świąteczne piosenki. *Jingle Bell Rock, I Saw Mommy Kissing Santa Claus, Grandma Got Run Over by a Reindeer...* Śmiałam się i śpiewałam razem z nim. Księżyc świecił mocno, gwiazdy lśniły, Gwiazda Polarna mrugała tylko do mnie i było tak pięknie, jak jeszcze nigdy w życiu.

A niech to! Znałam tego faceta od niedawna, ale wiedziałam, że powinnam trzymać się od niego z daleka. Czułam, że się w nim zakochuję, że świat wiruje, że wpadam w radosny trans niczym łasuch nurkujący w budyniu.

Tak, zakochiwałam się w Loganie.

Całował mnie tak długo, aż wszystkie te myśli odpłynęły gdzieś daleko.

Wszystkie bajki świąteczne kiedyś się kończą. Moja skończyła się w czwartek, około godziny pierwszej, gdy padał gęsty śnieg, lekki, czysty i cichy. Dzieci były w szkole, goście pensjonatu – na mieście, a wysprzątana kuchnia lśniła.

Piłam właśnie miętę i jadłam cukierka. Za dwadzieścia minut miałam wziąć się za pracę nad naszym koncertem, tymczasem jednak marzyłam, że jedziemy z Loganem na koniu, obejmuję go ciasno w pasie, a za nami gonią stada gołąbków z białej czekolady, trzymających w dzióbkach gałązki tymianku.

Zadzwoił telefon. Nie powinnam była odbierać; należało przynajmniej sprawdzić, kto dzwoni. Nie sprawdziłam.

– Halo?

– Witaj, siostro! – powiedziała różnym głosem Leia.

Poczułam, że robi mi się zimno, strach ścisnął mnie za gardło. Gdzie ona jest?! Chce przyjechać po dzieci?!

– Co się stało, że dzwonicz, Leia?

– A może się najpierw przywitasz?

– Po co dzwonicz? – Proszę... błagam! Tylko nie mów, że chcesz

przyjechać po dzieci. Nie psuj tego, co właśnie zaczęło zmieniać się na lepsze. Przecież nie dzwoniłaś miesiącami i tak właśnie było najlepiej.

– Dzwonię, żeby życzyć ci Wesołych Świąt.

– Wesołych Świąt. Cześć!

– Zaczekaj!

– Na co, Leia?

– Jak się masz?

– Dobrze.

– To dobrze. Zapytaj, co u mnie.

– Nie obchodzi mnie, co u ciebie.

– Anthony i ja jesteśmy w Teksasie.

Poczułam, jak spływa na mnie uczucie ulgi.

– Świetnie się bawimy... – opisała mi ze szczegółami, na czym polega ta „świetna zabawa”. Postanowiłam nie odkładać słuchawki, zanim upewnię się, że nie wraca do Teleny.

– Anthony i ja jesteśmy dziko zakochani, ciągle razem. To błogosławieństwo. Jest cudownie – westchnęła. – Tak mi przykro, że nigdy tego nie poznasz, Meredith. Takiej miłości między kobietą a mężczyzną.

Nie mogła zranić mnie bardziej, chyba że powiedziałaaby coś naprawdę obrzydliwego na temat dzieci.

– Czuję się taka winna z tego powodu, Meredith – dodała drżącym głosem. Wiedziałam, że będzie się czuła okropnie przez mniej więcej jedną minutę; na więcej nie było jej stać. – No, ale to był wypadek. Nie chciałam, żeby do tego doszło, chociaż wiem, że zrujnowałam ci życie. Żaden facet tego nie zaakceptuje; oni przecież patrzą przede wszystkim na wygląd, no nie?

Zacisnęłam zęby i powieki, czekając na cios. Słyszałam przez lata wiele męskich komentarzy, które na zawsze utkwily mi w pamięci: „Zdeformowana...”, „Obrzydliwe...”, „Nie mogę...”, „Kaleka...”, „Nie idę w to...”, „Nie jestem zainteresowany...”, „Chcę być z laską, która będzie miała wszystko na swoim miejscu...”, „To byłoby obrzydliwe w łóżku... Ugh!”. Jakbym słyszała je wczoraj. Prześladowały mnie latami, niczym natrętny, stary, czarny kozioł.

Rozbolał mnie żołądek, jak gdyby ktoś ciął mnie żyłką.

– Za to jesteś dobrą matką – dodała Leia, znowu rozpogodzona.–
Wiem, że Sarah i Jacob mają u ciebie dużo lepiej niż u mnie. Umiesz
gotować. Lubisz siedzieć w domu. Zawsze byłaś taka dumna z tej swojej
pracy w Nowym Jorku, ale jesteś kurą domową bardziej niż ja. Jesteś
mamuśką. Ja nie mogłabym znieść przedmieścia. To takie nudne!
Chciałam im wysłać prezenty gwiazdkowe, ale nie miałam jeszcze czasu
się tym zająć, więc... Możesz życzyć im ode mnie Wesołych Świąt?
Spróbuję jeszcze zadzwonić. Jesteś tam?

– Jestem. – Tak bardzo chciałam powiedzieć jej, że ma się ode
mnie odczepić, wyładować na niej rosnący we mnie gniew, ale nie
zrobiłam tego. Nie dla niej; dla dzieci. Znałam Leię, wiedziałam, że jeśli
rozzłoszczę ją zbyt mocno, będzie gotowa nawet przyjechać i zabrać mi
dzieci, żeby tylko zrobić mi na złość.

– Dobrze. No. To chyba tyle. Anthony mówi cześć. Ja mówię: do
widzenia, ślepa Gienia. Pa, pa, Meredith. Ho! Ho! Ho!

Odłożyłam słuchawkę i zagapiłam się przez okno na sylwetkę
katedry.

Nie mogłam pozwolić, żeby Leia odebrała mi dzieci. Miałam
zamiar wstąpić na drogę prawną, aby uzyskać prawo do pełnej opieki
nad nimi, dotąd uważałam jednak, że dzieci nie są jeszcze na to gotowe;
bałam się też, że Leia będzie o nie walczyć. Musiałam jednak to zrobić.
Nie było wyjścia. Nie mogłam ryzykować, że ich zrani, jeśli postanowi
znowu pobawić się w mamusię i zabrać je do siebie.

Upuściłam cukierka pod stół, myśląc znów o wypadku. Mokry
chodnik, jego oczy, wpatrzone we mnie, ogarniający mnie mrok,
operacja, rehabilitacja, długie miesiące rozdzierającego bólu, który
czasami bywał prawdziwy, a czasami nie, depresja, jakiej nie czułam
nigdy wcześniej, gniew, szok i strach, gdy zobaczyłam siebie, swoje
ciało, w zupełnie nowym świetle, i wreszcie... wreszcie światelko
w tunelu i początek nowego życia, gdy zdecydowałam, że jednak chcę
żyć, gdy postanowiłam, że jeszcze nie umrę.

Rodzice płakali nade mną, wyszukiwali najlepszych lekarzy,
zapewnili mi luksusową opiekę, trwali przy moim boku... A Leia po
prostu wyniosła się jak gdyby nigdy nic.

Przez swoją nieodpowiedzialność zmieniła całe moje życie.

Wiedziałam, że jest beznadziejną siostrą i beznadziejną matką; gniew na nią towarzyszył mi od zawsze. Ale niektóre jej słowa, choć tak bardzo starałam się przed nimi bronić, trafiały w sedno. Uderzały z ogromną siłą i wtedy cała moja niepewność, ten okropny lęk, który tak bardzo starałam się pokonać, wszystkie złe emocje zalewały mnie niczym tsunami.

Zmiażdżyłam cukierek obcasem kowbojskiego buta.

Logan nie miał pojęcia, na co się zanosi.

Od wieczornego tańca przed katedrą, rozmów i śmiechów podczas prób, od rekordowej wielkości Omletu Wędkarza i gigantycznego stosu Grzmiąco-Chrupiących Tostów Francuskich z Malinami, które dla niego przygotowałam, żeby wzbudzić jego śmiech, przeszliśmy bezpośrednio do fazy mojego lodowatego chłodu.

– Co się, u licha, dzieje? – zapytał, jak zawsze prosto z mostu.

Uporczywie twierdziłam, że nic się nie stało, ale on oskarżał mnie, że go unikam, odrzucam.

– Nie okłamuj mnie, Meredith. Nigdy.

Nie odbierałam jego telefonów. A kiedy przychodził, przygotowywałam dla niego zwyczajne śniadanie zamiast rzeki z jajecznicy, o brzegach porośniętych drzewami z pietruszki; rzeki, w której pływały ryby, powycinane z cząstek pomarańczy.

Nie pozwalałam, żeby odwoził ani odprowadzał mnie do domu po próbach.

– Dlaczego nie mogę cię odprowadzić? Do diabła, Meredith!

Porozmawiaj ze mną!

Wiedziałam, że zachowuję się okropnie. Próbowалам, starałam się zebrać w sobie i zerwać z nim, ale nie mogłam tego zrobić. Zabijało mnie to, bo wiedziałam, że muszę, więc odsuwałam się od niego w nadziei, że to, co jest między nami, po prostu osłabnie, wygaśnie, że on odejdzie... Nie miałam konkretnego planu, ponieważ żaden plan na świecie nie byłby w stanie mnie przekonać, że można żyć normalnie ze złamanym sercem, nawet jeśli ono nie bije tak, jak powinno.

Byłam strasznie nieszczęśliwa i widziałam, że Logan także jest nieszczęśliwy, zły, zraniony; widziałam to w jego zielonych oczach. Chciałam go przytulić, uścisnąć, wypłakać się na jego piersi.

Pewnego dnia wpadł niespodziewanie do naszej kuchni. Pachniał górkim powietrzem, miodem i... koszem piknikowym płynącym na łodzi.

– Meredith...

Mary i Martha wyszły pospiesznie.

– Musimy porozmawiać.

– Nie, nie musimy. Nie teraz. Proszę. Nie teraz.

Moje oczy wypełniły się łzami, ręce drżały; upuściłam plastikową miskę na podłogę.

Nie zamierzał ustąpić. Był taki uparty.

– Proszę, Logan... – głos mi się załamał.

Przeciągnął ręką po włosach.

– Porozmawiasz ze mną o tym dziś wieczór, słyszysz? Meredith?

Porozmawiamy po próbie. Ja wiem, że ty jesteś trudna, ale tym razem to już nie jest ani śmieszne, ani urocze, a ja mam dosyć. Nie mam zamiaru bawić się w takie gierki. Bo ty sobie ze mną pogrywasz, ale już dość.

Wystarczy. Jestem na to za stary, i ty także.

Nie, to nie było śmieszne ani urocze; z całą pewnością też nie były to gierki.

To było po prostu koszarne.

– Wsiadaj do tego cholernego samochodu! – powiedział Logan, zatrzymując się z piskiem opon przed Domem Kultury, dokładnie w chwili, gdy skończyliśmy próbę. Wyskoczył z wozu, kilkoma susami dopadł mnie i chwycił za łokieć. – W tej chwili, Meredith. Umówiliśmy się, że porozmawiamy po próbie, i jest już po próbie, więc jedźmy.

Próba poszła nadspodziewanie dobrze, choć myślałam, że ze zdenerwowania nie zdołam ustać w miejscu. Udała się, mimo że podczas składkowej kolacji Logan siedział obok mnie, rozgrzany do czerwoności, dotykając twardym udem mojego, a ja nie mogłam skupić się na jedzeniu pod ostrzałem jego spojrzeń. Jedna część mnie chciała wskoczyć mu na kolana i pocałować go; druga – utonąć w uścisku jego ramion na zawsze.

– Logan – wykrztusiłam. – Może później?

– Nie, teraz.

Poprowadził mnie do samochodu i odjechaliśmy w ciągu bez mała trzech sekund. Pojechał na cichą uliczkę w pobliżu centrum; o tej porze

nie było tu nikogo, z wyjątkiem olbrzymiej choinki. Z pobliskich drzew zwieszały się girlandy lampek. Nie powiedział ani słowa; jego szczęki były zaciśnięte, dłonie trzymały mocno kierownicę. Wyłączył silnik i zwrócił się do mnie.

– Co, u diabła, się dzieje?

– Nie wiem, jak to zakończyć.

– Musisz ze mną porozmawiać. To nie jest wobec mnie uczciwe. Co mam powiedzieć?

– Czy chodzi o coś, co powiedziałem? O coś, czego nie powiedziałem? Czy jest ktoś inny?

Ach, więc sama myśl o kimś innym przyprawiała go o wściekłość; to rzucało się w oczy. Potrząsnęłam głową.

– Więc o co chodzi? Co się dzieje, Meredith?

Popatrzyłam w zielone, niespokojne, pełne bólu oczy i wybuchnęłam płaczem.

– Przepraszam, Logan. Tak mi przykro...

A potem się poruszyłam i on się poruszył, i nagle zatonęliśmy w uścisku, gorącym, obezwładniającym, i potrafiłam już myśleć wyłącznie o Loganie, o jego ustach, o jego twardych, słodkich rysach, o piersi, na której się oparłam, gdy podniósł mnie do góry i posadził sobie na kolanach, nasze oddechy splotły się, w jęku, w krzyku, w zachwycie...

I wtedy, gdy mój kowbojski kapelusz spadł na podłogę półciężarówki, a na nim wylądowała moja kurtka i sweter, rozpięta błękitna koszula, rozpięty stanik, jego kurtka na mojej, jego koszula, także rozpięta, jego i moje ciepło, które mieszały się, wydzielając jeszcze więcej ciepła, gdy jego dłonie błądziły po moim ciele, od piersi, po talię i biodro, udo, i niżej, wtedy odwróciłam się i zsunęłam się z jego kolan.

– Nie mogę – wydyszałam, chwytając sweter trzęsącymi się rękami i wciągając go przez głowę. Usłyszałam głos mojej siostry: „Zrujnowałam ci życie; żaden facet tego nie zaakceptuje, oni przecież patrzą tylko na wygląd, no nie?”

Nie mogłam dopuścić, żeby mnie zobaczył.

– Co? – wysapał Logan. Te ciepłe, zręczne dłonie, które

doprowadziły mnie na skraj ekstazy, uderzyły teraz o jego skronie. – Co ty wyprawiasz?

– Powiedziałaś mi, że nie mogę. – Próbowałam się nie rozplakać; naprawdę próbowałam. Ale mi się nie udało.

– Dlaczego nie? – słyszałam w jego głosie urazę i niedowierzenie.

– Nie mogę... nie mogę siedzieć ci tak na kolanach. Nie mogę cię całować.

– Do cholery, Meredith! – Zielone oczy, które jeszcze kilka sekund temu płonęły pożądaniem, rozmarzeniem i pierwotną dzikością, gdy przejmował kontrolę nad sytuacją, pociemniały z gniewu. – O czym ty mówisz? Dlaczego nie możesz mnie całować?

Zacisnęłam usta i opuściłam głowę, pozwalając, żeby włosy zakryły mi twarz; białe pasmo lśniło teraz w ciemności.

– Bo nie mogę.

Sięgnęłam po kurtkę i zakryłam nią ramiona, choć jeszcze przed chwilą miałam ochotę wywalić wszystkie swoje ciuchy przez okno i znowu rzucić się na niego. Moje serce chciało z nim zostać. Umościć się w jego uścisku, zatracić w pożądaniu, ogrzewać w ciepłe jego przyjaźni, w poczuciu bezpieczeństwa, jakim mnie napełniał.

– Odpowiedz mi, Meredith – jego pięść uderzyła lekko w deskę rozdzielczą, ale nie przeraziło mnie to. Był to raczej gest bezradności, oznaczający: „Mam dość”. Pochylił się ku mnie, opierając dłoń o szybę za moją głowę.

– Nie proszę, żebyś się ze mną kochała, Meredith. Na miłość boską, nie zrobiłbym czegoś takiego w samochodzie. Za bardzo cię szanuję. Ale powiedz mi, o co chodzi? Jesteś pełna pożądania, potem stajesz się zimna, by za chwilę znowu zrobić się gorąca. Dlaczego nie chcesz, żebyśmy byli razem?

– Bo nie możemy – wykrztusiłam, a potem zacisnęłam zęby, żeby nie wybuchnąć histerycznym łkaniem, jak jakiś pijany szaleniec. – Nie możemy... nie będziemy razem.

– Dlaczego nie będziemy razem? – potrząsnął głową; księżyc zaśnił w jego włosach. – Dlaczego nie możemy być razem?! Dlaczego nie możesz mi zaufać, zaufać temu, co jest między nami?

– Bo nie mogę. Nie mogę. – Chwyciłam torebkę, wcisnęłam na

głową swój kapelusz. – Proszę, Logan, puść mnie.

– Nie, nie puszczę cię. – Jego skroń pulsowała, twarz była zaczerwieniona. Byłam pewna, że ja też jestem czerwona jak wiśnia. – Nie rozumiem cię; nie rozumiem, co robisz, do czego zmierzasz. Co jest nie tak, Meredith? Co jest nie tak?!

Trzęsącymi się rękami niezdarnie usiłowałam otworzyć drzwi samochodu. Zanosiło się na to, że to mnie dziś oficerowie Sato i Juan przyprowadzą do domu. Sarah z pewnością się ucieszy. Nie wydawało mi się to ani trochę zabawne. Czułam w środku pustkę. Wyblakłą, surową, jałową pustkę. Znalazłam klamkę i otworzyłam drzwi, ale Logan je zamknął i położył na niej dłoń. Jego twarz znajdowała się tuż przy mojej.

– Chodzi o to, Logan, o czym już ci mówiłam. Nie chcę się z tobą wiązać. – Och, jak bardzo tego chciałam! – Wciągnąłeś mnie w ten związek, a teraz muszę się z niego wydostać. Właśnie to robię.

Popatrzył na mnie, jakbym go spoliczkowała; jego twarz była szara.

– Ale dlaczego?

Potrząsnęłam głową.

– Nie? Powiesz teraz: „Przykro mi, Logan, nie jestem zainteresowana, miło było, dzięki za romans, dzięki za twój czas. To wszystko. Skończyłam z tym. Skończyliśmy”? Nie masz dla mnie żadnego wyjaśnienia?

Miałam wyjaśnienie, ale nie mogłam mu go wyjawzić. Litowałyby się nade mną, powiedziałyby, że to nie ma znaczenia, ale miałyby. Wiedziałam, że by miało.

– Po całym tym czasie, jaki spędziliśmy razem, nie możesz poświęcić mi minuty na szczerą i powiedzieć mi, co takiego ci się w nas nie podoba? Powiesz mi, dlaczego uważasz, że nie ma dla nas przyszłości?

Cholerna tama znowu puściła; łzy zalały mi policzki, a szloch uwiązał w gardle. Chciałam otoczyć go ramionami i całować tak długo, aż nie będę w stanie myśleć. Zamiast tego zdjęłam jego rękę z zamka, otworzyłam drzwi i wyskoczyłam z samochodu.

Zaczęłam biec, choć wołał za mną, żebym się zatrzymała, wróciła,

porozmawiała z nim.

Przebiegłam jedną ulicę, wiedząc, że jedzie za mną. Przecięłam drugą, wbiegłam po schodach do podstawówki, do której kiedyś chodziłam, a potem skierowałam się na łąkę, teraz pokrytą śniegiem. Miałam nadzieję, że tu za mną nie dotrze.

Dotarł. Zatrzymał samochód, wyskoczył, i ruszył do mnie.

– Zwariowałaś, Meredith? – zawołał, wciąż wściekły. – Mam cię gonić przez szkolny dziedziniec, żebyśmy mogli porozmawiać jak ludzie?

Biegłam nadal. Zrównał się ze mną może po pięciu sekundach. Próbowałam go odepchnąć, straciłam równowagę, złapałam go za ramiona i runęliśmy w zaspę. On wylądował na mnie, a nad nami jasno świeciła Gwiazda Polarna. Odsunęłam nogę. Czułam się wspaniale, leżąc tak pod nim; taki był silny i delikatny zarazem. Przygryzłam wargi. Nigdy więcej tak nie będzie, nie zobaczę nad sobą jego twarzy.

Oboje dyszeliśmy, ale to ja płakałam, to z mojego gardła wydobywał się szloch pomieszany z czkawką i inne, trochę zwierzęcymi odgłosami, które mnie krępowały.

– Meredith... – głos Logana zmiękł, gdy usłyszał, że szlocham rozpaczliwie. – Kochanie, nie chcę, żebyś się tak martwiła. Przepraszam cię, maleńka, przepraszam. – Odwrócił się na plecy i pociągnął mnie za sobą. – Uspokój się, już dobrze.

– Jesteś... jesteś... – zabrakło mi tchu. – Zamoczysz się.

– Wszystko mi jedno, skarbie, wypłacz się. Wypłacz się, jestem tutaj. Nie zostawię cię.

Potrząsnęłam głową, a on zatopił palce w moich włosach, mrużąc:

– Nie wiem, o co chodzi, nie rozumiem tego, nie wiem, dlaczego ze mną walczysz, i ze sobą, ale uspokój się, kochanie, oddychaj, no, już...

Głaskał mnie po plecach, w górę i w dół, a ja opierałam głowę o jego pierś, płacząc, o tę jego muskularną pierś, a on leżał na śniegu, przed podstawówką, do której chodziłam dawniej, i Gwiazda Polarna świeciła nad nami.

– Nie mogę się z tobą widywać – mój głos był matowy, ale stanowczy. Udało mi się stłumić łzy, przynajmniej chwilowo.

Siedzieliśmy znowu w półciężarówce Logana, przed moim pensjonatem; światelka na choince przy wejściu migotały wesoło.

Logan jęknął, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że kłykcie zbieleły.

– Nie powiesz mi, dlaczego, prawda?

– To i tak się nie uda, Logan, więc po co to ciągnąć?

– Mogłoby nam się udać. Tyle, że ty nie chcesz na to pozwolić. – Zaciskał szczęki; widać było, że jest spięty. Oboje byliśmy wykończeni.

– Różnimy się od siebie.

– Wcale nie. Mamy wspólną pasję, której nigdy nie dzieliłem z nikim innym. Z nikim! Rozmawiamy, jak byśmy przyjaźnili się przez całe życie. To samo nas bawi. Szanuję cię, lubię cię jako człowieka. Lubimy łowić ryby, jeździć na koniach, spędzać czas na świeżym powietrzu. Dogaduję się z Sarah i Jacobem. Ale ty nie możesz mi zaufać, prawda? Nie możesz zrezygnować ze swojej niezależności. Nie potrzebujesz nikogo, prawda, Meredith? Poradzisz sobie ze wszystkim sama, sama będziesz rządzić własnym życiem, nie potrzebujesz żadnej pomocy i nie chcesz zrobić dla mnie miejsca w swoim życiu.

Moje własne słowa, powtarzane setki razy, wróciły, odbijając się szyderczym echem w mojej głowie: „Mogę to zrobić sama! Nie potrzebuję pomocy! Mogę robić to samo, co inni!”. Wiedziałam, że to nieprawda. Potrzebowałam Logana. Kochałam Logana. Chciałam, żeby był w moim życiu.

Nigdy dotąd nie czułam się tak zrozpaczona. Nigdy. A jednak wiedziałam, że czar musi prysnąć. Wiedziałam, że będę musiała widywać go w mieście, być może przez resztę życia, wiedząc doskonale, dlaczego mnie odrzucił, i będę musiała udawać, że nic mnie nie obchodzi, że nie jesteśmy razem. Ludzie będą się nade mną litować, a tego nie zniosę.

Wygramoliłam się z półciężarówki.

Tym razem nie próbował mnie zatrzymać.

– Logan wyjechał.

Zamarłam, ściskając w jednej dłoni telefon komórkowy, a w drugiej praskę do czosnku.

– Co takiego?

– Logan wyjechał, Meredith – powtórzyła Martha. – Poszłam do Domu Kultury z ozdobami świątecznymi, weszłam tam i myślałam, że padnę. Logan chyba pracował tam całą noc. Liberty Hall mówi, że wyszedł dzisiaj około czwartej po południu; mówił, że musi złapać lot do Kalifornii, bo wzywają go w związku z firmą. Zrobił wszystko, Meredith, wszystko. Scenografia jest skończona. Schody po obu stronach. Balkony. Zrobił stojaki na wszystkie choinki świąteczne, i oprawił je razem z Paulem; wygląda to pięknie. Meredith, słuchasz mnie?

Wyjechał.

– A czy... czy mówił, kiedy wróci?

– Mówił, że przez jakiś czas go nie będzie, tak twierdzi Liberty. Powiedział, że mu coś wypadło. Liberty mówi, że był miły i uprzejmy jak zawsze, ale jakby zmartwiony czy zły. Pokłóciliście się?

– O czym ty mówisz? – Upuściłam praskę na blat.

– No wiesz, Meredith, wszyscy wiedzą, że się spotykacie. To małe miasteczko. Ludzie gadają o tym, jak tańczyliście przed katedrą, i jakie to było słodkie, i że Logan zawsze się do ciebie uśmiecha, nawet kiedy na niego nie patrzysz, i przychodzi tak często na śniadanie, a potem siedzicie razem przy kawie i śmiejecie się. Wszyscy uważamy, że jesteście doskonałą parą! Jeśli będzie wesele, czy mogę przygotować dla ciebie bukiet? Mam już zaplanowane menu weselne. Mary jest taka podekscytowana; chce z nami usiąść, napić się herbaty pomarańczowej z mango, zjeść kilka placuszków wiesz, tych, które tak lubi twoja mama, a może ona mogłaby przylecieć i pomóc nam w planowaniu wszystkiego?

Nie mogłam wydobyć głosu. Ludzie wiedzieli? Większym szokiem

była jednak ta pierwsza wiadomość: Logan wyjechał.

– Muszę już iść, Martho. – Rozłączyłam się.

Poczułam, że zapadam się w smutek i w mrok, mrok tak głęboki, jak ten, który otoczył mnie po wypadku.

Dwa dni po wyjeździe Logana Mały przyniosła mi przepiękny domek z piernika, ozdobiony białym lukrem. Małe, zielone cukierki zdobiły ścieżkę, wiodącą do drzwi wejściowych, obwiedzionych na czerwono lukrecją. Dach pokrywały miętówki.

– Dla ciebie, Meredith. Bo ty taka smutna.

Postawiła domek na ziemi i uściskała mnie; poczułam, że mam łzy w oczach.

– On wróci, ja to wiem. On wróci. Ty dla niego doskonała żona.

* * *

– Moja przyjaciółko Meredith, proszę – Chinaza wskazał na krzesło obok siebie w jadalni. Rozejrzałam się; innym gościom chwilowo niczego nie brakowało.

– Dziękuję za piękny łąbędz z pianki w moja kawa latte dzisiaj rano. Ty dobra kobieta.

– Proszę bardzo, Chinaza.

Pochylił się do mnie, wpatrując się w moją twarz ciemnymi, smutnymi oczami, i ujął moją dłoń obiema rękami.

– Powiedz mi.

– Co ci powiedzieć, Chinaza?

– Logan złamać twoje czułe serce. Porozmawiajmy o tym, ty i ja. Dam ci przyjaźń i pocieszenie. Pamiętaj, przyjaciółko trzeba mocno trzymać. Ja twój przyjaciółko, Meredith. Ja ci pomogę.

On także wiedział. Czyżby wszyscy wiedzieli?

– Przyjaciółko, Meredith. Przykro mi. Życie pełne wyzwań, tak? Skinęłam głową.

– Tak, w Nigerii mamy powiedzenie: chociaż noc długa, świt nadejdzie. Twój świt nadejdzie, przyjaciółko Meredith. Ja wiem, ty i Logan będziecie razem niedługo, ja to czuję.

– Witaj, Simon – powiedziała, stając przy jego stoliku po zakończeniu rozmowy z Chinazą, który nalegał, że przyniesie mi dziś na

kolację swoje ulubione nigeryjskie danie.

Simon położył ręce na kolanach, mnąc serwetkę. Zjadł już swoje jajka; zjadł trzy z pięciu części jabłka i wypił bezkofeinową kawę.

– Dzień dobry, Meredith.

– Jak smakowało?

– Wszystko było świetne. Jak zawsze. Jesteś po prostu doskonałą kucharką.

– Dziękuję ci.

– Wyczułem jednak, że jesteś smutna, i z tego powodu mam lekką niestrawność. Coś leży mi na żołądku. Czy masz jakiś problem? – zmarszczył brwi.

Nie płakać!

– Wszystko w porządku, dziękuję ci. – Och, Logan! Tak bardzo za tobą tęsknię! Chcę, żebyś wrócił. Chcę, żebyś tu był w czasie koncertu. Tak bardzo chcę cię widzieć, być z tobą. – No cóż, chciałabym znać się na reżyserowaniu koncertów tak dobrze jak na gotowaniu.

– Jestem pewien, że Festiwal Koncertów Świątecznych okaże się wielkim sukcesem.

– Dziękuję ci, Simon, ale ja nie jestem o tym przekonana – odchrząknęłam, starając się odpędzić poczucie winy z powodu tego, co właśnie przyszło mi do głowy i co miało być może niewinnym, ale jednak kłamstwem. – Program rozłązi nam się w szwach. Bardzo potrzebujemy sukcesu, który przyciągnąłby ludzi do Teleny, teraz, w czasie kryzysu. Potrzebujemy czegoś z klasą, jakiegoś występu naprawdę dużego kalibru. Simon, czy nie zechciałbyś zagrać podczas naszego koncertu na skrzypcach?

Simon zbladł. Zgarbił się, oddychał z trudem.

Oczywiście, że czułam się okropnie. Potrzebowaliśmy go. Jego obecność byłaby wielkim darem. Z drugiej strony, czy i dla niego nie byłoby lepiej, gdyby zaczął znowu grać? Miał talent światowej klasy. Nie chciał chyba ukrywać się przez resztę życia?

– Nie mogę tego zrobić... – zamknęłam oczy i oddychał przez usta. – Nie, nie mogę... albo spróbuję... jeden utwór... Może... nie, nie... spróbuję zdobyć się na odwagę... zagram... moją ulubioną kolędę.

– Cudownie! – pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. –

Mamy próbę wieczorem!

Odwróciłam się na pięcie i jak strzała ruszyłam w stronę kuchni, żeby nie zdążył się rozmyślić.

Mój smutek na chwilę ustąpił.

– Dobra robota, dziewczyno – zawołał Norm. – Dobra robota! – Davis odliczył do trzech i Nadal Bardzo Żywi Staruszkowie zawołali:

– Merry Meredith!

Niewiele pamiętam z następnego tygodnia oprócz tego, że płakałam prawie bez przerwy. Płakałam na widok wirujących płatków śniegu i na dźwięk dzwonów katedry. Płakałam, gdy przyszli kolędnicy; płakałam, pakując prezenty dla Sarah i Jacoba. Płakałam na myśl o kurzych piórach, które znalazłam w piwnicy, bo to oznaczało, że dawniej jakaś kobieta hodowała tu kury, zastanawiałam się więc, czy miała bardzo smutne życie. Płakałam, ubierając choinki w Domu Kultury. Płakałam, gdy Mary położyła moją dłoń na swoim brzuchu, żebym poczuła, jak dziecko kopie, i powiedziała:

– Ty też myślisz, że urodzę czworaczki? Czuję się taka ogromna. Nigdy w życiu nie będę już seksowna. Będę grubaską... – zalała się łzami. – Mamuśka-grubaska Mary!

Ukrywałam łzy przed Sarah i Jacobem, ale przecież widzieli, że jestem smutna.

– Wiesz, ciociu Meredith – powiedziała Sarah. – Doszłam do wniosku, że Logan jest całkiem w porządku, chyba że mówi mi, że powinnam się szanować i mieć lepsze oceny albo nie ma przede mną przyszłości. Fajny z niego gość.

I tak, idąc w ślady kobiet, które – jak przypuszczałam – mieszkały przede mną w tym domu, ocierałam łzy i robiłam swoje. Musiałam wychować dzieci, zadbać o pensjonat, poprowadzić koncert, zapakować prezenty, odśpiewać kolędy, wypić *eggnog*[12].

Nie ma czasu na łzy. Głowa do góry, Meredith, powiedziałam sobie. Głowa do góry i Wesołych, cholera, Świąt!

Wydało mi się, że ktoś klepie mnie leciutko po plecach. Odwróciłam się. Oczywiście, za mną nie było nikogo.

* * *

– No dobra, kochani, jeszcze jedna próba – zawołałam. – Wszyscy na miejsca. Chóry na skrzydła. Maria i Józef! Jest Józef, gdzie... Maria?

I wtedy właśnie zamilkłam. Głos uwiązł mi w gardle, a wszyscy pozostali również ucichli i podążyli wzrokiem za moim spojrzeniem, utkwionym w Sarah.

Sarah, niewinne dziewczę o wyglądzie wyuzdanej latawicy, uległa cudownej przemianie. Żadnych wydekoltowanych koszulek, obcisłych spodni, żadnego buntowniczego spojrzenia spode łba. Nie, to była zupełnie nowa Sarah, ubrana w strój, jaki z powodzeniem mogłaby mieć na sobie sama Matka Boska: proste płótno, zakryte włosy, sandały na nogach i zero makijażu.

Kto namówił ją, żeby przyjęła tę rolę? Logan.

– Nikt nie jest doskonały, Sarah, ale ty akurat byłabyś doskonałą Matką Boską.

Józef, jeden z najlepszych sportowców i uczniów w szkole średniej, do której chodziła Sarah, pomachał do mnie.

– Maria i ja możemy już mieć dziecko! – krzyknął, co pozostali przyjęli salwą śmiechu. – Potrzebujemy tylko osła i zaraz ruszamy do Betlejem, żeby się tam zameldować w pięciogwiazdkowym hotelu!

Rzuciłam okiem na Jacoba. Siedział przy pianinie, gotów zacząć grać. Kto go do tego namówił? Logan.

Logan przekonał go, mówiąc, że ma talent, którym powinien się dzielić, że święta to czas nowych początków, że to bez znaczenia, iż dzieciaki w szkole przezywają go „grajkiem-dziwakiem”.

– Kiedyś o tym zapomnisz, Jacob – powiedział Logan. – Nie zapomnisz natomiast, że odmówiłaś cioci udziału w koncercie, który ona reżyseruje, mimo że przecież chciałaś wziąć w nim udział, a ona naprawdę cię potrzebowała. Prawdziwi faceci nie dbają o to, co mówią o nich inni, poza osobami, które kochają. Prawdziwi faceci są zdecydowani, uczciwi i ciężko pracują; dążą do celu nawet wtedy, kiedy inni próbują ich do tego zniechęcić. Nie pozwól, żeby inni tobą zarządzili, synu.

Jacob przesunął palcami po klawiaturze, popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Ja też się do niego uśmiechnęłam. Byłam z niego taka dumna.

W tej samej chwili na scenę wszedł Simon, trzymając skrzypce. Kilka osób powitało go okrzykami. Byłam pewna, że jest śmiertelnie przerażony. Mimo to stał dzielnie na scenie.

Święta to czas cudów.

Gdybyż tylko moje serce mogło zaznać odrobiny spokoju.

– Wszyscy mówią, że koszmarna próba generalna oznacza doskonałą premierę, prawda? – stuknęłam o podłogę obcasem kowbojskiego buta. Był ciemnozielony, wykończony srebrem.

Świąteczny.

– Jasne, ciociu Meredith – Sarah wtoczyła się w stroju ciężarnej Matki Boskiej.

Jeden z aniołków odmówił założenia aureoli, mówiąc, że woli wystąpić w swojej masce diabła. Dzieciaki grające *Jingle Bell Rock* pomalowały sobie włosy na różowo. Chór fałszował jak stado hien. A ja zastanawiałam się, czy ktokolwiek z nich wie, jaka jest kolejność występów?

– Meredith – powiedziała Martha – Rudolf właśnie się przewrócił, Lee nie może znaleźć dodatkowych mikrofonów, Juan chce wiedzieć, gdzie są kostiumy elfów, a kołyska dla małego Jezusa zniknęła.

Zatopiłam palce we włosach. Myśl, Meredith, myśl!

Wbiegłam na sam środek sceny, zbudowanej przez Logana. Popatrzyłam na wesoły, rozgadany tłumek sympatycznych ludzi, którzy właśnie pozawierali nowe znajomości i pogłębili dotychczasowe przyjaźnie i ogromnie się cieszyli, że przyszło im mieszkać w tak sympatycznym miasteczku, jak Telena.

– Ludzie! – wrzasnęłam.

Nikt się tym nie przejął. Przysunęłam sobie mikrofon.

– Mikołajka będzie w was rzucać bezami, jeśli natychmiast nie zaczniecie mnie słuchać!

Wiedziałam, że to pomoże.

– Słuchajcie, plan jest taki...

* * *

– Za chwilę eksploduję – powiedziała do mnie Mary następnego ranka.

– Mary, proszę cię – jęknęłam, wykończona koszmarem ostatniej nocy; wypadek wyśnił mi się w pełnej krasie, w wersji 3D i w technikolorze; oglądałam sobie wszystko z góry, jakbym siedziała na drzewie. – Proszę! Powiedziałam ci przecież, żebyś poszła do domu. Nie powinnaś w ogóle pracować. Powiedziałam, że wysyłam cię na płatny urlop.

Pogłaskała mnie po ramieniu.

– Ale ja chcę tu być. Lubię cię, Meredith, i chcę być przy tobie teraz, kiedy mnie potrzebujesz. Jesteś moją przyjaciółką.

Martha krzątała się po kuchni, ogromnie zajęta.

– Proszę, idź do domu – nalegałam. – Męczy mnie samo patrzenie na ciebie. Jesteś ogromna.

– Mówiłam, że eksploduję.

* * *

– Meredith...

Stałam w ciemności przed Domem Kultury; odwróciłam się i poczułam, że nogi uginają się pode mną. Z ulgi.

Logan.

Wrócił.

Ulgę zastąpił rozdzierający ból. Chciałam rzucić mu się na szyję, opleść nogami jego biodra.

– Witaj, Logan. – Wychodziłam jako ostatnia; po dwóch próbach uznałam, że może... może... jesteśmy gotowi na jutrzejszy wieczór. – Wróciłeś.

Logan podszedł kilka kroków bliżej, wyłaniając się z cienia; wstrzymałam oddech. Anioły nie powinny były pobłogosławić tego faceta aż tak seksownym wyglądem. To zakrawało niemal na grzech.

– Tak, wróciłem.

Tylko bez płaczu, Meredith! Weź się w garść!

– Wszystko w porządku?

Prychnął. Skrzyżował ramiona; kowbojski kapelusz miał nasunięty nisko na czoło. Wydawało mi się, że schudł... Był blady pod opalenizną, a jego twarz była ściągnięta.

– Co dokładnie masz na myśli? Moją firmę? Moje życie? A może

siebie?

– Wyjechałeś tak nagle... Myślałam, że może masz jakiś problem.

W oddali widziałam wierzchołek choinki, jasny, migoczący, kolorowy. Znowu zachciało mi się płakać.

– W firmie nie mam żadnych problemów. W życiu, owszem, mam problem. Duży problem.

Nie miał zamiaru się poddać, zrezygnować. Zastanawiałam się, jak mogłam w ogóle pomyśleć, że to zrobi. Znałam go od niedawna, ale zdążyłam poznać dość dobrze. Wiedziałam o nim wszystko: co czuł, jak żył. Kochałam go, po prostu.

Tak, oczywiście, że go kochałam. Chciałam wyciągnąć rękę, przytulić go, zdjąć z niego beżową kurtkę, strącić mu z głowy kapelusz i poprowadzić go do łóżka z tym fantastycznym widokiem na różowe i złote zachody słońca. Ach, te nasze kobiece emocje! Rozbijają nas w drobny mak.

– Problem w tym, Meredith, że nigdy nie zdołam o tobie zapomnieć.

Próbowałam oddychać normalnie.

– Pojechałem do Kalifornii do pracy, żeby sprawdzić, co dzieje się w firmie, i nie mogłem... – zacisnął usta i uciekł spojrzeniem w bok. – Nie mogłem przestać myśleć o tobie nawet na jedną cholerną minutę. I wiesz co? Zrozumiałem, że nigdy nie wybije sobie ciebie z głowy. A ty? A ty siedzisz sobie tutaj, w Telenie, rozwaliwszy wszystko, co było między nami, kasujesz nas, unicestwiasz, a ja nie mam pojęcia, dlaczego. Najbledszego.

– Logan, ja...

– Co takiego? – spojrzał na mnie z rozpaczą; cierpienie wprost z niego emanowało. – Chcesz wyrzucić do śmieci to, co stworzyliśmy? Przyparłaś mnie do ściany. Nigdy na żadnej kobiecie tak mi nie zależało, ale ty, Meredith, chcesz ode mnie uciec, zaszyć się w swoim pensjonacie.

– Ty chyba nie rozumiesz...

– Rozumiem, Meredith, że wciąż mnie odpychasz, ale nie masz odwagi powiedzieć mi uczciwie, dlaczego. To, co jest między nami, jest normalne i naturalne. Uwielbiam ciebie i twoje kowbojskie kapelusze,

więc dlaczego wyrzucasz mnie ze swojego życia?

Poczułam, że do oczu napływają mi gorące łzy, mrugnęłam więc szybko, nakazując sobie natychmiast się uspokoić, jak przystało twardej kowbojce, i stawić czoło temu, co nieuchronnie musiało teraz nadejść. To będzie koniec. Wiedziałam, że potem nie będzie chciał mnie więcej widzieć. Wiedziałam. W mojej głowie dźwięczały głosy tamtych mężczyzn i głos mojej siostry. Rozpacz, jak ciężka, ołowiana chmura, usiadła na moich ramionach.

Nie mogłam tego znieść. Dotknęłam białego pasma, odgarnęłam włosy, otoczyłam go ramionami i przyciągnęłam do siebie mocno. Chciałam tylko tego ostatniego uścisku.

Wahał się przez dłuższą chwilę. Wiedziałam, że walczy ze sobą, ale w końcu przytulił mnie mocno, z miłością.

– Nigdy nie spotkałem nikogo tak kłopotliwego i trudnego, jak ty, Meredith.

Zaraz jednak oderwał się ode mnie i włożył ręce do kieszeni. Oddychał ciężko.

– Nie mogę tak, Meredith. Nie mogę pozwolić na to, żebyś znowu ode mnie odeszła, żebyś uciekła. Chodzi o mnie? Boisz się, że cię zranię? Nigdy tego nie zrobię. Boisz się, że szukam czegoś tylko na chwilę? Zapewniam cię, że tak nie jest.

Łzy kapały mi same, nieproszone. Wyglądałam chyba jak świnka morska w okresie menopauzy. Co się stało z dzielną kowbojką? Gdzie moja siła i hart ducha? Co się stało z kobietą, która potrafiła ujeżdżać konie? Posyłać na deski pijane jeżozwierze? Gdzie ona się podziała?

– Meredith, powiedz mi w tej chwili. Wydawało mi się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, ale jeśli nie odwzajemniasz moich uczuć, po prostu mi to powiedz. Wtedy odejdę i tym razem odejdę na dobre. To będzie zabójcze, ale tak zrobię.

– Nie, Logan, to nie o to chodzi. – Boże, ja też go uwielbiałam. Na zabój. – Po prostu wiem, że nie będziesz chciał już być ze mną, kiedy... coś ci powiem.

– Skarbie, będę chciał. Nieważne, co mi powiesz, będę chciał. Nigdy nie przestanę chcieć. Nigdy w życiu nie chciałem tak bardzo być z kimkolwiek jak z tobą. O co chodzi?

– Ja.... – to było straszne. To był straszny moment. Jąkałam się, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– No, już, skarbie – przycisnął mnie do siebie, a ja przytuliłam się do niego kurczowo. Wiedziałam, że kiedy opowiem mu o swojej nodze, będzie udawał, że to bez znaczenia; takim już był facetem. Ale wiedziałam też, że to ma znaczenie. Miało dla wszystkich innych. Nie będzie chciał ze mną sypiać. Nie będzie chciał ze mną być. Nie będzie chciał ze mną wędkować, jeździć konno ani jadać moich naleśników z malinami. Będzie szukał wymówek, żeby się wymykać, a te ostatnie tygodnie, takie... magiczne, radosne, ciepłe i szczęśliwe... odejdą w zapomnienie.

– Muszę ci powiedzieć, że ... – omal się nie zakrztusiłam; czubek mojej głowy opierał się mocno o jego podbródek. – Ja.... Logan, ja... ja nie chciałam zbliżyć się do ciebie... fizycznie, bo... bo, Logan, ja nie mam... mam prawą nogę, ale ja tylko... amputowali mi lewą nogę poniżej kolana. – Zamknęłam oczy; łzy spływały mi po policzkach. – Noszę protezę. Wiele lat temu miałam wypadek samochodowy...

Ostre, krzyczące obrazy tamtej nocy rozbłysły przed moimi oczami.

– Wiem.

– Co? – oderwałam się od niego, spojrzałam w zielone oczy. – Wiesz?

– Tak, wiem.

Miałam ochotę walnąć się w czoło. Oczywiście, że wiedział. To przecież małe miasteczko. Kogo próbowałam oszukać? Siebie. Tak, siebie. Nie chciałam, żeby wiedział, więc miałam nadzieję, że nie wie.

– Ktoś ci powiedział. Wiele osób ci o tym mówiło, prawda?

– Nie, skarbie. Nikt mi nie powiedział. Nikt nie naruszył twojej prywatności. Wiem dlatego, że... – ujął moją twarz w dłonie – ...dlatego, że byłam przy tobie tamtej nocy, kiedy był wypadek.

Próbowałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie.

– To ja zrobiłem ci opaskę uciskową ze swojej koszulki. Rozdarłem twoją koszulę i robiłem ci masaż serca. Ratowałem cię, dopóki nie przyjechała karetka i twoi rodzice.

Przytrzymałam się go, żeby nie upaść.

– To byłeś ty?!

– Tak, ja. Kiedy cię zobaczyłem w barze Barry Lynn, rozpoznałem biały kosmyk w twoich włosach. Tamtej nocy byłaś bardzo ciężko ranna; sądziłem, że mnie nie pamiętasz... zresztą, to było wiele lat temu. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej, Meredith, bo nie chciałem, żeby to stało między nami. Nie chciałem, żebyś czuła się wobec mnie w jakikolwiek sposób zobowiązana. Chciałem stworzyć z tobą coś nowego, nie wracając do tamtego zdarzenia, do tamtych emocji. Przepraszam. Może powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej.

– Ja... ja... – byłem w szoku.

– Usiądź, Meredith. Porozmawiajmy.

Opadłem na siedzenie. A potem rozmawialiśmy o wypadku, o reakcji mojej siostry, o moim urazie, o tym, że Logan wyjechał do Kalifornii dzień po wypadku, ale dzwonił do szpitala i dowiadywał się, jak się czuję.

– Czuję się okropnie. Po prostu okropnie, i martwiłem się o ciebie. Nie masz pojęcia, ile razy myślałem o tobie przez te wszystkie lata z nadzieją, że jesteś szczęśliwa.

Gdy minął szok nerwowy, wywołany przez świadomość, że siedzę obok człowieka, który – dosłownie – uratował mi życie, wróciliśmy do tematu mojej nogi. – Moja proteza ci nie przeszkadza, Logan?

Sprawa miała wrażenie bardzo zaskoczonych i jeszcze bardziej rozdrażnionych.

– Dlaczego, u diabła, miałyby mi przeszkadzać, Meredith?

– Bo mam protezę, bo jestem niepełna...

– Chyba żartujesz – te słowa nie zabrzmiały zbyt miło.

– Nie, ja nie...

– A może użalasz się ciągle nad sobą? Chyba sama w to nie wierzysz.

Zamknęłam oczy. Czy ja się użalam nad sobą? Czy pozwoliłam, żeby rozpacz z powodu kalectwa i gniew na siostrę zawładnęły mną tak dalece? Czy pozwoliłam, żeby wypadek odebrał mi nie tylko nogę, ale też poczucie własnej wartości, radość, dumę z tego, kim jestem jako kobieta? Czy gniew odebrał mi samą siebie? Tak, pomyślałam nagle, ależ oczywiście, że tak.

– Ja... tak.... Inni mężczyźni...

– Meredith, ja nie jestem „innym mężczyzną” – Logan prawie krzyczał. – Nigdy nie będę taki jak oni. Dlatego mnie odepchnęłaś? Dlatego nie możesz... nie potrafisz... – szukał odpowiednich słów. – Dlatego nie możemy być razem?

– Tak. Nie chcę, żebyś mnie zobaczył... Czułabym się obnażona... Bo ja... czuję się brzydka... Nie lubię się rozbierać... i zawsze noszę spodnie... Naprawdę ci to nie przeszkadza?

Był rozsierdzony do granic ostateczności.

– Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, uważasz mnie za tak cholernie płytkiego? Naprawdę sądzisz, że pozwoliłbym, żeby coś takiego mi przeszkadzało?

Przygryzłam wargę.

– Właśnie tak sądzisz, prawda? A nie pokazałem ci, że jestem prawdziwym facetem? Dlaczego sądziłaś, że z tobą zerwę, kiedy się dowiem?

Dlaczego tak sądziłam? Bo sama nie lubiłam tej części siebie. No, oczywiście, że nie, pomyślałam, to pewne, że wolałabyś mieć tę nogę z powrotem. Każdy by wołał. A jednak noga jest przecież tylko niewielką częścią ciebie. Nie jest empatią, uprzejmością wobec innych, inteligencją, umiejętnością trafiania do celu, wędkowania, przytulania Sarah i Jacoba. To, co się wydarzyło, to smutna sprawa. Ale przecież ty nadal tu jesteś, prawda? Nadal żyjesz, jesteś zdrowa, są święta, jest Telen i jest... Logan.

– Ja... ja nie... Źle cię oceniłam, Logan, to prawda. Zakładałam, że zareagujesz w określony sposób, bo tak, a nie inaczej wyglądała moja przeszłość, bo tak reagowali inni, głupszy od ciebie faceci, bo ja sama źle o sobie myślałam. Nie miałam racji.

– Oczywiście, że nie miałaś! – zagrzmiał, niczym rozwścieczony byk. – W stu procentach nie miałaś racji.

Po raz pierwszy patrzyliśmy na siebie inaczej niż dotąd: on rozzłoszczony, a ja pełna skruchy. Czułam, że nadal wyglądam jak świnka morska w czasie menopauzy.

Wstał i odwrócił się; z mojej perspektywy wydał mi się ogromny. Usłyszałam, jak mamrocze jakieś przekleństwa i mruczy coś

o „koszmarnie trudnej kobiecie”, ale gdy odwrócił się znowu do mnie i patrzył na mnie, oparłszy ręce na biodrach, wiedziałam, że najgorsze mieliśmy za sobą.

Westchnął.

– Cholera, myślałem, że zwariuję, tam, w tej Kalifornii. Czułem się samotny jak pies i tak bardzo chciałem, żebyś była przy mnie. Ustalmy jedno: czy jest coś jeszcze, skarbie, co może sprawić, że nie będę mógł całować cię przez resztę mojego życia?

Przez resztę jego życia? Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Potrząsnęłam głową.

– Nic więcej?

– Jeśli tylko mi obiecasz, że nigdy nie przestaniesz chodzić w kowbojkach, myślę, że będzie w porządku. – Świnka morska przechodząca menopauzę uśmiechnęła się przez łzy.

Przyciągnął mnie do siebie i zamknął w uścisku. W oddali jaśniała choinka, Gwiazda Polarna lśniła mocniej niż kiedykolwiek, a ja pocałowałam Logana Taylora prosto w usta.

– Kocham cię, Meredith – wymruczał. – Tak bardzo cię kocham.

Moje życie nie potoczyło się tak, jak planowałam. Straciłam nogę. Spędziłam wiele miesięcy, rozpaczając nad tą utratą, a potem długo uczyłam się chodzić, cierpiąc niewyobrażalne katusze tylko dlatego, że mojej siostrze zachciało się prowadzić po pijanemu. Następnie musiałam porzucić Nowy Jork i karierę, żeby zająć się jej dziećmi, które były dla mnie źródłem radości i bólu, jednak z przewagą radości; miałam nadzieję, że będzie jej coraz więcej. Bo przecież kochałam te dzieciaki całym swoim szczęśliwym sercem.

Wszystko skończyło się prawie dobrze, choć straciłam nogę. Nie taki był plan, ale i tak życie zbliżyło się do doskonałości.

– Ja też cię kocham, Logan. I dziękuję ci, że mnie uratowałeś tamtego wieczoru w barze Barry Lynn.

Roześmiał się; jego śmiech wzniósł się nad nami, wirując w powietrzu, niczym magia Świętego Mikołaja, iskrzący i jasny.

– Dziękuję też, że uratowałeś mi życie wiele lat temu, kowboju.

A potem zrobiłam to, co zrobiłaby każda twardzielka z Montany na moim miejscu: podeszłam do niego tak blisko, że czubki naszych

kowbojskich butów zetknęły się ze sobą. Pozwoliłam moim łzom płynąć i mieszać się z jego łzami, podczas gdy ja całowałam jego zmysłowe usta.

I nagle w mojej wyobraźni pojawił się obraz Logana, całującego mnie przy wejściu do gigantycznej chatki z piernika.

12 *Eggnog* – gorący, słodki napój, przygotowywany na bazie surowych żółtek lub całych jaj kurzych i mleka (*przyp. red.*).

Z okazji koncertu założyłam błyszczącą sukienkę z czarnej satyny, z całkiem głębokim dekoltem (to dla Logana). Sukienka była dość długa; kończyła się parę centymetrów poniżej kolan. Włożyłam też czarne kowbojskie buty i czerwony kapelusz ze Świętym Mikołajem, który dostałam od burmistrza. Proteza była widoczna, ale ja nie czułam skrępowania z tego powodu.

Najwyższa pora skończyć z ukrywaniem się. To ja, Meredith Ghirlandaio. Częściowo straciłam nogę. Nie straciłam serca. Nie straciłam rąk, białego pasma włosów ani mózgu, choć groził mu ostatnio ciężki rozstrój nerwowy. Co ważniejsze, miałam Sarah i Jacoba, Logana, moich rodziców i przyjaciół. Logan twierdził, że wyglądam jak bioniczna kobieta, obnażona. Pocałowałam go. On także mnie pocałował, a Simon wyciągnął skrzypce i odegrał fragment namiętnej pieśni miłosnej.

Nauczyłam się wiele w ciągu ostatnich tygodni. Norm, Howard, Chinaza i Mały nauczyli mnie, że można zmagać się z trudnościami, a mimo to nadal kochać życie. Simon nauczył jak odnajdywać w sobie odwagę. Logan nauczył mnie kochać i ufać, pokazał mi, że mogę pozostać osobą niezależną, a jednocześnie polegać na nim i na nas. Od mojej siostry nauczyłam się, jaka nie chcę być. Niewykluczone, że uczyliśmy się od innych także tego, jak nie należy w życiu postępować, a nie tylko jak być miłym, uprzejmym i pełnym empatii. Nauczyłam się też, że muszę pozbyć się gniewu, jaki czułam w stosunku do Lei, żeby nie pozwolić jej wpływać na moje życie. Musiałam przestać wyobrażać sobie, że łapię ją na łące gdzieś na Florydzie i wlokę do bagna, pełnego głodnych aligatorów. Musiałam skończyć z tymi myślami. Nie dla niej. Dla siebie.

Mój gniew ranił mnie samą. Odbił się też na moim związku z Loganem. Nie miałam zamiaru pozwolić, żeby to kiedykolwiek się powtórzyło.

Założyłam więc błyszczącą, czarną sukienkę i kowbojki, stanęłam

na scenie, uśmiechnęłam się szeroko i powiedziałam:

– Dobry wieczór wszystkim! Życzę wam Wesołych Świąt!

Koncert rozpoczęła grupka różowowłosych nastolatków, którzy zagrali własną wersję *Jingle Bell Rock*, a potem światła przygasły. Na środek sceny spłynął chór w białych szatach, ze świecami, śpiewający kolędę. Jej słowa wyświetliliśmy na wielkich ekranach; widownia wstała i śpiewała razem z nami. Potem na scenę wkroczył Jacob, który zagrał *Oh, Little Town of Bethlehem*. a jego nowy przyjaciel, Tuck Daniels, wszedł na scenę ze swoją niepełnosprawną siostrą Marky, trzymając ją za rączkę, i wygłosił mowę o tym, dlaczego świętujemy Boże Narodzenie.

Następnym punktem programu był przejmujący występ solowy Ranny May, byłej śpiewaczki operowej, która wykonała *Let There Be Peace on Earth*. Podczas gdy Tim i Claudia malowali samotną choinkę, stojącą na zaśnieżonym wzgórzu – ich pracę transmitowaliśmy na dużym ekranie – chór zaintonował *Rockin' Around the Christmas Tree*. Następny był duet, który wraz z chórem zaśpiewał *Go Tell It on the Mountain*, a potem pieśń gospel, od której zatrzęśły się ściany. Sकेcz Trzech Wiedźm zagłuszały chóralne śmiechy. Usłyszałam tylko tyle, że dotyczył świąt, singielek, uderzeń gorąca, mężczyzn, balkonetek, gorsetów, matematyki, cielných krów, zbiegłych koni, Świętego Mikołaja oraz randek.

Maly i jeden z jej synów udekorowali i ozdobili lukrem przepiękny domek z piernika, co zebrani także mogli obejrzeć na dużym ekranie. Zespół Nadal Bardzo Żywych Staruszków, przebranych za pasterzy, odśpiewał *O Come, All Ye Faithful*. Chór dziecięcy wykonał dwie piosenki o Świętym Mikołaju – towarzyszył im Stan, grając na ksylofonie, a małe dziewczynki w baletowych spódniczkach i mikołajowych czapkach tańczyły wokół. Nie było diabelskich masek. Norm i Howard podzielili się z nami wspomnieniami z czasu wojny. Wspominali żołnierzy śpiewających kolędy, a gdy zaczęli opowiadać o swoim przyjacielu, Paulu, który mówił: „Jestem wdzięczny, że żyję. Dzięki ci, Jezu, i Wesołych Świąt!”, na widowni zapadła cisza jak makiem zasiał. Staruszkowie zaśpiewali też wspólnie *Cichą noc*; światła zgasły, tylko każdy ze starszych panów trzymał świecę.

Chinaza zagrał na bębenu i opowiedział krótko o swoim życiu w Nigerii, a Jacob zagrał *What Child Is This*, po czym przeszliśmy do opowieści o Dzieciątku Jezus – Terry był narratorem, a Tuck zadawał pytania, o co właściwie chodzi w Bożym Narodzeniu. Scenkę zakończyliśmy w całkowitej ciszy – jedyny reflektor był skierowany na Józefa i Marię/Sarah/Buntowniczkę, trzymających w ramionach Jezusa; za nimi lśnił krzyż.

Wreszcie Simon zagrał na skrzypcach. Sam wybrał dwie pieśni świąteczne. „Mam zamiar wykazać się odwagą, Meredith”. Usłyszałam, jak publiczność wzdycha niemal *unisono*, a ktoś krzyknął: „Boże, to Simon Baumgartner!”. Simon skończył grać, promieniejąc; jego ulga była prawie namacalna. Stoczył na scenie walkę z samym sobą. I wygrał.

Na koniec wszyscy artyści wyszli na scenę, trzymając zapalone świece. Odśpiewaliśmy jeszcze trzy pieśni świąteczne – podczas *Joy to the World* Święty Mikołaj (Logan) przechadzał się wśród widowni w towarzystwie grupki dzieci, przebranych za elfy, i rozdawał cukierki.

Gdy koncert się zakończył, nastąpiła długa, bardzo długa owacja na stojąco. Co było najlepsze? Widok Sarah, otoczonej grupką dziewczynek, roześmianej, pogrążonej w rozmowie z nimi, i widok Jacoba, ganiającego się z innymi chłopcami. Oboje wyglądali na szczęśliwych. Wiedziałam, że oto mamy nasz nowy początek.

Gdy, dobrze po północy, zamykałam na klucz drzwi Domu Kultury, Logan przyciągnął mnie do siebie.

- Jesteś najbardziej niesamowitą osobą, jaką spotkałem w życiu.
- Dziękuję, Święty Mikołaju.

Następnego ranka ruszyła sprzedaż biletów na nasze koncerty: szły jak woda; musieliśmy wpisać do kalendarza trzy dodatkowe występy.

Nie spodziewaliśmy się, że dziecko Mary pojawi się na świecie w Wigilię. Do terminu brakowało jeszcze dwa tygodnie. Ale dzieci mają własne pomysły na życie: to było już gotowe, żeby przyjść na świat, więc tak właśnie zrobiło. Jedynym problemem była jego mama, Mary.

Mary nie wzięła sobie do serca moich nalegań, żeby poszła do domu i odpoczęła. Gdy poczuła bóle, znane wszystkim matkom, zignorowała je i nadal krzątała się po pensjonacie.

Gdy po koncercie my wszyscy, to znaczy ja, Logan, Jacob, Sarah

w przebraniu Marii, Józef (jej nowy przyjaciel) w swoim stroju, pastuszkowie (Nadal Bardzo Żywi Staruszkowie), Trzy Wiedźmy (nadal pękające ze śmiechu na samo wspomnienie swojego skeczu), Martha i perkusista z Nigerii, Chinaza, przyszliśmy do pensjonatu na ciasto z orzechami i szklankę *eggnoga*, żeby wspólnie świętować Wigilię, znaleźliśmy Mary na podłodze w kuchni, na czworakach. Nie mieliśmy wątpliwości, że lada moment przybędzie nam jeszcze jeden imprezowicz. Zadzwoniliśmy po karetkę, nie było jednak szans, żeby zdążyła do szpitala – poród postępował zbyt szybko. Mąż Mary wpadł do kuchni, zobaczył ją wijącą się z bólu, zbladł jak ściana i popędził do łazienki. Po chwili wrócił, objął ją, rozplakał się, zbladł jak ściana i znowu pobiegł do łazienki.

– Niezbyt dobrze znosi ciężę – wysapała Mary. – Przyprawia go o mdłości.

Logan podniósł ją. Trzy Wiedźmy i ja podtrzymywałyśmy ją na duchu, oddychałyśmy rytmicznie razem z nią, a potem zajęłyśmy się jej córeczką, kiedy się urodziła. Pastuszkowie zostali w drugim pokoju, z Sarah, Jacobem, Chinazą i Józefem.

– Następnym razem postaram się zdążyć do szpitala – wydyszała Mary – ale jakie to szczęście, że nie musiałam jeździć na osiołku ani rodzić w stajni, wśród owieczek i siana. Maria musiała być naprawdę niezwykłą kobietą.

Bez wątpienia.

Dziewczynka otrzymała imię Noelle[13].

– Wesółych Świąt! – mruknął Logan, odrywając usta od moich ust w wieczór Bożego Narodzenia.

– Wesółych Świąt!

Wręczyłam mu prezent. Był to wiklinowy kosz piknikowy, pełen jedzenia. Przygotowałam dla niego kanapki z indykiem, powycinane w kształcie pstrągów, dwie sałatki i wielką misę ciasteczek z czekoladą. On wiedział, że to oznacza rodzinę. Widziała, że oczy zalśniły mu podejrzenie i musiał na chwilę usiąść. Wskazał mi miejsce obok siebie, a potem przytulił mnie mocno. Ukradkiem wytarł oczy, a ja udałam, że tego nie dostrzegam. Ten wielki niedźwiedź był dużo bardziej uczuciowy, niż był skłonny przyznać.

Podał mi różowe pudełko. W środku był różowy torcik. Na torciku spoczywało pudełeczko. Pudełeczko na pierścionek. W pudełeczku na pierścionek znajdował się pierścionek z ogromnym brylantem, otoczonym mniejszymi brylancikami.

– Meredith, kochanie, chcę, żebyś za mnie wyszła.

Widziałam, że denerwuje się, czekając na moją odpowiedź i było to uroczo wzruszające.

– Chcę, żebyś została moją żoną, a ja twoim mężem, na zawsze, a jeśli powiesz „tak”... – urwał; emocje wzięły górę. Szybko zamrugał kilka razy i wytarł oczy dłonią. – Jeśli powiesz „tak”, to nasze zaręczyny mogą być długie albo krótkie, jak zechcesz. Nie ma pośpiechu. Żadnego. Chciałem, żebyś wiedziała, że nie szukam nikogo innego. Chcę być przy tobie całe życie. Z tobą, dla nas.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Ja też, skarbie. Przez całe życie. Dla nas – pocałowałam go. Znowu poczułam mrowienie w tych specjalnych, sekretnych miejscach, i wyobraziłam sobie nas dwoje wewnątrz różowego tortu, na różowym łóżku. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Meredith. Kocham cię nad życie.

Przysięgłabym, że słyszę oklaski i szelest sukien. Odwróciłam się. Nie było nikogo.

Będę kiedyś nawiedzać ten dom, a zwłaszcza kuchnię.

Loteria Barry Lynn okazała się ogromnym sukcesem. Nikt nie został zawieszony w prawach gościa.

Tej nocy znowu przyśnił mi się wypadek.

Samochód przewrócił się, ale tym razem wylądował miękko, bezgłośnie wśród pokrytych śniegiem bożonarodzeniowych choinek, udekorowanych kolorowymi lampkami. Logan wyciągnął mnie z samochodu i przytulił. Otworzył różowe pudełko, które rosło i rosło, aż wreszcie mogliśmy oboje wejść do środka. Wewnątrz stały wędki i różowy tort. Gdy znowu otworzyliśmy drzwi, do środka wpłynęła rzeka, by zabrać nas ze sobą.

13 Noel – jedno z określeń w języku angielskim, oznaczających Boże Narodzenie.

Epilog

Pół roku później

– Przyniosłyście swoje Dzienniczki Wdzięczności? – spytała Vicky, gdy usadowiłyśmy się na stołkach w barze Barry Lynn, istniejącym od ponad stu lat, o ścianach podziurawionych kulami.

Sięgnęłam do torby.

– Ja swój mam. Jestem wdzięczna za to, że moja siostra pozwoliła mi adoptować Sarah i Jacoba... – Wymagało to dwóch agresywnych prawników, za których zapłacił Logan – uparł się, że to zrobi – ale teraz dzieci były wreszcie moje, i to zgodnie z prawem. Porzucenie nie robi dobrego wrażenia w sądzie. Zeznania dzieci, które oświadczyły, że nie chcą już mieszkać z matką, przytaczając szereg niezbyt miłych powodów, także przemówiły zdecydowanie na naszą korzyść.

Musiałam przerwać, bo Trzy Wiedźmy zaczęły klaskać w dłonie. Wydawały przy tym dzikie okrzyki, a potem rzuciły się, żeby mnie uściskać.

– Jestem wdzięczna za to, że nie czuję już gniewu.

Trzy Wiedźmy biły brawo i wiwatowały.

– Poza tym jestem wdzięczna za to, że Logan i ja mamy wziąć ślub na brzegu rzeki, a ja będę miała przy swoim boku cztery najlepsze na świecie drużny: waszą trójkę i Sarah.

Znowu klaskały, krzyczały, obejmowały mnie, zalewały się łzami i robiły mnóstwo hałasu.

– Dam wam krowę w prezencie ślubnym – zapowiedziała Vicky, ocierając oczy.

– A ja dam wam nowy serwis do herbaty – Hannah wytarła hałaśliwie nos.

– O! A nie podręcznik do matematyki? – zdziwiłam się.

– Oczywiście, że nie, Meredith. Tu chodzi o ciebie i twój ślub, a nie o to, co ty byś chciała albo co ja bym chciała. Lubisz herbatę, więc przyda ci się delikatny, ręcznie malowany serwis do herbaty.

– Meredith wychodzi za mąż! – krzyknęła Katie, podskakując na stołku. – Tak się cieszę! Już wiem, co wam podaruję! Stroje pirackie! Ależ będziesz się czuła seksowna. Nieziemsko! Poleciała mi je żona pastora, Cheryl. Dają do nich miecze, opaski na oko i jedną papugę.

Miałam na końcu języka słowa: „Katie, naprawdę nie wiem, co powiedzieć” – ale zamiast tego tubalnym głosem, niczym rasowy pirat, huknęłam:

– Ahoj! Dawaj je na pokład, dziewczyno!

Mary Carter

Święta w stylu Maui

To, co najlepsze, jest zawsze serwowane w małych porcjach – podobnie jak to, co najgorsze. Tara Lane uświadomiła to sobie podczas cotygodniowej rozmowy telefonicznej z młodszą siostrą, Nadine. Mierząca zaledwie 158 cm Nadine była doskonałym, metaforycznym odpowiednikiem „niewielkiej porcji”. Jej głos, rozbrzmiewający w słuchawce, był słodki niczym miód. Tara wiedziała jednak, co o tym myśleć. Słowa Nadine nasączone były trucizną – nie bez powodu bała się jej cała rodzina. Tara wrzucała jej wykłady do szufladki, zatytułowanej „Sprawy Nierozwiązane”. Same w sobie były przykre, ale nie groźne. Wystarczyło jednak połączyć “Sprawy Nierozwiązane” i „Nadchodzące Święta”, żeby się okazało, że człowiek stanął w obliczu zaiste śmiertelnego zagrożenia. A może Tara podchodziła do tego zbyt melodramatycznie? W końcu Nadine wypominała jej tylko przekleństwa, jakich zdarzyło jej się użyć podczas zeszłorocznej Wigilii, i domagała się skruchy oraz zapewnienia, że w tym roku siostra będzie przestrzegała zasad dobrego wychowania.

Dlaczego więc po prostu tego nie powiedziała? Ponieważ w ten sposób straciłaby okazję do wygłoszenia wykładu. Tytuł dzisiejszego brzmiał: „Eufemizmy przekleństw stosowane w czasie, gdy dzieci znajdują się w pokoju – wykład nr 101, wersja świąteczna”. Tara miała jeszcze nadzieję, że zajmie ostatnią ławkę i zapadnie w błogą drzemkę. Niestety, wyglądało na to, że oprócz niej w klasie nie ma nikogo innego.

– Możesz na przykład powiedzieć: „Elfuj się stąd” – perorowała Nadine.

Nadine miała trochę racji; jeszcze zanim wykład się zaczął, Tara obiecała sobie, że w tym roku będzie się zachowywała bez zarzutu, bez względu na to, jak dalece rodzina zdoła ją wyprowadzić z równowagi. Teraz jednak była zestresowana na maksa (jej ulubione powiedzonko z czasów szkoły średniej, kiedy właściwie wszystko robiło się i przeżywało „na maksa”), zatem była zestresowana pracą i nadchodzącymi świętami, uznała więc, że jeśli może zrobić sobie tę

przyjemność i odrobinę podrażnić się z Nadine, to warto będzie za to później zapłacić. W końcu Tara musiała znosić jej dziwactwa co roku – i znosiła je z godnością. To nie ulegało wątpliwości.

– Elfuj się stąd! – powtórzyła Tara. Powiedziała to powoli i wyraźnie, niczym cudzoziemiec na kursie językowym.

– Właśnie – ucieszyła się Nadine. – Albo „odelfuj się”, albo, wiesz, jakakolwiek odmiana, która przyjdzie ci akurat do głowy. – Nadine westchnęła i Tara wychwyciła leciutki ton odrazy w jej łagodnym głosie.

– Oczywiście – ciągnęła Nadine – mogłabyś mi dać najwspanialszy prezent gwiazdkowy i w ogóle nie przeklinać, w żadnej formie. Spodziewam się jednak, że nie powinnam oczekiwać aż tak wiele.

– Elfuj się stąd! – powiedziała Tara z ożywieniem.

– Doskonale.

– Elfuj się!

– Właśnie o to mi chodzi.

– Niech cię wyelfuje renifer, na którym tutaj przyjechałeś.

– Posuwasz się za daleko.

– Posuwam?

– Tara!

– Dobra, dobra, ale tak na poważnie mam pytanie. – Cisza w słuchawce sygnalizowała, że Tara ma mówić dalej. – Co cię tak okropnie brzydzi? – zapytała Tara, kładąc rękę na ustach, żeby powstrzymać śmiech.

– Co takiego?

– Co cię tak brzydzi w tych świętach, że chcesz w kółko powtarzać „fuj”?

– Tara... – powiedziała Nadine, w nieskończoność przeciągając samogłoski.

Oho, Tara знаła ten ton aż nadto dobrze. Wystarczy tego elfowania z siostrzyczką. Zresztą Tara mogła mieć pretensję wyłącznie do siebie. W zeszłym roku, w czasie świątecznej wizyty u Nadine, zrzuciła bombę z zakaznym przekleństwem w samą Wigilię. Jej siostrzenica, Tiara, nosząca imię na jej cześć, wzbogacone jednak o dodatkową literkę – zachwyciła się barwnym, nowym słówkiem, i nie tylko je powtórzyła, ale z werwą odśpiewała wielokrotnie na melodię *Jingle Bells*. A miała

zaledwie roczek. Tara była zdania, że to niezbity dowód na genialność siostrzenicy, Nadine jednak przeżyła straszliwe upokorzenie. Tym bardziej, że Tiara powtórzyła nowe słówko Świętemu Mikołajowi w galerii handlowej.

Święty Mikołaj: – Czy byłaś grzeczną dziewczynką, Tiaro?

Tiara: – P*** się.

Tara bezskutecznie usiłowała zwrócić uwagę wszystkich na to, że mała użyła nowego wyrażenia prawidłowo, Nadine jednak w najmniejszym stopniu nie podzielała jej zachwyty. I nie miała zamiaru nigdy jej tego wybaczyć. Ale czy wspomniała choć słowem o kłótni, jaka nastąpiła, zanim to nieszczęsne słowo wysnęło się Tarze? Czy uznała za stosowne nadmieniść, że Tara została określona mianem osoby „prawie w średnim wieku” w obecności całej rodziny? Prawie w średnim wieku, samotna, dziecinna, bezdzietna – to były słowa Nadine. Nie sposób było zaprzeczyć, że jest samotna i bezdzietna; takie były fakty. Dziecinna? To prawda, czasami Tara zachowywała się nieco dziecinnie, choć ona sama wolała myśleć o sobie, że jest beztroska. Ale określenie „niemal w średnim wieku” uraziło ją do głębi. I nieco przerażyło. A właśnie o to chodziło Nadine. Jej dwudziestosześcioletnia siostra, zamężna matka jedynaczki, próbowała ją przerazić, żeby skłonić ją do wyjścia za mąż i urodzenia dzieci. Tara miała trzydzieści lat. Prawie w średnim wieku. Po pierwsze, Tara nie umiałaby określić, od jakiego wieku właściwie rozpoczyna się obecnie wiek średni; po drugie, były przecież witaminy, przełomowe odkrycia medyczne, kremy przeciwzmarszczkowe, lasery, peelingi, zastrzyki i dermabrazja, mamuśki warte grzechu, kuguary[14] i zdesperowane kury domowe. A jednak była to wizja przerażająca.

Według Nadine, rozwiązaniem problemu byłby ślub i dzieci, co odstraszało Tarę w nie mniejszym stopniu.

Tara tłumaczyła Nadine bez końca, jak ciężko jest znaleźć miłość w Nowym Jorku. Nadine proponowała jej na to przeprowadzkę. Tara przekonywała, że za bardzo kocha swoją pracę, żeby się przenieść. Nadine pytała, czy praca przytula się do niej w nocy albo jej śpiewa, albo sprawia, że Tara czuje się najpiękniejszą kobietą na świecie.

No i wtedy Tara powiedziała jej, żeby się... odelfowała.

Tkwiały w tym układzie niczym w zaklętym kręgu, zatrzaśnięte w beznadziejnym stuporze. Te święta miały być pod tym względem nie lepsze od poprzednich; w dodatku Nadine wpadła właśnie na nowy pomysł. Tym razem na jej celowniku znalazły się internetowe serwisy randkowe. Wysławiała je pod niebiosa – ta sama Nadine, która, jako dziewczica, skończywszy osiemnaście lat, poślubiła swojego chłopaka z liceum. Tylko dlatego, jak przypuszczała Tara, że pozwoliła, żeby rzeczony chłopak, a obecnie mąż, Phil, złapał ją za cycki na prywatce u Sadie Hawkins.

Nadine paplała jak najęta, a Tara usiłowała zachować spokój, wpatrując się w grzbiet swojej ukochanej lektury – a były to „Wielkie nadzieje”. Uwielbiała tę książkę – Dickens dostarczał jej motywacji zawsze, gdy czuła się zdołowana. Skoro mały, osierocony Pip zdołał wydzwignąć się z dna rozpacz, jej także się to uda. W sumie miało to nawet sens, że wyzwanie pojawiło się – za sprawą drogiej siostry – akurat w święta. W końcu akcja tej książki zaczynała się właśnie w Wigilię. Fakt, że jej własna historia zaczyna się w apartamencie w zachodniej części Górnego Manhattanu, a nie – jak przygody jej ulubionego sierotki – na przykościelnym cmentarzu, nie osłabiał poczucia więzi z bohaterem. Był dla niej wzorem do naśladowania. Co prawda liczył sobie zaledwie lat siedem – jakże daleko mu było do średniego wieku! – jednak według Tary potwierdzało to co najwyżej uniwersalność pewnych przeżyć. Walka, ból, nadzieja – to uczucia powszechne, ponadczasowe, łączące wszystkich ludzi.

To prawda, Tara nie rozmawiała ze zbiegłym więźniem tylko z siostrą (choć to może sprawa dyskusyjna), a ta siostra nie próbowała namówić swojej siostry, by ta przecięła jej kajdany (choć to także sprawa dyskusyjna), niemniej jednak kolejna próba wyswatania jej była ponad siły Tary. Toteż oparłszy słuchawkę telefonu o ramię i przytrzymując ją podbródkiem, złączyła palce obu dłoni i zastanawiała się, co robić. Co zrobiłby w tej sytuacji Pip? – pomyślała.

Uciekłyby z krzykiem – nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Powoli docierało do niej, że oczekiwania i nadzieje mają termin ważności. Gdy skończyła trzydzieści lat, okazało się, że powinna zrobić to, czego oczekują od niej inni. Czyli obniżyć poprzeczkę własnych

oczekiwań. „Jesteś zbyt wybredna”, słyszała coraz częściej.

– Dostałaś mój prezent świąteczny? – padło pytanie, którego się obawiała. Wolałaby wysłuchać jeszcze raz wykładu, niż z własnej woli wejść na to pole minowe.

– Tak – odpowiedziała radośnie.

Nie chciała denerwować siostry bardziej niż to konieczne, zmusiła się więc do radosnego tonu. Ale gdy tylko weszła do kuchni, z miejsca wyładowała wściekłość na Bogu ducha winnym pękatym pomidorze, leżącym na desce do krojenia. Dźgnęła go nożem i patrzyła, jak czerwony sok wypływa z jego samotnego, mięsistego serca.

– No i? – drażyła Nadine.

– Nie jestem zainteresowana – odpowiedziała Tara.

A miała nie denerwować Nadine! Słowa wypłynęły jej z ust, zanim zdążyła je powstrzymać. Wrzuciła pokrojonego pomidora do miski i umyła deskę. Cisza. Nadine prawdopodobnie liczyła do dziesięciu.

– Nie masz nawet zamiaru go wypróbować? – zapytała Nadine. – Wiesz, zostały niecałe trzy tygodnie. A jeśli znajdziesz kogoś, kto ci się spodoba – oczywiście, pod warunkiem że dokładnie go sprawdzisz – możesz spokojnie przywieźć go do nas na święta.

O Boże! Tara zaczerpnęła powietrza i wstrzymała na chwilę oddech. Wypuściła powietrze, zakrtusiła się. Nadine nie tylko spodziewała się, że pójdzie na randkę, ale w dodatku sądziła, że kandydat spodoba jej się na tyle, żeby zdecydować się na drugie spotkanie. Dotychczasowe doświadczenie Tary wskazywało, że już łatwiej byłoby złapać nie jedną, ale dwie gwiazdki z nieba. Co gorsza, gdyby coś takiego się udało, genialny plan Nadine zakładał, że Tara natychmiast zaproponuje facetowi, widzianemu dwa razy w życiu, żeby spędził z nią rodzinne święta w Montanie. Bezcenne. Dowodziło to jednoznacznie, że dotychczasowe podejrzenia Tary były słuszne.

Nadine była szalona.

– Fantastyczny pomysł! – powiedziała Tara.

Nadine zaczęła recytować listę rzeczy, które musi przygotować na święta. Słuchając jednym uchem, Tara gapiła się na jedyną świąteczną dekorację, jaką przygotowała – miniaturową choinkę, stojącą na parapecie. Była zbyt mała, żeby dało się ją udekorować, miała jednak

stojaczek, owinięty złotą folią, a na wierzchołku pyszniła się czerwona kokarda. Nagle Tara wyobraziła sobie, że puka do drzwi domu siostry z choinką pod pachą, udając, że to jej nowy chłopak. Mogłaby nawet założyć jej frak. „To jest Bob, powiedziałaaby, kochamy się”. Stłumiła śmiech, wyobrażając sobie choinkowego Boba, siedzącego na jednym z wielkich, masywnych krzeseł w jadalni Nadine, ledwo sięgającego wierzchołkiem do blatu stołu.

Nadine urwała nagle.

– Co cię tak śmieszy? – zapytała.

– Nic takiego – zapewniła ją Tara.

Chwyciła nóż i udała, że podrzyna sobie gardło. Następnie wrzuciła go do zlewu i przeszła do gabinetu – był to niewielki fragment przestrzeni pomiędzy wejściem a lodówką. Usiadła przy swoim nowym komputerze Apple (prezent gwiazdkowy, który podarowała sobie samej z niewielkim wyprzedzeniem). Kliknęła ikonę przeglądarki internetowej i popatrzyła na zdjęcie nienaturalnie roześmianej pary, które wyskoczyło na ekranie.

Centrala Pokrewnych Dusz

Nadine wykupiła dla niej w prezencie półroczny abonament. I to po tym, jak Tara poinformowała ją stanowczo, że kończy z randkowaniem. Miała zamiar pogodzić się z faktem, że nie znajdzie nikogo, kto spełniałby kryteria z jej Listy Minimalnych Wymagań, która – nie oszukujmy się – z czasem ograniczyła się do jednego, jedyne go postulatu: „Nie będę umawiać się z seryjnymi zabójcami”.

Nie widziała jednak powodu, by informować o tym Nadine.

Tara kliknęła w okienko logowania i wpisała swój login w przeznaczonym do tego miejscu. Seksowna_Kuchareczka. Skrzywiła się, ale absolutnie wszystkie wersje imienia „Tara” były już zajęte. Nie wiedziała, kim są pozostałe Tary, korzystające z serwisu, miała jednak nadzieję – dla ich dobra – że będą miały więcej szczęścia niż ona.

– Skoro tobie zawdzięczam ten abonament, pomyślałam sobie, że przeczytam ci kilka profili, żebyś mogła wyrazić opinię – powiedziała Tara.

– Świetnie! – ucieszyła się Nadine. W jej głosie brzmiał taki entuzjazm, że Tara niemal poczuła się winna. – Chcę też zobaczyć

zdjęcia. Mam otworzyć stronę?

Tara nie musiała włączać kamery internetowej, żeby wyobrazić sobie siostrę. Z pewnością siedziała w swoim ukochanym, nieskazitelnym gabineciku o żółtych ścianach, gdzie nie miał prawa stać telewizor, bo rządziły tam książki. Umościła się wygodnie w ukochanym fotelu, który sama obiała aksamitem w pomarańczowe i białe pasy. Na małych stópkach miała lawendowe kapcie, nogi podwinęła pod siebie. W delikatnych dłoniach trzymała ceramiczny kubek, pełen miętowej herbaty. I choć słuchała uważnie, co mówi siostra, jej wzrok był utkwiony gdzieś za oknem, w śnieżnej przestrzeni pod bezkresnym, błękitnym niebem Montany. Tak właśnie wyobrażała to sobie Tara. Jak w serialu o Waltonach. Albo w *Domku na prerii*. Oni też każdego roku wybierali się do lasu na poszukiwanie doskonałej choinki. Bo ich drzewko zawsze było idealne. Tara naprawdę lubiła ich ranczo i z przyjemnością spędzały tam więcej czasu, gdyby nie to, że w sezonie świątecznym jej na ogół prawie normalna siostra zamieniała się w bożonarodzeniowego Hitlera.

Kiedyś Tara kochała święta. A w każdym razie – ideę świąt. Proste rzeczy sprawiały jej przyjemność. Choinka w Rockefeller Center, świąteczne wystawy, łyżwiarze w parku... Lampki, błyszczące prezenty, ozdobione kokardami, obietnica śniegu w Wigilię Bożego Narodzenia, kolędnicy śpiewający radosne pieśni, niewyspane maluchy, pobudzone nadmiernym spożyciem cukru i perspektywą spotkania ze Świętym Mikołajem... Kto tego nie kochał? Prostota, radość z rzeczy małych – to była jej filozofia.

Spójrzmy prawdzie w oczy: święta miały jednak także drugie oblicze, swoją ciemną stronę. Pieniądze, stres, zmartwienia, podróże, członkowie rodziny, z którymi nigdy w życiu nie zamienilibyśmy nawet słowa, gdyby nie byli z nami spokrewnieni, a w przypadku osób takich, jak Nadine – planowanie, listy, zadania. Tak, jeśli chodziło o Boże Narodzenie, Tara była postronnym obserwatorem, Nadine – wykonawcą.

Tegoroczny „list świąteczny” i „lista obowiązków świątecznych” jeszcze do niej nie dotarły, Tara mogła być jednak pewna, że otrzyma je niebawem – do tego czasu będzie chodziła na palcach wokół skrzynki na listy, omijając ją ostrożnie z daleka. Randkowanie przez Internet wydało

jej się nagle przyjemną odskoczną od tamtych kwestii. Znowu spojrzała na ekran.

– Zapomnij na razie o ich wyglądzie – powiedziała. – Skupmy się na fascynujących aspektach ich osobowości.

– Dobry pomysł – zgodziła się Nadine. – Wygląd w gruncie rzeczy nie jest ważny. Popatrz tylko na Phila. Nie wiem, gdzie się podział chłopak, za którego wyszłam za mąż. – Oczami wyobraźni Tara zobaczyła Phila, wysokiego, chudego i owłosionego.

– Fakt – mruknęła. Kliknęła, żeby otworzyć pierwszy profil. – Pomijając wszystko inne, nie miałam pojęcia, że Nowy Jork jest pełen łysych mężczyzn, posiadających używane katamarany i praktykujących „jogę na pokładzie”.

Śmiech Nadine wypełnił słuchawkę; Tara śmiała się razem z nią.

– Przecież lubisz żeglować – powiedziała Nadine.

– Nie sądzisz, że te łyse głowy marzną im na morskim wietrze? – zapytała Tara.

Nadine znowu zaczęła się śmiać. Tak niewiele wystarczyło, żeby rozśmieszyć jej siostrę. Kiedy była w liceum, a Nadine w podstawówce, doprowadzała ją do ataków śmiechu tak straszliwych, że mała potrafiła zsiusiać się w majtki. To były czasy! Nie ma nic piękniejszego w życiu, niż sprawić, że ktoś za naszą sprawą zmoczy spodnie. Mimo wielu dzielących je różnic, Tara i Nadine miały podobne, zwariowane poczucie humoru.

– Nie bądź taka krytyczna – powiedziała Nadine. – Łysy facet może być całkiem seksowny.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam ochoty na łysielca, ćwiczącego jogę na łodzi. Nie chcę żadnych internetowych randek. Nie muszę się z nikim umawiać. Mam Pete’a i Henry’ego.

– Jeden jest twoim barmanem, a drugi portierem, a żaden nie jest twoim chłopakiem – powiedziała Nadine.

– W Nowym Jorku nie należy liczyć na więcej.

– Czytaj dalej – zarządziła Nadine. – Za pięć minut Tiara obudzi się z drzemki.

Tara kliknęła kolejny profil i zapatrzyła się w zdjęcie mężczyzny. Nie była z natury okrutna, żałowała jednak, że Nadine tego nie widzi.

Gdyby Kłapouchy postanowił ożenić się z samicą basseta, tak właśnie wyglądałby ich potomek.

– „Mówią mi, że mam olśniewającą osobowość. Mam tyle zaintresowań, że trudno byłoby je wszystkie wymienić”. – Tara zrobiła pauzę dla lepszego efektu. – Najwyraźniej ortografią nie jest „zaintresowany” – powiedziała – skoro napisał „zaintresowań”.

Nadine wybuchnęła śmiechem.

– Beznadziejny! – zawołała. – Dawaj następnego.

Tara wyprostowała się na krześle i uśmiechając się, kliknęła w następny profil.

– „Lubię miłe rozmowy, nawet o niczym” – teraz śmiały się już obie.

– Wydaje mu się, że jest Seinfeldem[15] – powiedziała Nadine.

– Oni wszyscy są Seinfeldami – odparła Tara – tylko bez jego talentu, pieniędzy i poczucia humoru. – Otworzyła kolejny profil. – „Związki są super, w każdy trzeba włożyć troszeczkę wysiłku, byle nie za dużo”.

– Nigdy nie był żonaty – stwierdziła Nadine.

– „Pokaż mi parę, która dobrze się razem bawi, nic nie robiąc, a pokażę ci prawdziwą miłość” – czytała dalej Tara, czując, że jej wesołość rośnie z każdą chwilą.

– Leniwy kretyn! – zawołała Nadine. – Ten z całą pewnością był żonaty.

Tara uśmiechała się złośliwie, czytając kolejne wynurzenia. Kilka najlepszych fragmentów zostawiła na koniec.

– „Uwielbiam czytać komiksy, szukam dziewczyny, która zostanie moją superbohaterką” – przeczytała. Nadine ryczała ze śmiechu. Tara też otarła łzy uciechy.

– No dobrze, wystarczy – stwierdziła wreszcie Nadine. – Powinnam była zrobić ci szalik na drutach.

– Czekał – jęknęła Tara. – Mam tu jeszcze jeden. – Śmiała się tak bardzo, że dopiero po dobrej chwili udało jej się wykrztusić: – „Mam słabość do wiewiórek w parku Thompson Square” – zawyla ze śmiechu. To była najzabawniejsza rzecz, jaką przeczytała w życiu. Obawiała się, że tym razem sama popuści w majtki. Rozejrzała się za papierową torbą.

Jeśli nie będzie uważać, grozi jej hiperwentylacja. Dopiero po minucie zorientowała się, że jest osamotniona w swej wesołości.

– Nie napisał, że się bawi z wiewiórkami – powiedziała Nadine. – Napisał, że je lubi. Po prostu lubi zwierzęta. – Zapadła cisza, lodowata niczym północny wiatr. – Przykro mi, że nie podoba ci się mój świąteczny prezent.

– Podoba mi się – zaprzeczyła Tara. – Poważnie. Po prostu dobrze się bawię.

– Jesteś zupełnie sama. Co w tym takiego zabawnego?

– Odelfuj się! – odpowiedziała Tara.

Miał to być żart, ale najwyraźniej Nadine tego tak nie odebrała. Usłyszała kliknięcie, a potem ciągły sygnał.

Tara oddzwoniła. Odezwała się automatyczna sekretarka.

– Kocham cię – powiedziała Tara – i nie jestem sama. Mam ciebie, Tiarę, mamę i tatę, i Phila, który kiedyś świetnie wyglądał... – Posłała w powietrze kilka całusów i rozłączyła się.

Próbowała mówić sobie, że będzie dobrze, ale wiedziała doskonale, że to dopiero początek. Nadine będzie naciskać, dopóki Tara nie znajdzie w Centrali Pokrewnych Dusz miłości swojego życia i nie przywiezie swojego prezentu do Montany, gdzie klan Lane'ów i niegdyś-świetnie-zbudowany-Phil będą mogli go odpakować i poddać inspekcji. To pasowało do Nadine – szukanie okazji do kłótni w święta. Ho, ho, horror, prawdziwy horror, jak zawsze.

14 Kuguar – dawniej potoczne określenie kobiety w średnim wieku, umawiającej się z młodszymi mężczyznami. Obecnie oznacza także kobietę atrakcyjną, która jest niezależna finansowo i ma udane życie seksualne i zawodowe.

15 Jerry Seinfeld – popularny amerykański satyryk i aktor kabaretowy.

Później tego wieczora, jadąc metrem do pracy, Tara zastanawiała się mimo woli, czy Nadine nie ma racji. Może rzeczywiście jest zbyt wybredna? Może pora zrezygnować z wybujanych oczekiwań i dać losowi szansę? Jej ostatni związek zakończył się z hukiem – dramatycznie, w iście broadwayowskim stylu. Facet zrobił jej gigantyczną scenę w miejscu jej pracy – malutkiej, francuskiej restauracji o nazwie „La Fleur”. Tylko dlatego, że w ostatniej chwili odwołała randkę. To prawda, był Sylwester, ale nie miała wyboru. Właściciele „La Fleur” gościli rodzinę z Francji i gdyby nie zgodziła się przyjść tego wieczora na dodatkową zmianę, mogła na zawsze zapomnieć o awansie. I tak dziwiła się, że jej nie wyrzucili po tym, jak Gary Manning wpadł do restauracji niczym burza, kilka minut po północy, i zaprezentował wybuch godny Wezuwiusza. Była nim naprawdę rozczarowana. Uratowało ją tylko to, że francuscy goście byli zachwyceni tym popisem amerykańskiego temperamentu.

Gary miewał takie ataki już wcześniej, ale to był jego debiut w miejscu publicznym. Był prawnikiem; gdy wpadał w złość, potrafił tupać nogami, a kiedy przegrywał sprawę, nie kochali się przez wiele dni. Bawiła się z nim doskonale przez pierwsze dwa miesiące, po których nastąpiło sześć miesięcy męki. Przysięgła sobie, że następny facet, któremu da szansę, będzie inny. Sympatyczny. Zdystansowany. I że nie będzie to ktoś, kogo mogłaby poznać pracując w restauracji czy w ogóle na Manhattanie. Co za szczęście, że ma swoją pracę! Ba, miała właśnie zostać szefem kuchni w „La Fleur”, na co pracowała od sześciu lat. Nie potrafiłaby wymarzyć sobie lepszego gwiazdkowego prezentu.

„La Fleur”. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Najcudowniejsza spośród maleńkich, francuskich restauracji na Manhattanie. Właścicielami byli Yvette i Stephan, para zamożnych Francuzów. Dzięki ich wysiłkom uroczy zakątek pomiędzy Union Square i Gramercy Park szybko zyskał popularność wśród turystów i nowojorczyków. Owoce, warzywa i kwiaty przywożono codziennie

z targu przy Union Square, jajka i mięso kupowano wyłącznie na farmie za miastem. Trufle, oliwę i filozofię życiową importowano prosto z Paryża.

Tara, która właśnie skończyła dobrą szkołę gastronomiczną, a był to Culinary Institute of America, męczyła Yvette i Stephana tak długo, aż ją zatrudnili. Odwiedziła „La Fleur” około stu razy, zanim właściciele w ogóle dostrzegli jej obecność. Zabiegała o ich względy w sposób niezmordowany, przychodziła zawsze starannie ubrana, przyprowadzała najrozmaitszych znajomych (tylko tych, którzy nie byli na diecie), próbowała wszystkich nowości w menu, komplementując każdą potrawę; zjadała do ostatniego okruszka wszystko, co miała na talerzu i rozplątywała się w zachwytach nad każdym nowym daniem. Autorzy książek psychologicznych twierdzą, że ludzie lubią, żeby zwracać się do nich po imieniu. No cóż – Tara wiedziała, że kucharze (i kochankowie) lubią, kiedy mówi się do nich: „mmm...” albo „O, Boże!”. Nadużywała tych zwrotów nieustannie. W „okresie zalotów” przybrała na wadze ponad sześć kilogramów, ale było warto. Dostała tę pracę. Zresztą, wylewając w kuchni siódme poty, szybko wróciła do właściwej wagi.

Udowadniała, jak mogła, że zasłużyła na tę szansę. Choć ukończyła renomowany instytut kulinarny, w którym królowały potrawy francuskie, „Y&S” (jak nazywano Yvette i Stephana) nie mieli wysokiego mniemania o jej nabytych tam umiejętnościach. Z przyjemnością wprowadzali ją w tajniki „prawdziwej kuchni francuskiej”. „S” był postawnym mężczyzną z brzuszkiem Świętego Mikołaja. „Y” była wysoka i szczupła. Zawsze, gdy „Y” żartowała na temat grubych Amerykanów, Tara powstrzymywała się z trudem, żeby nie zwrócić jej uwagi, że „S” wygląda jakby połknął małego wieloryba. Pomijając wszystko inne, to on spędził z nią wiele godzin, pilnując, żeby nauczyła się robić francuskie sosy jak należy. Wiedziała, że to komplement najwyższej próby, gdy pewnego dnia „S” spróbował jej sosu do steku *au poivre*, zamknął oczy i powiedział:

– Nie domyśliłbym się, że nie jesteś Francuzką. Nie paryżanką, oczywiście, ale mogłabyś uchodzić za prowincjuskę.

To jej wystarczyło.

Menu zmieniano codziennie; czasami „S” zachowywał się jak

dyktator: to on będzie decydował, co goście dostaną danego wieczora, a jeśli im się to nie spodoba, mogą „czołgać się na swoich obrzydliwych brzuchach pod wielką, żółtą literę M”. Niczym aktor, któremu nie przeszedłby przez usta tytuł pechowej sztuki Szekspira, „S” nigdy w życiu nie wymówił słowa „McDonald”. Nowojorczycy, zwykle apodyktyczni, niecierpliwi i chłodni w obyciu, pozwalali „S”, żeby ich terroryzował. Nikt nigdy nie odesłał zamówienia z powrotem do kuchni. Tara uczyła się od geniusza.

A potem „Y&S” zdecydowali, że mają dosyć Wielkiego Jabłka i że tęsknią za „normalnością Paryża”. Zamiast jednak ją, Tarę, awansować na szefa kuchni, zdecydowali się na import z Francji. Był to Alain Cousteau. Tak, nazywał się tak jak Jacques Cousteau, ta zbieżność nazwisk była przypadkowa, choć on traktował Tarę jak nic nieznaczący pyłek, zagubiony gdzieś w morskiej głębinie. Nie uśmiechał się nawet półgębkiem, czego „Y&S” w końcu się nauczyli. Każde z nich uśmiechało się kącikiem ust – jedno lewym, a drugie prawym, a gdy – z rzadka – stawali obok siebie, wyglądali, jak gdyby wspólnie chcieli zaprezentować światu jeden, pełny uśmiech. Ale nie Alain. Nie można przecież uśmiechać się, kręcąc głową, klnąc i trzaskając garnkami.

Teraz jednak wszystko miało się zmienić. Tara otrzymała od losu prawdziwy świąteczny cud. „Y&S” stwierdzili, że brakuje im zwariowanej Ameryki i chcą otworzyć restaurację w „samym sercu kontynentu”. W Las Vegas. Miał ją poprowadzić Alain. I tak Tara awansowała wreszcie na szefa kuchni w „La Fleur”. Była z tego powodu tak dumna, jak gdyby otrzymała tytuł szlachecki od samej królowej. Najlepsza ze wszystkiego była świadomość, że już za kilka dni będzie miała z głowy Alaina i jego iście francuskie kaprysy.

– Wcześniej dziś przysłaś – stwierdził Alain, kiedy Tara weszła do środka, i trzasnął pokrywką trzymanego w dłoniach rondla. Przyjście wcześniej uważał za równie obraźliwe jak spóźnienie.

Tara nabrała w płuca powietrza i uśmiechnęła się. Założyła fartuch, umyła ręce i zanuciła *Wygląda na to, że idą święta*.

– Przyszłam wcześniej nie bez powodu – powiedziała. – Chcę zrobić świąteczne dekoracje.

Alainowi opadła szczęka.

– Świąteczne? – powtórzył, jakby nigdy dotąd nie słyszał tego słowa. – Dekoracje?

– Nic wielkiego – zapewniła go Tara. – Sznur białych lampek nad wejściem, kilka poinsecji....

– Nie – sprzeciwił się Alain. – Nie robimy tego.

To była prawda; nigdy, przy żadnej okazji, nie dekorowali restauracji. Równo i sprawiedliwie ignorowali wszystkie święta. Raz Tara przyniosła malutką dynię na Halloween, ale zanim zdążyła wydrążyć w niej oczy i uśmiech, Alain zrobił z niej purée do zupy.

Teraz jednak Alain miał odejść. Odejdzie. Nie będzie go tu! To ona będzie podejmowała decyzje, to ona będzie szefem kuchni i przyozdobi „La Fleur” z okazji świąt zgodnie z własnymi upodobaniami.

– Przecież nie będzie cię tutaj w święta – przypomniała mu Tara. – Będziesz już w Vegas, skarbie, zapomniałeś?

Alain trzasnął miedzianym rondlem, następnie podniósł połyskującą srebrzyście patelnię i rąbnął nią również o blat.

– Tehaz tu jestem – powiedział z wyrazistym francuskim akcentem. – I nie będzie żadnych świątecznych kwitów.

– Kwitów? – zdziwiła się Tara.

Alain ponownie trzasnął rondlem.

– Gupich, czechwonych kwitów!

– Ach, kwiatów – domyśliła się Tara.

Żadnych kwiatów w „La Fleur” [16], pomyślała. Postanowiła przeczekać aż nadto znajome uczucie złości i bezradności. Ku jej zdumieniu, w ogóle się nie pojawiło. Na jej twarz wypłynął uśmiech. Alain zmarszczył brwi i odwrócił się. Tara chciała skakać z radości i na całe gardło śpiewać kolędy. Nagle uderzyła ją pewna myśl. Powinna świętować. Będzie świętować! Urządzi pożegnalne przyjęcie, które w rzeczywistości będzie oznaczało „Pocałuj mnie w tyłek!”. Oczywiście, będzie udawała, że to przyjęcie dla Alaina, ale tak naprawdę miało być dla niej.

Postanowiła zadzwonić do „Y&S”, uznawszy, że wypada, aby i oni wzięli udział w tym składkowym przyjęciu, ale w ich telefonie ciągle odzywała się poczta głosowa. Stwierdziła, że to dziwne, iż nie odbierają; powinni być już w Vegas i przygotowywać tam otwarcie nowej

restauracji. Zwróciła się więc do pozostałych pracowników. Restauracja była mała – zatrudniali jedynie trzy kelnerki, hostessę i pomywacza. Nikt nie był zachwycony jej pomysłem – wymawiali się świętami, ale Tara podejrzewała, że podobnie jak ona, są zdania, że Alain nie zasługuje na pożegnalne przyjęcie. Miała ochotę powiedzieć im, że to przyjęcie jest tak naprawdę dla niej samej, nie chciała jednak, żeby stwierdzili, że już jej odbija. Zamiast tego odwołała się do starego, dobrego poczucia winy. Wreszcie wykrztusili po dziesięć dolarów każdy. Nie był to budżet przesadnie imponujący, ale pieniędzy wystarczyło na tani bukiet „kwitów”.

Poczekala do następnego dnia, gdy Alain miał przyjść do pracy dużo później, i dopiero wtedy udekorowała salę. Oprócz wielkiego plakatu *POWODZENIA W VEGAS!* pojawiły się białe lampki, poinsecje, jak również typowe akcesoria imprezowe – rozwijane gwizdki, spiczaste czapeczki, a także najtańszy szampan. Schowała tylko jedną butelkę Dom Perignon, którą miała zamiar wypić po Nowym Roku. Złapała pierwszy z brzegu rondel i trzasnęła nim o blat. Nadszedł ostatni dzień Alaina w restauracji.

Na znak Tary wszyscy schowali się do chłodni. Trzy szczupłe brunetki – kelnerki, nerwowy pomywacz z Ekwadoru, hostessa, wysoka Afroamerykanka, zresztą modelka, i Tara. Wszyscy trzymali rondle i butelki taniego szampana, które mieli otworzyć w chwili, gdy Alain wejdzie do chłodni po mięso. Życie zataczało właśnie pełny krąg i... to było piękne.

– Spóźnia się – zauważyła Sahara, hostessa-modelka. Wszyscy trzęśli się z zimna; sutki Sahary zarysowały się mocno pod wyciętą sukienką. Tara nie chciała zasłynąć jako szefowa, przez którą ekipa dostała opryszczyki.

– Przykro mi – powiedziała. – Wychodzimy.

To było podobne do Alaina: spóźnić się do pracy ostatniego dnia. Sahara podeszła do drzwi i pociągnęła za klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Pomywacz, Tino, wystąpił do przodu, z uśmiechem prezentując bicepsy. Położył dłoń na ramieniu Tary i delikatnie usunął ją z drogi. Napiął mięśnie jeszcze raz, chwytając za klamkę.

– Zamknięte – powiedział.

Wszystkie głowy zwróciły się do Tary.

– To niemożliwe – oświadczyła Tara. – Zamykają się wyłącznie od strony kuchni.

Ona także spróbowała otworzyć drzwi. Na plecach czuła spojrzenia pracowników, bardziej lodowate niż powietrze w chłodni. Tak, były zamknięte, i była tylko jedna osoba, która mogła je zamknąć.

– Mówiłam ci, że nie będzie chciał przyjęcia – chlipnęła jedna z brunetek.

Tara zaczęła walić w drzwi. Po chwili dołączyli do niej pozostali. Napierali na drzwi ciałami. W chwili, gdy usłyszeli trzask przekręcanego zamka, było za późno, żeby się cofnąć. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc ogłuszająco, i cała gromadka runęła, wpadając na siebie z impetem, do czyściutkiej kuchni. Butelki taniego szampana toczyły się po podłodze, szkło pękało, zawartość wylewała się z sykiem na podłogę; rondle spadały z głuchym brzękiem.

Alain nachylił się nad Tarą. Patrzyła na niego i zastanawiała się, dlaczego wygląda inaczej niż zwykle. Wreszcie zrozumiała i otworzyła szeroko usta, przerażona. On się uśmiechał.

– Niezbodzianka – powiedział.

W jednej ręce trzymał sznur białych lampek, w drugiej – dużą poinsecję. Tara cofnęła się, gdy rzucił nimi w jej kierunku. Zagotowała się z wściekłości, która wzmożła się jeszcze bardziej, gdy po chwili zobaczyła, że Alain złapał tym razem jej bezcenną butelkę Dom Perignon.

– Nie! – krzyknęła.

Było jednak za późno. Korek ustąpił z sykiem, poszybował do sufitu, szampan zaczął wydobywać się na zewnątrz. Alain skierował strumień wprost na jej głowę. Rozjuszona, powstrzymała pokusę zlizania go z twarzy. Był taki drogi! Alain roześmiał się, wyciągnął iPhone'a i zrobił jej zdjęcie. Tara wyprostowała się i ruszyła przed siebie, ślizgając się na mokrej podłodze. Nigdy w życiu nie była tak wściekła i upokorzona.

– Przygotowaliśmy to dla ciebie – powiedziała. Wycelowała palec wskazujący w długi, cienki nos Alaina. – Ty, ty, ty... francuski dupku!

Usłyszała głębokie, zbiorowe westchnienie. Nikt nigdy nie

sprzeciwił się Alainowi, nie wspominając nawet o użyciu pod jego adresem jakiegoś mocniejszego epitetu (z wyjątkiem tych, których używano za jego plecami, co, jak wiadomo, w ogóle się nie liczy). Tarze było już wszystko jedno. Długie lata kulinarnych prześladowań zbierały właśnie żniwo.

– Jesteś największym mazgajem, jakiego spotkałam w życiu. Niewdzięcznym snobem. Jesteś podły, chamski... a twoje sosy są bez smaku!

To ostatnie oskarżanie musiało zabołec go najbardziej, bo Alain wciągnął powietrze i zaryczał jak ranne zwierzę. Zasłonił usta rękami. Tara zrobiła unik na wypadek, gdyby próbował wycelować rondlem w jej głowę. Zamiast tego wziął się pod boki, pokręcił głową, jak gdyby było mu jej żal, i znowu się uśmiechnął. Jezus, Maria, trzeci raz z rzędu! Poczula, że ogarnia ją panika.

– Nie dostałaś synku? – zapytał Alain.

Synku? Tara bezwiednie dotknęła swojego brzucha. Czyżby uważał, że jest w ciąży? Otaksował jej fartuch, a w dodatku wywróżył sobie płęć dziecka, którego nie było? Przecież ona nie jest w ciąży i nie ma dzieci...

– Cynku – szepnęła jej do ucha Sahara.

– Jakiego cynku? – spytała Tara.

Alain potrząsnął głową, cmokając.

– „Y&S” pojechali przede mną do Vegas. Okazało się, że lubią ghać. Postawili na hestauhację. Przeghali.

– Przeghali? – powtórzyła Tara.

Twarz Alaina stężała.

– Przeghali! – krzyknął. – Sthacili hestauhację. Więc fhancuski dupek, wielki mazgaj, jest z powhotem! – Pochylił się nad nią, wpatrując się w nią intensywnie. Naelektryzowane blond włosy unosiły się nad jego głową, jakby wisiał do góry nogami. W jasnoniebieskich oczach płonęła wściekłość. – Whóciłem – powiedział – na hesztę szycia. – Wyprostował się. Znowu się uśmiechnął. – I możesz mi mówić „Donald” – dodał.

Czekał, żeby zapytała, dlaczego. Nie pytała. Już wiedziała. I tak to powiedział na głos.

– Ponieważ jesteś zwolniona![17]

Tara rozejrzała się wokół, szukając wsparcia, ale Sahara schowała się przy swoim stoliku, Tino wziął się za zamiatanie, a brunetki uciekły na maleńkie patio, żeby wspólnie wypalić jednego papierosa.

Tara wyprostowała się, a potem podniosła z podłogi poinsecję, lampki i prawie pustą butelkę Dom Perignon.

– Elfuj się! – powiedziała.

Uniósł prawą brew, zaskoczony, i gapił się na nią. Dało jej to dużo mniej satysfakcji, niż gdyby użyła oryginalnej wersji tego słowa.

Podniosła głowę i wyszła lekkim krokiem, powstrzymując chęć zgarnięcia obrusów razem z nakryciami. Rozpłakała się dopiero na Irving Street. Na świecie było tylko jedno miejsce, w którym chciała być w tej chwili, i tylko jedna osoba, która mogła sprawić, że życie stanie się choć odrobinę łatwiejsze do zniesienia. Bogu dzięki za jej chłopaka-barmana!

16 *Fleur* – (franc.) kwiat (*przyp. red.*).

17 „Możesz mi mówić Donald” – aluzja do Donalda Trumpa, amerykańskiego przedsiębiorcy i miliardera, znanego w USA m.in. z serialu *Apprentice*, w którym zwalnia pracowników.

Pete Hillerman był najcudowniejszym chłopakiem-barmanem na świecie. Był seksowny, uprzejmy i zabawny. Niektórzy twierdzili, że robi najlepsze koktajle w mieście; niektóre – że on sam jest najlepszym koktajlem w mieście. Tara usiadła przy barze, powstrzymując łzy na myśl o jego mocnych ramionach i pięknych oczach, w których lśniło zrozumienie i współczucie. Wysoka, biuściasta, rudowłosa barmanka położyła przed nią tekturową podkładkę pod szklankę.

– Czym mogę służyć? – spytała z leciutkim akcentem niewiadomego pochodzenia.

– Pete – powiedziała Tara. – Poproszę Pete’a.

Z drugiego końca baru dobiegł ją bolesny okrzyk. Tara podniosła głowę i zobaczyła młodą dziewczynę, zgarbioną i zapłakaną.

– Pete wyjechał – powiedziała ruda.

– Wyjechał! – powtórzyła łkająca dziewczyna. – Wyjechał, wyjechał, wyjechał.

– Dokąd wyjechał? – spytała Tara.

Co za pech! Pewnie pojechał do Vermont na narty albo z wizytą do babci na Florydę.

– Do Hollywood – odparła ruda.

– Co takiego? – zdziwiła się Tara.

– Przeniósł się do LA – wychlipała dziewczyna. – Jakaś debilka powiedziała mu, że marnuje się w Nowym Jorku i powinien jechać do Hollywood. Więc pojechał. Dali mu główną rolę w pilotażowym odcinku.

Tara zamarła. Miesiąc temu przyszła do baru po gigantycznej kłótni z Alainem. Pete słuchał jej przez kilka godzin, postawił jej nawet parę drinków. Była mu wdzięczna, choć lekko kręciło jej się w głowie. Miała poczucie winy, że ciągle gada o sobie, więc w końcu poprosiła, żeby opowiedział jej coś na swój temat.

– Przyjechałem tutaj, żeby zostać aktorem – powiedział. Wytarł blat i sprzątnął kilka pustych butelek po piwie. – Popatrz na mnie –

dodał, trzymając je w obu rękach.

Tara wiedziała, co to znaczy walczyć o swoje marzenia. Pete, nieziemsko przystojny i zabawny, ze wszystkich ludzi na ziemi miał największe zadatki na to, by być gwiazdą. Kochały go wszystkie kobiety po zachodniej stronie Górnego Manhattanu. Tara uniosła się na stołku barowym.

– Powinieneś jechać do LA! – zawołała.

– Tak sądzisz?

– Nie „sądzę”, przystojniaku. Ja to wiem.

– Ja nie.

– A ja ci mówię, że będą tam tobą zachwyceni! Wiesz, jaki jesteś seksowny? Wiesz o tym? Przysięgam na Boga, Pete – musisz się przenieść do LA! Będziesz gwiazdą!

Tara oparła łokcie o blat i schowała twarz w dłoniach. Posłuchał jej? Naprawdę jej posłuchał?

– Jeśli kiedykolwiek znajdę tę sukę, to ją zabiję! – krzyknęła dziewczyna na drugim końcu baru.

– Co podać? – powtórzyła ruda.

– Nie zostawił nic dla mnie? – spytała Tara.

– Na przykład?

– Może list? Albo upominek? – A może pieprzony bilet do LA?

Tara uniosła się na stołku i próbowała zajrzeć za kontuar. – Może jakaś koperta z napisem „Tara”?

– Albo „Melody”? – dodała zapłakana dziewczyna, także unosząc się na swoim stołku.

– Usiądźcie, drogie panie – powiedziała ruda. – On wyjechał. Nigdy tu nie wróci. Nie ma tu koperty z napisem „Droga Taro” ani „Droga Melody”, ani żadnej innej. Czego się napijecie?

– Cyjanku – powiedziała Tara. Ruda spiorunowała ją wzrokiem.

– Ja stawiam – oświadczyła Melody.

– Daj spokój! – powiedziała Tara. – Idę do domu, do mojego portiera.

Melody opuściła głowę na blat i znowu zalała się łzami.

Mężczyźni nigdy jej nie słuchali. Z wyjątkiem Pete’a, który poszedł za jej pijacką radą. Przeprowadził się do LA. No cóż, spełniła

dobry uczynek. Dostał główną rolę w pilotażowym odcinku. I co z tego, że straciła chłopaka? Ech, po co było się oszukiwać? To było okropne. Myśl, że będzie musiała poszukać nowego barmana, którego polubiłaby tak samo jak Pete'a, że minie dużo czasu, zanim się zaprzyjaźnią, zanim ten nowy zapamięta, że ona zamawia drinki w zależności od nastroju, zanim nauczy się, jak ją rozśmieszać, kiedy prawić jej komplementy, kiedy radzić, a kiedy mówić, że wygląda wspaniale, była po prostu dołująca. Ile razy jeszcze będzie musiała przez to przejść?

No, cóż! Przynajmniej miała Henry'ego.

Była pewna, że Henry Roulston nigdy jej nie porzuci. Pracował jako portier, jeszcze zanim przyszła na świat. Nigdy nie brał zwolnień. Zawsze się uśmiechał. Jego uniform był zawsze odprasowany, drzwi – zawsze szeroko otwarte, a on miał zawsze w zanadrzu jakiś przyjemny komplement. Zawsze – co za miłe słowo w tak trudnym czasie.

– Właśnie się zastanawiałem – witał ją – co dobrego dziś przygotowałaś?

Z Henrym można było pogawędzić miło na każdy temat. Z Tarą zwykle omawiał tajniki kuchni. Opowiadał jej, że w wolnym czasie ogląda programy kulinarne. Zachęcał ją, żeby poszła na casting do *Top Chef*. Co tydzień opowiadał jej najnowszy odcinek.

– „Tajemniczym składnikiem” wczorajszego przepisu była dziczyzna – mówił. – Jak byś ją przygotowała?

– Hmm... – odpowiadała Tara. – Upiekłabym ją na żywym ogniu i podała z sosem *chutney* z mango.

Odpowiedź nie miała znaczenia. Henry klaskał w dłonie, pełen zachwyty, a potem głaskał się po żołądku. Wreszcie klepał ją po ramieniu, jakby chcąc dać jej do zrozumienia, że równa z niej kumpelka.

Teraz sama myśl o nim sprawiła, że Tara poczuła się lepiej. Co z tego, że Pete dał nogę do LA? To Henry był jej prawdziwą miłością, jedynym mężczyzną, na którego zawsze mogła liczyć.

– Witaj, Taro – powiedział. – Co dziś przyrządziłaś dla gości?

Tara rzuciła się w jego ramiona. W pierwszej chwili zeszytniał. Kiedy jednak zaczęła płakać, puścił drzwi i objął ją także. Potem łagodnie uwolnił się z jej objęć i podał jej bawełnianą chusteczkę.

– Chusteczka – powiedziała Tara. – Prawdziwa chusteczka.

Henry podszedł do biurka portierni i podniósł dużą, żółtą kopertę. Wręczył ją Tarze. List świąteczny od Nadine. Akurat teraz, jeszcze i to! Tara wytarła oczy chusteczką.

– Co się stało, skarbie? – zapytał Henry.

Skarbie. Nazwał ją „skarbem”. Zaczęła płakać jeszcze żałośniej.

– Wiesz, jak trudno dziś znaleźć faceta, który podałyby dziewczynie w potrzebie chociaż chusteczkę jednorazową? – chlipnęła Tara. – A ty... Ty dałeś mi prawdziwą chustkę, Pete.

– Henry.

– Co?

– Nazwałeś mnie Pete. Mam na imię Henry.

– Przepraszam. Pete to mój chłopak.

– Ten barman z naprzeciwka?

– Znasz go?

– Jest twoim chłopakiem? – Skąd to zwątpienie w jego głosie?

– Był – odpowiedziała Tara. – Ale wyjechał, porzucił mnie dla pilota!

– Jakich linii? – zapytał Henry.

– Co?

– American? Jet Blue? United?

– Ma zagrać w pilotażowym odcinku serialu.

– Aha – powiedział Henry – Świetnie! – zaklaskał w dłonie.

Wyciągnął rękę do Tary, żeby przybiła piątkę. Zamiast tego machnęła niemrawo ręką. Po raz pierwszy w życiu czuła się rozczarowana swoim chłopakiem-portierem.

– Dla niego tak, dla mnie nie – powiedziała Tara. – Zostałam dziś wyrzucona z pracy... Chciałam tylko drinka z martini z sokiem z granatu i odrobiny współczucia.

– Wyrzucona? – dopytywał Henry. – Wylali cię?

– Możesz w to uwierzyć? – odparła Tara. – Dziś miał być najlepszy wieczór mojego życia. Miałam zostać szefem kuchni. A potem Alain zamknął mnie w chłodni, a kiedy mnie w końcu wypuścił, ogłosił, że nie wybiera się do Vegas, ponieważ „Y&S” przegrali restaurację w ruletkę, i wywalił mnie! – Tara naprawdę musiała wreszcie to z siebie wyrzucić.

Henry wyglądał na wstrząśniętego. Otworzył usta w niemym

proteście. Złapał się za serce. Stary, dobry Henry.

– Wiem – powiedziała Tara. – Dasz wiarę? Dasz wiarę, jak beznadziejne mam życie?

Henry nie odpowiedział. Wytrzeszczając oczy, wciąż trzymając się za klatkę piersiową, pochylił się do przodu. Zanim Tara zdążyła go złapać, runął na ziemię niczym podcięte drzewo.

W swoim życiu Henry Roulston otworzył drzwi 14 600 000 razy. Został ojcem trzech córek, urodzonych przez trzy różne żony. Poznał wszystkie sekrety wszystkich, którzy mieszkali w promieniu dziesięciu przecznic od jego portierni. Był zapamiętałym kibicem Yankees[18]. Każdego ranka kupował sobie kawę w małej kawiarence na rogu. Mało mleka, dużo cukru. Tak samo wyglądało jego życie. Wszyscy go kochali, wielu miało za nim tęsknić. A ostatnie słowa, jakie w życiu usłyszał, brzmiały:

– Dasz wiarę, jak beznadziejne mam życie?

Pogrzeb Henry'ego był naprawdę piękny. Tak wiele osób go kochało! Kaplica była pełna ludzi. Tara miała na sobie krótką, czarną sukienkę, w dłoni ścisnęła chusteczkę, którą dał jej Henry. Spłakała się porządnie. Wszyscy ci ludzie byli tacy mili. Podchodzili do niej, ściskali ją za rękę, mówili, jak ogromnie współczują jej straty. Rozumieli! Rozumieli, jak silne piętno może wycisnąć druga osoba w naszej duszy...

Córki Henry'ego, jedna za drugą, maszerowały właśnie w kierunku Tary. Na widok wyrazu ich twarzy natychmiast przestała płakać.

– Kim pani jest? – spytała pierwsza.

– Jestem Tara – odparła, wyciągając rękę. Żadna z nich jej nie uścisnęła.

– Sypiała pani z nim? – syknęła druga.

– Co? – odparła Tara. – Nie!

– Nie dostanie pani ani centa.

– Nie chcę ani centa.

– To co pani wyprawia?

– O co pani chodzi?

– Płacze pani i zawodzi „Dlaczego ja” tak głośno, że nie słychać żałobnych pieśni!

– Tak mi przykro – powiedziała Tara – Mieszkałam w budynku, w którym pracował. Byłam ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

To wyjaśnienie chyba je nieco uspokoiło, bo ich ramiona rozluźniły się, a najniższa wyciągnęła zimną dłoń i dotknęła ręki Tary.

– O czym mówił? – spytała. – Żartował sobie z Metsów[19]?

Tara spuściła głowę.

– Nie – wyznała. – Słuchał, jak narzekam na swoje życie.

Poczucie winy przytłaczało ją. Dobrze było się wypowiedzieć. Henry na pewno by jej wybaczył, potrzebowała jednak także wybaczenia jego córek. Chwyciła tę najmniejszą za rękę.

– Tak mi wstyd – powiedziała. – Ostatnie słowa, jakie słyszał pani ojciec, brzmiały: „Dasz wiarę, jak beznadziejne mam życie?” – Tara znowu zaczęła płakać. Córka Henry’ego wyrwała jej dłoń.

– Proszę już iść – powiedziała.

– Ale... ja myślałam, że pójdę z wami do domu – powiedziała Tara. – I przygotuję coś, żeby uczcić Henry’ego.

Trzy kobiety wpatrywały się w nią bez słowa.

– Rozumiem – powiedziała Tara. Wytarła nos w chusteczkę.

– Czy to chustka taty? – spytała jedna z córek Henry’ego.

* * *

List wyglądał wesoło i niewinnie. Żółta, wytłaczana koperta z ozdobną obwódką i pieczętkami Świętego Mikołaja. Tara chwyciła ją za róg, jakby to była zdechła mysz, i zamajtała nią nad koszem na śmieci, w myślach przekonując siebie, że najlepiej będzie puścić ją i pozwolić, żeby wpadła do środka. Kubeł na śmieci z pedałem rozwierał paszczęki, wrzeszcząc niemo niczym wściekłe, metalowe monstrum: „Nakarm mnie! Nakarm mnie listem swojej siostry. Pożrę go dla ciebie!”.

– „Drodzy Przyjaciele i Rodzino” – powiedziała Tara do czarnej czeluści kubła. Tak właśnie Nadine rozpoczynała każdy ze swoich corocznych „radosnych” listów. – „Drodzy Przyjaciele i Rodzino”. Ciekawe, że „Przyjaciele” są u niej na pierwszym miejscu. „Bardzo żałuję, że jestem zbyt zajęta, żeby napisać do każdego z Was z osobna” – ciągnęła Tara. – „Byłoby wspaniale mieć aż tyle wolnego czasu”. –

Słuchając własnego głosu, nabijającego się z siostry, grzmiącego w głąb kosza na śmieci, napełniło ją leciutkim poczuciem winy; zwolniła pedał. Pokrywa zamknęła się z głuchym trzaskiem.

Tara odwróciła się do szafki, stojącej za nią, i wyjęła resztkę likieru Baileys, która została z zeszłego roku; napiła się prosto z butelki. Czując się odrobinę lepiej, przysunęła się do okna i otworzyła kopertę.

Droży Przyjaciele i Rodzino,

bardzo żałuję, że jestem zbyt zajęta, żeby napisać do każdego z Was z osobna. Byłoby wspaniale mieć aż tyle wolnego czasu! Ci z Was, którzy mają malutkie dzieci, zrozumieją z pewnością, co mam na myśli! Ci z Was, którzy ich nie mają, jeszcze się nie dowiedzieli, jak to jest ciągle ze wszystkim się spieszyć.

Tu, na naszym ranczu, pod ogromnym, błękitnym niebem, czuć już ducha nadchodzących Świąt! Tiara, nasz maleńki aniołek – dosłownie – skończyła w Halloween dwa latka. Jeśli nie dostaliście zdjęć naszego maleństwa w kostiumie aniołka, zapoznajcie się z albumem rodzinnym, dołączonym do tego listu. Zamieściliśmy też zdjęcia na Facebooku, MySpace, Bebo, a także w odpowiedniej zakładce naszej strony rodzinnej, najszczesliwszarodzinanaswiecie.com. Teraz robimy aniołki ze śniegu w ogródku i niecierpliwie czekamy na Mikołaja...

Tara zaczęła przeglądać list bardziej pobieżnie:

– ciśnienie Phila...

– pilates...

– wolontariat w schronisku...

– nasz mały cud...

Miała właśnie zamiar przejść do drugiej strony, gdy dostrzegła coś, co sprawiło, że zamarła.

Spodziewamy się dziecka! To bardzo wczesny etap ciąży, ale po prostu musieliśmy się tym z Wami podzielić. Phil i ja oczekujemy kolejnego potomka. Nie dbamy o to, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, byle dziecko było zdrowe i tak szczęśliwe, jak nasza trójka. Phil przypuszcza też, że wyrośnie na polityka – naszym zdaniem, zostało poczęte podczas wyjątkowo gorącej debaty Wolfa Blitzera[20] w CNN...

Tara przebiegała szybko oczami kolejne strony.

Moi rodzice będą obchodzili czterdziestą rocznicę ślubu

w przyszłym roku na wiosnę...

„Moi rodzice”. Zachowuje się jak jedynaczka.

Moja siostra, Tara, nadal mieszka w Nowym Jorku...

O, nie...

*... i właśnie awansowała na głównego kucharza w „La Fleur”,
malutkiej, francuskiej restauracji, w której pracuje od dziewięciu lat...*

Na szefa kuchni... od sześciu lat...

*..i chociaż żyje jak w serialu „Seks w wielkim mieście”, cały czas
mamy nadzieję, że spotka swoją drugą połowę...*

Nie. Nie, nie, nie! Po stokroć: nie!

...więc jeśli znacie jakichś przystojnych, samotnych...

Ona chyba nie...

*...odpowiednich mężczyzn, którzy byliby zainteresowani związkiem
z niezwykle niezależną mieszkanką Nowego Jorku, która gotuje jak
burza...*

Tak, właśnie to robi.

*...przyślijcie nam ich zdjęcia i profile, a my wyślemy Wam link do
nowej zakładki na naszej witrynie rodzinnej – „Mężczyzna dla Mojej
Siostry”...*

– Nie! – krzyknęła Tara.

*Pamiętajcie tylko, że moja siostra jest bardzo, bardzo wybredna.
Łysi, żeglarze i miłośnicy zwierząt odpadają w przedbiegach.*

Dalej był list, zaadresowany osobiście do niej.

Droga Taro,

*w załączeniu przesyłam instrukcje co do Twojego wkładu
w przyjęcie bożonarodzeniowe. W tym roku po prostu wylosowaliśmy
poszczególne potrawy, więc danie, które masz przygotować, nie ma nic
wspólnego z Twoimi wspaniałymi umiejętnościami kulinarnymi.
Wylosowałaś... sałatkę! Hura! Nie żałuj sobie szaleństwa. Z drugiej
strony – nie przesadzaj z tym! Pamiętasz wypadek z purée z kartofli
w zeszłym roku? Naprawdę, powinnaś była mieć na uwadze fakt, że
wujka Teda męczył gazy. Ponieważ nie brałaś udziału w letnich próbach,
przydzieliliśmy Ci rolę Właścicielki Zajazdu/Sprzątaczką w tegorocznej
adaptacji sztuki „Znajdziemy dla Ciebie miejsce”. Uznaliśmy, że
w obliczu recesji nie jest niczym niezwykłym, że obsługa zajazdu musi*

pracować na dwa etaty, ha ha ha! A jeśli zechcesz przyjechać z chłopakiem (trzymamy mocno kciuki!), uprzedź nas o tym najwcześniej, jak to będzie możliwe.

– NIE MIESZAJ sosu z sałatką.

– Cebula, jeśli już musisz ją dodać, powinna znajdować się na oddzielnym talerzyku.

– Uszanuj upodobania naszych gości, którzy ograniczają spożycie węglowodanów, i grzanki także podaj osobno.

– Jestem przekonana, że wuj Ted nie toleruje laktozy. Proszę, przygotuj ser w oddzielnej miseczce, chyba, że będzie to ser kozí – w takim wypadku możesz go dodać do sałaty, tylko nie mów nikomu, co to jest – niektóre osoby nie przepadają być może za kozim serem.

– Żadnych orzechów, oczywiście.

– Osobiście najbardziej lubię zielone warzywa, tak zwaną „mieszankę wiosenną”. Sałata lodowa jest nudna, a rokieta zbyt snobistyczna. Wybierz jakąś popularną zieleninę.

– Pamiętasz, jak ciocia Janie wycięła w zeszłym roku płatki śniegu z marchewki? Spokojnie możesz wykorzystać ten pomysł, to był niesamowity hit!!!

Tym razem Tara wyrzuciła list do śmietnika bez najmniejszych skrpułów i chwyciła za torebkę. Miała do wyboru: natychmiast wyjść z domu albo się zabić.

18 New York Yankees – najbardziej utytułowana drużyna baseballowa wschodniej dywizji American League.

19 New York Mets – drużyna baseballowa z Nowego Jorku.

20 Wolf Blitzer – amerykański dziennikarz i prezenter stacji telewizyjnej CNN.

Central Park był jej wybawieniem. Uwielbiała go bezwarunkowo. Każda pora roku oferowała inne radości i zima nie była wyjątkiem, choć właśnie teraz można było spacerować, zachwycając się świeżo spadłym śniegiem. Można było jeździć na łyżwach na Wolman Rink. Słuchać kolędników i perorujących szaleńców. Próbować potraw, sprzedawanych na straganach przy wejściu, rozkoszować się prażonymi orzeszkami ziemnymi, doprowadzając wiewiórki do spazmów zazdrości. Można też było przyglądać się dorożkom i Tara właśnie przyglądała się dorożkom, oddychając głęboko, gdy podszedł do niej chudy chłopak z tablicą.

– Proszę podpisać petycję! Mówimy „Stop” dorożkom w Central Parku! Przechodzimy na energooszczędne wagoniki turystyczne! – powiedział jednym tchem.

Tara gapiła się na niego.

– Konie są źle traktowane – dodał z naganą, jakby to ona była za to odpowiedzialna.

– Doprawdy? – zapytała powątpiewająco. – A to niby w jaki sposób?

– Trzyma się je w zatłoczonych stajniach i nie mogą biegać po pastwiskach – wyrecytował chłopak jednym tchem.

Tara oczywiście знаła ten argument, znała jednak również kilku dorożkarzy. Byli to dobrzy ludzie, dbający o swoje konie. A konie zaprzęgano do dorożek w Central Parku od ponad stu lat. Wszyscy lubią się czuć potrzebni, nawet konie. Skoro nie nauczyły się dotąd wysyłać SMS-ów, co miałyby robić całymi dniami? Czy ci ludzie z tablicami są w stanie zagwarantować, że konie trafią w inne, lepsze miejsce, jeśli nie będą pracowały w Central Parku? Czy mają zamiar osobiście doglądać każdego konia, sprawdzać, czy dobrze mu się żyje? A jeśli konie zaczną się nudzić i wpadną w depresję, jeśli nikt nie będzie ich potrzebował? A jeśli lubią przejażdżki z turystami? Jeśli dzięki temu czują się ważne? Ona, na przykład, wiedziała doskonale, jak to jest nie mieć pracy, być niechcianą, niekochaną, wiedzieć, że nikt za nią nie tęskni. Nikomu nie

życzyła czegoś podobnego. Taki właśnie jest problem z aktywistami o dobrych intencjach. Czasami robią rzeczy, które nikomu nie wychodzą na dobre. Zapewnij im lepsze warunki, chłopcze z tablicą, ale pozwól im dalej pracować! Czym byłby ten park bez koni? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– W takim razie należy im załatwić pastwisko – powiedziała. – A nie wypędzać je stąd. – Dzieciak pokręcił głową. – Są piękne – powiedziała Tara. – Magiczne. Sprawiają, że czuję się szczęśliwa.

– To okrucieństwo wobec zwierząt – oświadczył chłopiec. – Jeśli nie chce pani stać się częścią rozwiązania, staje się pani częścią problemu.

– Przyjdź do mnie z petycją dotyczącą pastwiska, wtedy pogadamy – powiedziała Tara. – Do tego czasu pozwól, że będę dalej cieszyć się przechadzką po parku, dobrze?

Chłopak odszedł, cały czas kręcąc głową. Gdzie się podziała moja wewnętrzna wojowniczką, zastanawiała się. Kiedyś była taka jak on. Młoda idealistka, pełna nadziei, biegająca z tablicami.

– Można? – spytała Tara woźnicę, podchodząc do konia.

– Tajest – odparł woźnica, kiwając głową. Piękny, biały koń miał czerwoną uprzęż. Pożywiał się owsem z worka; spojrzał na nią, gdy podchodziła. Ujęła w dłonie miękki pysk i pocałowała go w nozdrza. Pachniał czystością i zadowoleniem. Parsknął; z pyska wyleciało mu ziarno. Tara zaśmiała się.

– Życzę ci, żebyś dostał pastwisko na Gwiazdkę – szepnęła. – A tymczasem, dziękuję ci za to, że przy tobie poczułam się szczęśliwa.

– Jeśli tak pani lubi zwierzęta, powinna pani zobaczyć renifery – powiedział dorożkarz.

Przez chwilę Tara myślała, że z niej żartuje.

– Słucham? – zapytała.

– Przywieźli je z farmy w Wisconsin – powiedział dorożkarz, wskazując kierunek. – Dwanaście reniferów i Świętego Mikołaja. Chociaż nie wiem, czy Mikołaj jest z Wisconsin – roześmiał się i mrugnął do niej. – Jeśli tak, to powinniśmy karmić go mlekiem i serem![21]

Tara śmiała się razem z nim. Dwanaście reniferów z Wisconsin!

Musiała to zobaczyć na własne oczy.

Kolejka do reniferów miała ponad kilometr długości. Tarze nie robiło to różnicy. Wolnego czasu miała przecież aż nadto. Poza tym uwielbiała renifery. Jako dziecko leżała w noc wigilijną, nie mogąc zasnąć, bo martwiła się o renifery, tak jak niektórzy ludzie martwią się, że Święty Mikołaj mógłby utknąć w kominie. Czy nie są zmęczone lataniem? – zastanawiała się. – Czy nie jest im zimno? Czy się nie zgubią w drodze? Czy Rudolf oświetla im drogę? Czy ten elf w końcu został dentystą[22] (czasami pojawiała się jakaś myśl, niezwiązana z reniferami)? Co robią, kiedy muszą iść do łazienki? Nigdy nie słyszała, żeby tata narzekał na kupy reniferów na dachu – a przecież narzekał zawsze i na wszystko.

Tuż przed nią stał mały chłopiec z matką. Kobieta ugiwała się pod ciężarem toreb z zakupami; chłopiec miał na sobie kombinezon, na oko o dwa numery za mały. Mimo stroju krępującego mu ruchy, brykał niczym Tygrysek z „Kubusia Puchatka”.

– Czy sanie Mikołaja jeżdżą na gips? – spytał matkę. Nie odpowiedziała, więc powtórzył pytanie jeszcze cztery razy.

– To nie miałoby sensu, Carl – powiedziała matka. – Sanie to sanie, a gips to gips. Mikołaj nie jeździ; on fruwa.

– Nie – sprzeciwił się Carl. – Na gips. Żeby się nie zgubić. – Matka zdawała się zupełnie nie rozumieć, o co mu chodzi. Tara podeszła bliżej.

– Wydaje mi się, że on mówi o GPS – podpowiedziała.

Chłopiec i jego matka popatrzyli na nią, jak gdyby mieli zamiar powiedzieć jej, żeby spadała. Tara uśmiechnęła się, żeby rozluźnić nieco sytuację, ale matka chłopca obróciła go w miejscu, wsadziła rękę do kieszeni płaszcza i wyjęła stamtąd napoczętego precla. Próbowałam tylko być miła, pomyślała Tara. Tak, czy siak, zbliżała się jej kolej.

Popatrzyła na plakat reklamowy, umieszczony przed stanowiskiem reniferów. BIURO PODRÓŻY „DZIEWICZY UROK PLAŻ ARCHIPELAGU”. Tara miała nadzieję, że nigdy nie wpadną na pomysł użycia akronimu tej nazwy. Pod logo firmy widniał obrazek sań Świętego Mikołaja, lecących w stronę rajskiej plaży. Tara zastanawiała się, czy Mikołaj wymaga od pasażerów dopłaty za nadbagaż. Nagle pożałowała serdecznie, że sama nie wybiera się dokądkolwiek.

Gdy nadeszła jej kolej, zaczął padać lekki śnieg. Ostrożnie weszła do niewielkiej zagrody, w której stały zwierzęta, żując siano i rozglądając się wokół. Nie wyglądały na zestresowane czekającą je podróżą dookoła świata. Wyglądały wspaniale i majestatycznie ze swoim pięknym porożem. Tara z trudem mogła uwierzyć, że są prawdziwe. Przeszła na lewo; największy renifer stał nieruchomo niczym posąg tuż przy ogrodzeniu. Wyglądał na ekstrawertyka. Wyobraziła go sobie jako króla imprezy. Ależ by się później przechwalał! Widzieliście, jak blisko podszedłem do ludzi? Mogłem normalnie ich powąchać!

Tara zbliżyła się powoli, żeby go nie przestraszyć. Patrzył na nią wielkimi, brązowymi oczami. Był cudowny.

– Jesteś moim reniferkiem – szepnęła do niego.

– Proszę bardzo – powiedziała kobieta w kombinezonie. – Może go pani pogłaskać.

Tara wyciągnęła dłoń do miękkiego pyska, tak jak wcześniej do konia. Nagle obok niej pojawił się chłopczyk z preclem. Wcisnął się przed nią, wyjął z ust ostatni kawałek precla i wyciągnął rękę w kierunku renifera.

– Myślę, że sól nie jest dobra... – zaczęła Tara.

Podeszła bliżej, żeby zabrać reniferowi precel. W następnej chwili matka chłopca odsunęła go gwałtownie, a Tara poczuła silny ból w nadgarstku. W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że maluch zaatakował ją ukrytym w preclu scyzorykiem. Jaki wyrok może dostać pięciolatek? Pięć lat ciężkich robót w fabryce Lego? Po chwili jednak zorientowała się, co się dzieje, ale nadal nie wierzyła własnym oczom. Szczeka renifera zacisnęła się na jej nadgarstku, ostre zęby utkwili głęboko w skórze. Nie miała najmniejszego zamiaru podpisywać żadnych petycji na rzecz tego zwierzaka; nie ulegało wątpliwości, że ma troskliwą opiekę, także dentystyczną.

– Puszczaj! To nie precel! – krzyknęła Tara.

– O, nie! – krzyknął chłopiec. – On ją zjada!

Zdziwiła się, słysząc szczerą rozpacz w jego głosie, i doznała przyływu ciepłych uczuć.

– Dlaczego nie chciał mojego precla? Dlaczego woli ją? –

lamentował chłopczyk. Kopnął zimowym bucikiem ogrodzenie, a potem wycelował w nią oskarżycielsko łapkę w rękawiczce. – Mój precel jest o wiele smaczniejszy od ciebie! – wrzasnął. Uczucie miłości wyparowało gdzieś.

– Pomocy! – jęknęła Tara.

Szczeńka renifera zaciskała się uparcie wokół jej nadgarstka. Tara obawiała się, że najmniejszy ruch może sprawić, że straci dłoń. Gdzie się podziała kobieta w kombinezonie? Tara gorączkowo rozglądała się dookoła. Kilka otaczających ją osób także zamarło w przerażeniu.

– Zły renifer – oznajmiła stanowczo. – Zły, bardzo zły renifer! – Zęby zacisnęły się mocniej.

Zaczęła krzyczeć.

Po sześciu godzinach oczekiwania na ostrym dyżurze jej rana została oczyszczona, zszyta i zabandażowana. Tara dostała garść środków przeciwbólowych oraz informację, że renifer ma aktualne szczepienia. Kobieta w kombinezonie była bliska hysterii na samą myśl, że jeśli informacja o ataku wydostanie się na zewnątrz, opinia publiczna będzie chciała zrobić krzywdę Alfredowi. Alfred. Najgłupsze imię dla renifera, jakie Tara słyszała w życiu. Jego pseudonim zawodowy brzmiał „Błyskawiczny”. Tara obiecała nie robić problemów, pod warunkiem że kobieta zgodzi się odesłać Błyskawicznego Alfreda na emeryturę, pozbawiając go możliwości kontaktów z publicznością. Przedstawiciel biura podróży przyjechał za Tarą do szpitala i zdenerwowany siedział w poczekalni. Tara miała zamiar powiedzieć mu, żeby pojechał do domu, gdy lekarz zaczął zadawać jej dziwne pytania.

Czy ma depresję? Czy doznała ostatnio poważnej straty? Czy okres świąteczny powoduje u niej obniżenie nastroju? O, tak. Tak, tak, tak, powiedziała. Jak miło, że doktor zatroszczył się o nią. Skąd wiedział? Czy to tak bardzo rzucało się w oczy? Rzucił kolejne nerwowe spojrzenie na jej nadgarstek.

– Chciałbym wysłać panią na górę, na badanie – powiedział.

– Na górę?

– Tak. Mamy doskonałych psychiatrów...

– O, nie! – zaprotestowała Tara. – Nie potrzebuję badania. To znaczy... nie wiem, jaki byłby wynik, ale nie mam myśli samobójczych

ani nic takiego. Naprawdę ugryzł mnie renifer. – Lekarz zanotował coś w karcie.

– Nazywał się Błyskawiczny? – spytał.

– No... tak naprawdę ma na imię Alfred. Błyskawiczny to tylko pseudonim zawodowy.

– Aha – mruknął doktor. – A gdzie był wtedy Święty Mikołaj? Tara popatrzyła na niego.

– Mikołaja nie było – odpowiedziała. – Tylko Mikołajka w kombinezonie. – Znowu coś zanotował. – Proszę posłuchać – powiedziała Tara. – To była po prostu jakaś promocja. W Central Parku. One są z farmy w Wisconsin. Opowiedział mi o nich dorożkarz. Powiedział, że powinniśmy częstować Mikołaja serem. – Ta ostatnia uwaga nie przekonała chyba lekarza. Znowu zapisał coś w karcie.

– Nie mogę uwierzyć, że po Central Parku nadal jeżdżą dorożki – powiedział.

– Prawda? Ja na przykład wołałabym energooszczędne wagoniki.

– Czy zna pani kogokolwiek, kto mógłby potwierdzić tę opowieść o reniferze? – spytał lekarz. – Poza Świętym Mikołajem?

Tara zawołała przedstawiciela biura podróży. Przez chwilę cicho rozmawiał z lekarzem. Ten spoglądał to na jedno, to na drugie.

– No cóż, zachowała się dzielnie – powiedział wreszcie. – A już myślałem, że mam tu prawdziwą wariatkę.

– Wyobrażam sobie – odparł przedstawiciel, lustrując ją spojrzeniem z góry na dół.

– Myślę, że powinniście co najmniej podarować tej kobiecie darmową wycieczkę – dodał lekarz.

Gdyby nie obrączka na jego palcu i fakt, że omal nie wsadził jej do czubków, byłaby gotowa natychmiast go poślubić.

Drodzy Przyjaciele i Rodzino,

Bardzo żałuję, że jestem zbyt zajęta, żeby napisać do każdego z Was z osobna. Byłoby wspaniale mieć aż tyle wolnego czasu! Oto, w skrócie, co u mnie słychać. Straciłam mojego chłopaka – barmana i mojego chłopaka – portiera, obu tego samego dnia. Jeden wyelfował się do Hollywood; drugi zmarł dosłownie w moich ramionach. (Gdybym wiedziała, że właśnie umiera, spróbowałabym przynajmniej go złapać,

kiedy leciał na podłogę). Wydarzeniem tygodnia był fakt, że ugryzł mnie renifer o imieniu Alfred Błyskawiczny, pochodzący z Wisconsin. A jednak, Tiaro! Jednak Święty Mikołaj istnieje naprawdę! Biuro podróży „Dziewiczy Urok Plaż Archipelagu” (lubię myśleć o nich w skrócie DUPA) wysłała mnie na dwunastodniową, darmową wycieczkę na Maui. Bardzo mi przykro, że nie będę mogła przygotować sałatki ani zagrać Oberżystki/Sprzątaczkę w sztuce „Znajdziemy dla Ciebie miejsce”.

Kocham Was,

Tara

Tara opuściła oparcie luksusowego fotela w kabinie pierwszej klasy i uśmiechnęła się. Była wolna. Jediną rzeczą, jaką miała w torbie, która – wyłącznie kolorem – nawiązywała do Bożego Narodzenia, było skąpe, czerwone bikini, które miała zamiar nosić codziennie przez dwanaście dni. Dwanaście dni, żeby zapomnieć o wszystkim. Może nawet pozwoli sobie na jakiś niezobowiązujący romans? Utańczy trochę nosa Nadine. A skoro, z definicji, romanse tego rodzaju bywają wyłącznie przelotne, była gotowa zrezygnować z wielu wymagań. Pod jednym warunkiem: że facet będzie seksowny.

21 Wisconsin, stan w głównej mierze rolniczy, słynie z produkcji mleka i sera i jest nazywany „amerykańskim królestwem nabrała”.

22 Elf, który chciał zostać dentystą, występował w jednej z amerykańskich ekranizacji opowieści świątecznych o Rudolffie, Czerwononosym Reniferze.

Tara patrzyła przez okno samolotu, zniżającego lot nad Maui. Słońce świeciło jasno. Niemal czuła w nozdrzach zapach oceanu, olejku do opalania, tropikalnych drinków. Kac moralny, związany z porzuceniem rodziny w czasie świąt, wyparował w chwili, gdy poczuła na skórze pieśczołę hawajskich promieni słonecznych. Do budynku lotniska dotarła niemal w podskokach. Nie miała bagażu, mogła więc ruszyć prosto do biura wynajmu samochodów. Przed nią w kolejce ustawiło się zaledwie parę osób.

– Tara... – usłyszała kobiecy głos.

Rozejrzała się dookoła, choć przecież kobieta nie mogła zwracać się do niej.

– Tara! – głos rozległ się tuż za jej plecami.

Tara obróciła się na pięcie. Za nią stała jej siostra.

– Nadine? – Tara poczuła, jak opada jej szczęka; wiedziała, że powinna zamknąć usta, ale nie była w stanie tego zrobić.

Nadine zapiszczała, a potem zarzuciła jej na szyję czerwono-zieloną girlandę.

– Niespodzianka! – zawołała.

Uściskała ją gorąco. Tara cofnęła się i w tej samej chwili zobaczyła, że w jej kierunku biegną matka i ojciec. Nigdy nie powiedziałyby tego głośno, ale poczuła pewne zażenowanie, widząc, jak podskakują. W przeciwieństwie do swych szczupłych córek Nancy i George Lane mieli lekką nadwagę, co w ich wieku nie było czymś specjalnie nagannym; po prostu lubili cieszyć się drobnymi przyjemnościami. No dobrze, ale nie powinni biegać w miejscach publicznych. Truchtać po galerii handlowej – niech tam, ale nie tu!

– *Mele kalikimaka!* – wykrzyknęła jej matka. Wyrzuciła ramiona w górę, machając z podnieceniem. Fałdy luźnej skóry falowały jeszcze przez długą chwilę, gdy opuściła ręce.

– To znaczy „Wesołych Świąt” w tutejszym języku – wyjaśnił ojciec.

Oprócz bożonarodzeniowej girlandy miał na szyi aparat fotograficzny i okulary przeciwsłoneczne, w dłoni dzierżył laminowaną mapę, a za ucho zatknął sobie ołówek. Szwagier Tary, Phil, wyłonił się jako ostatni, niosąc na biodrze małą Tiarę. Wszyscy byli przystrojeni czerwono-zielonymi girlandami. Nancy wyjęła ogromną butelkę olejku do opalania i wyciągnęła ją w kierunku Tary. Zanim jednak zdążyła otworzyć butelkę i wysmarować Tarę wbrew jej woli, obok nich pojawił się wózek, wyładowany po brzegi walizkami.

– Co do...

– Tara – ostrzegła ją Nadine.

– ...elfa tu macie? – skończyła Tara, zerkając z poczuciem winy na małą Tiarę. Dziewczynka wsadziła do buzi całą piąstkę i uśmiechnęła się szeroko.

– Przywiozłam wszystkie nasze dekoracje świąteczne – powiedziała Nadine. Podskoczyła kilka razy, klaszcząc w dłonie. – Niespodzianka!

– Ale... dlaczego...? – spytała Tara. – Co wy tu wszyscy robicie?!

Starła się usilnie, aby w jej głosie zabrzmiało pełne szczęścia zdumienie, ale wyraz twarzy siostry świadczył dobitnie, że jej się to nie udało. Nadine wzięła się pod boki, po czym pokiwała oskarżycielsko palcem w jej kierunku.

– Nie mogliśmy pozwolić, żebyś spędziła święta samotnie – powiedziała. – Nie po tym... – spojrzała na zabandażowany nadgarstek Tary – incydencie.

– To tylko drobne ukąszenie... – wyjaśniła Tara – ...renifera.

Wszyscy wymienili spojrzenia. Nawet Tiara spojrzała na nią ze współczuciem.

– Wierzmy ci, kochanie – powiedziała matka – ale nie mogliśmy dopuścić, żebyś miała ten wielki bungalow tylko dla siebie.

– Skąd wiecie, że jest duży? – spytała Tara.

– Sprawdziłam w Internecie – wyjaśniła Nadine. – Po tym strasznym liście świątecznym, który od ciebie dostaliśmy, stało się jasne, że nas potrzebujesz, ale jesteś zbyt dumna, żeby prosić o pomoc.

– Nie jestem dumna – zaprotestowała Tara. – Nigdy nie byłam dumna.

- Chodźmy! – zaproponował ojciec. – Mam mapę.
- Każdy bierze tyle walizek, ile zdoła – zakomenderowała Nadine.

Wzięła ze stosu najmniejszą walizkę i gestem ponagliła pozostałych. Tara spojrzała na ladę biura wynajmu samochodów. Wszyscy złapali walizki i ruszyli przed siebie. Tara stała nadal nieruchomo.

- Chodź! – zawołała Nadine.

Tara wskazała na biuro wynajmu samochodów. Miała zamiar wynająć jakiś błyszczący, szybki, czerwony wóz. Pasujący do jej bikini.

– Nie trzeba – poinformowała ją Nadine – Tata wziął dla nas minivana. Możesz usiąść z tyłu razem z Tiarą. Na pewno chcesz spędzić jak najwięcej czasu z siostrzenicą.

I wtedy, walcząc z trzema walizkami pełnymi świątecznych dekoracji i wlokąc je w kierunku minivana, Tara zdała sobie sprawę, że oprócz czerwonego bikini należało spakować coś jeszcze.

Trochę uczuć rodzinnych, pomyślała.

Powinna była zabrać je na ten wyjazd.

* * *

Tara czuła, że głowa jej pęka. Ojciec prowadził, usiłując jednocześnie czytać mapę, a drugą ręką czyścił sobie zęby za pomocą nici dentystycznej. Co jakiś czas samochód zjeżdżał niebezpiecznie na lewo, ojciec odbijał gwałtownie w prawo, a Tara wpadała z impetem na drzwiczki samochodu. Reszta rodziny była zbyt zajęta wyśpiewywaniem *Jingle Bells*, by się tym przejąć. Gdy śpiew ucichł, Nadine przystąpiła do odczytywania listy „Świątecznych Imprez na Maui”. Wyglądało na to, że w grafiku znajdzie się coś na każdy z kolejnych dni, a Nadine najwyraźniej miała zamiar namówić rodzinę na udział we wszystkich zaplanowanych atrakcjach.

Tara usiłowała zebrać myśli. Jej rodzina była tutaj. Jej rodzina zrujnowała jej święta. Czyż nie miała prawa czuć się odrobinę, ociupineczkę wściekła? Wystawiła głowę przez okno w nadziei, że świeże powietrze znad oceanu ją uspokoi.

– Tara – zwróciła się do niej Nadine nad głową Tiary, przypiętej w foteliku do siedzenia między nimi. – Wolisz nurkowanie ze Świętym

Mikołajem czy parasailing[23] ze Świętym Mikołajem?

– Trudny wybór – odpowiedziała Tara. – Nie miałam pojęcia, że Święty Mikołaj jest taki wysportowany. – Nie próbowała nawet ukryć sarkazmu. Awantura wisiała w powietrzu, więc równie dobrze mogło do niej dojść już za chwilę.

– Aha – powiedziała Nadine. – Wydaje mi się, że jeśli wrócimy z nurkowania wystarczająco wcześnie, zdążymy jeszcze załapać się na parasailing.

– Żartowałam – westchnęła Tara. – Nie jestem pewna, czy mam ochotę na jedno albo drugie.

Rozmowy w samochodzie nagle ucichły. Ojciec zwolnił i spojrzał nerwowo, szukając jej oczu w lusterku. Z kącika ust zwisała mu nieśmiała dentystyczna. Nawet Phil, siedzący dotąd w milczeniu w ostatnim rzędzie, zakasłał nerwowo. Jego różowa koszula była częściowo rozpięta; na tyle, że Tara widziała jego klatkę piersiową. Gdyby go nie znała, mogłaby spytać, dlaczego pod koszulą nosi wełniany sweter. Powinna była mu kupić na Gwiazdkę wosk do depilacji.

– Podzielałam twoje zdanie – powiedział Phil. Zaczął się śmiać, ale przestał, gdy Nadine spojrzała na niego.

– Mikołaj, Mikołaj, Mikołaj – śpiewała Tiara.

– Widzisz – powiedziała Tara. Wyciągnęła rękę i pogłaskała Tiare po główce. – Masz tutaj wierną fankę – dodała. – Ty i Tiara możecie zrealizować wszystkie punkty na liście. – Ucałowała główkę małej, wtulając w nią nos. Uwielbiała zapach szamponu dla dzieci.

Nadine rzuciła listą.

– Przyjechaliśmy tu dla ciebie, wiesz? – powiedziała.

– Doceniam to – wycedziła Tara przez zaciśnięte zęby. – Ale to nie znaczy, że musimy spędzić razem każdą sekundę, prawda?

– Nie wierzę! – krzyknęła Nadine. – Ty już próbujesz się nas pozbyć!

– Nikt nie próbuje się nikogo pozbyć – zaproponował ojciec.

– Chce ktoś makaronika? – próbowała rozładować sytuację matka.

– No wiesz, nie miałam pojęcia, że się tu wybieracie – stwierdziła Tara. – Nie przyszło ci do głowy, że może ja mam już swoje plany?

– To dlaczego po prostu nam tego nie powiedziałaś? – odparła

Nadine. – Na liście jest tyle rzeczy, że dla każdego znajdzie się coś miłego. Co chcesz robić?

– Porozmawiamy o tym później, dobrze? – zaproponowała Tara.

Miała zamiar pójść prosto do bungalowu, wskoczyć w bikini i pobiec na plażę. Potem wypić kilka tropikalnych drinków. Popływać. Nie miała ochoty na snucie świątecznych planów.

– Jesteś niemożliwa – stwierdziła Nadine.

– Słucham?

– Wiedziałam, że będziesz się tak zachowywała. Nie mówiłam ci, Phil? Nie mówiłam, że będzie się upierała? – Tara i Nadine popatrzyły na Phila. Zamiast odpowiedzieć, nasunął daszek czapki głębiej na oczy.

– Jestem na wakacjach – powiedziała Tara. – Mam zamiar się zrelaksować. Nie uważam, żeby bieganie po całej wyspie w poszukiwaniu Świętego Mikołaja było relaksujące.

– Mikołaj – podchwyciła Tiara. – Mikołaj, Mikołaj, Mikołaj.

– Co może cię zrelaksować bardziej niż nurkowanie lub parasailing?

– A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że może przyjechałam tutaj jako kobieta samotna? – odpowiedziała Tara. Usiłowała mówić cicho, ale i tak wiedziała doskonale, że wszyscy nasłuchują.

– Czyli teraz idziesz na rynek? – powiedziała Nadine.

– Słucham? – zdziwiła się Tara.

– Myślałam, że skończyłaś z randkami.

– Chodzi ci o to, że wchodzę na rynek – domyśliła się Tara.

– Tak powiedziałam – przytaknęła Nadine.

– Nie, nie powiedziałaś tak. Powiedziałaś „idziesz na rynek”, a ja zaczęłam się zastanawiać, co ma wspólnego moje życie seksualne z zakupami na bazarze?

Nadine zasłoniła uszy Tiary.

– Tara! – krzyknęła.

– Dziewczynki – wtrąciła Nancy – te makaroniki są twarde. Ale i tak powinnyście się poczęstować. Były na wyprzedaży.

– Kto mówił cokolwiek o randkach? – spytała Tara, odsuwając dłoń matki z wyciągniętym do niej twardym makaronikiem. – Może po prostu mam zamiar pozwolić sobie na mały romans?

– Romans – powtórzyła Tiara. – Romans, romans, romans.
– Nie zrobiłabyś tego, choćby twoje życie od tego zależało –
prychnęła Nadine.

– Co masz na myśli?

– Jesteś na to o wiele za wybredna. Zanim znajdzie się facet, który
spełni wszystkie twoje wymagania, dziesięć razy odechce ci się
romansu.

Ich oczom ukazał się wysłużony pickup, stojący na poboczu.
Mężczyzna w hawajskich szortach zmieniał właśnie oponę. Na pace
siedział golden retriever, przyglądając mu się i machając ogonem.

Wzrok Tary padł na naklejkę na zderzaku samochodu. Napis głosił:

*NIE MAM KOSZULI, NIE MAM BUTÓW, ALE CHĘTNIE CIĘ
OBSŁUŻĘ*

Wciąż kipiąc złością na Nadine, Tara obejrzała dokładnie faceta,
zmieniającego oponę. Facet wstał i przeciągnął się. Był wysoki, opalony
i muskularny. Miał gęstą, kasztanową czuprynę. Pogłaskał psa po
głowie. Nawet matka gapiała się na niego, trzymając w zastygłej dłoni
nadgryzionego makaronika. Wyglądał jak włóczęga. Seksowny, opalony,
plażowy włóczęga.

– Zatrzymaj się – poleciła Tara ojcu.

– Po co?

– Zatrzymaj się – powtórzyła Tara. – Sytuacja awaryjna.

Ojciec skręcił gwałtownie na pobocze; samochodem zarzuciło
niczym epileptykiem podczas ataku. Opony zapiszczały. Wyhamowali
tuż przed pickupem.

– Co ty robisz? – syknęła Nadine.

Tara wyskoczyła z minivana.

– Obniżam wymagania – odpowiedziała i ruszyła prosto
w kierunku przystojniaka w tarapatach.

23 Parasailing – loty za motorówką na spadochronie (*przyp. red.*).

Mężczyzna opierał się leniwie o pakę pickupa i patrzył na Tarę. Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech, zażenowana jak nastolatka. Im bliżej podchodziła, tym bardziej jej się podobał. Och, proszę, niech nie będzie żonaty, pomyślała. I nagle poczuła, że czyjaś dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku. Na tym zranionym. Wrzasnęła. To Nadine trzymała ją za nadgarstek; matka złapała za drugi.

– Puść – powiedziała Tara do Nadine. – To boli.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Nadine.

Tara zerknęła na przystojnego włóczęgę. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Najwyraźniej bawiła go scenka, rozgrywająca się tuż przed jego nosem.

– Pomagam człowiekowi w potrzebie – powiedziała.

Matka podeszła nieco bliżej; Tara była niemal pewna, że taksuje nieznanego wzrokiem. Tara również patrzyła na jego umięśnione ramiona i wyrzeźbiony brzuch. Nigdy dotąd nie spotykała się z facetem, który miałby taki kaloryfer; zawsze zadowalała się zaledwie kilkoma żeberkami. Kilku jej dotychczasowych chłopaków wyglądało, jakby połknęli kaloryfery. Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersi i wyszczerzył zęby. Pies zaszczekał.

– To może być pułapka – powiedziała matka.

Tara poczuła się nieco zaniepokojona faktem, że matka również mierzyła wzrokiem imponujący kaloryfer nieznanego.

– Co jest pułapką? – spytała.

– To, że złapał gumę – odparła matka. – Być może to jego sposób na wabienie młodych dziewcząt przy drodze.

Nadine wzięła się pod boki.

– Właśnie – powiedziała znacząco. – Właśnie!

– Ted Bundy też tak robił – ciągnęła matka. – I też był bardzo przystojny.

Wszystkie trzy znów spojrzały na nieznanego, a on w odpowiedzi skinął głową, posyłając im kolejny drapieżny uśmiech.

Bezdyskusyjnie mogę obniżyć dla niego wymagania, pomyślała Tara. Być może nawet zrezygnuję z punktu „Nie będę się umawiać z seryjnym mordercą”. Rzuciła okiem na efekt jego zmagania. Zdjął już starą oponę, ale wyraźnie nie spieszyło mu się z zakładaniem nowej. Tara wyjęła telefon komórkowy i podeszła bliżej.

– Chcesz, żebym gdzieś zadzwoniła? – spytała. – A może cię podwieźć?

– Tara! – syknęła znowu Nadine. – Mam dziecko w samochodzie.

– Nie, dziękuję – odpowiedział mężczyzna. Oparł się wygodnie o pakę pickupa, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. – Spóźniłem się do pracy. – Gwizdnął, na co pies wyskoczył z samochodu, trzymając w pysku frisbee.

– Skoro spóźniłeś się do pracy, to może jednak warto skorzystać z oferty pomocy? – powiedziała Tara.

– Nie na tej wyspie – odparł. – Tutaj dziurawa opona to świetny pretekst, żeby spóźnić się do pracy, jeśli nikt nie ma do mnie akurat żadnego romansu. To mi daje co najmniej dwie godziny. Porzucamy sobie to kółeczko....

„Romansu”, pomyślała Tara. Powiedział: „romansu”. To musi być znak.

– Może skoczmy na piwo? Albo na hamburgera? – Popatrzył na Nadine, mrugnął do matki. – Poza tym – dodał – nie wsiadłbym do samochodu z takimi jak wy. W ten sposób Theresa Bundy wabiła ofiary.

Matka dała się nabrać.

– Kim była Theresa Bundy? – spytała.

– Siostrą Teda Bundy’ego – odparł, podchodząc bliżej i zniżając głos do szeptu. – To ona była prawdziwym mózgiem tych morderstw. Seksowna jak diabli. Zupełnie jak wasza trójka. Zawsze szukała nieznanym w opałach.

Na twarzy matki odmalowało się przerażenie. Tara parsknęła.

– On się z ciebie nabija, mamó.

– Mamó? – powtórzył nieznanym z udawanym zdumieniem. – To po prostu niemożliwe! Jest pani zdecydowanie za młoda, żeby być ich matką.

Nancy Lane potrząsnęła głową i roześmiała się.

– No cóż, człowieku w opalach – powiedziała Tara. – Miałyśmy dobre chęci.

Puścił do niej oko, ponownie gwizdnął na psa i ruszył w kierunku plaży. Obejrzał się na Tarę, jak gdyby wyczuł, że patrzy na jego tyłek. Szybko odwróciła wzrok. Potem popatrzyła znowu, wyłącznie po to, żeby udowodnić samej sobie, że nie patrzyła, co prawda, na jego tyłek, ale nie ma zamiaru na niego nie patrzeć tylko dlatego, że myślał, że patrzyła. Poza tym, musiała to przyznać, naprawdę było na co popatrzeć.

Niestety, przyłapała ją na tym Nadine.

– Nieprawdopodobne! – powiedziała, idąc w kierunku samochodu.
– Cnotka ze Wschodniego Wybrzeża zamienia się w Latawicę z Zachodu!

Nancy podniosła głowę. Popatrzyła na swoje córki, a jej policzki zalał krwisty rumieniec.

– Nie ty, mamó – pospieszyła z wyjaśnieniem Nadine. – Tara. Tara jest latawicą.

– Nie wyrażaj się! – ostrzegła ją Tara. – Mam siostrzenicę w samochodzie.

* * *

Kręta droga wzdłuż wybrzeża doprowadziła ich wreszcie do bungalowu. Tara poczuła ukłucie winy, patrząc na słodki, żółty domek. Był zdecydowanie zbyt duży dla jednej osoby. Trawnik przed domem upstrzony był kwiatami, a obok małej werandy, zastawionej leżakami, stała na straży pojedyncza, wysoka palma.

– Jest uroczy – stwierdziła Nadine. – I w dodatku parterowy, więc nie będzie problemu z powieszeniem lampek świątecznych, prawda, Phil?

Phil patrzył na palmę z takim wyrazem twarzy, jakby miał ochotę powiesić się na gałęzi. Tymczasem Nadine wyskoczyła z minivana i natychmiast zaczęła wyładowywać bagaż. Jako pierwsza też znalazła się przy drzwiach wejściowych.

– Daj mi klucz – zwróciła się do Tary.

– Nie mam klucza – pokręciła głową Tara. – Miał nas przywitać Pan Złota Rączka.

Rozejrzeli się dookoła, ale w pobliżu nikogo nie było. Nadine nacisnęła na klamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Może schowali gdzieś klucz – zasugerowała Nadine. – Phil, sprawdź z tyłu domu; mam, ty przeszukaj doniczki...

– Przestańcie! – powiedziała Tara. – Na pewno zaraz ktoś przyjdzie.

Minęło dwadzieścia minut. Robiło się coraz bardziej gorąco. Wszyscy stoczyli się pod palmą, szukając cienia.

– Zadzwoń do niego jeszcze raz – powiedziała Nadine.

– Dzwoniłam już cztery razy – odparła Tara. – Ciągłe zajęte. Nie mogę nawet nagrać się na pocztę głosową. Może idźcie na lunch albo na zakupy, albo na plażę. Ja tu poczekam.

– Możemy pójść razem – zaproponowała Nadine. – Zostawimy mu kartkę, żeby do ciebie zadzwonił.

– Nie chcę się z nim minąć – zaproponowała Tara. – Poza tym nie ma sensu ładować wszystkiego z powrotem do samochodu.

Ten argument zadziałał. Kilka minut później Tara stała pod palmą i machała pozostałym na do widzenia. Uśmiechała się do siebie. Nareszcie sama. Chociaż bez klucza. Wyciągnęła się na miękkiej, pachnącej trawie i czekała.

Obudziła się nagle, gwałtownie. Piekły ją ramiona; skóra na nich zrobiła się jaskrawoczerwona. Mimo nalegań matki w końcu zapomniała posmarować się olejkami. Usiadła i spojrzała na zegarek. Był już spóźniony całą godzinę. Zaczęła wybierać numer, by jeszcze raz do niego zadzwonić.

– *Jestem* – odezwał się wreszcie męski głos.

– Nareszcie – powiedziała Tara. – Nazywam się...

– *Mam cię! Żartowałem. Nie ma mnie. To znaczy nie całkowicie, ale dla ciebie to żadna różnica, no nie? Wiesz, co zrobić po sygnale!*

Tara rozłączyła się. To nie było zabawne, za to ona była wściekła. Spróbowała jeszcze raz. Tym razem automatyczny głos poinformował ją, że skrzynka głosowa jest pełna. Stwierdziła, że zadzwoni do biura podróży i da im popalić. Mieli przecież skakać wokół niej. To było niedopuszczalne! Powinna teraz leżeć na plaży w bikini. I tak właśnie by było, uświadomiła sobie nagle, gdyby nie musiała pilnować bagażu

Nadine. Postanowiła, że znajdzie jakiś duży kokos i rozbije szybę. Już przystąpiła do poszukiwań, gdy usłyszała silnik samochodu.

Złote futro robiło wrażenie zbyt grubego jak na hawajskie upały. Pies machał ogonem, wywieszając różowy język; dyszał ciężko, najwyraźniej bardzo zadowolony z dwugodzinnej zabawy. Wysłanie psa przodem było genialnym posunięciem. Tara uklękła, chwytając go w objęcia. Polizał ją po twarzy. Wtedy usłyszała głos jego pana.

– Przykro mi, że się spóźniliśmy, złapałem gumę... – urwał gwałtownie na widok Tary. On też wyglądał, jakby dwie godziny odpoczynku wyszły mu na zdrowie. Był chyba jeszcze bardziej opalony i odprężony niż przy ich pierwszym spotkaniu. Błękitne oczy zalśniły łobuzersko.

– Biedaku! – powiedziała Tara. Teatralnie położyła rękę na ustach, udając przestach. – Gumę? I nikt się nie zatrzymał, żeby ci pomóc?

Mężczyzna spojrział na psa i przewrócił oczami.

– Tylko jakaś banda zwariowanych nowojorczyków, którzy myśleli, że jestem seryjnym mordercą – powiedział.

– Tylko ja z tej bandy mieszkam w Nowym Jorku. I tylko ja nie przypuszczałam, że jesteś seryjnym mordercą.

– To brzmi sensownie. Mieszkając w tym mieście, musiałaś stać się bardziej tolerancyjna. – Wyciągnął z kieszeni szortów pęk kluczy i zadzwonił nimi w powietrzu.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – zainteresowała się Tara.

– Albo jesteś zwariowaną mieszkanką Nowego Jorku, która wyłudziła darmową wycieczkę, bo... – uniósł dłonie do góry i zgiął palce, pokazując cudzysłów – ..., „została pogryziona przez renifera”, albo zablądziłaś.

– Ugryzł mnie renifer – odpaliła Tara. – I niczego nie wyłudziłam. Nie prosiłam nawet o tę wycieczkę. DUPA sama to zaproponowała.

– Mówię tylko, że ktoś, kto dostaje coś za darmo, nie powinien narzekać – odwrócił się do niej plecami i ruszył do drzwi.

– Ty za to udawałaś, że złapałaś gumę, żeby móc zbijać bąki, kiedy my tu na ciebie czekamy – odparła Tara. – Żałosne.

On otworzył drzwi i czekał.

– Przynajmniej twój pies zna dobre maniere – dodała, potrząsając

jego łapą po raz chyba czternasty.

– Zostawiłby cię natychmiast i poleciałby na plażę – odparował mężczyzna – gdyby nie to, że pachniesz suszoną wołowiną.

Tara już otworzyła usta, żeby odpłacić mu pięknym za nadobne, gdy coś sobie przypominała. Rzeczywiście miała w kieszeni paczuszkę suszonych płatków wołowiny. Rozdawali je na lotnisku JFK w ramach jakiejś promocji. Skąd ten facet o tym wiedział?!

Chyba miała to pytanie wypisane na twarzy, bo „ten facet” roześmiał się i wskazał na jej biodro.

– Wystaje ci z kieszeni – powiedział.

– Och! – Wyjęła paczuszkę. – Mogę mu dać – zaproponowała.

– Nie, dziękuję. Nie jadamy śmieci.

– Ja także – odparła Tara. – Jestem kucharzem.

Dlaczego to powiedziała? Ten człowiek nie musiał absolutnie nic o niej wiedzieć. Niech sobie myśli, że jest kobietą, która ot, tak nosi w kieszeni suszoną wołowinę.

– I nie udawałem, że złapałem gumę. Po prostu skorzystałem z tego, że ją rzeczywiście złapałem.

– Spiekłam się na słońcu, czekając tu na ciebie – powiedziała Tara.

Popatrzył na jej ramiona, a potem otaksował wzrokiem całą sylwetkę. Tara poczuła przypływ pożądania, a po chwili – złości na niego.

– Idziesz? – zapytał. – Jeśli wolałabyś coś lepszego, obawiam się, że nie mamy w okolicy zbyt wielu wściekłych reniferów.

– Słucham?

Mężczyzna podniósł ręce do góry.

– Ja się nie czepiam – powiedział z teatralną emfazą. – Podrywam laski, które chcą się przejechać za darmo. Jak już mówiłem, nic nas nie różni.

– Wszystko nas różni – wypaliła Tara, mijając go. Nie mogła pojąć, jakim cudem dowiedział się o reniferze. Kto jeszcze o tym wie? Wygląda na to, że wszyscy uznali ją za naciągaczkę. – Ten renifer naprawdę...

Umilkła, gdy otworzyły się drzwi. Dom był piękny. Białe zasłony, poruszane delikatnym podmuchem wiatru, jakby zapraszały ją do środka.

Dębowe podłogi lśniły; na wiklinowych meblach leżały miękkie, puchate poduszki. Ściany ozdobiono zdjęciami wybrzeża, a na stoliku ustawiono wazon z bukietem róż i miskę pełną orzechów makadamia. Wszystko było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach.

Tara odwróciła się do Nie-Takiej-Znowu-Złotej-Rączki.

– Dziękuję – powiedziała. – Na pewno ty i twój pies chcielibyście jak najszybciej wrócić do swojego *frisbee*.

– Nie spieszy nam się – odparł.

– No cóż, ale mnie i owszem – stwierdziła rzeczowo. – Czekałam na ciebie ponad godzinę, jestem poparzona i zmęczona. Oddaj mi klucze i możesz jechać.

To by było na tyle, jeśli chodzi o romans. Nie miała najmniejszego zamiaru romansować z kimś, kto kazał jej czekać przez dwie godziny, bo bawił się *frisbee*. Co z tego, że był nieziemsko przystojny? Był dzieciakiem. Chciała romansu z mężczyzną. Nadine pęknie ze śmiechu, to nie ulegało wątpliwości, ale na to też nie miała wpływu.

Tara była zadowolona, że jednak ma swoje wymagania, nawet co do przelotnego romansu. Teraz chciała nacieszyć się chwilą samotności, zanim wróci rodzina i czar pryśnie. Chciała założyć czerwone bikini i rozgościć się w domku. Była pełna energii, miała stosunkowo nie najgorszy humor i bardzo niewiele czasu na samotność.

Ale mężczyzna zignorował jej wyraźną sugestię. Chodził po domku, sprawdzając włączniki światła, mówiąc coś o wyrzucaniu śmieci i recyklingu. Tara wyszła więc na zewnątrz po swoją walizkę i z zaskoczeniem stwierdziła, że zdążył już wnieść wszystkie bagaże do środka. Stały równo w szeregu pod ścianą.

– Nie ma za co – powiedział.

– Właśnie miałam ci podziękować – zapewniła go Tara.

– Jasne.

Tym razem to Tara spojrzała na psa i przewróciła oczami. Podbiegł do niej i otarł się o jej nogę.

– Szczęściarz – mruknął mężczyzna, ale kiedy podniosła głowę, stał już tyłem do niej i otwierał szafę.

– Chcę zobaczyć kuchnię – powiedziała.

Nie miała zamiaru gotować w trakcie pobytu; w końcu była na

wakacjach. Ponieważ jednak gotowanie miała we krwi, musiała to sprawdzić. Na widok skromnie urządzonego, niewielkiego pomieszczenia niemal rozpląkała się z ulgi. Wiedziała doskonale, że gdyby kuchnia okazała się nowoczesna i świetnie wyposażona, czułaby wewnętrzny przymus, żeby gotować.

– Za dużo tu nie ma – powiedział mężczyzna.

– Jest świetna – zapewniła Tara, opierając się z westchnieniem o blat. – Nieduża, zwyczajna, po prostu – świetna.

Mężczyzna wyglądał, jakby miał na końcu języka jakąś dwuznaczną ripostę – w dodatku przyglądał się jej piersiom – ale pierwszy raz, odkąd go poznała, zdecydował się trzymać język za zębami. Wyciągnęła rękę po klucze. Zamiast je oddać, wziął ją za dłoń. Przebiegł ją dreszcz, kiedy ich palce się spotkały. Cofnęła rękę gwałtownie.

– To jeszcze nie wszystko... – zapowiedział.

Tara odwróciła się i urwała kawałek kuchennego ręcznika z rolki, wiszącej za jej plecami. Nadrukowano na nim małe ananasy.

– Całą resztę zapisz mi tutaj – poleciała i ruszyła w kierunku swojej walizki. Poszedł za nią.

– To mit, że kobiety są lepszymi słuchaczami niż faceci – stwierdził.

Chwyciła klucze i swoją walizkę i pobiegła do najbliższej sypialni, żeby się przebrać. Po chwili dobiegło ją stuknięcie frontowych drzwi i warkot silnika. Co za ulga! Jak to dobrze, że nie będzie musiała użerać się na wakacjach z tym playboyem o mentalności Piotrusia Pana. Niech czaruje inne turystki. Ona z pewnością znajdzie tu wielu kandydatów do przelotnego romansu... choć ten był naprawdę przystojny; no i miał fajnego psa.

Teraz jednak potrzebowała wyłącznie swojego czerwonego bikini. Szybko zdjęła dzinsy, koszulkę, stanik, majtki. Palma, rosnąca w pobliżu okna, zasłaniała ją doskonale przed wzrokiem ewentualnych podglądaczy. Nagle dostrzegła czapkę Świętego Mikołaja, leżącą na poduszce. A to co znowu? Roześmiała się i założyła ją na głowę. Włączyła radio, stojące przy łóżku, i zmieniała stacje do chwili, gdy znalazła piosenkę *It's Beginning to Look a Lot Like Christmas*.

Nastawiła radio głośniej. Może powinna spróbować pobić Nadine jej własną bronią? Duch Bożego Narodzenia będzie się z niej wylewał uszami!

Gdzie jest jej bikini? Przejrzała zawartość niewielkiej torby, ale nie mogła go znaleźć. Sprawdziła zapięte na suwak kieszenie, czując, jak ogarnia ją panika. Wiedziała, że nie wkładała go do kieszeni. Powinno być na samym dnie torby: to była pierwsza rzecz, jaką spakowała. A może ostatnia? Postanowiła spokojnie wyjąć wszystkie rzeczy, jedną po drugiej. Bikini musiało tam być. Nie było go jednak. A może jest w torbie plażowej? Musi tam być, powiedziała sobie, maszerując do salonu.

A tam, przy wiklinowej sofie, stała cała jej rodzina i Pan Nie-Taka-Znowu-Złota-Rączka. Wygłaszał instrukcje, których nie raczyła wysłuchać Tara, a Nadine wysłuchiwała uważnie, skwapliwie robiąc przy tym notatki. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim Tara przypomniała sobie, że jest ubrana wyłącznie w czapkę Świętego Mikołaja i bandaż na nadgarstku. Przeszywający krzyk Nadine sprawił, że oprzytomniała. Dodatkowo otrzeźwił ją pies, ocierający się o jej gołą łydkę. Przerazona Tara utkwiała nieruchomy wzrok w Panu Nie-Takiej-Znowu-Złotej-Rączce i stwierdziła, że on wygląda na nie mniej zaskoczonego niż ona. Odwróciła się na pięcie i pomknęła rącho do sypialni, modląc się, żeby nikt nie patrzył w tym czasie na jej tyłek. Pośpiesznie włożyła na siebie tunikę i z podniesioną głową wróciła do salonu.

Facet z obsługi umizgiwał się właśnie do wszystkich członków rodziny, ze szczególnym uwzględnieniem Nadine. Co on tu robi? To, co zostało z jej wizji wymarzonych wakacji, rozwiewało się i znikało na zawsze.

– Taro – powiedziała Nadine z uśmiechem – to jest Darren Skies[24].

– Naprawdę? – zdziwiła się Tara. – Skies? Jak błękitne niebiosa?

– Naprawdę? – odparował Darren, mierzając ją spojrzeniem od stóp do głów. – Lane[25]? Jak w piosence „Tutaj, Święty Mikołaju”?

Tara zbyła jego pytanie milczeniem. Czyżby specjalnie powiedział to tak... lubieżnie? W każdym razie zabrzmiało to bardzo sprośnie. Tak

bardzo, że była niemal gotowa go polubić. W porę jednak sobie przypomniała, że lubiła go Nadine, a to wystarczyło, żeby Tara znieubiła go całkowicie.

– Śpiewaj – powiedziała Tiara. – Śpiewaj o Świętym Mikołaju! – Dziewczynka zaczęła podskakiwać.

Nadine podniosła ją, zakręciła się z nią w kółko i zaczęła śpiewać grubym głosem *Jedzie Święty Mikołaj*. Darren dołączył po chwili i przy słowach *Tutaj, tutaj, dróżką do mnie, Święty Mikołaju* rzucił Tarze spojrzenie z ukosa. To naprawdę miał być sprośny żart, tyle że nikt inny tego nie zauważył. Zadowoleni, śpiewali kolędy razem ze zboczeńcem. Tara skrzyżowała ramiona, potrząsnęła głową i patrzyła na nich z niesmakiem.

Nie zauważyła, że Darren stoi przy niej, dopóki on nie pochylił się i nie szepnął jej do ucha:

– Dużo weselej było, kiedy tu stałaś w samej czapce.

24 *Skies* (ang.) – niebiosy.

25 *Lane* (ang.) – droga, dróżka.

– Chodźmy popływać – powiedziała Nadine, kiedy skończyli śpiewać kolędy. – Darren, dołączysz do nas? – Darren spojrzał na nadgarstek, jak gdyby nosił na nim zegarek. Tyle że nie nosił.

– Za pół godziny mam następne spotkanie – powiedział. – Z przyjemnością pójdę więc z wami!

– Nie do wiary! – mruknęła Tara.

– Ty też idziesz, Taro – zakomenderowała Nadine.

– Nie mogę – odparła Tara. – Zostawiłam w domu bikini. Pojadę i kupię sobie nowe. – Wiedziała, że musi znaleźć sobie drugie czerwone bikini, nawet jeśli miałyby to ją zabić. Coś wreszcie musiało pójść po jej myśli!

– Mam zapasowy kostium, kochanie – powiedziała matka. – Zawsze biorę ze sobą dwa.

– Dziękuję, mamo. Po prostu kupię sobie... – Tara poczuła, że maleńka łapka owija się wokół jej palca. Spojrzała w dół i zobaczyła wielkie oczy Tiary i obficie zaślinioną buzię.

– Pływaj! – powiedziała mała żarliwie. – Pływaj ze mną!

– Jak tylko...

Usteczka Tiary zadrżały, jak gdyby przeczuwała, że zaraz usłyszy wymówkę.

– Popływam – zapewniła ją Tara. – Popływam z tobą.

Piasek świecił jasno i migotliwie jak śnieg. W oddali śnieżnobiałe grzbiety fal oceanu rozbijały się o brzeg i ten widok wprowił Tarę w radosne drżenie. To dopiero było życie! Boże, jak dobrze było tu być! Jej troski rozplynęły się w okamgnieniu. Trzymając za rączkę malutką Tiarę, szła z nią plażą, wypatrując najlepszego miejsca do kąpieli. Zanurzając stopy w ciepłym piasku, przestała myśleć o tym, jak wygląda, i dopiero uwaga jakiegoś plażowicza: „Ma pani uroczą wnusie!” – sprawiła, że Tarze zaparło dech. Natychmiast zlustrowała swój wygląd i zdała sobie sprawę, że ma na sobie ohydny jednoczęściowy kostium kąpielowy w stylu lat sześćdziesiątych. Był tak kwiecisty, że Tara

obawiała się ataku pszczoł. Nie dość, że splaszczwał jej biust i uwypuklał tyłek, to jeszcze matka nasadziła jej na głowę gigantyczny słomkowy kapelusz i przed wyjściem posmarowała jej nos białą maścią. Tara nie zaprotestowała, bo miała nadzieję, że dzięki temu stanie się mniej widoczna. Co gorsza, Darren nadal wyglądał niczym chłopak z żurnala. Szedł pomiędzy matką i Nadine; najwyraźniej bawili się doskonale, bo Tara co i rusz słyszała ich śmiech.

Tara zauważyła, że Darren bardzo stara się na nią nie patrzeć; a kiedy już spojrzy, z trudem hamuje chichot. Zaciśnęła zęby i przypomniała sobie, że ma zamiar spędzić trochę cennego czasu z siostrzenicą. Pływając.

Tymczasem okazało się, że Tiara była zainteresowana pływaniem przez mniej więcej trzy sekundy, do momentu, gdy nadpływająca fala obmyła jej stopy; wydała wówczas z siebie krótki wrzask i pobiegła z powrotem na ręcznik, po czym uznała, że piasek jest dużo bardziej interesujący. Darren, ojciec i Phil rzucali *frisbee*. Ona też chciała pograć; dlaczego miałyby to być zabawa wyłącznie dla mężczyzn? Nie mogła jednak do nich dołączyć z powodu obrzydliwego kostiumu. Matka, jak zauważyła kątem oka, miała na sobie dużo ładniejszy, czarny kostium jednoczęściowy. Nadine i Tiara nosiły identyczne błękitne bikini. Jedyną osobą wyglądającą gorzej od Tary był jej ojciec. Miał na sobie kąpielówki ze SpongeBobem Kanciastoportym[26]. Tara zauważyła, że Nadine trzyma w ręku notes. Na górze kartki widniał schludny napis: **LISTA RZECZY DO ZROBIENIA**. Zrezygnowana, opadła na ręcznik, udając, że śpi.

Po chwili poczuła, że ktoś stoi nad nią, zasłaniając jej słońce.

– Musimy zaplanować świąteczną kolację – powiedziała Nadine. – Jest nas tylko pięcioro dorosłych, więc trzeba inaczej rozpisać role. Musimy też wziąć się za dekoracje i zaproszenia...

– Zaproszenia? – zdziwiła się Tara. – Przecież jesteśmy tu tylko my. Zakładam, że wszyscy jesteśmy zaproszeni.

– Myślałam, że może zechcesz zaprosić zabłąkanego wędrowca – powiedziała Nadine. Wskazała wzrokiem na Darrena.

– Nie wędrowca, tylko złośliwca – poprawiła ją Tara.

– Myślałam, że wpadł ci w oko. Że to twój kandydat do romansu –

Nadine położyła się z powrotem na ręczniku.

– Zmieniłam zdanie.

– Wiedziałam! – zawołała Nadine triumfalnie.

Tara nie miała dotąd pojęcia, że można odtańczyć taniec zwycięstwa na siedząco, ale to był taniec zwycięstwa: tyłeczek Nadine podrygiwał na piasku, a jej ramiona zataczały kręgi w powietrzu.

– Nie mówiłam, że rezygnuję z romansu – uściśliła Tara. –

Powiedziałam jedynie, że nie jestem zainteresowana romansem z n i m.

Nadine spojrzała na Darrena, który akurat stanął obok Phila. Phil był blady, chudy i owłosiony. Darren był opalony, umięśniony i gładki.

– Ja to mam szczęście! – powiedziała Nadine płacząco, a Tara nie była pewna, czy siostra przypadkiem nie robi sobie z niej żartów. – Tak czy inaczej – ciągnęła Nadine – jeśli chodzi o kandydatów do romansu... – ponownie otaksowała Darrena wymownym spojrzeniem.

Nadine miała rację. Tara musiała to przyznać, choć nienawidziła momentów, gdy Nadine miała rację.

– Jestem pewna, że są tu dziesiątki takich jak on – oznajmiła stanowczo..

– No jasne... – mruknęła Nadine. – Słuchaj, wystarczy, że skoncentrujesz całą swoją niewyładowaną energię seksualną na planowaniu świąt, tak jak ja to robię.

Tara obróciła się na drugi bok i spojrzała na nią. Nadine siedziała, pochylona nad swoją listą.

– Co powiesz na domek z piernika, zrobiony z liści palmowych?

– Czy między tobą i Philem wszystko jest w porządku? – spytała Tara. Nadine nie podniosła wzroku, pochłonięta pisaniem, ale jej ręka zadrżała, a długopis pomknął zygzakiem przez całą stronę.

– Dlaczego o to pytasz? – zdziwiła się. Starannie stawiała kropki nad każdym „i” na kartce. – Jesteśmy małżeństwem. Mamy piękne dziecko i drugie w drodze. Żyjemy jak w raj.

Tara nie naciskała. *Frisbee* wylądowało na jej brzuchu. Po chwili przygniotła ją rozpędzona kula złotego futra, zasypując jej oczy piaskiem. Zacisnęła mocno powieki.

– Przepraszam za to – zawołał Darren gdzieś nad nią. – Co robisz?

– A jak myślisz? – odparła Tara – Możesz powiedzieć swojemu

psu, że nie jestem kanapą?

– Nie do ciebie mówiłem – zawołał Darren.

– Planuję świąteczną kolację – odpowiedziała Nadine.

– Zapomnij o tym – machnął ręką Darren. – Dlaczego po prostu nie przyjdziecie na *luau*[27]?

Tara w jednej chwili zapomniała o piasku i o przygniatającym ją wielkim psisku.

– Tak! – zawołała – Tak!

Nie musiała nawet patrzeć na Nadine, żeby wiedzieć, jaki ma wyraz twarzy. Diaboliczny.

– Przygotujemy własną kolację świąteczną – oznajmiła Nadine. – To nasza rodzinna tradycja.

– Zrobicie, jak będziecie chcieli – wzruszył ramionami Darren – ale *luau* to świetna sprawa. – Zaczął śpiewać:

Świnki pieczone na ruszcie,

gorące powietrze, łaskoczące w nos...

Tara zachichotała. Darren usiadł obok niej i śpiewał dalej:

Słyszałeś o tym niejedyn raz,

świąteczne luau, kiedy każdy ma z kim spać.

Tara miała ochotę wskoczyć na niego i rozpocząć świąteczne *luau* tu i teraz. Powstrzymało ją jedynie dobre wychowanie i wielki pies, siedzący na jej brzuchu.

– Może powinniśmy ten jeden raz odstąpić od tradycji – zasugerowała ostrożnie.

– Buntowniczką! – szepnął jej Darren do ucha – To mi się podoba.

– Nic z tego – zaprotestowała kategorycznie Nadine.

Tara otworzyła oczy, ostrożnie usunęła piasek spod powiek i odgoniła psa. Spojrzała na Phila, budującego z Tiarą zamek na plaży. Klęcząc, kopał jak szalony i rozsiewał wokół fontanny piachu. Wyglądał jak więzień drążący tunel w ziemi, żeby odzyskać upragnioną wolność.

– Może zagłosujemy? – zaproponowała.

- Co takiego?! – spytała Nadine.
 - Tradycyjna kolacja świąteczna czy *luau*? Zagłosujmy.
- Stopa Nadine zaczęła poruszać się nerwowo.
- Świetnie – wycedziła. – Głosujmy.
- Ręka Darrena wystrzeliła w górę.
- Ja jestem za *luau* – oznajmił.

Okazało się, że wszyscy inni byli tego samego zdania. Ba, zgodzili się nawet, żeby Nadine, z uwagi na jej stan, otrzymała dwa głosy, a Phil zasugerował, żeby także dziecko w jej brzuchu wzięło udział w głosowaniu: jedno kopnięcie na „tak” lub dwa na „nie”. Ta propozycja spotkała się jednak ze stanowczym sprzeciwem, ponieważ, jak stwierdzono, dziecko jeszcze nie kopie, skoro jest wielkości ziarenka piasku. I tak Nadine i ziarenko piasku zagłosowali za tradycyjną świąteczną kolacją. Rodzice udawali, że bardzo starannie rozważają tę kwestię, po czym zagłosowali za *luau*, zachowując się tak, jak gdyby to los rozstrzygnął za nich, bo... rzucili monetę. Dobrze rozegrane, mamó i tato, pomyślała Tara. Dobrze rozegrane. Phil nawet nie próbował ukryć radości. Cieszył się. Krzyczał. Śpiewał: *Luau... luau...* aż dołączyła do niego Tiara. Już po chwili zaczął ją uczyć tańca *hula*.

Nadine zachowała pogodną twarz. Zapewniła wszystkich, że akceptuje decyzję większości. Ale Tara dobrze ją знаła. Oczy miała szeroko otwarte, a usta rozciągała w nieszczerym uśmiechu. Skóra jej twarzy była tak napięta, że wyglądała jak po liftingu. Patrząc na siostrę, Tara wiedziała, że drogo zapłaci za to drobne zwycięstwo. Och, cicha noc, pomyślała. Och, święta noc. Nadine szykowała się na bożonarodzeniową wojnę.

Wystarczyłoby piętnaście minut. Zdążyłaby wrócić do domu – miałyby czas, żeby zmyć z nosa maść z tlenkiem cynku i narzucić plażową tunikę. Tymczasem jednak pochylała się nad ręcznikiem, eksponując kwiecisty zadek, gdy usłyszała kobiecy głos:

- Czy to panią ugryzł Rudolf?
- To ona! Tak, to ona! – zakrzyknęła radośnie Nadine.

Tara podniosła się z ręcznika i dopiero wtedy się odwróciła, stwierdzając, że stoi oko w oko z wycelowanym w nią obiektywem aparatu fotograficznego.

– Jestem z gazety „Maui Mornings” – zobaczyła przed sobą ruchliwe dziewczę z długimi, ciemnymi włosami, wyciągające do niej dłoń. Tara niechętnie podała jej swoją. – Jest pani tutaj dosyć sławna – powiedziała dziewczyna.

– Naprawdę? – zdziwiła się Tara.

Przez chwilę zastanawiała się, skąd się ci tutaj o tym dowiedzieli. Może ktoś z miejscowych był w Nowym Jorku i zjadł kolację w „Le Fleur”, po czym wrócił do domu i opowiadał cuda o jej talencie kulinarnym? A może zamierzają ją poprosić, żeby przygotowała jedzenie na *luau*? To byłby niesamowity komplement! Dlaczego pozwoliła matce przyodziać siebie w ten potworny kostium? Powinna mieć na sobie skąpe, czerwone bikini. Jej nos nie powinien być biały od maści. A jej głowy nie powinien wieńczyć ogromny, słomkowy kapelusz.

– Jest pani równie sławna, jak ta kobieta, która wytoczyła McDonalldowi sprawę z powodu zbyt gorącej kawy – powiedziała dziewczyna.

– Aha! – Do Tary dotarło wreszcie, o co chodzi. Racja. Renifer.

Darren zachichotał i Tara posłała mu zabójcze spojrzenie.

Dlaczego ten typ ciągle się koło nich kręci?

Dziewczyna wciąż robiła jej zdjęcia.

– Może się pani wstrzymać z tymi zdjęciami? – zawołała Tara. – Proszę przyjść do mojego bungalowu. Tam odpowiem pani na wszystkie pytania.

– Właściwie nie mamy pytań – uspokoiła ją dziewczyna. – Ludzie chcą po prostu wiedzieć, jak pani wygląda.

– Zwykle tak nie wyglądam – Tara uznała, że powinna się jakoś usprawiedliwić.

– To prawda – zapewnił dziewczynę Darren. – Powinnaś zobaczyć ją nago.

– Słucham?! – warknęła Tara.

– Przepraszam – poprawił się Darren. – Nie nago. Miała na sobie czapkę Świętego Mikołaja.

Dziewczyna nie przestawała jej robić zdjęć.

– Piszcie, co chcecie – oznajmiła Tara. – To nie moja wina, że ugryzł mnie renifer i że w związku z tym dostałam darmową wycieczkę.

Zgodziłam się na nią tylko po to, żeby moja rodzina... – gestem wskazała swoich pulchnych rodziców, bladego, owłosionego szwagra i siostrę, która zatrzymała się w dość wczesnej fazie rozwoju psychicznego – żeby oni wszyscy mieli jakąś rozrywkę. A o to przecież chodzi w czasie świąt, prawda? – perorowała. – O rodzinę.

– Nie do wiary! – powiedziała Nadine. – Nawet nie wiedziała o naszym przyjeździe.

– Co takiego? – podchwyciła dziewczyna z gazety.

– Oczywiście, że wiedziałam...

– Akurat! To był mój pomysł – przerwała jej Nadine. –

Zaskoczyliśmy ją na lotnisku.

– No i bardzo dobrze – stwierdziła jej matka, nieświadoma, że Nadine postanowiła zrujnować życie starszej siostrze. – Czułaby się samotna w tym wielkim bungalowie.

Dziewczyna pilnie notowała każde słowo.

– Myślałam, że chodzi tylko o zdjęcia – powiedziała Tara.

Chwyciła Tiarę i posadziła ją sobie na biodrze. – Proszę zrobić zdjęcie tej małej, słodkiej ślicznotce – zaproponowała.

– Czy to pani córka? – spytała dziewczyna.

– Boże, nie! – zawołała Nadine – Tara nie chce mieć dzieci.

– Nigdy nic takiego nie mówiłam – zaprotestowała Tara.

– No cóż, żeby mieć dzieci, musiałyby najpierw mieć faceta – powiedziała Nadine. – A skoro łysi i miłośnicy zwierząt odpadają...

– Nie lubisz zwierząt? – zainteresował się Darren.

– Oczywiście, że lubię zwierzęta – zaprotestowała Tara. –

Uwielbiam na przykład twojego psa. Chodź tutaj, pies. Chodź, piesku!

Golden retriever pozostał przy boku Darrena, który znów zachichotał. To był seksowny śmiech, a Tara była na siebie wściekła, czując, że ten śmiech przyprawia ją o dreszcz rozkoszy.

– Bezdzienna kobieta wygrywa darmowe wakacje i próbuje wymigać się od Świąt! – krzyknęła Nadine.

Zatoczyła rękami szeroki krąg. Dziewczyna żuła koniec długopisu, spoglądając w niebo, jakby spodziewała się, że to stamtąd Nadine czerpie natchnienie. Darren podszedł bliżej.

– Słuchaj – powiedział – daj sobie spokój z tymi zdjęciami

i gadaniem. Przyjdź później do bungalowu. Złapiesz trochę rodzinnej atmosfery.

Dziewczyna zerknęła na szorty ojca ze SpongeBobem.

– Nasi czytelnicy chcą prawdy – oznajmiła, choć minutę wcześniej twierdziła, że czekają tylko na zdjęcia. Tara miała ochotę ją udusić.

– Są święta – zaproponował Darren. – Nikt nie chce prawdy.

– Nie szkodzi. Mam już wszystko, czego mi potrzeba.

Nadine, która zdążyła już zebrać wszystko z plaży, ruszyła w stronę bungalowu.

– Chodźcie – powiedziała. – Skoro nie musimy planować świątecznej kolacji, możemy zająć się budowaniem chatki z piernika.

– Zrób to dla mnie – Darren nie odstępował dziennikarki. – Dam ci wyłączność na materiał o tegorocznej wiosce. To będzie hit. – Popatrzył na Tarę, a potem pochylił się nad dziewczyną i wyszeptał jej coś do ucha. Otworzyła szeroko usta.

– Naprawdę? – zwróciła się do Tary.

Tara zmarszczyła brwi i popatrzyła pytająco na Darrena. Posłał jej nonszalancki uśmiech, a jej serce wykonało fikołka. Nie obchodziło jej, co Darren powiedział dziewczynie. Jeśli tylko dzięki temu reporterka zrezygnuje z publikowania jej zdjęć w ohydnych kostiumie, zgodzi się na wszystko.

– Oczywiście – zapewniła reporterkę.

– Do zobaczenia w bungalowie – powiedziała dziewczyna.

I rzeczywiście, kilka godzin później wróciła do bungalowu i powtórzyła sesję zdjęciową. Tara zdążyła przebrać się w tunikę i zmyła z nosa maść z tlenkiem cynku. Przed wyjściem dziewczyna obiecała, że opublikuje wyłącznie te dobre zdjęcia. Dopiero wtedy, gdy wszyscy zgromadzili się na patio, Darren wyjawiał Tarze, w jaki sposób przekonał dziewczynę do zmiany planów. Nadine była podekscytowana.

Początkowo.

– Macie tu świąteczną wioskę? – zawołała. – Naprawdę? Nie żartujesz?

Phil zrobił się niespokojny. Dotąd nie był zazdrosny o przystojniaka, teraz jednak uznał, że jeśli facet ma na punkcie świąt takiego fioła jak jego żona, może okazać się realnym zagrożeniem.

Nawet Tara poczuła ukłucie zazdrości, patrząc, z jakim uwielbieniem jej siostra wpatruje się w Darrena.

– Gorąca Wioska – wyjaśnił Darren. – To hit każdej zimy. Mam tu grupę zagorzałych fanów. – Uśmiech Nadine nieco zbladł.

– Gorąca Wioska? – powtórzyła.

– Mamy wszystko – zapewnił ją Darren. – Lampki, wystawy, postacie, scenki. Powinnaś zobaczyć mój rachunek za energię elektryczną.

– Tiara będzie zachwycona świąteczną wioską – powiedziała Nadine. Klasnęła w dłonie.

– Eee... Niestety, nie możemy jej zabrać – uprzedził Darren.

– Co takiego?

– To impreza tylko dla dorosłych.

Phil wyraźnie się odprężył, Nadine przeciwnie, zeszywniała.

– Słucham?

– To nie dla dzieci – powtórzył Darren.

Uśmiechał się, udając, że nie dostrzega przerażenia na twarzy Nadine. Tara cieszyła się w głębi duszy, że nikt z obecnych nie zdaje sobie sprawy z tego, jak działa na nią jego uśmiech.

– Pornograficzna wioska świąteczna? – spytała z niedowierzaniem Nadine.

– Tego bym nie powiedział. Po prostu... tylko dla dorosłych.

– Wioska świąteczna tylko dla dorosłych? – Nadine cedziła słowa, jakby z trudem przechodziły jej przez usta. Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na Darrena wzrokiem, który powinien natychmiast obrócić go w popiół.

– Co to ma wspólnego ze mną? – spytała Tara.

– Ty, moja droga – wyjaśnił Darren, otaczając ją ramieniem – będziesz naszą gwiazdą honorową.

– Doprawdy? – powątpiewała Tara.

– Zorganizujemy wystawę ze wściekłym reniferem – ciągnął Darren. – Nie martw się. Będziesz mogła założyć to swoje czerwone bikini.

– Nie licz na to! – odparowała Tara. – Nawet o tym nie myśl, wesołku.

26 SpongeBob Kanciastoporty – bohater serialu animowanego, emitowanego od 1999 roku, przybierający postać zabawnej gąbki, noszącej kanciaste portki i mieszkającej w domku z ananasa na dnie oceanu, w miejscowości Bikini Dolne. Jego największą życiową ambicją jest bycie najlepszym kucharzem, specjalistą w smażeńiu smakołyków (*przyp. red.*).

27 Luau – tradycyjne hawajskie przyjęcie, na ogół z muzyką i tańcami hula.

Nadine szkicowała projekt swojego piernikowego bungalowu, rodzice poszli na spacer, Phil rozmawiał przez komórkę, a Tiara spała. Tara zastanawiała się, gdzie znajdzie najbliższy bar *tiki*. Darren zbierał się do wyjścia.

– Powinniście przyjść jutro na plażę – rzucił przez ramię. – Mamy świąteczny konkurs na rzeźbę z piasku.

– Świąteczny konkurs na rzeźbę z piasku? – powtórzyła Nadine, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – A cóż to takiego?

– To konkurs na najpiękniejszy zamek z piasku – wyjaśnił Darren – tyle, że trzeba ulepić coś związanego z Bożym Narodzeniem. – Tara rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Zauważył je, ale zamiast zmienić temat, wyszczerzył tylko zęby. – Szkoda, że nie możesz wziąć udziału – powiedział do Nadine. – Nie ma lepszego sposobu, żeby wprowadzić się w świąteczny nastrój.

– Chyba moglibyśmy zmienić plany – powiedziała z wahaniem Nadine.

– O nie! – stwierdziła Tara kategorycznie.

Darren oparł się o swojego pickupa i uśmiechnął się do niej.

– Nikt z nas i tak nie ma szans na wygraną – pokręcił głową. – Startują nawet miejscowi architekci.

– W życiu nie chodzi tylko o wygraną – zauważyła Nadine. – To chyba niezła zabawa.

– O, tak. Świetna. A będzie jeszcze lepsza, jeśli przyjmiecie moje wyzwanie.

– Nie – powtórzyła Tara. – Nie ma mowy.

– Tak – powiedziała Nadine. – Zdecydowanie tak.

– A co z Mikołajem? Nie potępiłby hazardu? – spytała Tara.

– Wyluzuj – zaproponowała Nadine.

– Świetnie – powiedział Darren. – Wy dwie przeciwko mnie.

Miejscowi ocenią, kto się lepiej spisał.

– Umowa stoi – powiedziała Nadine.

– Nie – powtórzyła Tara. Złapała Nadine za ramiona i spojrzała jej głęboko w oczy. – Jedziemy nurkować ze Świętym Mikołajem – przypomniała.

Nadine zawahała się. Spróbuj się z tym zmierzyć, Darren, pomyślała Tara. Nie przebijesz mnie, jeśli chodzi o Nadine.

– A potem na parasailing ze Świętym Mikołajem – dodała. Nadine skapitulowała. Odwróciła się do Darrena.

– Przykro mi – powiedziała. – Mamy inne plany.

Szach, mat, koniec partii.

– Trudno – wzruszył ramionami Darren. – Gdybyście wygrały, miałem zamiar zrobić w tym roku wioskę świąteczną dla dzieci.

O, do bombki choinkowej! Tara nie musiała nawet patrzeć na Nadine, żeby domyślić się, kto zwyciężył. Gdy niektórzy ludzie nie potrafią się oprzeć okazji do grzechu, inni dostają dreszczy na dźwięk słów „dla dzieci”. Kątem oka zobaczyła, jak Nadine podskakuje z podniecenia.

– Tak! – wołała Nadine. – Przyjdziemy.

– Jeśli wygram, wioska będzie tylko dla dorosłych, a Tara wystąpi w scenie ze wściekłym reniferem – zapowiedział Darren.

– Umowa stoi! – Nadine wyciągnęła rękę, żeby przypieczętować ten fakt uściskiem dłoni. Pies podszedł bliżej i podał jej łapę. Darren roześmiał się.

– Umowa stoi – powiedział, kiwając na psa.

– Nie – wtrąciła się Tara. – Na mnie nie liczcie.

Nadine odwróciła się i wycelowała w nią palec wskazujący.

– Jesteś mi to winna – stwierdziła.

– A to niby dlaczego?

– Ukradłaś mi kolację świąteczną – powiedziała Nadine.

Tara pokręciła głową.

– Proszę – błagała Nadine. – Zobaczysz, że nam się uda. Jestem dobra w świąteczne klocki. – Tara opuściła głowę. Nadine podskakiwała do góry. – Umowa stoi – powtórzyła trzeci raz. Poklepała Tarę po łopatkach, a potem uściskała ją tak mocno, że aż bolało. – Zaczynamy trening o szóstej – powiedziała. – Przynieś swoje wiaderko.

Niezadowolona Tara, uważająca, że to barbarzyńska godzina,

złagodził nieco widowiskowy wschód słońca. Ona i Nadine miały dla siebie całą plażę. Stały w milczeniu, podziwiając złotoczerwoną kulę, wylaniającą się z wolna zza horyzontu. Ale siostrzyczka nie pozwoliła Tarze zbyt długo cieszyć się tym widokiem. Odgrodziła sznurkiem kawał plaży, zupełnie jakby to było miejsce zbrodni. Wyjęła z torby szkicownik i rozłożyła go.

– Kiedy znalazłaś na to czas? – spytała Tara. – W ogóle nie spałaś?

– Jeszcze mi podziękujesz – odparowała Nadine. – To będzie nasza własna wioska świąteczna. Ze wstępem dla gości w każdym wieku.

Tara spojrzała na szkic i jęknęła.

– Nie damy rady zbudować tego wszystkiego z piasku – stwierdziła stanowczo.

– Ach, kobieto małej wiary! – powiedziała Nadine. – Rusz tyłek i bierz się za kopanie.

Nie miało to większego sensu, ale Tara zabrała się do pracy. Nadine dobrze się bawiła i tylko to się liczyło. Oczywiście, Tara wiedziała doskonale, że pozowanie z reniferami w świątecznej wiosce będzie dużo gorsze. Nie miało to znaczenia – postanowiła, że jeśli nawet przegrają, nie pozwoli Darrenowi, aby ją do czegokolwiek zmusił. Widziała, że chciał nią rządzić. Co za tupet! Dlaczego seksowni faceci są tacy kłopotliwi? Nawet nie próbował ukryć swojego prawdziwego oblicza. Pan Jestem Jaki Jestem. Zupełnie, jakby nic sobie nie robił z tego, co ludzie o nim pomyślą. No, właśnie. Dlatego był taki pociągający. I wcale nie chodziło tylko o te bicepsy, włosy, oczy i usta. Naprawdę go nie obchodziło, jak go inni odbiorą. Tara marzyła o tym, żeby być taka jak on. Wszystkie lata cierpień pod rządami Alaina i „Y&S”, chodzenie na paluszkach wokół nich, komplementowanie każdego dania, nawet gdy sama miała w zanadrzu lepsze pomysły... Czy choć raz odważyła się wyrazić swoje zdanie? Nie. Pichciła w domu te swoje smakołyki, wiedząc, że są wyśmienite. W restauracji jednak ulegała innym niczym klasyczny mięczak. Darren w tej sytuacji pewnie po prostu gotowałby po swojemu. Zbuntowałby się. Gdyby ona to zrobiła, pewnie by ją wyrzucili. I tak to zrobili. Nigdy nie dała sobie nawet szansy, żeby się przekonać, jak przyjęliby jej przepisy.

– Ależ ci zazdroszczę! – powiedziała Nadine. – On jest

fantastyczny.

Tara spojrzała na nią, zaskoczona. Wyglądało na to, że Nadine próbuje ulepić małego bałwana, ale trudno było to stwierdzić na pewno. Jak dotąd, Tara wykopała niewielki dołek, a Nadine uformowała z piasku pojedynczą kulkę.

– Kto?

Nadine rzuciła w Tarę żółtą, plastikową łopatką.

– Kto? Kto? – przedrzeźniała ją. – Jezu, ależ ty jesteś szczęściarą.

– Czy to ma być bałwan?

– A co innego?

– Zrobiłaś tylko dwie kule. Chyba powinny być trzy?

– To, jak na siebie patrzycie... Elektryzujące.

Tara naląła do dołka wody i zanurzyła w nim dwa palce.

– Bagnisko Świętego Mikołaja – powiedziała.

– Ach, ten pierwszy etap znajomości... Uwielbiam to. To napięcie seksualne. Bicie serca. Każde spojrzenie mówi: „Gdybyśmy byli tu tylko we dwoje, piasek topiłby się od żaru naszych spojrzeń”.

– Nadine... – Tara zawahała się lekko. – Między tobą i Philem wszystko gra?

– Pójdiesz z nim do łóżka – powiedziała jej siostra. – Rozumiesz mnie? Musisz z nim iść do łóżka. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz tego żałowała przez resztę życia.

Tara spojrzała na małą kulę z piasku, uformowaną przez Nadine.

– Czy to kolejny bałwan?

– Masz jakiś problem? – mruknęła Nadine. – To cholerny elf.

Po dwóch godzinach obie były wyczerpane. Ich Wioska Świąteczna wymagała pilnie Ekstremalnej Metamorfozy.

– Mówił, że weźmie miejscowych na jurorów konkursu? – spytała Nadine.

Tara kiwnęła głową.

– Mam pewien plan – powiedziała Nadine, odrzucając łopatkę.

Poszły na zakupy. Tara kupiła sobie czerwone bikini, Nadine – zielone. Założyły pasujące do kostiumów buty na obcasach, przybrały stroje gałązkami jemioly i przystąpiły do ostrego flirtu z trzyosobowym

składem sędziowskim. Efekt był iście magiczny; miejscowi chłopcy nie kryli zachwytu. Nie widziały, co robi Darren, ukrywający się wraz ze swoją rzeźbą pod płachtą namiotu, ale on też wyglądał na lekko rozkojarzonego. Co jakiś czas wystawiał głowę, patrząc na żalną parodię inscenizacji świątecznej wioski w wykonaniu obu sióstr, a potem spoglądał podejrzliwie na śliniace się jury, obrzucał pożądlivym spojrzeniem ciało Tary, po czym, prychając lekceważąco, wracał pod swoją płachtę. Pies, wyraźnie zadowolony, niezadowolony merdał ogonem, który co i rusz zbliżał się niebezpiecznie do zdeformowanego piaskowego elfa.

– Myślałam o restauracji – powiedziała Tara. – Powinnam była zachowywać się mniej zachowawczo.

Komin na chatce Świętego Mikołaja zapadł się, a potem przewrócił. Jeden z sędziów zrobił zdjęcie. Nadine i Tara uśmiechały się uwodzicielsko do obiektywu.

– Po prostu musimy wygrać – mruknęła Nadine, nie poruszając ustami, rozciągniętymi w szerokim uśmiechu.

– Nie ma innej opcji – odpowiedziała Tara.

Popatrzyły na rodziców, bawiących się z Tiarą nad brzegiem oceanu. Za nimi stał Phil z telefonem komórkowym przyrośniętym do ucha.

– Z kim on rozmawia o tej porze? – dziwiła się Nadine. Tara również się nad tym zastanawiała.

– To na pewno coś niewinnego – uspokoiła siostrę. – Stoi tuż obok mamy i taty.

– Oczywiście, że to coś niewinnego. Dlaczego miałyby być... – Nadine urwała. – Masz na myśli romans? – spytała tonem wskazującym, że taka myśl nie zaświtała dotąd w jej głowie. – Myślisz, że Phil ma romans?

Sędziowie zamarli, patrząc z napięciem na Tarę. Darren wystawił głowę zza płachty. Nawet psi ogon zamarł w połowie ruchu.

– Tego nie powiedziałam – broniła się Tara. – Nic takiego nie mówiłam.

– Z sugerowałaś to – stwierdziła Nadine. – Mój mąż mnie nie zdradza. Nie zdradza mnie.

- Nie powiedziałam, że cię zdradza.
- W takim razie powiedz to. Powiedz: „Phil nie jest oszustem”.
- Phil nie jest oszustem.
- Wielkie dzięki!
- Ale nie jest też ideałem męża.
- Skończyłem! – powiedział Darren, wychodząc z namiotu.

Pogłaskał psa, otrzepał ręce z piachu i mrugnął do Tary.

– Porozmawiam z nim – powiedziała Nadine. – Powiem mu, że to zauważyłaś.

- Co? Nie! Nie rób tego.

Nadine wycelowwała w Tarę łopatę.

- Tak właśnie zrobię. – Podniosła się.
- Teraz? Chcesz mu to powiedzieć teraz?
- Dopóki trzyma telefon – powiedziała Nadine.

– Ale mają nas teraz oceniać – jęknęła Tara. Odwróciła się do sędziów z uśmiechem. – Oto nasza rzeźba – wyprężyła się uwodzicielsko.

– Akurat! Dobrze wiesz, że nasza rzeźba jest do niczego – stwierdziła Nadine.

- Pierś do przodu! – zakomenderowała Tara.

Nadine, choć wyraźnie zaprzętnięta czym innym, spełniła polecenie. Sędziowie zagwizdali z podziwu.

– Panie wyglądają dobrze – pochwalił je jeden z nich. – Nawet bardzo dobrze.

– Tak jest – zgodził się drugi. – Panie wyglądają jak... zwyciężczynie.

– Zwycięstwo. Tak jest. Zwycięstwo – dodał trzeci. Nadine zachichotała nerwowo, gdy na nią popatrzył. – Gdybym to ja był twoim mężem, wywaliłbym ten telefon do oceanu, laleczko. – Wykonał odpowiedni gest dla wzmocnienia swoich słów. – Do oceanu! – Nadine znowu się roześmiała, a jej twarz zalał rumieniec w kolorze kostiumu Tary.

Darren zaklaskał w dłonie.

- Popatrzcie lepiej na tę laleczkę – zawołał.

Ściągnął płachtę i odsłonił rzeźbę. Wszyscy otworzyli szeroko

oczy. Z piasku wyłoniła się rzeźba nagiej kobiety. Miała na sobie wyłącznie czapkę Świętego Mikołaja. Sędziowie popatrzyli na rzeźbę, potem na Tarę, a potem znowu na rzeźbę. Trzaskały aparaty fotograficzne; sędziowie wiwatowali i przybijali piątkę z Darrenem.

Nadine wskazała na nagą kobietę.

– To... to trochę mało świąteczne – powiedziała.

– Oj, tak – zgodził się jeden z sędziów. – Mikołaj był baaardzo niegrzeczny. – Złapał Darrena za ramię i uniósł je do góry w geście zwycięstwa. Nadine zrzuciła kopniakiem dach chatki.

Darren przycisnął do siebie Tarę. Oboje byli spoceni i lepcy od piasku. Tara poczuła uderzenie gorąca, zaraz za nim ogarnęło ją pożądanie, a potem – zażenowanie. Odsunęła się od niego.

– Przyjadę po ciebie jutro rano – uprzedził Darren. – Próby zaczynają się wcześniej.

– Próby? – jęknęła Tara. – Jakie znowu próby?

Ale pies i jego pan już zniknęli w oddali.

Jadąc do domu Darrena, mijali po drodze znaki ze strzałkami i z napisem: GORAÇA WIOSKA. TYLKO DLA DOROSŁYCH. Dom Darrena był ostatnim przy małej, ślepej uliczce.

– Kiedy wioska zostanie otwarta, kilometr stąd nie da się zaparkować – mówił Darren, wskazując ręką za okno. Emanowała z niego iście ojcowska duma.

– Nie próbują tu przychodzić rodziny z dziećmi, mimo tych ostrzeżeń? – zaciekawiła się Tara.

– Zdarza się, że próbują – przyznał Darren – ale naszą wioskę zwiedza się pieszo, a nie samochodem. Parkują na polu – Darren wskazał dużą, pustą przestrzeń obok swojego domu. – Przy bramie stoi facet, który sprawdza dokumenty. Trochę to przykre, kiedy musimy odesłać całą rodzinę z kwitkiem, ale nie ma innego wyjścia. Dostają od nas cukierki i błogosławieństwo na drogę.

– To straszne – stwierdziła Tara.

– Wcale nie – odparł Darren. – Sąsiedzi też nieźle szaleją z dekoracjami świątecznymi. Ode mnie się zaczęło – dodał, mrugając.

– Jak to miło mieć naśladowców – powiedziała Tara. Chciała, żeby zabrzmiało to przekornie, on jednak potraktował jej słowa jako komplement.

– To prawda – potaknął. – Ale to ja przekonałem innych, żeby pomyśleli o dzieciach.

– Niesamowite! – Tara kręciła głową z podziwem. – O dzieciach. W Boże Narodzenie.

– Ale to działa! – zapewnił ją Darren. – Nikt nie jest rozczarowany. Rodziny z dziećmi spacerują po okolicy i podziwiają pracę amatorów.

Tara rozśmiała się głośno.

– O rany, uwielbiam ten dźwięk – przyznał Darren.

– Jaki dźwięk?

– Twój śmiech. Jest taki... magiczny.

– Mój śmiech? Podoba ci się mój śmiech? – Jego śmiech sprawiał,

że miała ochotę zedrzeć z niego ubranie i obsypać pocałunkami jego nagi tors. Postanowiła to jednak zachować to dla siebie. – Hmm... dziękuję – powiedziała.

– Nie dziękuj – odparł Darren – tylko się śmieję. – Obrzucił ją długim, poważnym spojrzeniem.

Tara odwróciła wzrok i znowu się zaśmiała. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w swoje ciało. Nie miała dotąd pojęcia, że przypomina czuły instrument – że wystarczy jedno spojrzenie Tego Faceta, żeby dreszcze biegały po jej kręgosłupie jak nuty po pięciolinii. Każdy człowiek powinien zabrać ze sobą do grobu przynajmniej jedną tajemnicę; ta będzie należała tylko do niej. Poczwała się jak ktoś bardzo wyjątkowy.

Dom Darrena był oplątany sznurami lampek tak dokładnie, że nie potrafiłaby powiedzieć, jak wygląda. Zgadywała, że jest podobny do bungalowu, w którym spędzała wakacje jej rodzina. Ogromna palma przed domem także ugięła się od światełek. Tara nie wątpiła, że wieczorem będzie na co popatrzeć. Obok palmy stał dmuchany bałwan.

– Trzy kule – mruknęła Tara, myśląc o zdeformowanym bałwanku Nadine. – Jest dobrze. – Na razie nie potrafiła ocenić, czy wioska jest rzeczywiście „tylko dla dorosłych”...

Podeszła bliżej do Mrozika[28]. Trzymał coś w niby-śniegowej łapie, odzianej w mitenkę.

– Czy to joint? – nie wierzyła własnym oczom.

W drugiej łapie Mrozik ścisnął puszkę budweisera. Tara roześmiała się, ale zaraz potrząsnęła głową.

– Parodia – oceniła.

– Ale cię rozśmieszyła – zauważył Darren. – Słyszałem ten magiczny śmiech.

– Śmieję się z tego, że dorosły facet zachowuje się jak chłopczyk – powiedziała Tara.

Darren wzruszył ramionami, ale cały czas się uśmiechał.

– Popatrz tutaj – powiedział.

Tara spojrzała na ziemię. Wokół leżały opakowania po prezerwatywach i puszki po piwie. Z głowy Mrozika zwisał biustonosz.

– Nadine oszalałaby na ten widok – powiedziała Tara.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo muszę się powstrzymywać, żeby tego nie sprzątać. – Darren stanął tuż za nią. Otoczył ją ramionami i musnął ustami jej szyję. Odwróciła się do niego, a wtedy on zaczął ją całować. Zapomniała całkowicie o sprośnym bałwanie.

– To było specjalnie dla Mrozika – powiedział Darren, wypuszczając ją z objęć po dłuższej chwili. – Lubi podglądać.

Tara dała mu kuksańca.

– To niewłaściwe – powiedziała, zwracając się do Mrozika. – Po prostu niewłaściwe.

– Skoro tak uważasz, nie powinienem pokazywać ci całej reszty – stwierdził Darren, biorąc ją za rękę. – Ale i tak ci pokażę.

Rozległy teren za domem Darrena faktycznie został urządzony na kształt świątecznej wioski. Wystarczył jeden rzut oka, żeby uwierzyć, że rachunki elektryczne za całą tę ekspozycję muszą być rujnujące. Inscenizacja do potęgi n-tej. Większość ekspozycji miała być prezentowana z udziałem żywych osób, więc Darren objaśnił Tarze, o co chodzi w poszczególnych scenkach.

– Tutaj panienki siadają Mikołajowi na kolanach. Elfy czytają Penthouse'a i palą czerwone marlboro. – Wskazał na model pociągu. – Ten będzie jeździł przez cały czas – oznajmił. Uruchomił pociąg. Zagwizdał gwizdek; miniaturowy Święty Mikołaj wychylił się z lokomotywy, prezentując widzom goły zadek.

– Skąd wzięłeś zabawki, które robią coś takiego? – spytała Tara.

– Mam bardzo twórczych przyjaciół – odparł Darren. – Chodź, pokażę ci twoją ekspozycję. – Poprowadził Tarę na sam koniec wioski, gdzie niewielki spłachetek trawy odgrodzono niskim, drewnianym płotkiem. Pośrodku zagrody stał ogromny elektryczny renifer. Darren nacisnął przycisk na jego szyi. Renifer zaryczał, a w jego oczach zapaliły się czerwone żarówki. Wypuścił dym nosem. Następnie otworzył pysk i zaprezentował gigantyczne kły. Darren wsadził nadgarstek w otwartą paszczę i wrzasnął. Tara gapiła się na niego, oniemiała.

– To wszystko, co musisz zrobić – wyjaśnił Darren. – Wystarczy, że odegrasz scenkę, w której on cię atakuje. Ludzie oszaleją z radości. – Przeskoczył przez płotek i rozwinął wiszący na nim transparent z napisem:

Renifery ATAKUJĄ

– Rezygnuję – powiedziała Tara.

Darren uśmiechnął się. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną gazetę i podał jej.

– „Maui Mornings” – powiedział. – Świeżutko spod prasy.

– Nędzna kłamczucha – stwierdziła Tara, patrząc na swoje zdjęcie.

– Obiecała.

Na zdjęciu widniała Tara, z rękami wspartymi na biodrach, w ohydny kostiumie kąpielowym. Nie musiała nawet pytać: „Czy nie wyglądam w tym grubo?” – bo sama widziała, że tak. Kapelusz i maść na nosie nie poprawiły sytuacji. Na zdjęciu wyglądała w stu procentach na kobietę gotową zaskarżyć McDonalda z powodu zbyt gorącej kawy albo wrzeszczeć, że ugryzł ją Bogu ducha winny renifer, tylko po to, żeby wyłudzić darmowe wakacje. Artykuł był też okraszony drugim zdjęciem. Przedstawiało Darrena obok mechanicznego renifera. Jak zwykle, uśmiechał się od ucha do ucha. Wyglądał doskonale.

– Czytaj – powiedział, stukając palcem w pierwszy akapit.

LOKALNA WIOSKA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA ZWERBOWAŁA KOBIETĘ UGRYZIONĄ PRZEZ RENIFERA. DOCHODY Z GORĄCEJ WIOSKI ZASILĄ MIEJSCOWY SIEROCINIEC.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało grupkę roześmianych dzieci – Tara domyślała się, że są to właśnie miejscowe sieroty.

– To jakiś absurd – powiedziała Tara. – Przecież nawet nie wolno im tu wejść.

– To prawda – przyznał Darren – ale oprócz darowizny dostaną także darmową wycieczkę łodzią ze szklanym dnem.

– Masz łódź ze szklanym dnem?

– Mam drugą pracę – wyjaśnił. – Jestem przewodnikiem turystycznym na łodzi ze szklanym dnem.

– Akurat! – nie dowierzała Tara.

– Powinnaś się wybrać na taką wycieczkę – zaproponował Darren.

Tara nie odpowiedziała. Nadal przeżywała boleśnie swoje zdjęcie w miejscowej gazecie.

– Obiecała mi – jęknęła po raz kolejny.

Darren wskazał białą plamę na jej nosie.

– Uznała, że to zabawne nawiązanie do Rudolfa – wyjaśnił. – Nie możesz jej za to winić. W końcu są święta. – Tara rozejrzała się po wiosce świątecznej dla zбочeńców i potrząsnęła głową.

– Ho, ho, ho! – zahuczała.

Darren wskazał na ekspozycję „Kiedy Świętego Mikołaja nie ma w domu, Pani Mikołajowa harcuje”.

– To jej tekst – powiedział.

Przez resztę dnia Tara pomagała Darrenowi wieszając lampki świąteczne tam, gdzie z pewnością wisieć nie powinny. Kiedy zjawili się inni wolontariusze i w całej wiosce zabrzmiały sprośne piosenki, wyśpiewywane na melodię bożonarodzeniowych hitów, Tara musiała niechętnie przyznać przed samą sobą, że bawi się całkiem nieźle. Po kilku godzinach ciężkiej pracy poczuła dłoń Darrena na swoich plecach. Znowu poczuła, jak ciarki przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa, a odwracając się, miała cichą nadzieję, że będzie trzymał w ręku bukietek jemioli.

– Właśnie zamówiłem pizzę dla wszystkich – powiedział. – Ale może wejdiesz do mnie na drinka. Zrobimy sobie chwilę przerwy.

Nie sprzeciwiła się. Była ciekawa, jak mieszka.

Ku jej zdziwieniu, dom był schludny i czysty. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami. Po jednej stronie stał błękitny, marmurowy globus, po drugiej – teleskop. Tara wyobraziła sobie, jak wspólnie oglądają gwiazdy, późną nocą, na plaży. Tu jest Wielki Wóz, a tu Mały Wóz. A co to za gwiazda? Nie mam pojęcia, najlepiej umówmy się, że od dziś to będzie nasza wspólna gwiazda. Buzi, buzi, ojej, teleskop się przewrócił, upadamy na plażę, kochamy się pod naszą nową wspólną gwiazdą... Jak można nie zakochać się w facecie, który ma teleskop?

Dom był umeblowany po męsku, ale szykownie: masywna kanapa, obita zamszem, solidny stolik, skórzany fotel z podnóżkiem. Kilka poduch, rzuconych na kanapę, wystarczyłoby, żeby zrobiło się nieco bardziej przytulnie, pomyślała Tara. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, jak wyglądałyby jej rzeczy, wymieszane z jego rzeczami. Mieli podobny gust i była przekonana, że jej rzeczy i jego rzeczy, i ich wspólne rzeczy dopasowałyby się do siebie nawzajem idealnie.

Niektórzy ludzie martwią się, czy uda im się polubić przyjaciół swojej nowej miłości. Tara zawsze zastanawiała się, jak by to było z rzeczami. Jeśli nie lubisz czyichś przyjaciół, wystarczy mieć w zanadrzu dobrą wymówkę, kiedy pojawiają się na horyzoncie. „Przykro mi, chętnie pograłabym dziś wieczorem w ping-ponga z tobą i Buckiem, ale, niestety, boli mnie nadgarstek”.

Natomiast niemożność zaakceptowania rzeczy należących do drugiej osoby – to była dużo trudniejsza sytuacja. Trzeba było liczyć się z możliwością, że prędzej czy później wyląduje się na ohydnej, poplamionej piwem, od dawna niemodnej sofie, na wprost plakatu z filmu *Obcy kontra Predator*, albo trzeba będzie przez resztę życia słuchać odgłosów potwornego zegara z kukułką. Tymczasem prawo Murphy’ego głosiło, że sofa, plakat i zegar z kukułką są o jakieś tysiąc lat bardziej trwałe niż kolejne miłości ich właściciela. Można też zapomnieć o subtelnym niszczeniu czy też wymianie jego rzeczy. Za coś takiego słono się płaci. Od tej pory, już do końca życia, w każdej kłótni pojawiałby się argument: „Rozwaliłaś mój zegar z kukułką i nieważne, co powiesz – nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę”. Gdyby ona i Darren mieli razem zamieszkać, nie miałyby tego problemu. Nie dostrzegła jak dotąd w jego domu ani jednej rzeczy, którą miałyby ochotę zlikwidować przy pomocy młotka.

Miała natomiast osobliwą chęć dotykania jego rzeczy, przebiegania po nich palcami, jak gdyby chciała zanurzyć się w dźwięki i zapachy związane blisko z jego życiem, odczytać je za pomocą koniuszków palców. Co do zapachu – w domu unosił się słodki aromat, przypominający nieco woń lawendy. I kokosów. Tak, wszędzie pachniało kokosami. Miał ładny, płaski telewizor, ale nie dostrzegła nigdzie konsoli do gier video. Słowem: dom wyglądał niczym antyteza sprośnej Świętecznej Wioski. To był dom faceta, z którym chętnie poszłaby na randkę. Albo nawiązała romans. To nie jest materiał na chłopaka, napomniała samą siebie. Nawet jeśli ma teleskop.

Kuchnia była maleńka niczym jachtowy kambuz – było tu dość miejsca akurat na piekarnik, lodówkę i zlew.

– To nie jest kuchnia, w której dałoby się gotować – powiedział Darren przepraszającym tonem.

– Nie masz racji – zaprotestowała Tara. – Ja umiem gotować wszędzie.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Powinieneś zobaczyć, jakie cuda umiem wyczarować na talerzu – urwała, słysząc w odpowiedzi jego wybuch śmiechu.

– Przepraszam – powiedział, wskazując ręką za okno. – Prowadzenie Gorącej Wioski to niezłe jaja, ale prędzej czy później wszystko zaczyna się człowiekowi kojarzyć z jednym.

Do Tary dotarł wyłącznie początek jego wypowiedzi. Z trudem powstrzymywała się od spoglądania na jego krocze.

– No, w każdym razie – powtórzyła – spokojnie da się tutaj gotować.

– Skoro tak, to szkoda, że już zamówiłem pizzę – stwierdził Darren. Otworzył lodówkę i wyjął z niej butelkę szampana. – Za to mam to – dodał.

– Niech reszta zje pizzę – powiedziała Tara. – A ty zabierz mnie do najbliższego spożywczego. – Stali naprzeciwko siebie, uśmiechając się. Flirtowanie było takie przyjemne! Darren wyciągnął z kieszeni kluczyki od pickupa i podrzucił je w powietrze.

– Mówisz – masz. Jedziemy – rzucił.

Postanowiła przygotować tilapię w mandarynkach, z czosnkiem i kolendrą. Do tego krewetki z domowym sosem koktajlowym i zieloną fasolkę na ostro. Całości miały dopełnić gotowane czerwone ziemniaki i świeży chleb z masłem. Darren podał jej kieliszek szampana, po czym wygonił go z kuchni, więc dał jej całkowicie wolną rękę. Włączył nawet świąteczną płytę Binga Crosby'ego.

Tara była w siódmym niebie. Nie gotowała od kilku dni i zdążyła już za tym zatęsknić. Starła się odsunąć od siebie myśl, że praca nie będzie czekała na nią po powrocie do domu. Od czasu do czasu Darren wpadał do kuchni, żeby na nią popatrzeć. Napełniał jej kieliszek lub pytał, czy potrzebuje pomocy. Potem stał z boku, rozkoszując się zapachem przygotowywanych potraw, a raz wyszeptał:

– O Jezu!

Potem wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, jak sobie radzą inni

wolontariusze. Pili piwo i jedli pizzę.

– Biedacy – powiedział, kręcąc głową. – Gdybyż tylko wiedzieli, co się tu dzieje!

Tara poczuła, że oblewa ją gorąco, i musiała naprawdę się postarać, żeby nie zapytać: „A co dokładnie się tutaj dzieje?”. Nakazała sobie po prostu cieszyć się tą chwilą. Świadomość, że on patrzy, podziwia ją, gdy jest zajęta tym, co zawsze wychodziło jej najlepiej, była niezwykle przyjemna. Upięła włosy w kok na czubku głowy, a kiedy jeden z niesfornych kosmyków wydostał się spod spinki, Darren znalazł się przy niej błyskawicznie. Delikatnym ruchem włożył jej pasmo włosów za ucho, a potem pocałował ją lekko w szyję.

– Hej! – powiedział nagle, cofając się nieco. – Przestałaś nosić bandaż.

– Ogólnie czuję się dużo lepiej – stwierdziła Tara.

Darren ostrożnie podniósł jej nadgarstek do ust i złożył na nim pocałunek. Dreszcz przeszedł ją od stóp do głów.

– Nie – pokręcił głową. – Dopiero teraz czujesz się dużo lepiej.

Nakrył do stołu – wyciągnął czerwone podkładki i porcelanowe talerze ze złotą obwódką. Teraz to ona na niego patrzyła. Pies nie odstępował go na krok.

– Nie wiem nawet, jak ma na imię twój pies – powiedziała.

Pies podszedł bliżej i wetknął nos między jej uda. Roześmiała się, odsuwając go delikatnie.

– Najwyraźniej mu to nie przeszkadza – zauważyła. – Ale i tak chciałabym wiedzieć.

– Pies.

– Żartujesz sobie ze mnie.

– Nie.

– Twój pies ma na imię Pies?

– Tak.

– Niezwykle twórcze.

– Proste – odparował – jak moje życie. – Tara znów rozejrzała się po domu. Na zewnątrz – Święty Mikołaj i prostytutki, w środku – Bing Crosby i Tołstoj. Nieważne, co mówił. Wiedziała już, że można o nim powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest prosty.

Obiad był doskonały. Kiedy jedli, Darren wypytywał ją o pracę w „La Fleur”. Tara uraczyła go opowieścią o „Y&S”, Alainie, o mały włos nie wyjawiając także, że straciła pracę. A przecież nie powiedziała o tym nawet Nadine. Usiłowała udawać przed sobą i światem, że to się nie stało. Nie chciała, żeby skrzeczenie rzeczywistości zrujnowało jej egzotyczne wakacje.

Nagle gdzieś z boku doleciał ich głośny okrzyk radości. Wyjrzała przez okno. Nie widziała zbyt dobrze, co się dzieje, ale wyglądało na to, że Święty Mikołaj napawa się zorganizowanym specjalnie dla niego seansem tańca na rurze. Darren zachichotał. Tara potrząsnęła głową.

– O co chodzi? – spytał.

– Po prostu tego nie rozumiem – wyznała Tara. – Dlaczego masz taki negatywny stosunek do Bożego Narodzenia?

Darren odłożył widelec, napił się wina i spojrzał jej prosto w oczy.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – upewnił się.

– Naprawdę – potaknęła.

– W takim razie chodź za mną.

Wstali od stołu i przeszli do okna na tyłach domu. Tara próbowała zignorować jego bliskość, gdy podniósł ramię i wskazał kobietę, stojącą pośrodku placu.

– Sheila – powiedział. – Ma czterdzieści pięć lat. Czworo dzieci. Jej mąż, kiepski księgowy, miał dziewczynę w każdym porcie. Zostawił ich w święta. Zanim uruchomiłem tę wioskę, nie mogła się zmusić, żeby obchodzić Boże Narodzenie. Teraz jej dzieci mają choinkę, a ona ma gdzie odreagować. – Wskazał mężczyznę. – John. Narzeczona uciekła od niego sprzed ołtarza. Allen. Rujnuje się na prezenty dla wszystkich i zawsze obawia się, że będą rozczarowani. W zeszłym roku miał atak serca. Wiedziałaś, że w Boże Narodzenie umiera najwięcej ludzi w całym roku?

– To niemożliwe – zaproponowała Tara.

Darren podniósł rękę, jakby byli w sądzie.

– Przysięgam – powiedział. – W Boże Narodzenie umiera więcej ludzi, niż w jakimkolwiek innym dniu w ciągu roku.

– Boże! – westchnęła Tara.

– Nie martw się – pocieszył ją Darren. – Na szczęście nie tutaj.

A wiesz, dlaczego? Bo nie dajemy się zwariować. Bo wiesz – ale tak naprawdę – co się stało ze świętami? Czy to nie miał być przypadkiem czas dla rodziny? Czas odpoczynku? Stany Zjednoczone Reklamy – oto, w co zamieniły się święta Bożego Narodzenia. Już w Halloween Święty Mikołaj sterczy w każdym oknie wystawowym.

– Faktycznie – przyznała Tara.

– Próbuję po prostu sprawić ludziom odrobinę radości – oznajmił Darren. Tara popatrzyła na mężczyznę w przebraniu elfa. Kręcił się po wiosce, potrząsając dwuznacznie ogromnym, podłużnym cukierkiem świątecznym.

– A ten? – spytała Tara, wskazując na elfa.

– A ten ma po prostu nierówno pod sufitem – wyjaśnił jej pogodnie.

Tara zaśmiała się. Patrzyli na siebie, ciesząc się, że połączyło ich podobne poczucie humoru. Po chwili przestali się śmiać i już tylko mierzyli się wzrokiem.

– A jaka jest twoja historia? – zapytała.

– Muszę odwieźć cię do domu – stwierdził Darren. – To był dla ciebie długi dzień.

– Nie będę protestować – zgodziła się Tara – ale nie myśl, że nie zauważyłam, iż zignorowałeś moje pytanie.

Ruszyła w kierunku zlewu, żeby pozmywać. Darren zatrzymał ją w miejscu, wyjął jej z ręki talerz.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł. – Idziemy do samochodu. – Pies zaszczekał i zamachał ogonem. – O taką reakcję mi chodziło – zażartował Darren.

Tara dała mu lekkiego kuksańca. Złapał ją za dłoń. Teraz już trzymali się za ręce.

– Mogłabym zostać... – powiedziała Tara.

– Nie dzisiaj – odmówił jednoznacznie.

Usiłowała udawać, że jej to nie obeszło. Wydawało jej się, że mu się spodobała. Była chętna. Była na wakacjach. Mężczyźni nie odrzucają, ot, tak, seksualnych propozycji. Zwłaszcza tacy jak Darren. A on... nie był zainteresowany. Szybko podeszła do drzwi i otworzyła je, ale on je zaraz zamknął. Nie odwróciła się, ale czuła, że stoi tuż za

nią.

– Hej! – powiedział cicho – Rozzłościłem cię?

– Nie – zaprzeczyła. – Nie ma sprawy. Rozumiem. Aż tak ci się nie spodobałam.

Darren położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją do siebie.

– Owszem, bardzo mi się spodobałaś – zapewnił. – Możesz mi wierzyć.

– A więc dlaczego?

– Mam za domem tłumek napalonych elfów i niegrzecznych Mikołajów – oświadczył Darren. – Nie tak wyobrażałem sobie nasz pierwszy raz.

– A więc... wyobrażałaś sobie?

– O, tak – zapewnił ją spokojnie. – A ty?

O, tak. Poza tym nie masz pojęcia, jak bardzo moje rzeczy polubiłyby twoje rzeczy. Tara tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi, a on odwzajemnił jej uśmiech.

– Obiecuję – powiedział. – Już niedługo. – Pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Pamiętaj, że jestem na wakacjach – przypomniała mu Tara. – Mamy tylko tyle czasu, ile mamy.

Darren skinął głową, zauważyła jednak, że zmarszczył czoło. Nie przyznała się do tego nawet przed sobą, ale miała nadzieję, że coś odpowie. Coś, dzięki czemu ona poczuje się lepiej. Już teraz fantazjowała na temat ich dwojga, posuwając się o wiele za daleko, zważywszy, że zwykle człowiek nie wprowadza się do kogoś, z kim nawiązał zaledwie przelotny romans, i nie planuje z tym kimś dzieci. Zdecydowanie powinna jak najszybciej powrócić do rzeczywistości.

To była tylko przelotna znajomość.

Nic więcej.

To nigdy nie będzie nic więcej.

28 Mrozik (*Frosty*) – bohater filmu z 1969 r. „Śnieżny bałwanek Mrozik”.

Tara była zdania, że Nadine powinna trzymać się z daleka od Gorącej Wioski, ale Nadine uparła się, że pójdzie na jej otwarcie. Rodzice wyszli na wieczorną przechadzkę, a Phil otrzymał polecenie upieczenia wraz z Tiarą świątecznych ciasteczek.

– Wiesz, że w Boże Narodzenie umiera najwięcej ludzi w całym roku? – zapytała Tara, gdy jechały na miejsce. – Dlatego trzeba szczególnie uważać, żeby w tym okresie nie narażać się na stres.

Nadine nie chwyciła przynęty. Chciała wioski świątecznej, którą mogłyby odwiedzać dzieci, i tyle.

Tak, jak przewidywał Darren, przed wioską utworzył się korek. Nadine zabębniła palcami po kierownicy.

– Najlepiej będzie, jeśli wysiądziesz i dalej pójdziesz pieszo – stwierdziła.

– Co takiego?

– Wieki miną, zanim tu zaparkuję.

– Jaki masz plan? – spytała Tara.

Nadine wyjaśniła jej to ze szczegółami. Była zdania, że zamiast „występować”, Tara powinna rozmawiać z ludźmi o magii świąt i o łagodności reniferów. Tara wyraziła sprzeciw, ale jej siostra twardo broniła swoich racji.

– Pamiętaj, że to ty decydujesz o swoim życiu. Nie zapominaj o tym – Nadine przechyliła się, otworzyła drzwi po stronie pasażera i lekko wypchnęła Tarę z samochodu.

– Renifery – mówiła Tara do przechodzących ludzi – to w gruncie rzeczy łagodne stworzenia. – Miała na sobie dres, a pod nim bikini, ale odmówiła rozebrania się. – Znają państwo Fircyka, Tancerza, Pyszałka i Złośnika[29]...

Skonstatowała, że ma całkiem niezły głos; mimo to większość osób mijala ją dość szybko, nie zwracając na nią specjalnej uwagi. Gdy renifer otwierał pysk, prezentując swoje straszliwe zęby, kręciła głową.

– To był tylko jeden źle wychowany renifer – mówiła. – Nie

możemy wrzucać ich wszystkich do tego samego worka. Alfred Błyskawiczny był jak diwa operowa. O ile samiec renifera może być diwą, oczywiście... Tak czy siak, miał ego. To był odpowiednik Mela Gibsona w świecie reniferów. Większość z nich to jednak pracowite, pokorne zwierzęta.

Darren podszedł do niej.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – zapytał.

– Zachowuję się jak osoba dorosła – odparowała Tara. – Propaguję idee pokoju i miłości.

– Zanudzasz wszystkich na śmierć – stwierdził Darren.

– Uczę ich, o co naprawdę chodzi w Bożym Narodzeniu – odparła Tara.

– Dlaczego nie pozwolisz im zwyczajnie się pobawić?

– Darren...

– Po prostu spróbuj. Jeden raz. Obiecuję, jeśli ci się to nie spodoba, będziesz mogła wrócić do... do tego, co robisz w tej chwili, cokolwiek to ma oznaczać. – Wygłosiwszy to pouczenie, cofnął się, skrzyżował ręce na piersi i czekał.

A, co tam! To w końcu nie boli. Tara zrzuciła dres, pod którym miała wyłącznie czerwone bikini. Czowała, że Darren taksuje ją wzrokiem, ale nie ośmieliła się na niego spojrzeć. Założyła na głowę czapkę Świętego Mikołaja, wsunęła stopy w czerwone szpilki. Postanowiła, że spróbuje jeden raz, zanim Nadine zdąży zaparkować i dotrze do Gorącej Wioski. Gdy renifer otworzył paszczę, włożyła dłoń do środka i wrzasnęła na cały głos. Darren skinął głową z aprobatą. Przechodzący właśnie obok starsi państwo zatrzymali się i zaczęli się śmiać. Tara popatrzyła na nich.

– Pomocy! – krzyknęła. – On mnie zjada! – Śmiali się coraz bardziej. – Nowojorczycy! – zawołała. – Dopóki renifer trzyma za nadgarstek nie was, tylko kogoś innego, nic was to nie obchodzi, prawda?

Wokół niej zaczął gromadzić się tłumek.

– Pójdę do sądu! – wrzeszczała Tara. – Do sądu! – Tłum zaryczał. Zaklęła. Zawyla z bólu. – Zły renifer! Zły renifer! – Tłum gęstniał i bawił się coraz lepiej. – Ja chcę na Hawaje! – jęczała Tara. Widownia

zanosiła się histerycznym śmiechem.

– Tara!

Nagle dostrzegła stojącą przed nią Nadine, trzymającą się pod boki, z płonącymi oczami. Tara wyjęła rękę z pyska renifera, po czym włożyła ją z powrotem w to samo miejsce i wrzasnęła.

– Jak ci nie wstyd! – stwierdziła oskarżycielsko Nadine.

– Elfuj się! – krzyknęła Tara.

Tłum zaryczał. Zainspirowana tym rykiem Tara wystawiła w kierunku Nadine środkowy palec, a gdy siostra podeszła bliżej, pochyliła się nad nią i wyszeptowała jej wprost do ucha:

– Podoba im się. Naprawdę im się to podoba!

– Nie – usłyszały głos Darrena. Tara odwróciła się i zobaczyła, że obserwuje ją zza choinki, obwieszanej wibratorami. – Nie „podoba im się”. Oni są zachwyceni!

Następny wieczór należał w całości do Tary, która czuła się niczym gwiazda na Broadwayu. Jej występ przyciągnął prawdziwe tłumy. A potem, długo po tym, jak wszyscy rozeszli się do domów, ona i Darren siedzieli w wiosce, popijając czerwone wino i rozpamiętując reakcje i komentarze miejscowych. Śmiali się przy tym tak bardzo, że w końcu Tarę rozboleł brzuch. Darren zostawił lampki włączone, żeby mogli już tylko oboje cieszyć się ich blaskiem.

Po kolejnym wieczorze odwiózł ją do domu dopiero o wschodzie słońca. Rozpamiętywanie każdej wspólnej chwili sprawiało Tarze więcej przyjemności niż kolejne występy. Kiedy mieli wioskę tylko dla siebie, bez sprośnego Mikołaja i seksownych tancerek, było prawie... świątecznie.

Pierwszego wieczoru oboje trzymali ręce przy sobie. Drugi wieczór był niezwykle zabawny, a w trakcie kolejnego z wielu wybuchów śmiechu, ich palce zetknęły się ze sobą, i nagle okazało się, że trzymają się za ręce. On zaczął głaskać ją po policzku, wodził palcem po linii szczęki, a potem pogłaskał ją po karku i po plecach. Kiedy jednak przytuliła się do niego, szukając jego ust, odsunął się. Ten gest, zamiast ją zniechęcić, sprawił, że pożądanie, które czuła na jego widok od pierwszej chwili, tam, przy drodze, sięgnęło zenitu. Potrafiła docenić faceta z zasadami, ale mieli coraz mniej czasu.

– Znowu jedziesz do Gorącej Wioski? – spytała Nadine. – Zapomniałaś, że mamy dziś w planach rodzinną wycieczkę – nurkowanie z Mikołajem, a potem kolędy seniorów w hotelu Hyatt?

– Żałuję, że mnie z wami nie będzie – powiedziała Tara – ale to przecież ty mnie w to wpakowałaś. Nie mogę teraz zrezygnować.

– To miał być tylko jeden wieczór!

– Przecież jestem z wami od rana przez cały dzień – broniła się Tara.

– Tylko że rano jesteś zmęczona, a w ciągu dnia marudna – stwierdziła Nadine. – Zresztą co za różnica, przecież nie chciałaś w ogóle, żebyśmy tu przyjechali – dodała.

– Nie mów tak – zaprotestowała Tara. – Cieszę się, że tu jesteście.

– Ale nas nie zaprosiłaś – upierała się Nadine. – W ogóle nie miałaś zamiaru spędzić z nami świąt. Przyjechałaś tu sama, bo chciałaś znaleźć sobie kogoś do łóżka!

Tara zerknęła z niepokojem na rodziców, którzy pomagali właśnie Tiarze malować lukrem świąteczne ciasteczka, i zalało ją poczucie winy. To była prawda. Chciała być sama. Nie chciała nurkować z Mikołajem. Nie chciała piec ciasteczek. Nie chciała słuchać kolęd w wykonaniu miejscowych seniorów. Miała ciężki rok: wyrzucono ją z pracy, straciła portiera i barmana, a na horyzoncie nie majaczył żaden mężczyzna, z wyjątkiem miłośnika wiewiórek z parku przy Thompson Square. Czy to takie dziwne, że chce się trochę zabawić, zanim wróci do domu?

– Och, daj jej spokój! – wtrącił się Phil. – Każdy przeżywa święta na swój własny sposób.

Spojrzenie, które rzuciła mu Nadine, mogło w jednej chwili zamrozić nawet wrzącą wodę.

– W takim razie może pojedziesz razem z nią – prychnęła. – Głowę dam, że będziesz się doskonale bawił.

Zanim Tara zdążyła zaprotestować, Phil ruszył w stronę samochodu.

Jak sobie życzysz, kochanie.

– Nadine... – zaczęła Tara.

– Jedźcie – przerwała jej siostra. – Po prostu jedźcie już!

Jak na gust Tary, Phil bawił się zdecydowanie zbyt dobrze. Jego

tubalny śmiech rozlegał się w całej wiosce. Tara przesunęła się bliżej do ogrodzenia i próbowała go namierzyć wzrokiem, ale niechcący nadepnęła na małą lampkę i jej renifer zgasł, zastygając w bezruchu z pyskiem otwartym do połowy. Darren przybiegł natychmiast; Tara nie wiedziała nawet, że jest w pobliżu, ale najwyraźniej miał na nią oko.

– Mam zapasowe żarówki w szafie w salonie – powiedział. – Przyniósłbym je sam, ale wolę popatrzeć, jak stąd wychodzisz.

– Ha, ha, ha! – prychnęła Tara. – I tak chciałam zrobić sobie przerwę.

Wychodząc z zagrody, zakręciła seksownie pupą i zachichotała prowokująco. W domu nie spieszyła się – zdjęła szpilki i wymasowała sobie stopy. Popatrzyła przez okno na ludzi, snujących się po wiosce. Musiała przyznać, że wyglądali na dużo bardziej zrelaksowanych niż ci, których spotyka się w sezonie świątecznym w galeriach handlowych czy czekających z dziećmi w kolejkach do Świętego Mikołaja. A może Darren miał rację? Może to rzeczywiście zdrowo zafundować sobie taką rozrywkę, żeby uwolnić się od tego świątecznego stresu? Podobno o tej porze roku ludzie popełniają najwięcej samobójstw. To była z pewnością lepsza alternatywa – trochę dobrej zabawy, świąteczna wersja *Saturday Night Live*[30]. Dla uczczenia tej świątecznej konkluzji naląła sobie szklaneczkę *eggnoga* z dzbanka stojącego w lodówce i powoli ruszyła do szafy.

Lampki znajdowały się na górnej półce, dobrze widoczne, jednak gdy próbowała je wyciągnąć, na jej głowę posypały się różne przedmioty. Odłożyła lampki na dół i zaczęła układać rzeczy z szafy ponownie na półce: złożona kurtka, frisbee, psia zabawka, książka, jakiś prezent gwiazdkowy... Było to średniej wielkości pudełko, opakowane w połyskujący złociście papier i przewiązane czerwoną wstążką. Na umieszczonej na wierzchu karteczce widniało imię Darrena. No cóż, jeśli go szybko nie rozpakuje, zapomni, że w ogóle go dostał. W domu nie było choinki, więc położyła prezent pod donicą, w której rosło spore drzewko. To powinno wystarczyć. Pewnie zapomniał, że ma ten prezent w szafie. Uśmiechnęła się do siebie. Miło było zabawić się w Świętego Mikołaja.

– O rany, to było świetne! – zachwycił się Phil.

Wszyscy inni już sobie poszli, a Tara, która liczyła na kolejny romantyczny wieczór z Darrenem, właśnie zdała sobie sprawę, że się przeliczyła. Nie ulegało wątpliwości, że Phil wypił zdecydowanie za dużo *eggnoga*. Tara, która zadowolona się niewielkim łykiem, wiedziała, że przypadnie jej rola kierowcy.

– Zawiozę go do domu – powiedział Darren. Objął Tarę ramieniem, unosząc drugą rękę wysoko. Jemioła! Tara przytuliła się i pocałowała go. Darren odsunął się ze śmiechem.

– Co w tym takiego zabawnego? – nie zrozumiała.

Darren pokazał jej świątecznego cukierka.

– Nabrałem cię – powiedział.

– Nic podobnego – zaprzeczyła energicznie. – Wiedziałam od początku, co tam masz. – Znowu go pocałowała.

– Skoczę tylko po kluczyki i odwiozę go – powiedział Darren. – Ty i Pies możecie w tym czasie posiedzieć w salonie i pooglądać sobie telewizję.

– Nie ma sprawy – powiedziała Tara.

Razem z Psem weszła za Darrenem do domu. Opadła na fotel i umościła się w nim wygodnie, lekko rozchylając uda. Nie uszło to uwagi Darrena.

– Usiądź przyzwoicie – polecił. – W przeciwnym razie nie będę w stanie nigdzie pojechać.

Roześmiała się i bez pośpiechu złączyła uda. Nie miała wątpliwości: to będzie ich noc. Darren tymczasem, pobrzękując kluczykami, ruszył do wyjścia. I nagle... zamarł w miejscu. Coś w jego zachowaniu sprawiło, że Tara wyprostowała się, czujna i zaniepokojona. Seksualne napięcie opadło. Darren wpatrywał się w prezent, leżący pod donicą.

– Skąd to wzięłaś? – zapytał głuchym, nieswoim głosem.

– Z twojej szafy – odparła Tara. – Znalazłam go, kiedy przyszedłam po lampki. – Darren odwrócił się i spojrzał na nią. – Myślałam, że o nim zapomniałeś – dodała.

– Źle myślałaś.

– Przepraszam.

Chciała się jakoś bronić, nakrzyczeć na niego, powiedzieć, że nie

zrobiła nic złego, ale jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, żeby zrozumiała, że to nic nie da. Czy to był prezent od byłej dziewczyny? Żony? Nagle uświadomiła sobie, jak mało wie o tym człowieku. Taki właśnie jest problem z romansami. Człowiek nie ma pojęcia, z kim właściwie romansuje.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Mam jechać do domu? – zapytała, spodziewając się, że zaprzeczy i znów zacznie z nią flirtować.

– Myślę, że tak będzie najlepiej – usłyszała.

* * *

Tara i Nadine siedziały na patio, pogrążone w rozpacz.

– Śmiał się po powrocie do domu – mówiła Nadine. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiał.

Popijała bezalkoholowe truskawkowe daiquiri; obok Tary stał dzbanek *eggnoga*. Nadine, chcąc osłodzić sobie fakt, że nie może pić alkoholu, wetknęła w swojego drinka długiego, świątecznego cukierka, i zdziwiła się, jakie to smaczne. Być może właśnie tego każdemu z nas potrzeba od czasu do czasu – elementu zaskoczenia. Przestały pić na chwilę, widząc rodziców, wymykających się z domu; trzymali się za ręce.

– Dobranoc, dziewczynki – powiedział ojciec. – Nie czekajcie na nas. – Starsi państwo zachichotali jak dzieci, po czym pocałowali się.

– Obrzydliwe – stwierdziła Nadine.

– niesprawiedliwe – dodała Tara.

– Co się dzieje z Philem? – załkała Nadine. – Dlaczego on mnie nienawidzi? – Tara położyła jej rękę na ramieniu.

– Ależ nie nienawidzi cię – zaoponowała. – On po prostu...

– No co? Co on po prostu?

– Nie wiem – przyznała Tara. – Nie mam pojęcia, co jest z nimi nie tak. Gdyby Święty Mikołaj istniał naprawdę, poprosiłabym go o odpowiedzi na różne pytania, a pierwsze z nich brzmiałoby: „Co jest nie tak z facetami?”

– Amen! – skwitowała Nadine. Spojrzała na opróżniony do połowy dzbanek Tary – Niezłe masz tempo – zauważyła.

– Piję za nas dwie – odparowała Tara.
– Porozmawiasz z Philem? – poprosiła Nadine.
– Ale co mam mu powiedzieć?
– Nie wiem, postaraj się załatwić to jakoś subtelnie... no wiesz...
dowiedz się jakoś, czy on mnie zdradza, czy chce mnie zostawić.
– Wydaje mi się, że sama powinnaś z nim porozmawiać.
– Nie mogę. Są święta! Jeśli powie, że chce odejść, znienawidzę
święta na zawsze.

W takim wypadku będziesz mogła co roku odwiedzać Gorącą
Wioskę, pomyślała Tara, ale nie powiedziała tego na głos.

– Jaka to różnica, jeśli ja ci to powiem? – zapytała zamiast tego.
– Spodziewam się, że będziesz mnie okłamywać aż do końca świąt.
– Rozumiem.
– Chodź, pójdziemy podgrzać popcorn. Muszę przygotować
łańcuchy na choinkę.
– Tak jest, proszę pani.
– Czyżbym słyszała sarkazm w twoim głosie?
– Ależ skąd!
– To w końcu twoja wina, że tu jesteśmy – stwierdziła nagle
Nadine.

– Słucham?
Nadine wstała i podniosła ręce do góry.
– Rozejrzyj się – powiedziała. – Orzeźwiające powietrze. Jest
pięknie. Ciepło. Żadnego śniegu. Nasi rodzice całują się jak nastolatki.
Nie robimy świątecznego przyjęcia. A tam... – Nadine oskarżycielsko
wycelowała palec za okno – tam rośnie palma!

Tara wstała.
– Spróbuj trochę zmienić nastawienie – poradziła. Przybrała
dziarski ton. – Popatrz na to! Orzeźwiające powietrze. Jest pięknie.
Ciepło. Żadnego śniegu – urwała nagle. – No, dobra – przyznała. –
Rodzice trochę przeginają. Ale to, że nie musimy robić świątecznego
przyjęcia, to po prostu bożonarodzeniowy cud. A tam – Tara skierowała
palec w miejsce wskazane przed chwilą przez nadine – tam rośnie
palma!

– Brakuje mi świątecznej atmosfery.

- Nie musiałaś tu przyjeżdżać.
 - Mieliliśmy spędzić święta bez ciebie?
 - Nadine, czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może ja w tym roku nie chcę obchodzić świąt?
- Nadine zasłoniła uszy dłońmi.
- Nawet tego nie mów.
 - Dlaczego? Mikołaj mnie usłyszy?
 - Nie nabijaj się.
 - Nie wszyscy kochają święta.
 - No i co z tego? Pogódź się z tym, że nie wszystko kręci się wokół ciebie.
- Chciałabym po prostu, żebyśmy mogli się wyluzować – choć raz! Ten wyjazd miał być odpoczynkiem. Nie przyjechaliśmy tu, żeby sobie kaleczyć palce przy nawlekaniu popcornu na żyłkę.
- To się zdarzyło tylko raz i wyłącznie dlatego, że robiłaś to nieprawidłowo!
 - Nawlekanie popcornu to nie jest coś, co można robić prawidłowo albo nieprawidłowo!
 - W takim razie dlaczego pokaleczyłaś palce?
 - Powinnaś trochę wyluzować.
 - A ty powinnaś spoważnieć.
 - Świetnie.
 - Świetnie.
 - Boże Narodzenie jest tylko raz w roku.
 - Wiem o tym.
 - Doprawdy, Nadine?
 - Ile wysłałaś w tym roku kartek z życzeniami?
 - Nie słyszałaś, że teraz dba się o ekologię?
 - Chcesz mi powiedzieć, że nie wysłałaś kartek z życzeniami na Boże Narodzenie, bo nagle postanowiłaś być proekologiczna?
 - Po prostu stwierdzam fakt. Możesz sobie myśleć, co zechcesz.
 - Przesiąkłaś obyczajami Nowego Jorku.
 - A co to ma niby znaczyć?
 - To, że masz złe nastawienie. Przykro mi, ale musiałam to powiedzieć.

– Bo nie wysyłam kartek świątecznych? Manhattan to epicentrum Bożego Narodzenia! Rockefeller Center, występy Rockettes[31], łyżwiarze, świąteczne witryny w Saks, pieczone orzechy na każdym cholernym skrzyżowaniu!

Nadine wycelowwała w Tarę szczupły palec.

– A ty gdzie jesteś?

Tara rozejrzała się z poczuciem winy po swoim raj, który według Nadine nie miał świątecznej atmosfery, a potem opadła na leżak. Wyglądała na smutną i zmęczoną, niczym matka, której odebrano dzieci.

– Zwolnili mnie – powiedziała.

– Co takiego? – ton głosu Nadine natychmiast złagodniał. Usiadła.

– Co się stało?

– „Y&S” stracili restaurację w Las Vegas. Alain został u nas jako szef kuchni. Powiedziałam mu, że jest francuskim dupkiem i wielkim mazgajem, a jego sosy są bez smaku. Więc mnie wywalił.

– O, Boże! Tak strasznie, strasznie mi przykro – powiedziała Nadine i nagle zaczęła się śmiać.

– Uważasz, że to zabawne?

– Nazwałaś go mazgajem?

Tara także się roześmiała.

– Owszem – odpowiedziała – ale to „sosy bez smaku” rozsierdziły go do nieprzytomności.

– Trzasnął rondlem?

– Żartujesz? Szalał jak cała piekielna orkiestra. – Znowu zaniósł się śmiechem.

– Wiesz... – powiedziała Tara – ale było warto. Warto było zobaczyć wyraz jego twarzy.

Nadine wyciągnęła dłoń i wzięła Tarę za rękę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam ci psuć świąt – odparła Tara.

Po krótkiej chwili znowu zaczęły się śmiać jak szalone. Nadine otarła łzy z oczu, a Tara ścisnęła jej dłoń.

– Chodźmy – powiedziała. – Zrobimy ten popcorn.

– Popcornu się nie robi, popcorn się podgrzewa – pouczyła ją Nadine.

Zeskoczyła z łóżka i ruszyła do kuchni.

* * *

Gdyby Darren zachowywał się normalnie następnego dnia, Tara prawdopodobnie nie dociekałaby, co się stało. Miewała już w życiu do czynienia z humorzystami mężczyznami. Był niezadowolony, że ruszyła jego prezent, zdenerwował się i odesłał ją do domu, zamiast uprawiać z nią seks. I tyle. Nie próbowałyby z nim o tym rozmawiać, nie naciskałaby; w ogóle by jej to nie obeszło. W każdym razie – niespecjalnie. Oczywiście, zastanawiałyby się, kto mu przysłał prezent, dlaczego go schował, zamiast otworzyć, i co było w środku. Zwykła ciekawość – ale nic poza tym. Zachowanie Darrena sprawiło jednak, że chęć zrozumienia przerodziła się w potrzebę. Ignorował ją całkowicie przez cały kolejny wieczór w Gorącej Wiosce. Gdy przeszedł obok, nie mówiąc nawet „cześć”, nagle uświadomiła sobie, że spędza swój wymarzony urlop, wkładając co wieczór rękę do pyska elektronicznego renifera i udając, że krzyczy, żeby rozbawić miejscowych i zyskać choćby cień nadziei na przelotny romans. Aha, no i jeszcze sieroty, przypomniała sobie; robiła to przecież także dla sierot.

– Jedziemy na rodzinną wycieczkę – oznajmiła Tara.

– Organizujesz wycieczkę? – zainteresowała się Nadine. – Muszę to zobaczyć.

– Jedziemy na rejs łodzią ze szklanym dnem.

– Całkiem niezły pomysł – włączył się Phil.

– Czy będzie jakiś wątek świąteczny? – spytała Nadine.

– Miejmy nadzieję, że nie – odpowiedział Phil.

Nadine utkwiała w nim wzrok, ale on patrzył na nią, niewzruszony. Tara zdziwiła się; zwykle to Phil pierwszy uciekał wzrokiem. Nadine pogłaskała się po płaskim brzuchu. Tara zastanowiła się przelotnie, czy wszystko jest w porządku z dzieckiem. Natychmiast odegnała tę myśl, żeby przypadkiem niczego nie zapeszyć.

– Łódka – powiedziała Tiara. – Łódka!

Tara podniosła ją i zakręciła z nią taneczne kółko przez cały salon.

– Łódka – potwierdziła.

– Łódka Mikołaja – dodała Tiara.

– Wykapana mamusia – stwierdziła Tara. Rozejrzała się dookoła. – A skoro już mówimy o mamusiach – dodała – gdzie jest nasza?

Spojrzały obie na drzwi sypialni rodziców, nadal zamknięte, choć było już po dziewiątej rano.

– O której wrócili? – spytała Tara. Nadine wzruszyła ramionami.

Usłyszały głośny hałas, dobiegający z patio. Rodzice próbowali jak najciszej ustawić z powrotem przewrócone przez nieuwagę krzesło.

– Całą noc? – spytała Nadine. – Nie było ich przez całą noc?!

– Są pijani? – zainteresowała się Tara.

– No i bardzo dobrze – powiedział Phil.

Rodzice podnieśli głowy i zamarli, widząc, że są obserwowani.

– Ale chyba wiedzą, że nadal ich widzimy, co? – powiedziała Tara.

– Idźcie do siebie! – krzyknęła Nadine.

– Do siebie! – zawtórowała jej Tara.

Tara nie powiedziała nikomu, że to Darren obsługuje rejsy łodzią ze szklanym dnem. Nie uprzedziła go także, że Lane'owie wybierają się na wycieczkę. Ale przecież niedawno sam ją na to namawiał. W każdym razie dzień był przepiękny. Powietrze pachniało olejkiem do opalania, rybami, ananasami, no i, oczywiście, kokosem.

– Pies – powiedziała Tiara, wskazując paluszkami jakiś kształt na łodzi. No jasne, Pies siedział na rufie, obszczekując wchodzących turystów.

– Masz rację – Darren uśmiechnął się do małej. – Ma na imię „Pies”. – Posłał Tarze spojrzenie z ukosa. Przynajmniej ją zauważył.

– Tak – rzuciła Tara – to świetny patent: imię, które zapamięta nawet dwuletnie dziecko.

– Wchodzicie na pokład czy przyjechaliście zatopić mi łódź? – spytał Darren. W jego głosie zabrzmiało coś jakby uraza.

– Wchodzimy na pokład – Nadine ruszyła przed siebie.

Była to średniej wielkości łódź ze szklanym panelem o długości około dwóch metrów, wmontowanym w podłogę. Pasażerowie zgromadzili się wokół niego, wpatrując się w przezroczyste dno, choć łódź jeszcze nie ruszyła. Darren roześmiał się.

– Wszyscy to robią – zauważył pobłaźliwie.

Był perfekcyjny jako przewodnik: przystojny, zrelaksowany, obyty

z mikrofonem. Wymienił nazwy gatunków, które mieli szansę spotkać podczas rejsu. Nikt nie był zawiedziony. Pod dnem łodzi przesuwały się setki kolorowych ryb. Wśród pasażerów co i rusz rozlegały się pełne zachwyty „ochy” i „achy”. Tarze najbardziej spodobaly się neonki, błękitne i żółte, o barwach tak żywych, że zastanawiała się, czy na pewno są prawdziwe, i ogromne, majestatyczne żółwie o pomarszczonych pyskach i twardych skorupach, które nie zmieniły się od czasów prehistorycznych. Nadine i Tiara były też oczarowane trygonami. Tylko na Psie uroki podwodnego świata zdawały się nie robić żadnego wrażenia; siedział spokojnie w kącie, próbując złapać mrówkę, maszerującą po burcie.

Gdy odплыnęli wystarczająco daleko, Darren zgasił silnik. Stał przy sterze, wypatrując czegoś w oddali. Tara oderwała się od tłumu, ale kiedy podeszła do niego, nawet na nią nie spojrział. Odwróciła się więc, żeby wrócić do pozostałych. Nagle poczuła jego dłonie na swojej talii; przyciągnął ją do siebie. Czowała jego mocne ciało tuż przy swoim; ciepłe dłonie opiekuńczo obejmowały jej plecy. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie.

– Czekaj! – wyszeptał. – Zaraz tu będą.

W pierwszej chwili pomyślała, że żartuje.

– Kto taki?

Położył jej palec na ustach, a ona z trudem zwalczyła pokusę, żeby go pocałować. Albo chwycić między wargi. To byłoby raczej niewłaściwe. Nagle odsunął palec, teraz wskazywał nim coś na morzu. Zobaczyła niewielkie, szare kształty, pojawiające się na powierzchni wody i znów znikające w głębinach.

– Delfiny! – krzyknęła. – Delfiny! – opadła na kolana i oparła się o burtę. Darren ukląkł obok niej. Stado delfinów obserwowało ich z odległości metra, może dwóch. Tara doliczyła się czterech. Inni pasażerowie usłyszeli jej krzyk i zgromadzili się za ich plecami. Delfiny rozpoczęły przedstawienie – wyskakiwały w powietrze, odwracały się na grzbiety, by po chwili znów zanurkować wśród fal.

– O, Boże! – wyszeptała Tara. – Boże!

– Wyciągnij rękę – polecił Darren, wkładając jej w dłoń niewielką rybkę. Tara wyciągnęła dłoń – już po chwili tuż przed nią pojawił się

delfin, który zagruchał radośnie, po czym zjadł rybę prosto z jej ręki. Tara wychyliła się spontanicznie i pocałowała go w nos. Gdzieś za sobą usłyszała pisk Tiary.

– Pocałowałaś go – zawołała Nadine. – Masz swój romans! – Siostry roześmiały się razem, jak tylko siostry potrafią.

– Romans? – powtórzył Darren. Czyżby usłyszała cień zawodu w jego głosie? Właśnie zaczęli znowu się dogadywać. Tara odwróciła się do niego, a on, ni z tego, ni z owego, ją pocałował.

– A to za co? – spytała.

– Czy tylko delfiny mogą się dobrze bawić? – odparował.

Roześmiała się; pocałował ją znowu.

– Przepraszam cię za wczoraj – powiedział cicho.

– Ja też – odparła. Miał zamyślony wyraz twarzy. – Czy to prezent od byłej dziewczyny? – spytała, niewiele myśląc. Ku jej zdziwieniu, położył dłonie na jej talii i przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Romans – powiedział – ma być rozrywką. Żadnych poważnych rozmów.

– Więc jednak chcesz romansu?

– O, tak – zapewnił. – Mogę ci dać taki romans, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłaś.

29 Fircyk, Tancerz, Pyszałek i Złośnik to imiona kilku z zaprzęgu dziewięciu latających reniferów, które tradycyjnie ciągną sanie Świętego Mikołaja i pomagają mu dostarczać bożonarodzeniowe prezenty. Pozostałe to Kometek, Amorek, Błyskawiczny, Profesorek oraz Rudolf (*przyp. red.*).

30 Saturday Night Live – sobotni program rozrywkowy amerykańskiej telewizji NBC.

31 Rockettes – słynny nowojorski zespół taneczny.

Następnego dnia Tara ogłosiła, że Darren zabiera ją na całodniową, romantyczną wycieczkę. Nadine nie była tym zachwycona.

– Wyprawa do Hana! – powiedziała. – Ja też chcę jechać do Hana.

Tara poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Słyszała, że droga do Hana to oszałamiające krajobrazy i wspaniałe wodospady. Ale to miał być dzień eksploracji ukrytych jaskiń, oczek wodnych i – taką miała nadzieję – wzajemnych upodobań, także tych zmysłowych. Z pewnością nie miała to być rodzinna wycieczka.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to jest droga do Hana? – spytała Tara. Mieli jechać przez kilka godzin długą, krętą drogą przez góry. Sześćset zakrętów, czterdzieści pięć mostów. Tara nie mogła się doczekać.

– Jestem gotowa na przygodę – oświadczyła Nadine.

– Na tych krętych drogach pewnie zrobiłoby ci się niedobrze – tłumaczyła Tara.

– A to niby dlaczego?

– Bo jesteś w ciąży.

– Ach! – jęknęła Nadine. – Faktycznie.

– Poza tym, myślę, że ty i Phil powinniście wziąć przykład z naszych rodziców i zażyć nieco małżeńskiego szczęścia. Poproście mamę i tatę, żeby zostali z Tiarą na cały dzień.

– Masz rację – przyznała Nadine. – Może my też wybierzemy się do Hana.

– Jedźcie, dokąd chcecie – odparła Tara – tylko jeśli się spotkamy, po prostu udawajcie, że się nie znamy.

– Masz zamiar założyć na siebie cokolwiek poza bikini na tę wycieczkę?

– Nie.

Darren był dobrym kierowcą, toteż poddenerwowanie Tary, siedzącej obok niego w samochodzie, nie miało nic wspólnego z samą jazdą. Jego woda kolońska pachniała pięknie i przez kilka minut niemal obsesyjnie napawała się tym zapachem, zanim w końcu postanowiła

zapytać go o markę.

– To nie ja tak pachnę – roześmiał się Darren, drapiąc Psa za uszami. – To Pies. – Pies, który siedział między nimi w pickupie, przysunął się do niej, patrząc jej tęsknie w oczy. Odrobinę się ślinił. Tara pochyliła się i powąchała go. Faktycznie pachniał wodą kolońską.

– Przewrócił mi butelkę dzisiaj rano – wyjaśnił Darren. – Chyba się zakochał.

Tara roześmiała się, a Pies szczeknął. Odprężyła się, patrząc na bezkresne morze zieleni za oknem samochodu. Rosnące dziko kwiaty miały barwy tak żywe, że wyglądały jak zanurzone w ogniu. Brzeg oceanu był surowy, skalisty. To był prawdziwy raj. Droga przed nimi to wznosiła się, to opadała.

– Zaraz będzie naprawdę stromo – ostrzegł Darren – ale zanim pojedziemy dalej, pokażę ci tutaj pewne miejsce. – Zaparkował na poboczu. – Stąd musimy pójść na piechotę – dodał. – Nie masz z tym problemu?

– Skąd! – obruszyła się Tara. – Nie mam z tym żadnego problemu.

Skierowali się na leśną ścieżkę. Chłód cienia pieścił rozgrzaną skórę Tary. Pachniało cedrem i wodą oceanu. Gdzieś nad nimi skrzeczały papugi, rozmawiając ze sobą przy pomocy niezrozumiałych dla ludzi szczebiotów i krakań. Przypomniał jej się poprzedni dzień i wspólna sesja zdjęciowa z Nadine, z papugami. Papugi obsiadły ich głowy, ramiona i dłonie. Hawaje zdobyły jej serce. Papugi okazały się lepsze niż gołębie w Central Parku.

Ścieżka doprowadziła ich niebawem do ukrytego w lesie oczka wodnego, utworzonego przez spływający ze skały wodospad. Huk wody zagłuszał inne dźwięki. Wokół nie widać było żywej duszy. Pies, niewrażliwy na oszalamiające piękno krajobrazu, przedreptał spokojnie obok nich i wskoczył do wody. Tara zrzuciła ręcznik i klapki, i poszła w jego ślady. Darren także. Woda była ciepła, obmywała ciało niemal pieścotliwie. Tara zanurkowała, a gdy po chwili wynurzyła się na powierzchnię, zobaczyła tuż obok siebie mokry psi pysk.

– Słodki jesteś – powiedziała. – Ale nie ciebie miałam nadzieję tu zobaczyć.

Nagle poczuła silne ramiona, oplatające ją od tyłu. Usta Darrena

dotknęły jej ucha.

– A kogo miałaś nadzieję zobaczyć?

Nie odpowiadając, odwróciła się i pocałowała go. Pocałunki, początkowo delikatne i czułe, już po chwili stały się niecierpliwe i gorące. Błądzili po swoich ciałach wilgotnymi dłońmi. Świat zatrzymał się w miejscu; Tara zrozumiała, dlaczego Hawaje nazywa się „krajem, o którym zapomniał czas”. Wodospad otoczył ich kurtyną. Kolorowa papuga zaskrzeczała na pożegnanie z pobliskiej gałęzi i odfrunęła. Pies, zmęczony pływaniem, zwinął się w kłębek przy brzegu, taktownie odwracając od nich głowę. Nie przerywając pocałunku, Darren popchnął Tarę w pobliże wodospadu. Zanim zorientowała się, co się dzieje, znaleźli się pod nim. Darren próbował całować ją nadal, ale Tara zakrztusiła się wodą, spływającą wprost na nich. Podpłynęli odrobinę dalej i znaleźli się po drugiej stronie wodnej kurtyny.

– Próbowałaś mnie utopić? – zażartowała.

Roześmiał się.

– Najwyżej podtopić, żebym mógł zrobić ci sztuczne oddychanie – powiedział.

Pochylił się nad nią, jakby chciał to przeciwżyć. To był długi pocałunek. A potem Darren podniósł się, przesunął dłonią po jej włosach, wytarł jej oczy. Całował teraz jej powieki, policzki i szyję.

– To jest wspaniałe – szepnęła Tara.

– Ty jesteś wspaniała – mruknął.

Znowu ją pocałował, tym razem bardziej namiętnie; namiętność rosła z siłą wodospadu. Położył ją na dużej, płaskiej skale i choć z trudem mieścili się na niej oboje, wspiały się na nią. Ich dłonie błądziły po miękkich płaszczyznach i załamaniach ciała; badali je delikatną pieśczęcią. Tara czuła, że zbliżają się do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, gdy Darren oderwał się od niej.

– Nie wziąłem prezerwatyw – powiedział.

– Ależ jesteś romantyczny! – odparła Tara.

Znowu się roześmiał.

– Mam na ciebie taką ochotę... – pokręcił głową – ale pomyślałem, że nasz pierwszy raz powinien nastąpić w łóżu usłanym płatkami róż i że potem dostaniemy śniadanie do pokoju. No ale skoro już tu jesteśmy,

a ty wyglądasz tak pięknie... i tutaj jest pięknie...

– Ćśśśś... – powiedziała Tara. Pocałowała go znowu. – Poczekam – zapewniła go. Cofnęła się, spojrzała na nadgarstek, jakby miała na nim zegarek, i objęła go. – Jesteś gotowy? – spytała. Połaskotała go po karku czubkiem języka. Smakował solą i jakby przyprawami.

– Byłem gotowy – jęknął – ale już nie jestem. Jestem za bardzo napalony i zdenerwowany... Czas na plan B.

– Jaki plan B?

Darren zsunął się ze skały i chwycił ją za kostkę.

– Nie odważysz się – zawołała ostrzegawczo, ale on tylko się zaśmiał i pociągnął ją za sobą.

Zanurkowała, po czym wynurzyła się, kaszląc. Prysnał wodą w jej kierunku. Odpłaciła mu tym samym. Pies szczeknął i ponownie wskoczył do wody. Bawili się tak bez końca. Tara czuła się szczęśliwa jak dziecko. Gdy wreszcie wyszli z wody, owinęli się ręcznikami i ruszyli z powrotem do samochodu, uderzyła ją nagła myśl: że nigdy dotąd nie bawiła się tak doskonale.

Zatrzymali się przy małym straganie, żeby kupić truskawki, mango i kiwi. Darren kupił też słynny hawajski chlebek bananowy, miękki i słodki, o prawdziwie rajskim smaku. Tara zastanawiała się właśnie, dlaczego tak bardzo ma ochotę nakarmić go truskawkami, gdy Darren pochylił się nad nią i włożył jej truskawkę do ust. Pogłaskał palcami jej usta; jego pocałunki były słodkie.

– Co cię tak bawi? – zapytał, kiedy wybuchnęła śmiechem.

– Czuję się taka beztroska i lekkomyślna – odparła. Jak zakochana nastolatka, pomyślała.

Ruszyli dalej; z radia sączyła się melodia kolędy, Pies, wykończony, leżał między nimi, częściowo rozłożony na kolanach Tary. Nowy Jork wydawał się bardzo odległy, podobnie jak restauracja, związany z nią stres i jej pseudofaceci z Manhattanu. To były świetne wakacje. A jednak już niebawem to one staną się odległym wspomnieniem. Tara wiedziała, że wróci do swego mieszkania, znowu będzie unikała pytań Nadine na temat ostatniej randki w Centrali Pokrewnych Duszy, będzie szukała pracy. Może od czasu do czasu ona

i Darren wymienia maile, pewnie zadzwonią do siebie od czasu do czasu, ale jak długo to potrwa? Nie potrafiła wyobrazić sobie, że mieszkają razem na Manhattanie; on był człowiekiem, który potrzebuje dużo przestrzeni i mało stresu. Nie, miasto nie miało mu nic do zaoferowania. Ona natomiast, mimo swoich narzekań, nie miała wątpliwości, że w gruncie rzeczy nie potrafiłaby porzucić Nowego Jorku. Nawet dla rajy na ziemi.

– O czym myślisz? – zapytał Darren.

Tara przygryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Od tak dawna żaden mężczyzna nie pytał jej, o czym myśli. Sarkastyczne „Ciekawe, o czym ty znowu myślałaś?” zupełnie się nie liczyło.

– Myślę o tym, jak kompletnie różne od tego jest moje życie na Manhattanie – powiedziała.

– Nie umiem sobie nawet tego wyobrazić.

– Byłeś tam kiedykolwiek?

– Jako dziecko – odparł Darren. – Z mamą. – Zacisnął ręce na kierownicy, a to, co powiedział, zabrzmiało jakoś głucho.

– Dobrze się bawiliście?

– Tak. – Ton jego głosu wskazywał jednoznacznie, że nie chce o tym więcej mówić. Rozmowy o matkach były najwyraźniej zakazane w warunkach przelotnego romansu. A przecież sam poznał już jej całą zwariowaną rodzinę, chociaż nie przedstawiła go jako swojego chłopaka...

Nie był jej chłopakiem. To był tylko przelotny, wakacyjny romans. Będzie musiała częściej sobie o tym przypominać. Gdyby był jej chłopakiem, nie dałaby mu się zbyć tak łatwo. Ale skoro nie chciał snuć wspomnień, to nie.

Jakiś samochód nadjeżdżał z naprzeciwka. Na ciasnym zakręcie było dość miejsca zaledwie na jeden wóz. Darren z wprawą odbił o centymetr w prawo, drugi kierowca zrobił to samo. Kiedy się mijali, samochody niemal otarły się o siebie.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała. Nie potrafiła wyobrazić sobie własnego ojca prowadzącego minivana z taką gracją. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak bierze zakręty, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą próbując czyścić zęby nicią dentystyczną. – Moi

rodzice świetnie się tu bawią – powiedziała.

– To wspaniale – skostatował Darren.

Tara jęknęła.

– Ale to okropne! Jak dla nas, okazują sobie uczucia nazbyt ostentacyjnie.

Darren roześmiał się i wziął ją za rękę.

– To zasługa tutejszego powietrza – powiedział, mrugając do niej.

– Dlaczego nie masz dziewczyny? – usłyszała własny głos.

Co ty wyprawiasz? – pomyślała w popłochu. – Łamiesz wszystkie reguły romansu. Ale może jednak miała prawo wiedzieć? Wszystko wskazywało na to, że nie jest sam i że jego dziewczyna po prostu wyjechała na święta.

– A ty? Dlaczego nie masz chłopaka? – spytał.

– Bo mieszkam w Nowym Jorku – odparła.

– Może powinnaś się przeprowadzić – powiedział.

Ciągle trzymał ją za rękę. Żartował? Ale zaraz... nie powiedział, że mogłaby się przeprowadzić tutaj – powiedział tylko „Może powinnaś się przeprowadzić”. Mógł mieć na myśli New Jersey. „Może powinnaś się przeprowadzić do New Jersey”.

– Może – powiedziała licząc w skrytości ducha, że zabrzmiało to nonszalancko. – Mogę właściwie mieszkać w każdym miejscu, gdzie znajdę ludzi lubiących jeść.

Roześmiał się znowu i ten dźwięk napełnił ją błogim szczęściem. Uwielbiała jego śmiech. Uwielbiała sprawiać, żeby się śmiał.

– Drętwieją mi nogi – poskarżyła się. Darren zagwizdał, a Pies zerwał się na równe nogi.

– Przykro mi – powiedział Darren, patrząc na jej nogi. – No, ale trudno mu się dziwić.

Zatrzymali się niedaleko grobu Charlesa Lindbergha[32] i zjedli lunch, przygotowany przez Tarę. Darren wydawał liczne odgłosy, świadczące o tym, jak bardzo mu wszystko smakowało. Tara wołałaby, żeby przestał – jego uwielbienie zaczynało powoli na nią działać, wzmagając pożądanie. Zmieniła więc temat; rozmawiali o pełnym przygód życiu Lindbergha i o tragedii, która go spotkała. Tara uświadomiła sobie, że morał jest prosty: trzeba żyć pełnią życia. Wbrew

przeszkodom i trudnościom.

Po lunchu oboje poczuli, że są najedzeni i senni. Wyciągnęli się na trawie. W Nowym Jorku bywała zmęczona po całym dniu biegania po mieście, to było jednak inne zmęczenie – pływanie i słońce sprawiły, że czuła się zrelaksowana, przepełniało ją zadowolenie. Usnęła z głową opartą o pierś Darrena.

Gdy się ocknęła, nie mając pojęcia, która jest godzina, stwierdziła, że ma na głowie kapelusz i jest przykryta koszulą, żeby słońce zanadto jej nie spiekło. W pierwszej chwili chciała go skomplementować, że jest jak na przelotny romans bardzo opiekuńczy, ale zrezygnowała, nie mając pewności, jak zostaną odebrane jej słowa.

– Co za życie! – westchnęła zamiast tego. – A wydaje się takie proste, wręcz sielankowe.

– Bo jest proste – odparł Darren.

– Nie w moim świecie – stwierdziła Tara.

– To kwestia wyboru – skonstatował Darren. Delikatnie zsunął ją z siebie i wstał. Wyciągnął ręce do Psa i przytulił go. – Dlatego właśnie my żyjemy tylko we dwóch, ja i Pies – powiedział. – Ja, Pies, mój samochód, moja dorywcza praca. Raz do roku Gorąca Wioska. Tak wygląda moje życie. Spokój, skarbie, tylko spokój.

Coś w jego głosie sprawiło, że w głowie Tary zabręczał dzwonek alarmowy. Odsuwał się od niej. Nawet się jeszcze nie kochali, a on już się od niej odsuwał. Dlaczego mężczyźni są tacy? W jednej chwili dyszą żądzą kobiecie do ucha, a w następnej są gotowi wyprowadzić się w morze? Ale czego się spodziewała? To był przelotny romans. Romans i tylko romans. Z facetem, który nie zabrał nawet ze sobą prezerwatyw, choć miał ich tyle porzrzucanych po ogródku. No cóż, najwyraźniej nigdy nie był harcerzem. Sielankowy nastrój nagle gdzieś się ulotnił.

– Masz zamiar przeżyć w ten sposób resztę życia? – zapytała.

Zmiana nastąpiła nieomal natychmiast. Jego oczy zrobiły się czujne.

– Coś ci się nie podoba w moim życiu? – odpowiedział zaczepnie.

– Nie mnie to oceniać – odparła Tara – ale nie można wykpić się ze wszystkich życiowych obowiązków. To znaczy ja też czasami mam ochotę rzucić wszystko – mogłabym się tutaj przeprowadzić, otworzyć

mały bar i sprzedawać tubylcom i turystom pyszności na wynos.

Po co to powiedziała? Czuła, że przepelnia ją złość i niechęć do świata; przepływała przez nią zła energia. Zachowywała się dziecinnie, zupełnie jak Nadine. Wybrała sobie włóczkę, a teraz próbuje go nawracać? Przecież nie zabierze go ze sobą do domu. Przelotne romanse nie mają znaczenia.

– To dlaczego tego nie zrobisz? – spytał.

– Czego?

– Dlaczego się tu nie przeniesiesz i nie otworzysz baru na wyspie, żeby sprzedawać turystom pyszności na wynos?

– Śmiejesz się ze mnie.

– Absolutnie nie. – Przysunął się bliżej i pocałował ją w nos.– Próbowałem tych twoich pyszności. Myślę, że to byłby przebój.

Nie wierzyła własnym uszom. Zachowywał się jak dorosły. Ona zaczęła się dąsać nie wiadomo o co, a on przeszedł nad tym do porządku dziennego i zachował spokój. Wstała.

– Łamiesz zasady przelotnego romansu – poinformowała go.

Darren siedział dalej na trawie.

– Słucham?

– Nie rozmawia się o przyszłości, o wspólnym zamieszkaniu podczas przelotnego romansu.

– Nie mówiłem o naszej przyszłości, tylko o twojej przyszłości.

– I powinnam przeprowadzić się akurat tutaj, żeby założyć bar?

– Możesz założyć bar na dowolnej innej wyspie – powiedział Darren. Jego słowa zabrzmiały logicznie i spokojnie. Rozwścieczył ją tym bezgranicznie.

– A więc nie robi ci to różnicy? – stwierdziła.

– A dlaczego miałoby mi to robić różnicę? – spytał wyzywająco.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, zupełnie jakby założyli się, kto pierwszy mrugnie. Żałowała tej kłótni – miała ochotę wdrapać się na niego i wreszcie skosztować tę miłosną przygodę. Boże, jaki on był seksowny! No ale i charakter miał niełatwy. Czyżby źle go oceniła? W chwili gdy doszła do wniosku, że to wszystko jej wina, i już miała go przeprosić, on wstał zirytowany.

– Powinienem był się domyślić, że czekają mnie wyłącznie

kłopoty, od momentu gdy zaczęłaś to gadanie o seryjnym mordercy.

– To nie ja... To moja matka i siostra...

– Te same zwariowane geny. – Darren podniósł pusty kosz piknikowy i zaczął zbierać do niego resztki lunchu.

– Zwariowane? Ja przynajmniej nie trzymam w szafie latami zapakowanych prezentów gwiazdkowych – powiedziała Tara.

To wystarczyło. Zawrócił i popatrzył na nią. Odwróciła wzrok. Ruszył w kierunku samochodu.

Długa i kręta droga powrotna upłynęła im w całkowitym, wrogim milczeniu. Nawet Pies nie chciał już spać na jej kolanach. Darren wysadził ją przed bungalowem.

– Do zobaczenia w Gorącej... – zaczęła.

– Nic z tego. Znajdę kogoś, kto cię zastąpi.

Zdziwiła się, jak bardzo ją zabolęły te słowa. Chciała coś powiedzieć, żeby to odwrócić. Chciała przeprosić. Powinni zaraz podjechać do najbliższego sklepu po prezerwatywy. Czy to jej wina? Czy on nie rozumie, że po całym dniu na słońcu, bez odrobiny seksu, kobieta ma prawo do pewnych kaprysów? Miało przecież być wesoło. Spędziła najlepsze popołudnie swojego życia. To się nie mogło tak skończyć. Nie mogło. Czy naprawdę to wszystko dzieje się z powodu jakiegoś gwiazdkowego prezentu?

– Świetnie – powiedziała Tara. To słowo zabrzmiało w jej głowie echem, pustym i smutnym.

– Świetnie – powiedział Darren.

– I tak przyjdę na *luau* – uprzedziła go. – Nie mam najmniejszej ochoty przygotowywać dwunastu odmian tłuczonych ziemniaków tylko po to, żeby zadowolić Nadine.

– Stolik będzie czekał – zapewnił Darren.

– Czyli to by było na tyle, jeśli chodzi o przelotny romans – podsumowała Tara. – Rozumiem, że już się naromansowaliśmy.

– Wyjątkowo zgadzam się z tobą – odparł Darren.

Wycofał samochód z podjazdu, wzbijając chmurę czerwonego pyłu. Tylko Pies rzucił jej na odjezdnym tęskne spojrzenie.

32 Charles Lindbergh (1902–1974) – pionier lotnictwa amerykańskiego, który jako pierwszy w 1927 roku przeleciał – samotnie

i bez międzylądowań – pomiędzy lądem Ameryki Północnej a Europą.
Był generałem brygady US Army, doktorem *honoris causa* Uniwersytetu
Illinois i innych uczelni.

Tara poruszała się zwinnie w ciepłej wodzie. Obok niej Nadine gestykulowała dziko w kierunku Tiary za każdym razem, gdy obok przepływała ryba. Tara uważała dotąd, że Tiara jest stanowczo za mała na nurkowanie z rurką, ale okazało się, że jej siostrzenica radzi sobie jak... jak ryba w wodzie.

Zaśmiała się z tego niezamierzonego dowcipu. To dopiero było życie! Nie potrzebowała Darrena. Wystarczyło jej nurkowanie z Mikołajem. Niestety, Tiara kompletnie nie była zainteresowana rybkami, przepływającymi przed maską. Interesował ją wyłącznie grubas w czerwonym stroju płetwonurka. Tara zastanawiała się, czy to nie będzie miało destrukcyjnego wpływu na jej młody umysł – Mikołaj i jego dwunastu nurków zamiast dwunastu reniferów. Pomyśleć, że to wszystko – ta wycieczka, życie tutaj, jej przelotny romans, to wszystko stało się za sprawą właśnie renifera.

Darren znalazł kogoś zamiast niej do Gorącej Wioski. Właściwie przyniosło jej to ulgę – świadomość, że nie musi już brać w tym udziału. Nawet, jeśli było fajnie. Nawet, jeśli miał trochę racji co do świąt i związanego z nimi stresu. W każdym razie wybierali się na *luau*. Czy Darren tam będzie? Czy ktoś z nim przyjdzie? Czy otworzy ten swój prezent, od kogokolwiek go dostał? Właściwie już jej to nie obchodziło.

Dobrze, że przynajmniej rodzice ciągle dobrze się bawili. Nadal interesowali się wyłącznie sobą nawzajem. Jaki był ich sekret? Phil natomiast wyglądał na znękanego, pływał, jakby miał ręce i nogi spętane łańcuchem. Biedna Nadine, miała rację: rzeczywiście najwyraźniej coś go gryzło. Nadine zwróciła się do Tary, pokazując gestami, że ma zamiar wrócić na brzeg. To nie był zły pomysł; nareszcie miała trochę czasu na opalanie.

Obróciła się w wodzie i wpadła na kogoś. Maski i rurki zsunęły jej się z twarzy; walczyła z nimi bezskutecznie. Nieznajomy płynął obok niej. Minęła dłuższa chwila, zanim udało jej się ściągnąć maskę i wytrzeć oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał męski głos.

– Przepraszam – odparła Tara. Wreszcie odzyskała wzrok. Na wodzie tuż przed nią unosił się Darren. Nie wydawał się zdziwiony; w dodatku patrzył na nią z prawdziwą troską.

– Śledzisz mnie? – spytała Tara.

– Co takiego?

– Prześladujesz mnie pod wodą!

– Prześladuję cię pod wodą?

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– O rany, nie wiem – może wszczepiłem ci mikroczip?

– Przyszedłeś, żeby mnie przeprosić?

O, niech tak będzie, błagam, pomyślała. Naprawdę liczyła na dalszy ciąg romansu. Poza tym bardzo chciała wrócić do Gorącej Wioski. Jak mogło jej się tam nie podobać? Każdy wieczór był pełen śmiechu. I Darrena. Każdy wieczór był pełen Darrena.

– Nie – odpowiedział. – Nie przyszedłem, żeby cię przeprosić.

Nagle, tuż obok niego, z wody wynurzyła się kolejna osoba. Tara była pod wrażeniem rozmiarów jej piersi. Prawdę mówiąc, była w szoku, że kobieta w ogóle jest w stanie pływać. Zdawałoby się, że z takim biustem może wyłącznie unosić się na wodzie. Kobieta zdjęła maskę i Tara z rozpaczą stwierdziła, że jej twarz może faktycznie z powodzeniem odwracać uwagę od klatki piersiowej.

– Co się z tobą dzieje? – zwróciła się do Darrena. Potem spojrzała na Tarę, i uśmiechnęła się szeroko. Tara miała ochotę ją ugryźć.

– Utknąłem w korku – odpowiedział.

Kobieta uśmiechała się dalej, gdy Tara i Darren patrzyli na siebie.

– Nie masz zamiaru nas sobie przedstawić? – spytała.

– Nie – odparł Darren. A potem otoczył biuściastą piękność ramieniem i pokierował ją w inną stronę.

– Widziałeś tę cycatą obok niego? – zapytała Tara.

– Ten człowiek ma jakiś problem – zdecydowała Nadine.

– Dziękuję ci.

– No, bo kto robi wioskę świąteczną tylko dla dorosłych?

– I kto wolałby taką cycatą zamiast mnie, prawda?

– Coś musiało wykrzywić umysł tego człowieka – stwierdziła

Nadine.

– Dziękuję ci.

– Chodzi mi o tę wioskę.

Wrócili do domu wyczerpani, lekko spieczeni słońcem.

Przynajmniej raz rodzice zachowywali się jak normalni ludzie – prawie na siebie nie patrzyli i prawie ze sobą nie rozmawiali. Tara i Nadine siedziały obok siebie na patio, oglądając zachód słońca. Nadine wyciągnęła palec wskazujący i potrząsnęła nim.

– Założę się, że to ma jakiś związek z tym prezentem gwiazdkowym, który znalazłaś – powiedziała.

W jej głosie zabrzmiał szczególny ton; ten sam, którego używała, organizując urodziny, pępkowe i przyjęcia świąteczne na dwieście osób. Tara wzruszyła ramionami.

– Bez znaczenia – powiedziała. – To już skończone.

– Myślę, że to dobra dusza – powiedziała Nadine. – Potrzebuje tylko anioła stróża, który by nim pokierował.

– Nadine!

– Musimy się dowiedzieć, co jest w tej paczce.

– Musimy o tym zapomnieć – odparła Tara. – Nie – poprawiła się.
– Już zapomnieliśmy.

* * *

Nadine i Tara zakradły się do ogródka przed domem Darrena. Ciemność zapadała powoli, świąteczne lampki świeciły, w oddali słyhać było rozbawione głosy świętujących.

– Mają tam chyba niezłą imprezę – zauważyła Nadine.

– Mówiłam ci – odparła Tara. – Tak jest co wieczór.

– Jezu! – jęknęła Nadine, wyciągając szyję i próbując dostrzec, co dzieje się za rogiem.

– Nie jest tak źle – uspokoiła ją Tara. – Pokażę ci.

– Powinniśmy zakraść się do środka przedtem czy potem? – spytała Nadine.

– Mówiłam ci już, że nie będziemy tego robić. Zwiedzimy wioskę i wracamy do domu. Nie mam zamiaru rozpakowywać jego prezentu.

Ostatnim razem Nadine była w wiosce tak krótko, że właściwie

widziała tylko Tarę. Tym razem obejrzała wszystko dokładnie. Świętego Mikołaja dokazującego z panienkami w bikini, elfy produkujące zabawki wyłącznie dla dorosłych, kolędników śpiewających sprośne piosenki na melodię kolęd. Tara miała wielką nadzieję, że wystawa pod hasłem „Atak renifera” będzie zamknięta, okazało się jednak, że Darren faktycznie znalazł jej następczynię.

W osobie nurkującej cycatej.

Tara chwyciła Nadine za ramię.

– To Cycata – wionęła jej do ucha.

Nadine patrzyła, jak biuściasta blondynka wkłada nadgarstek do pyska renifera i wrzeszczy. Zaniósła się szczerym śmiechem.

– To miałaś być ty? – powiedziała. – O, Boże, to naprawdę zabawne.

– To nie jest zabawne – odparowała Tara. Mimo to sama również wydała cienki chichot, który próbowała stłumić, ale wesołość wzięła górę. Już po chwili obie z Nadine zaśmiewały się niczym pensjonarki.

– Gdzie on jest? – spytała Nadine. – Mam z nim do pogadania.

– Przepraszam – zwróciła się Tara do swojej dublerki. – Wiesz może, gdzie jest Darren?

– Pojechał gdzieś – odparła cycata. Wsadziła rękę do pyska renifera i zaczęła krzyczeć.

– Bardzo profesjonalnie – powiedziała Nadine.

– To nie ta ręka – poinformowała cycatą Tara.

* * *

Stały w salonie Darrena.

– To nie w porządku... – miała opory Tara.

– Słuchaj – przerwała jej Nadine – jestem w ciąży. Założę się, że nikt nie będzie miał pretensji za to, że tu weszłam w poszukiwaniu łazienki.

– W takim razie idź do łazienki.

– A jeśli przypadkowo otworzę drzwi do szafy zamiast drzwi do łazienki?

Nadine podeszła i otworzyła drzwi do szafy. Prezent znajdował się w tym samym miejscu, w którym poprzednio znalazła go Tara. Nadine

upuściła go na podłogę, po czym zaczęła przeszukiwać swoją torebkę, niczym włamywacz przygotowujący się do otwarcia sejfu. Wygrzebała z niej nożyczki, taśmę i parę czarnych rękawiczek.

– Nie przesadzasz troszeczkę? – spytała Tara, widząc, jak siostra naciąga rękawiczki.

– Dziś potrafią ze wszystkiego zdjąć odciski palców – poinformowała ją Nadine.

– Czyżby twoje odciski palców zdążyły już trafić do bazy danych FBI? – zdziwiła się Tara. – Za co? Za publiczne przejawianie nadmiernej ekscytacji Bożym Narodzeniem?

– Zamknij się i stój na straży – poleciła Nadine. – Czy nikt tu nie idzie?

– Tylko kilka elfów – odparła Tara. Nadine gapiła się na nią. – Po prostu to zrób – naciskała Tara.

– No, dobrze... Operacja „Otwórz prezent” rozpoczęta. – Nadine ustawiła ostrożnie pudełko na podłodze. Obejrzała je dokładnie. Następnie wyjęła z torebki ogromną lupę i zbliżyła ją do prezentu.

– Dobra, dobra, panno Holmes – popędzała ją Tara. – Ruszaj się! Nadine wyjęła otwieracz do listów i bez trudu otworzyła prezent. Tara uklękła obok siostry i zajrzała do pudełka.

– Rękawica baseballowa? – powiedziała, gdy Nadine podniosła ją do góry.

– Nie wejdzie nawet na moją rękę – stwierdziła Nadine.

– To dziecięcy rozmiar. – Z rękawicy wyfrunął kawałek papieru i spadł na podłogę. – Podnieś go – syknęła Nadine. – Podnieś! – To był list. – No, czytaj! – ekscytowała się. – Operacja „Czytaj List”! – Tara posłała jej kuksańca, a następnie przystąpiła do operacji „Czytaj List”.

Najdroższy Darrenie,

jesteś moim całym światem. Chciałabym mocno Cię uściskać, ale ponieważ nie mogę tego zrobić, niech ta rękawica przekazuje Ci całą moją miłość i ciepło za każdym razem, kiedy ją założysz. Nawet nie myśl o tym, żeby rezygnować z baseballu! Jestem przekonana, że czeka Cię w tym roku mnóstwo zwycięstw. Zamykam oczy i myślę o wszystkich piłkach, które złapiesz dzięki tej rękawicy, i o wszystkim, co osiągniesz w życiu. Jesteś moim odważnym, silnym chłopcem. Wiem, że będzie Ci

smutno, ale poradysz sobie. Zrób to dla mnie. Żyj dla mnie najlepiej jak potrafisz. Wesółch Świąt, kochanie! Wiem, że to będzie dla Ciebie trudne – Twoje pierwsze święta beze mnie. Bądź dzielny.

Chcę, żebyś był szczęśliwy, i obiecuję, że będę przy Tobie zawsze, czuwając nad Tobą, kiedy będziesz chwycił w ramiona cały świat. Wesółch Świąt teraz i zawsze!

Kocham Cię bardzo,

Twoja Mama

(Twoja na zawsze)

Tara czuła, że łzy spływają jej po policzkach. Nadine także płakała, sapiąc cichutko po każdym zdaniu.

Przeczytały list jeszcze raz.

– On tego nigdy nie przeczytał – powiedziała Nadine. – Nawet nie otworzył tej paczki.

– My też nie powinnyśmy były tego robić – martwiła się Tara. – Nie wierzę, że to zrobiłyśmy.

– Żartujesz chyba? – zachnęła się Nadine. – Zostałyśmy wezwane.

– Wezwane?

– Przez jego matkę – wyjaśniła Nadine wściekłym szeptem, wskazując na sufit. – Chce, żeby dzięki nam on to znalazł i przestał wreszcie robić sobie zboczone żarty ze świąt! – Nadine promieniała entuzjazmem, a w jej oczach, pełnych łez, lśnił gorączkowy blask. – Ojca też nie miał?

– Nie mam pojęcia.

– Nic o nim nie pisze. Pewnie tak. Był sierotą.

– Jak Pip – powiedziała Tara.

– Co?

– Nic takiego. Szybko, zapakuj to z powrotem.

– Musimy coś zrobić.

– I zrobimy. Pakuj!

Trzasnęły drzwi. W ich uszach zabrzmiało to niczym wystrzał z pistoletu. Tara i Nadine poderwały głowy do góry. W drzwiach stała cycata. Jej biust jaśniał blaskiem świątecznych lampek.

– Wystarczyłoby tego, żeby oświetlić sanie Świętego Mikołaja – szepnęła Tara do Nadine.

– Co wy tu robicie? – spytała kobieta.

– Szukałyśmy łazienki – zawołała Nadine. – Jestem w ciąży.

– Aha – odparła blondyna. Wskazała kierunek. – Tam, na końcu korytarza.

– Dziękuję – pisnęła Nadine.

– Pozwolisz, że pójde pierwsza? – spytała blondyna. – Jestem w pracy.

– Proszę bardzo – zapewniła Nadine.

– Dzięki, dzięki, dzięki – szybko przeszła obok nich i zniknęła w korytarzu. Tara starała się nie patrzeć na jej perfekcyjny tyłek.

– Robi wszystko, żeby utrwalić stereotypy – powiedziała Nadine, potrząsając smutno głową.

– Zamknij się i pakuj! – warknęła Tara.

Tara i Nadine, które nie mogły sobie nawet wyobrazić, jak by to było stracić rodziców w tak wczesnym dzieciństwie, wróciły do bungalowu i tak długo okazywały miłość swoim rodzicom, że ci wreszcie zamknęli się na klucz w swojej sypialni. Potem, zgodnie z sugestią Tary, Nadine i Phil poszli przejść się po plaży. Tara modliła się, żeby udało im się dojść do porozumienia. Idąc w stronę plaży, nie trzymali się za ręce, a Tara starała się tym nie martwić i nie zastanawiać się, co to może oznaczać. Poza tym czuła się winna, że pozwoliła Nadine otworzyć prezent Darrena, z drugiej strony jednak miała poczucie, że dzięki temu poznała go lepiej. Tyle była warta cała ta gadanina o stresie związanym ze świętami i o doprowadzaniu ludzi do śmiechu. Nie lubił Bożego Narodzenia z powodu traumy przeżytej w dzieciństwie, ot co. Tara zresztą nie mogła go za to winić. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że traci kogoś, a tym bardziej matkę, akurat w czasie świąt. Może Nadine miała rację. Może wskazano im drogę, żeby mu pomóc. Ale jak? Co powinny teraz zrobić? Postanowiła wysłać mu SMS-a.

Przykro mi. Słyszałam, że wyjechałeś. Wszystko w porządku?

Naciskając przycisk „Wyślij”, poczuła, że ma spocone ręce. Odpisze? Gdzie on się w ogóle podział? Tęskniła nawet za Psem. A zbliżała się Wigilia. Czas biegł tak szybko!

Nagle usłyszała uderzenie o ścianę i zeskoczyła z kanapy. Przerazona, wpatrywała się w zamknięte drzwi sypialni rodziców. Spoza nich dobiegł ją znajomy dźwięk trzeszczącego materaca, a potem usłyszała miarowe stukanie nagłówka podwójnego łoża o ścianę. Wybiegła na patio. Kto by pomyślał, że jej rodzice jako jedyni będą potrafili wykorzystać pobyt na wyspie do maksimum?

Wróciła do Gorącej Wioski. Nie ośmieliłaby się przyznać do tego Nadine, ale brakowało jej tej zabawy. Stojąc przed domem, patrzyła, jak ludzie się śmieją. Zerknęła na swój telefon. Darren nie odpowiedział. Sama się sobie dziwiła, jak strasznie za nim tęskni. Jej blond zastępczyni właśnie opuściła swój posterunek i zmierzała w kierunku domu.

– Halo! – zawołała do niej Tara.

– O, cześć! – odpowiedziała blondyna. – Robię sobie chwilę przerwy. Ta praca jest taka ciężka! – Tara zaczęła się śmiać, ale po chwili przestała, widząc, że biuściasta mówi poważnie.

– Mogę za ciebie skończyć zmianę, jeśli chcesz – zaproponowała.

– Naprawdę?

– Byłam twoim pierwowzorem.

– E...?

– Nieważne. Zrobię to z przyjemnością.

– Super, dzięki, siostró. Mam nieziemską randkę.

– Z Darrenem? – Tara poczuła, jak w jej żołądku osiada ciężka, ołowiana kula.

– Z Darrenem? – parsknęła blondyna. – Próbowałam z nim, ale to stracony przypadek!

– Dlaczego?

– Bo jemu nie chodzi o randki, tylko o związek. – Tara poczuła, jak wypełnia ją radość. W tym samym momencie usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a.

Przeprosiny niepotrzebne. Do zobaczenia na luau?

To był znak. Tym razem miała zamiar zrobić wszystko jak należy.

To Nadine zaproponowała wycieczkę do wulkanu Haleakala po wschodniej stronie Maui. Tara ogromnie chciała jej opowiedzieć, co słyszała na temat Darrena, postanowiła jednak, że skupi się teraz na innych, a nie na sobie. Chciała również dowiedzieć się, jak przebiegła rozmowa Nadine z Philem, i obiecała sobie, że nic nie powie, dopóki nie uzyska tej informacji.

Wulkan znajdował się w Parku Narodowym Haleakala, z dala od oceanu, wśród przepięknych gór – ich wierzchołki tonęły w chmurach; czekała ich wspinaczka i zapierające dech w piersiach widoki. Tara nie mogła nie zauważyć, że Phil i Nadine nadal nie trzymają się za ręce ani nie wymieniają miłosnych spojrzeń, w przeciwieństwie do rodziców. Tiara też była marudna; Tara czuła, że rola radosnej przewodniczki coraz bardziej jej ciąży.

Cieszyła ją myśl, że Darren nie szuka przelotnych romansów, a skoro chciał zaangażować się w związek z nią, to znaczyło, że naprawdę mu na niej zależy. Zmiana jego zachowania w stosunku do niej także tego dowodziła. Nie znaczyło to jednak, że wie, co z tym zrobić. Ona mieszkała w Nowym Jorku, a on na wyspie.

Dojechali w końcu do parku, wygramolili się z samochodu i ruszyli w stronę krateru.

„Joe kontra wulkan”, pomyślała Tara, gdy wspinali się w górę. Zaraz potem zniknęli rodzice. Reszta przywykła już do tego; zresztą byli zbyt zmęczeni, żeby organizować akcję poszukiwawczą. Wreszcie wybuchła awantura. Tara pilnowała siostrzenicy, która upatrzyła sobie w trawie jakiegoś robaczka, gdy Nadine i Phil zaczęli się kłócić. Czyli – nicy z małżeńskiego porozumienia. Nagle Phil złapał Tiarę na ręce i ruszył z nią w przeciwnym kierunku.

– Ty się użeraj ze swoją siostrą! – powiedział do Tary. – Ja rezygnuję w tym roku z Bożego Narodzenia.

– Nie możesz zrezygnować z Bożego Narodzenia – krzyknęła za nim Nadine. – Czegoś takiego się po prostu nie robi!

- Popatrz na mnie, to się przekonasz – odkrzyknął Phil.
- A co z twoją córką? Ona chce mieć święta!
- Ona ma dwa lata, Nadine. Chce chodzić za robaczkami wokół wulkanu.

Tara stwierdziła, że szwagier w sumie ma rację, rozważnie jednak nie otwierała ust. Phil oddalał się z Tiarą coraz bardziej.

- Nie jestem w ciąży! – krzyknęła Nadine.

Phil zamarł w miejscu. Odwrócił się powoli.

- A byłaś? – spytał. Nadine wolno pokręciła głową.
- Tak myślałem – stwierdził.

- Wiedziałaś?

- Podejrzewałem.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- A dlaczego mnie okłamałaś?

- Bo próbowałam ratować nasz związek.

- Wymyślając sobie dziecko?

– To było szalone, wiem. Ale byłeś ostatnio taki odległy, taki zimny. Myślałam, że jeśli ci powiem, że jestem w ciąży, to nie odejdiesz.

- Co masz na myśli? A dokąd niby miałbym odejść?

- Może do swojej dziewczyny?

- Co takiego?

- No, już, Phil, powiedz mi. Masz romans?

- Mówisz poważnie?! Naprawdę tak myślisz?

– Sama już nie wiem, co myśleć. Równie dobrze mógłbyś sypiać z elfem z galerii handlowej!

Phil wyrzucił ramiona w górę i potrząsnął głową.

– Nie sypiam z elfem z galerii handlowej – oświadczył. – Ani z nikim innym.

- Więc o co chodzi? Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

- Chodzi o ciebie, rozumiesz?

- Jak to?

– Te twoje niekończące się imprezy, dekoracje, planowanie przyjęć, wysyłanie kartek świątecznych, wieszanie lampek, kupowanie prezentów, pieczenie ciasteczek, łańcuchy z popcornu, odgrywanie

scenek, robienie świątecznych zdjęć, puszczanie Binga Crosby'ego do porzygania... Można by tak wymieniać bez końca.

– Ale... to przecież Boże Narodzenie.

– Wiem. Wiem, że to Boże Narodzenie. Ale to za wiele i, szczerze mówiąc, zdążyłem już to znienawidzić. I raz do roku – mniej więcej od Halloween do Sylwestra – nienawidzę ciebie! – Nadine z wrażenia aż przestała oddychać. – Przykro mi, skarbie – powiedział Phil – ale Tara ma rację. Jesteś bożonarodzeniowym Hitlerem.

Tara zamarła. Modliła się, żeby wulkan eksplodował, otoczył ją wrzącą lawą, zamienił w parujące burrito. Wulkan jednak milczał dostojnie. Nadine zastygła w miejscu niczym posąg. Phil także musiał w końcu to zauważyć, bo skończył wreszcie.

– Przepraszam cię, skarbie – powiedział. – Chciałem tylko... ten jeden raz... żebyśmy mogli miło, w spokoju odpocząć.

Nadine nie słuchała go. Odwróciła się i szła przed siebie. Prosto do krateru.

Tara poszła za siostrą w nadziei, że zdoła utrzymać ją z dala od krawędzi. Jeśli ktokolwiek powinien wskoczyć do krateru, to wyłącznie ona sama. Gdy dogoniła Nadine, przekonała się, że siostra płacze.

– Ty... nazwałaś mnie bożonarodzeniowym Hitlerem?

– Raz – zapewniła ją Tara. – Nazwałam cię tak jeden jedyny raz.

Tak mi przykro.

– Kiedy?

– To bez znaczenia...

– Kiedy?

– Eee... tego roku, kiedy kazałaś nam szukać wyłącznie kartek świątecznych z Mikołajem, trzymającym dziecko na kolanach, eee... prezenty musiały być zapakowane w zielony papier z czerwoną kokardą, bo zagroziłaś, że inaczej nie będzie wolno ich otwierać, a my... eee... musieliśmy mieć na sobie swetry z motywem bożonarodzeniowym, bo inaczej nie wolno nam było nic jeść.

Nadine ponuro kiwała głową. A potem załamała rękę.

– Jestem okropnym człowiekiem! – załkała.

– Nie jesteś okropnym człowiekiem. – Tara objęła siostrę. –

Właściwie byłam zadowolona, że mam okazję założyć ten sweter... –

Nadine spojrzała na nią tak, że Tara umilkła.

– Powiedziałaś mu, że jestem w ciąży – wyjąkała.

– Ludzie robią zwariowane rzeczy, kiedy są zestresowani – Tara głaskała ją po plecach. – Wszyscy wiemy, że chcesz dobrze – zapewniła Nadine.

– To dlatego przyjechałaś tutaj w święta – łkała Nadine. – Uciekałaś przede mną.

– Nie – zaprzeczyła Tara. – To był egoizm z mojej strony. A ty zrezygnowałaś ze wszystkich swoich planów i tradycji, żeby spędzić święta ze mną. Okropny człowiek nie zrobiłby czegoś takiego, prawda?

– No cóż, mam nauczkę – powiedziała Nadine. – Nienawidzę świąt. Boże Narodzenie jest do niczego!

Jacyś japońscy turyści zatrzymali się, żeby zrobić zdjęcie, a Nadine pokazała im środkowy palec. Tara pospiesznie chwyciła ją za rękę i zamachała nią do grupki z szerokim, sztucznym uśmiechem.

– Musisz trzymać się tej swojej radości bez względu na wszystko – przekonywała Tara. – Masz prawo cieszyć się świętami. Dzięki tobie nasze święta są żywe, tak jak były żywe dla Darrena dzięki jego mamie.

– Ale to nie zadziałało! – zawołała Nadine. – Nie otworzył prezentu! Zrobił się z niego świąteczny zboczeniec. Życie jest do niczego! Święta są do niczego!

– Dobra, dobra! – powiedziała Tara, obejmując siostrę ramieniem i prowadząc ją w kierunku samochodu. – Idziemy na drinka. Nie musisz już pić napojów bezalkoholowych.

– A czy będę mogła napić się za dwoje? – chlipnęła Nadine.

– Oczywiście – zapewniła ją Tara. – Oczywiście.

– Nie miałem zamiaru rujnować jej świąt – powiedział Phil.

Chodził w tę i z powrotem po patio. – Teraz tłumaczy Tiarze, że nie ma Świętego Mikołaja!

– Tiara i tak o tym zapomni – powiedziała Tara. – Mam pomysł.

– Kocham ją – ciągnął Phil – tylko... czasami jest taka...

– Wiem, wiem.

– Ale ta antyświąteczna Nadine jest tysiąc razy gorsza!

– Kto mógł to przewidzieć – pokręciła głową Tara.

Nadine usuwała właśnie z bungalowu wszystkie świąteczne

dekoracje. Słuchanie kolęd w radio zostało objęte zakazem, z drzewka zdjęto światełka i popcorn; Nadine zagroziła też, że znajdzie i rozpakuje wszystkie prezenty. Wspomniała nawet, że powinni zrezygnować z *luau*, a zamiast tego zamówić w święta pizzę. Ale kiedy zapowiedziała im, że wieczorem idzie do Gorącej Wioski i ma zamiar śmiać się tam do rozpuku, Tara wiedziała już, co musi zrobić.

Korzystając z tego, że Darrena nie było, zdołała bez większego trudu przekonać do swojego planu pozostałych wolontariuszy. Postanowiła zresztą uderzyć z grubej rury i uprzedziła ich, że stawką są zdrowe zmysły jednej niedużej kobietki.

– Tylko ten jeden raz – prosiła. – Jeden raz; jest Wigilia... Proszę! Zgodzili się. Musieli zamknąć wioskę na kilka godzin, żeby w niej posprzątać. Tymczasem rozesłali wieści, że wieczorem wioska zostanie udostępniona dla dzieci, a jej nowa nazwa to „Świąteczna Wioska”. Wszystkie butelki po whisky i elementy garderoby wykonane z czerwonej koronki zostały usunięte. Jedna z wolontariuszek wyznała, że jej dziecko śpiewa w chórze; czym prędzej zarezerwowano występ na wieczór. Ku zaskoczeniu Tary, wszyscy „aktorzy” poparli jej inicjatywę. Nawet Święci Mikołajowie, którzy – co do tego panowała pełna zgoda – bawili się najlepiej ze wszystkich. Kiedy skończyli, zapalono światełka, dzieci zaczęły śpiewać, a elfy wyjęły ręce z kieszeni – nawet Tarze zakręciła się łza w oku. Lampki płonęły, dzieci trzymały świece i śpiewały niczym anioły, a Tara czuła, że w jej sercu rozlewa się uczucie dziwnie podobne do radości.

Zawiązali Nadine oczy i wprowadzili ją do wioski. Wieść rozniosła się szybko – kolejka oczekujących była już czterokrotnie dłuższa niż zwykle. Tym razem w wybuchach śmiechu zwiedzających słychać było ton wzruszenia. To także odstresowuje, pomyślała Tara. Żałowała tylko, że Darrena z nimi nie było. Czy byłby zły? Nadine i Phil trzymali się za ręce, patrząc wspólnie na zachwyty Tiary. W oczach jej siostry migotały te same iskierki, co dawniej. Tara wiedziała już, że wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję ci – powiedział do niej Phil. Pochylił się i pocałował Nadine.

– Dziękuję – wyszeptała Nadine.

– Proszę bardzo – odparła Tara. – *Mele kalikimaka*.

– A teraz pora, żebyśmy to my ciebie zaskoczyli – powiedział Phil. Odwrócił się do Nadine. – Powiedz jej, jaki masz plan, kochanie.

– Tylko nie plan – jęknęła Tara, ale w porę przypomniała sobie, że przecież mieli zrobić wszystko, żeby Nadine poczuła się lepiej. – Aha – powiedziała z wymuszonym entuzjazmem – kolejny plan.

Nadine roześmiała się.

– Przypuszczam, że ten ci się spodoba – Tara słuchała w skupieniu. Kiedy Nadine skończyła mówić, jej siostra miała łzy w oczach. – Zadowolona? – spytała.

– Nie – odparła Tara. – Zachwycona.

– Naprawdę? – powątpiewała Nadine.

Tara uderzyła się w pierś i Nadine chwyciła ją w objęcia.

– Pospieszmy się lepiej – powiedział Phil. – Darren już tu jedzie.

Darren i Pies stali przy wejściu do wioski. Tara podbiegła do nich; zanim Darren zdążył powiedzieć choć słowo, otoczyła go ramionami i pocałowała. Bez wahania oddał pocałunek; oderwał się od niej dopiero, kiedy Pies zaczął szczekać. Tara wzięła go za rękę i weszli między pozostałych gości; oglądali lampki świąteczne, słuchali muzyki i śmiechu. Wreszcie dotarli do Świętego Mikołaja.

– Nie siądę mu na kolanach – uprzedził Darren.

– Ale on ma coś dla ciebie – powiedziała Tara. Darren spojrział na Mikołaja, który po raz pierwszy od dziesięciu lat nie palił cygara; zamiast tego, trzymał w dłoniach średniej wielkości pudełko, opakowane w złoty papier i ozdobione czerwoną kokardą. Darren nie odrywał od niego oczu.

– Dalej – powiedziała Tara. – Jesteś w stanie to zrobić.

Darren wziął pudełko i popatrzył na Tarę.

– Nie wiem, czy.... – Tara podeszła bliżej i nakryła jego dłoń swoją.

– Już czas – powiedziała. – Już czas.

Darren potaknął, odsuwając się lekko od tłumu. Tara odwróciła się, kiedy otwierał pudełko.

– Rękawica – usłyszała jego głos. – Rękawica. – Dopiero teraz popatrzyła na niego. Miał łzy w oczach i przyciskał rękawicę do serca.

- Jest też list – powiedziała cicho, wręczając mu kawałek papieru.
- Nie mogę – odparł Darren. – Przeczytasz go?

Tara przeczytała list cicho i powoli. Darren założył rękawicę. Zakrywała mu zaledwie czubki palców. Wziął Tarę w ramiona.

- Dziękuję ci – powiedział. Pies łąsił się do jej łydek.
- Pies robi się zazdrosny – powiedziała.
- Masz na myśli Nicka? – poprawił ją Darren. – Nazywam go

Nick.

- Tak jak święty Nick?
- Nie – pokręcił głową. – To ty jesteś święta. On to po prostu Nick.
- Uwierz mi, że wcale nie jestem święta – zaproponowała Tara.
- To dobrze – wyszeptał jej Darren do ucha. – Grzesznicy też są tu

mile widziani.

A kiedy wszyscy inni poszli już do domu i zgasły świąteczne lampki, Tara i Darren ułożyli się pod dużą palmą w ogródku, obejmując się.

– No – powiedział Darren – teraz, skoro już posprzątałaś w wiosce, pewnie nie będę mógł cię wykorzystać? – Ustami przesunął po jej szyi, a jego palce błądziły w okolicach jej talii. Kilka sekund później na głowie Mrozika znów wylądował koronkowy, czerwony biustonosz. Darren wyciągnął z kieszeni paczuszkę prezerwatyw.

- Nie mów, że kupiłeś czerwone – parsknęła Tara.
- Nie chcesz się wczuć w świąteczną atmosferę? – zdziwił się.

Zaczęła się śmiać. Zamknął jej usta pocałunkami. I wreszcie, pod czujnym okiem wścibskiego Mrozika, skonsumowali swój przelotny romans.

* * *

Stół ugiął się od jedzenia. Wszyscy mieli na szyjach czerwono-zielone girlandy. Szampan lał się strumieniami, muzyka grała. Rodzice tańczyli hula, Nadine i Phil całowali się mimo braku jemioly. Nadine jeszcze nigdy nie wyglądała na tak odprężoną. To był magiczny wieczór.

A potem, na plaży, gdy zachodziło słońce, Darren przyciągnął ją blisko do siebie.

– Zostań – wyszeptał.

Pies posłusznie siadł u jego boku. Darren się roześmiał.

– Nie mówiłem do ciebie, Nicky – powiedział.

Epilog

Rok później

Drodzy Przyjaciele i Rodzino,

bardzo żałuję, że jestem zbyt zajęta, żeby napisać do każdego z Was z osobna. Byłoby wspaniale mieć aż tyle wolnego czasu! W tym roku ponownie spędzamy święta na Maui z moją siostrą, Tarą.

Z przyjemnością dodam, że nasza kochana Tiara zajęła drugie miejsce w konkursie na Najlepszą Gościnną Małą Tancerkę Hula. Phil i ja mamy zamiar odnowić w tym roku naszą przysięgę małżeńską podczas bożonarodzeniowego luau.

A teraz kilka ekscytujących wieści. Jak już wiecie z mojego jesiennego listu, Tara i Darren starają się dzielić swój czas pomiędzy Wielkie Jabłko i Wielkiego Kokosa, jak moja siostra lubi nazywać Maui. Moja kochana siostrzyczka postanowiła jednak wybrać owoc swojego życia i osiedlić się na Maui na stałe – drugiego stycznia otwiera na wyspie swoją własną restaurację. I choć wiemy, że dzięki swym talentom kulinarnym odniesie na pewno ogromny sukces, nie tracimy nadziei, że Święty Mikołaj przyniesie jej w tym roku w prezencie zaręczynowy pierścionek...

Tara odłożyła list na kolana i roześmiała się.

– Ona się nigdy nie zmieni – powiedziała. – Ale też wcale bym tego nie chciała.

Po twarzy Darrena błąkał się tymczasem tajemniczy uśmiezek.

– O co chodzi? Dlaczego się uśmiechasz?

Darren nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął do niej gwiazdkowy prezent. Był to pakiecik wielkości niedużej książki, zapakowany w złoty papier i ozdobiony czerwoną kokardą. Tara otworzyła prezent.

– *Wielkie nadzieje!* – zawołała. – O Boże! To pierwsze wydanie? – książka wyglądała na starą i dość zniszczoną.

– Niezupełnie – odparł Darren. – Dalej, otwórz ją.

Tara otworzyła książkę. Była wydrążona; w środku znajdowało się niewielkie, aksamitne pudełko. Tara spojrzała na Darrena ze łzami w oczach.

– To zupełnie wbrew zasadom przelotnego romansu – powiedziała.

– Minął rok – zauważył Darren. – Uważasz, że tyle trwają przelotne romanse?

– Niech ci będzie – skapitulowała Tara. – Mogę dać nam aktualizację.

– Świetnie – ucieszył się Darren. – A teraz otwórz pudełko.

Otworzyła je delikatnie i zagapiła się na zawartość.

– To... kość dla psa – stwierdziła po chwili.

– No, więc daj mu ją – zaproponował Darren.

Tara przewróciła oczami; wyjęła kość i uklękła, żeby podać ją Nickowi. Jego obroża błysnęła. Przy plakietce z imieniem psa wisiał pierścionek z brylantem.

– Ty dziwaku – powiedziała Tara. Zdjęła pierścionek i wstała.

– Czy to oznacza, że się zgadzasz?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, podała mu pierścionek i wyciągnęła do niego dłoń. Wsunął pierścionek na jej palec.

– Te święta zapamiętamy na zawsze – powiedziała, wpatrując się w niego.

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz, co zaplanowałem na Nowy Rok – odparł Darren.

Tara przytuliła się, chcąc go pocałować, ale Darren cofnął się.

– A gdzie masz jemiołę? – zapytał.

– Tutaj – odparła, wskazując na swoje serce. – Tutaj.

I to wystarczyło, żeby zatonęli w bardzo długim i bardzo słodkim pocałunku.

Terri DuLong

Święta w Cedar Key

*Dla Shawna, mojego gwiazdkowego prezentu z 16 grudnia 1966
roku*

– z całą miłością

Podziękowania

Jestem wdzięczna wszystkim ludziom z Cedar Key za nieustającą inspirację.

Z całego serca dziękuję Bonnie Lee Thomas, dziewczętom z Przędzalni w Gainesville, Wtorkowemu Porannemu Klubowi Książki z Quincy w stanie Waszyngton, wszystkim moim fanom na Facebooku i wszystkim czytelnikom, którzy mnie wspierają i zachęcają do działania. Nie macie pojęcia, ile to dla mnie znaczy!

Życzę Wam wspaniałych, pełnych radości świąt Bożego Narodzenia!

– Orli! – krzyczałam, miotając się po domu niczym huragan. – Nie widziałaś mojej torby z przyborami do robótek?

Głos mojej córki sprawił, że przerwałam zagłębienie pod krzesła i pod poduszki na sofie.

– W wózku golfowym – powiedziała.

Torba z przyborami jest w wózku golfowym? O Boże, rzeczywiście... Włożyłam ją tam dziś rano, żeby pamiętać, gdzie jest. Posłałam mojej jedenastoletniej córce pełen wdzięczności uśmiech.

– Dzięki, skarbie. Spóźniam się właśnie na spotkanie kółka robótek w Spinning Forward. Carrie będzie tu lada chwila – dodałam, biegnąc do swojego pokoju po sweter; Orli truchtała tuż za mną.

– Ale mammo! – błagała. – Chciałam ci właśnie powiedzieć...

– Nie teraz, kochanie. Po prostu nie mam czasu.

W salonie zastałam Carrie. Kończyła właśnie szkołę średnią, ale była tak rozsądna, że mogłam bez obaw powierzyć jej Orli w tych nielicznych sytuacjach, gdy potrzebna mi była opiekunka do dziecka.

– Cześć, Carrie – powiedziałam. – Wrócę o dziewiątej. Do świąt został zaledwie tydzień; musimy dzisiaj skończyć ściereczki do naczyń.

– Ale mammo – Orli szła za mną do drzwi, niosąc w objęciach swojego dziewięciokilogramowego mainecoona[33]. – Mówiłam przecież, że muszę z tobą porozmawiać.

Pochyliłam się, żeby pocałować ją w policzek i podrapać Goździka za uszami.

– No, dobrze – powiedziałam, idąc w stronę drzwi.

I wtedy przypomniało mi się, że faktycznie coś takiego powiedziała po kolacji. Byłam gotowa rozmawiać z nią, sprzątając ze stołu, ładując naczynia do zmywarki i składając stertę ręczników, zalegających od dwóch dni w suszarce, Orli jednak potrzebowała, żebym poświęciła jej całą swoją uwagę, a ja nie byłam w stanie jej tego dać już od kilku miesięcy.

Gdy nadszedł kryzys, musiałam zacząć brać więcej godzin

w Cook's Cafe, gdzie pracowałam jako kelnerka; ostatnio też zaczęłam sprzątać dla dwóch nowych klientek. Niełatwo jest być samotną matką, ale nie zamieniłabym się z nikim. Mimo zastrzeżeń moich rodziców, a także Granta, ojca Orli, od pierwszej chwili, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, wiedziałam, jaką drogą pójdę... i wiedziałam, że nie będzie to aborcja, adopcja ani ślub. Gdy zobaczyłam pozytywny wynik testu ciążowego, a potem, w maju, lekarz potwierdził, że jestem w ciąży, miałam zaledwie kilka tygodni, żeby skończyć pierwszy rok dziennikarstwa w Emerson College w Bostonie – i udało mi się. A potem wróciłam do domu, do Cedar Key na Florydzie, żeby zacząć nowe życie razem z córką.

– Misiaczku, wróć z kółka dziewiarskiego o dziewiątej. Jest piątek, więc nie będziesz jeszcze spała – porozmawiamy po moim powrocie, dobrze? Teraz naprawdę muszę już wyjść. Przecież wiesz, jakie to ważne, żebyśmy skończyły te ściereczki na sprzedaż.

Córka otoczyła mnie ciasno ramionami.

– No, dobrze – ustąpiła. – Kocham cię.

– Na razie! – krzyknęłam do Carrie, biegnąc do wózka golfowego, zaparkowanego na podjeździe. – Ja też cię kocham – zapewniłam Orli i zmówiłam krótką modlitwę dziękczynną za najlepszą córkę na świecie.

Wskoczyłam do wózka, włożyłam kluczyk do stacyjki, spojrzałam na wskaźnik stanu akumulatora i jęknęłam. Cholera! Zapomniałam naładować akumulator. Dzięki Bogu, że do sklepu z przędzą jest od nas tak niedaleko.

Kiedy weszłam do środka, wszystkie panie były zajęte pracą. Monica podniosła wzrok.

– Josie! Nie byliśmy pewne, czy przyjdiesz. Jak to dobrze, że ci się udało.

Usiadłam na sofie obok Polly.

– Przepraszam za spóźnienie. Miałam spotkanie z panią zainteresowaną sprzątaniami i posypał mi się cały harmonogram.

– Nie ma problemu – zapewniła mnie Dora. – Herbaty?

– Nie, dziękuję. – Sięgnęłam do torby i wyjęłam jaskrawą ściereczkę, ozdobioną koronkami, nad którą pracowałam.

Co roku, na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem, w szkole

w Cedar Key odbywała się świąteczna wyprzedaż dla dzieci, które mogły dzięki temu kupić niedrogie prezenty dla rodziny. Przedmioty przeznaczone na sprzedaż przekazywali mieszkańcy lub kupowano je za pieniądze z darowizn. Miały to być drobne, lecz użyteczne podarunki, które dzieci mogły nabyć po minimalnych cenach. Nasza grupa zawsze przekazywała ręcznie robione drobiazgi – w tym roku miały to być ściereczki do naczyń dla mamus.

– Bierzesz następne sprzątanie? – nie dowierzała Dora. – Boże jedyny, czy ty w ogóle masz czas, żeby odpocząć?

Westchnęłam, usiłując skupić się na szydełkowaniu.

– W tej chwili niespecjalnie, a w dodatku ostatnio mam wrażenie, jakbym dostała się w ślepią uliczkę. Tyle czasu, tyle ciężkiej pracy... a finansowo i tak nie jestem w stanie wyjść na prostą. Po raz pierwszy od jedenastu lat dochodzę do wniosku, że naprawdę trzeba było zostać na uczelni.

– No cóż, wiem, że to drażliwy temat, Josie, ale... wiesz, że gdybyś zwróciła się do swojej mamy, na pewno z radością by ci pomogła.

– Nie myli się pani, Polly – fuknęłam. – To rzeczywiście drażliwy temat.

– No cóż – Polly chrząknęła, stukając drutami. – Słyszałyście już o ostatniej awanturze z domem pana Ala?

Przypomniałam sobie, że Orli wspominała coś o panu Alu, nalegając, żebyśmy porozmawiały.

– Nie. A co się dzieje? – czułam się winna, że zareagowałam na to, co mówiła Polly, tak gwałtownie, ale nie miałam najmniejszej ochoty rozmawiać z nikim o sukcesach życiowych mojej matki ani o tym, jak bardzo jest mną rozczarowana.

Albert Casey niedawno przekroczył siedemdziesiątkę; znałam go od czasów, gdy byłam dzieckiem. Był rybakiem, człowiekiem niezbyt towarzyskim; nigdy się też nie ożenił. Pan Al, jak nazywali go miejscowi, przez całe życie mieszkał z matką. Gdy kilka lat temu zmarła, został sam; coraz bardziej dziwaczał, żył niczym odludek. Na trawniku przed jego domem piętrzyły się trofea – połamana łódź, kawałki sklejki, sieci rybackie, staromodna pralka z wyżymaczką – wszelkiego rodzaju

śmieci, które z takich czy innych przyczyn nie dotarły na wysypisko. Miejscowi zdążyli już się do tego przyzwyczaić. Pan Al nikomu nie przeszkadzał, a rupiecie i tak nie były zbyt widoczne spoza potężnych pni dębów, otaczających jego posiadłość. Od czasu do czasu ktoś zaczynał narzekać, próbował interweniować, z czasem jednak o sprawie znów zapominano i wszystko toczyło się swoim torem.

– No cóż, wygląda na to, że skrzyknęła się większa grupa, która chce tę sprawę skierować na posiedzenie Rady Miejskiej, zaplanowane na styczeń.

To zabrzmiało poważnie. Śmietnik przed domem pana Ala nie był dotąd przedmiotem debaty publicznej.

– Żartujesz chyba – oburzyła się Dora. – Boże drogi, dlaczego ludzie nie mogą po prostu zostawić tego biedaka w spokoju? Nikomu przecież nie zawadza. Tak to już jest w Cedar Key – mamy tu domy warte milion dolarów i zwykle przyczepki. – Zachichotała. – To chyba dlatego mówią o nas „ta pieprzona wysepka”.

Roześmiałam się. Dora miała rację. Tak jak ja, ona też tu się urodziła i wychowała. Należała jednak do starszego pokolenia. Miała coś około siedemdziesiątki, jak pan Al, i nigdy nie wyjeżdżała z wyspy. Wielu młodszych wyjechało do college’u i przyjeżdżali już tylko z wizytą albo wracali dopiero na emeryturze. Oczywiście, niektórzy w mojej grupie wiekowej – trzydziestu paru lat – zostali tutaj po skończeniu szkoły średniej.

Grace popatrzyła na nas znad swojej robótki.

– Wiecie co? Tak to już jest. Jeśli ktoś próbuje żyć inaczej, pozostałym wydaje się, że muszą go zmusić do konformizmu. Nigdy tego nie pojmę. Co się stało ze słynnym „żyj i pozwól żyć innym”?

Zgadzałam się z nią całkowicie; pamiętałam dobrze, jaki nacisk wywierali na mnie Grant i moi rodzice, chcąc za wszelką cenę namówić mnie na ślub. Tyle że z mojego punktu widzenia nie miało to sensu. Owszem, kochałam Granta romantyczną pierwszą miłością, ale on niedługo po tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży, miał skończyć licencjat w Harvard Business School i zacząć studia magisterskie. Jaki sens miałyby dla niego rezygnacja ze studiów, wynajmowanie mieszkania i utrzymywanie żony i dziecka? Żadnego. Po wielu

godzinach rozmów Grant wreszcie pogodził się z moją decyzją, choć pod pewnymi warunkami – miał być od początku w pełni zaangażowany w życie Orli, miał ją wspierać finansowo i emocjonalnie, miał się z nią widywać tak często, jak będzie tego potrzebowała. Zgodziłam się na wszystko. Teraz, po jedenastu latach, gdy Grant mieszkał na północ od Bostonu, ten układ, chociaż niestandardowy, nadal sprawdzał się dla całej naszej trójki.

– No cóż, podobno jeśli nie wystarczy, że Rada Miejska zapozna się ze skargami – mówiła Polly – ma tu przyjechać siostrzeniec Ala. Słyszałam, że zarezerwował już pokój w Faraway Inn.

– Co takiego? – spytałam, upuszczając swoją robótkę na kolana.

Pamiętałam Bena Sudbury’ego z wakacji w Cedar Key w czasach, gdy byliśmy nastolatkami. Był trzy lata starszy ode mnie i zawsze podkreślał, jak okropnie nudzi go lato na wyspie u wybrzeży Florydy. Jego matka, Annie, wyjechała z Cedar Key do college’u w Nowym Jorku, zachowała jednak zarówno poczucie więzi z wyspą, jak i odpowiedzialności za rodzinę. Choć kilka lat po uzyskaniu dyplomu poślubiła lekarza i osiadła na stałe na Manhattanie, Annie Sudbury przy każdej okazji starała się powracać do korzeni – w przeciwieństwie do swojego jedyne syna, który nie zaszczycił nas odwiedzinami ani razu od czasu, gdy jako student wyprowadził się z domu rodziców.

– Chcesz powiedzieć, że Pan Wspaniały ma zamiar poświęcić się i przyjechać w odwiedziny do wujka? Nie było go tu dziesięć lat, od pogrzebu jego matki. Czemu niby przyjeżdża teraz? – No dobrze, może ja też nie mam najlepszych relacji z matką, ale nie przeżyłabym dziesięciu lat, nie utrzymując z nią kontaktu. Rodzina to jednak rodzina.

Polly odchrząknęła i zaczęła mówić, nie patrząc na żadną z nas:

– Obawiam się, że przyjeżdża tylko po to, żeby umieścić pana Ala w domu opieki i wystawić dom na sprzedaż – wyznała cicho.

– Co takiego?! – zapytałyśmy chórem, a potem wszystkie zaczęłyśmy mówić naraz.

– To kompletny bezsens – powiedziała Dora. – Al jest mniej więcej w moim wieku i tak samo jak ja nie nadaje się do domu opieki.

– Można powiedzieć, że pan Al jest troszkę ekscentryczny – zgodziła się Grace – ale regularnie wpada do mojej kawiarni i zawsze

zachowuje się zupełnie normalnie; nie powiedziałabym też, że jest za stary, żeby mieszkać sam.

– Racja – włączyła się Monica. – Adam opowiadał w zeszłym tygodniu, że spotkał pana Ala na spacerze z psem. Pogawędzili sobie bardzo miło o najnowszych wydarzeniach na świecie.

Ścisnęłam mocno szydełko. To rzeczywiście było nie *fair*.

– Jasne. Wsadźmy pana Ala do domu opieki, ale równie dobrze można odciąć mu dostęp powietrza. Po tych wszystkich latach spędzonych na morzu nie ma szans, żeby wytrzymał całe dnie w pokoiku dwa na cztery metry gdzieś na stałym lądzie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez dwie godziny, szydełkując, ale gdy nadeszła dziewiąta, nie byliśmy ani trochę bliżej rozwiązania problemu pana Ala.

Idąc do domu cichą uliczką, westchnęłam głęboko. Nie pierwszy raz dziękowałam losowi za to, że przyszłam na świat w Cedar Key, a tym bardziej za to, że właśnie tu przyszło mi wychowywać córkę.

Zatrzymałam się na chwilę przy First Street, żeby popatrzeć na gwiazdy. Na wyspie nie mieliśmy problemów z zanieczyszczeniem świetlnym i doceniłam, jak dobrze było móc cieszyć się pięknem nocnego nieba!

W domu czekało mnie rozczarowanie: według Carrie, Orli była tak zmęczona, że poszła spać już kwadrans po ósmej. A ja tak liczyłam na to, że spędzimy razem trochę czasu, co już od dawna nam się nie udawało. Miałam wyrzuty sumienia, gdy zdałam sobie sprawę, że to ja za to odpowiadam.

Zbliżały się święta, nasz budżet stał się jeszcze bardziej napięty niż zwykle, zaczęłam więc brać dodatkowe godziny w pracy. Wiedziałam, że w razie czego moi rodzice albo Grant zadbają o to, żeby Orli dostała wymarzonego iPoda i inne prezenty ze swojej tegorocznej listy, ale to ja chciałam być tą osobą, która zapewni jej wszystko, czego potrzebuje.

Zapłaciłam Carrie i podziękowałam jej; gdy się żegnałyśmy, poczułam, jak bardzo jestem wykończona. Weszłam na palcach do pokoju córki – spała mocno, a Goździk, zwinięty w kłębek, leżał u jej boku. Pochyliłam się nad nią i pocałowałam ją w czoło, szepcząc:

– Dobranoc, skarbie. Kocham cię.

Wyłączyłam światła w całym domu i przygotowałam się do snu, przysięgając sobie, że podczas weekendu spędzę wreszcie trochę czasu z moją jedenastolatką.

33 Maine coon, mainkun – rasa kota pochodząca z Ameryki Północnej. Koty rasy maine coon wyróżnia wielkość – są to jedne z największych kotów domowych (*przyp. red.*).

Obudził mnie zapach tostów i smażonego bekonu. Obróciłam się na drugi bok i spojrzałam na budzik – była 8:35. Od niepamiętnych czasów wstawałam najpóźniej o 6:30. Przeciągnęłam się, ziewając. Orli miała zakaz włączania piekarnika, dopóki spałam, umiała jednak doskonale obsługiwać toster, kuchenkę mikrofalową i ekspres. Wstałam i ruszyłam do kuchni, zwabiona zapachem świeżo zaparzonej kawy. Moja córka siedziała przy stole, jedząc tosty z bekonem i czytając książkę, opartą o cukiernicę. Uśmiechnęłam się – wyglądała tak dorosłe. Nagle uderzyła mnie myśl, że przecież zaledwie trzy dni po Bożym Narodzeniu skończy dwanaście lat. Boże! Byłam tak zajęta, że nawet o tym dotąd nie pomyślałam.

Przechodząc, pocałowałam ją w czubek głowy.

– Witaj, kochanie, dziękuję za kawę. Dlaczego pozwoliłaś mi spać tak długo?

– Bo wiem, że ostatnio bardzo dużo pracujesz i jesteś zmęczona.

Uśmiechnęłam się i sięgnęłam po kubek, do którego nalałam sobie parującego, ciemnego płynu – kawa była mocna, taka, jaką lubiłam najbardziej.

– Jak to się stało, że mam najlepszą córkę na świecie? – spytałam, siadając przy stole.

– To dlatego, że ja mam najlepszą mamę na świecie – odpowiedziała bez wahania.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Grałyśmy w tę grę od czasu, gdy Orli nauczyła się mówić. Nie ukrywałam tego – była moją najlepszą przyjaciółką, kumpelką, była dla mnie wszystkim. Nasza więź nie przypominała moich własnych relacji z matką.

Jakby czytając w moich myślach, Orli powiedziała:

– Babcia dzwoniła wczoraj, kiedy byłaś na spotkaniu.

– No i?

Moja matka uwielbiała dramatyzować, a w jej życiu wiecznie zdarzały się jakieś katastrofy. Jest autorką powieści romantycznych. Tak,

nie żartuję. Przez lata przywykłam do tego, że ludzie ogromnie się tym ekscytują albo są przerażeni. Można powiedzieć, że odnosi sukcesy – nazwisko Shelby Sullivan zyskało sporą popularność wśród czytelniczek w całym kraju. Zaczęła pisać w tym samym miesiącu, kiedy wróciła ze mną ze szpitala po porodzie, a kiedy miałam cztery lata, zawarła pierwszy kontrakt z wydawnictwem w Nowym Jorku.

– Chciała ci przypomnieć, że mam być przyzwoicie ubrana dzisiaj po południu, bo zabiera mnie na lunch i na zakupy do Gainesville.

Potrząsnęłam głową i upiłam łyk kawy, a potem wydałam z siebie głębokie westchnienie.

– Mój Boże, a miałam zamiar wypuścić cię z domu w bikini w kropki, w kaloszach i z tiarą na głowie.

Orli zachichotała.

– Czasami wydaje mi się, że babcia traktuje cię tak, jakbyś była w moim wieku.

– Albo po prostu próbuje mieć pod kontrolą wszystko dookoła, tak jak w swoich powieściach. – Wstałam, żeby dolać sobie kawy. – No dobrze, dosyć o babci. Zawiozę cię do niej o dwunastej. Powiedz mi teraz, o czym chciałaś ze mną wczoraj porozmawiać.

Twarz mojej córki spoważniała.

– No... chodzi o pana Ala – wyznała. – Niektóre dzieci zachowują się wobec niego bardzo niemiło. Kiedy przechodzimy obok jego domu, wracając ze szkoły, wrzucają śmieci do jego ogródka i krzyczą: „Nowa dostawa na wysypisko Cedar Key”... To nie w porządku. Wczoraj wybiegł z domu, krzycząc, że wezwie policję, jeśli nie przestaną, a Danny na to, że nic nie szkodzi, bo niedługo pan Al i tak trafi do domu opieki, a jego dom zostanie zburzony. Czy to prawda, mammo? Słyszałaś coś o tym?

Od momentu, kiedy moja córka przyszła na świat, obiecałam sobie, że będę ją wychowywać zupełnie inaczej, niż mnie wychowywała moja matka. Będziemy sobie mówić wszystko, otwarcie i uczciwie, zawsze.

– Rzeczywiście, Polly wspominała coś na ten temat wczoraj w czasie spotkania.

– Więc to prawda?

– Tego nie wiem. Wiem tylko, że niektórzy skarżą się na bałagan

przed jego domem; podobno jego siostrzeniec ma przyjechać i zorganizować przeniesienie pana Ala do domu opieki. Pan Al jest, co prawda, trochę zdziwaczały, ale nie ma demencji, nie wiem więc, jakim prawem ktokolwiek miałby sprzedać jego dom i wysłać go do domu starców.

– A co będzie z Kumpem? – spytała moja córka z niepokojem.

Kumpel był włóczęgą, który wybrał sobie pana Ala. Pies zjawił się u jego kuchennych drzwi kilka tygodni po śmierci jego matki.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, kochanie.

– To po prostu nie w porządku – oświadczyła Orli. – Pan Al nikomu nie szkodzi. Mieszka tu od urodzenia i czułby się strasznie samotny bez swojego psa.

Przytaknęłam.

– No! – powiedziała moja córka z emfazą, wstając, żeby posprzątać po śniadaniu. – W takim razie muszę coś wymyślić, żeby to powstrzymać.

– Orli, czasami zdarzają się rzeczy, na które nie mamy żadnego wpływu. To może być właśnie jedna z nich.

Odwróciła się od zmywarki i spojrzała na mnie.

– Zawsze mówisz mi, że nikt nie zrobi niczego za nas. Wszystko musimy robić sami. Mówiłaś, że to nie zawsze jest łatwe. No i dobrze. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby pan Al mógł zostać u siebie, zamiast przeprowadzać się do domu opieki.

Nie ulegało wątpliwości, że moja córka od ponad dwunastu lat słucha bardzo uważnie tego co mówię – ba, być może czasami nawet za uważnie.

Dokładnie o dwunastej w południe podjechałyśmy pod dom moich rodziców. Dom, w którym dorastałam, mieścił się w zachodniej części wyspy. Masywny budynek z cegły, z widokiem na ocean, otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza i dwoma akrami dębowo-cedrowego lasu, robił imponujące wrażenie o każdej porze roku. Natomiast dekoracje bożonarodzeniowe mojej matki nie miały sobie równych. Duże, aksamitne, czerwone kokardy zdobiły ogrodzenie. Naturalnej wielkości Święty Mikołaj z saniami i stadkiem reniferów stał na trawniku po prawej, w otoczeniu świątecznej wioski – znalazła się tu nawet

elektryczna kolejka, wyrzucająca kłęby pary i gwizdząca głośno podczas jazdy. Po lewej zaaranżowano bożonarodzeniową szopkę, wysoką na ponad metr, z postaciami Marii, Józefa, małego Jezusa oraz Trzech Króli. Nie zabrakło również realistycznie wyglądających osiołków, owieczek i wielbłądów.

Moja matka zapoczątkowała tę tradycję, kiedy chodziłam do pierwszej klasy; uważała, że w ten sposób składa życzenia świąteczne wszystkim mieszkańcom wyspy. Wieść szybko się rozniosła i już niebawem całe rodziny zaczęły przyjeżdżać także z kontynentu, by przekonać się na własne oczy, jak wioska – piękna za dnia – dzięki feerii świątecznych lampek staje się miejscem iście magicznym po zapadnięciu ciemności.

Wychyliłam się z samochodu i nacisnęłam guzik intercomu przy bramie wjazdowej.

– Tak? W czym mogę pomóc? – rozległ się głos Delilah.

– To my – poinformowałam gospodynię mojej matki.

– Już otwieram, panienko Josie – padła odpowiedź, po czym wysoka, ozdobna, żelazna brama rozsunęła się przed nami.

Wjechałam wózkiem golfowym na ścieżkę, przy której rosły kępy jasnoczerwonych hibiskusów, różowych azalii i cynamonowców w pełnym rozkwicie, wiodącą wprost na półokrągły podjazd przed domem. Na szerokich stopniach werandy stały ogromne, ceramiczne donice, pełne krwistoczerwonych poinsecji.

Przypomniałam sobie rok spędzony w college’u w Bostonie; gdy nadszedł listopad, koleżanki patrzyły na mnie ze współczuciem. Z pewnością uważały, że Boże Narodzenie nie może mieć uroku w południowym klimacie, w temperaturze ponad dwudziestu pięciu stopni. Szybko odkryłam jednak, że mieszkańcy Florydy traktują świąteczne dekoracje niczym wyzwanie, starając się udowodnić za wszelką cenę, że śnieg, lód i mróz nie decydują o świątecznej atmosferze.

– Jak co roku, wszystko wygląda wspaniale – stwierdziła Orli, gdy wysiadłyśmy z wózka golfowego i zmierzałyśmy do drzwi frontowych.

Kiwnęłam głową, uświadamiając sobie, że nasza ostatnia wizyta w domu rodziców miała miejsce na długo przed wystawieniem

świętecznych dekoracji. Nie miałam wątpliwości, że matka zechce mi to wypomnieć.

– Dziewczynki! – zawołała moja matka, otwierając szeroko drzwi.
– Jak dobrze w końcu was widzieć.

Punkt dla mnie.

– Dzień dobry, babciu! – powiedziała Orli, tonąc w jej uścisku. – Masz rację, przepraszam. Miałam ostatnio strasznie dużo zajęć w szkole. Stęskniłam się za wami, naprawdę... Na szczęście będziemy się widywać częściej w czasie ferii.

Moja córka – urodzona dyplomatka, nieustannie zabiegająca o utrzymanie pokojowych stosunków pomiędzy mną a matką.

– Bardzo mi będzie miło. A teraz chodźcie zobaczyć choinkę i dekoracje – powiedziała, prowadząc nas do dużego salonu z widokiem na zatokę.

– Och, mammo, wspaniała! – wyraziłam swój zachwyt, gdy tylko przekroczyłam próg, za którym panoszył się cedr, wysoki na prawie dwa i pół metra; wierzchołek dotykał sufitu i był zwieńczony mrugającą gwiazdą. Zawsze zastanawiałam się, jakim cudem moja matka co roku wynajduje takie perfekcyjne drzewko – a zawsze jest to cedr, jeden z rosnących na wyspie. Idealnie symetryczne gałęzie przybrane były złotymi girlandami, czerwonymi i białymi łańcuchami, kosztownymi zabawkami ze szkła, wiktoriańskimi wstążkami i kokardami. Białe lampki były zapalone, mimo dziennej pory; dzięki temu salon sprawiał przytulne wrażenie.

– Z roku na rok są coraz ładniejsze – pochwaliła Orli, podchodząc bliżej, żeby obejrzeć ozdoby.

Musiałam to przyznać mojej matce. Bez trudu mogłaby zatrudnić kogoś, kto odwaliłby za nią całą robotę, ale coś takiego nawet nie przyszło jej do głowy. Odkąd pamiętałam, zawsze kończyła ostatnią książkę w roku w okolicach października, a od pierwszego listopada zaczynała urlop od wszystkich spraw zawodowych; urlop ten miał trwać aż do ósmego stycznia. Cały ten czas poświęcała na dekorowanie, pieczenie, gotowanie, zakupy i pakowanie prezentów.

– A oto i zimowa kraina czarów – powiedziałam, patrząc na stolik, na którym stała świąteczna wioska Dickensa. Na drugim okrągłym

stoliku, stojącym w pobliżu okna i nakrytym złotym obrusem, znajdowała się kolekcja ozdobnych dziadków do orzechów, które moja matka przywoziła ze swoich licznych podróży po Europie. Obramowanie kominka udekorowano grubymi, zielonymi gałęziami, a w całym pokoju porostawiano czerwone świece. Wszystko było urządzone ze smakiem, w świetnym stylu. Kochałam Boże Narodzenie – odkąd pamiętam, to były zawsze moje ulubione święta, szczególnie od czasu, gdy na świat przyszła moja córka.

Ten ciepły nastrój prysł jednak, gdy usłyszałam słowa mojej matki:

– Boże, Josie, nie mogłaś choć w sobotę ubrać się trochę bardziej przyzwoicie?

Popatrzyłam na swoje wypłowiałe i postrzępione džinsy, poplamioną koszulkę i sportowe rebooki, które powinnam była wyrzucić do śmieci wiele miesięcy temu. Nie miałam makijażu, a moje krótkie włosy domagały się szamponu. Stanowiłam idealne przeciwieństwo mojej matki, perfekcyjnie umalowanej, o doskonale przystrzyżonych, kasztanowych włosach. Miała na sobie czarne spodnie od Liz Clairborne i czerwony, kaszmirowy pulower. Musiałam jej przyznać także i to – była jedną z tych kobiet, które zawsze wyglądają doskonale; nikt nie dałby jej prawie sześćdziesięciu lat. Zamiast jednak prawić jej komplementy, dałam upust ogarniającej mnie złości.

– Och, przepraszam! Córka przekazała mi, że mam ją ubrać przyzwoicie, ale nie wiedziałam, że sama też powinnam przyjechać w designerskich ciuchach. Zresztą mam jeszcze dzisiaj po południu dwa sprzątaniam.

– Och, Josie, znowu dziś pracujesz? – brzmiała odpowiedź mojej matki.

– No cóż, owszem. Kryzys trochę dał nam w kość, a zaraz będą święta.

Matka poprawiła jedną z ozdób wiszących na choince.

– Naprawdę nie chcę się powtarzać, ale...

– W takim razie nie powtarzaj się – odparowałam.

– Byłaś na dziennikarstwie, tak jak ja – przypomniała mi, zignorowawszy moją prośbę. – Taki potencjał! Mogłaś wyjść za Granta i mieć zupełnie inne życie – pewnie mogłabyś też dokończyć studia po

urodzeniu Orli, pracować na część etatu w gazecie i...

– Mamo, proszę cię! Wystarczy. Rozmawialiśmy o tym milion razy. To było dwanaście lat temu – daj mi wreszcie spokój. To był mój wybór i moje życie, nie twoje. A ja nigdy w życiu, nawet przez sekundę, nie żałowałam swojej decyzji.

Zobaczyłam uniesione brwi Orli, która posłała mi uśmiech. Słyszała tę wymianę zdań już tyle razy, że pewnie знаła ją już na pamięć.

Podeszłam do niej i objęłam ją mocno.

– Bawcie się dobrze podczas lunchu i zakupów – powiedziałam.

Kiwnęła głową i pocałowała mnie w policzek.

– Kocham cię, mamusiu.

– Ja też cię kocham, skarbeczku. Odwieszysz ją do domu po zakupach? – zwróciłam się do matki.

– Nie, zostawię ją na środku Gainesville. Och, Josie, proszę cię. Oczywiście, że odwiozę ją do domu, ale może nam zejść nawet do siódmej.

– Nie ma sprawy. Na razie! – powiedziałam i wyszłam na zewnątrz.

Chwyciłam mocno kierownicę wózka, odjeżdżając. Boże, jakaż ta kobieta potrafi być frustrująca! Tylko dlatego, że skończyła college, pracowała przez dwa lata jako reporterka w „St. Petersburg Times”, a potem poznała mojego ojca, robiąc z nim wywiad na USF[34], wzięła z nim huczny ślub – na który zaproszono większość mieszkańców Cedar Key – po roku urodziła mnie, a potem została autorką bestsellerów – wydaje jej się, że może rządzić moim życiem. Cholera! Miałam trzydzieści jeden lat, cudowną córkę, mieszkałam na pięknej wyspie, miałam mnóstwo przyjaciół i byłam szczęśliwa.

Bo byłam... prawda?

34 USF – University of San Francisco.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu. Rzuciłam okiem na budzik – 6:30. Boże, spałam dwie godziny!

Sięgnęłam po telefon; w słuchawce usłyszałam głos Mallory.

– Josie, obudziłam cię?

Mallory to moja przyjaciółka praktycznie od urodzenia – tak przynajmniej twierdzą nasze matki. One były najlepszymi przyjaciółkami od dzieciństwa, a potem zaszły w ciążę w tym samym czasie; cała wyspa żartowała z nich, kiedy na domiar tego wszystkiego obie urodziły córki w odstępie zaledwie pięciu godzin.

– Nieee... – powiedziałam, przecierając powieki i przeciągając się.

– No, tak, spałam, ale naprawdę powinnam już wstać. Nie wierzę, że już wpół do siódmej!

– Kochanie, pracujesz tak dużo, że to istny cud, że nie zamieniłaś się jeszcze w Ripa Van Winkle[35].

Uśmiechnęłam się, wstałam i ruszyłam do kuchni, żeby zrobić sobie filiżankę kawy. Przez cały burzliwy okres mojej ciąży, a także, gdy zdecydowałam się rzucić college, nie wychodzić za mąż i wychowywać Orli samotnie, Mallory trwała przy moim boku niczym skała. Bez wątpienia, była najlepszą przyjaciółką na świecie; czasami zastanawiałam się, czy w życiu płodowym nie połączyła nas przypadkiem jakaś tajemnicza więź, na przykład przez osmozę.

– Orli pojechała do Gainesville z moją matką, a ja wzięłam parę dodatkowych zleceń na dzisiejsze popołudnie. Usiadłam z gazetą na sofie, a następnę, co pamiętam, to dzwonek telefonu...

– No, drzemka na pewno dobrze ci zrobiła. Słuchaj, dzwonię, żeby zapytać, czy masz już choinkę?

Choinkę? Wstyd mi było się do tego przyznać nawet przed samą sobą, ale myśl o dekorowaniu drzewka budziła we mnie w tym roku wyłącznie zmęczenie.

– Jeszcze nie... Dlaczego pytasz?

– Troy pojechał po choinkę dla nas i w końcu przywiózł dwie –

twierdzi, że nie potrafił zdecydować, która jest ładniejsza. Mam wrażenie, że sądził, że ubiorę obie, ale szybko wybiłam mu to z głowy. Przysięgam, kiedy chodzi o Boże Narodzenie, on zaczyna się zachowywać jak dzieciak.

Parsknęłam śmiechem. Troy był dla Mallory niczym wygrana na loterii. Wprowadził się z rodziną na wyspę, gdy zaczynałyśmy liceum. Jego rodzice prowadzili restaurację w Cedar Key i zatrudnili go jako szefa kuchni. Mallory i Troy sprawiali, że musiałam zrewidować skądinąd trzeźwe poglądy na miłość od pierwszego wejrzenia. W sierpniu tego roku, gdy skończyliśmy szkołę, ja wyjechałam do Bostonu, do college'u, a Mallory została panią Troyową Wilson. Pięć lat później, po dwóch poronieniach i wielu rozczarowaniach, na świat przyszedł ich syn, Carter.

– Zatem – ciągnęła Mallory – skoro nie masz choinki, to może mogłabym ci podrzucić jedną z moich?

Uśmiechałam się, nalewając wody do ekspresu. Mallory sądziła, że może mnie nabierać? Powinna była wiedzieć, że przejrzę ją bez trudu. Przypomniałam sobie, jak tydzień wcześniej narzekałam przy niej na ceny choinek przy Walmarcie. Typowe dla tej wyspy. To nie był przypadek męża, któremu spодobały się dwie choinki, ale przypadek przyjaciółki, która postanowiła pomóc przyjaciółce.

– No cóż, nie chciałam, żebyś przeze mnie miała na głowie aż dwie choinki – stwierdziłam wielkodusznie. – Jasne, przywieźcie ją, ale nie mam pojęcia, kiedy znajdę czas, żeby ją ubrać.

– Nie martw się; z przyjemnością pomogę tobie i Orli ubrać choinkę, kiedy znajdziecie na to wolną chwilę.

Jasne, pomyślałam, czyli niby kiedy?

– No pewnie; dam ci znać – odpowiedziałam zamiast tego.

– Świetnie, w takim razie Troy wpadnie do was jutro rano.

Rozłączyłam się i nalałam sobie kawy. W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że zapomniałam włożyć do piekarnika kurczaka, który powinien być gotowy, kiedy Orli przyjedzie do domu. Cholera! Była już prawie siódma; mogły wrócić lada chwila.

Buszowałam w lodówce, kiedy usłyszałam trzask drzwi wejściowych.

– Mamuś! – zawołała. – Wróciłyśmy.

Cholera! Cholera jasna! Moja matka postanowiła wejść do środka?
Odwróciłam się, kiedy wchodziły do kuchni.

– Hej! – powiedziałam. – Dobrze się bawiliście?

– No! – potwierdziła Orli, podchodząc, żeby pocałować mnie w policzek. – Pięknie udekorowali galerię handlową na święta!

Kątem oka dostrzegłam, jak moja matka rozgląda się po kuchni, kładąc torby na blacie. Być może rozczarowałam ją, rezygnując z dalszej edukacji, ale jeśli chodzi o obowiązki domowe, zawsze wywiązywałam się z nich bez zarzutu. Nieważne, jak dużo musiałam pracować – miejsce, które nazywałyśmy z Orli domem, zawsze lśniło czystością.

– Mam dla ciebie świąteczną kawę ze Starbucksa. Pomyślałam, że sprawi ci to przyjemność. Jedna jest chyba przyprawiona na ostro, a druga z dynią czy czymś takim.

Rozchyliłam torebkę i upajałam się przez chwilę cudownym aromatem cynamonu i gałki muszkatołowej.

– Dzięki, mamu, faktycznie, zrobiłaś mi frajdę.

Moja matka otworzyła torbę marki Dillards i wyciągnęła z niej pudełko z butami.

– Proszę – powiedziała, wręczając mi je. – Błagam cię, wyrzucić natychmiast do śmieci te resztki obuwia, które masz na nogach.

Otworzyłam pudełko – w środku spoczywała para śnieżnobiałych reeboków. Owszem, potrzebowałam nowych butów, ale – na litość boską – poczułam się jak dziesięciolatka, której buciki musi kupować mamusia. Gdy ociągałam się z wyjęciem ich z pudełka, matka spytała chłodniejszym tonem:

– Nie ten rozmiar? A może po prostu ich nie chcesz, bo to ja ci je kupiłam?

Przygryzłam wargę, westchnęłam i zmusiłam się do uśmiechu, wyjmując z pudełka jeden but.

– Nie, są doskonałe. Rozmiar 7. Dzięki, mamu, to naprawdę miło z twojej strony.

Otrzeptała ręce o spodnie i powiedziała:

– No dobrze, to ja już lecę. Ojciec niedługo zgłosi moje zaginięcie w biurze szeryfa. – Jej wzrok powędrował do mojego piekarnika. – Nie

macie nic na kolację?

– Kurczak jest w piekarniku, muszę jeszcze ugotować ryż i jakieś warzywa.

Matka skinęła głową i skierowała się do wyjścia; zatrzymała się, przechodząc przez salon, i rozejrzała się dookoła.

– Nie macie jeszcze choinki?

– Jutro. Troy wybrał dla nas drzewko i przywiezie je jutro rano.

– To dobrze – odparła matka i wyszła.

Orli i ja spojrzaliśmy na siebie, chichocząc.

– Omlety i hot dogi? – zaproponowałam.

– Brzmi super – odpowiedziała moja córka z przekonaniem.

* * *

W poniedziałkowe poranki w „Cook’s Café” roi się na ogół od turystów, którzy chcą zjeść na wyspie ostatnie śniadanie przed powrotem do domu. Obsługiwałam taras; wszystkie stoliki były zajęte. Właśnie wbiegłam do środka, żeby odebrać zamówienie, gdy usłyszałam za sobą głos:

– Przepraszam, co mam zrobić, żeby wreszcie ktoś mnie obsłużył?

O rany! Niezadowolony, zniecierpliwiony klient... tylko tego mi brakowało w poniedziałek rano. Zwróciłam się w kierunku męskiego głosu, z pewnym zaskoczeniem odnotowując, że niezadowolony klient jest też wyjątkowo przystojny. Miał ciemne, grube, kręcone włosy i skórę w oliwkowym odcieniu, ubrany był w koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki. Przystojny był, owszem, ale wyraz jego twarzy stanowczo nie zachęcał do kontaktu.

Podniosłam palec wskazujący, sygnalizując „za momencik” i ruszyłam w jego kierunku, żeby odebrać zamówienie. Chwytając sztućce i serwetki, uświadomiłam sobie, że mężczyzna wygląda znajomo; nagle olśniło mnie. Niemożliwe, pomyślałam, Ben Sudbury? Siostrzeniec pana Ala? Jeśli to był on, z pewnością nie zapowiadał się na takiego przystojniaka, kiedy przyjeżdżał na wyspę w naszych nastoletnich czasach.

Rozładowałam tacę, na której piętrzyły się dania zamówione przez czteroosobową rodzinę, i podeszłam do jego stolika. Siedział

z pochyloną głową, czytając „Wall Street Journal”.

– Mogę przyjąć zamówienie? – spytałam słodkim głosem idealnej kelnerki.

– No cóż, siedzę tutaj prawie od godziny, więc miałem sporo czasu do namysłu.

Nie dość, że był niemiły, to jeszcze kłamał. Nie mógł siedzieć przy tym stoliku dłużej niż dwadzieścia minut.

Trzymając w jednej ręce notatnik, a w drugiej ołówek, zastygłam w bezruchu, patrząc na niego. Cholera! Z bliska wyglądał jeszcze lepiej. Czas okazał się łaskawy dla Bena Sudbury’ego.

– Dobrze – zrezygnował z dalszej kłótni, gdy dotarło do niego, że nie mam zamiaru wdawać się z nim w utarczki słowne. – Omlet z szynką i serem, frytki domowej roboty i bekon. Aha, czy mógłbym od razu dostać filiżankę kawy? Kto wie, ile czasu minie, zanim jedzenie będzie gotowe.

Przez moją głowę przeleciały dwie myśli. Po pierwsze, stwierdziłam, ten gość to ucieleśnienie marzeń każdego kardiochirurga. Po drugie – wyglądało na to, że nie ma pojęcia, kim jestem – nie pamięta mnie.

– No cóż – powiedziałam nieco ostrzej. – Ma pan rację. Jeśli kury w naszym ogródku mają dzisiaj zły humor, może faktycznie minąć dużo czasu, zanim omlet będzie gotowy.

Odwrociłam się na pięcie, żeby wejść do środka po dzbanek z kawą. Co on sobie wyobraża, do cholery? Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby trzymał się z dala od wyspy. Mieszkańcy Cedar Key słynęli z przyjaznego nastawienia do ludzi, on natomiast z pewnością nie spełniał tego kryterium.

Podeszłam z powrotem do jego stolika i nalałam kawy do kubka. Żadne z nas nie odezwało się już ani słowem. Kiedy weszłam do środka, żeby odebrać kolejne zamówienie, Ida Mae zaczęła dawać mi znaki z zaplecza. Wyszczrzyła zęby i przysunęła się blisko.

– Hej – powiedziała – niezły przystojniak z tego faceta, którego obsługujesz na tarasie... I jest tu sam.

Ida Mae była właścicielką „Cook’s”, miała sześćdziesiąt parę lat i uwielbiała bawić się w swatkę. Jako miłośniczka romansów, była też

jedną z najzagorzalszych czytelniczek dzieł mojej matki.

– Aha, i tak może zostać, jeśli o mnie chodzi. Wiesz, kto to taki?

Ida Mae poprawiła okulary i podeszła bliżej do witryny okiennej.

Potrząsnęła głową.

– Nie. A kto?

– Ben Sudbury. Siostrzeniec pana Ala.

To wystarczyło. Romantyczny nastrój Idy wyparował natychmiast, ustępując miejsca świętemu oburzeniu.

– Jak ta nędzna parodia siostrzeńca śmie tu przychodzić?

Powinnam powiedzieć Halowi, żeby przypalił jego porcję.

Pokręciłam głową, uśmiechając się. No tak, dla niektórych ludzi rodzina jest ważniejsza niż biznes.

– Mam mu powiedzieć, żeby wyszedł? – To by dopiero była frajda, móc go wyprosić na zewnątrz.

– Jasne – fuknęła Ida Mae – a pierwsza rzecz, jaką on zrobi, to weźmie ten swój fikuśny telefon i zadzwoni do prawnika, zanim zdążymy posprzątać jego stolik. Nie, nie potrzebuję sprawy sądowej o dyskryminację. Ale... nie będę miała do ciebie pretensji, jeśli zaczniesz teraz obsługiwać gości trochę wolniej niż zwykle.

Śmiałam się jeszcze, gdy zabręczał dzwonek sygnalizujący, że moje zamówienie jest już gotowe. Rozstawiając talerze na stoliku mojego *nemesis*, czułam, jak mi się przygląda.

– Mam podać coś jeszcze? – spytałam najchłodniejszym tonem, jaki zdołałam z siebie wydobyć.

Przechylił głowę i wpatrywał się we mnie bardzo intensywnie. Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, uśmiechnął się. Musiałam przyznać, że uśmiech miał iście zabójczy. Kąciki jego ust podniosły się i nagle nie był już „całkiem przystojny”, ale „niewyobrażalnie przystojny”.

– Już wiem, kim jesteś – powiedział, machając palcem. – Tak mi się zdawało, że wyglądasz znajomo. Mała Josie Sullivan, prawda?

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że nie byłam już pewna, czy rumienię się dlatego, że tak szybko biegam pomiędzy stolikami, czy też z powodu intensywności jego spojrzenia.

– No, no... Tyle, że już nie taka mała – powiedział, najwyraźniej doskonale bawiąc się moim zmieszaniem.

Żałowałam, że nie założyłam dziś džinsów zamiast białych szortów, niewykluczone, że odrobinę zbyt krótkich.

– Może mnie nie pamiętasz? Jestem Ben Sudbury. Kiedyś przyjeżdżałem tu na wakacje do babci i do wujka, Ala Caseya.

– Pamiętam cię – powiedziałam tylko. Przypomniałam sobie również, że ktoś wspominał, że Ben pracuje teraz w jakimś wydawnictwie na Manhattanie.

– Mówił ci już ktoś, że wyglądasz jak Winona Ryder? No, wiesz, ta aktorka?

– Nieskończenie wiele razy. Jak na kogoś, kto tak bardzo narzekał na nasze tempo obsługi, dziwnie ociągasz się z jedzeniem... Wszystko ci stygnie. – Odwróciłam się, żeby odejść, ale zatrzymałam się jeszcze na chwilę. – A przy okazji... wiem doskonale, dlaczego wróciłeś na wyspę, i powiem ci tylko, że nie jesteś tu mile widziany. Ludzie z Cedar Key nie lubią, kiedy ktoś traktuje swoich krewnych jak stare rupiecie, które można wyrzucić do śmieci.

Jego twarz stężała, a w głosie zabrzmiała złość.

– Doprawdy? No cóż, uważam, że to nie twoja sprawa. Ani nikogo z was. Widzę, że dyplom znakomitej uczelni w Bostonie nie na wiele ci się przydał. Nie wiedziałem, że trzeba dziś skończyć college, żeby zostać kelnerką.

Miałam ogromną ochotę rzucić w niego trzymanym dzbankiem z kawą, zamiast tego jednak odwróciłam się, wzięłam głęboki oddech i z podniesioną głową weszłam do restauracji.

35 Rip Van Winkle – bohater opowiadania Washingtona Irvinga, uśpiony przez duchy w górach Catskill, który budzi się po dwudziestu latach.

Stałam obok Mallory, patrząc, jak grupka dzieci wychodzi z sali gimnastycznej, mijając się z gromadką wchodzących.

– To miłe, że robimy to co roku dla dzieciaków, nie uważasz?

– Fakt, wielu z nich nie stać nawet na to, żeby kupić gwiazdkowe prezenty w Walmarcie. A tu zawsze znajdują coś miłego za symboliczną kwotę.

Spojrzałam na stolik, na którym leżały nasze ściereczki. Zdołałyśmy wydziergać sto pięćdziesiąt sztuk; sprzedawałyśmy je po pięćdziesiąt centów. Pieniądze miały być przeznaczone na piknik szkolny na koniec roku.

Mała dziewczynka, na oko pięcio- lub sześćioletnia, stała na środku sali gimnastycznej, zerkając to na jeden, to na drugi stolik, jakby nie mogła zdecydować się na kupienie czegoś. Na wyspie było w tym tygodniu dość zimno, a ona, w przeciwieństwie do większości dzieci, ubranych w dzinsy i bluzy, miała na sobie spodenki do kolan i bluzeczkę z krótkim rękawem. Jasne włosy opadały jej na ramiona; miała zrezygnowany wyraz twarzy dziecka, które już wie, że życie nie zawsze jest proste.

– Kto to taki? – spytałam Mallory. – Nie wygląda znajomo.

– Och! – westchnęła Mallory. – To Penny. Właściwie Penelope, ale Carter mówił, że ona woli, żeby nazywać ją Penny. Są razem w klasie. Przeprowadziła się tu z mamą w październiku. Nie jestem pewna, dlaczego wybrały akurat Cedar Key. Nie mają tu żadnej rodziny, mieszkają w tych komunalnych domach przy G Street. Carter twierdzi, że jej mama jest chora. Podobno to coś poważnego... Słyszałam, że w zeszłym tygodniu przyjechała do nich babcia Penny, która będzie z nimi mieszkać i im pomagać. To naprawdę smutna historia.

Skinęłam głową, patrząc na małą dziewczynkę, wędrującą od stolika do stolika. To było rzeczywiście smutne. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest, że jedni mają tak wiele, a inni tak mało, i tak często przytrafia im się coś złego, podczas gdy inni żyją kolorowo,

otoczeni miłością i radością.

– To chyba dobrze, że się tu przeprowadziły – powiedziałam. – Cedar Key opiekuje się ludźmi.

Tak było rzeczywiście. Gdy na przykład któryś ze zbieraczy małży zachorował, a nie miał ubezpieczenia zdrowotnego, „Orły” albo inna organizacja organizowała dobroczynny wieczorek taneczny, kolację albo imprezę charytatywną, żeby mu pomóc. Zawsze można było liczyć na dużą frekwencję – tutejsi ludzie potrafili troszczyć się o innych.

– Dzień dobry pani, po ile są ściereczki?

– Witaj, Chelsea, po pięćdziesiąt centów za sztukę.

– Świetnie, w takim razie poproszę cztery. Tata dał mi dzisiaj pięć dolarów. W ten sposób będę miała prezenty dla mamy, babć i dla cioci. Zostanie mi też coś na prezenty dla taty i dla braci.

– Umiesz robić zakupy – powiedziałam z uznaniem.

Zaśmiała się zadowolona z pochwały.

– Idzie Orli – powiedziała Mallory, wskazując palcem.

– Tak, pewnie do nas podejście. Zaskoczyła mnie dziś rano, bo poprosiła o dziesięć dolarów na naszą wyprzedaż, bo zwykle nie prosi o konkretną kwotę.

– Może chciała mieć przy sobie jakieś dodatkowe pieniądze, kiedy pojedziecie do Walmartu?

– Może.

W ciągu kolejnej godziny sprzedałyśmy całkiem sporo ściereczek. Nasza zmiana miała się skończyć za jakieś piętnaście minut – układałyśmy właśnie na stoliku pozostałe ściereczki, gdy podniosłam głowę i zobaczyłam, że stoi przede mną mała Penny.

– Cześć! – zagadnęła ją Mallory. – Jak się masz, Penny?

– Dobrze.

– To moja przyjaciółka, Josie. Nie wiem, czy znasz jej córkę, Orli. Jest od ciebie parę lat starsza.

– Miło mi cię poznać – powiedziałam.

I wtedy zauważyłam, że Penny nic nie kupiła. Wędrowała po sali tyle czasu, a mimo to na nic się nie zdecydowała.

– Chciałaś kupić ściereczkę? – spytałam.

– Nie wiem... A ile kosztują?

– Pięćdziesiąt centów jedna – poinformowała ją Mallory.

– Aha – powiedziała Penny i zamilkła.

Mallory i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Może chcesz kupić jedną dla swojej mamy? – spytała Mallory.

– Tak, na pewno by jej się spodobały. Są ładne, ale...

– Wiesz co? – uśmiechnęłam się do niej. – Dobrze się stało, że poczekaliśmy prawie do samego końca.

W oczach Penny pojawiło się zdziwienie.

– Tak? A dlaczego?

– Dlatego – podchwyciła Mallory – że na koniec kiermaszu zawsze obniżamy ceny. Ile masz pieniędzy?

Penny otworzyła zaciśniętą mocno piastkę, w której trzymała monetę dwudziestopięciocentową.

– No widzisz – powiedziałam. – Jeśli chcesz kupić ściereczkę dla mamy, to rzeczywiście masz szczęście, bo akurat, zanim podeszłaś, obniżyliśmy cenę do dwudziestu pięciu centów.

Na buzię małej wypłynął uśmiech.

– Naprawdę? – nie dowierzała do tego stopnia, że powtórzyła: – Naprawdę?

– Tak. Wybierz sobie tę, która ci się podoba.

Mała rączka zastygła nad jedną ściereczką, potem nad drugą. Przebrała starannie wszystkie ściereczki, leżące na blacie. Wreszcie dziewczynka cofnęła rękę i odsunęła się.

– Coś nie tak? – spytała Mallory.

– No tak, teraz mieszka z nami babcia. Nie mogę kupić prezentu mamie, skoro nie mam nic dla babci...

– Aha – przerwałam jej – ale my nie powiedziałyśmy ci jeszcze najlepszego: jeśli kupisz jedną ściereczkę, drugą dostaniesz za darmo.

Nieopisana radość zajaśniała na buzi Penny; dziewczynka popatrzyła uszczęśliwiona na mnie, a potem na Mallory.

– Naprawdę? – spytała jeszcze raz i zachichotała z radości.

– Absolutnie – zapewniłyśmy ją jednym głosem.

– Och – powiedziała Penny – w takim razie poproszę jedną dla mamy i jedną dla babci. Aha, a tu są pieniądze – powiedziała, dumnie wręczając mi monetę.

– Dziękuję – odparłam. – Umiesz robić zakupy.

Przycisnęła do piersi obie ściereczki.

– Dziękuję paniom i Wesołych Świąt! – powiedziała, a potem wybiegła z sali.

Mallory i ja popatrzyłyśmy na siebie, uśmiechnęłyśmy się i podniosłyśmy dłonie, żeby przybić piątkę.

– W takim razie już wiem, że trzeba wpisać Penny na listę dzieci, dla których potrzebujemy prezentów, no i zaprosić ją na świąteczną kolację.

Przytaknęłam.

– I kto powiedział, że Święty Mikołaj nie istnieje?

* * *

Przyglądałam się bacznie Orli, siedzącej przy stole przy kolacji. Zwykle gadała jak najęta, opowiadała mi o szkole, dziś jednak była niezwykle milcząca. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zaczyna się u niej grypa; wszyscy dookoła chorowali.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Tak – odparła, przesuwając pulpeta widelcem po talerzu.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Kupiłaś dzisiaj w szkole prezenty?

– Nie. Nic mi się nie podobało, ale babcia powiedziała, że mogę z nią pojechać do Walmartu w weekend.

Uznałam, że to dziwne, iż Orli nie znalazła nic na szkolnym jarmarku, ale nie ciągnęłam tematu.

Gdy naczynia były pozmywane, lekcje odrobione, a Orli, przebrana w piżamę, siedziała z książką na sofie, zdecydowała się wreszcie zacząć rozmowę.

– Tata zadzwonił do mnie dzisiaj na mój telefon komórkowy.

– Aha – powiedziałam, nie przerywając pracy; robiłam sweter na drutach.

Kiedy Grant zaproponował latem, że kupi jej telefon, nie byłam zachwycona. Uważałam, że to zbyt cenny gadżet dla jedenastoletniej dziewczynki. Grant twierdził jednak, że czasami trudno mu złapać Orli z powodu wszystkich

jej zajęć, i zapewnił mnie, że sam kupi telefon i będzie płacił rachunki. Nie chciałam, żeby z mojego powodu pogorszył się kontakt między nimi, więc się na to zgodziłam.

– Co u niego? – spytałam, ponieważ znowu zamilkła. Grant i ja spieraliśmy się czasami o wychowanie córki, na ogół jednak byliśmy w stanie dojść do porozumienia, przynajmniej w ważnych sprawach.

– W porządku. Powiedział mi, że bierze wolne aż do pierwszego.

– To miło – odparłam, skupiając się na liczeniu oczek.

– Tak, i zastanawiał się, czy... może...

Popatrzyłam na nią. To zabrzmiało jak coś poważnego.

– Czy może co?

– No, ma zamiar lecieć do Paryża na święta... i wie, że w tym roku powinnam być z tobą... ale.. zastanawiał się, czy nie zmieniałabyś zdania.

Orli nawijała na palec kosmyk włosów w sposób wskazujący niezbitcie, że jest zdenerwowana prośbą ojca. A niech go diabli! Spędził z naszą córką poprzednie Boże Narodzenie, a teraz śmie proponować jej coś takiego, nie pytając mnie o zdanie? Czułam, że wzbiera we mnie gniew, ale postanowiłam za wszelką cenę zachować spokój.

– A co ty byś chciała? – spytałam.

– Bardzo chciałabym pojechać do Paryża... ale nie w tym roku, nie na święta. Chciałabym spędzić święta z tobą.

Kiwnęłam głową. Sprawa była załatwiona.

– W takim razie tak powinnaś zrobić. Wybór należy do ciebie, Orli.

– Naprawdę? – Jej twarz nareszcie się rozjaśniła.

– Naprawdę. Chcesz zadzwonić do taty i powiedzieć mu o swojej decyzji, czy ja mam to zrobić?

– No... żal mi go, że będzie sam, ale byłam z nim w zeszłym roku. Zadzwonisz do niego?

– Oczywiście. Spróbuję go złapać trochę później.

Gdy poszła do łóżka, wybrałam numer telefonu komórkowego Granta. Odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, Josie. Tak myślałem, że do mnie zadzwonisz.

– Doprawdy?

– Trochę przesadziłem, co?

– Można tak powiedzieć.

– Przepraszam... Powinienem był najpierw porozmawiać z tobą. To się więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję, Grant, bo gdyby nasza córka miała inny charakter, mogłaby rozgrywać to w taki sposób, żeby nastawić nas przeciwko sobie. Nadchodzi czas poważnych decyzji w jej życiu. Musimy być po tej samej stronie.

– Wiem. Po prostu wyjeżdżam do Paryża dziewiętnastego i pomyślałem sobie, że byłoby świetnie polecieć tam z Orli. Zachowałem się jak egoista. – Urwał na chwilę. – Ona nie chce jechać, prawda?

– To nie tak, że nie chce, Grant. Jestem pewna, że byłaby zachwycona. Powinieneś już wiedzieć, że ona jest lojalna i nie lubi nas rozczarowywać. Ale jest też uczciwa. Powiedziała, że przykro jej, że będziesz sam, ale chce w tym roku spędzić święta ze mną.

– To jest uczciwe postawienie sprawy. Skąd myśmy wzięli takie wspaniałe, dojrzałe dziecko?

Zaśmiałam się.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Co porabiasz? Jak sobie radzicie finansowo?

– Całkiem w porządku. Mam dodatkową pracę. Radzę sobie. – Nie miałam najmniejszego zamiaru informować Granta, jak ciężko nam się żyje. Ani też dzielić się z nim ostatnimi przemyśleniami na temat tego, czy warto było rezygnować z college’u.

– Masz kogoś?

Uśmiechnęłam się. Przerzucaliśmy się tym pytaniem od ponad jedenastu lat. Choć Grant miał na koncie kilka poważnych związków, skończyło się na niczym. Dla mnie to było niepojęte! Przystojny absolwent Harvardu, ze świetną pracą, oferujący zabezpieczenie finansowe, ze świetnym poczuciem humoru... a jednak był sam.

Udzieliałam mu tej samej odpowiedzi, co zawsze.

– Mam Orli.

Roześmiał się.

– No dobrze, przepraszam cię jeszcze raz za ten incydent i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Powiedz Orli, że ją Kocham i że zadzwonię do niej w weekend.

– Jasne – odparłam i rozłączyłam się.

Wkładałam właśnie pranie do pralki, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zdziwiłam się, widząc, że na mojej werandzie stoi zdenerwowany Al Casey, przestępując z nogi na nogę. Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki okazje, przy których składał mi wizyty.

– To pan? – powiedziałam, otwierając drzwi. – Proszę wejść. Jak się pan miewa? Nie widziałam pana od jakiegoś czasu.

– Tak, tak, wiem – odpowiedział, wchodząc za mną do kuchni.

– Co pan powie na kubek popołudniowej kawy? Chętnie zrobię sobie przerwę od sprzątanania. – Zaczęłam sypać kawę do papierowego filtra. – Proszę usiąść.

– Dziękuję, Josie. To bardzo uprzejmie z pani strony, chętnie napiję się kawy.

Napełniając szklany dzbanek wodą, zastanawiałam się, czemu zawdzięczam tę wizytę. On, jakby czytając w moich myślach, odezwał się po chwili:

– Pewnie głowi się pani, dlaczego przyszedłem.

Usiadłam przy stole i uśmiechnęłam się do niego serdecznie.

– Chce pan powiedzieć, że to nie dlatego, iż jestem tak miła, że przyjemnie spędza się czas w moim towarzystwie?

– No, tak... To też – odparł, czerwieniąc się.

– Żartowałam, Al. Co mogę dla pana zrobić?

Choć popołudnie było dość chłodne, wyjął nieskazitelnie białą chusteczkę z kieszeni dżinsów i wytarł czoło, na którym widniały kropelki potu.

– No cóż... przypuszczam, że słyszała pani pogłoski krążące po mieście. O tej grupie, która chce złożyć skargę w Radzie. Chcą mi zabrać dom i działkę i pozbyć się mnie. Jaśnie panicz, mój siostrzeniec, też się w to włączył.

Wstałam, nalałam kawy do dwóch kubków i usiadłam z powrotem naprzeciwko pana Ala.

– Tak – potwierdziłam. – Słyszałam o tym i uważam, że to

okropne. Zapewniam pana, że przyjdę na posiedzenie Rady, żeby pana poprzeć. Tak się składa, że wiem, że nie będę w tym osamotniona.

Al wypił łyk kawy i westchnął głęboko.

– Bardzo to miłe, ale wątpię, czy to coś da.

– Co pan ma na myśli? Jest pan właścicielem domu i ziemi – czarno na białym. Nikt nie może pana stamtąd wyrzucić.

– Ach, w dzisiejszych czasach, kto wie, co jest możliwe? Wiem, że mam bałagan przed domem; obawiam się, że trochę zaniedbałem obejście. Ale odkąd zmarła mama, jakoś nie mam serca do niczego. Wie pani... swego czasu z radością witałem każdy nowy dzień. Wstawałem przed wschodem słońca, potem szedłem do „Cook’s”, na dobre śniadanie, a później – do mariny, żeby wypłynąć na cały dzień na Zatokę. Łowienie ryb – to było całe moje życie, wie pani.

Przytaknęłam, pijąc kawę. Nie ulegało wątpliwości, że pan Al czuje się samotny i przybity.

– A potem, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, zabronili używać sieci. Mówili, że to szkodzi środowisku i że łowimy za dużo. Ja tam nie wiem – wiem tylko tyle, że odebrali mi źródło utrzymania.

– Ale wie pan, że rząd przysłał na wyspę ludzi, którzy mieli nas nauczyć hodowania małży. I teraz Cedar Key ma największą hodowlę w całym kraju.

– Kiedy ja nie chciałem hodować małży – machnął ręką, zdenerwowany. – Byłem rybakiem. Przede mną cztery pokolenia łowiły ryby na tych wodach. Tego nic nie zmieni. Dziękuję tylko, że dobry Bóg pozwolił mi zarobić wystarczająco dużo, żebym nie musiał brać się za hodowanie małży.

Pan Al nie był jedyną osobą na wyspie o takich poglądach, nie byłam więc zaskoczona.

– Zabrali mi pracę, potem zmarła moja siostra, Annie, a potem mama dołączyła do niej w niebie. Teraz zostałem tylko ja. No, i ten pętaś, mój siostrzeniec. Ale przysięgam, on nie ma w sobie ani kropli wyspiarskiej krwi! Biedna Annie chyba przewraca się w grobie.

– Spotkał się pan z Benem po jego przyjeździe?

– O, tak, przyjechał, żeby ze mną porozmawiać. Porozmawiać?

Właściwie to nie chciał rozmawiać, przyjechał, żeby mi powiedzieć, co mam robić. Powiedział, że powinienem wystawić dom na sprzedaż. Że będzie mi dużo lepiej w domu starców. Do diabła – przepraszam panią – żaden ze mnie starzec!

– Oczywiście, że nie – pogłaskałam go po dłoni. Była wciąż duża i silna, choć upstrzona brązowymi plamami. Ta dłoń nieskończenie wiele razy zarzucała sieci w morze.

Starszy pan przyłożył chusteczkę do oczu.

– No, dobrze – powiedział, chrząkając. – Nie przyszedłem tutaj, żeby narzekać. Przyszedłem poprosić panią o przysługę.

– O przysługę?

Skinął głową.

– Tak. Pani i pani mama byłyście dla mnie zawsze bardzo miłe. A teraz ta pani mała – dobrze ją pani wychowała, bez dwóch zdań. Ma dobre serce, to na pewno, i ja to doceniam. Pamiętam, jak wróciła pani na wyspę z college’u. Tyle było gadania i plotek! Ale proszę tego nigdy nie słuchać. Pani córka... Ona jest żywym dowodem na to, że postąpiła pani właściwie.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Nie miałam pojęcia, że Al tak uważa.

– Dlatego pomyślałem, że mogę poprosić panią o przysługę, a pani zrozumie.

– Czego pan potrzebuje?

– No, jedyna rzecz, która naprawdę mnie martwi, to to, że jeśli będę musiał się przeprowadzić, to nie pozwolą mi zabrać ze sobą Kumpla. To świetny pies, ale nikt się tym nie przejmie, bo w takich miejscach nie wolno trzymać psów. A on jest moim najlepszym przyjacielem. Przyjaciele dbają o siebie nawzajem, i mam zamiar właśnie to zrobić: zadbać o niego. Tak się zastanawiałem... Jeśli będę musiał przenieść się w takie miejsce... czy może... czy pani mogłaby... zabrać Kumpla i pozwolić mu tutaj zamieszkać?

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam.

– On nie sprawi kłopotu – pospieszył z zapewnieniami pan Al, widząc, że nie odpowiadam. – Naprawdę. To dobry pies. Nie ucieka, przychodzi na wołanie, śpi na podłodze obok mojego łóżka, co noc. No,

uwielbia kurczaki – pan Al zachichotał – więc kiedy będzie pani gotowała kurczaka, on będzie się trzymał blisko kuchni. A może... może mogłaby pani dać mu trochę resztek, jeśli jakieś zostaną. Uwielbia to.

Boże! Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zupełnie nie spodziewałam się takiej prośby. Pies? A co na to Goździk?

Mimo to powiedziałam:

– Tak, tak, oczywiście, że zaopiekuję się Kumplem – wzięłam go za rękę. – Proszę się tym w ogóle nie martwić. Orli i ja zapewnimy mu dobry dom.

– Wiem o tym. Dlatego właśnie postanowiłem panią o to poprosić.

– Ale proszę pamiętać, że nigdzie się pan nie wybiera. Wszyscy jesteśmy z panem. Naprawdę!

Wstał od stołu, wypił resztę kawy i wstawił kubek do zlewu. Gdy się do mnie odwrócił, zobaczyłam pokonanego człowieka. Człowieka, który stracił wszystkich, na których mu zależało. Biała broda miała ten sam kolor, co wianuszek włosów okalających czaszkę. Pan Al był średniego wzrostu i zawsze miał lekką nadwagę, co nadawało mu jowialny wygląd. Dziś jego opalona twarz była bledsza niż zwykle, a przyjrząwszy mu się z bliska, mogłabym przysiąc, że schudł dość mocno.

– No cóż – powiedział, kierując się do drzwi. – Bardzo pani dziękuję, chociaż nie sądzę, żeby ktokolwiek zdołał cokolwiek z tym zrobić.

Poklepałam go po łopatkach.

– Proszę się tym nie martwić, dobrze? Poradzimy sobie z tym, tak czy inaczej.

– Aha – powiedział, sięgając do klamki – ten mój siostrzeniec... nie przyjechał tylko po to, żeby ze mną rozmawiać. Bardzo dużo pytał o panią.

– O mnie? – byłam szczerze zdumiona.

– No, tak, gdybym go nie znał, pomyślałbym, że się w pani zakochał albo co. Dobrego dnia, Josie, dziękuję pani za wszystko.

Pan Al ruszył w dół ulicą, a ja stałam w drzwiach, zdezorientowana jak nigdy.

– Zakochał się w tobie? Tak powiedział? – pytała Mallory.

Skinęłam głową, składając ręczniki na kuchennym stole.

– No. Tak powiedział, a ja byłam zaskoczona do tego stopnia, że nic nawet nie odpowiedziałam.

– Sądząc po tej hmm... rozmowie, jaką odbyliście w „Cook’s” w zeszłym tygodniu, raczej nie jest tobą zainteresowany, w każdym razie nie w sensie romantycznym.

– To dupek i mam nadzieję, że nie jest mną zainteresowany w żadnym sensie. Poczekaj, zaraz wracam – powiedziałam, wychodząc z kuchni, żeby schować ręczniki do kredensu.

Nalałam sobie kolejny kubek kawy i usiadłam przy stole obok Mallory.

– Biednego pana Ala wyrzucą lada moment z domu, a ten cholerny egoista nie ruszy nawet palcem, żeby ich powstrzymać.

– Wiem. Rozmawiałam o tym z Troyem. Nic nie możemy zrobić?

– Możemy pójść na zebranie Rady w przyszłym miesiącu i zaświadczyć, że on nie zagraża nikomu i nie szkodzi sobie, mieszkając samotnie. Co jeszcze? Nie mam pojęcia.

– A ja... mam pewien pomysł... – Mallory urwała. – Mam nadzieję, że nie odgryziesz mi za to głowy, ale pomyślałam sobie, że... że może spróbowałabyś poderwać Bena. Może udałoby ci się przemówić mu do rozsądku? Może on zrozumie, że odesłanie stryja do domu starców to najgorsza rzecz, jaką może zrobić?

– Ja? Zwariowałaś? Nie znoszę tego typu. Jest arogancki, złośliwy i pogardliwy. Dziękuję bardzo, nie ma mowy.

– Tak tylko pomyślałam – mruknęła Mallory, gdy wstawałam od stołu, żeby odebrać telefon.

– Josie, kochanie... – usłyszałam w słuchawce głos mojej matki.

– Cześć, mamó. Co tam?

– Skarbie, nie zgadniesz, na kogo wpadłam dzisiaj w miasteczku. – I nie czekając na moją odpowiedź, dodała: – Na Bena Sudbury’ego. Boże, nie widziałam go tyle lat! Nie da się ukryć, że wyprzystojniał. W każdym razie... zaprosiłam go na obiad do nas, na sobotę, i dzwonię, żeby upewnić się, że ty i Orli będziecie mogły przyjść.

– Co takiego?! – krzyknęłam tak głośno, że Mallory popatrzyła na mnie, unosząc brwi.

– Powiedziałaś ci, że wpadłam na Bena...

– Słyszałam, co powiedziałaś, mamo. Skąd przyszedł ci do głowy pomysł, żeby go zaprosić? Nawet się nie znacie!

– No, to niezupełnie prawda. Znałam go, kiedy był dzieckiem i przyjeżdżał tutaj na lato. Ben pracuje w wydawnictwie, wiesz przecież. Mamy mnóstwo wspólnych znajomych, więc pomyślałam, że miło będzie go ugościć. Co w tym złego?

– Mamo, czy ty wiesz, po co on tu przyjechał? Ma zamiar przenieść biednego pana Ala do domu opieki, sprzedać jego dom i beztrudnie wrócić sobie do Nowego Jorku. Nie mam zamiaru mieć nic wspólnego z tym egoistycznym dupkiem. Przykro mi. Niestety, nie przyjdziemy.

Z tonu, jakim moja mama powiedziała: „Ach, tak?” wywnioskowałam, że nie miała o tym pojęcia. Opowiedziałam jej więc o wszystkim ze szczegółami.

– Hmm... – mruknęła. – Wiedziałaś o tych skargach, związanych z posiadłością pana Ala, ale nie miałam pojęcia, że Ben jest w to zaangażowany. Myślałam, że po prostu przyjechał do wuja z wizytą.

– Nic podobnego.

– No cóż, nie mogę odwołać obiadu. To byłoby niewłaściwe. Poza tym... może tym bardziej powinnam z nim porozmawiać.

– Jak sobie chcesz – wzruszyłam ramionami.

– Co ja słyszę? Idziesz na obiad do swojej mamy i Ben Sudbury tam będzie? – spytała Mallory, gdy odłożyłam słuchawkę.

– Nigdy w życiu.

– Nie powinnaś odmawiać tak szybko. Pamiętaj, muchy lecą do miodu, a nie do octu.

– No cóż, nigdy nie przepadałam za miodem – mam skłonności do hiperglikemii. Nie mówiąc już o tym, że miód ma mnóstwo kalorii.

I znowu biegałam po kuchni w poszukiwaniu zagubionej rzeczy. Niestety, Orli nocowała akurat u Carli, nie mogła więc służyć mi pomocą.

Wpadłam do kuchni i spojrzałam na zegar, wiszący nad lodówką. Cholera – dziesięć po siódmej! Byłam już dziesięć minut spóźniona na obiad u matki. Mallory w końcu przekonała mnie, że powinnam pójść – że być może zdołam wybić Benowi z głowy pomysł sprzedaży domu i umieszczenia pana Ala w domu opieki. Ja wprawdzie miałam co do tego poważne wątpliwości, ostatecznie jednak uznałam, że nie zaszkodzi spróbować.

A teraz szukałam niewielkiej torby na zakupy. Okazało się, że ukryta przed ludzkim wzrokiem, leżała sobie na krześle pod stołem. Złapałam torbę, wpadłam do salonu, chwyciłam kluczyki od wózka golfowego, kurtkę, swoją torebkę, i wybiegłam z domu.

Zarówno wewnątrz, jak i ogród domu rodziców były rześkie oświetlone. Zanim jeszcze zdążyłam wysiąść z wózka, matka otworzyła szeroko drzwi frontowe i wybiegła na werandę.

– Dobry Boże, Josie! – syknęła. – Naprawdę nie mogłabyś choć raz w życiu zjawić się punktualnie?

Wymamrotałam przeprosiny i wręczyłam jej niewielką torbę.

– To włóczka, którą miałam dla ciebie odebrać ze sklepu Moniki.

Wystarczy wspomnieć o włóczce, a moja matka staje się ciepła i mięciutka – jak każda zagorzała miłośniczka robienia na drutach.

– Och, dziękuję ci – rozpromieniła się. – Zabrakło mi jednego motka na sweter, który robię na targ dobroczynny. No, wejdz już, wejdz. Ben już jest, ojciec właśnie poczęstował go drinkiem.

Poszłam za nią do salonu, z którego już z daleka niósł się śmiech ojca. Ben najwyraźniej powiedział coś zabawnego. W tym momencie uświadomiłam sobie, że udało mi się popełnić kolejne modowe *faux pas*, za które matka niewątpliwie zmyje mi głowę przy najbliższej okazji.

Zarówno Ben, jak i tata mieli na sobie sportowe marynarki.

Żadnych krawatów, koszule rozpięte pod szyją. Matka wyglądała elegancko i świątecznie w spódnicy do kostek i jedwabnej bluzce w odcieniu zieleni, przypominającym gałęzie choinek. Nie, nie miałam na sobie dzinsów i bluzy, ale zapewne należało wybrać coś bardziej eleganckiego od czarnych spodni i zwykłego swetra.

– Josie – powiedział ojciec, wstając, żeby mnie uściskać. – Co powiesz na kieliszek białego wina? Znasz Bena, więc nie muszę was sobie przedstawiać. Właśnie opowiadał mi anegdoty z czasów, kiedy jako dziecko spędzał tu wakacje.

Ben nigdy nie wydawał mi się szczególnie wesołym typem, więc tego nie skomentowałam. Skinęłam tylko głową, uśmiechając się.

Gawędziliśmy przy winie, gdy Delilah oznajmiła, że obiad jest gotowy, przeszliśmy więc do jadalni. Stół był pięknie nakryty, na środku stał wazon z bukietem czerwonych róż w otoczeniu zielonych, bożonarodzeniowych świeczek.

– Josie – komenderowała matka – ty usiądź tutaj, a Ben – naprzeciwko ciebie; tak będzie dobrze.

Ojciec usiadł koło mnie; pożałowałam, że nie kazała usiąść tu Benowi. Czułam się niezręcznie na myśl, że będzie mi się przyglądał przez cały obiad.

Delilah wniosła pierwsze danie, zupę dyniową, którą wszyscy się zachwyciliśmy. Nie da się ukryć: większość kobiet na naszej wyspie to doskonale kucharki. Przepisy przekazuje się z pokolenia na pokolenie, surowo strzegąc ich tajemnicy. Delilah korzystała z wielu takich rodzinnych przepisów, a efekt był doprawdy powalający na kolana.

Przy głównym daniu – podano jagnię, pieczone ziemniaki i duszone kabaczki – rozmawiali głównie moja matka i Ben, wymieniając uwagi na temat wydawnictw, najnowszych trendów w branży oraz znajomych osób.

Kiedy Delilah stawiała na stole swoje niezrównane ciasto jagodowe, zdążyłam już dojść do wniosku, że być może początkowo oceniłam Bena trochę niesprawiedliwie. Byłam zdziwiona, widząc, że całkiem sympatycznie gawędzi z moją matką – w niczym nie przypominał tego niecierpliwego, zirytowanego klienta, którego obsługiwałam w „Cook’s”. W dodatku wyglądał jeszcze lepiej, niż mi

się zdawało przy pierwszym spotkaniu. Kątem oka widziałam, że mnie obserwuje, ale unikałam jego wzroku – patrzyłam w swój talerz lub na rodziców.

– No, dobrze – powiedziała w końcu moja matka. – A co to za nonsens, o którym słyszę, że ponoć chcesz sprzedać dom pana Ala i umieścić go w domu starców?

Tym razem spojrzałam na Bena, czekając, aż odpowie.

– No, cóż... – powiedział, odwracając ode mnie wzrok. Wyglądał na skrępowanego; odsunął krzesło, ścisnął w dłoniach serwetkę i odchrząknął głośno. – Zadzwonił do mnie stary przyjaciel, stąd, z wyspy. Wyjaśnił, że dom mojego wujka jest bardzo zaniedbany... no i....

– Zaniedbany? – przerwałam. Nie byłam w stanie dłużej milczeć. – Od kiedy to fakt, że czyjaś posiadłość jest zaniedbana, wystarcza, żeby sprzedać jego dom i wysłać tego kogoś do domu starców?

Poczułam, że jego ciemnobrązowe oczy patrzą na mnie bacznie.

– Słuchaj, nie mam zamiaru się z tobą o to spierać. Posiadłość wuja jest zaniedbana, ale to nie jedyny powód, dla którego uważam, że już czas, żeby trafił do jakiejś placówki opiekuńczej. Dowiedziałem się, że zachowuje się dziwnie, odkąd zmarła babcia. Prawie nie wychodzi z domu, nie widuje się z przyjaciółmi... Nie powinien już mieszkać sam; to nie jest dla niego bezpieczne.

– A skąd ty to wszystko wiesz? – spytałam.

Przypomniałam sobie, co mówił Al: że od czasu przyjazdu Ben odwiedził go tylko raz i że usilnie namawiał go wtedy na przeniesienie do domu opieki.

Ben milczał, wpatrując się w niedojedzony deser na swoim talerzu.

– No właśnie! Nie odpowiadasz, bo nie zadałeś sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, jak się czuje twój wuj. A on ma depresję – to proste. Ty też byś ją miał, gdyby dwie osoby, które kochałeś najbardziej na świecie, odeszły, a wraz z nimi część przyjaciół, których znałeś od dzieciństwa. Pan Al czuje się zagubiony i przybity, a do tego naprawdę jest samotny.

Zauważyłam, że rodzice milczą, nie próbując wtrącać się do naszej rozmowy. Oboje siedzieli cicho, słuchając naszej wymiany zdań.

Zanim Ben zdążył odpowiedzieć, dodałam:

– I jeszcze jedno – nie możesz tak po prostu wyrzucić go z domu. Więc jaki masz plan? Pójdiesz do sądu, żeby uzyskać orzeczenie o jego niepoczytalności? No cóż, możemy się założyć, że połowa miasta przyjdzie tam, żeby go bronić. Mogę ci to zagwarantować!

Ben odrzucił głowę do tyłu; minę miał wyzywającą.

– Robisz ze mnie jakiegoś potwora, a nie sędzę...

Moja irytacja wzrosła.

– Owszem, bo tym właśnie jesteś – potworem – przerwałam mu. – Może i przyjeżdżałeś tu na lato, ale nie jesteś jednym z nas. Zawsze traktowałeś nas z góry; twierdziłeś, że nie możesz się doczekać, żeby przestali cię wreszcie zmuszać do spędzania tutaj wakacji. A kiedy już wyjechałeś na dobre, nie oglądałeś się za siebie. A teraz – proszę bardzo, wróciłeś w chwale, żeby wszystko naprawić. Tyle, że nie masz racji co do swojego wuja. – Wstałam i rzuciłam serwetkę na stół. – Jesteś po prostu samolubnym, aroganckim dupkiem, a ja nie wątpię, że pani Annie przewraca się w grobie, widząc, kim się stał jej syn.

Pochyliłam się i pocałowałam ojca w policzek.

– Przepraszam, tato, nie zostanę ani minuty dłużej.

Idąc do hallu po swoją kurtkę, usłyszałam, jak matka woła:

– Josephine Shelby Sullivan, wróć natychmiast i przeproś. Gdzie się podziały twoje dobre maniery?

Nie bacząc, że jestem wystarczająco wściekła, moja matka musiała dolać oliwy do ognia, zwracając się do mnie pełnym imieniem – imieniem, którego nienawidziłam i które zmieniłam na „Josie” mając sześć lat, w dniu, w którym poszłam do pierwszej klasy. Po trzech miesiącach uporczywych protestów przeciwko zwracaniu się do mnie per „Josephine” matka wreszcie ustąpiła. Od tamtej pory byłam Josie.

– Moje maniery? Zapewne podziały się tam, gdzie słońce nie dochodzi – odkrzyknęłam, zatrzaskując za sobą drzwi frontowe.

* * *

Następnego dnia sprzątałam w pokoju Orli, próbując uporać się ze złością, jaką wzbudził we mnie Ben Sudbury. Prędzej na Florydzie spadnie śnieg w lipcu, mówiłam sobie, niż się z nim pogodzę. Moja matka to co innego. Wiedziałam od razu, że prędzej czy później będę

musiała zadzwonić i przeprosić ją za to, że wyszłam przed końcem obiadu.

– Cholera! – krzyknęłam na cały głos, ciągnąc odkurzacz po dywanie. Piłka do koszykówki, uderzona rurą odkurzacza, wylądowała pod łóżkiem Orli.

Niechętnie opadłam na kolana, żeby ją stamtąd wyciągnąć, i... zdumiałam się. Podniosłam wyżej falbanę narzuty, mrużąc:

– Co to jest, u licha?

Położyłam się na brzuchu i wsunęłam głębiej pod łóżko: stało tam pięć puszek z farbą. Co robiła farba pod łóżkiem Orli? Nie miała chyba zamiaru podarować mi jej na Gwiazdkę?

Patrzyłam na puszki, skonfundowana, gdy przypomniało mi się, jak kilka tygodni wcześniej Orli wspominała, że marzy o przemalowaniu swojego pokoju. Tyle że miałam ostatnio tak mało czasu dla swojej córki, iż kompletnie wyleciało mi to z głowy.

Wypełzłam spod łóżka i usiadłam na podłodze, opierając się o nie plecami. Czasami czułam, że kompletnie nie radzę sobie jako matka, i to była właśnie jedna z tych chwil. Przecież to dziecko nie prosiło o wiele – chciała tylko, żeby przemalować jej pokój. A jednak jej prośba umknęła mi gdzieś – byłam zbyt zajęta pracą i wyzwaniem samotnego rodzicielstwa.

Dopadło mnie poczucie winy. Gdyby tata Orli mieszkał z nami, pewnie przemalowałby jej pokój w jeden weekend. Zaczęłam płakać, a łzy spływały mi po policzkach. Byłam zmęczona; co ja mówię: byłam wykończona i po raz pierwszy od dwunastu lat skłonna przyznać, że nie wszystkie decyzje, które podjęłam, były zbyt trafne. Samotnego wychowywania Orli do nich nie zaliczałam, bo moim największym błędem było to, że nie skończyłam studiów. A wykształcenie to rzecz bezcenna. Wiedziałam o tym, a jednak zlekceważyłam ten fakt. Byłam zbyt uparta i zanadto niezależna, by przyjąć od matki pomoc, dzięki której mogłabym wrócić do college'u po urodzeniu córki. Edukacja była kluczem, który otwierał każde drzwi, a ja lekkomyślnie wyrzuciłam go do śmieci.

Wstałam i wytarłam oczy. Wzięłam chusteczkę z nocnego stolika, wydmuchałam nos i ruszyłam do kuchni, żeby zaparzyć sobie świeżej

kawy. Zamiast jednak rozczulać się nad sobą, sypiąc kawę do papierowego filtra, przystąpiłam do planowania.

Może gdybym przyjęła pomoc matki, mogłabym zacząć studia w Gainesville. Patrząc, jak woda wypełnia szklany dzbanek, nagle uświadomiłam sobie, że nie mam bladego pojęcia, co właściwie mogłabym studiować.

Tak, dwanaście lat temu studiowałam dziennikarstwo, teraz jednak zupełnie mnie to nie pociągało. Poza tym potrzebowałam czegoś praktycznego – zawodu, który zapewniłby mi i Orli godne utrzymanie. Zawodu, który nie wymagałby łapania chałtur.

Ale co by to mogło być? Kim chcę zostać, kiedy dorosnę?

– No cóż, Josie Sullivan – powiedziałam głośno. – Masz trzydzieści jeden lat; najwyższa pora, żebyś odpowiedziała sobie na to pytanie.

Przygotowałam dla Orli jej ulubioną kolację – gulasz z tuńczyka; miałam zamiar porozmawiać z nią na temat malowania, kiedy skończymy jeść. Tego wieczoru znów była milcząca.

– Rozmawiałam dzisiaj z babcią – powiedziałam jej, nalewając do miednicy gorącej wody i płynu Palmolive. – Będzie piekła pierniczki w sobotę; pytała, czy mogłabyś przyjechać, żeby jej pomóc.

– No pewnie, będzie świetnie. Pojadę. Zaraz... W najbliższą sobotę? Nie... nie wiem, czy będę mogła.

Nie przypominałam sobie, żeby cokolwiek było zapisane na ten dzień w kalendarzu Orli, wiszącym w naszej kuchni. Kalendarz był naszą Biblią – Orli odziedziczyła po mnie zdolności organizacyjne, które miałam po mamie. Zapisywałyśmy z zapałem każde zdarzenie, wizytę lekarską, spotkanie.

– Naprawdę? Dlaczego nie? Nie zapisywałaś nic w kalendarzu na sobotę.

– Nie... ja... zapomniałam zapisać.

Nie powiedziała nic więcej, spytałam więc:

– A jakie masz plany?

– To... niespodzianka. Umówiłam się z Carlą. Będziemy coś robić razem. W sobotę po południu.

– Ach, tak! – odparłam, myjąc naczynia. W końcu był okres świąteczny, każdy dom pękał w szwach od świątecznych niespodzianek, zostawiłam więc ten temat w spokoju. – Kiedy skończymy, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. Odrobiłaś lekcje?

– Tak, skończyłam jeszcze przed kolacją.

– Dobrze. Zrobię gorącą czekoladę i zjemy sobie kilka pysznych ciasteczek z dyni, które kupiłam u Grace dziś po południu.

Wszystkie ważne rozmowy w naszym domu niemal zawsze odbywały się przy kuchennym stole. Tak było, kiedy dorastałam, i do tego przyzwyczaiałam również Orli.

Orli zanurzyła łyżeczkę w gorącej czekoladzie i zlizwała odrobinę

bitej śmietany.

– O co chodzi? – popatrzyła na mnie pytająco.

– No cóż... sprzątałam dziś rano twój pokój i...

– Och, wiem, obiecałam ci, że nie będę robić takiego bałaganu na biurku, ale Carla i ja pracujemy nad takim jednym projektem do szkoły...

– Nie, nie chodzi mi o biurko. Niechcący wrzuciłam twoją piłkę do koszykówki pod łóżko rurą od odkurzacza i...

Oczy mojej córki zrobiły się wielkie jak spodki.

– Tak, wiem... Miałam ci o tym powiedzieć, mamó. Naprawdę miałam zamiar to zrobić.

– O puszkach z farbą?

Przytaknęła, patrząc w dół, na niezjedzone ciasteczka na swoim talerzu.

– No cóż, to w gruncie rzeczy moja wina.

– Twoja wina? Jak to? – nie kryła zdumienia.

– Próbowałam od tygodni porozmawiać ze mną o różnych sprawach. To żadne wytłumaczenie, wiem, ale byłam tak nieludzko zajęta, pracując po godzinach... Ale wiesz co? Może to, że znalazłam tę farbę, to najlepsze, co mogło nam się przytrafić? Postanowiłam, że muszę zmienić pewne rzeczy w swoim życiu, i kiedy tylko uda mi się wszystko zaplanować, ty pierwsza się o tym dowiesz. Wracając do malowania twojego pokoju...

Orli uniosła brwi i zaczęła chichotać.

– Mamó, o czym ty w ogóle mówisz? Chyba za ciężko pracujesz – naprawdę potrzebujesz urlopu.

Teraz to ja nie rozumiałam, o co jej chodzi.

– Znalazłam puszki z farbą pod twoim łóżkiem. Mówiłaś kilka tygodni temu, że mogłybyśmy przemalować twoją sypialnię. –

A ponieważ nic nie mówiła, dodałam: – Czy nie po to właśnie jest ta farba?

Orli potrząsnęła powoli głową.

– Nie, to nie jest farba do mojej sypialni.

Rozmowa szła jak po grudzie. Moje dziecko było zwykle bardzo otwarte; nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nagle zamyka się w sobie.

– No dobrze, powiedz mi wobec tego, co się dzieje? O co tu chodzi?

Wahała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– To dla pana Ala.

– Dla pana Ala? – powtórzyłam, nadal nie rozumiejąc.

Orli kiwnęła głową.

– Tak... Widzisz... stwierdziłam, że skoro oni chcą go umieścić w domu opieki z powodu tego, jak wyglądają jego dom i trawnik, to ja... zebrałam grupkę dzieciaków, żeby mi pomogły.

– Żeby pomogły ci w czym?

– W pomalowaniu domu pana Ala i usunięciu śmieci sprzed domu. Wtedy już nikt nie będzie mógł mu zarzucać, że nie dba o porządek, ani zmuszać go do sprzedaży domu i wyjazdu z wyspy. On nie chce wyjeżdżać, mamó. Ja i Carla... chodzimy do niego codziennie, żeby z nim porozmawiać. Bo on... jest taki smutny. Ale nie wiedział, co robić, więc powiedziałam mu, żeby się nie martwił, że coś wymyślę... No i wymyśliłam.

„A małe dziecię prowadzić ich będzie”, przeleciał mi przez głowę wers z Pisma Świętego. To dlatego trzymała pod łóżkiem puszkę z farbą? Orli spotykała się w tajemnicy z panem Alem, szukając rozwiązania? A ja byłam tak zajęta, tak daleka, że nie miałam pojęcia, co wymyśliło moje dziecko?

– Skąd wzięłaś farbę? Kupiłaś ją? – w mojej głowie wirowały setki pytań.

– Pojechałyśmy do centrum, do sklepu w marinie. Pan Bob nie miał wielkiego wyboru; została mu tylko biała i różowa. Pan Al twierdził, że różowy dom byłby w porządku, ale pomyślałam sobie, że lepiej będzie wziąć białą.

Pokręciłam głową, uśmiechając się.

– A pieniądze... no... Pamiętasz, jak dałaś mi pieniądze na prezenty gwiazdkowe? Pomyślałam sobie, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli w tym roku nie kupię ci prezentu, tylko zrobię coś na lekcji szydełkowania. Pani Monica twierdzi, że radzę sobie bardzo dobrze. Wzięłam więc te pieniądze, i te, które dostałam na urodziny. Carla też się dołożyła, a potem namówiłyśmy inne dzieciaki do pomocy,

i każdy dołożył, ile mógł.

Wydałam z siebie głębokie westchnienie. Oto dzieci robiły coś, o czym żaden z dorosłych nie pomyślał, na co nikt z dorosłych nie znalazł czasu. Ale ja już wiedziałam, co robić dalej.

Podskoczyłam do telefonu.

Twarz Orli pociemniała; widziałam, że jest bliska łez.

– Mamo, jesteś zła? Jesteś zła, że to zrobiłam?

Objęłam ją mocno, wybierając numer Mallory.

– Zła? Nigdy w życiu! Zawsze byłam z ciebie dumna, kochanie, ale chyba jeszcze nigdy tak bardzo jak teraz.

Uśmiechnęła się, słysząc w słuchawce głos Mallory.

– Mallory, moja najdroższa, najlepsza przyjaciółko, mamy coś do zrobienia.

– Tak? Kiedy słyszę, jak mnie nazywasz „najdroższą, najlepszą przyjaciółką”, mam pewne wątpliwości, czy mi się to spodoba.

Zaśmiałam się, głaszcząc po głowie Orli, która stała przytulona do mnie, z głową na mojej piersi.

– Chodzi o pana Ala. Wydaje mi się, że mamy ten problem rozwiązany. A wszystko dzięki genialności mojej córki i jej przyjaciół.

Wyłuszczyłam Mallory całą sprawę.

– Niesamowite! – wykrzyknęła. – I pomyśleć, że być może to dzieci sprawią, że Al Casey nie będzie musiał trafić do domu opieki!

– Właśnie. Czy masz ten spis telefonów, którego używamy na wyspie w sytuacjach alarmowych? Skorzystamy z niej teraz. Mam zamiar przeprowadzić pełną mobilizację. Ty zadzwonisz do wszystkich na liście od A do K, ja załatwię pozostałych. Powiedz im, że spotykamy się jutro, punktualnie o siódmej, w bibliotece. Aha, i powiedz im, że obecność jest obowiązkowa – liczę, że przyjdzie całe miasto. Lepiej, żeby nikt się nie wyłamał.

I nikt się nie wyłamał. Kiedy dotarłam do biblioteki, wszystkie miejsca siedzące były już dawno zajęte. Ludzie paplali z ożywieniem, w powietrzu buzowały energia i moc. Podbiegła do mnie Mallory.

– Widzisz to? Czy to nie wspaniałe?

– Nie da się ukryć – odparłam, równie podekscytowana, jak ona. – No, to zaczynamy.

Zaklaskałam w dłonie. W ciągu kilku sekund sala ucichła; wszyscy patrzyli teraz tylko na mnie.

Odchrząknęłam.

– Witajcie wszyscy. Po pierwsze, dziękuję wam bardzo, że przyszliście, ale, prawdę mówiąc, wiedziałam, że to zrobicie. Bo my, mieszkańcy Cedar Key potrafimy się troszczyć o innych – i nie przestaniemy tego robić.

Zgromadzeni zgodnie pokiwali głowami, a ja mówiłam dalej.

– Jak już tłumaczyłyśmy wam przez telefon, Mallory i ja, jesteśmy tu po to, żeby nie pozwolić, by pan Al trafił do domu starców. Wszyscy wiemy, że on jest przy zdrowych zmysłach i że może spokojnie mieszkać sam, a cała ta nagonka zaczęła się z powodu stanu jego domu i całej posiadłości. Zaczęło się kilka lat temu. Nie twierdzę, że to w porządku, ale myślę, że niektórzy z nas przywykli już do tego widoku. Jak wiemy, kilku mieszkańców postanowiło złożyć skargę, w której domagają się, żeby coś z tym zrobić.

– Dawniej człowiek był panem we własnym domu jak król w swoim zamku – zawołał pan James z końca sali.

Porównanie podupadłej chałupki pana Ala do zamku sprawiło, że musiałam się uśmiechnąć.

– No tak – ciągnęłam – to prawda, musimy jednak przyznać, że przyda mu się niewielka renowacja; jak się okazuje, potrzeba nam było kilkorga miejscowych dzieci, żeby uświadomić sobie, na czym polega problem, i spróbować znaleźć rozwiązanie. – Opowiedziałam zebranym, jak dzieci zebrały pieniądze, żeby kupić farbę i zabrać się za odnowienie domu pana Ala.

– To dlatego Jeremy domaga się od kilku tygodni większej tygodniówki – wykrzyknęła jedna z matek, siedzących w pierwszym rzędzie. – Założę się, że wydawał wszystko na farbę.

– Jestem pewna, że się nie mylisz – odparłam. – To oczywiste, że dzieci nie poradzą sobie same z takim zadaniem, ale jeśli wszyscy zgromadzeni tutaj włączą się do pomocy, myślę, że wspólnie osiągniemy cel. Jeśli dom pana Ala będzie wyglądał przyzwoicie, nie będzie powodu do skargi w Radzie Miejskiej w przyszłym miesiącu.

Dora wstała z krzesła.

– Muszę powiedzieć, że powinniśmy wszyscy się wstydzić, że nie dostrzeżliśmy sami tak prostego rozwiązania. Dopiero dzieci musiały poprowadzić nas we właściwym kierunku. No cóż, na mnie możecie liczyć. Doskonale radzę sobie z pracami ogrodowymi i z przyjemnością przytnę krzewy azalii w ogródku pana Ala, żeby wyglądały przyzwoicie.

– Dora rozejrzała się uważnie dookoła. – Widzę tu całkiem sporo członków Klubu Ogrodnika. Kto mi pomoże zająć się ogródkiem?

Kilka rąk wystrzeliło w górę.

– Świetnie – ucieszyłam się. – Dziękuję pani za zorganizowanie porządków w ogrodzie, Doro. Mallory, zacznij zapisywać, co kto robi. Potrzebujemy jeszcze ochotników do malowania domu. Potem zajmiemy się wywożeniem śmieci...

– Mam dużą ciężarówkę – odezwał się Bob Riley ze sklepu z narzędziami. – Pojadę na wysypisko hrabstwa Levy tyle razy, ile będzie trzeba.

– Poza tym dołożymy się do farby i innych rzeczy, które będą nam potrzebne – powiedział ktoś inny. – A ja pojadę do sklepu Lowe's w Gainesville po materiały.

– Kiedy będziemy to wszystko robić? – spytała Grace.

– No cóż, zostały nam dwa tygodnie do świąt – powiedziałam. – Byłoby świetnie, gdyby udało nam się skończyć do tego czasu. Musimy więc zacząć jak najszybciej. Może udałoby się już w sobotę rano? Myślę, że jeśli zabierzemy się do pracy wszyscy razem, plus dzieci, powinniśmy dać radę przez weekend. Proszę, żeby każdy z was wpisał się na te dni i godziny, kiedy będzie w stanie nam pomagać.

– Codziennie rano przygotowuję dla wszystkich kawę i pączki – powiedziała Grace – ale nie mogę, niestety, zamknąć kawiarni, żeby wam to wszystko przywieźć.

– Ja przyjadę – zaofiarował się ktoś.

– A ja będę robić lunch dla wszystkich – powiedziała moja matka gdzieś z końca sali. Musiała wejść spóźniona, bo nie widziałam jej na początku spotkania. – Tony będzie wam przywoził zupę z małży i kanapki. To będzie mój wkład.

– Dzięki, mamó. To naprawdę miłe z twojej strony.

– No cóż, sprawa jest bardzo ważna, a ja jestem bardzo dumna

z mojej wnuczki, która wymyśliła sposób, jak pomóc panu Alowi. Musimy wszyscy sprawić, żeby ten plan się urzeczywistnił.

– Hej! – powiedział oficer Fred. – A czy pan Al w ogóle wie o naszych planach? Myślicie, że się na to zgodzi?

– Nie ma o niczym pojęcia – odpowiedziałam – ale mam zamiar wpaść do niego rano i wszystko mu wyjaśnić. Niewykluczone, że będę musiała trochę nad nim popracować, założę się jednak, że koniec końców będzie przeszczęśliwy, jeśli okaże się, że nie musi sprzedawać domu i wyprowadzać się z wyspy. No dobrze, jakieś pytania? – Ludzie kręcili przecząco głowami i ustawiali się w kolejce do Mallory, prowadzącej zapisy na weekend. – Świetnie. Jeśli będziecie mieli jakieś pytania, dzwońcie do mnie lub do Mallory. Jeśli nie – widzimy się punktualnie o ósmej rano w sobotę przed domem pana Ala. Dziękuję wam, że przyszliście.

– Dlaczego myślisz, że pan Al może nie być zadowolony z tego, że wszyscy chcą mu pomóc? – spytała Orli przy śniadaniu.

– Wiesz, niektórzy ludzie uważają, że taka pomoc to jałmużna, i duma nie pozwala im jej przyjąć.

– Aha, tak jak ty od babci?

To dziecko stanowczo zrobiło się zbyt bystre.

– Ja tak nie robię – zaprzeczyłam.

– Owszem, robisz. Pamiętasz, jak kupiła ci buty parę tygodni temu?

– Och... no tak... Pospiesz się, bo inaczej spóźnisz się do szkoły.

– Ale porozmawiasz dziś z panem Alem, prawda?

– Tak – zapewniłam ją. – Przestań się martwić. Za bardzo się martwisz jak na jedenastolatkę.

Orli wycisnęła pocałunek na moim policzku i złapała za plecak.

– Do zobaczenia po szkole. Kocham cię – powiedziała.

– Ja też cię kocham.

Wzięłam się za sprzątanie kuchni, zastanawiając się nad jej słowami. Oczywiście, że miała rację. Przez jedenaście lat walczyłam bez skutku o zachowanie swojej niezależności, gdy w grę wchodziło przyjmowanie pomocy czy pieniędzy od rodziców. Jeśli jednak zdecyduję się przeprowadzić swój plan, to się będzie musiało zmienić. Nie tylko będę potrzebowała pomocy finansowej – niewykluczone, że będę musiała także polegać na matce, by zajęła się Orli w czasie, kiedy będę na uczelni.

Myślałam o tym bardzo dużo w ciągu ostatnich kilku dni i w końcu dokonałam wyboru, który mnie samą zaskoczył. Byłam jednak przekonana, że te studia dadzą mi nie tylko dużo radości, ale także godziwe wynagrodzenie, gdy już je skończę. Dlatego czym prędzej, nie czekając, aż się rozmyślę, wyciągnęłam książkę telefoniczną Gainesville i zamiast szukać numeru University of Florida, odnalazłam numer Santa Fe Community College. Wprawdzie gdy połączyłam się z odpowiednim

wydziałem i w słuchawce odezwał się kobiecy głos: „Dzień dobry, wydział pielęgniarstwa, w czym mogę pomóc?” – omal nie straciłam tupetu. Zamiast się jednak rozłączyć, wzięłam głęboki oddech.

– Dzień dobry! Zastanawiałam się... to znaczy chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób mogę zarejestrować się na studia. To program dwuletni, prawda?

– Tak. Nasi studenci otrzymują stopień licencjacki. Studia trwają przez cztery semestry. Z przyjemnością wyślę pani broszurę ze wszystkimi informacjami. Mamy jeszcze wolne miejsca na najbliższą jesień, ale wniosek trzeba złożyć najdalej do połowy stycznia.

No, proszę. Chyba się nie spodziewałam, że to pójdzie tak szybko.

– To świetnie – powiedziałam. A czując nagły przypływ odwagi, dodałam: – Tak, będę bardzo wdzięczna – i podałam jej swój adres pocztowy oraz inne dane.

Odkładając słuchawkę, uświadomiłam sobie, że mam spocone ręce. Jednocześnie zaś zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo dawna czuję się świetnie ze sobą. Być może jest ziarno prawdy w powiedzeniu, że sukces rodzi sukces. No cóż, zrobiłam pierwszy krok, i niebawem miałam się o tym przekonać.

– Witam panią, Josie – powiedział Al Casey, otwierając kuchenne drzwi. – Co za niespodzianka! Nikt mnie nie odwiedza.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że wpadłam tak znienacka. Zadzwoiłabym, ale skoro nie ma pan telefonu...

– Nie, nie wszystko w porządku. Proszę wejść – powiedział, otwierając szerzej drzwi. – Nie, nie lubię tych wynalazków. Poza tym wcale ich nie potrzebuję. Kto by do mnie zresztą dzwonił?

Roześmiałam się i weszłam do kuchni. Sądząc po tym, co działo się na zewnątrz, byłam przygotowana na najgorsze. Dlatego byłam w szoku na widok kuchni, której nie powstydziałaby się Martha Stewart[36]. Było tu czysto i schludnie, na stole stał wazon ze świeżymi stokrotkami, które ładnie komponowały się z uprasowanym starannie bawełnianym obrusem. Na suszarce stała filiżanka po kawie i jeden talerz. Trzy zielone pomidory leżały na parapecie; czyżby w powietrzu czuć było zapach przypraw?

Jakby potwierdzając moje domysły, pan Al powiedział:

– Właśnie wyjmuję chlebek z piekarnika. Może zje pani kawałek do kawy?

– Bardzo chętnie.

– W takim razie proszę usiąść, wszystko będzie gotowe za minutę. Właśnie zaparzyłem kawę.

Wysunęłam krzesło i usiadłam, podskoczyłam jednak, słysząc głucho szczeknięcie. Pod stołem majaczył ciemny, skulony kształt.

Pan Al roześmiał się.

– Kumpel, nie uwierzysz, ale mamy towarzystwo. Wyjdź i przywitaj się ładnie.

Pies wyszedł na środek kuchni, przeciągnął się, ziewnął głośno i dopiero w tej chwili mnie zauważył. Machając ogonem, podbiegł do mnie żwawo.

– Witaj, Kumpel! – pogłaskałam go po kopulastej głowie. – Naprawdę słodki z ciebie zwierzak.

– Tak, to mój najlepszy przyjaciel. Dlatego nazwałem go Kumplem. Poza tym uznałem, że to będzie dość zabawne, kiedy będę przedstawiał się ludziom, mówiąc: – Witaj, jestem Al, a to mój Kumpel.

Roześmiałam się – nigdy dotąd nie myślałam, że pan Al ma poczucie humoru.

Postawił przede mną kubek z kawą i talerzyk z kawałkiem chlebka, a potem podał cukiernicę, pełną czyściutkiego, kryształowego cukru, i dzbanuszek ze śmietanką.

Wypiłam łyk i wystawiłam kawie ocenę dziesięć na dziesięć. Przyznaję, że zawsze byłam snobką pod tym względem. Według mnie, kawa powinna być ciemna, aromatyczna i mocna. Moja matka nigdy tego nie rozumiała, a ja zastanawiałam się, dlaczego po prostu nie pije herbaty, zamiast słabej lury, którą się zwykle raczyła. Pierwszy kęs chlebka upewnił mnie, że pan Al ma wiele ukrytych zalet.

– Pyszne! – pochwaliłam go. – A pana kawa... Szczerze mówiąc, Grace powinna mieć się na baczności. Mógłby pan pozbawić ją pracy.

Roześmiał się i wyjaśnił:

– Chlebek upiekłem z przepisu mojej mamy. Uznałem, że jeśli będę robił dużo rzeczy tak samo jak ona, to... że może... że dzięki temu będzie mi się wydawało, że mam ją gdzieś tu blisko, wie pani?

Przytaknęłam. Tak, wiedziałam, i zaczynałam też rozumieć coraz więcej.

– Przyszłam do pana nie bez powodu, panie Al. Muszę z panem o czymś porozmawiać.

– Ach, tak? A co to takiego?

Opowiedziałam mu o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilku dni. O tym, jak znalazłam farbę pod łóżkiem Orli, jak zaprosiłam wszystkich na zebranie, i o tym, jak postanowiliśmy pomóc mu uporządkować posiadłość.

– Kiedy już doprowadzimy pana ogródek i dom do porządku – mówiłam – nikt nie ośmieli się wsadzić pana do domu opieki... Nawet ten pana nieszczęsny siostrzeniec.

– Mam wielką nadzieję, że nie wpędziłem pani córki w kłopoty? Kiedy mi powiedziała, że razem z innymi dziećmi chcą pomalować mój dom, uznałem, że po prostu nie mają nic lepszego do roboty. Zaproponowałem, że im zapłacę, ale odmówili... Nie chciałbym, żeby pomyślała pani, że przyszli tutaj prosić o pieniądze.

– Nie, nie. Wiem, że po prostu chcieli panu pomóc i nie mam pretensji do Orli. Szczerze mówiąc... moja córka otworzyła oczy wielu osobom, tu, na wyspie. Wszyscy chcemy panu pomóc, Al. Pozwoli nam pan? Zrobiliśmy plan, mamy mnóstwo ochotników i jesteśmy już umówieni na sobotę, na ósmą rano.

Milczał dłuższą chwilę. Potem otarł oczy i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Kumpla.

– Kto by pomyślał! Każdy chce pomóc, Kumpel, słyszysz? To znaczy, że ty i ja będziemy mogli tu zostać. Nigdzie się nie wybieramy.

Znowu otarł oczy, a gdy spojrział na mnie zza stołu, zobaczyłam w nich łzy.

– Cóż mam powiedzieć? – powiedział cicho. – Wygląda na to, że skoro zadaliście sobie tyle trudu, żeby to zaplanować, to ja i Kumpel możemy tylko przyjąć was z otwartymi ramionami i podziękować. To naprawdę bardzo miłe z pani strony, Josie. Jest pani niezwykłą osobą.

Poczułam, że i ja mam łzy w oczach; wyciągnęłam rękę i chwyciłam go za dłoń.

– Nie – powiedziała. – To pan jest niezwykły.

* * *

Po wyjściu z domu pana Ala ruszyłam czym prędzej do pracy; spóźniłam się pięć minut. Klientka wyznaczyła mi kilka dodatkowych zadań, więc zanim dotarłam do domu, było wpół do trzeciej, a ja umierałam z głodu. Nie jadłam śniadania – tylko kawałek chlebka, którym poczęstował mnie pan Al. Buszowałam właśnie w lodówce, wyciągając kolejno pierś z indyka i ser na kanapki, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Cholera! A byłam taka głodna.

Moje niezadowolenie wzrosło jeszcze bardziej, gdy otworzyłam drzwi i okazało się, że na werandzie stoi Ben Sudbury.

– Tak? – spytałam z jedną ręką na klamce; w drugiej trzymałam słoik majonezu.

Przez jego twarz przemknął wyraz niechęci, ale szybko zastąpił go zabójczy uśmiech, najwyraźniej przywoływany bez trudu, stosownie do potrzeb.

– Witaj, Josie. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam... ale... eee... naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Co takiego może być tak ważne, że zdecydował się przyjść, zamiast zadzwonić?

– Chodzi o mojego wujka Ala... Nie chce mnie wpuścić do domu. A ja chciałem tylko z nim pomówić... – Ben przeciągnął ręką po kędzierzawych włosach i westchnął.

– Dziwisz mu się? – fuknęłam, czując, jak burczy mi w brzuchu.

– Wiem, wiem... Może okazałem niewłaściwe nastawienie... ale nie możesz mieć do mnie pretensji. Kiedy dostałem wiadomość, to mimo że miałem mnóstwo pracy, przyjechałem od razu, żeby zobaczyć, co będę w stanie zrobić.

– Biedaku! Zmuszono cię, żebyś opuścił swoją wieżę z kości słoniowej w Nowym Jorku i przyjechał tutaj, choć przecież twoim marzeniem było uciec stąd raz na zawsze. Ojej! To rzeczywiście okropne, a przecież chciałeś tylko zmusić pana Ala do sprzedaży domu, oddania psa i zamieszkania w domu opieki.

Głos Bena stwardniał.

– Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz, więc nie masz prawa

mnie oceniać.

– W takim razie nie przychodź tutaj, szukając we mnie sojusznika, bo nim nie będę.

– Nie szukałem...

Nie pozwoliłam mu skończyć.

– Jeśli pan Al powiedział ci, żebyś się wynosił, ja mogę tylko powtórzyć to samo – powiedziałam zatraskując mu drzwi przed nosem, po czym wróciłam do kuchni.

Do diabła z nim! – pomyślałam, smarując chleb majonezem. Jak on śmie tu przychodzić? Jakim prawem próbuje mnie przekabacić?

Miałam właśnie zatopić zęby w kanapce, gdy uświadomiłam sobie, że mówił coś o niewłaściwym nastawieniu, a to mi podpowiedziało, że być może potraktowałam go jednak zbyt ostro. Ale zaraz przypomniałam sobie, jak zachowywał się wobec mnie w „Cook’s”. W gruncie rzeczy, stwierdziłam, obeszłam się z nim dużo lepiej, niż na to zasłużył!

Kanapka przyjemnie wypełniła mój pusty żołądek. Zaczynałam właśnie sprzątać po sobie, gdy zadzwonił telefon; usłyszałam w słuchawce głos Sydney Webster.

– Witam, pani Webster. Co słyszać?

– Noah i ja wróciliśmy właśnie z Paryża. Dora i Monica opowiedziały nam, co się dzieje. Chcemy pomóc. Co mamy robić?

– To bardzo miło z waszej strony. Mallory prowadzi zapisy. Najlepiej będzie do niej zadzwonić. Wiem, że z przyjemnością dopisze was do listy.

Rozłączyłam się, czując, że na mojej twarzy pojawił się szyderczy uśmiešek.

– Widzisz, Panie Wszechmogący? – kolejne dwie osoby stanęły po naszej stronie!

36 Martha Stewart – amerykańska bizneswoman, prezenterka telewizyjna, autorka poradników i książek kulinarnych.

Ubrana choinka pyszniła się dumnie w naszym salonie. Kolorowe lampki migotały, a ozdoby, sznury i girlandy nadawały pomieszczeniu świąteczny nastrój, jak zawsze, gdy do domu zawita bożonarodzeniowe drzewko. Teraz, gdy już stała udekorowana, zganiłam samą siebie, że nie zrobiłam tego wcześniej. W dodatku nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Orli jest po prostu zachwycona.

Moja córka leżała właśnie rozciągnięta na dywanie i oparłszy podbródek na dłoni, w milczeniu wpatrywała się w drzewko. Goździk zwinął się w kłębek obok niej; scena była sielankowa, niczym z telewizyjnej reklamy świątecznej.

– Hej, skarbie – powiedziałam, myśląc, że może to dobry moment, żeby opowiedzieć jej o swoich planach. – Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

Orli usiadła, podciągając kolana pod brodę.

– O Gwiazdce?

– Nie, nie o Gwiazdce. Chodzi o to, co mam zamiar zrobić z resztą swojego życia. Wiesz, że zawsze z tobą pierwszą omawiam wszystkie ważne sprawy, więc chciałam, żebyś teraz też wiedziała, jaki mam plan.

Poklepałam znacząco wolne miejsce na sofie obok siebie, więc usiadła przy mnie.

– Nie powiedziałaś nic babci ani Mallory?

– Nie. Jesteś pierwsza. No więc wiesz, że muszę bardzo dużo pracować, prawda? To dlatego, że mam kiepsko płatną pracę, dlatego muszę pracować ciężiej i dłużej, żeby zarobić więcej pieniędzy.

– Chcesz powiedzieć, że będziesz musiała pracować jeszcze więcej?

– Nie, nie zamierzam tego robić. Potrzebuję wykształcenia, to znaczy muszę zdobyć zawód, żeby dostać przyzwoitą pensję. Zrezygnowałam z college'u, żeby cię wychować, ale myślę, że nadszedł czas, żebym wróciła do szkoły; dzięki temu będę mogła robić coś więcej, niż tylko pracować w restauracji i sprzątać.

– Naprawdę? Będiesz chodziła do szkoły, tak jak ja?

– Tak samo jak ty, tyle tylko, że ja będę w college’u. Myślę o tym już od jakiegoś czasu i... postanowiłam zostać pielęgniarką. – Czekałam na jej reakcję.

– Pielęgniarką? Tak jak mama Sarah? Ona pracuje w szpitalu w Gainesville.

– Właśnie taką. A kiedy skończę studia, będę mogła od razu znaleźć pracę. W szpitalu, w klinice, może w gabinecie lekarskim. Jest dużo możliwości. Problem w tym, że mam przed sobą dwa lata nauki. A to znaczy, że nie będzie łatwo. Będę siedzieć na zajęciach całymi dniami, a wieczorami będę musiała się uczyć. To dużo ciężkiej pracy – ale myślę, że będzie warto. Jak sądzisz?

Orli milczała przez chwilę.

– Myślę, że to świetny pomysł, mamó. Zawsze mówiłaś mi, że wykształcenie jest bardzo ważne. Jeśli nie pamiętasz, jak to jest chodzić do szkoły, to ci pomogę.

Roześmiałam się, ale po chwili uświadomiłam sobie, że powrót do szkolnej ławy faktycznie nie będzie łatwy. Muszę się wykazać niezłą determinacją. Miałam jednak motywację i czułam się podekscytowana jak ktoś, kto ma stawić czoła zupełnie nowemu zadaniu.

– Wobec tego przyjmuję twoją ofertę – powiedziałam poważnie. – Czy to znaczy, że nie masz z tym problemu? Będę musiała porozmawiać też z babcią, bo bez jej pomocy się nie obejdzie. Być może w niektóre dni nie będzie mnie jeszcze w godzinach, kiedy kończysz szkołę, i wtedy będziesz musiała chodzić do domu babci. Zgodzisz się na to?

Orli kiwnęła głową.

– Jasne, że się zgodzę. Babcia na pewno ci pomoże, i ja też. I wiesz, co myślę, mamó? Że będziesz naprawdę dobrą pielęgniarką.

Byłam pod wrażeniem jej optymizmu; miała go więcej niż ja. Czyżbyśmy z wiekiem stawali się mniej pewni siebie? Ale że nie miałam zamiaru rezygnować z podjętej decyzji i obranego celu, nie mogłam pozwolić, żeby moja pewność siebie gdzieś się rozwiała.

– Dziękuję ci, kochanie. Myślę, że twoje wsparcie doda mi sił, a dzięki temu łatwiej mi będzie osiągnąć sukces.

– Kiedy chcesz zacząć?

– Najpierw muszę złożyć wniosek i mam zamiar to zrobić jeszcze w tym tygodniu. Potem muszą mnie przyjąć. Kobieta, z którą rozmawiałam, mówi, że są jeszcze wolne miejsca na wrzesień. Zobaczymy, jak to będzie... ale chciałam z tobą o tym porozmawiać, zanim podejmę jakiegokolwiek działania.

– W takim razie masz moje poparcie – poinformowała mnie córka, a to znaczyło dla mnie wszystko.

– Jaki wspaniały pomysł! – pochwaliła mnie Mallory następnego ranka, gdy zadzwoniłam do niej z tą wiadomością. – Będziesz doskonałą pielęgniarką.

Roześmiałam się.

– To samo powiedziała Orli.

– Bo to prawda. Pamiętasz, jak kilka lat temu Carter zleciał z roweru i złamał sobie rękę? Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Byłaś taka opanowana; wiedziałaś dokładnie, co robić, zanim dotarliśmy w końcu do pediatry w Chiefland. Poza tym świetnie sobie radzisz z ludźmi, Josie. Wydajesz się instynktownie wiedzieć, czego potrzebują. Miło się z tobą przebywa – a tego właśnie potrzebują chorzy.

– Naprawdę? – mój poziom pewności siebie podskoczył o kilka kresek do góry. – Dziękuję ci.

– A co myśli o tym Orli?

Streściłam jej naszą rozmowę z poprzedniego wieczoru.

– Zupełnie mnie to nie dziwi. To bystra dziewczynka, także życiowo. Ona wie, że ostatecznie wyjdzie to na dobre wam obu. Wszystkiego najlepszego, Josie! Naprzód, dziewczyno! Rozmawiałaś już z mamą?

– No, jeszcze nie. Mam zamiar wpaść do niej dziś po południu.

– Ona akurat będzie pewnie zachwycona, że wracasz do college'u.

– Prawdopodobnie. Choć niekoniecznie będzie zachwycona specjalizacją, którą wybrałam. Mama uważa, że powinnam pójść w jej ślady i przynajmniej spróbować zostać dziennikarką, tyle że mnie to już nie pociąga.

– Hmm... Znasz swoją matkę lepiej niż ktokolwiek inny.

– Właśnie. Królowa maniaków z bzikiem na punkcie kontroli?

Mallory roześmiała się.

– Tak czy inaczej, powodzenia. Pielęgniarstwo to naprawdę dobry wybór, jeśli chodzi o ciebie.

– Cóż zatem? – zapytała moja matka powściągliwie, upiwszy łyk kawy. – Co cię tu dzisiaj sprowadza?

Podchwyciłam jej chłodny ton, ripostując:

– A czy muszę mieć powód, żeby do was przyjechać?

– Ostatnio wygląda na to, że tak. Nigdy nie wpadasz ot, tak sobie. Albo zostawiasz Orli i pędzisz gdzieś, albo wzywamy cię na obowiązkowy obiad.

Miałam zamiar zaprzeczyć, ale szybko zdałam sobie sprawę, że ona ma rację. Postanowiłam to wykorzystać jako pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

– Prawdę mówiąc, mamo, o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Pracuję tak dużo, że zostaje mi niewiele czasu na cokolwiek innego. Przede wszystkim – na spędzanie czasu z Orli. Do tej pory znosiła to naprawdę nieźle, ale, jak wiesz, wkrótce pójdzie do szkoły średniej. Będzie tak zajęta swoimi sprawami, że już prawie w ogóle nie znajdziemy czasu dla siebie nawzajem. A ja chciałabym go mieć dla niej jak najwięcej. Jest tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć. Muszę pójść do college’u, zrobić dyplom i znaleźć porządną, dobrze płatną pracę, zamiast chwytac się dorywczych zajęć, żeby związać koniec z końcem.

Ton głosu mojej matki zmienił się – była wyraźnie podekscytowana.

– Nareszcie! Nareszcie do tego dojrzałaś! Oczywiście, byłoby ci pewnie łatwiej, kiedy Orli była malutka, ale, jak to mówią, lepiej późno niż wcale. To wspaniale, Josie. Przyjęli cię na studia dziennikarskie na UF?

– Nie wybieram się na UF.

– Nie? To przecież najbliższy college...

– Nie chcę studiować dziennikarstwa. Postanowiłam zostać pielęgniarką. Chcę złożyć papiery do Santa Fe Community College w Gainesville, na dwuletni program licencjacki.

Moja matka pochyliła się ku mnie na sofie.

– Pielęgniarstwo? Chcesz zostać pielęgniarką? – powiedziała,

podkreślając ostatnie słowo, jakby sama nie wierzyła, że je wypowiada.
– Josephine Shelby Sullivan, cóż ty znowu wymyśliłaś? Chcesz skazać się na pracę, w której znowu będziesz nadweręzać sobie kręgosłup i – jak najbardziej dosłownie – sprzątać po innych?

Pewność siebie, którą nappełniła mnie rozmowa z Mallory, zjechała na mojej skali do mniej więcej minus pięciu. Nic nie mówiłam, ściskając poręcz fotela.

– Doprawdy, Josie, czy ty się w ogóle nad tym zastanowiłaś? Przemyślałaś to? Praca pielęgniarki bywa okropna – użeranie się z chorymi, zmiany, nie mówiąc już o pracy w wakacje...

Miała rację. Tyle że ja to naprawdę przemyślałam. Bardzo dokładnie.

– Tak, to prawda. Ale dopóki Orli nie pójdzie do college’u, mam zamiar pracować w gabinecie lekarskim, w jakiejś klinice albo w przychodni. Mają normalne godziny pracy, nie pracują w weekendy, a ja zdobędę dzięki temu doświadczenie. Potem chciałabym zacząć pracę gdzieś na intensywnej terapii, może w pogotowiu. Ale to dopiero wtedy, kiedy Orli będzie starsza i będzie miała swoje życie. – Którego ty nie pozwoliłaś mi mieć, mamó – pomyślałam.

Matka założyła pasmo włosów za ucho i usiadła na sofie, wzdychając głośno.

– No cóż... Skoro podjęłaś decyzję, to pewnie nie mamy o czym dyskutować. Zupełnie jak wtedy, kiedy miałaś dziewiętnaście lat.

Jak nikt inny wiedziała, gdzie uderzyć, żeby trafić w czułe miejsce – poczułam, że ogarnia mnie gniew, i wstałam.

– Po pierwsze – zdałam sobie sprawę, że podnoszę głos – nie mam już dziewiętnastu lat. Może i jestem młoda, ale poradziłam sobie całkiem dobrze, wychowując Orli sama. Korzystałaś z każdej okazji, żeby mi wypominać zbytnią niezależność i to, że nigdy nie pozwalałam sobie pomagać. A dziś wyjątkowo przyszłam do ciebie po pomoc – i co dostaję? Wsparcie? Zachętę? A może jesteś ze mnie dumna? Nie! Myślisz wyłącznie o sobie – bo to t y zawsze chciałaś, żebym została dziennikarką. Ja też myślałam, że tego chcę, wiele lat temu, ale zmieniłam zdanie. Dla ciebie jednak nie ma to znaczenia. Shelby Sullivan zawsze sama obmyśla zakończenia. Możesz to robić w swoich

książkach, mamó, ale nie z prawdziwymi ludźmi. Nie jestem jedną z twoich bohaterek, które możesz sobie kontrolować i kształtować, jak ci się podoba. – Złapałam swój płaszcz i szal i skierowałam się do wyjścia.

– Josie, czekaj... – usłyszałam, że mnie woła, ale szłam dalej.

Zanim dotarłam do hallu, odwróciłam się.

– Będę ci zobowiązana, jeśli poinformujesz tatę o moich planach.

Może chociaż on będzie zadowolony – powiedziałam, zatrzymując za sobą drzwi.

Aż do soboty, gdy mieliśmy zacząć porządki u pana Ala, matka nie odezwała się do mnie ani słowem. Minęło pięć dni. Zdarzało nam się nie rozmawiać ze sobą i dłużej, ale zastanawiałam się, czy przypadkiem tym razem nie zerwiemy kontaktów na dobre. Ojciec także się nie odzywał; zastanawiałam się, czy w ogóle powiedziała mu o moich planach.

– Chodź, Orli – zawołałam, chwytając kurtkę. – Nie chcemy się spóźnić do pana Ala.

Moja córka pojawiła się w kuchni z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Wszystko gotowe. Jedziemy. To będzie jak ten program telewizyjny, w którym filmują metamorfozy domów. Może powinniśmy zabrać kamerę?

Nawet w najgorszych chwilach Orli potrafiła doprowadzić mnie do śmiechu.

– Nie, bo jeszcze okaże się, że poszło nam doskonale, i będą chcieli zatrudnić nas do programu, a przecież żadna z nas nie zamieniłaby Cedar Key na Hollywood.

Orli śmiała się, gdy wychodziłyśmy na zewnątrz, niosąc puszki z kupioną przez dzieci białą farbą.

Kiedy przyjechałyśmy na miejsce, przed domem pana Ala stał już spory tłumek. Dostrzegłam Mallory z notatnikiem w ręku, rozdającą zadania i odpowiadającą na pytania.

– Witajcie! – powiedziała, podnosząc na nas wzrok. – Częstujcie się kawą i pączkami. Jesteśmy na etapie przydzielania zadań.

– Niezła grupa stawiała się na pierwszą zmianę – nalałam sobie śmietanki do kawy i zaczerpnęłam łyk. – Mmm... jakie dobre. Rozpoznałabym kawę Grace na końcu świata. Gdzie pan Al? Dołączy do nas?

– O, tak. Mówi, że nie mógłby patrzeć beczynn timer, jak ludzie u niego pracują. Będzie pomagał pani Dorze w ogródku. No dobrze, Josie, bierz się za malowanie. Ty i Twila Faye pomalujecie ścianę

frontową. Dom na niebiesko, wykończenia na biało. Orli, ty dołączysz do tamtej grupy dzieciaków – to patrol sprzątający. Weź worek na śmieci, będziecie zbierać śmieci, porozrzucane po posiadłości.

– Tak jest! – powiedziała Orli i pobiegła do koleżanek.

Znalazłam puszki z farbą i pędzle i ruszyłam do ściany frontowej. W tym momencie zobaczyłam Bena, zmierzającego w kierunku ogródka. Niósł coś, co wyglądało jak ogromne, metalowe garnki.

Zauważył, że na niego patrzę, i zawołał:

– Dzień dobry, Josie.

– Dzień dobry – odkrzyknęłam, zastanawiając się, co u licha on tutaj robi. Biedny pan Al. Nie będzie z tego zadowolony. I co to za garnki?

Twila Faye jeszcze nie przyszła, ale otworzyłam puszkę i zaczęłam mieszać farbę pędzlem, a potem nakładać na ścianę piękny, szarobłękitny kolor. Gdy po chwili podniosłam głowę, znowu zobaczyłam Bena, ale zmierzającego w przeciwnym kierunku, tym razem z naręczem pudeł. Co tu się działo?

Kiedy nadeszła Twila, opowiedziałam jej o Benie. Była tak samo zaskoczona, jak ja.

Mniej więcej dziesięć minut później usłyszałyśmy jakiś ruch w pobliżu domu i podeszłyśmy bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pan Al stał na tylnej werandzie, wałąc w garnek; obok niego stał Ben.

– Chciałem tylko, żeby wszyscy mnie posłuchali – powiedział Al. – Po pierwsze, dziękuję wszystkim za to, że tu przyszli, żeby pomóc mi w porządkach. Naprawdę to doceniam. – Otoczył Bena ramieniem. – Jak wielu z was wie, to jest mój siostrzeniec, Ben Sudbury. Syn mojej siostry Annie.

Rozejrzałam się dookoła; wszyscy spoglądali na siebie ze zdumieniem.

– Wiem, że wielu z was nie przyjęło Bena przyjaźnie, kiedy tu przyjechał, żeby mnie wysłać do domu opieki. No i ja sam też nie byłem tym zachwycony – tłumaczył Al.

Rozległy się nieliczne chichoty.

– Ale życie się zmienia i ludzie się zmieniają. Postanowiłem dać Benowi szansę, kiedy znowu tu wpadł wczoraj – i cieszę się, że to

zrobiłem. Mieliśmy długą rozmowę, dużo sobie wyjaśniliśmy. Oczyszciliśmy atmosferę, można tak powiedzieć. Są święta. To czas, żeby pokazać innym, że nam na nich zależy, że potrafimy być mili. No i czas przebaczenia. Toteż ja przebaczam temu oto mojemu siostrzeńcowi, że popełnił błąd – zamknął Bena w uścisku ramion. – I mam nadzieję, że wy zrobicie to samo.

Pan Al wyjął z kieszeni dużą, czerwoną chustkę, i wytarł nią oczy.

– Teraz Ben chciałby powiedzieć parę słów.

– Ja też chcę podziękować wszystkim za pomoc. Nie miałem racji i przyznaję się do tego. Nie poświęciłem nigdy czasu na to, żeby poznać swojego wujka. Ale wy wszyscy, którzy dobrze go poznaliście, nie zawahaliście się przyjść mu z pomocą, kiedy tego potrzebował. Możecie być dumni ze swojej społeczności, a wszyscy powinniśmy być dumni przede wszystkim z Orli Sullivan, ponieważ to właśnie Orli postanowiła, że nie będzie siedzieć bezczynnie w obliczu niesprawiedliwości.

Rozejrzałam się po ogródku i zobaczyłam swoją córkę w otoczeniu przyjaciół, z uśmiechem na twarzy. Tłum wiwatował.

– Chciałbym też powiedzieć wszystkim – ciągnął Ben – że skarga do Rady Miejskiej została wycofana. Wujek Al i jego Kumpel zostaną tutaj, gdzie jest ich miejsce.

Jego słowa przyjęto kolejnym wybuchem entuzjazmu i radości.

– Ostatnia rzecz. Mój wujek i ja chcielibyśmy zorganizować piknik jako podziękowanie dla wszystkich naszych pomocników. Prace zakończą się pewnie w przyszłym tygodniu, tuż przed świętami. Chcielibyśmy, żebyście dołączyli do nas w Wigilię. Przyjdźcie około drugiej po południu; zorganizujemy sobie tradycyjne spotkanie, jak dawniej w Cedar Key. To chyba wszystko... A teraz bierzmy się do pracy.

Spojrzałam na Mallory. Wzruszyła ramionami i uniosła brwi z miną oznaczającą: „No, no, kto by pomyślał”.

Myślałam o wszystkim, co powiedzieli pan Al i Ben, gdy wróciłam przed ścianę frontową, by znów zająć się malowaniem.

– Josie...

Odwrociłam się; przez trawnik szła do mnie moja matka.

Najwyraźniej byłam tak pochłonięta przemową Bena i Ala, że nie

zauważyłam jej przyjazdu. Za nią zobaczyłam ojca i trzech innych mężczyzn; wstawiali właśnie starą pralkę z wyżymaczką na wózek, żeby przetransportować ją do ciężarówki, czekającej przy ogrodzeniu.

– Możemy chwilę porozmawiać? – spytała matka.

– Jasne.

– Nie jestem aż tak zadufana w sobie, żeby nie umieć przyznać się do pomyłki – powiedziała, przebiegając palcami po szczecinie pędzla, trzymanego w dłoni. – Popęłniłam błąd, kiedy w zeszłym tygodniu przyszedł ze mną porozmawiać. Zawsze sama decydowałam o swoim życiu, więc powinnam była pozwolić na to także tobie. Przykro mi, że nie wspierałam cię bardziej. Jeśli naprawdę chcesz być pielęgniarką – no cóż, twój ojciec i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni i chcę, żebyś wiedziała, że zrobimy wszystko, żeby ci pomóc.

Każdy, kto znał moją matkę, wiedział, że sytuacje, w których przyznała się do błędu, można policzyć na palcach jednej ręki. A ja wiedziałam, że musiało ją to kosztować bardzo wiele; wiedziałam też, że kocha mnie, choć ma trudny charakter.

Uścisnęłam ją.

– Dzięki, mamo. Cieszę się, że to zrozumiałaś, bo naprawdę będę potrzebowała twojej pomocy przez najbliższych kilka lat.

– Wiesz, Josie – odparła – może powinnaś zastanowić się, czy nie pójść jednak na czteroletnie studia magisterskie.

Potrząsnęłam głową z uśmiechem. Nigdy się nie poddawała. Gdybym była bohaterką jednej z jej książek, tak właśnie bym postąpiła.

– Masz rację, mamo, może o tym pomyślę – odparłam. – A teraz muszę już wracać do malowania.

Cztery godziny później Twila Faye i ja uporałyśmy się ze ścianą frontową i skończyłyśmy zmianę.

– Całkiem nieźle jak na dwie amatorki – stwierdziłam, podziwiając efekt naszej pracy.

– No, no, mów za siebie! Ja mam na koncie malowanie własnego domu i domu mojej mamy. Mam kwalifikacje!

Roześmiałam się, nakładając pokrywkę na puszkę z farbą. Wkładając pędzle do słoika z terpentyną, zobaczyłam Bena po raz pierwszy od chwili, gdy przemówił do tłumu. Odezwał się pierwszy.

– Chciałbym jeszcze raz podziękować Orli i tobie za pomoc.
Jezu, czy ten facet robił się przystojniejszy przy każdym naszym spotkaniu?

– Żaden problem – odpowiedziałam tylko.

Wyplukałam pędzle pod kranem obok domu i włożyłam je do puszki.

– Przyjdziecie na piknik? – zapytał.

Kiedy pierwszy raz usłyszałam o tym pomysle, błyskawicznie podjęłam decyzję.

– Nie, nie sędę – odparłam teraz.

– Naprawdę? Tak nie zachowują się przyzwoici sąsiedzi.

Spojrzałam na niego; uśmiechał się coraz szerzej. Stwierdziłam, że w dzieciństwie musiał spędzić dużo czasu u ortodonta. Perfekcyjnie proste zęby dodawały mu urody.

– Bardzo możliwe, że będę musiała wtedy pracować – powiedziałam, nagle zaczerwieniona i speszona.

– Ale przecież nie możesz pracować całymi dniami i nocami. Piknik potrwa co najmniej do dziewiątej. Wpadnij, kiedy będziesz wolna. Jestem pewien, że twoja córka będzie się dobrze bawić.

– Zobaczmy – powiedziałam i odwróciłam się, żeby poszukać Orli i wrócić z nią do domu.

Rzeczywiście tego dnia, gdy miał się odbyć piknik, musiałam rano iść do pracy. Jedna z kelnerek z „Cook’s” zachorowała i Ida Mae zadzwoniła do mnie, pytając, czy mogłabym przyjść na pierwszą zmianę, od siódmej do dwunastej. Nie miałam w planach żadnego sprzątanania, zgodziłam się więc.

Orli miała przerwę świąteczną, szkoła była zamknięta, spędziła więc wieczór u dziadków. Pojechałam, żeby ją odebrać.

Zadzwoniłam do drzwi i weszłam do środka; Orli i moja matka siedziały przy stole w jadalni, pakując ostatnie prezenty.

– Cześć, mam. Babcia powiedziała, że powinnyśmy zabrać ze sobą jakiś drobiazg dla pana Ala i dla Bena – podbiegła do mnie, żeby dać mi całusa.

Nie powiedziałam jej, że nie wybierzemy się na piknik, ale nie mówiłam też, że pojedziemy.

– No wiesz, nie jestem pewna, czy pójdziemy...

– Co takiego? – matka przerwała wiązanie czerwonej, satynowej, czerwonej kokardy i podniosła głowę. – Oczywiście, że pójdziecie. Prawie wszyscy tam będą, Orli nie może się doczekać. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś organizował tu piknik.

Właściwie nie miałam wymówki, tyle, że... nie byłam pewna, czy mam ochotę widzieć się z Benem w takich okolicznościach. Po naszym ostatnim spotkaniu zastanawiałam się, czy przypadkiem on mi się nie podoba. A nie chciałam nawet się nad tym zastanawiać.

– Mamo, proszę! – błagała Orli – Wszystkie dzieci ze szkoły tam będą. Na pewno będzie świetnie, a pan Al ma się przebrać za Mikołaja.

Orli bardzo rzadko o coś prosiła, a w tym wypadku odmówienie jej przyjemności byłoby wyjątkowo nie *fair*. Poza tym mogłam trzymać się z dala od Bena i po prostu rozmawiać z innymi.

– No, dobrze. Pojedziemy.

– Hurraaa! – krzyknęła moja córka, podskakując.

– A wy z tatą kiedy się tam wybieracie? – Pomyślałam, że mogę

spędzić te parę godzin z rodzicami. Trzymając się blisko nich i Mallory, pewnie jakoś zdołam umknąć przed Benem.

– Około trzeciej.

– Dobrze. Orli, weź swoje rzeczy i jedziemy do domu. Muszę się wykapać i przebrać.

– Wiem, że nie przewidują uroczystych strojów, ale może mogłabyś... – zaczęła moja matka, zaraz jednak machnęła ręką. – Nieważne. Do zobaczenia na miejscu.

Wychodząc spod prysznica, rzuciłam okiem na butelkę balsamu do ciała L'Occitane, którą Sydney przywiozła mi z Francji. Użyłam go dotąd tylko raz, chcąc, żeby starczyło go na jak najdłużej. Cudowny zapach werbeny wypełnił łazienkę, a ja rozkoszowałam się aksamitnym dotykiem balsamu na skórze.

Zadziwiłam samą siebie wyjątkowo starannym makijażem i fryzurą. Choć popołudnie było dość ciepłe, wiedziałam, że wieczorem temperatura z pewnością spadnie, założyłam więc czarne bojówki z dzianiny, które matka przywiozła mi z Cold Water Creek.

Jasnoczerwony sweter, zrobiony na drutach, pasował do nich doskonale i nadawał mi odświeżony wygląd.

Spojrzałam w lustro, zadowolona.

– Całkiem nieźle, Josie, dziewczyno – powiedziałam głośno.

Od tak dawna o sobie nie dbałam, że zapomniałam już, że mogę dobrze wyglądać. Czarne, skórzane buty dodawały mi szyku; wokół szyi owinęłam czarny, koronkowy szal, który skończyłam dziergać w zeszłym tygodniu. Byłam gotowa; oczywiście, wystroiłam się tak wyłącznie dla siebie.

Odczekałam do trzeciej trzydzieści, żeby na pewno przyjechać na miejsce dopiero, kiedy Mallory i rodzice już tam będą. Parkując wózek golfowy na ulicy, słyszałam z daleka melodię „Jingle Bells”. Niektórzy śpiewali.

W ogródku pana Ala owionął mnie smakowity zapach kielbasek, krabów, krewetek, małży, ziemniaków i kukurydzy. To wszystko dusiło się z wolna w gigantycznym, metalowym kotle o średnicy ponad metra. Kocioł był osadzony na ogromnym metalowym trójnogu nad ogniskiem, otoczonym kamieniami.

Posiadłość pana Ala była jak odmieniona. Cały dom odnowiono. Łuszczące się, skrzypiące okiennice zmieniły kolor na śnieżnobiały – pasowały doskonale do błękitnych ścian domu. Zniknęły śmieci, zalegające dotąd na trawniku. Krzewy były pięknie przyszyżone, brukowe ścieżki stały się znów widoczne, trawnik zdobiły ogromne donice z terakoty, w których kwitły funkje. Wokół rozstawiono stoły i krzesła ogrodowe. Ktoś wykonał tu niezły kawał roboty – i było warto.

– Tu jesteś, Josie.

Odwrociłam się i zobaczyłam Mallory.

– Właśnie przyjechałyśmy. Pięknie to wygląda, prawda? Wszyscy ciężko na to zapracowali!

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszałam za sobą głos Bena.

– Owszem, i mam nadzieję, że wszyscy wiedzą, jak bardzo jesteśmy im wdzięczni, wujek i ja. Cieszę się, że jednak przyjechałaś, Josie. Miło cię widzieć.

– Aha. No, ja... Orli bardzo chciała przyjść. Są tu jej przyjaciele, a wiesz, jak to jest z dziećmi... wszystkie chcą zawsze robić to samo, co inne... więc nie mogłam jej odmówić... wiesz, jak to jest...

Nie miał pojęcia, jak to jest, bo nie miał dzieci. Zamknęłam usta, żeby powstrzymać ten bezładny słowotok. Mallory patrzyła na mnie dziwnie. A Ben uśmiechnął się, najwyraźniej się tym nie przejmując.

– Tak czy inaczej, cieszę się. Co powiesz na kieliszek wina?

– Chętnie, dziękuję ci. Z przyjemnością. – Jasne, tego właśnie było mi potrzeba – trochę alkoholu, żebym zaczęła gadać jeszcze bardziej bez ładu i składu.

Gdy Ben poszedł po wino, Mallory złapała mnie za ramię.

– Co, u licha, się z tobą dzieje? – spytała.

Wyrwałam rękę.

– O co ci chodzi?

– Po pierwsze, spójrz na siebie. Jaka wyfiokowana! Nie widziałam cię takiej od... odkąd pamiętam. Wyglądasz, jakby umalowała cię kosmetyczka. Włosy pięknie ułożone, a ten strój wygląda na tobie wspaniale. No i ta przedziwna rozmowa z Benem. Ostatni raz zachowywałaś się tak w obecności Chipa Blackwella w pierwszej klasie liceum!

– Oszalałaś – zaprotestowałam, czując, że zalewa mnie rumieniec.
– O rany! On ci się podoba. Ben ci się podoba! Kto by pomyślał – chichotała.

Zobaczyłam, że Ben idzie znowu w naszą stronę, i spiorunowałam Mallory wzrokiem.

– Zamknij się! Proszę!

– Proszę bardzo – powiedział Ben, podając mi kieliszek czerwonego wina. – Och, przepraszam, Mallory. Dolać ci?

– Nie, dziękuję. Muszę iść poszukać swojego syna. Myślałam, że jest z Troyem, ale chyba lepiej to sprawdzę. Bawcie się dobrze – powiedziała, mrugając do mnie; modliłam się, żeby Ben tego nie zobaczył.

– W takim razie twoje zdrowie i Wesółych Świąt – powiedział, stukając kieliszkiem o mój kieliszek. – Ślicznie dziś wyglądasz, Josie.

Opłaciło się sterczeć przed lustrem; nie pamiętałam jednak, kiedy ostatnio mężczyzna powiedział mi komplement, więc w odpowiedzi wymamrotałam tylko:

– Tak, tobie też Wesółych Świąt! – Jakby w odpowiedzi, chór zaczął śpiewać *Little Drummer Boy*[37].

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Z jakiegoś powodu bożonarodzeniowe pieśni zawsze sprawiają, że łzy napływają mi do oczu. Może to ich prostota i ukryte znaczenie? To prawda, że w życiu najważniejsze okazują się rzeczy małe. Oto nasza społeczność zebrała się razem, żeby pomóc jednemu z mieszkańców – żeby podarować niezwykle Boże Narodzenie komuś, kto naprawdę na to zasługiwał.

– Zawsze bardzo lubiłem tę piosenkę – odezwał się Ben.

– Ja też.

– Już wcześniej chciałem cię zapytać... dlaczego właściwie nazwałaś swoją córkę Orli? To bardzo ładne imię, ale dość niezwykle. Wymawia się je tak samo, jak nazwę lotniska Orly w Paryżu, prawda?

Przytaknęłam.

– Tak, to ta sama wymowa. To hebrajskie słowo, które oznacza „Jesteś moim światłem”. Nie jesteśmy Żydami, ale to imię jakoś do niej pasuje. Od chwili, kiedy się urodziła, jest światłem mojego życia. Na pewno wiesz, że wychowuję ją sama. Jesteśmy sobie bardzo bliskie.

– To widać. Widać, że jesteście bardzo związane ze sobą, no i świetnie ją wychowałaś. Gdyby nie Orli... nie wiem, gdzie byłby dziś wujek Al.

Kiedy ktoś chwali moją córkę, ulegam emocjom; poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

– Wiesz – powiedział – kiedy byliśmy dziećmi... To, co wtedy mówiłaś, jest prawdą. Tylko dużo czasu musiało upłynąć, zanim to zrozumiałem.

– A co ja takiego mówiłam? Co masz na myśli? – spytałam, wycierając oczy.

– No, ja przechwalałem się, jak to nie mogę się doczekać, żeby stąd wyjechać i wrócić do Nowego Jorku, do tych wszystkich neonów, a ty mówiłaś: „Może i w Nowym Jorku są neony, ale Cedar Key jest magiczną wyspą”. I miałaś rację: tak właśnie jest.

Uśmiechnęłam się.

– Nadal tak uważam. – Napiłam się wina. – Kiedy masz zamiar wyjechać z naszej magicznej wyspy?

– Długo się nad tym zastanawiałem. Lecę do Nowego Jorku kilka dni po Nowym Roku, ale... chcę tu wrócić.

– Jasne. Wielu tak mówiło.

– Ale ja mówię poważnie. Mam zamiar zmienić to i owo w swoim życiu.

Wchodziłam właśnie na tę samą ścieżkę, spojrzałam więc na niego z zaciekawieniem.

– Tak? W jaki sposób?

– W jaki? W taki, że postanowiłem wynająć swój apartament od pierwszego czerwca. Wrócę tu w marcu na kilka tygodni, żeby wszystko sobie przygotować. Mam zamiar złożyć wypowiedzenie w wydawnictwie.

To rzeczywiście brzmiało poważnie.

– Naprawdę? Wyjeżdżasz? Dlaczego? Co będziesz robił? – znowu uruchomił mi się słowotok, ale nie potrafiłam nad tym zapanować.

Ben roześmiał się.

– No, tak, chcę odejść z wydawnictwa. Pewnie powinienem był to zrobić już kilka lat temu. Praca redaktora jakoś przestała mnie

ekscytować. Czas na zmiany. Nowy Jork to wyścig szczurów, a ja czuję się jak chomik, biegający w kółko, i dotąd nie miałem pomysłu, co z tym zrobić. Powrót do Cedar Key dał mi zupełnie nową perspektywę. Nagle wszystko stało się jasne. Zwolniłem tu tempo, zacząłem myśleć. Naprawdę myśleć, po raz pierwszy od bardzo dawna. A co do tego, co mam zamiar robić... Chcę pisać.

– Pisać? Tak jak moja matka? Chcesz być pisarzem?

Ben znowu się roześmiał.

– No, mam taką nadzieję. Wiem, jak trudno jest znaleźć wydawcę. Ale mam trochę odłożonych pieniędzy; wystarczy mi nawet na kilka lat. Zresztą... najważniejsze jest to, że nareszcie jestem gotów podjąć ryzyko. Zawsze chciałem to zrobić, ale wiesz, jak to jest... lęk przed nieznanym. Wujek i ja świetnie się dogadujemy, lubię z nim przebywać. To ostatnia osoba z rodziny, jaka mi została; chcę spędzić z nim więcej czasu. Nie chciałem, kiedy będę w jego wieku, żałować, że tego nie zrobiłem.

„Lęk przed nieznanym” – powiedział. Zastanawiałam się, czy to nie on właśnie powstrzymał mnie dotąd przed zmianą własnego życia? Była w tym pewna ironia, że zarówno Ben, jak i ja w tym samym czasie doszliśmy do wniosku, że w życiu trzeba umieć zwolnić tempo, znaleźć dla siebie czas. A co zabawne, oboje wstępowaliśmy właśnie na drogę, która miała nas ku temu zaprowadzić.

– No i tak – powiedział Ben i umilkł na chwilę. – Skoro mam zamiar wrócić tu w marcu, a potem na stałe w czerwcu... myślisz, że... że moglibyśmy się umówić od czasu do czasu po moim powrocie? To znaczy jeśli mi wybaczyłaś, że byłem takim dupkiem jako dziecko, a potem jeszcze większym, kiedy tu przyjechałem w zeszłym miesiącu?

Odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć. Nie widziałam już aroganckiego, źle wychowanego chłopaka, który przyjeżdżał na wyspę każdego lata, pokazując wszystkim jasno, że nie ma ochoty tu być. Nie widziałam nastolatka, który wywyższał się nad innych i przechwalał się swoim wspaniałym życiem w Nowym Jorku, zamiast cieszyć się pobytem na wyspie, która mogła mu dać tak wiele – zarówno ta ziemia, jak i ludzie. Nagle straciłam ich z oczu. Zamiast nich zobaczyłam niezwykle przystojnego mężczyznę, który chyba lepiej niż większość

ludzi rozumiał, na czym polega magia Bożego Narodzenia.

Zobaczyłam mężczyznę, który zdołał się zatrzymać, żeby zrozumieć, a gdy zrozumiał – okazał współczucie.

Mężczyznę, którego miałam ochotę poznać bliżej.

Uśmiechnęłam się, dotykając palcem brzegu kieliszka.

– Benie Sudbury, z przyjemnością się z tobą umówię po twoim powrocie. A co do wybaczenia... Jak mogłabym ci nie wybaczyć, skoro jest Boże Narodzenie? Oczywiście, że ci wybaczam. Wiesz, co mówią: „błądzić jest rzeczą ludzką, a wybaczać – boską”.

Ben odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się.

– Josephine Shelby Sullivan, jesteś rzeczywiście boska. Wesołych Świąt!

Ja również się śmiałam. Z jakiegoś powodu, gdy on wymawiał moje pełne imię, nie irytowało mnie to tak jak wtedy, gdy robiła to moja matka.

– Wesołych Świąt, Ben! – powiedziałam.

Wiedziałam już, że święta w Cedar Key naprawdę mają w sobie magię.

37 Little Drummer Boy – popularna amerykańska piosenka bożonarodzeniowa, skomponowana na podstawie motywu tradycyjnej czeskiej kolędy.

Stephanie Marshall, kierowniczka sklepu z akcesoriami dla narciarzy, nie może się doczekać świątecznej premii, ale jej szef snuje własne plany. Meredith Ghirlandaio z trudem nadąża z realizacją kolejnych zadań na świątecznej liście, a tymczasem los stawia na jej drodze następne przeszkody. Tara Lane jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko uniknąć kolejnych koszmarnych świąt w rodzinnym gronie – choćby nawet polecieć na Maui. Josie Sullivan jest bardzo dumna ze swojej córki, którą wychowuje sama. Niedługo dowie się, ile świątecznej magii może się kryć w jednym dobrym uczynku...

Opowieści o tęsknocie za rodziną, miłością, o braniu i dawaniu, słowem – o tym wszystkim, co składa się na zwykłą i niezwykłą magię Świąt Bożego Narodzenia. Cztery opowiadania czterech różnych autorek łączy temat przewodni – najpiękniejsze Święta w roku stają się pretekstem do poszukiwania tego, co w życiu najwspanialsze... i prawdziwie magiczne.

Już w księgarniach:



www.ksiegarnia.bellona.pl

